

ZAKŁĘCIE DANYCH

Rozdział 1

Dziedzictwo Tumula

Oczywiście pada, jak na dzień pogrzebowy przystało. Jednak deszcz nie składa się z kropel wody, ale z cząstek ziemi, piasku zawieszonego w powietrzu. Niebo nie jest szare, ale koloru ochry, chmury są rozmazane odcieniami brązu na cześć różnorodnych skał, które tworzą góry Acongua.

Ponieważ dzisiaj jest chowany Faworyt Ziemi.

Tumul nie żyje.

Wielu urzędników przybyło, by oddać mu ostatni hołd: Faworyci i Arkhończycy stawili się w komplecie, wszyscy dynastowie ustawieni w szeregu za Kreuzą Aconguii i jej marmurową twarzą, potentaci głównych gildii, kilku wysoko postawionych w armii jobsów i dziesiątki quamsów reprezentujących burżuazję Arkhantii.

I oczywiście Solis.

Malkah stoi samotnie, trochę przed zgromadzeniem czarnoksiężników i arystokratów. Nieskazitelną mimo otaczającego ją kurz, jej biała suknia kontrastuje z utlenionymi kolorami Pasiastych Ziem, obszaru ludu łupkowego. Z rękami skrzyżowanymi na swoim łonie obserwuje anonimowy tłum, znajdujący się, po drugiej stronie ceremonii. Solis nie ma pojęcia, czy Tumul by się uśmiechał czy poczułby się urażony, widząc, że jego pogrzeb

zgromadził całe społeczeństwo Arkhańczyków, ale, że jego zwłoki roddzielają elitę od plebsu. Z drugiej strony jest pewna, że byłby znacznie bardziej poruszony obecnością tych tysięcy nieznajomych, którzy przyszli mu okazać szacunek, niż obecnością urzędników, którym bardziej zależy na tym by być widzianym.

Publiczność obserwuje w ciszy, jak taumaturgowie, zainicjowani i filary, przygotowują wspólnie szczątki zmarłego mistrza w tym dziwnym rytuale, tak charakterystycznym dla arkhomu Ziemi.

Można by pomyśleć, że Tumul wciąż żyje. Jego zmumifikowane ciało – a dokładniej skamieniałe – jest ubrane w jego codzienny strój, ze sznurkami splecionymi kamieniami i z bosymi jak zwykle stopami. Jedynym namacalnym dowodem jego śmierci jest brak skalistego globu, który nocą i dniem krążył nad jego głową. Słynna skała, porzucona przez magię swojego mistrza, jest teraz osadzona w łupkowym klifie roztaczającym się nad ceremonią.

Ciało przechodzi z rąk do rąk, jakby Tumul po kolei, obejmował każdego z taumaturgów, by pożegnać się po raz ostatni przed bardzo długą podróżą. Tradycja może uchodzić za makabryczną, ale Solis uważa ją za poruszająco braterską.

Chloris przez chwilę trzyma Tumula na wyciągnięcie ręki, patrząc na niego po raz ostatni, po czym przekazuje go Elbie, której rysy twarzy zastygły w połowie pomiędzy gniewem a żalem, która powierza go Cildoremu, mniejszemu od zmarłego, mimo, że Tumul sam nie był zbyt duży.

Niedługo wszyscy, oprócz Hannibal i Aureliusz, będą trzymać Faworyta po raz ostatni, zanim zostanie złożonygo do grobu. Cildore znajduje się w niewygodnej sytuacji, gdyż musi wybrać, który z uczniów pozdrowi swojego mistrza jako ostatni. Tradycyjnie, ten zaszczyt przypada przyszłemu Faworytowi, który nie został jeszcze oficjalnie mianowany, ale

który był zwykle wyraźnie wskazany. Niestety, Tumulowi zabrakło czasu – albo woli – by jasno określić swoje zamiary i choć wiadomo, że jego następcą będzie jeden z tych dwóch, nikt nie wie, kto będzie mianowany, Hannibal czy Aureliusz.

Być ostatnim, który pożegna Tumula, byłoby ważnym symbolicznym gestem. Dlatego też, żaden z pretendentów nie wydaje się być skłonny do oddania tego przywileju durgiemu.

Chwila wahania wisi nad ceremonią, która wstrzymuje jej przebieg, jakby została zmaieniona w kamień. Rytuał, który był braterski, może nagle stać się bratobójczy.

Solis jest upokorzona, to wszystko jej wina. Podwójnie.

To ona utrzymywała tę rywalizację między Hannibalem i Aureliuszem.

I to ona jest tą, która nie potrafiła powstrzymać Tumula, niczym nie wyczerpał się w jego próbach ożywienia cyklu prany.

Solis przypomina sobie, jak bardzo zdruzgotany był Tumul, kiedy wrócił z Acongua po rytuale filarów Ziemi. Rytuał, który przyniósł Aureliuszowi i Hannibalowi ich skaryfikacje. Miało to miejsca, trzy cykle temu, trzy cykle Balora, małego brązowego księżyca – to wieczność w jej oczach.

„Robale skalne są chore – tłumaczył jej. Umierają! – dodał gorączkowo, ponieważ uznał ją za niewystarczająco zaniepokojoną. Jego słowa brzmiały jak trzęsienie ziemi.

A jednak, Solis natychmiast zrozumiała powagę sytuacji. O wiele bardziej niż niektórzy Faworyci, zgromadzeni wokół Tumul, by o tym dyskutować. Woleli spędzać czas na negowaniu problemu, niż na zidentyfikowaniu jego dokładnego zakresu. Szczerze mówiąc, nie jest łatwo przyznać się do tego, że źródło twojej mocy wygasa, zwłaszcza jeśli nie masz pojęcia jak wybrnąć z tej sytuacji.

Faworyci powrócili do swoich terytoriów w poszukiwaniu dowodów potwierdzających – lub unieważniających – wnioski Tumula. Solis była już przekonana, więc dała Tumulowi wszystkie środki, jakie mógł zaoferować Rzeźbiony Tron, a nawet więcej. Absolutnie konieczne było ustalenie pochodzenia degeneracji prany, niezbędnego warunku ponownego uruchomienia jej naturalnego cyklu przez Legendarnych Ziemi. Dzięki swojemu rygorowi i dyskrecji, nie wspominając o niespotykanej lojalności, Tumul miał najlepsze predyspozycje do przeprowadzenia tych dochodzeń. Gdyby tylko Solis wiedziała, że straci przez to swoje zdrowie...

Tumul pracował niestrudzenie, kumulując męczące zakłęcia, zmuszając się do spędzania całych, nieprzerwanych dni na czytaniu – czego Solis nigdy sobie nie narzucała, nawet wtedy, gdy uciekała przed okrutną obojętnością ojca. W niekończących się rytuałach skonsumował dziesiątki robaczych kłów, czerpał z własnych zapasów prany, dopóki nie wyschły, kontynuował swoje wysiłki, aż jego wewnętrzne pieśni stały się bezpłodne. Przmierzał wzdłuż i wszerz Arkhantię w poszukiwaniu tropów i rozwiązań, aż krwawiły mu bosa stopy, mimo, że były twarde jak granit. Dosłownie oddał swoje życie, aby rozwikłać sytuację.

Wszystko to po nic, albo prawie po nic.

Kluczową informacją, jedyną pewnością, którą odkrył Tumul, było to, że wyczerpanie prany nie jest nowe. Konsekwencje są odczuwalne dzisiaj, ale proces ten trwa już od dwudziestu lat. Od Wojny Bohaterów.

Prawdę mówiąc, nie da się dokładnie datować początku tego zanikania, ale jego czasowa bliskość z konfliktem pomiędzy Arkhantią i Mantris nie może być dziełem przypadku. Zdarzenie – zniszczenie miejsca lub użycie technologii mantry, a nawet stworzenie Ściany Kości, jak

myślał w penym momencie Tumul – wywołało degenerację prany, która od tego czasu powoli ulega degradacji, aż do okazania obecnych oznak wyczerpania .

Ta informacja jest bardzo ważna, niestety nie daje żadnego wyjaśnienia, a tym bardziej lekarstwa. Zachęcony tym pierwszym powodzeniem, Tumul jeszcze bardziej zwiększył swoje wysiłki. Niestrudzenie przemierzał pogranicze Arkhantii z Riftem w poszukiwaniu tego wydarzenia, od którego wszystko to się zaczęło.

Dzięki regularnym raportom, Solis mogła śledzić jego podróż na odległość. Na południu, ujście rzeki Thamur, drugiej co do wielkości rzeki w Arkhantii, niegdyś żyznej w czarny muł, a która zamieniła się w błotniste bagno. Pierwotny las Orcuniona, gdzie zaobserwował takie samo zapadanie się dolin, jak te opisane przez Sylae, pochłanianie całych drzewa od nasady aż po wierzchołki. Szczyty Acongua, w centrum kręgosłupa świata, o których, w bolesnych słowach, opisywał cofanie się lodowców, zjawisko niemożliwe do wykrycia żyjąc codziennie w górach, ale widoczne, gdy obserwuje się kordyliery z odległego dystansu. Pustynia Masady, daleko na północy, wgryzająca się w Mur, zamieniająca całe sekcje wału w stos kości przeplatanych wyschniętymi cirniami, tak samo martwymi jak szkielety, które powinny utrzymać go razem.

Bycie świadkiem powolnej agonii świata, być może właśnie to wykończyło Tumula, bardziej niż jego niestrudzone wysiłki. W każdym razie jest to przekonanie Solis i jej największa wina : chociaż czuła, jak słabnie jego siła, nie starała się go zmusić do rezygnacji. Jego poszukiwania były na tyle ważne, aby uzasadnić tym cenę, którą zapłacił. Decyzja godna królowej, ale niewybaczalna ze strony przyjaciela.

Tumul nie był sam w obliczu tej męki. Mimo, że jego ekspedycja sprawiła, że zaniedbał arkhom Ziemi, był na tyle mądry, że pozwolił się wspierać swoim uczniom. Hannibal i Aureliusz towarzyszyli mu na przemian w jego wędrówkach. Pozwoliło mu to ocenić ich wytrwałość i umiejętności – był to praktyczny test, który Tumul chciał zlecić im pojedynczo, dlatego też nigdy nie podróżowali jednocześnie.

W tym momencie Solis popełniła swój drugi niewłaściwy błąd.

To ona zauważyła anomalię. W miarę jak mnożyły się rytuały regeneracji prany, po których w każdym arkhomie pojawiał się coraz bardziej zajęty Tumul, zauważyła, że wyniki były znacznie lepsze, gdy był obecny Aureliusz. Dlaczego? Stanowi to dodatkową tajemnicę, ale raporty były formalne.

Czy Solis powinna ukryć to odkrycie? Może. Jednak ponownie zadecydowała, by faworyzować Arkhantię, bardziej niż jej przyjaciół.

W końcu, gdy Solis podzieliła się swoimi odkryciami, Tumul wymyślał coraz więcej wytłumaczeń obecności Aureliusza u jego boku, a Solis znajdowała nowe wymówki, by zatrzymać Hannibala w Neftydzie. Trudno powiedzieć, czy Fort-Gotens zaczął coś podejrzewać, ale kolos nie dał się oszukać.

Z jej powodu, wrogość między dwoma uczniami narastała. Solis wolałaby, żeby raz na zawsze rozstrzygnęli spór, ale Ziemia jest arkhomem, który grzebie i miele; eksplozje są bardziej zarezerwowane dla Ognia.

A teraz ma się wrażenie, że rywale wybrali pogrzeb swego nauczyciela, aby publicznie rozstrzygnąć swój spór. Nie znając ostatnich życzeń Faworyta, pozbawiony najmniejszej wskazówki ze strony Hannibala czy Aureliusza, którzy obojętnie stoją w tej odległości od niego, Cildore nie

wie, co zrobić z jego szczątkami, przedłużając uścisk ze skamieniałą mumią nie mający żadnego sensu.

Wszystko w tej tragicznej scenie jest wynikiem wyborów Solis. Świadome, zamierzone, przemyślane wybory, których konsekwencje są okrutne do przyjęcia. Jeśli stoi, błada i samotna, przed oficjalną delegacją, to nie przez godność. Nie. W rzeczywistości z sercem na ustach i łzami w oczach stara się nie załamać przed tym spektaklem, którego jest wielką organizatorką.

Pogrzeb ma uhonorować zmarłego. Nic w tym, co dzieje się na jej oczach, nie jest godne Tumula, tego, który urodził się w skromnej rodzinie łupków, tej skały, z której odziedziczył cechy: erudycję glinianego łupku, którą możemy rzeźbić w czarną kredę, bezpieczeństwo łupka, z którego wykonane są dachówki, hojność i skromność tego kamienia, którego można znaleźć pod dostatkiem, doświadczenie solidnie nagromadzone jak warstwy tej osadowej skały.

W cichej modlitwie, Solis prosi go o przebaczenie.

Podczas gdy obecni urzędnicy zaciskają usta z dezaprobatą z powodu tego, co stopniowo przeradza się w obrazę pamięci zmarłego Faworyta, mieszkańcy Acongua, ze wszystkich klanów, zaczynają deptać ziemię. To, co na pierwszy rzut oka wydaje się wyrazem oburzonego zniecierpliwienia, okazuje się doskonale zsynchronizowane. Dorośli, dzieci i starcy tupią rytmicznie, wybijając rytm, który utrzymuje tą samą niską pulsację, która stale zyskuje na sile.

Stopniowo, ziemia staje się bębniem, podczas gdy vibracje przechodzą od szelestu do drżenia, a następnie do wstrząsów, do tego stopnia, że można by uwierzyć, że skalne robale przybyły, by wprosić się na ceremonię. Deszcz kurzu, który osiadł, znów wznosi się ku niebu; urwisko, które dominuje nad Prążkowanymi Krainami, stos kolorowych i

kruszących się warstw, roi łyż żwiru; skalista ziemia drży przed tym żywym, popularnym hołdem.

Ucichło jego bijące serce. Ziemia, choć pozbawiona Faworyta, powoli reanimuje się pod wpływem ludzi z łupków, granitu, gliny i wszystkich innych. Pod ich krokami odradza się cichy rytm, który dudni w trzewiach ziemi: pulsowanie świata.

Hannibal jest mocno poruszony tą wibracją.

Wokół niego rozwijają się fale sejsmiczne, odsłaniając bogactwo gleby: jaskinie, w których stalaktyty i stalagmity łączą się, tworząc kolumny godne świątyni, żyły złota i srebra, które przeplatają się z tunelami wydrążonymi przez skalne robale, bulgoczące jądro magmy i rozległe zwierciadła wód gruntowych, które współistnieją w pokoju Ziemi, a nie niszczą się nawzajem... Każdy ujawniony element pokazuje jedność i współzależność.

Nagle we wnętrzu Hanibala rozwija się głęboki wstyd. Jego haniebne zachowanie wywołuje w jego duszy kwaśną pogardę, której nie pozbędzie się tak szybko. Pomyśleć, że marzył o byciu Faworytem, kiedy jest tak niegodny tego całego podziemnego piękna. Uważa się za ucznia, a zwleka, starając się uniknąć ostatecznego starcia ze swoim mentoremStalaktyty i stalagmity, złoto i srebro, magma i wody gruntowe nie konkurują ze sobą by wygrać! Echo z jego sytuacją to brutalne osunięcie się ziemi. Z siłą skały miażdżącej go całym swoim ciężarem, Hannibal odkrywa, że nie jest takim wielkim człowiekiem, za jakiego się uważał.

Ku największej uldze Cildore, chwytając zwłoki Tumula, trzymając je na wyciągnięcie ręki, patrzy na niego nieśmiało, jak chłopiec, który wie, że zawiódł swojego ojca. Następnie przytula go do piersi, by przekazać mu wiadomość zza grobu: prosi o przebaczenie, zobowiązuje się do bycia lepszym, przysięga służyć arkhomie i zachować jego dziedzictwo... tak

wiele zobowiązań, które graweruje dłutem w marmurze swojej pamięci.

Wstrząśnięty, czuje linię uskoku, która łamia jego sumienie i przekształca jego wnętrze – źle metabolizowana zazdrość, lęk przed utratą miejsca, które sobie wyrzeźbił, smutek dorosłego, który nagle odkrywa, że jest sierotą – zakopuje i kompresuje te mroczne myśli, aby zachować jedynie szacunek i wdzięczność, jakie czuje dla Tumula, przekształcając w ten sposób węgiel jego nastrojów w lśniący diament obietnicy.

Następnie, z szacunkiem przekazuje ciało Aureliuszowi.

Który, oczywiście nie wie co ma z tym zrobić.

Po uścisku w lewe ramię, gladiator zostaje obciążony ciężarem, którego chce się jak najszybciej pozbyć. Hannibala uderza kontrast między: Aureliuszem cudownym dzieckiem arkhomu, nowicjuszem, który stał się filarem, wybranym przez Tumula na towarzysza w jego ostatniej podróży... i kimś, kto nie wie nic o świętych zwyczajach Ziemi.

Mógłby wykorzystać tę sytuację i publicznie upokorzyć Aureliusza. Pomysł przebiega mu przez myśl, ale nie znajduje potwierdzenia w jego nowych postanowieniach. To nie byłoby go godne. Przede wszystkim nie byłoby godne Tumula.

Prowadzi więc gladiatora do podnóża urwiska i każdy z nich, trzymając zwłoki za ramona, sadzają je, ceremonialnie, na występie, który wygląda jak stołek. Tumul spoczywa teraz pod globem, który kiedyś lewitował nad nim, a który, jest teraz osadzony w świętej ścianie, jak kula armatnia, którą skała zatrzymała w pełnym locie.

Dwójka uczniów cofa się, podczas gdy arystokraci i czarnoksiężnicy, z Solis na czele, zbliżają się i tworzą za nimi półokrąg.

Hannibal waha się przez chwilę, po czym zwraca się do Aureliusza, nakłaniając go, by podążał za jego przykładem. Z zaciśniętymi ustami, zaczynają razem wydawać gardłowy dźwięk, bezsłowną arię, która sprawia, że tułów wibruje bardziej niż struny głosowe. Stłumiona, zakopana, głęboka pieśń.

Brzęczenie Ziemi.

Z początku ze skromnością i szacunkiem, potem z oczyszczającą intensywnością, setki głosów, od najwyższych rangą do najniższych, dołączają do pieśni, a wkrótce infradźwięki rozbrzmiewają potężnym echem na klifie. Śpiew wznosi się, bogaty w niepokojące i subtelne tony, można by pomyśleć, że wszystkie skały gór Acongua zaczęły wspólnie wibrować: gips, bazalt, wapień, jaspis, krzemień, granit, marmur, skała ozdobiona miedzią, żelazem, srebrem, cyną, platyną i wiele innymi nieznanymi skarbami zakopanymi pod ziemią.

Zainspirowana tym poruszającym wezwaniem, dusza Tumul wyznacza swojego następcę, zgodnie z tradycją zakotwiczoną w arkhomie Ziemi od momentu założenia magicznego kolegium.

Osadzona w klifie skalista kula, po raz ostatni porusza się i obraca, rozszczepia się i odtwarza na kształt pergaminu ze skalnych włókien.

Pojawiają się litery.

Rozdział 1.2

Jak tylko Hannibal widzi pierwszą literę, A, już wie. Aureliusz towarzyszył zmarłemu niemal wzdłuż całej granicy Riftu i był ostatnim, który złożył mu hołd. Tumul zdecydował postawić na Aureliusza, utalentowego i intuicyjnego, a nie na niego, harującego, który nie został dotknięty łaską geniuszu. Wywrotowy, nieoczekiwany wybór dla Ziemi, ale z pewnością konieczny ze względu na kłopoty, jakich doświadcza prana.

Co ciekawe, odczuwa ulgę. Nie zawiódł, był mocny i wierny arkhomie i faworytowi, oddany Ziemi. Nie ma sobie nic do zarzucenia, nikt nie będzie mógł zaprzeczyć jego zaangażowaniu. Jeśli ciężar odpowiedzialności spada na kogoś innego niż on, to dlatego, że Tumul jest mędrce, a nie dlatego, że nie był godzien najwyższego tytułu.

Poczym pojawia się litera L.

Koniec końców, będzie mógł pozostać przy Solis, wspierać ją w umacnianiu jej rządów, zachować rolę obrońcy Malkah. Jako Faworyt, Aureliusz będzie musiał często i przez długi czas przebywać z dala od Neftydy. Hannibal będzie służył jako przekaźnik, będzie głosem Ziemi w pobliżu wyrzeźbionego Tronu; da mu możliwość korzystanie ze swojego doświadczenia, jego znajomości korytarzy mocy, jego bliskości z Solis. Umocni pozycję ziemskiego arkhom.

Tak, w końcu to dobrze, że Aureliusz została wybrany na kolejnego Faworyta.

HANNIBAL

Tak w końcu mówi napis, pojawiający się w reliefie na skalistym globie.

Setki twarzy, będących w tłumie, odwracają się i patrzą na niego, tak jak jest niezliczona ilość kopców na zboczu góry. Hannibal wzdryga się przez chwilę przed spojrzeniami, które zatrzymują się na nim, które opierają się na jego ramionach jak budynek na swoim zworniku. Jego twarz zmienia się z zaskoczenia kruchego gruntu na pewność twardej skały.

Tumul właśnie wybrał swojego następcę, przed pozostałymi czterema Faworytami, siedmioma dynastami, dziesiątkami taumaturgów i setkami ludzi z gór. A przede wszystkim przed Malkah.

Został wybrany Faworytem, niewątpliwie i bezdyskusyjnie.

Gdyby Aureliusz był na jego miejscu, to po raz kolejny nie wiedziałby jak się zachować. Hannibal zna zwyczaje. Kiedy wyobrażał sobie, że arkhomy potrzebują nowej krwi, innowacyjnego podejścia, zdał sobie nagle sprawę, jak ciężki był jego błąd: Ziemia jest podstawą, na której spoczywają inne magie, kamieniem węgielnym, na którym opierają się... pochodzenie prany, a zatem pierwsza z magii.

Dlatego właśnie, Tumul wołał go od Aureliusza.

Poruszony objawieniem, uderzony wagą swojej misji, zbliża się do kuli i kładzie na niej rękę. Szepcząc zaklęcie, wbija palce w skałę, którą ugniata jak piekarz swoje ciasto. Wyciąga z niej małą kulkę, nie większa od orzecha, trzymając ją w opuszkach palców. Upuszcza ją na dłoń, wpatruje się w nią uważnie, stojąc plecami do milczącej publiczności.

Następnie uderza się gwałtownie w twarz na poziomie lewej arkady.

Kamienna kulka uderza w jego gałkę oczną, która pęka z obrzydliwym mokrym dźwiękiem. Krystaliczna ciecz tryska

spod dłoni przyciśniętej do jego twarzy, przykleja się do rozstawionych palców, plamiąc je krwią.

Hannibal nie piszczy, ani nie jęczy, mimo, że ból wędruje wzdłuż jego nerwu wzrokowego, draży jego czaszkę jak kamieniarskie wiertło. Jego posiniaczona powieka trzepocze gorączkowo wokół obcego ciała, które jest tak szorstkie i tak przerażająco suche. Stara się je odrzucić, wołając być jednookim niż mieć, jedno oko z minerału, a drugie ludzkie.

Z dłonią przyciśniętą do łuku brwiowego, czeka, aż jego ciało zaakceptuje jego decyzję, ujarzmi pulsujący ból. Wymaga to niekończącej się chwili tortur, która pokrywa jego czoło potem cierpienia. Jego skaryfikacje są tak gorące od gorączki, że mógłby je drapać, aż do krwi.

W końcu opanowuje swoje zmysły. Ostrożnie odsuwa rękę, wymusza swój wzrok, mruży oczy.

I nagle..... widzi.

Kształty, reliefy, kolory, wszystko to, co ludzkie oko odbiera na co dzień. Ale także coś więcej, na innym poziomie, inną dodatkową rzeczywistość, pulsacje infradźwięków, podziemne rezonanse, architekturę osadową, tak czytelną i sugestywną jak partytura muzyczna, echa najdrobniejszych ruchów otaczającego go tłumu, każde ziarnko kurzu zawieszone w powietrzu, wibrujący błysk setek skalnych robali zebranych pod masywem.

Zupełnie nowy świat, pojawia się przed nim. A dokładniej, w końcu odkrywa świat taki, jaki powinien był mu się pojawić dawno temu.

Odwraca się w stronę tłumu, jego łuk jest skolonizowany przez kamienne bruzdy, które przecinają mu brwi i przesuwają się w kierunku kości policzkowej. Stoi dumnie przed świadkami swojego wyniesienia. Wśród tych setek podziwiających lub oszołomionych spojrzeń, tylko jeden się liczy.

W końcu spotyka się ze spojrzeniem Solis.

Która trzyma ręką Aureliusza.

Hannibal swoim naturalnym okiem dostrzega spontaniczność tego gestu. Emanuje on życzliwością, empatią, chęcią pocieszenia w obliczu nagłego rozczarowania.

Swoim kamiennym okiem dostrzega mikrowibracje, które otaczają parę niczym kręgi w wodzie. Walące serce Solis bije w kontrapunkcie do trudnej do opanowania wściekłości Aureliusza – taumaturg poradziłby sobie z tym bardzo łatwo, a tym bardziej pretendent do tytułu Faworyta. Różnica między nimi jest uderzająca: Solis jest pełna troski o Aureliusza, a on myśli tylko o sobie.

Dlaczego nie widzi, że Aureliusz jest równie egoistyczny, co niebezpieczny ? Wyobrażanie sobie go jako pełnego elegancji tancerza tańców towarzyskich, to także zapomnienie o tym, że wypatroszył przeciwnika w Appologium. Przedstawianie go jako bohatera Arkhańczyków zaprzecza faktowi, że zdrajcą Fort-Gotensem. Jak Solis może tak bardzo się oszukiwać? On jest jednooki, ale ona jest niewidoma.

Z kolei, Hannibal staje się niewidomy, w obliczu składanych mu hołdów. Faworyci są pierwszymi, którzy mu gratulują, Sarash cieplej niż pozostali. Potem przychodzi kolej na dynastów i pozostałych arystokratów, za którymi podążają ludzie granitu, jego klan i wszyscy inni przedstawiciele Acongua.

Musi poczekać, by porozumieć się z taumaturgami, braćmi arkhomu, którym teraz kieruje, by w końcu zdać sobie sprawę z tego, że jest następcą Tumula. To jego imię zostanie wyryte na fresku w Kreuzecie, a jego wyczyny mogą uzupełnić brązową płaskorzeźbę, która przedstawia historię Ziemi.

Aureliusz stoi samotnie w cieniu urwiska. Obserwuje to wszystko z daleka, już go to nie dotyczy. Powinno jednak, gdyż jego obowiązkiem jest pogratulowanie nowemu Faworytowi. Tyle że Hannibal nie jest *jego* Faworytem. Tumul wybrał kogoś innego niż on, chociaż został u jej boku na okres cyklu księżyca, dzieląc jego codzienne życie podczas podróży do granicy Riftu.

Aureliusz zrobił wszystko, czego żądał od niego Tumul, a mimo to, dokonując wyboru, były Faworyt zaufał komuś innemu. Gladiator nie może tego przełknąć, nie po tym jak pozwolił rozbudzić w sobie tyle nadziei. Czy podczas ich ostatniej podróży, nie okazywał ogromu poczynionych przez niego postępów, odkąd otrzymał skaryfikacje. Tumul był przecież pod wrażeniem, gdy na skraju Orkunionu, spontanicznie znalazł się z dwiema dodatkowymi parami rąk zrobionymi z cierni, by powstrzymać gruby pień wyrwanej z korzeniami haszy. Aureliusz pamięta wyraz twarzy Faworyta, między podziwem a troską; rzucił zaklęcie spontanicznie, bez zastanowienia, a Tumulowi wydawało się to takie niezwykle.

Więc dlaczego wybrałeś tego głupiego Hannibala? Dlaczego wybrałeś bardziej pracochłonnego niż genialnego?

„Bądź cierpliwy” – syczy do niego Sylae niskim głosem.

Aureliusz powoli odwraca głowę i ostentacyjnie patrzy na dłoń, którą Faworytka Natury położyła na jego ramieniu. Sylae, zdejmując ją, jakby była popatrzona intensywnością surowego spojrzenia.

„Sytuacja byłaby o wiele prostsza, gdybyś został mianowany Faworytem, kontynuuje Sylae, ale cokolwiek się stanie, nic nie jest w stanie powstrzymać Isalys przed przejęciem władzy.”

Szczelina. To rzeczywiście ogromna szczelina, którą Aureliusz chciałaby otworzyć w Ziemi, aby pochłoniąć jej słowa. Słowa pocieszenia, słowa dla przegranego, nienawidzi

tego. On nigdy nie jest drugi. Żadnych przemówień dla pokonanych! Nie ma drugiego miejsca. Jest tylko zwycięstwo albo śmierć! To jest prawdą w Appologium, to jest także prawdą w Riftcie, to jest również prawdą w codziennym życiu. Każdy Fort-Gotens o tym wie, nie ma nagród pocieszenia, nie ma drugiej szansy. Sylae uważa inaczej, co dowodzi, że Arkhańczycy są słabi. Wszyscy zasługują na cios od miecza.

Sylae dostaje gwałtownego ataku kaszlu, który zgina ją wpół. Drewniane rogi zasadzone na jej czole drgają gwałtownie, ręka, którą wkłada do ust pokrywa się śluzem – krwią? – którą pospiesznie wyciera o wodery, tak by nikt niczego nie zauważył. Po takim pokazie słabości, Aureliusz rezygnuje z tego, by pokazać gdzie jest jej miejsce. Sylae umiera, dlatego wygłasza te defetystyczne uwagi.

Veliva, która również przybyła, aby spiskować z gladiatorem i Faworytką Natury, ukrywa obrzydzenie, jakie budzi w niej ta scena, pod grubą warstwą jadowitej ironii.

„Moja droga Sylae, to szczęście, że tak cierpisz, by wykrztusić tak wiele głupich słów. Nie chcę ich więcej słyszeć, podobnie jak Aureliusz!”

Po czym odwraca się do niego.

„A ty, mój drogi, nie bądź taki naiwny jak ona. Czy nie rozumiesz, że nigdy nie będziesz Arkhańczykiem? Solis tego nie chciała. Gdyby tak było, wybrałaby ciebie, zostałbyś tu koronowany na Faworyta.

- To nie ona wyznacza Faworyta” – sprzeciwia się Aureliusz niskim głosem. Nie podoba mu się ostry i gryzący ton Velivy.

"Naprawdę ? Co sprawia, że jesteś tego tak pewien? Z tej troskliwej dłoni trzymającej twoją? Nie widziałeś, że to była czysta perfidność? Chciała przeszkodzić ci w ubieganiu się o to, co ci się należy. Ona chroniła swojego ukochanego

Hannibala. A ty, biedny głupcze, absolutnie nic nie widziałeś.”

Aureliusz opuszcza brodę, jakby przygnieciony gniewem. Czy to może być prawda? Solis podałby mu rękę tylko po to, by go powstrzymać? Czy zostałby oszukany, zdradzony? Szybko uświadamia sobie, że nie zadaje sobie właściwego pytania. Musi raczej zadać sobie pytanie, czy istnieje jakikolwiek powód, dla którego Veliva by się myliła.

Nie widzi żadnego.

Rozgląda się za Solis, gotów zażądać odpowiedzi. Dostrzega ją nieco dalej, zgromadzoną przed szczątkami Tumula, wygląda jak ucieleśnienie smutku. Pogrywała sobie z nim ? Czy jej gest był wyrachowany?

A przede wszystkim dlaczego jest to dla niego tak ważne? Chce, by Malkah została obalona, a nie by go kochała!

Faworyci mącą mu w głowie, uświadamia sobie w końcu, choć trochę za późno. Isalys ostrzegła go: władcy arkhomów to nie tylko wykwalifikowani czarnoksężnicy, ale przede wszystkim wybitni intryganci. Tylko głupcy wierzą, że tytuł Faworyta jest zasługą. Dowodem na to jest wybranie Hannibala.

Aureliusz wpatruje się podejrzliwie w Malkah, udając, że jest przekonany o szczerości Faworytów. To, że Veliva i Sylae nadal widzą w nim marionetkę, za której sznurki mogą pociągać, głupim wojownika, to mu odpowiada. Tym łatwiej będzie ich zaskoczyć, gdy nadejdzie odpowiednia chwila.

Nie powinien zbyt długo czekać na odpowiednią okazję. Solis ostrzegła Faworytów, że zamierza udać się do Riftu, aby kontynuować poszukiwania rozpoczęte przez Tumula. Najwięksi czarnoksiężnicy odpowiadali niechętnie na jej

wezwanie, ale z nimi lub bez nich Solis wkrótce przekroczy granicę. Wtedy będzie na jego łasce.

Prawie jest mu jej żal.

Prawie.

Nieświadoma wiszącego nad nią zagrożenia, Solis klęka przed szczątkami Tumula, który ciągle wygląda tak dziwnie żywy. Publiczność z szacunkiem odsuwa się na bok, zostawiając Malkah w spokoju, gdy składa mu ostatni hołd.

W jej głowie tłoczą się wątpliwości, wyrzuty sumienia, okrutna niepewność dokonania właściwego wyboru... dręczą ją myśli, że spotkanie z Astromorgiem nie wystarczyło, by całkowicie uciszyć jej wątpliwości. A jeśli Solis nie miała kontroli nad tym rzekomym losem? Co jeśli, niezależnie od jej działań, Tumul zginąłby?

Jej myśli splatają się i łączą, tworząc szczerą modlitwę, mającą towarzyszyć zmarłemu w życiu pozagrobowym. Solis nie spodziewała się jednak otrzymać odpowiedzi.

Kula Tumula skrzypi, dźwiękiem podobnym do dwóch kamieni ocierających się o siebie, gdy murarz je poprawia. Litera HANNIBAL są połykane przez powierzchnię, podczas gdy inne pojawiają się, dyskretne i efemeryczne, jak epitafium zarezerwowane tylko dla Malkah.

PODAŻAJ ZA BURSZTYNEM W RYFCIE

Zanim Solis może w pełni pojąć przesłanie Tumula, wysłane specjalnie do niej z Bram Śmierci, kula pęka jak jajko i chrząszcz uwalnia się z niego, trzepocząc, wciąż miękką elytrą, by wzbić się w powietrze. Złotobrzuchy owad ląduje na palcu Solis, otaczając go swoimi przezroczystymi skrzydłami, poczym zastyga, jakby skamieniały, tworząc mało prawdopodobny pierścień.

Chrząszcz, jak przepowiadał Astromorgue.

Jej decyzja jest podjęta, solidniejsza niż granit Acongua: wahania Faworytów nie mają już żadnego znaczenia, Calyps

może próbować zrzucić wszystko na swoich uczniów, Sylae może źle się czuć, Veliva może dyskutować do woli, ona wyruszy w drogę. Wyruszy z nimi lub bez nich. Może liczyć na wsparcie Sarashy i bez wątpienia nowego Faworyta Ziemi.

Uda się do Riftu. Znajdzie jak zregenerować cykl prany. Uratuje Arkhantię.

Rozdział 2

Sól w ranach

„Czy mieszkają tutaj ludzie?”

Jax wskazuje brodą na Rift i jego opustoszałą przestrzeń, która zaczyna się trzydzieści łokci poniżej, pionowo do patrolowej ścieżki. Strażnik pilnujący Ściany Kości zwykle oszczędza sobie takich pytań, ale Jax jest nowicjuszem.

„Tak, tak... nie jestem pewien, czy nadal możemy nazywać ich „ludźmi”.”

Lakoniczną odpowiedź przedłuża długie westchnienie. Bez brody i praktycznie łysy, Stary Garth, ma mniej włosów na głowie niż Jax na brwiach. Zgarbiony pod ciężarem lat, zmusza się do wyprostowania, przywierając do włócznie służącej mu za laskę.

„Aby się tam dostać, trzeba najpierw przejść przez Wielką Paszczę.”

Garth odwraca się w stronę imponującej bramy, będącej jedynym otworem w Ścianie Kości, daleko tam, na drugim końcu patrolowej ścieżki. Przejście wspiera szkielet olbrzyma, którego klatka piersiowa służy jako rama konstrukcyjna.

Z tej odległości, monumentalna czaszka zamykająca tunel, wydaje mu się zamazana. Mruży oczy w nadziei, że wymusi tatuaż w kształcie lunety, który nakreśla jego sztuczne brwi. Niestety, magia już nie wystarcza, aby

zrekompensować jego słaby wzrok. Pomyśleć, że trzydzieści lat temu ten tatuaż uczynił go najlepszym obserwatorem w całym pirackim mieście Alvilid!

Garth wzdycha ponownie.

„Czasami kierują się do Riftu całymi rodzinami.

- Kto może być na tyle zdruzgotany, żeby to zrobić?”

- Ludzie, którzy stracili wszystko. Wyrzutki, wygnańcy, biedni, szaleni... Ci, którzy nie mają wyboru.”

Odpowiedź Gartha wywołuje chłód, który może konkurować z mroźnym powietrzem kończącej się nocy.

"Nie mają szczęścia, odpowiada Jax bez wyrazu współczucia.

- Szczęście nie mam z tym nic wspólnego...”

Garth nie jest zaskoczony brakiem empatii młodzieńca. Jax pochodzi z rolniczych równin Namani, jest pragmatykiem, przyziemnym rolnikiem. Wiedząc o tym, że został wypędzony z domu przez złe zbiory i zmuszony do przyjęcia stanowiska na upiornej Żywej Ścianie, raczej nie zostanie poruszony losem innych wygnańców. Zresztą tu nie ma miejsca na sentymentalizm, to luksus, na który nikogo nie stać.

„Jest tu cholernie zimno! Czy zawsze jest tutaj tak?, wznawia Jax, obciągając swój zbyt krótki płaszcz. Masada i Rift to dwie przeklęte pustynie, nieprawdaż?

- Ani jednej chmury.

- Co?”

Garth, który czuje, że jego kolana zaczynają coraz bardziej rdzewieć, tłumi kolejne westchnienie. Najwidoczniej, Jax nie może zadowolić się kilkoma słowami. Szkoda. Stary strażnik musi pogodzić się z tym faktem, jego rolą jest wziąć nowicjusza pod swoje skrzydła.

„Nigdy tu nie ma chmur, więc nie ma niczego, co mogłoby zatrzymać upał w ciągu dnia i nic, co mogłoby go zatrzymać w nocy. Zrozumiałeś, towarzyszu?”

„Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś tak mówił o chmurach. Powiedz, staruszkule, żartujesz sobie ze mnie?”

- Czy wiesz, jak udało mi się przeżyć na Ścianie? Słucham, kiedy ktoś do mnie mówi. Pewien czarnoksiężnik wyjaśnił mi to.

- Aaa... w twoim wieku nadal wierzysz wielkim kapturom?”

Sceptyczny, Jax podnosi wzrok. Jediną widoczną chmurą na różowym niebie o świcie, jest jego oddech zamieniony w dymny pióropusz. Zmarznięty, ponownie naciąga swoje futro, o wiele za małe jak na jego krzepką, namańską budowę.

„Powiedziałem facetowi z zaopatrzenia, że ten płaszcz jest za mały.

- Witamy w armii Arkhantii – odpowiada pozbawiony złudzeń Garth.

- Twój jest bez skazy - zauważa podstępnie Jax.

- Zabrałem go z ciała ostatniego żołnierza, który ślinił się zamiast wykonywać swoją pracę.”

Garth wznawia swój patrol. Zręczliwy Jax, mamrocząc pod nosem, podąża za nim. Przez kilka minut słyszą tylko ich włócznie uderzające o ziemię. We wnętrzościach szanca skrzypienie rozchodzi się złowrogimi echami, niczym zwierzęcy pomruk. Jeśli dodamy do tego poranną mgłę, która przywołuje oddech zwierzęcia, zaczynamy wierzyć, że ta *Ściana naprawdę żyje*.

Nagle ciernie zaczynają się poruszać. Zaciskają szkielety w sękatych mięśniach, torują sobie drogę jak podstępne gady między klatkami piersiowymi, a orbitami czaszek, drapią kości z nieznośnym piskiem. Budowla skrzypi, dymi, przeciąga się

z bólu... Przeróżający potwór, który budzi się w złym humorze.

Droga wałowa zaczyna falować z trzaskiem kości, jak kręgosłup wstrząsany niekończącym się dreszczem. Garth natychmiast wbija drzewce włócznie między kości i mocno się jej trzyma. Zaskoczony Jax, gwałtownie traci równowagę i upada na pośladkach, jego krzaczaste brwi podnoszą się ze zdziwieniem.

„Cholera, co się dzieje? Wszystko się wali!

- Nie, Ściana dostosowuje się do zagrożenia.

- Jakiego zagrożenia?”

Garth rozgląda się mrużąc z niepokojem oczy, żeby zobaczyć co się dzieje. W ciągu dwudziestu lat widział kilka razy, jak szaniec się zmieniał, ale nigdy nie poruszał się z takim zapalem; niebezpieczeństwo jest poważne i nieuchronne. Myśl, że Mantris mogłaby przypuścić kolejny atak, sprawia, że jego wnętrzności stają się płynne, a jego spocone dłonie ślizgają się na drzewcu.

Skrupulatnie skanuje pustynię Riftu, nie widząc nic poza wiatrem i kurzem, ubóstwo. Przekłety, słabnący wzrok, który ukrywa przed nim wroga, uniemożliwia mu właściwą reakcję! Stopniowo Ściana uspokaja się, jej dreszcze zanikają. Fałszywy alarm?

„Skończyło się? - pyta Jax zmartwionym głosem.

Ledwo ma czas, by się wyprostować, gdy Ściana rozpada się na kawałki. Ogromne piszczele, połamane pazury, łopatki szersze niż łopaty i poobijane czaszki wzbijają się w powietrze. Kości zamarzają w pełnym biegu, trzymane przez rozciągnięte do granic możliwości ciernie. Szaniec wygląda jak akrobata wywijający ramionami.

Jax ponownie zostaje powalony na ziemię, podczas gdy włócznie Gartha prawie wyrywa mu się z rąk. Na szczęście odcinek szanica, na którym się znajdują, nie rozpada się aż

tak, żeby spadli z fortyfikacji. Z drugiej strony, wokół Wielkiej Paszczy, Ściana potroiła swoją wielkość.

Ze strachem w żołądku Garth ponownie wyteża wzrok, gdy nagle, jego tatuaże odzyskują wigor młodości. Z oszałamiającą percepcją, która przyprawia go o zawroty głowy, widzi ogromną czaszkę zamienioną w portal wznoszący się na piętnaście sążni. Pod nią kości łączą się jak kończyny marionetki z kości słoniowej, splecione ze sobą grubymi naręczami cierni, tworząc gigantyczny szkielet.

Wśród straży krąży stara legenda, że spiętrzone stosy zmarłych, splecione na tym otwartym cmentarzu, jakim jest Ściana, pewnego dnia powrócą do życia. Nie precyzuje ona, czy będzie to odtworzenie wojny, czy zemsta na tych, którzy ich zabili. Garth nigdy w to nie wierzył...i strasznie się mylił.

Nie wiadomo, kto krzyczy głośniej, Jax czy on. W każdym razie nikt ich nie słyszy w tym kredowym trzasku powstałego z grobu giganta, którego stawy okropnie trzeszczą. Hałas jest tak potężny, że zagłuszyłby odgłos wraku statku.

„...AAA!”

Raptownie zapada cisza – i okazuje się, że to pisk Jax jest o wyższym tonie. Tam, po drugiej stronie patrolowej ścieżki, patchworkowy szkielet Wielkiej Paszczy unosi się do pozycji półstojącej, uwięziony w labiryncie cierni; gigant pozostał więźniem Ściany, jak lisz zaplątany we własny całun. Między jej nogami, grubymi na sto łydek, przechodzi konwój, prawie nonszalancko, nie zwracając najmniejszej uwagi na ogromna kreaturę, która nad nim góruje.

Tatuaże przedstawiające lunetę, ujawniają Garthowi grupę dwudziestu pikinierów, których czubki włóczyń odbijają światło wschodzącego słońca. Eskortują konwój z lekkim bagażem, ciągnięty przez spokojne bydło –

z platformami wyłożonym beczkami, wozy wyglądają jak tratwy pokonujące morze pyłu. A po środku tej załogi, kilkanaście wspaniałych koni wierzchowych, transportują...

Nie może uwierzyć własnym oczom.

Mimo to, rozpoznaje Velivę. Rozpoznaje także Sylaeę, Calypsa, Hannibala i Sarashę – ich obecność tłumaczy potężne odrodzenie jego tatuaży, Faworyci ożywiający, wokół nich, praną, nawet tutaj, na tych pustkowiach. Brakuje tylko Shado – chociaż... może ukrywa się gdzieś w ciemności, w cieniu cieni.

Tuż za nimi idzie Malkah, otoczona przez swoją osobistą straż. Tak więc plotki są prawdziwe: Malkah postanowiła odwiedzić Rift, aby upewnić się, że przysługa dyplomatyczna, której zażądała po zwycięstwie w Appologium, została uhonorowana. Kiedy niektórzy Faworyci, nie mieli ochoty na to by jej towarzyszyć, nie poddała się, ale nalegała, aby przybyli w towarzystwie swoich uczniów. Nikt nie odważył się jej sprzeciwić. Dowód na to: Calyps przybył z Keyą, prorokinią-wojowniczką, a Veliva z Siphonem, tajemniczym wielbiciele, czarnoksiężnikiem - suflerem.

Zobaczyć Malkah i Faworytów tutaj, jest tak samo dziwne, jak przebudzenie Wielkiej Paszczy. Jednak to właśnie ich Ściana stara się powstrzymać, aby uchronić ich przed niebezpieczeństwami Riftu. Przybudziła się na próżno, nie można powstrzymać najwyższego czarnoksiężnika wbrew jego woli. Jeszcze mniej, gdy są zjednoczeni jak pięć palców dłoni.

Szaniec podejmuje ostatnią próbę i tka sieć cierni, roślinną kolczatkę wyłożoną cierniami, która wibruje jak pajęcza sieć, która chce złapać swoją ofiarę.

Nie spodziewając się, że drewniane rogi Sylaei zamieniają się w koronę, przypominając wszystkim, że jest władczynią

sił Natury. Ciernie rozchylają się jak baldachim, niechętnie, kilka nitek próbuje złapać Malkah. Ale siła Faworytki i niewzruszona postawa Solis w obliczu zagrożenia sprawiają, że w końcu się poddają.

Ostatecznie pokonany, szkielet olbrzyma zmuszony jest do opuszczania kościstej czaszki, by obserwować z pustych oczodołów konwój przejeżdżający między jego nogami. Wspaniali, bohaterscy, Faworycy i ich uczniowie wchodzą na wrzosowisko, obdarzeni odwagą.

A może po prostu są szaleni, nieświadomi, albo już są ofiarami mirażu Riftu?

„Kim jest przystojny chłopak z długimi włosami? Mógłbym przysiąc, że go znam.”

Jax, który już wstał i zapomniał o swoim strachu, zirytowany bawi się brodą, po czym nagle się zatrzymuje z błyskiem satysfakcji w oczach.

„Do diabła! Ależ tak... to Aureliusz!”

Czempion Appologium zanurza się w głąb Riftu z Malkah i Faworytami? Nieprawdopodobne. Garth również go identyfikuje i to bez najmniejszej wątpliwości.

„Ten facet, dodaje entuzjastyczny Jax, pokaże Fort-Gotensom kto tu rządzi.”

Garth wpatruje się w tą dziwną karawanę, powoli pochłanianą przez mgłę swojej krótkowzroczności, która ogarnia go, w mairę jak Faworycy oddalają się. Uderza go jednak ostatni szczegół. Lata ochrony Ściany Kości nauczyły go rozpoznawać Fort-Gotensa, gdy ten pojawia się na jego drodze, już po samym wyglądzie: ich drapieżny chód, postawa ukształtowana przez niszczycielskie anomalie Riftu, to charakterystyczne napięcie, która pozwala być przygotowanym nawet, a zwłaszcza w obliczu niespodzianki... tak wiele wskazówek, które zdradzają ich

pochođenje. A kiedy przygląda się Aureliuszowi, zakreśla wszystkie pola.

Fort-Gotens? Mistrz Appologium, który zaoferował zwycięski punkt Arkhantii, byłby Fort-Gotensem?

Stary pogranicznik kręci głową rozczarowany. Nie wystarczy, że widzi coraz gorzej, na dodatek staje się zniedołężniały.

"Chodź dzieciaku. Czarnoksiężnicy wkrótce pojawią się tutaj ponownie. Lepiej, żeby nie myśleli, że się opiepszamy.

"Czekam na nich, na tych twoich czarnoksiężników!" Niech mnie...!"

Resztę połyka zgiełk wycofującej się Ściany Kości i Wielkiej Paszczy, która trzaska sucho jak zamknięty zwodzony most. Szaniec huczy i skrzypi, ciernie skrzypią i ocierają się, świadkowie nadprzyrodzonej siły, która zapada w głęboki sen. Siła, którą trzeba uszanować.

„Czekaj, Garth!” Jax zaczyna biec za swoim starszym kolegą.
"Nie zostawiaj mnie samego, pieprzony dupku!"

+++

Krajobrazy Riftu można by łatwo podsumować jako wioski duchów, w których żyją rzadcy, jeszcze bardziej upiorni mieszkańcy i poskręcane megality, które wyznaczają granic między poszczególnymi klanami. W jego florze jest zbyt wiele skamieniałych drzew z kolczastymi gałęziami, które nie są mile widziane przez nikogo oprócz oczu wisielców, a w jego faunie zbyt wielu wygłodniałych padlinożerców przekraczających Ścianę Kości w poszukiwaniu zwłok nietkniętych przez mutacje.

Tak, ta ziemia niczyja jest niczym inwalida z ropiejącymi ranami, gnijącymi zwłokami, które nigdy nie przestają umierać.

Ale w nocy Rift odzyskuje trochę skromności. Ukrywa swoje znamiona w ciemnym płaszczu lodowatego zmierzchu, a gdy warunki są sprzyjające, przyozdabia się zorzami polarnymi, które są niczym świecące bandaże nałożonymi na jego straszne rany.

Aureliusz zatrzymuje się na chwilę, aby zawiesić dzwonki na palach, napinających płótna namiotów, chce cieszyć się tym fascynującym spektaklem, który otula rozłożony na noc obóz. To balsam dla jego nękanych oczu, po całym dniu patrzenia na te wszystkie niezdrowe dziwactwa Riftu. To wszystko powinno być mu znajome, a mimo to czuje, jakby na każdym kroku odkrywał to na nowo.

Wstyd mu się przyznać, ale wystarczyło sto dni spędzonych w luksusowych pałacach Arkhantii, by poczuć się jak obcy w swojej ojczyźnie. Dokładniej rzecz biorąc, Rift wydaje mu się nie tyle obcy co zdewastowany, opustoszałe wrzosowisko nie nadające się do życia. Miejsce, z którego każdy rozsądny człowiek ucieknie tak szybko, jak tylko mogą go unieść jego nogi. Musiał czekać do zmroku, żeby przypomnieć sobie, że jest tu u siebie.

Przez cały dzień, a nawet teraz, gdy karawana zamieniła swoje wozy na nieco pretensjonalne płócienne pawilony, Faworyci okazywali obojętność na tę przytłaczającą atmosferę – nie mieli wyboru, ponieważ nic nie powinno przypominać o tym, jak bardzo ich magia jest tutaj osłabiona. Jeśli chodzi o Malkah, udawała całkowitą pewność siebie, aby zapomnieć o wielu politycznych i osobistych zagrożeniach, jakie podejmuje podczas tej podróży.

Z drugiej strony, widać wyraźnie, że sztab towarzyszący konwojowi zdaje sobie sprawę z tego, że czai się gdzieś niebezpieczeństwo. Aureliusz uświadamia sobie to dzięki licznyim małym znakom. Służący zapalają nadmierną liczbę pochodni, aby oświetlić obóz, chcąc przegonić najdrobniejszy cień. Kucharka wyrzuca całego prosiaka, którego uważa za zepsutego. Mięso jest natychmiast złapane przez pustynnego feneka, wyłaniającego się z piasku, uciekającego pod okrzykami kucharza. Pasterz martwi się podejrzanym zaczerwienieniem, które w obawie przed infekcją pokrywa improwizowanym okładem. Drżymy przy najmniejszym hałasie i nigdy nie ruszamy się nigdzie sami.

Wszyscy żołnierze są w pogotowiu. Patrole są nadmiernie uzbrojone, miecze gotowe do użycia, strażnicy przy ogniskach nienormalnie milczą. Kilku pikinierów, z włóczniami trzymanymi w dłoni, pilnuje obozowiska Fort-Gotensów, którzy rozbili na noc obóz w ich pobliżu.

Aureliusz również obserwuje ten drugi obóz. Zauważył, że pewien mężczyzna, zawsze ten sam, gapi się na niego. Jest on łatwo rozpoznawalny po połowie twarzy skolonizowanej przez niebieski mech, zmutowany organizm z włókieńkami poruszanyimi wieczorną bryzą. Aureliusz zaczyna ponownie zawieszać swoje dzwoneczki, nie spuszczać wzroku z podejrzanego.

„Po co wieszć dzwonki?”

Aureliusz spogląda przez ramię, z przyzwyczajenia zawiązuje sznurki dzwonków, nie musząc na nie patrzeć. Solis wyłoniła się z głównego namiotu, aby do niego dołączyć, porzucając Faworytów, którzy naradzają się wewnątrz.

„Szpiegujesz nas?” – żartuje otwarcie Solis.

Gdyby tylko zdawała sobie sprawę! Aureliusz stara się skoncentrować na swoim zadaniu, aby nie zdradzić własnej dwulicowości – ta przeklęta Solis ma niezwykłą intuicję.

„Podstawowy system alarmowy”, wyjaśnia, kończąc węzeł.

Pstryknięciem palca upewnia się, że dzwonek może swobodnie obracać się wokół umocowania – i tak jest, dzwonek dźwięczy radośnie.

„To tylko środek ostrożności. Rift jest równie niebezpieczna w dzień, jak i w nocy.”

Solis podąża za nim do następnego namiotowego masztu. Pomimo przytłaczającego upału, zachowała świeżą cerę, a jej suknia jest zawsze nienaganna, można by uwierzyć, że właśnie zeszła ze statku powietrznego, a przecież jechała konno cały dzień. To czysta magia, której nawet Rift nie może zmienić. Wspomina, że Isalys ma taką samą zdolność do pozostawiania hermetyczną wobec agresji pustyni.

„Boisz się naszych sąsiadów?”

Solis dyskretnie przygląda się nomadom, którzy rozbili biwak niedaleko nich. Nic więcej niż zwykłe maty rzucane na łukowate ramy, ich schronienia są prostsze, niż pawilony Arkhanii. Lepiej też przystosowany do zmieniających się w Rifcie wiatrów. A zwłaszcza, znacznie łatwiejsze do zdemontowania w nagłych wypadkach.

Aureliusz ponownie obserwuje Fort-Gotensów. Mężczyzna ze skażonym policzkiem uśmiecha się do niego złośliwie, jak za każdym razem, gdy ich oczy się spotykają.

„To są Sigile, spekulanci chaosu, podkreśla gladiator, nie odwracając wzroku.

- Niezbyt pochlebny opis.

- Rzeczywiście, ale to przede wszystkim kupcy. Lubią przesiadywać blisko granicy, tam robi się najlepsze interesy.

- Więc nie boisz się ich ataku?”

Aureliusz uśmiecha się do młodej królowej.

"Nie ma żadnego ryzyka. Nie przy takiej ilości żołnierzy.”

Następnie zwraca się w kierunku pikinierów, zajmujących się końmi na rozkaz Atlasa, ich kapitana. Wysoki, wyprostowany, z klatką piersiową pokrytą połyskującą kolczugą, Atlas nadaje się do Riftu tak samo, jak topór do wbijania gwoźdźcia.

„Powinniśmy skorzystać z okazji, aby sprzedać im wszystkie nasze wierzchowce, w tym bydło i kupić ich tachozaury.

- Czy mówisz o tych dziwnych zwierzętach?”

Solis przechyliła głowę w stronę zwierząt, których gruba skóra wygląda jak zbroja rycerza. Są imponujące, z ich rogami i kościstymi kryzami na ich szyjach. Mimo to, pasą się spokojnie, uwalniając skąpe glony rozbijając grudki piasku pod ich kopytami.

„Zostały stworzone, by przetrwać w Riftcie” — wyjaśnia Aureliusz.

- Co by się stało z naszymi wierzchowcami?

- Ich mięso będzie znakomitym handlem wymiennym. Sprytniejsi wrócą na Ścianę, by odsprzedać konie, zanim zaczną chorować.”

Solis zaciska usta, robi jej się przykro na tę myśl.

„Porozmawiam z kapitanem”, obiecuje bez przekonania.

Aureliusz tylko wzrusza ramionami. Arkańczycy na niczym się nie znają, zachowują się tak, jakby dalej byli na terytorium ich królestwa. Rift połknie ich żywcem. Nie będzie musiał nic robić. To jest prawie zbyt proste.

„Te dzwonki, do czego, tak naprawdę służą?

- By ostrzec, jeżeli siła wiatru się zwiększy, kłamię gladiator, nie mając ochoty na dodatkowe wyjaśnienia dotyczące niebezpieczeństw, na które są narażeni.

- Tak bardzo wieje?

- Widziałem burzę, która wypatroszyła podróżnika aż do skóry”.

Uśmiech Solis zanika, przełyka ślinę. Najdziwniejsze jest to zaufanie, którym go darzy, ponieważ jest on ostatnią osobą, która jest godna takiego zaufania. Czy okłamuje ją, czy okłamuje samego siebie. Dowodem na to jest to, że jej postrzeganie wibracji jest bardzo zaburzone przez Rift.

Chciałby przekonać samego siebie, że ona jest naiwna, głupia, niewinna, niemądra, bez tych swoich zaklęć. Mógłby nią wtedy pogardzać, ją zwodzić, drwić z niej, ale w głębi, on sam nie wie, kim ona naprawdę jest. Czy naprawdę, jest tą naiwną kobietą?

Jedna rzecz go drażni. Czuje, że jakaś więź się utworzyła między nimi, podwójny węzeł. Królowa się do niego przywiązała, wszystko zrobił, by tak się stało, potrzebował tego, by się do niej zbliżyć. Ale dlaczego ufa mu z taką niepokojącą ufnością? Z taką absurdalną ślepotą?

Nie może zaprzeczyć, że jest dotknięty tym zaufaniem, odczuciem niezawodności. Podoba mu się to, nawet za bardzo. Zdezorientowany, zaczyna drapać swoje skaryfikacje, już od dawna zaleczone.

„Solis , chciałbym cię ostrzec....

- Tak?

- Próba przejścia przez Słone Jezioro, to błąd.

- A dlaczego?

- Silne zaklęcie zostało tam rzucone podczas Wojny Bohaterów.

- Wiem, przez Udeepa, dawnego Faworyta Wody. To jest właśnie powód, który popycha Kalipsa, by tam pojechać.

Dlaczego nie powiedziałeś mu o twojej niechęci, kiedy nie było jeszcze za późno na zmianę kursu?

- A czy by mnie posłuchał?

- On może nie. Ale ja, tak.

- Wątpię.”

Solis wzdryga się, jakby była zraniona. Aureliusz nalega, by otworzyć jej oczy.

„Faworyci wiedzą, że jestem Fort-Gotensem, nigdy mi nie będą ufać. Są tak podejrzliwi wobec mnie, że nikomu nie powiedzieli, kim jestem naprawdę!”

Po gromkim ogłoszeniu przez Arkhontów w Plenition, można by się spodziewać, że całe królestwo dowie się, że jego czempion pochodzi z Riftu. W końcu, elita Arkhantii doszła do porozumienia, decydując, że sekret nie powinien być ujawniany – nawet kapitan Atlas nie jest świadomy jego prawdziwej tożsamości.

„Czy chciałbyś, żeby wszyscy wiedzieli?”

Pytanie Solisa zaskakuje go.

„W moich oczach jesteś Arkhańczykiem, tak jak i wszyscy Fort-Gotensi. A poza tym nasze miejsce urodzenia nie jest tym, co nas definiuje w tym momencie. A teraz, jeśli ma to dla ciebie znaczenie, aby wszyscy wiedzieli...”

- Ale... Faworyci?

„Pogodzą się z tym co powiem, tak jak musieli się zgodzić na tę podróż. Nie docenili mojej determinacji, dodaje Solis z uśmiechem, czy popełnisz ten sam błąd?”

Aureliusz zaniemówił. Jak ona to robi, że to wszystko wydaje się takie proste?

„Nagle wyglądasz na zamyślonego” – zauważa trochę kpiąco Solis. Masz mnóstwo czasu, żeby się nad tym zastanowić, nie musisz nic ogłaszać, nic przed powrotem do Neftydy. A może podarujemy Sigilom beczkę wody, jako dobrzy sąsiedzi?”

Czy ta propozycja jest zbiegiem okoliczności, gestem życzliwości inspirowanym jałowością Riftu, czy też Solis jest świadoma zwyczaju wymiany wody między klanami Fort-Gotensów? Jeśli zaoferuje całą beczkę, jej książęcy dar zapewni jej wspaniałą reputację, która rozniesie się po całej pustyni.

- Czy zechciałbyś pójść ze mną? Chciałabym skorzystać z okazji, aby nauczyć się kilku słów miejscowego żargonu.”

Z szeroko otwartymi oczami, zszokowany bezczelnością królowej, Aureliusz patrzy, jak odchodzi w kierunku kapitana Atlasa, który natychmiast każe dwóm swoim ludziom odczepić beczkę. Czy zainteresowanie Solis Fort-Gotensami jest prawdziwe? Czy jej plan zjednoczenia Riftu z Arkhantią to tylko pozory? Co za wysublimowana ambicja, o wiele bardziej satysfakcjonująca i szlachetna niż zemsta, do której dążą Isalys i on.

Trzeba być szalonym, żeby mieć na to nadzieję, albo cynicznym, żeby w to nie wierzyć.

Aureliusz jest zaniepokojona. Gorzej: zagubiony.

Kilka sążni dalej mężczyzna z niebieskim policzkiem wciąż go obserwuje...

Rozdział 2.2

Ruby znika w mgnieniu oka, połknięta przez chrupiącą powierzchnię Słonego Jeziora. Strażniczka szła obok wozu, niedaleko Solis, gdy nagle zniknęła, jakby weszła w niewidzialną dziurę wody, która ją pochłonęła.

Żadnego śladu po niej. Nie ma najmniejszego wiru na twardej powierzchni tego, co pozostało ze starego jeziora, które teraz wyparowało.

Już od jakiegoś czasu warstwa soli pękała pod kopytami rumaków, które grzęzły pod ich ciężarem, a bruzdy wykreślone przez poruszające się wozy, zamieniały się w głębokie koleiny. Ale nic nie zapowiadało takiej tragedii.

Veliva jako pierwsza zareagowała na zniknięcie Ruby. Instynktownie podnosi się z ziemi, naśladowana przez Siphonna, jej ucznia. Ich lot jest żmudny, lewo-prawo lewo, można by pomyśleć, że oboje mają na sobie ciężką zbroję Kapitana Atlasa.

Śmiech pikinierów ustaje. Tych, których przed chwilą bawiły sugestywne rysunki, które Veliva rysowała z kryształków soli wzniesionych podczas przejazdu karawany. Ich szyderstwo ustępuje miejsca krzykom, podczas gdy dwóch innych żołnierzy znika, jeden po drugim, pograżonych w ziemi.

W konwoju szerzy się panika, wywołując paradoksalnie słabe, bolesne, sztywne reakcje. Nikt nie wie, czym to wyjaśnić. W końcu, wszyscy zdają sobie sprawę, że tutaj siła grawitacji nie podlega prawom natury. Słone Jezioro to strefa bezprawia, w której grawitacja może działać w dowolnym

kierunku. W obliczu zniewagi dla najbardziej niezawodnej zasady świata, nikt nie wie, jak zareagować.

Nikt oprócz Aureliusza.

Chwyta Solis, która siedzi na wozie obok którego jedzie, i przyciąga ją do siebie, przerzucając ją przez swoje siodło. Potem łapie wodze, sprawiając, że jego wierzchowiec staje dęba, by uwolnić kopyta z ziemi. Rumak nie galopuje, ale zrywa się, jakby przedzierał się przez strumyk pełen roztopów.

Chwilę później pasterz idzie w jego ślady. Zanim woły zareagują na jego bat, słyszy za sobą dwa głośnie trzaski. Bojąc się, że złamie się oś, odwraca się i zauważa dwa sierpy wbite w tylną krawędź pojazdu. Służący stłoczeni w środku dyszą w szoku.

To Ruby, która mozolnie wykopuje się z ziemi, ciągnąc za łańcuchy sierpów, aby uwolnić swoje zakopane aż do klatki piersiowej ciało. Wysilek przejawia się w jej napiętych rysach i drżących kończynach oraz w uderzeniach umęczonych ogniw łańcuchów. Strażniczka szarpie tak mocno, że wydaje się, że uniemożliwia to drużynie posuwanie się do przodu.

„Idźcie jej pomóc! Atlas rozkazuje swoim żołnierzom.

Kapitan daje przykład, zbliżając się do niej na tyle blisko, by móc wyciągnąć swoją włócznię, by chwycić ją jak linę ratunkową. Ruby nie może jednak puścić swoich łańcuchów, gdyż mobilizuje całą energię, by wyrwać się ze słonej szczęki wyschniętego jeziora.

"Chwy..."

Atlas nie jest w stanie dokończyć zdania, gdyż dźwięki jego głosu również wydają się być pochłonięte przez ciężką grawitację. Nie tylko jego głos. Jego kolczuga zaczyna się trząść w huku terkotek, rysując geometryczne kształty w zależności od częstotliwości z jaką potrzęsają się zębate koła. Potem kurczą się, ściskając boki i łamią się jak pasma słomy.

Z odgłosem orzechów miażdżonych pod naciskiem dziadka do orzechów, Atlas wymiotuje strumieniem krwi, gdy stalowe siatki zatapiają się w jego płucach.

Kilku pikinierów, którzy podążali za swoim oficerem, pośpiesznie wycofują się w panice. Ruby zaczyna krzyczeć, zmiażdżona również niewidzialnym ciężarem. Jej ramiona odpuszczają gwałtownie, jakby były pozbawione siły. Ruch jest tak gwałtowny, że jej lewy łokieć skręca się w niewłaściwą stronę, a staw ustępuje łamiąc się jak gałązka.

Sylaea rzuca w jej stronę pnącza, chude jak młode pędy i bardziej poskręcane niż winorośla. Owijają się one wokół ramion Ruby, wspinają się po łańcuchach, aby wzmocnić swoje oparcie na platformie wozu. Ale pękają, jedno po drugim, jak korzenie drzewa nieubłagane pogrążonego w potężnym strumieniu powodzi.

"Tak mi przykro..." Faworytka Natury szlocha, zszokowana, widząc, jak jej magia słabnie, rozczłonkowana przez Rift.

Jest coraz bardziej zmęczona, próbuje walczyć, ale jej ciało poddaje się, pokonane wysiłkiem i chorobą. Pnącza pękają jak rozpałka, zrywając łańcuchy sierpów z dźwiękiem przypominającym dzwoneczki.

Ruby zostaje połknięta przez ziemię, zanim zdąży krzyknąć.

Sylaea też prawie zostaje połknięta, ale Veliva, zawieszona w powietrzu, podnosi ją. Faworytka Natury rozpoczyna chaotyczny lot na wysokości zaledwie kilku łokci.

Dramat rozegrał się w kilku sekundach, zaledwie w trzydziestu uderzeniach serca. Zdumienie i intensywność dramatu sprawiły, że nikt nie potrafił zareagować. Nawet Aureliuszowi udało się odsunąć jego skaczącego rumaka tylko o kilka sążni.

Pilna potrzeba jak najszybszego opuszczenia Słonego Jeziora pojawia się w oczach wszystkich. Południowy wschód to jedyny kierunek, który nie jest nieskazitelnie biały, oślepiający. Wszyscy pędzą na tę cudowną wyspę pośrodku morza soli. Dopiero w momencie, gdy trzech żołnierzy zostaje wessanych z ich włóczyniami, wszyscy rozumieją, że....: linia prosta nie jest najbezpieczniejszą ścieżką.

Od momentu ich przybycia, Calyps ostrożnie bada wszystkie miejsca, w poszukiwaniu magicznego echa zaklęcia, rzuconego przez swojego poprzednika. Tutaj, znajdowało się kiedyś majestatyczne jezioro, miejsce wypoczynku arystokracji Arkhantii. Udeep osuszył je jednym rytuałem, zmieniając jego wody w falę pływową, która zatopila elektrownie, które dwadzieścia lat temu zasilaly siły szturmowe Mantrianów.

Faworyt Wody musi teraz zmienić swój poziom percepcji, jeśli chce wydostać się z tej pułapki.

„Pożycz mi swój wzrok”, szepcze do ucha Nophii, jego wodnego węża.

Znajomy owija się wokół jego nadgarstka i z pyskliwym sykiem wypuszcza kły, które zatapia głęboko w ciele między kciukiem a palcem wskazującym. Jad Nophii rozprzestrzenia się niemal natychmiast, a Calyps przyspiesza krążenie swojej krwi. Wzrok Faworyta rozmywa się, ukazując niewidzialne prądy w suchym i przegrzanym powietrzu, które tak bardzo sprzyja mirażom.

Może teraz śledzić ruchy powietrzne, w których przezroczyste ryby pływają pięć cali nad ziemią. Te dziwne stworzenia są w stanie przewidzieć nienamagalne zjawisko pojawiające się na powierzchni jeziora. Gdy ono się zbliża, ławica macha ostrymi płetwami z podniecenia, po czym wraca do swojego sennego meandrowania.

„Keya, ryby!” – rzuca w kierunku swojego ucznia.

Dwudziestoletnia Keya ma duże, czarne oczy, obrysowane tatuażami, które rozlewają się po jej policzkach jak rozmazany makijaż. Paskudna blizna przebija jej lewy policzek, scalona piercingiem, którego łańcuszek biegnie do jednego z wielu srebrnych kolczyków w jej uszach.

Bez słowa, ustawia oddział za Calypsem, stając się rybakipilotem innej ławicy, tym razem ludzkiej. Żołnierze i służba porzucają wozy, które nie są zbyt wystarczająco zwrotne, by uniknąć przepływu niebezpieczeństwa. Oślepieni wiszącym nad nimi zagrożeniem, ustawiają się tuż za Faworytem. Rozbitkowie, którzy porzucają swoją tratwę, by popłynąć w kierunku widocznej, ale odległej plaży.

Kiedy Calyps waha się, którą ścieżką podążać, Ronan wystrzeliwuje salwę strzał, których trajektoria ujawnia nienaturalne wahania otaczającej grawitacji. Linie czasami wznoszą się ku niebu, zanim nakreślą pętlę, czasami gwałtownie odchodzą na bok. Rój o ostrych końcach potwierdza wybór Faworyta, który kontynuuje swoją zygzakowatą trajektorię.

Hannibal nie idzie za nim.

Faworyt Ziemi skupiony jest na wierzchowcu, który oddala od niego z Solis i Aureliuszem na grzbiecie, w kierunku innym niż ten, który został wybrany przez Calypsa.

Jego kamienne oko wpada w panikę pod wpływem nieregularnych skalnych wibracji, jakby atakowane przez błyski stroboskopowego światła. Zamyka powieki, ale nie da się uciec od nienormalnych fluktuacji grawitacji dręczących jego magiczną percepcję. Nudności ściskają mu wnętrzności, wysysając jego siły. Zatacza się, klęka na ziemi, z dłonią położoną płasko na słonej skorupie – jest gorąca, jakby ziemia nagle zaczęła gorączkować.

Dzięki swojemu zmysłowi dotyku, może z daleka śledzić ciężki galop konia Aureliusza, słoną powierzchnię trzeszczącą pod jego kopytami, narastającą panikę wierzchowca, któremu coraz trudniej wydostać się z ziemi.

Nigdy Hannibal nie czuł tak niepewnych wibracji ziemi. Wahania nie dotyczą kapryśnego dziecka czy szaleńca, a raczej rozpadającego się świata, porzuconego przez siły, które go wspierały od samego początku.

Manipulowanie tymi wibracjami to wejście do śmiertelnego labiryntu, którego ściany nieustannie się poruszają, usianego niewidzialnymi pułapkami i prowadzącego do niepewnego wyjścia. Jednak Hannibal nie ma wyboru, jeśli chce dać Solis jakąkolwiek szansę na przeżycie.

Zaczyna intonować. Zachował swój oddech od czasu wejścia do Riftu i teraz, bez żadnych ograniczeń, może czerpać ze swoich magicznych rezerw. Skruszony abstynenta, który zmusza swoje pragnienie do pijaństwa.

Jego zaklęcie omija obszary bezprawia i zygzakuje w kierunku rumaka. Tam, Faworyt Ziemi ujędrnia miękką, luźną glebę, odciążając dwójkę jeźdźców. Wysiłek ten wymaga ekstremalnej koncentracji: dawkowanie wysiłku bez zerwania więzi między czarnoksiężnikiem a jego oddalającym się celem, powtarzając zaklęcie i upodabniając je do drogi, która dostosowuje się w natychmiast do niegościnnego krajobrazu pośród aktywności sejsmicznej. Wysiłek jest tak intensywny, że Faworyt zaczyna krwawić z nosa... skrzep za skrzepem.

Niestety Hannibal nie przewidział, jak kapryśna jest tutaj grawitacja. Trudno sobie wyobrazić najbardziej podstawową moc zmiany siły przyciągania. A kiedy nam się to udaje, zaczynamy wierzyć, że zanika, a nawet zmienia kierunek.

Nie możliwe było do przewidzenia, że może nagle wystrzelić w poziomie ruchem ścinającym.

Koń i jego jeźdźcy zostają gwałtownie odrzuceni na bok. W tym samym momencie, Hannibal traci wątek, zakłopotany tą nieprawdopodobną zmianą. Przerażony otwiera oczy i odkrywa coś mało prawdopodobnego.

Instynktowną magią, Aureliusz zbiera zawieszone kryształki soli, łączy je w sześć ramion, grubych jak pnie, wyrastających z jego ramion i migoczących w blasku Galany. Jego moc jest tak obciążona, że jego skaryfikacje zaczynają krwawić.

Hannibal nie wiedział, że taumaturg może manipulować tak kruchym minerałem. Nigdy nie widział, żeby robił to jakikolwiek czarnoksiężnik, nie mówiąc już o takiej spontaniczności. Nie jest pewien, czy sam byłby w stanie to osiągnąć.

Dwie kończyny przechodzą pod klatkę piersiową zwierzęcia, a pozostałe cztery unoszą go nad ziemią. Kiedy niemożliwe zostało już dokonane, Aureliuszowi udaje się przesunąć swój ładunek, ostrożnym kłusem naśladowanym przez jego cztery magiczne nogi.

Gdy Hannibal myśli, że zostali już uratowani, wierzchowiec zostaje nagle przecięty na pół, poziomo od przodu do tyłu. Nogi rzucone są na lewo, a zad i kłęb na prawo. Nawet jedwabisty ogon jest rozdwojony, jak włosy ścięte przez fryzjera.

Na szczęście – albo dlatego, że przewidział nagłą zmianę grawitacji – Aureliusz uniosł nogi na wysokość klatki piersiowej, co uratowało go przed okrutną amputacją. Jego sztuczne kończyny zostały odcięte, roztrzaskane na kupe proszku.

Czterdzieści sążni dalej, Hannibal ponownie zamyka oczy, by zmobilizować resztki swoich sił. Tworzy filar ziemi,

który wznosi się nad obszarem oczyszczonym z soli przez Aureliusza. Oś osadza się w trzewiach klatki piersiowej zwierzęcia, grzebie w krwi i jelitach i zaczepia się o żebra; tam przekręca się i popycha zwłoki zwierzęcia do przodu. Pojawia się kolejny kamienny filar, zsynchronizowany z pierwszym, który z kolei popycha półbestię i jej jeźdźców do przodu. Wbijając pięści w grzywę, Solis i Aureliusz przyłączają się do ruchu.

Hannibal przyspiesza rytm, mobilizując coraz więcej filarów. Ich sukcesja nakreśla grzbiet morskiego węża, który drzemie pod dawnym dnem wyparowanego jeziora, grzbiet zakrwawiony przez przejście wypatroszonego rumaka.

Skupiony na skomplikowanym manewrze, Hannibal nie przewiduje nowej fluktuacji, która blokuje jego zakłęcie. Zakłócenie grawitacyjne przerywa magiczny kanał między rzucającym zakłęcie a jego celem. Odrzut jest straszny, podobny do metalowego kabla, który nagle pęka i odpręża się jak bicz.

W szoku, Hannibal pośpiesznie otwiera powieki. Jego kamienne oko pęka jak przebita soczewka. Krew tryska ze szczeliny i kapie z uszu.

Hannibal upada.

Nieświadomi dramatu, który się przed chwilą rozegrał, Aureliusz i Solis nadal mkną po sztucznym grzbiecie. Podnoszenie filarów zostaje nagle przerwane i spadają na ziemię niedaleko od brzegu jeziora. W połowie zagrzebani pod padliną wierzchowca, ich twarze i włosy lepkie od krwi, ślizgają się po słonej skorupie, która rozpala ich zadrapania i siniaki.

Malkah i gladiator patrzą na siebie, nie mogąc zrozumieć, co się stało, ale ciesząc się, że wciąż żyją.

"Co, włóczysz się ze swoją blondynką?" Myślałem, że jest w Desner?"

Mężczyzna z niebieskim mchem na policzku kuca tuż przy nich, jego buty muskają brzeg Słonego Jeziora. Aby ich uratować, Hannibal rzucił ich w ramiona Sigilów, spekulantów chaosu.

Dumny z siebie, nieznajomy uśmiecha się – jego uzębienie jest równie dziwne jak jego policzek: duże, prostokątne zęby z ogromnymi przerwami między nimi, sprawiają, że jego uśmiech wygląda jak deski patrolowej ścieżki. Jest wyraźnie rozbawiony swoim szczęściem, które odizolowało jego ofiary od ich eskorty. Lepiej jeszcze: pozostali Sigile znajdują się tam, gdzie reszta pechowej wyprawy musi właśnie wynurzać się z jezioro. Jest sam ze swoimi dwiema ofiarami.

By okazać swoją przewagę, obnaża swoje lewe ramię, naznaczone znakiem gangu Krwistych Skrzydeł.

Aureliusz zamiera, ten imbecyl wszystko zepsuje. Jak wytłumaczyć mu jednym gestem, że nie wolno mu mówić ani robić niczego, co mogłoby narazić jego przykrywkę?

Aureliusz podnosi się z bólem i podchodzi uśmiechając się, jakby witał starego znajomego. I wbija swój sztylet pod szczękę Sigila, dosłownie ją przybijając.

Jego ofiara ledwo zdążyła otworzyć usta. Aureliusz dostrzega ostrze, które przebiło język i zatopiło się w podniebieniu. Po czym widok zanika, zalany krwią, która zaczyna płynąć spomiędzy warg i pod brodą.

Mężczyzna pada bez krzyku, chaotyczna marionetka o szklistych oczach.

Solis odwraca się do Aureliusza oszołomiona, jej oczy są przyćmione przerażeniem i pytaniami. Nie ma czasu domagać się wyjaśnień, gdyż z brzegu jeziora dobiegają przeraźliwe wycia.

Pod naporem magicznych ataków Sarashy, pozostali Sigile zapalają się jak wiązki rozpałek – kości, które pękają w

miażdżącym cieple, naśladują ich trzask. Pomimo okrucieństwa tego przedstawienia, Solis odczuwa ulgę, wiedząc, że inni zostali uratowani.

Podobnie jak Faworyt Ognia, zapomniała jednak, jak kapryśna jest magia w Rifcie.

Nad brzegiem jeziora, zapalają się zawieszone kryształy soli, topiąc służbę i żołnierzy w deszczu iskier. Na oczach bezsilnej i przerażonej Sarashy, ich ubrania i włosy stają w płomieniach.

Rozdział 3

Nie nauka

Pokój jest skromny, do granic minimalizmu. Nie dlatego, że potrzebuje przestrzeni do poruszania się, ale dlatego, że taka jest filozofia Sassakiego: esencją perfekcji jest czystka.

Ograniczony przesuwanymi panelami w kolorze kości słoniowej, a jedynym meblem w pokoju jest niski stolik. Umieszczona na nim, wielokierunkowa kamera, odtwarza walkę Genetyka z Faworytem Cienia, która miała miejsce prawie sto dni temu. Wieczność według niego, jakby czas płynął w innej rzeczywistości lub po prostu wstecz. Hologram również zostaje zatrzymany, zamrożony w punkcie, gdy Shado klęka z wyciągniętymi przed siebie rękami, trzymając w dłoniach szablę z nanofilamentów. Obraz jest doskonały, żywy, pamiątka na zawsze wyryta w pamięci. Dyskretny licznik wyświetla liczbę wyświetleń tej rekonstrukcji: 7915.

Perfekcja wymaga wytrwałości, to kolejne credo Sassakiego.

Z rękoma skrzyżowane na plecach, Genetyk okrąża wirtualnego Shado. Skupiony jak nigdy dotąd, przygotowuje się do ponownego przeżywania tego zdarzenia.

Najpierw musiał całkowicie przyswoić sobie sześć minut i trzy sekundy walki, by wchłonąć ją, całym ciałem i duszą. Dlatego też, Genetyk obejrzał archiwalne holo ponad

osiemset razy w czasie rzeczywistym i ponad siedem tysięcy razy w przyspieszonym tempie, a także w dedykowanym temu metawersie – gardzi MaRzeniami, ale nie chciał marnować czasu, gdy był w zbiorniku terapii genowej, walcząc z dziwnymi guzami, które pojawiły się po ich walce, rodzaj z ciemną zarazą, którą zaraził się w kontakcie z Shado.

Mimo tych wszystkich wysiłków wciąż nie ma pojęcia, jak zabójca zniknął na jego oczach. Ta ignorancja rujnuje czystość ich konfrontacji, jak kaligrafia splamiona włosiem pędzla uwięzionym w atramencie.

Faworyt Cienia musiał rzucić zaklęcie. W obliczu tego zjawiska, każdy Mantrianin znalazłby proste wyjaśnienia: "To tylko magia". Sassaki jednak będzie poszukiwał prawdy. Niezależnie od tego, czy ona może sfałszować fizyczną rzeczywistość, czy nie, magia musi opierać się na zasadach i na prawach. Musi być w tym logika, bez względu na to jak nadprzyrodzona by ona nie była. Sami Arkhańczycy mogą być nieświadomi tych zasad, ale one istnieją, w przeciwnym razie, nie można byłoby uczyć się zaklęć i na nich polegać, a czarnoksiężnicy nie mogliby ich rzucać.

Magia to nic innego jak nauka, której podstawowe równania nie zostały jeszcze sformalizowane. W jego walce z Shado znajdują się formuły „ściśłych nauk” Arkhańczyków. Musi odkryć ich sekrety, zanim znajdzie swojego przeciwnika.

Po uruchomieniu symulacji, Sassaki wchodzi w serce hologramu. Jego białe stopy poruszają się po dywanie z prawdziwego świata, jego ręce są wsunięte pod pasek jego kimona. Może go przyspieszać lub spowalniać, przybliżać szczegóły, wymuszając rozdzielność, zbliżać się lub oddalać od sceny, wzniesć się nad nią, przesunąć głowę w prawo lub w lewo, aby zmienić punkt widzenia... Tysiące gestów, powtarzanych z monotonią zmęczonej rzeki, w nadziei, że

niekończące się powtórzenia podważą tajemnice zawarte w nagraniu, ale nic nie widzi. Ani jego wyostrzone zmysły, ani nadmiernie rozwinięta pamięć fotograficzna, nie pozwalają mu odkryć tajemnicy zniknięcia Faworyta.

Hologram zawiera zbyt mało informacji. Kamery fabryki robotów, które to zarejestrowały, nie są wyposażone w najnowsze technologie, takie, które łączą ogromną różnorodność ludzkich możliwości z możliwościami przetwarzania kwantowego. Mimo, że jest precyzyjny, hologram nie ma wystarczającej czułości. W porównaniu z wysokimi wymaganiami Genetyka, hologram nie jest więcej warty, niż stary obraz w stylu pixel art.

Czy Arhax wiedział o tym, kiedy dał mu to nagranie? Oszukał go, zmusił go do przyjęcia prezentu, którego nie mógł odmówić?

Sassaki w to wątpi. W najdrobniejszych szczegółach pamięta moment, w którym Robotyk wszedł do jego pokoju w klinice Shine-IS, aby mu go wręczyć – jego wspomnienia są znacznie ostrzejsze niż hologram walki. Arhax był zdruzgotany, miał złamane serce. Dosłownie wszystko – jego, na wpół wyprostowana, na wpół warcząca, postawa bestii w agonii, ołowiana cisza między jego słowami, jego mikro-ekspresje rozszyfrowane przez Sassakiego lepiej niż społeczna sztuczna inteligencja – absolutnie wszystko zdradzało ból i ciężar żałoby.

Również pragnienie zemsty.

Po raz pierwszy Arhax był skąpy w słowach, a Sassaki docenił to wyciszenie. Zrozumieli się w kilku słowach. Sassaki chciał odkryć w jaki sposób zniknął Shado, Arhax chciał odnaleźć zabójcę Juliana. W zamian za dostęp do wszystkich archiwalnych holo fabryk Robotyków, Genetyk zobowiązał się pomóc Arhaxowi w jego śmiertelnej misji.

Zgodnie z kodeksem, którego przestrzegał Sassaki, zemsta nie wchodziła w rachubę – czy on nie chciałby również oka za oko, zęba za ząb? – ale sposób zaspokojenia tego będzie mógł uczynić go szlachetnym lub nieprzyzwoitym.

A ostatnie sto dni świadczą o tym, że bez Juliana, Arhax jest tylko marionetką jego ekscesów i prędzej czy później, pograży się w orgii przemocy. Jeśli Arhax zażąda, by Sassaki dostarczył mu Shado, nie zgodzi się. Dlatego, że on i Faworyt Cienia, mają do dokończenia ich walkę.

Jego honor wymaga, aby zgłębił swoją duszę, aby zobaczyć, czy skłamał, gdy akceptował tę umowę. Sassaki rozwiązał swoje własne wątpliwości: będzie wspierał Arhaxa do momentu, gdy sześćdziesięciolatek przekroczy próg własnego szaleństwa. Wtedy Genetyk zostanie zwolniony ze swojego słowa. Do tego czasu jego zaangażowanie będzie nieskazitelne.

Już po kilku tygodniach ich współpraca doprowadziła do sojuszu między Robotykami a Genetykami, nietypowego przeszczepu, który rozkwitł na gruncie problemów energetycznych, które wstrząsają miastem-kontynentem.

Teraz, po raz pierwszy od czasów Wojny Bohaterów, dwa style technologiczne oficjalnie współpracują ze sobą, aby rozwiązać sytuację kryzysową. Prawdą jest też, że wielu Krezusów z tej nowej koalicji GenBot, zgodziło się z argumentami Arhaxa. Intendent był zdecydowanie zbyt słaby w stosunku do Arkhantii, a królowa Solis w porę to wykorzystała, nakazując zabicie członka-założyciela, w samym sercu Mantris. Nawet Sassaki był tym wstrząśnięty. Intendent ani nie bronił interesów Mantris, ani nie sprzeciwił się Malkah, a teraz każe swoim ludziom płacić za tchórzostwo jego decyzji. Niewybaczalny błąd. Kiedy brakuje energii, najpierw cierpią najsłabsi.

Sassaki bez żadnych zastrzeżeń, poparł prośbę Arhaxa do Norii, o przeprowadzenie dochodzenia w sprawie osobistych interesów Intendenta w tej kwestii. Rzecznik Norii ukrywa zbyt wiele tajemnic, nadszedł czas, aby wyszły one na światło dzienne.

Więc nie ma znaczenia, czy holo dostarczone przez Robotyka nadal nie pozwoliło mu znaleźć odpowiedzi, których szuka. Sassaki nie działa dla własnej korzyści. Robi poprostu to, co uważa za słuszne.

Mimo to, rodzi się pytanie o jego obsesję na punkcie ciągłego przeżywania tej walki z Shado. Czy to także jest poszukiwanie sprawiedliwości?

A może zadaje sobie zbyt dużo pytań?

Regularny oddech i półprzymknięte oczy sprawiają, że Sassaki stopniowo zmusza swój umysł do porzucania celu, jakim jest kierowania ciałem i poddanie się czystemu ruchowi. Tajemnice ukryte w gestach ujawniają się tylko tym, którzy od lat powtarzają je każdego ranka.

Sassaki jest gotowy.

Szybkim gestem - nagłym i precyzyjnym, szarpie rękawy swojej jedwabnej tuniki, ściągając ją na biodra, by odsłonić klatkę piersiową. Ciało wojownika to granitowy monolit, marmurkowaty blok mięśni. Tatuaż, który biegnie wzdłuż jego lewego ramienia, strzela ogniem jego żywych kolorów.

Następnie wślizguje się dokładnie w miejsce swojego własnego hologramu, skrupulatnie dostosowując swoją pozycję do obrazu światła. Jego ramiona odwzorowują tę samą postawę, jego barki wiernie zaklinowują się w to samo miejsce, jego brzuch kurczy się identycznie, nawet jego wyraz twarzy jest idealnie dopasowany.

Reprezentacja holograficzna łączy się z jej modelem.

Z finezją, która nie jest do podrobienia przez jakąkolwiek maszynę, Sassaki odnajduje wrażenia tamtej

chwili. Adrenalinę walki, zapach stopionego metalu, dziwną ciszę tej pracującej fabryki, mocny uścisk miecza, subtelny smak strachu przed śmiercią, zmieszanego z krwią na ustach... Bardziej obecny niż kiedykolwiek, zostaje wirtualnie przerzucony w przeszłość, stając jednocześnie w obliczu tego budzącego grozę i godnego podziwu przeciwnika. Idealna równowaga między tu i tam, wtedy i teraz.

Rozpoczyna się transmisja.

Wojownik towarzyszy swojemu hologramowi, gdy skacze, uderza, robi uniki, cierpi. Zgadza się na przyjęcie pierwszego ciosu zdematerializowaną pięścią, znów czuje ból rozchodzący się po jego ciele niczym trucizna. Napina mięśnie, ruch za ruchem, uderza swoją prawdziwą szablą, doskonale zsynchronizowaną z holograficzną szablą, tnie podłogę w pokoju, obraca się, uderza ponownie.

W walce następuje przerwa, podczas której, jego opalizujący sobowtór zrzuca zbroję, która została zdeformowana ciosami Shado. Sassaki korzysta z okazji, by przeanalizować tę pierwszą salwę ciosów. Jak zawsze, najmniejszy gest wydaje mu się słuszny, doskonały: nie dlatego, że nie ma nic do dodania, ale raczej nic do odebrania.

Porażka nie jest krainą, którą Sassaki jest przyzwyczajony do odkrywania. Wędruje spragniony po tej pustyni w pogoni za mirażami, które gdzieś tam, za iluzją wytworzoną przez upał kryją namacalną rzeczywistość. Gniew dudni do jego drzwi, jak czujny pies, który nieufnie podchodzi do nieznajomego. Zakłada mu kaganiec, to on jest mistrzem.

Gdy jego holo-ja ostrzega przed go Faworytem, Sassakiego ogarnia nagła inspiracja. Odkłada szablę z szacunkiem i wślizguje się w cień Shado, pograżając się w

holo przeciwnika. Zmienia perspektywę, aby lepiej wysledzić swój błąd, decydującą lukę.

Oglądanie walki tysiące razy wyryło w nim choreografię Faworyta tak samo jak jego własną, ale nigdy nie wyobrażał sobie, że będzie w stanie ją tak doskonale naśladować, tak łatwo wtopić się w jej gesty i ruchy. Równie łatwo jest mu być tamtym jak samym sobą.

Sasaki nagle uświadamia sobie niemożliwe: zboczył z właściwej ścieżki na ścieżkę ciekawości i przystosowania się do swojego wroga.

Z gulą wstydu w gardle, niezdecydowanymi, drobnymi zmarszczkami łamiącymi maskę spokoju, odrywa się od walki, obserwując co dalej, aż do ostatecznego status quo, kiedy jego szabla znajduje się jak zatopiona w karbacie, uwięziona w rękach Faworyta. Widzi siebie chowającego swoją szablę do pochwy i kłaniającego się Shado, spowitemu ironicznie światłem. Shado znika ponownie, jakby został połknięty przez tajemnicze drzwi. Sasaki nie widzi nawet najmniejszej drobinki wyjaśnienia.

Holo nagle gaśnie. Jego misja pozostaje bez odpowiedzi, skomplikowana przez nowe przeszkody. Pozostaje tylko fantomowy ból w nadgarstku i głęboki szacunek.

Rozdział 3.2

Poddaje się na dzisiaj. Jego biologiczny chronometr przypomina mu, że czekają na niego w Korporacji ROMA z okazji Podniesienia Juliana. Arhax postawił sobie za cel, by nadać ceremonii pewnego rozmachu, zapraszając środki masowego przekazu i śmietankę Robotyków i Genetyków – błąd zdaniem Sassaki, dla którego żałoba jest procesem intymnym i powściągliwym, a śmierć ostatecznym końcem, którego nie da się oszukać przyszłością jako Mantrix.

Śmierć odsłania ludzką istotę, Sassaki, który tak często odbierał życie, zna ją lepiej niż ktokolwiek inny. Śmierć Juliana odkryła Arhaxa brutalniej, niż jakiegokolwiek przesłuchanie w metaversie. Wykorzystuje on zabójstwo swojego kochanka, przed Krezusem, by znaleźć się na jego czele, a przed członkami-założycielami, by wślizgnąć się w ich serca. Sassaki nigdy by się tak nie zachował. Czuwamy nad zmarłymi, jak czuwamy nad noworodkiem, z delikatnością i rezerwą, należną nieznajomemu.

Dostęp do wielkiej władzy nigdy nie powinien zwalniać nikogo z jego najbardziej podstawowych obowiązków. Miasto-kontynent to tygiel, w którym łączą się wszystkie style techniczne, w którym każdy członek-założyciel może odnieść się do elity purystów, aby przypomnieć sobie o zaletach każdego stylu życia. W którym momencie, ta elita zaczęła dyskretytować swoją wzorcową rolę?

Robotyce wyglądają jak ich maszyny, dla nich wszystko jest użyteczne, łącznie z cierpieniem, nawet uczucia mogą być montowane lub demontowane. I niestety nie są osamotnieni w tym impasie. Cybernetycy i Meditechowie wierzą w przekształcalne ciała, Mantrix obiecuje cyfrowy i

nieśmiertelny umysł. Technologia zepsuła zbyt wiele dzieci z Mantris. Potrzebują wskazówek, muszą być sprowadzeni na zasadniczej pełni, którą nosi w sobie każda istota.

Na ścieżkę, gdzie technologia znów będzie wiernym narzędziem, więc przewodnikiem Mantrian może być tylko czysty Genetyk, wolny od jakiejkolwiek hybrydyzacji.

Sassaki nie stara się być takim przewodnikiem. On otwiera do tego drogę.

Siedziba ROMY z wielką fanfarą ogłasza Powstanie Juliana. Rozpryskując noc swoimi świetlistymi reflektorami, holo młodzieńca przewyższa rozmiarami, ogromny posąg wojownika w egzozskiecie, symbol korporacji. Okna budynku w kształcie łuku transmitują na okrągło, wyczyny nieżyjącego pilota – ciągle widać, jak wykonuje swój charakterystyczny gest zwycięstwa przed szalejącymi fanami. Obfitość to znak rozpoznawczy ROMY, ale ten pośmiertny Julian przenosi ten standart na nowy, absurdalny poziom.

Ta ostentacja zasadniczo nie podoba się Sassakiemu. Nawet jeśli nie szanuje prawdziwej śmierci, Podniesienie nagradza wzorowego obywatela-akcjonariusza, który wniósł swój wkład w aurę miasta-kontynentu. Stanie się Mantrix, oznacza zachowanie zasługującej na to osobowości, w celu wzbogacenia zbiorowego ducha Norii, który doradza żywym i aranżuje życie obywatelskie. To nie jest wychwalanie prostego pilota pod pretekstem, że jest kochankiem członka 100 najlepszych Krezusów.

A wszystko po to, by nadać wydarzeniu wymiar, którego ono nie ma.

Na dziedzińcu budynku, strażnicy w egzozskieletach filtrują tłum, podkreślając ekskluzywny charakter wieczoru. Tylko prawdziwi Genetycy i Robotycy mają prawo wstępu – nie ma tu żadnych technomiksów, zaproszenia są zarezerwowane dla elity dwóch technicznych

stylów – skandaliczna zaściankowość, która tylko wzmacniła siłę tego wydarzenia w sieci.

Sassaki nie musi przedstawiać ani zaproszenia, ani SITu, aby zostać wpuszczonym: nawet gdyby zakrył twarz, jego tatuaż widoczny przez długą kurtkę bez rękawów, wystarczy aby go rozpoznano.

Główny hol budynku został całkowicie sprywatyzowany i wystrojony. Jego przezroczyste okna dają stłumionym członkom-założycielom możliwość zobaczenia, jak androidy najnowszej generacji obsługują agorę gości w holograficznym delirium kolumnad i namiotów wyimaginowanej świątyni.

Na ten wieczór, organizator zainstalował się tymczasowo w strefie wyłożonej szyfratorami, aby uniemożliwić działanie nagrywających dronów. Jego obsługa prasowa każe felietonistom czekać, aż urzędnicy złożą mu kondolencje. Sassaki decyduje się zrobić to bezzwłocznie, aby jak najszybciej opuścić to miejsce. Ceni szacunek dla tradycji, ale tylko wtedy, gdy są one autentyczne. Ale tutaj wszystko jest sztuczne i nijakie.

Czeka na swoją kolej, pośród możliwych, zebranych w małym przedsionku – nie jest nieuprzejmy, po prostu mu się spieszy. W tym miejscu, elita rozpoznaje go równie łatwo, jak strażnicy przy wejściu, ale nikt nie proponuje mu, żeby go przepuścić. Wszyscy chcą zapewnić sobie miejsce w powstającej koalicji GenRob, nie ma więc mowy o tym, by ustąpić uncji miejsca.

Czekając przed ostentacyjnym fioletowym baldachimem, który izoluje Arhax, Sassaki wyraźnie słyszy oddawane mu honory.

„Arhax, co za nieszczęście... co za tragedia! Był taki młody.”

„Wiesz mój drogi, że możesz na nas liczyć, *naprawdę* liczyć...”

„Arhax, jesteśmy załamani. Byliście stworzeni dla siebie...Noria obiecuje wieczność, waszej miłości.”

„Zemsta to danie, które najlepiej podawać na gorąco. Nie przepuścimy niczego, ani najmniejszego okruszka... Nie możemy już liczyć na ... dobrze wiesz na kogo. Tylko Ty jesteś w stanie doprowadzić do tej istotnej zmiany sytuacji.”

„Mój biedny Arhaxie, jak bardzo nam żal, to tragedia.”

Sassaki wyobraża sobie wszystkich tych intrygantów kłaniających się Arhaxowi, by pocałować jego SIT, równie formalnych i obłudnych jak ich słowa. Przynajmniej zachowują pozory, zmuszając się do uśmiechu.

Ten sojusz GenRob nie cieszył się jego przychylnością, ale stanowi niezbędny krok w kierunku odnowy Genetyków. Noria czy nie, Genetycy urodzili się, by rządzić. Dosłownie mówiąc, zostali poczęci i wybrani właśnie do tego, jeszcze przed ich narodzeniem. Gdyby Chaka nie zmylił ich nauki przez swoją potworną hybrydyzację, Mantris wygrałaby Wojnę Bohaterów, a miastem-kontynentem rządziłby czysty Gen. Dziś droga do tego jest usiana pułapkami, a jedną z nich jest sojusz z Robotykami.

Kiedy w końcu nadchodzi jego kolej, Sassaki wchodzi za zasłonę – prawdziwy kawałek ciężkiego, podszytego materiału. Jest tak zaskoczony dwiema rzeczami, które widzi, że zatrzymuje się jak zamurowany.

Pierwsza to obecność Juliana. Odzianego w swój standardowy bojowy egzoskielet – adaptacyjną zbroję udrapowaną purpurą, która podkreśla doskonałość jego ciała – ktzry stoi obok Arhaxa siedzącego na starożytnym drewnianym fotelu. Iluzja szybko się rozprasza, to oczywiście jest robot.

Ale tym razem, gdy efekt zaskoczenia mija, maszyna nie budzi żadnego dyskomfortu,

nie wydaje się monstrualna, naśladować żywą istotę. Sassaki uświadamia sobie, że Robotycy niedługo przekroczą dolinę dziwności, tę lukę, która oddziela człowieka od androida. Ten Julian, równie dobrze może być pierwszym robotem, który postawi stopę na drugim brzegu, by stworzyć most między człowiekiem a maszyną. W każdym razie oferuje namacalną materializację sojuszu, który jest tutaj zawiązywany.

Drugim źródłem zdziwienia jest uporczywy, wszechogarniający smutek Arhax, który utrzymuje się, jak chwast wyhodowany na roślinie ozdobnej. Wśród tego sztucznego wystroju, tej tandetnej ceremonii, wśród ukłonów śmiesznych intrygantów zebranych pod baldachimem, ten żal jest jedyną rzeczą, która jest prawdziwa.

„Sassaki, jesteś. Zbliź się.”

Arhax kieruje w jego kierunku gest, który przybiera pozory rozkazu, poczym szybko zamienia się w gest uprzejmego pozdrowienia – ze strachu czy z szacunku? Sassaki robi krok do przodu, kłaniając się wnioskodawcom, którzy suwają się z jego drogi. Bliźniacy Kunesh i Gamar z Al-Dina, którzy są tak do siebie podobni, że można byłoby pomyśleć, że jakiś duplikat został zrobiony przez pomyłkę w genetycznej kadzi – jeśli weźmiemy pod uwagę to, jak bardzo są banali, pomyślimy sobie, że było to marnotrawstwo płynu owodniowego. Naïa, słynna specjalistka od interfejsów w pojazdach, największa rywalka Juliana – środki masowego przekazu natychmiast wymyśliły między nimi romans, bardzo efektowny, ale śmieszny, gdy zna się kulisy sprawy. Chang z Loockon-Dien, którego ciekły metalowy egzoszkielet – specjalność korporacji – jest ozdobiony naroślami zsynchronizowanymi z jego nastrojem i słowami, kokieteria, która dostarcza wielu intyicyjnych wskazówek jego rozmówcom.

„Sasaki”, wreszcie wita go Arhax, „Julian dziękuje ci za obecność.”

Robot zwraca się do Genetyka, starając się go powitać, płynnym i uroczym gestem, niestety ułamek sekundy opóźnienia psuje tę spontaniczność. W połączeniu ze zbyt gładkim odbiciem policzka i uśmiechem o geometrycznej symetrii, te detale pokazują, że jest jeszcze daleka droga, aby intuicyjne ludzkie gesty były postrzegane jak naturalne – ostatni skok w dolinie dziwności jest niewątpliwie najtrudniejszy do pokonania.

Sasaki nie ma czasu rozwodzić się nad tematem, ponieważ Arhax chwyta go za ramię i przyciąga do siebie.

„Jakieś wieści od prowadzącej śledztwo z Opax? Nie widzę wystarczających postępów. Mam nadzieję, że powiedziałaś jej o siedemnastu sekundach? W przeciwnym razie musisz to zrobić. Natychmiast.”

Przy każdym zdaniu, Arhax rzuca pełne winy spojrzenie na Juliana, niczym dorosły, który wstydzi się poruszać poważne tematy przed dzieckiem. Jego smutek i szaleństwo pojawiają się, gdy tylko pęka okleina gniewu i determinacji, za którą się skrył, by dobrze wyglądać.

Opax to służba kontrwywiadowcza odpowiedzialna za monitorowanie sieci. Niezależna od Norii i korporacji policja, w wyłącznej służbie członków-założycieli, która narzuciła możliwość śledzenia wszystkich komunikacji korespondentów. To ona jest strażniczką ich poufności i jako jedyna, upoważniona do zniesienia tajemnicy dla potrzeby dochodzenia. Złożona wyłącznie z ludzi – stąd znaczna część Genetyków w jej szeregach – Opax przeraża wszystkich, nawet Intendenta.

A co do tych siedemnastu sekund... Stały się one obsesją Arhaxa, nieprzerwanym alarmem emitowanym przez jego nadajnik ratunkowy. Według niego, Julian powinien

zostać uratowany, ale tajemnicze siedemnasto-sekundowe opóźnienie uniemożliwiło przybycie pomocy na czas. Robotyk chciał nawet uczynić z tego główny element śledztwa przeciwko Intendentowi, co byłoby absurdalne.

W trosce o przyzwoitość i szacunek, Sassaki pozwala sobie na kłamstwo przez przeoczenie, potrzeba prawdy nie musi być okrutna.

„Salomea prowadzi śledztwo, a w Opaxie nie ma lepszej niż ona. Z pewnością nie zawiedzie.”

Arhax mruży oczy w porozumieniu, po czym pozwala Sassakiemu odejść, co oznacza, że ich umowa jest honorowana. Genetyk stara się nie okazywać zakłopotania, jakie wzbudzają w nim Arhax i jego automat. Spełniwszy swój obowiązek, bez dalszej zwłoki opuszcza alkowę.

„Sassaki, jak dobrze znów cię widzieć”, słyszy, gdy tylko wychodzi.

Szefowa Terapii Genowej w Klinice Shine-IS, w której był leczony, pojawia się przed nim, gdy przechodzi przez korytarz w kierunku wyjścia.

Jej pusta szklanka zdradza długi czas oczekiwania, a zapach jej ciała podkreśla lekki niepokój.

„Cześć, Il'ango.”

Sassaki ignoruje wystylizowaną sylwetkę Il'ango – włosy i brwi dokładnie tego samego odcienia co skóra, rysy jej twarzy są widoczne tylko dzięki powściągliwemu makijażowi. Zamiast tego, szuka w tłumie, tych którzy nagrywają ich rozmowę. Wystarczają mu dwie sekundy, by zlokalizować drony z optycznym kamuflażem, kolejna sekunda, by dostrzec Liv, słynną publicystkę społecznych mediów.

Sassaki nie czuje się urażony tym, że Il'ango stara się powiększyć swoją sławę, występując u boku jej najśłynniejszego pacjenta. Nie ma problemu z tym by przyznać się do tego, że prawdopodobnie uratowała mu

życie. Bez jej eksperymentalnego leczenia, nowotwory mogłyby pokonać jego zdolności regeneracyjne, bez względu na to jak bardzo są wyjątkowe.

Odkąd wyciekły pirackie kopie fabryki, każdy Mantrianin wie, że walczył z Faworytem Cienia,. Symulowana w metawersie, pokazywana na holo-klipach, udostępniona, parodiowana, zapamiętywana, ich konfrontacja stała się więc wirusowa. Relacje medialne o jego drugiej walce, a potem o zwycięstwie nad chorobą – rodzajem nowotworu, który zżerał jego wnętrze, przerażającą zmorą, lecz wykorzenioną na dziesięciolecia – tylko zwiększyły jego i tak już heroiczną reputację.

Takie relacje miały także cele polityczne – wzmocnienie nastrojów przeciw-Arkhantii, pobudzone przez Arhaxa i Robotyków – oraz finansowe – konkurencja miała nadzieję, że Shine-IS przegra zakład o uratowanie Sassakiego, co doprowadziłoby ją do bankructwa. Była to także okazja dla mediów, by wykraść prywatne zdjęcia Sassakiego, który niestrudzenie kultywuje dyskrecję wobec wszystkich influencerów.

Dzięki temu całemu zamieszaniu, Sassaki przeszedł od bohatera do mitu. Jego imię jest na ustach wszystkich Genetyków, którzy w końcu chcą znaleźć następcę Chaki, ostatniego Legendarnego w ich techno-stylu.

Jeśli jest człowiekiem, który honoruje swoje długi, Sassaki nie jest niestety miłośnikiem rozmów towarzyskich. Zadowala więc, puste słowa i plastikowe uśmiechy Il'ango, kilkoma uprzejmymi gestami przeznaczonymi dla kamer, zanim grzecznie oddali się.

„Jeszcze chwilę, proszę” – powstrzymuje go Il'ango.

Jej głos się zmienił, jej rozwijające się struny głosowe przyjmują tonację, która zamazuje studium częstotliwości klasycznych urządzeń rejestrujących. Jej usta nie wypowiadają

już słów, które wypowiada, by oszukać jakąkolwiek próbę czytania z ruchu warg.

„Czy mógłbyś przyjść do kliniki? Nie ma to żadnego związku z tobą. Powierzono nam nową pacjentkę, ma ten sam wzór guza co ty, a nasze eksperymentalne leczenie okazuje się... mniej skuteczne. Gdybyś poświęcił nam trochę czasu na badania postkliniczne, być może będziemy w stanie zrozumieć, dlaczego.”

Sassaki patrzy Il'ango prosto w oczy, zmuszając ją do wypełnienia ciszy, odpowiadając na jej pytania bez konieczności artykułowania.

„Ta pacjentka jest najbardziej... zmienioną osobą, jaką spotkałem w swojej karierze. Jej ciało jest...”
Badaczka uśmiecha się z napięciem. „Można by pomyśleć, że szalony naukowiec chciał wymieszać pięć stylów technicznych, aby stworzyć szósty... Nie znam jej tożsamości, ale klinika jest sowicie opłacana, by ją uratować. Jedno jest pewne, jej guzy są takie same jak twoje, nawet ich anomalie. Gdyby pacjentka nie została zraniona przez pulsacyjne działo, mogłabym przysiąc, że zmierzyła się z Faworytem Cienia.

- Wychodzimy natychmiast, postanawia Sassaki.

- Nie czekamy na zakończenie ceremonii? Pośpiech nie jest tak istotny...

- Nalegam.”

Czasami los jest dobrym nauczycielem. Jeśli jest jedyne miejsce, w którym Sassaki myślał, że nic nie znajdzie, to ta pompatyczna ceremonia ku pamięci Juliana. Mylił się i jest to dla niego lekcja pokory. Jeśli nowa pacjentka Il'ango rzeczywiście skonfrontowała się z Shado i jest tak cybernetyczna, jak ona twierdzi, Sassaki będzie mogła przeanalizować nagrania jej spotkania z Faworytem Cienia. Nagrania z pierwszej ręki, znacznie

dokładniejsze niż te, które dostarczył mu Arhax. W tym niespodziewanym spotkaniu znalazło się rozwiązanie jego zadania.

Czystość tak, i wytrwałość. Sasaki zaniedbał jednak trzecią cnotę swojej filozofii, cierpliwość.

Rozdział 4

MEMENTO SCORIA

Wśród wspomnień, których *Memento Mori* nie pochłonęło, jest jedno dotyczące siedziby Norii. Podczas podwójnego zaćmienia słońca, Arhax zobaczył, jak tysiące steli Konklawy Mantrix, migoczą jak śpiące powieki. Wyglądały jak ćmy zaskoczone zaćmieniem bisolarnym, jak rój tęskniący za przeżyciem tego efemerycznego zmierzchu, zanim zniknie w ogniu słońca. W obliczu tego uroku, miał absolutną pewność, że już nigdy nie zobaczy piękniejszego budynku.

Ale się mylił.

Dziś, gdy jego Dalek leci nad budynkami w kierunku najwyższej wieży w Mantris, odkrywa, że brakuje czegoś w doskonałości, którą dostrzegł tego dnia: żadna ze steli nie skrywała Juliana.

„Będziesz tam kiedyś, zobaczysz. Obiecuję, że będziesz tam, mój przystojniaczku.

- Wierzę ci, moja miłość.”

Arhax jest tak bardzo pochłonięty swoimi myślami, że nie słyszy subtelnej różnicy w tonie między dwoma fragmentami tego zdania. Narazie, JulIAn to tylko persona zainstalowana w robocie, stworzona ze wszystkich danych, które Arhax był w stanie zebrać w sieci oraz w swoich osobistych kopiach. Tego typu persona, po prostu czerpie ze zbioru skończonych zwrotów i reakcji, nie zastanawiając

się nad tym, z jakiego czasu te słowa pochodzą, a Arhaxowi zazwyczaj udaje się pogodzić z tą iluzją. Ta Persona nie jest wyrafinowana jak Mantrix, ale pozwoli Arhaxowi odnaleźć swojego kochanka, bez konieczności czekania na jego Podniesienie. Jego zniknięcie było zbyt bolesne, nawet JullAn z ograniczoną psychiką jest lepszy niż żaden Julian.

Na szczęście, za niecałą godzinę umysł Juliana zostanie przesłany do jednego z Mantrix i stanie się częścią Konklawy. Już wyobraża sobie, jak jego przystojny młodzieniec potrząsa tą grupą zmiękczałych AI. Skieruje ich, z powrotem, na właściwą drogę, będzie tym, który siłą otworzy oczy członkom-założycielom, przypomni im cnotę wysiłku i pracy, sprawi, że mniej będą mówić o prawach, a więcej o obowiązkach.

Arhax pomoże mu, przywrócić byłą chwałę Mantris od wewnątrz.

Arhax uśmiecha się swoim niesymetrycznym uśmiechem, z jedną częścią twarzy wykonaną w ceramice – na obraz jego umysłu, którego połowa utknęła w *Memento*.

„Czy widziałeś, jak bardzo jesteś kochany?”, mamrocze Arhax, z mglistymi oczami i bładzącym umysłem. Szlifuje swoje wspomnienia, tak jak przygotowuje się dom na powrót ukochanej osoby. Wszyscy, tych 100 najlepszych, którzy spontanicznie złożyli hołd, którzy poprosili mnie o kierowanie RobGenem, również przyszli tam dla ciebie. Ja... nie jesteśmy jedynymi, który chce pomścić twoją śmierć.

- Tak naprawdę nie jestem martwy!"

Arhax pamięta dzień, w którym jego Julian powiedział to zdanie. Grali wtedy w PixelHeat, klasyczne immersyjne 3D, które symuluje prowadzenie latających motocykli. Porywczy, młody człowiek właśnie wylecił z drogi,

podejmując takie samo lekkomyślne ryzyko, jak podczas prawdziwych wyścigów, w których brał udział. Julian uniósł się, kiedy Arhax go zbeształ. Krzyki i kilka przedmiotów pofrunęło, ale seks jak zwykle wszystko załatwił. To taki dobry strzał, ten Julian...

Pragnienie, by jak najszybciej odnaleźć swojego ukochanego, chwytając Arhaxa w jego chciwe, ostre szczęki. Myśl o ich spotkaniu podnieca go, jego penis zaczyna się wznosić. Dotyka się delikatnie, poczym zmienia zdanie. Nie chce sam doznawać cielesnej rozkoszy. Ta niewierność wobec Juliana jest dla niego nie do zniesienia.

Przyjemność staje się nagłą, odczuwa brak dopalaczy, erekcja zaczyna mu doskwierać i drapie się po wewnętrznej stronie ud. Nagle jest zmęczony udawaniem, chce, żeby wszystko wróciło do poprzedniego stanu. Natychmiast!

Pożądliwy wyraz twarzy Arhaxa ciemnieje w jednej chwili, nie pozostawiając nic poza nienawiścią. Na wpół zrobotyzowanej twarzy, efekt jest uderzający.

„Będę ścigał tego sukinsyna Shado aż do Arkhanti, jeśli będę musiał, a kiedy go znajdę, powieszę go na harpunie za jądra, żeby wykrzyczał całe swoje płuca Chcę słyszeć, jak przeprasza płacząc jak dzieciak, chcę, żeby mnie błagał, bym go dobił, chcę zobaczyć, jak się wiję, gdy powoli obracam ten pieprzony harpun jak rożno do pieczenia. Potem, pozwolę ci zdecydować, mój piękny chłopczyku. Jak będziesz chciał, ugotujemy go, wolno jak gulasz, marynując go we własnych sokach, możemy nawet zrobić z niego carpaccio z cienkich, super cienkich plastrów. Pokroimy go powolutku, bez żadnego pośpiechu.”

Arhax naśladowując ten gest, przygryzając dolną wargę, jego kubki smakowe są podrażnione kwasowością soku z cytryny, który udoskonala to smaczne danie. By powstrzymując swoją przyjemność, odchyła głowę do tyłu

i patrzy w sufit. Poczym przechyla ją na bok, by napotkać spojrzenie JullAna.

„Wybierz moja miłość, spraw sobie przyjemność.

- A co do tego wypijemy? Bardzo zimny melt?”

Arhax parska ze śmiechu. Co za idiotyczny pomysł. Wulgarny melt, który towarzyszy tak wyrafinowanemu daniu! Jest równie głupi jak i dobry w łóżku, ten Julian!

To takie cudowne uczucie, ten moment, w którym dochodzi do siebie i znów czuje się sobą... Z roztargnieniem ugniata kapsułę pamięciowego dopalacza, nieświadomy, że stworzył tajną przegródkę swojego egzoszkieletu, w której ją przechowuje. Nie nie teraz. Kiedy Julian będzie tutaj. I kiedy zabiją tego sukinsyna!

Dalek parkuje się na prywatnym doku w pobliżu szczytu Konklawy, zaledwie kilkadziesiąt metrów od pola siłowego, które chroni miasto-kontynent. Kopuły o strukturze plastra miodu, które pokrywają tysiące kilometrów kwadratowych jego powierzchni, są podtrzymywane przez strzeliste filary. Wieża, w której mieści się Noria, jest tak wysoka, że tworzy jedną z tych podpór...

Arhax i JullAn przechodzą bezpośrednio ze swojego pojazdu do sali Podniesienia, tymczasowego pomieszczenia, które odziela stelę od reszty budynku. Czekają tam na nich Anis, Główna Inżynier Konklawy, której oczy zawiązane są neuronową opaską. Arhax powiedział, że chce najlepszej osoby odpowiedzialnej za transfert i cieszy się, że zrobili tak jak im kazano.

Poza tą trójką, w pokoju nie ma nikogo. Po publicznym hołdzie złożonym mu przez sojusz RobGen, chciał, aby faktyczne Podniesienie Juliana, było mniej efektowne. Zwykła chwila, bez fanaberii, bez tych wyczerpujących pochlebstw. By było to wydarzenie mocno zakorzenione, wcielone i głębokie, jak jego paznokcie wbijające się w ciało kochanka,

kiedy cieszyli się harmonią pod prześcieradłami, pośród symfonii bomb i wybuchów pistoletów plazmowych.

Anis natychmiast zabiera się do pracy, dokonując ostatnich poprawek w konfiguracji steli. Operacja jest czysto symboliczna i mogła zrobić to wcześniej. Jednak celem było włączenie najbliższych do Podniesieniem zmarłego, aby dać im możliwość uczestniczenia w ceremonii. Niektórzy uważają, że cały pomysł pochówku jest przestarzały – czy w końcu Mantrix nie otwiera drzwi do wieczności? – ale wiele członków-założycieli przywiązuje do tego dużą wagę.

Anis po prostu nie spodziewała się, że Arhax jest jednym z tych sentymentalnych ...

Szybko odrzuca te myśli i skupia się na swoim zadaniu. Stela nie przybiera odpowiedniego koloru, połysk kojarzony zwykle z udanym transferem pozostaje zbyt matowy, z refleksami raczej miedzianymi niż złotymi. Coś jest nie tak.

„Julian, szepcze Robotyk w zapaloną stelę, jesteś tam?”

- Tak, jestem tutaj kochanie. Wróciłem.”

Arhax zamyka oczy z ulgą, głos jego kochanka nie ma już sztucznej sekwencji persony. Teraz, gdy Julian powrócił, już nigdy nie będzie musiał się zadowalać JullAnem. Potrzebuje niekończącej się chwili, by nadać imię falom uczuć, które go przenikają: szczęście.

„Czy pamiętasz wszystko?”

- Oczywiście, a „wszystko” to nic w porównaniu z tym, co nas czeka.

- Powiedz mi, co się wydarzyło wcześniej.

- Zanim umarłem?

- C....co?, Tak, tak, wcześniej.”

Nie przeszkadza mu to, że Anis stanie się przypadkowym słuchaczem, chce mimo wszystko usłyszeć z jego ust. Musi odnaleźć apogeum jego utraconej miłości.

„Kochaliśmy się” — przypomina sobie Mantrix. Była muzyka, projekcja ataku, wiatr przedzierający się przez zasłony tarasu. I miłość, dużo miłości, gwałtowna czułość. To był najlepszy dzień w moim życiu.”

Powieki zamknięte, niemal w transie, Arhax uświadamia sobie po kilku sekundach, że Julian już skończył. W dole jego żołądka tworzy się węzeł, niezaspokojony głód, czarna dziura, która pochłania jego nadzieje.

Ta powierzchowna opowieść jest antytezą ekstrawagancji jego własnych wspomnień. Ta chwila miłości to nie było tylko to. To nie może... to nie może być zredukowane do tego! Nie w momencie, kiedy Julian o tym wspomina!

" To wszystko ?

- Tak. Chcesz, żebym bardziej zsekwencjonował dla ciebie ten moment?

- Nie! Nie chcę, żebyś to zsekwencjonował, chcę, żebyś to przeżył.

- Przecież to robię, wspomnienie jest we mnie głęboko zakorzenione. Mogę zaprogramować holo z dokładnością co do sekundy jeśli chcesz.”

Arhax już go nie słucha. Jego usta drżą, poruszone tępym i smutnym gniewem, płaskość każdego słowa wypowiedzanego przez tę namiastkę jego miłości sprawia, że czuje się jakby miał sól na swoich ranach. Odwraca się do Anisy. Anisa ukrywa zaniepokojenie, po tym jak została przeszyta przez to pół-ludzkie, pół-maszynowe spojrzenie, ukryte za uśmiechem uprzejmości.

" Mamy problem. On nie pamięta.”

Głos Arhaxa jest załamany. Między jego słowami, wyczuwa się ostre kawałki potłuczonego szkła, gdy dźwięk przechodzi przez jego zaciśnięte gardło. Anis odpowiada z widocznym niepokojem:

„Jednak wydaje mi się, że tak. Podgląd holo powinien to udowodnić.

- Nie, Robotyk odrzuca jej stwierdzenie, rozwścieczonym machnięciem ręki. Nie pamięta tego tak, jak powinien to pamiętać. To nie to. To nie jest wystarczająco intensywne. To nie było wystarczająco intensywne !

- Przepraszam, ale nie rozumiem do czego zmierzasz.

- Oczywiście, że tego nie rozumiesz, wrzeszczy Arhax, nigdy nie doświadczyłaś czegoś tak potężnego. Masz opaskę na oczach! On wziął *Memento Mori*! Powinien lepiej pamiętać!”

Na zaskoczonej twarzy Anis pojawia się przebłysk paniki. Aranżuje swoją twarz, by wyglądać na życzliwą, po czym odpowiada idealnie jednolitym tonem:

„Rozumiem. Może to być powodem tego transferu... niekompletnego. Dopalacz zniszczył oryginalną pamięć. Jest mi bardzo przykro, gdybym wiedziała o tym, nie zrobiłabym Podniesienia.”

Oddychając z ulgą, że jakość jej pracy nie jest kwestionowana, Anis, z pewnym opóźnieniem, uświadamia sobie, że powinna była bardziej uważać na to co mówi.

Na jej oczach, Arhax wyrzuca z siebie wściekłość, którą dusi w drżącym westchnieniu. Wsuwa ręce pod płaszcz, jedną ściskając nadgarstek drugiej. Nie wolno mu odpuszczać, nie złościć się, obiecał to swojemu Julianowi. Gdy tylko jego imię uderza w jego świadomość, żarłoczna czarna dziura pożera jego wnętrze. Mała kulka chwilowo jest niewidoczna, nadal może ją kontrolować. Ale jeśli pozwoli jej się za bardzo nakarmić, anomalia napuchnie, a potem... wtedy...

- To uprzejmy sposób żądania większej ilości pieniędzy, prawda?

- Obawiam się, że nie chodzi tutaj o pieniądze.
- Cholera, kolejna grubo ciosana idealistka! Zawsze chodzi o pieniądze! Dobrze, przestań krążyć wokół błędu i powiedz mi, co się dzieje.”

Arhax czuje, że znajduje się na skraju przepaści. W głębi duszy już zrozumiał. Wieczna utrata jedynej rzeczy, która zawsze trzymała go w pozycji wyprostowanej. Czuje jak, ta straszna strata, przesącza się przez każdy por jego skóry, jak lodowaty płyn w zbiornikach zanurzeniowych. To jest fizyczne, nie psychiczne. Nadal nie chce się do tego przyznać, bo wciąż może oszukiwać swój umysł, ale jego ciało nie da się oszukać.

Między Robotykiem a Głównym Inżynierem panuje nieprzyjemna cisza. Anis ostatecznie ją przerywa.

„Mówiłam ci, dopalacz musiał wymazać całe połączenie pamięci i...”

- Wiem, czym jest Memento Mori, do cholery! Stracił trochę wspomnień, to prawda, szkoda, ale to nie pierwszy Mantrix, któremu to się przydarzyło, no nie? Twoim zadaniem jest naprawienie tego typu detali. Pobierz wszystko co możesz i napraw resztę, to przecież takie proste! No, ruszaj się!”

Ręka Arhaxa miażdży jego własny nadgarstek, powodując chrzęst jego kości. Nie może stracić Juliana, to niemożliwe. Śmierć nie istnieje, to rzecz dla exSITów i Arkhańczyków, dla biednych, to takie vulgarnie. On jest bogaty, stanie się Krezusem numer 1. Nawet nowym Legendarnym Robotem! Śmierć nie jest dla takich jak on, byłby tak rozczarowany sobą, gdyby umarł jak jakiś idiota. On jest ponad tym. I Julian też!

„Jego pamięć jest zaburzona o jakieś 25%, inżynier jest zaskoczona zapoznając się z danymi, dawka *Memento Mori* musiała być ogromna”

Anis milczy, bojąc się reakcji Arhaxa na to, co ma zamiar powiedzieć. Łagodnym, współczującym głosem kontynuuje:

„W związku z uszkodzeniami radzę zrezygnować z Podniesienia, ryzyko dla umysłu Juliana jest zbyt duże. Tak mi przykro, proszę pana, ale proszę mi wierzyć, z pewnością nie chce pan tego.

"Za kogo się uważasz?"

- Ja...

- Zamknij się! Nie masz najmniejszego pojęcia, czego ja chcę. Kim jesteś, by wypowiadać się w moim imieniu i w imieniu mojego chłopaka? Hahahaha, biedaczka! Ha-ha-ha, wszystkiego bym się spodziewał!"

Jego śmiech pali mu gardło jak olej do smażenia, grożąc mu wymiotami. Arhax jest gotów wrzucić do gorącej wody całe Artellium, dopóki ktoś nie znajdzie sposobu na oddanie mu miłości jego życia.

"Nie mów mi o problemach, ale znajdź rozwiązania!"

Wyłaniając się z jego egzoszkieletu, para mechanicznych ramion rozkłada się z wrogim sykiem, rozrywając przy tym jego pelerynę. Arhax nawet nie zdaje sobie z tego sprawy, jest zbyt zajęty zaciskaniem szczęk i przelatykaniem, by naprawdę nie zwymiotować. W jego mózgu, ani jedna idei nie jest na swoim miejscu, nic już nie trzyma się razem, to bezimienny bałagan, można by uwierzyć, że Memento dopiero teraz zbiera swoje żniwo.

Blady, z jednym okiem wytrzeszczonym, a drugim przeszywanym zimnym, podchodzi do inżyniera,. Anis cofa się, przekonana, że zamierza ją zaatakować. Nie poddaje się przed brutalnym mężczyzną, instynktownie ucieka przed bestią, warczącą na swoją zdobycz, złapaną w swoje szpony.

„Chcę zobaczyć twojego szefa.”

Słowa wysuwające się spomiędzy zaciśniętych zębów, są tak naładowane emocjami, że nic w nim nie pozostaje. Arhax

chwyta rękę robota JullAna i trzyma ją mocno, pragnąc, by nieporozumienie zostało w końcu wyjaśnione.

"Wszystko będzie dobrze kochanie, obiecuję ci, że będzie dobrze. To nie potrwa długo."

Anis kiwa głową na zgodę i tymczasowe ściany znikają, odsłaniając korytarz, który wiję się wokół Konklawy. Rząd zawieszonych steli kreśli linię, która ciągnie się do końca zakrzywionego korytarza. Tam złote pole siłowe uniemożliwia wspinaczkę na szczyt budynku, obszar zarezerwowany tylko dla Norii. Rodzaj kokonu wielkości człowieka przecina jego powierzchnię, a następnie rozwija się w poczwarkę, ukazując swojego żywiciela.

Archiwistę.

Rozdział 4.2

Jego twarz zżera supernowoczesny kask VR, na którym dwie niebieskie diody LED pełnią rolę oczu. Z jego pleców wymykają się tysiące kabli, które tworzyły jego ochronny kokon, a teraz przypominają parę atroficzných skrzydeł ciągnących się po ziemi.

Składająca się ze snopów kabli owiniętych wokół siebie, sylwetka można się swobodnie rekonfigurować, przechodząc od posagowej piękności do postury kulturysty. Trudno w tych warunkach dokładnie wiedzieć, kim jest Archiwista. Najwyraźniej nie człowiek, ale też nie robot: usta – to jedyna

widoczna część twarzy – jego ruchy, jego głos są na to zbyt naturalne. Być może jednostka tak cybernetyczna, że straciła nawet swój ludzki wygląd. Nikt nie zna odpowiedzi.

Jeśli natura Archiwisty jest niepewna, jego rola za to jest jasna: jest on strażnikiem Konklawy, niezbędnym i wiernym lokajem Norii. Nie jest możliwe zwrócić się do Mantrix bez jego pośrednictwa.

Nic nie mówiąc, Archywista patrzy, jak Arhax się gotuje, a Anis powstrzymuje strach. Uważając, że jego wygląd jest zbyt onieśmielający w tej sytuacji, Archywista przyjmuje okrągłą sylwetkę i łagodniejsze rysy. Coś pomiędzy wzruszającym dzieckiem a uspokajającym psychologiem.

- Chciałeś mnie zobaczyć, Arhax?

- Gdzie on jest ?

- Przepraszam?

- Gdzie jest mój Julian?

- Jesteś zdezorientowany, to normalne. Poświęćmy trochę czasu, aby spokojnie wysłuchać Anis i jej zdania na temat sytuacji.”

Archiwista zwraca się do inżyniera, aby zachęcić ją do zabrania głosu. Anis ignoruje instrukcje przewijające się przez jej neuronowy baner. Wciąż zirytowana powtarzającymi się obelgami Arhaxa, nie ma zamiaru się z nim cackać.

„Rekonstrukcja niekompletnego umysłu to operacja delikatna, którą może wykonać tylko Mantrix. W tym celu niezbędna jest dogłębna znajomość oryginalnej pamięci.

- Proszę bardzo!, triumfuje Arhax, rozkładając ramiona, jego metalowe wyrostki podkreślają wzniosłość gest. Posortuj hologramy, wiadomości, które zostawiłem, będziesz miała dostęp do wszystkiego, nie ma żadnego problemu. Jedyne, o co proszę, to oddanie mi go w całości.

- Te informacje rzeczywiście się przydadzą. Ale jest jeszcze jedna rzecz do zrobienia.

- Co? Co jeszcze? Nie mogę uwierzyć, że trzeba wyrywać twoje słowa jedno po drugim, mam wrażenie, że jestem u dentysty! Czekam, mów!

- Byś wykonał Podniesienie.”

Oczy Anis są jak gwoździe gotowe do ukrzyżowania Arhaxa.

„Musisz wyrzec się swojej cielesnej egzystencji, aby przesłać twój umysł do Konklawy.”

„Wiem, na czym polega Podniesienie, dziękuję ci bardzo!” Nic, co dzieje się w Mantris nie jest mi nieznane! Jestem Mantrianinem! Nie mówisz mi niczego nowego, ty parszywy strzępku styrenu! Nic a nic!”

Zwleka, boi się, że wyjaśnienie może być niepodważalne, nieuniknione, że nałoży się na niego jak cholerna grawitacja. Ale musi wiedzieć. Jego potrzeba jest większa niż jego strach.

" Dlaczego? Hej, dlaczego to jest konieczne?

- Będiesz mógł osobiście przejąć pracę nad odbudową uszkodzonego umysłu Juliana. Twoja dogłębna znajomość tematu będzie decydująca.”

Arhax zamyka oczy, szczypie czubek swojego nosa, nie może już udawać, że nie rozumie. Głęboko w jego wnętrznościach przesyconych strachem, czarna dziura przeradza się w nienasyconego potwora.

Odwraca się do JullAna, jego wzrok jest rozdarty między błaganiem a poczuciem winy. Zdaje sobie sprawę, że wciąż trzyma go za rękę. Wypuszcza ją, natychmiast tego żałuje, to podły, ale obronny gest. Ze łzą świecącą w kącie jego oka, gładzi twarz ukochanego z czułością, która nawet jego zaskakuje.

„Jako Mantrix – wyjaśnia Anis w obliczu przedłużającej się ciszy.

- Tak, zrozumiałem, ale to niemożliwe.

- Dlaczego?, wtrąca się Archiwista. Nie zarezerwowałeś steli?

- Wiesz dobrze o tym, że tak!

- To mnie uspokoiło. Przynajmniej nie jesteś jednym z tych idealistów, którzy wierzą w prawdziwą śmierć.”

Arhax już ich nie słucha. Mobilizuje całą swoją energię, by zmusić się do spytania JullAna, czy powinien tak zrobić, czy powinien się Podnieść, czy tego właśnie chce ten młodzieniec. Nie, nie mogę tego zrobić. Jest jeszcze za wcześnie, zgadzasz się ze mną, to nie byłoby rozsądne...
Słowa grzęzną mu w gardle, więc odgrywa rozmowę w swojej głowie.

Nie wie, już nie wie, czuje się zagubiony. Miłość powinna być pięknym letnim dniem, ale tutaj, w obliczu JullAna, który nie jest Julianem, uczucia Arhaxa są jak melancholijny, mglisty jesienny poranek.

„Niemożliwe, że jest to jedyne rozwiązanie, stwierdza Robotyk, musi być jeszcze inne.

- Rzeczywiście można rozpocząć odbudowę bez twojej pomocy - przyznaje inżynier. To nawet stosunkowo proste, wystarczy, że podpiszesz formularz zgody, które właśnie ci przesłałam, stwierdzający, że akceptujesz ryzyko niepowodzenia oszacowane na...” Anis sprawdza swój baner neuronowy. „...74,8%.”

Arhax kręci głową, krzywiąc się w dziwnym uśmiešku spowodowanym absurdalnością takiego procentu.

„Z twoją pomocą jako Mantrix, to ryzyko spada do zaledwie 16,5%.

- To nie ma żadnego sensu!” Nie godzi się z tym Arhax. Przed chwilą apatyczny, teraz wyje i gestykułuje, śliniąc się. „Julian zasługuje na to, by sto razy stać się Mantrixem, gdyby w pieprzonej Norii został tylko jeden, byłby to on! To nie on jest problemem!”

Wstrzymuje swoje przemówienie, uderzony oczywistością: ta porażka nie jest ani winą Juliana, ani jego, dlatego, że nie poddał się Powstaniu, to nie jest to. To wina tych pieprzonych baterii, to wszystko.

„Problemem jest energia! Brakuje baterii. To dotyczy wszystkich Mantrian, oczywiście wpływa również na Norię. To właśnie to powstrzymuje Podniesienie Juliana. Tylko, że wy nie chcecie się do tego przyznać, ponieważ wy też jesteście skorumpowani, jak te kwarce, które czasami rozładują się tak nagle!”

Wrzący olej, który gotuje mu wnętrzności, w końcu wszystko pożre, musi szybko coś z tym zrobić. Arhax dostrzega inną szarą stelę, która kłóci się z tymi o złotym połysku. Podbiega i dziko uderza w nią sztucznymi ramionami. Metal piszczy z bólu w obliczu tak ślepej wściekłości. Po pęknięciu, z pancerza wycieka ciecz, która wygląda jak krew, ale ma niebieskawy kolor.

Archiwista przybiera androgyniczny wygląd, obserwując go bez słowa. Z szelestem rozpromienionych skrzydeł omija SIT Arhaxa, aby wyłączyć jego mechaniczne wyrostki – taka operacja możliwa jest tylko w Konklawie i znacznie łatwiejsza z powodu kruchego stanu emocjonalnego celu. Arhax jest tak zdenerwowany, że nie zdaje sobie sprawy z przestępstwa popełnionego przez Archiwistę. Jest zbyt zajęty ciągłym uderzaniem w stelę, swoimi rękami z krwi i kości, krzycząc na całe gardło:

"Skorumpowani! SKORUMPOWANI!"

Z kolejnym cichym szelestem, Archiwista przejmuje tym razem kontrolę nad robotem Julianem. Ten podchodzi do Arhaxa i bierze go w ramiona, aby powstrzymać jego niszczycielski gniew. Robot nie ustąpiłby nikomu innemu, ale Julian jest inny. On, który tak wiele powinien mu wybaczyć...

Podczas gdy Arhax płacze głuchym szlochem, Archiwista starannie zaciera wszelkie ślady jego interwencji.

Uspokojony, z oczami błyszczącymi od urazy i łez, Arhax odwraca się, by wskazać oskarżycielskim palcem Archywistę.

"Wiesz, że mam rację. Oczywiście, że o tym wiesz. Baterie są zainfekowane i z tego powodu stele są wadliwe.

- Jesteśmy kategoryczni: te dwa wydarzenia nie mają powiązania statystycznego.

- A jak Noria będzie mogła wykryć problem, jeśli ten problem już ją wypaczył? He?"

Anis z powątpiewaniem zwraca się do Archiwisty. Archiwista nie ma czasu na odpowiedź, zresztą Arhax tak naprawdę nie czeka na odpowiedź.

„Nie jesteś już w stanie przewidzieć najlepszej przyszłości dla Mantris. Gdyby tak było, wiedziałbyś, że przyszłość to ja!”

Z połową twarzy odzwierciedlającą zacieklą determinację, z drugą martwą i niezmienną, Arhax odwraca się na piętach.

„Chodź, JullAnie!”

W przeciwieństwie do swojego mistrza, robot żegna swoich gospodarzy, rzucając skruszony gest przeprosin w kierunku Anis, po czym wskakuje do Daleka, który natychmiast odjeżdża.

Rozdział 5

Zdezorganizowany

Gdy wyświetlacze w czasie rzeczywistym i hologramy uczestników sesji zostały wyłączone, pomieszczenie odzyskuje swój owalny i nagi kształt. Spotkanie się skończyło, nawet siedzenia zniknęły, pochłonięte przez podłogę z pamięcią kształtu. Ponure i trochę groźne pomieszczenie wygląda jak: komórka kryzysowa.

Pozostał tylko eliptyczny stół i dwa fotele dla jedyńskich przedstawicieli, którzy byli fizycznie obecni podczas debat.

Sir Vine i Intendent.

" To nigdy nie zadziała.

- Która część, Sir Vine?"

On nie żartuje. Intendent boryka się z taką górą problemów, że tak naprawdę nie wie, co ma na myśli szaman.

- Twój apel do dobrej woli Arkhantii. To nie zadziała.

- Nie zakopuj rozwiązania zbyt pochopnie. Nigdy nie spotkałeś Malkah. Ja, tak. Ona nie jest tym wrogiem, którego przedstawiają media.

- Nie. To nie ... "

Sir Vine nie kończy swojego zdania. Zadowolona się ostrym ruchem ręki – ma się wrażenie jakby sam sobie obcinał słowa. Wstaje z szelestem swoich światłowodowych włosów. Porzuciwszy swoje sandały, tak stare jak jego płócienne spodnie w kolorze ecru i jego czarny sweter, spaceruje boso, aby uporządkować swoje myśli, zanim wyjawi

je Intendentowi. Chociaż ma czterdzieści lat, na jego miedzianej twarzy nie widać najmniejszej zmarszczki, a mowa jego ciała – przeczesując palcami sztuczne włosy, odchylając głowę do tyłu, by spojrzeć na wysoki sufit – dopełnia to młodzińcze wrażenia.

„Nawet gdybyśmy zabrali cały trisel z Riftu, to nic to nie zmieni. Kompletnie nic, mówię ci! Baterie znikną. Prędzej czy później. To jest minerał, on nie odrasta. To nie. Odra.....Sta. Nie. Coś innego niż baterie. Musimy znaleźć coś innego. Nie kopać dalej i kopać. Znaleźć !

- To właśnie staramy się zrobić z akumulatorami Vmax.”

Sir Vine zatrzymuje się, teatralnie opuszczając ręce. Potem wskazuje na ogromny stół, przy którym nie ma nikogo oprócz nich.

"Przestań. Ezio, przestań próbować mi sprzedać kota w worku. Spotkanie się skończyło. Przestań mi wciskać bzdury. Wiem, że nie jesteś głupcem i oczywiście nie wierzysz w te bzdury”

Podczas spotkania, Intendent byłby nieustępliwy, by pozwolić komukolwiek nazywać go po imienia. Ale teraz, po prostu wpatruje się w naukowca z gryzącą ironią w oczach.

„Czy to nie ty, zatwierdziłeś rozwój Vmax, niecałe dwa tygodnie temu? Mógłbym przysiąc, że to byłeś ty.”

Sir Vine przewraca oczami, po czym odpowiada pewnym tonem .

„Jako rozwiązanie tymczasowe. Czekając na znalezienie innego, lepszego rozwiązania. Nie na dłuższą metę! Nie bądź tak naiwny jak inni, nie daj się złapać w pułapkę.”

Szaman wygina się i unosi drżące ramiona w górę z rozłożonymi palcami. Jest żywym obrazem czarnoksiężnika, wyobrażanego sobie przez Mantrian, który mobilizuje nadprzyrodzone moce. Intendent bawi się tą żywą

spontaniczność Sir Vine. Kieruje nim przekonanie, które czyni go autentycznym, jest z tego znany, to jego marka.

Z tego też powodu nigdy nie odniesie sukcesu w polityce. W każdym razie nie w Mantris.

„Nie mogę uwierzyć, że dałem się wciągnąć w tę historię” – ubolewa Sir Vine, przyklepując dłonią swoje czoło. Dobry jesteś. Naprawdę dobry. W nakłanianiu ludzi do wykonywania twoich poleceń. Nie mam już nic wspólnego z DCM! To jest męczące. Ludzie są zmęczeni, Ezio. Liderzy robią wszystko źle. Wszystko. I mają sto pięćdziesiąt lat opóźnienia.

- Przestań dramatyzować, Vine. Znam cię dobrze, nie po to się do ciebie zwróciłem. Sondaże opinii publicznej są formalne, twoja reputacja uwiarygodniła DCM.

- To jeszcze pogarsza sprawę! Oszukałem tych kilka osób, którym naprawdę zależało na mojej pracy. Znowu zaczyna spacerować kręcąc głową. "I jeszcze to? Ta nazwa... Dalekosiężne Centrum Międzykoropracyjne. Zgniły akronim! Tylko jakiś spec od komunikacji mógł coś takiego wymyśleć. Uważał się za sprytnego, ten który to znalazł. Głos Sir Vine zmienia tonację. "To przywróci wiarę obywatelom-akcjonariuszom!" Zwycięsko unosi ręce, poczym opuszcza je żałośnie. „Nic nie zrozumiał, głupi typek. Pomylił się. Pomylił się okrutnie! Macha z wyrzutem palcem wskazującym. „Przede wszystkim nie wolno stwarzać wrażenia, że baterie są religią. Kiepski pomysł. Nawet niebezpieczny. Nie kwestionuje się religii. Kierujemy się prosto na klif, Ezio. Ostrzegałem cię!”

Wąska przestrzeń między biurkiem a ścianą uniemożliwia mu, chęć przejścia stu kroków, więc Sir Vine opada z powrotem na krzesło. Opierając łokcie na stole, patrzy Intendentowi w oczy.

„Chcesz, żebym został? To daj mi jeden dobry powód”. Marszcząc brwi, podnosi do sufitu palec wskazujący w geście wyzwania. "Tylko jeden ! Nie mów mi o pieniądzach. Nie mów mi o sławie. Słucham.

- Jesteś ostatnim bastionem przeciwko dyktaturze korporacji, mój drogi przyjacielu.

- Tylko to!

- DCM to rząd nadzwyczajny, który zastępuje naszą bezcenną bezpośrednią demokrację. Obywatele-akcjonariusze zaakceptowali go z jednego i jedyne go powodu, wyjątkowego kryzysu energetycznego, przez który przechodzi Mantris. Spadek wydajności baterii, zbliżający się niedobór, ograniczenia...

- Tak, wiem!, przypomina niecierpliwie szaman. Wszyscy o tym wiedzą, zwłaszcza odkąd sprawiłeś, że baterie są płatne. Bez jakiegokolwiek społecznej konsultacji. Grasz o wysoką stawkę, Ezio. To wymaga odwagi, prawdziwej odwagi. Politycznej odwagi, ale ostatecznie to wciąż odwaga. Jedynym problemem jest to, że to za mało. To nie wystarczy. Zdecydowanie nie.”

W głosie naukowca odczuwa się zmęczenie, jego oczy przesiąknięte są goryczą.

„Twoje wspomnienia są niedokładne, Sir Vine. DCM nie pobiera opłat za baterie, ono ustanowiło eco-obywatel-akcjonariusz koncept.

- To jest to samo. Śmieszne. Czysta Greenwashing spekulacja. Już wystarczy tych podejrzanych akronimów. Tych zwodniczych zbitek wyrazowych. Nazwij to limitem lub racjonowaniem i przestań kłamać!

- Oczywiście, taka jest zasada. Ci na dole Krezusa mają dostęp do minimum energii życiowej, a ci na wyższych szczeblach Krezusa mają dostęp ograniczony. Ale jeśli im się o tym powie, to oni tego nie zaakceptują.

- Trzeba ludziom tłumaczyć, a nie brać ich za głupców. Kiedy zorientują się co się dzieje, to nie będą zbyt zadowoleni. Ale oczywiście ty uważasz, że to jest świetne, ta nazwa to twój pomysł!” - przypomina szaman.

Ledwo panuje nad swoim gniewem, a kiedy uderza pięścią w stół, dźwięk jest tak głośny, że sam jest tym przerażony.

„Mój pomysł, ale twój sukces, koryguje Intendent, który zachowuje niezakłócony spokój. Bez ciebie, bez twoich szczegółowych scenariuszy, korporacja nigdy by się nie zgodziła. To ty ich skłoniłeś, nie ja.”

To było dwa tygodnie temu, a Intendent nie otrzaskał się jeszcze z oszałamiającej paniki, którą poczuł tamtego dnia, podobnie jak wtedy, gdy stracił kontrolę nad Dalekiem którego prowadził. Sir Vine był strasznie przekonujący, kiedy opisywał kaskadowy łańcuch bankructwa. Upadek Mantris.

„Według wyliczeń, pytaniem nie jest już, czy to naprawdę się wydarzy. Niestety nie, to byłoby zbyt proste” – przyznał ze ściśniętym gardłem. Pytanie powinno raczej brzmieć: kiedy to się stanie?”

W przeciwieństwie do nudnych raportów technicznych, naukowiec był w stanie znaleźć proste słowa i nie do odparcia obrazę, aby skonkretyzować ekonomiczne i społeczne skutki ogromnego niedoboru baterii. Logicznie rzecz biorąc, członkowie jednostki kryzysowej przyjrzeni się alternatywnym scenariuszom i zdecydowali się na numer 3, czyli nagły koniec darmowych baterii. Innymi słowy, odkładali moment prawdy, dając sobie trochę czas na znalezienie alternatywnego rozwiązania.

Pragmatyczny wybór najmniejszego zła z możliwych.

Godzinę po zakończeniu spotkania, kilku dobrze poinformowanych z Top 100 Krezusa, podjęło konkretne kroki, aby przygotować się na katastrofę – tylko dla siebie.

Gdyby tylko szaman zdołał jasno i przekonująco wyjaśnić swoją propozycję odejścia od ich stylu życia na 100% zasilanego bateriami... Wszystkie jego nadzieje wiązały się ze scenariuszem numer 4, ale DCM nie dało mu wystarczająco dużo czasu, aby ich przekonać. Niestety przepaść między scenariuszem Sir Vine a technokratami pochłoniętymi pośpiechem była zbyt ogromna i nie zdołał na nich wpłynąć. Kiedy naukowiec traci cierpliwość

i panowanie nad sobą, to wszyscy widzą w tym fanatyzm przeciw Mantris, tylko Intendent wyczuwa prawdziwy lęk przed przyszłością, szczerą troskę o katastrofę, którą rodzice obarczą kiedyś swoje dzieci.

Sir Vine ciężko wzdycha.

„Ty postrzegasz to jako zwycięstwo, ja postrzegam to jako porażkę. Scenariusz 4. To było to.

- Jestem przekonany, że tak nie jest. Twój głos miał znacznie na tym kryzysowym spotkaniu, ponieważ byłeś na tyle odważny, by podzielić się twoimi obawami, czego nikt inny nie miał odwagi zrobić. Jeśli chcesz coś zmienić, to właśnie teraz, tutaj masz największe szanse na sukces. Będzie to wymagało ogromnego kompromisu, sporej dawki pragmatyzmu i dużej cierpliwości... cechy, które potrafisz zmobilizować, jeśli sytuacja tego wymaga. A tak właśnie jest, ciągle to powtarzasz i masz rację. Dlatego musisz zostać. Ale nie będę cię trzymać wbrew twojej woli. Jednak uwierz mi Vine, absolutnie potrzebuję ciebie tutaj.”

Dwaj mężczyźni wpatrują się w siebie w skupieniu, w bitwie woli, którą szaman przegrywa zbyt szybko.

"To kiepska sztuczka , na którą mnie naciągasz...

„Potraktuj to jako kolejny powód, by pozostać w DCM: łagodzis moje złe nawyki.”

Psotne spojrzenie Intendenta i jego ostatnia karta, która zadaje decydujący cios. Pokonany i zmęczony Sir Vine wstaje w kolejnym geście rozczarowania. Przechodzi wokół stołu, by położyć rękę na ramieniu Intendenta i jak stary przyjaciel, patrzy na niego smutno, po czym bez słowa wychodzi z pokoju... po czym powraca, by założyć swoje sandały.

„Zobaczysz, Rzeźbiony Tron odrzuci to, rzuca wychodząc.

- Liczę, że wymyślisz plan B.

- Potrzeba będzie czegoś więcej niż plan B. Plan X, Y, Z... i główny Z!” Głos szamana cichnie, gdy znika w korytarzu. „W alfabecie nie ma nawet wystarczającej liczby liter. Musielibyśmy coś wymyślić, nową klasyfikację. Może bis, ter... nie, zbyt ograniczone. A może... ”

Uderzony nagłym natchnieniem, Intendent zrywa się i biegnie za nim.

„Jeżeli chodzi o plan B...”, mówi do Sir Vine.

By uwolnić swój umysł, powierza dalszą dyskusję swojemu AIasystentowi – już wcześniej zaprogramował kilka kluczowych słów, aby w razie potrzeby zawiesić rozmowę. Dziś w nocy, będzie słuchał Sir Vine, na przekazie podprogowym na przyspieszeniu. Główny powód dla którego odchodzi z naukowcem, to ucieczka przed Norią i jego ochroniarzami.

Na szczęście Sir Vine mieszka w zacienionych dzielnicach miasta-kontynentu. Wśród innych cech, szaman opowiada się za powściągliwością i prostotą, i faktycznie działa zgodnie z tymi zasadami, osobliwość w DCM. Intendent podąża za nim przez część drogi, a kiedy są wystarczająco daleko od Konklawy Mantrix, uruchamia swój

program szyfrujący, aby nie można było go zlokalizować, poczym żegna się z naukowcem.

Wreszcie może zdjąć kostium rzecznika Norii i ponownie stać się obywatelem-akcjonariuszem lambda. Chce ocenić sytuację panującą w Mantris i oszacować wpływ decyzji jednostki kryzysowej...

5.2

Wprowadzenie płatnych baterii to bardzo drastyczny krok, fundamentalne wyzwanie dla stylu życia mieszkańców Mantris. Intendentowi udało się wyrwać eko-obywateli-akcjonariuszy z ciężkiej walki z innymi członkami DCM, z Arhaxem na czele. Mimo to, dla obywateli-akcjonariuszy, szok jest dotkliwy. A najgorsze, ma dopiero nadejść: Noria obliczyła, że aby przestrzegać Pierwszego Prawa Synthii – „Zoptymizować długość życia obywateli-akcjonariuszy” – konieczne są celowe przerwy w dostawie prądu. Intendent oparł się na pracy Sir Vine, aby odroczyć ich wdrożenie w życie, ale jego zwycięstwo będzie krótkotrwałe, tymczasowe przerwy w dostawie prądu są już planowane w mniej istotnych dzielnicach.

A wtedy, Mantrianie mogą próbować się buntować przeciwko całemu systemowi.

Wędrując po ulicach, ukryty za holowizją, uświadamia sobie, że konsekwencje płatnych baterii są znacznie bardziej widoczne, niż sobie to wyobrażał.

Obserwuje rozhisteryzowaną kobietę kopiącą, z całej siły, w publiczną drukarkę 3D, z jakimś uszkodzonym przedmiotem w ręku.

„Dlaczego to nie działa? ProSIŁam już trzy razy!

- Wystarczy umieć czytać” – mówi przechodzień, wskazując na holo, które powoli obraca się nad urządzeniem.

- Bardzo śmieszne !”

Jej sarkastycznemu komentarzowi towarzyszy rozdrażniony gest: potrząsa trzymanym przedmiotem, najnowszymi przypinanymi okularami Net™. Prosząc o wybaczenie, mężczyzna czyta klientce napisy na hologramie.

„Bateria rozładowana, proszę czekać na robota konserwacyjnego.” Na twoim miejscu nie czekałbym. Słyszałem, że akumulatory floty serwisowej również podlegają ograniczeniom.

- Ale to niemożliwe! Jak mam wrócić do domu, jeśli nic nie widzę? Wszystko przez jakiegoś idiotę deskorolkarza, który wpadł na mnie, gdy jego gadżet zatrzymał się popsuty! Kupiłem te cholerne okulary dziś rano!”

Nagle kobietą szłocha suchymi łzami, Net™ wymaga bowiem, zainstalowania cyberoczu.

„Gdzie mieszkasz?”, pyta grzecznie przechodzień.

- W Skal Dzielnicy.

- Mieszkam niedaleko. Chodź, odprowadzę cię.”

Uśmiech kobiety nie potrzebuje żadnych implantów, by promieniować ulgą i uznaniem.

Nieco dalej, siedząc na ławce w cieniu ogródka jordanowskiego, młody tata wpada w panikę. Intendent orientuje się szybko, że jego inteligentna butelka uległa uszkodzeniu. Głodne niemowlę, które trzyma w ramionach, płacze, krzyczy, niecierpliwi się, podczas gdy jego ojciec szuka jakiejś porady w sieci. Hologram oferuje mu przetestowanie ciepła mleka na wewnętrznej stronie

nadgarstka. Wykonuje instrukcję, powtarza ją kilka razy i zdaje sobie sprawę, że płyn nie został podgrzany.

Zrozpaczony szuka pomocy u innych rodziców, którzy uczą swoje maluchy, jak MaRzyć i chodzić w tym samym czasie, nie potracając innych dzieci - ta nauka to jedyna atrakcja tego parku: kiedy już to opanują, dzieci wolą bawić się wirtualnie. Widząc, że nikt nie jest w stanie mu pomóc, kieruje się w kierunku kiosku z kawą prowadzonego przez młodego cyba, wiedząc, że używa on tych samych uniwersalnych podgrzewaczy, co jego butelka.

Z krzyczącym na całe gardło dzieckiem w ramionach, patrząc ze wstydem na współczujących lub zirytowanych przechodniów, tata czeka, aż mleko matki podgrzeje się pomiędzy waniliowym liczi-latte i kawą z dopalaczami z wodorostów.

W sercu dzielnicy handlowej, pośród konkurujących ze sobą wielkością znaków holograficznych, niektóre sklepy już zostały zamknięte. Zautomatyzowany sklep zoologiczny ogłasza, że będzie zamknięty „do odwołania” – przekształcony przez holograff w „do dalszego bałaganu” – podczas gdy dealerzy samochodów osobowych oferują pierwsze trzy akumulatory za każde zakupione auto, z opcją płatności w czterech ratach bez dodatkowych kosztów Krezusa.

Z drugiej strony, sklepy ze świeżymi owocami i warzywami są szturmowane, pomimo cen, które w trzech sekundach poszybowały w górę. Dwóch klientów walczy o ostatnie piankowe jabłko, używając egzoszkieletu, albo cybernetycznego ramienia, aby szarpać mocniej. W końcu rozrywają ogromny owoc na pół, przy genetycznie wzmocnionym krzyku sprzedawcy. Jakiś Mediteka stara się przywrócić spokój, uprzejmie oferując tabletki relaksujące każdemu, kto miałby ochotę napełnić nimi swoje neurony.

Intendent obserwuje jeszcze inne tego typu sceny, które zdradzają raczej nerwowość niż agresywność. Obywatele-akcjonariusze są zagubieni, zdezorientowani, ale nie wszyscy są wściekli. Ale tak wkrótce się stanie, ponieważ tylko trzy nie otrzymane posiłki oddzielają cywilizację od barbarzyństwa.

Mantris nigdy nie doświadczyła buntu. Uważa się, że prawa Synthii i system konsultacji obywatelskich czynią tę hipotezę niezgodną, a nawet niemożliwą... ale to samo można by było powiedzieć o bateriach, które miały pozostać darmowe do końca życia. A jednak

Gdyby tylko elektryzująca atmosfera na ulicach mogła naładować baterie, Intendent nie przestaje myśleć o tym, z małym uśmiechem igrającym w kącikach ust. Czerpiąc z tej ironii kilka sekund ulgi, które dobrze mu robią.

Nagle jego uśmiech zamiera: staje twarzą w twarz ze swoją gigantyczną twarzą rzuconą na jeden z filarów podtrzymujących kopułę, która pokrywa Mantris. Te pylony o wysokości jednego kilometra wykonane są z adaptacyjnego nanomeru, cienko przedzielnego materiału, który dostosowuje się do sił generowanych przez wiatr lub deszcz na strukturę pęcherzykową kopuły. Koszt utrzymania tych pylonów jest ogromny, dlatego też, obywatele-akcjonariusze głosowali za przekształceniem ich w powierzchnię reklamową, której opłaty pokrywają ich koszty utrzymania.

W tym przypadku, pylon transmituje oficjalne przemówienie Intendenta, zatwierdzone przez Norię i skierowane do wszystkich mieszkańców Mantris. Obraz jest komiczny: mały Intendent, incognito, z krwi i kości, zaskoczony i z uśmiechem na ustach, zastyga w bezruchu, patrząc na ogromnego Oficjalnego Intendenta, wszechmocnego rzecznika o woskowej twarzy i zaszyfrowanym spojrzeniu, który ze swojej stu metrowej

wysokości, stara się przywrócić ludzi do rozsądku swoim kojącym i autorytatywnym głosem.

Intendent nagle widzi siebie, jak był małym Ezio, dzieckiem marzącym o wielkich przemówieniach, wysłuchiwanym przez tłumy, wpływowym, podziwianym. Widział siebie wielkiego! A jego ojciec śmiał się słuchając jak on i jego siostra, z balkonu wydają rozkazy malutkim przechodniom, znajdującym się pięćdziesiąt pięter poniżej! Był małym chłopcem, który zrobił wszystko, aby odnieść sukces, narzucić się, zostać wysłuchanym... być po prostu wysłuchanym przez swojego ojca. I oto jest teraz, przyłapany przez własne marzenia o sobie, przed obliczem własnego megasukcesu. Pracował ciężko by to wszystko osiągnąć, więc odbicie własnego wizerunku już go nie dziwi. Jest to dla niego dowód, cena jaką trzeba było zapłacić. Nagroda, o którą tak ciężko walczył.

Ale po raz pierwszy w życiu pojawia się w nim nowe uczucie.

Czuje pewne oderwanie od tej dużej, płaskiej postaci, którą uważa za pustą. Kim on naprawdę jest, ten pikselowy gigant? Cenzor, bez serca, bez siostry... Intendent zamyka oczy i na nowo odkrywa smak swojego uśmiechu. Przechodzi go dreszcz. Powraca do dzieciństwa, kładzie czułą dłoń na ramieniu uśmiechniętego siedmioletniego chłopca. Tego, który ma siostrę. Tego, który wciąż wie, czym są prawdziwe marzenia.

Duży, świetlny obraz, deklaruje głosem bezpośrednio przesyłanym do SIT, aby uniknąć zanieczyszczenia hałasem.

„Jesteśmy w kryzysie. Mantris brakuje energii. Radykałowie chcą, aby nasze miasto rozpoczęło wojnę. Wiemy, do czego doprowadziło ostatnia. W obliczu kryzysu musimy znaleźć nowe rozwiązania. A w obliczu poważnego kryzysu musimy umieć zrobić krok,

którego nikt wcześniej nie próbował. Przekazałem władzom Arkhantii, oficjalny wniosek o pozwolenie na eksploatację kopalni triselu znajdującej się na skraju ich terytorium. Prośba została właśnie wysłana do pałacu Neftydy i mam nadzieję, że wzmocni te serdeczne stosunki, które miałem z Malkah podczas naszego ostatniego spotkania. Obywatele-akcjonariusze Mantris, będę was informować o rezultatach naszej prośby.”

Obiektywnie mówiąc, myśli, że jest niezły. Trochę zimny, ale dobry. Spokojny, pouczający, rozważny: z pewnością cechy dobrego lidera, według niego. Wyobraża sobie drogę, którą przemierzył przez te wszystkie lata... i na fali znużenia - czy raczej zmęczenia? – zastanawia się jak długo może to trwać. On, który nigdy nie pozwolił sobie na zniechęcenie, wzdycha... po czym skanuje otoczenie, by sprawdzić, czy nikt go nie widział.

„Ale na co czekasz, gówniany gnojku?, daje się ponieść emocjom młody człowiek ze spiczastymi uszami, jak wszyscy młodzi ludzie goniący za modą. Dlaczego zbudowaliśmy miasto Kyotech na Rifcie, jeśli nie po to, by wydobywać masowo trisel? Kolejny projekt, który kosztował cyber ramię i nogę, a wszystko to na nic!

- Co on sobie wyobraża, ten Intendent?, wtrąca jego kumpel, dwa wielkie srebrne kły unoszą się nad jego górną wargą. Malkah nie jest tak głupia, żeby dać nam swój trisel za darmo! Lepiej prosić o przebaczenie niż o pozwolenie! Od kiedy Arkhańczycy są znani z niesienia humanitarnej pomocy?”

Chyba nie byłem tak dobry jak myślałem, powiedział sobie polityk. Powinienem był powierzyć komunikację Nyope, w końcu to jej rola w DCM. Popularność Cybernetyczki nie spadła w sondażach, szczególnie dzięki jej statusowi ostatniej z

Legendarnych Mantris, od czasu odejścia Błękitnego Snu. Z drugiej strony, jego popularność pogrąża się niepokojąco...

Poza tym, nie należy spodziewać się żadnego pocieszenia ze strony sieci.

> *Wspólny kanał | @SSASUMARU Δ ExSITUacja* >

> Cholera, ale to bzdura! DCM mnie przeraża! Ja, gdybym był na miejscu tych wszystkich kongresmenów, nie szukałbym przecinka w kodzie, ale wyciągnąłbym palec, żeby to szybko naprawić!

> Czy naprawdę myślisz, że będziemy kłaniać się tej Magicznej Księżniczce? Jeszcze tego by brakowało!

> Czy przegapiłem któryś odcinek, czy co? Od kiedy jesteśmy zależni od wieśniaków z Arkhantii? Od razu wam mówię, nikt mi nie będzie mówił, jak mam spalać moje baterie. Intendent żyje na ulicy! Jeśli tak będzie dalej, poprosi nas o ogrzanie się przy świecach i nabranie wody ze studni przebitym wiadrem.

> I nosić sandały ortopedyczne z konopi i organicznego bambusa, pojechać się na kemping przed Appologium i śpiewać „wszyscy się kochamy i przytulamy się”! Nigdy! Równie dobrze mógłbym sobie wyrwać implanty!

Z ponurą miną, Intendent patrzy na swoją wiadomość, która jest powtarzana na okrągło, żalując, że nie może za każdym razem powiedzieć tego wszystkiego inaczej, w innym tonie, z mniej poważnym i bardziej zdecydowanym wyrazem twarzy. I bez tego śmiesznego mrugnięcia okiem.

Co ?

> *Wspólny kanał | @SSASUMARU Δ ExSITUacja* >

> Widzieliście, Intendent mruga do nas. A teraz się uśmiecha.

> A może by mnie poklepał po plecach i uszczypnął w policzek, jak już tam jest?

Nie, Intendent nie ma halucynacji: jego obraz rzeczywiście wywołuje całą masę śmiesznych wyrazów twarzy. Nagle na ekranie nad jego twarzą zaczyna przewijać się wiadomość, pojawiają się litery, tam gdzie niektóre piksele wyłączają się.

„Baterie Vmax nie istnieją, Noria okłamuje was / Eco-obywatele-akcjonariusze, ekobójcza interwencja! – ÅPØLØW.”

Transmisja wraca do normy niemal natychmiast; tak szybko, że można by pomyśleć, że był to obraz podprogowy. Nie da się jednak zaprzeczyć, że aktywiści zhakowali transmisję.

Ordynator zamyka oczy i swoje kanały komunikacyjne, nie ma ochoty wysłuchiwać dłuższej reakcji obywateli-akcjonariuszy, już wie wystarczająco dużo.

Sathyna. Ma niezbędną potrzebę zobaczenia jej. Potrzebę, która nagle staje się dla niego tak oczywista, jak ten głupi wyraz twarzy, który właśnie zobaczył.

Roztropność dyktuje mu, by udał się do sklepu Nyvenny pieszo, ale nie może znieść myśli, że musi czekać dłużej niż godzinę na ponowne spotkanie ze swoją siostrą. Postanawia więc wziąć publicznego Daleka, licząc na nagły wzrost popularności darmowego środka transportu, by zamaskować swoją obecność – rzeczywiście ma takie powodzenie, że zmuszony jest czekać kilka minut, aż płyta będzie dostępna.

Na wszelki wypadek schodzi w dół pięćset metrów od celu, potem skręca i zwalnia, jedzie w jednym kierunku, potem w drugim, przyspiesza, zwalnia, prawie wędruje po okolicy, żeby upewnić się, że nikt go nie śledzi. Przez chwilę myśli, że tak jest, poczym przyznaje, że on również ulega panice i paranoi.

Wreszcie może wejść do sklepu, na szczęście nie ma tam żadnego klienta. Czuje się jak by był na odwyku, słucha z roztargnieniem, gdy Nyvenna przekazuje mu najnowsze wiadomości. Wzrok mu gdzieś tam umyka, kiwa głową w górę i w dół, by potwierdzić jej słowa, których absolutnie nie słucha. Nyvenna to zauważa. Jej ego wznosi się, ale jej empatia martwi się, widząc go tak zaniepokojonego. W końcu Intendent wchodzi do sekretnego pomieszczenia.

Z rękoma ułożnymi wzdłuż ciała, porusza ramionami by rozluźnić sztywny kark i staje przed zbiornikiem, jedynym źródłem światła w ciemnym pomieszczeniu porośniętym zielonymi roślinami. Uważał zawsze, że ten tajemniczy klimat sprzyjał rozmowom z duchem jego bliskich.

Zamyka oczy. Wypełnia swoje płuca wilgotnym powietrzem pomieszczenia. Po czym, wypuszcza nadmiar mokrego tlenu długim, wyzwalającym, drżącym oddechem. Lubi być tutaj, blisko swojej siostry i zapomnieć o tym wszystkim co dzieje się na zewnątrz. Wącha powietrze. Ten grzybowy zapach uspokaja go, jak kołdra z piór mamutaka, jak łóżysko. Neonowo-zielone rośliny wodne zbiornika dodają koloru jego mrocznemu nastrojowi. To miejsce jest jak żadne inne.....w każdym razie żadne inne w Mantris. Ta nora jest enklawą, portalem, służą miłości, drzwiami prowadzącymi do lepszego. Uzależnieniem. Lekarstwem na dobre samopoczucie.

Czuje, jak jego szczęka rozluźnia się dwa lub trzy razy, żołądek mu się rozwiązuje, serce bije wolniej. Jego dusza się otwiera. Zaczyna się zwierzać. Z dłonią położoną płasko na szklanej ścianie, długimi palcami rozpostartymi w pieszczocie, którą tylko gruba szyba zbiornika trzyma na dystans, dzieli ciężar swoich obowiązków z siostrą, geniuszem rodziny, z tą, która powinna być Intendetem. Otula go lekka zasłona oszustwa, uśmierzająca

jego poczucie winy, niczym przeciwbólowa broń, ciężka jak egzozkielet bez baterii.

Sathyna. Jego Sathyna. Ta, która spaliła swoje neurony podczas lotu do wyższych sfer.

„Przepraszam, ciągle narzekam, płaczę nad sobą, wiem, że to nudne i jest mi przykro, po chwili się jąka. A ty, jak się masz ? Twoja cera nabrała kolorów, wyglądasz zdrowiej siostrzyczko.”

Naprawdę myśli to co mówi. Uważa, że Sathyna wygląda lepiej. Jest taka cudowna, że swoimi falującymi włosami, które ją otaczają, jej rysy nadają jej radosny i lśniący wyraz twarzy. Czy ma to związek z algami, które teraz kwitną w regenerującym płynie? Lub z tymi dziwnymi, zabawnymi stworzeniami, które gromadzą się wokół rur zbiornika?

Prosi swojego Asystenta o odtworzenie, w trybie przyspieszonym, jego rozmowy z Nyvenną. Słyszy, jak ona mówi mu, że do tej pory, zadowala się stosami baterii z kontrabandy, rozwiązaniem, które niestety nie będzie trwać wiecznie. Awaria byłaby oczywiście katastrofą, tragedią, która zrujnowałaby stały postęp Sathyny.

„Czasami mam wrażenie, że się uśmiecha” – dodaje Nyvenna z promiennym wyrazem twarzy, który łagodzi szorstkie smugi na jej okorowanej skórze.

Ona się uśmiecha...

Nagle, jakieś wspomnienie uderza w pamięć Intendenta z siłą prasy hydraulicznej. To było trzydzieści lat temu, kiedy był jeszcze nastolatkiem. Sathyna poważnie zachorowała, a ludzki błąd skaził jej zoptymalizowany genom. Podczas gdy jego rodzice, walczyli o pozwanie Korporacji Genetyków, która dała mu początek, on opiekował się swoją starszą siostrą, która utknęła w kriokomorze. Przysiągł sobie, że nic jej nie umknie, że doświadczy szaleństwa

dwudziestolatków jak każdy obywatel-akcjonariusz w jej wieku.

Więc poóbował wszystkiego co było w jego zasięgu: burzę dopalaczy, orgie ze wszystkimi trzema płciami i każdą możliwą do wyobrażenia płć, ekstremalne przedśmiertne MaRzenia, wszelkiego rodzaju realne i wirtualne ekscesy... Pełnia zaangażowania, niekończący się zastrzyk adrenaliny sublimowany endorfiną, pikantne, ostre przyprawy, która uderzają w podniebienie, by kontynuować życie na pełnych obrotach. Pędził przez życie na nic nie patrząc, ocierał się o śmierć z napadami wściekłości, ale bez cienia wątpliwości, wahań i strachu, na całość, zawsze na całość.

Oczywiście nikt tego nie rozumiał, a tym bardziej jego rodzice skupieni na całym mnóstwie bardzo poważnych i znacznie ważniejszych rzeczy, oczywiście w ich oczach. Oni mieli lepsze rzeczy do zrobienia, niż zajmowanie się kryzysami najmłodszego dziecka, który zachowywał się jak rozpieszczony nastolatek. Później odkrył, że sytuacja była bardziej złożona, ale w tamtym czasie, właśnie w ten sposób to wszystko postrzegał. Rodzice grozili mu, że wyślą go do instytucji na Dzikich Wyspach, odizolowanych i odciętych od świata.

Nie obchodziło go to. Żadne granice nie mogły i nigdy go nie powstrzymały. Ponieważ miał cel, zadanie. Powołanie.

Po każdym doświadczeniu wstrzykiwał sobie koktajl uzyskany z pochodnej *Memento Mori*, który pozwalał mu na zachowanie wspomnień w jego pamięci, aby podzielić się nimi z Sathyną offline. Mogła w ten sposób przeżyć swoje życie przez pełnomocnika. Doznanie było zawsze nieco stonowane, mniej intensywne, dlatego musiał mierzyć wysoko, zawsze wyżej. Ale i tak było to lepsze niż nic nie przeżywać.

Intendent dobrze pamięta ten dziwny okres, ciągłą huśtawkę między imperatywnym poszukiwaniem przyjemności, a zwiększonym poczuciem odpowiedzialności, między ulgą wynikającą z tego, że żyje, a szaleńczym niepokojem, że Sathyna straci ochotę na życie, między dziką rozpustą a następstwem kaca.

Jako nastolatki, nigdy nie przeprowadzali długich rozmów aż do świtu, zamiast tego dzielili się wrażeniami w ogłuszającej ciszy nieobecności. To nieskrępowane dzielenie się, potykaniem się i wpadaniem w szal, umocniło ich współludział, przekraczając ohydłą barierę jej śpiączki, aby zachować więź między bratem a siostrą.

Kiedy Sathyne w końcu wyzdrowiała, myślał, że już nigdy nie będzie musiał znosić takiej męki. Ale wszystko zaczęło się od nowa. Jeszcze raz. Nieuchronnie. Jak kłątwa w ciągłym ruchu, holo, które kręci się na okrągło, aż do zmęczenia, okropny pech.

I co robi tym razem? Pojawia się przed zanurzoną siostrą, aby utopić ją w jego tandetnych problemach. Nudzi ją na śmierć zamiast zabawiać, przygniata ją, obciąża, pogrąża w najciemniejszych głębinach władzy, zamiast wrzucać ją w odurzający ogień życia.

W końcu, upada na kolana ze spuszczoną głową, jego zwinięta w kłębek postać jest zalana światłem emitowanym przez zbiornik, w którym ona się unosi, rozkosznie beztroska, jakby pokryta cudownym wewnętrznym spokojem.

„Przepraszam, Sath... przepraszam. Ja... tak mi przykro... chyba już nie jestem tym facetem... Pamiętasz? To solo na filarze 91. Prawie straciłem tam życie, odczepiony na trzystu pięćdziesięciu metrach, powalony podmuchem o ścianę, ocalony końcami palców... dosłownie! Z roztargnieniem pociera nadgarstek przeżywając tę scenę, wzrok i wspomnieniami gdzie indziej. „Pamiętasz transfert,

którego dokonaliśmy zaraz potem? Ten szok, który nagle przywrócił cię do życia! To przeżycie zbliżającej się śmierci, które było kluczem twojego przebudzenia, szok, który na chwilę wyrwał cię ze śpiączki? Marzę o tym, byś znów uśmiechnęła się, tak jak wtedy, siostrzyczko... Tak bardzo za tobą tęsknię...” Jego podbródek opada na klatkę piersiową, wygląda na nieszczęśliwego i pokonanego. „Dzisiaj nie robię nic więcej niż: marzę, zamiast czegokolwiek dokonać...”

Wątpliwość, posiała ziarno głęboko w glebie jego intymnych wątpliwości. W jego głowie krąży natarczywa myśl, że może nie jest już właściwą osobą. Nie ma już brata, który jest potrzebny, by uratować Sathynę. Nie jest już uosobieniem rzecznika, którego potrzebują obywatele-akcjonariusze, aby stworzyć więź między Norią a nimi. Czy naprawdę chce ocalić Mantris, czy może zwleka, aby uniknąć przerw w dostawie prądu, ponieważ nieuchronnie wpłyną one na dzielnicę, w której ukrywa się Sathyna? Tak naprawdę już nie wie. Trochę zagubił się w labiryncie władzy.

Czy uratuje obywateli-akcjonariuszy... czy swoją starszą siostrę?

Pytanie zderza się z jego argumentami, jak kulka do ruletki odbijająca się od reflektorów obrotowej tarczy, którą stała się jego codzienność, w wielkim kasynie życiowych szans.

Rozdział 6.1

Wypad

Utworzenie prywatnego metaversu o nazwie LP1-08XA22/1454.

Konsultacja dostępna tylko dla upoważnionych członków: Fabro, Atale, KatKa i Onyx Lag'Chuo.

Dostęp zatwierdzony, konfiguracja zakończona.

„Ale zapewniam cię, że criaruny poprzesuwały rzeźby taty!”

Siedząc na podłodze w pokoju dziennym w ich mieszkaniu, Onyx wskazuje dłonią na zniszczone roboty ojca, przekonana, że jej gest wystarczy, by przekonać starszą siostrę.

„Onyx, przestań nas tym wkurzać, marudzisz o tym od tygodnia. Nie poprzestawiały rzeźb taty nawet o milimetr, to dopiero początek energetycznego gówna! Zapewniam cię!

- Poczekaj, pokażę ci” – nalega Onyx.

Wie, że dorośli są uparci i nie zawsze jej słuchają, ale taka jest prawda, muszą jej uwierzyć. Pokazuje zdjęcia uchwycone przez Sphaxa w dniu, kiedy przelatywał nad mieszkaniem. Widzimy małe stworzenia poruszające się powoli, z futerkiem najeżonym przez elektryczność statyczną i wibrujące jak kulki podczas trzęsienia ziemi. Zapalają się, zlepiają i nagle obraz się trzęsie i przerywa – bo Sphax się zepsuł i przewrócił – zanim nagranie definitywnie stanie się czarne.

„Widziałaś?

- Nie.
- Czekaj, pokażę ci jeszcze raz.”

Onyx powoli przewija holo i zatrzymuje je na obrazie zrobionym w momencie, gdy Sphax przewraca się na bok. W tle, rzeźby Fabro to niewiele więcej, niż rozmyte plamy na ścianie.

„Czy teraz widzisz lepiej?

- Tak...

- Ale ty nawet nie patrzysz, Kat!

- Oczywiście, że tak.”

Onyx zaciska usta tak mocno, że tworzą mały wulkan i marszczy brwi tak bardzo, że jej oczy znikają pod nimi. Jednak szybko przestaje się dąsać, gdyż podbródek boli ją z powodu jej narośli. W każdym razie to nie ma sensu, Kat i tak nie wierzy w jej historię.

Zwykle Kat staje po jej stronie, ale od kilka dni przebywa nieustannie z jej nowymi przyjaciółmi i to bardzo ją denerwuje.

Mam nadzieję, że nie staje się dorosła!, dziewczynka, nagle zaczyna się bać.

„Ok, a twój metavers, zmieniasz jego nazwę, czy nie?, KatKa zmienia temat.

- Czy to nie twoja kolej?

- Tak, ale śmiało, mam zaległości w naszych relacjach „moja siostra jest najlepsza”.

Będzie dobrze, pociesza się Onyx: *Kat staje się dorosła, ale jeszcze nie całkowicie*.

„Taaaaaaaak.... zastanawia się dziewczynka, imitując przewlekły głos ich ojca, bawiąc się metawersem i przekręcając go we wszystkie strony. Już wiem! Pchełki.

- Dobrze, zrozumiałam. Pchełka... pchełki. Całkiem, całkiem.

- Mama dawno nie nazywała nas swoimi małymi „pchełkami”

- Hej, jestem tutaj.”

Persona Atali pojawia się w mieszkaniu poprzez metawers. Oszałamiająco realistyczna, Atala naprawdę wydaje się być z nimi, podczas gdy wciąż znajduje się na drugim końcu miasta.

Jej pierwszym odruchem jest pocałowanie Onyx, która poddaje się temu z radością. Spogląda na KatKę, która już dawno dała jasno do zrozumienia, że jest już za duża na tego typu pocałunki.

„Jak się macie dzieci, czy w domu wszystko w porządku?

- Tak, tak”, odpowiadają siostry chórem.

- Świetnie. Tata wrócił już do domu z zakupów?

- Nie, jeszcze nie, odpowiada Onyx.

- Oh. Zejdzie mi jeszcze chwilka. Nie wiem co się dzieje dziś wieczorem, ale to jakieś szaleństwo.

- Nie martw się mamo, uspokaja ją Onyx, dajemy sobie radę. Zagramy w jakąś grę?

- Dobrze skarbie. W co chcesz zagrać?”

Na szczęście dla Atali, gra zaproponowana przez jej córkę jest prosta, rodzaj spadających klocków w kształcie criarunów. Robotyczka nie rozumie, skąd wzięła się u Onyx pasja do tych stworzeń, ale dobrze, że znalazła jakieś centrum zainteresowania. Czuje się mniej winna, że tak często zostawia ją samą.

Mniej winna?

Ponieważ moja córka jest zmuszona szukać zainteresowania w banalnych zwierzętach, a nie we mnie?

Aż wstyd jest tak myśleć!

Tam, na ulicy, siedząc na publicznej ławce, samotna pośrodku tłumu, Atale zmuszona jest przyznać się do tego, że jest złą matką.

Rozpacz rzuca ją na kolana, jakby była potracona przez rozpędzonego DALEKA. Jest tak oszołomiona jakby cudem przeżyła.

Wokół niej obywatele-akcjonariusze czekają przed samoobsługowym terminalem, aż jakiś pojazd będzie wolny, by mogli wrócić do domu. Niestety transport publiczny jest przeładowany. Zupełnie nieprzygotowani na czekanie – w Mantris wszystko jest zorganizowane tak by się na nic nie czekało – użytkownicy improwizują kolejkę i odkrywają szkodliwy wpływ zniecierpliwienia na ich nastrój. Wkrótce, cała sieć tętni od filmików kręconych na żywo. Obficie komentowane, osiągają szczyt popularności, gdy zaatakowani są pasażerowie na gapę. Nagranie bójki dwóch użytkowników z dzielnicy finansowej, która w normalnych warunkach jest bardzo bezpieczna, ma największą liczbę wyświetleń od początku tego tygodnia.

To jednak nie interesuje Atalie. Nie do końca. Ona nie jest złym obywatelem-akcjonariuszem, jest tylko złą matką.

Musi zdać sobie sprawę z tego, że jej życie jest anarchiczne i wybuchowe, podobnie jak aktualna sytuacja w Mantris. Pracuje po godzinach, aby uciec z domu, od codziennego małżeńskiego życia, którego płomyk powoli, ale nieubłagane wygasa, od winy, że zerwała więzi z najstarszą córką i od tej cholernej odpowiedzialności za przeniesienie choroby genetycznej na Onyx.

W końcu Fabro ją wybrał, nigdy nie starała się być kimś, kim tak naprawdę nie była. Ale dzieci? One nie pchały się na świat, to ona je urodziła, musi być teraz odpowiedzialna za swoje decyzje. Fabro jest. Ale ona nie .

I po co to wszystko? Po to by pracować w korporacji, która właśnie ją zwolniła! Przed chwilą i to wysyłając jej zwykłą SITUacyjną wiadomość.

„Ponieważ program autonomicznych robotów nie jest zgodny z nowymi zasadami optymalizacji energii ustalonymi przez DCM, w związku z czym, jest tymczasowo zawieszony. Kierownictwo umieszcza wszystkich zaangażowanych pracowników na czasowym urlopie do odwołania. Zawieszony jest również dostęp do korporacyjnego metaversów. Będziemy jednak pozostawać w codziennym kontakcie z naszymi pracownikami, aby informować ich o zmianach na rynku. Jesteśmy i pozostajemy dużą, zjednoczoną rodziną. AGD-Amica-Domix czuwa nad tobą, czuwaj nad AGD-Amicą-Domix!” Dranie.

Jak ona o tym powie Fabro? Czy będzie ją obwiniał? Wkurzy się? Zostawi ją?

W mgnieniu oka zdała sobie sprawę z absurdalności swoich obaw. Fabro to najmilszy mężczyzna jakiego zna, zawsze pozytywny, wesoły i pełen humoru. Będzie się z tego wszystkiego śmiał, powie jej, że jest najlepszą Robotyczką w Mantris, że szybko znajdzie nową pracę, „A kiedy już ją znajdzie, z pewnością usłyszy jak jej obiecuje, że skontaktuje się AGD-Amicą-Domix i powie im : ” Chłopaki, zwolnijcie waszą kadrową, ponieważ popełniła duży błąd zwalniając Atalę!” I będzie tak szczerzy, że ona też w to uwierzy.

Jak może w to wątpić?

Łzy napływają jej do oczu. Jest złą matką, ale czy jest też złą żoną? Co jest z nią nie tak?

„Czeeeeść Pchełki! Świetna nazwa, uwielbiam ją!”

Cała rodzina odnajduje się w metawersie, kiedy persona Fabro też się w nim pojawia. Nawet bez obrazu, jego wysoki, porywający głos jest łatwo rozpoznawalny.

„Wszyscy mają się dobrze?

- Cześć tato, tak, tak, w porządku.

- Witaj kochanie.” Atale waha się, poczym rzuca jakiś banał „Utknęłam w pracy, mogę wrócić do domu późno. A ty jak się masz?

- Muszę przyznać, że tutaj jest jakieś szaleństwo! Pamiętacie, że chcieliśmy iść całą rodziną do ogrodu zoologicznego? Cóż, następnym razem, zabiorę was na zakupy, tutaj jest podobnie, ale taniej”! Śmieje się, jego persona doskonale naśladuje jego wesołą naturę. „Muszę wam opowiedzieć...

- Nie masz jakiegoś wideo, pyta KatKa.

- Nie, nie miałem czasu.

- Tato, powinieneś iść z postępem, teraz, zaraz! Zeszłej nocy, widziałem na Borzonie, super fajny implant siatkówki, retro design, nikiel dla starszej osoby jak ty.

- Dziękuję, moja droga, obiecuję, że się nad tym zastanowię. Ale narazie opowiem wam co się stało. Więc... jak mówiłem, spotkałem starszą parę, która zaopatrywała się w papier toaletowy, ale w ilościach przemysłowych. Nagromadzili na swoich wątłych ramionach wszystko, co mogli udźwignąć. Byli tak obciążeni, że dokładając kolejną paczkę, dwie inne im spadły, coś szalonego. I tak sobie pomyślałem: to czyste szaleństwo, oni gotowi są głodować, byle tylko mieli czyste pośladki.”

Fabro chichocze, a Atale i Onyx mu towarzyszą. KatKa, wydaje się być gdzie indziej.

„Przysięgam, to było niezwykle imponujące!” – dodaje, po czym przyznaje, że wcale nie było to tak zabawne.

Trzeba przyznać i to wbrew pozorom, że tak naprawdę to nie ma go w domu. Podczas gdy on fizycznie wędruje po alejkach sklepu, jego persona przeszukuje szafki i wbudowaną lodówkę, aby zinwentaryzować zapasy. Co

prawda, sprawdził wszystko przed wyjściem z domu, ale zapomniał wziąć ze sobą łątki pamięci – cholerne dopalacze, bez nich nic nie można zrobić.

„Kochanie, wcina się Atale, chciałam ci powiedzieć...”

Ach, uspokaja się Fabro. Wreszcie ośmiela się przekazać mi informację.

" Tak ?

- Ja.... mam... "

Dlaczego się wahasz, kochanie? Powiedz mi, ja już wiem o AGD-Amice-Domix.

Akurat dowiedział się o tym przez przypadek. Jak tylko wprowadzili płatne baterie, Fabro reaktywował swoją prośbę o eksperymentalny protokół dla Onyx; miał nadzieję, że uda mu się otrzymać zgodę, zanim zakwestionowana również zostanie bezpłatna opieka zdrowotna. Odpowiedź otrzymał dziś rano przez SIT.

„Pomimo jakości przedstawionych dokumentów twojej córki, bla-bla-bla i chociaż doceniamy twoje zaufanie do firmy bla-bla-bla, z przykrością informujemy, że nie możemy zapisać Onyx do programu, z powodu decyzji podjętej przez AGD-Amicę-Domix, o wysłaniu Atale Lag'Chuo na bezterminowy urlop. Mimo to, zachowujemy twoje dane kontaktowe dla bla-bla-bla.”

Podwójny szok: córka zostaje pozbawiona opieki, a żona wyrzucona z pracy. Na dodatek, Atale nic mu o tym nie powiedziała! OK, też nic nie powiedział jej o Onyx, ale to nie to samo.

Z pewnością, w obliczu obecnego kryzysu to nie był najlepszy czas by stracić pracę. Ale Fabro jest przekonany, że dadzą sobie jakoś radę. Razem. Wystarczy, że Atale będzie z nim szczerza, to wszystko czego oczekuje. Przecież nie prosi o tak wiele, prawda?

„Słucham cię, kochanie – ponagla ją Fabro.

- Dlaczego zwracasz sobie głowę zakupami?

- Dlaczego?, odpowiada gorzko Fabro. Och, powiem ci, dlaczego. Chciałem, żeby jak zwykle dostarczono zakupy do domu, ale wyobraź sobie, że usługa nie działa. Te cholerne roboty, nigdy nie ma ich tam, gdzie są potrzebne, co nie?

- Tym lepiej – interweniuje KatKa. Czy wiecie, ile energii używają niepotrzebnie te wszystkie zwłoki na nogach?

- No, no, śmieje się Fabro, przejmujesz energooszczędne credo DCM? Nigdy bym cię o to nie podejrzewał.

- Masz trochę poprzewracane w tej twojej głowie tato! DCM to pożegnanie się z demokracją, niech eksperci zrobią swoje, a wy obywatele-akcjonariusze zamknijcie swoje usta. Żartujesz sobie, słyszeliście ich propagandę? „Aby zachować naszą technologię, zużywajmy mniej energii”. Eh! „W solidarności z przyszłym pokoleniem”. Ja jestem przyszłym pokoleniem i mogę was zapewnić, że nie wierzę w to wcale, a wcale. „Każdy kto zostanie przyłapany na kradzieży, będzie podlegał karze grzywny w wysokości dwóch Krezusów”. A jak jest kara za zagarnięcie całego bogactwa? Nie ma mowy tatku, chcę tylko powiedzieć, że rozwiązaniem nie są roboty tylko low-tech. Ale naprawdę low-low.

- Mam wrażenie, że rozmawiasz ze swoimi przyjaciółmi z ÅPØLØW, a nie z nami” - mamrocze Fabro.

Metawers, w którym wszyscy się znajdują jest tak realistyczny, że widzi, jak KatKat zastyga, chociaż jej zaskoczenie jest ulotne. Miał więc rację, ona jest właśnie w trakcie rozmowy ze swoimi przyjaciółmi, „niedzielnymi spiskowcami”, jak lubi ich nazywać. Łatwo jest to wykryć, kiedy wiesz, jakiego znaku szukać: niewyraźne spojrzenie, źrenice w spoczynku. ÅPØLØW wykorzystuje dźwięk, a nie

obraz, sprytny sposób na zachowanie dyskrecji w oświetlonej Mantris. Tylko, że wtedy oczy błędzą, a uszy słuchają... Fabro nigdy nie wyjawia swojej córce, że znalazł sposób, by dowiedzieć się, kiedy go okłamuje. Nie ma mowy o zerwaniu z nią więzi, jak to już ma miejsce w przypadku Atali. To nie przeszkadza mu pozostać uważnym, gotowym do interwencji, jeśli jego córka przekroczy rozsądne granice.

Kiedy zaskoczenie przeminęło, KatKa czuje się zakłopotana. Tym lepiej, może wciąż jest nadzieja, że oderwie się od tych klaunów.

„Ja, bardziej niż za low-tech, opowiadam się za autonomią, deklaruje Atala, jej persona siedzi na sofie w mieszkaniu, tak jak ona siedzi na publicznej ławce, z której jeszcze się nie ruszyła. Wychowałam ciebie i twoją siostrę byście były samodzielne i nie żałuję tego.

- Ty je wychowałaś? Sama ? Dzięki, fajnie dla mnie.

- Nie, poczekaj, Fabro...

- Muszę was opuścić, tu zaczyna się coś dziać. Kat, liczę na ciebie, że będziesz czuwać nad swoją siostrą, w porządku?”

Fabro pośpiesznie przerywa komunikację. Trzeba przyznać, że nie potrzebnie obraża się za tak małą rzecz, doskonale wie, że nie o to jej chodziło, ale od małego drobiazgu do małego drobiazgu, staje się to niewybaczalne. Poza tym nie chce słuchać usprawiedliwień Atali, bo one tylko pogorszą sprawę. Na dodatek, dwóch facetów naprawdę kłóci się o ostatnie musowe-jabłko w sklepie i to pod okiem sprzedawcy, który wygląda jakby chciał podwinąć rękawy i włączyć się do walki. Ta sytuacja zaczyna naprawdę przeradzać się w wielki bałagan! Fabro stara się wszystkich uspokoić, oferując każdemu, kto chce trochę dopalaczy z jego osobistej rezerwy.

Mimo to, jest wkurzony niczym zębaki droidów, może dobrze by mu zrobiło, gdyby trochę podniósł głos. Powinien przestać bawić się w dobrego, cichego, rodzinnego ojca rodzinny i być bardziej stanowczy, gdy to jest konieczne.

Fabro zachowuje to dla siebie, ale to wszystko, by nie miało miejsca, gdyby Intendent był bardziej stanowczy w stosunku do Arkhantii. Ich ziemie są pełne triselu, którego nie wykorzystują. Ci faceci w sukienkach są samolubni i technofobiczni i chcą rzucić Mantris na kolana. Jesteśmy postrzegani jako słabi i płacimy za to wysoką cenę.

Cholera, zaczyna się bać! Co stanie się z moją rodziną? Z Onyx? Jest gotów zrobić wszystko, aby chronić swoją rodzinę, ktoś musi mu tylko powiedzieć, co ma robić...

KatKa powstrzymuje westchnienie ulgi, gdy jej ojciec opuszcza metawers. Została prawie namieżona! Było bardzo gorąco, gdyż byli w samym centrum bezpośredniej akcji: w dzielnicy handlowej, propaganda Intendenta została zhakowana przez gReeka, najlepszego haker ÅPØLØW. Ich najpiękniejsza operacja, KatKa jest bardzo z tego dumna! Jej ramiona i uda są rozświetlone Chibis Ordis, oczy skrzyżowane, duża kropla potu kapiąca z czoła.

Specjalnością Kati są miniproty – czyli „mini-protesty”, termin, który spopularyzowała w grupie. Zaplanowali już kilkanaście w niecałe dwa tygodnie, w tym też przerwa w dostawie prądu w dzielnicy bogaczy – niech zasmakują jak to jest! KatKa ma również słabość do wiadomości dźwiękowych, które potępiają kłamstwa o bateriach Vmax – Noria kontroluje wszystkie wyświetlacze, ale nikt nie może powstrzymać kogoś przed krzykiem do wzmacniacza. Dodatkowo, KatKa wprowadza pasożytnicze trzaski, które maskują ich głos i uniemożliwiają ich wysłuchanie! Wymaga to dużej koordynacji, ale czego się nie robi w imię tak słusznej sprawy. Zmienić świat, otworzyć

oczy obywatelom-akcjonariuszom doładowanym przez meditechy komfortu, czy nie jest to warte wysiłku. Jej przyjaciele z ÅPØLØW mogą na nią liczyć.

„Kat, już prawie jestem!”

Nastolatka potrzebuje długiej sekundy, by zrozumieć, że Onyx nie przemawia do niej poprzez metawers; jej głos dochodzi przez ich własny kanał. Pomimo tego że metaverse pokazuje, że Onyx bawi się w domu, ale KatKa nie widzi nigdzie kanału. Dźwięk nie pasuje do obrazu.

Teoretycznie, KatKa powinna z łatwością potwierdzić obecność swojej młodszej siostry w mieszkaniu, ponieważ powinna być z nią i nad nią czuwać. W rzeczywistości jednak, Æl odizolowała się w sklepie Nyvenny, aby przeprowadzić swoją akcję – *Ani Trywialne, ani Daremne*, jest poza siecią, łatwiej jest więc zatrzeć wszelkie ślady. Onyx jest jedyną osobą, która wie i która zgodziła się by kryć swoją starszą siostrę, udając, że KatKa jest z nią w mieszkaniu.

Nastolatka wie, że nie powinna tak robić. Ale do cholera, Æl nie jest jej matką!

Nękana przez złe przeczucia, KatKa aktywuje komunikator.

„Co ty mówisz, gdzie ty jesteś?

- Jestem u Nyvenny. Czekam tam na ciebie.

- Co? Gdzie jesteś ?

- Dlaczego tak na mnie krzyczysz?

„One, gdzie jesteś...

- Przede wszystkim to twoja wina, jestem sama, nikogo tam nigdy nie ma, nawet nie zauważyliście, że nie jestem już w Pchełkach!”

Na drugim końcu kanału, dziewczynka zaczyna nagle szlochać. KatKa wpada w panikę, Æl byłaby gotowa

zagłosować za racjonowaniem DCMu, gdyby to pozwoliło jej być u boku siostry, właśnie w tej sekundzie.

Rozdział 6.2

„W porządku One, w porządku. Po prostu powiedz mi, gdzie jesteś, proszę cię.

- Na ulicy bołą mnie nogi.

- One, mów głośniej, nie słyszę cię dobrze.

- Nie mogę, śledzą mnie dwaj dziwni chłopcy. Kat, boję się... Kat, Kat, pośpiesz się!”

Nastolatka jest sparaliżowana tą wiadomością, unieruchomiona strachem gęstym jak żelatyna. To co się dzieje jest po prostu niemożliwe,. Onyx... Onyx!

„Tato ! Mamo ! Nie wiem, gdzie jest Onyx!

- Co ukryła się gdzieś w mieszkaniu? — żartuje Fabro, który po ułagodzeniu klientów wrócił do metawersu.

- Nie, wyszła z mieszkania. Jest na ulicy!

- Pozwoliłaś jej wyjść samej?

- Tato...

- Wyszła z Kubu?, interweniuje Atale, wciąż nie ruszając się z ławki.

- Nie wiem, mamo, nie wiem!"

Fabro łączy się ze słuchawkami antydźwiękowymi Onyx, aby wsłuchać się w dźwięki otoczenia wokół swojej młodszej córki. Słyszy westchnienia przeplatane szlochami, które sprawiają, że jego puls rozrywa mu serce. Słyszy również szelest skrzydeł Sphaxa i trzask gąsienic Kubu.

"Kijanko? Tata tu jest, wszystko będzie w porządku." *Podły łgarz!* Potem zwraca się do Atali. „Tak, jest ze swoimi bobotami.”

- Jest w dzielnicy Naylyan, I/M-1956.

- Co ona tam robi? Co się do cholery dzieje?

- Porozmawiamy później. Jestem w drodze.”

Atale wstaje. Przygnębiona jeszcze chwilę wcześniej, idzie zdecydowanym krokiem na początek kolejki, obojętna na protesty czekających. Mija Meditecha, którego nadeszła kolej i wskakuje do Daleka, który właśnie dotarł do stacji przeładunku.

„Hej, co sobie myślisz? – buntuje się poszkodowana pasażerka. Ale nie protestuje dalej, kiedy widzi spojrzenie w oczach Atali. Spojrzenie matki gotowej zrobić wszystko dla swoich dzieci.

Mimo to, Atale przybędzie tam za późno...

Onyx nie słyszy jak ojciec próbuje ją uspokoić, biegnie z całych sił, jej przyśpieszony oddech i szum w uszach sprawiają, że jest praktycznie głucha. Biegnie tak ciężko, że mogą pęknąć jej płuca, a gardło ją pali jak zbyt gorąca zupa. Spanikowana, zerka przez ramię, co trzy kroki. Chłopcy podążają za nią i nawet nie muszą biec, żeby ją dogonić. Pomyślała sobie, że to dobry pomysł, aby przekraść się do małej bocznej alejki, zaciemnionej z powodu wyłączonych świateł, w związku z oszczędnościami energii, niestety zostaje sama ze swoimi prześladowcami, którzy są tuż tuż za nią.

Jeden z typów ma grzebień z cyber-włosów i uśmiecha się do niej jak przerażający potwór. Drugi za to, ma przezroczyste tatuaże pozwalające zobaczyć wszystkie jego b e b e c h y . O b a j w y g l ą d a j ą j a k z ł o c z y ń c y z animowanego-hologramu. Przerażona, ciągle spogląda za

siebie, a nie patrzy tam gdzie stawia kroki, jak zawsze powtarzała jej mama.

Niechybnie potyka się i upada. Pod wpływem szoku, narośl na jej brodzie pęka, odrywając długi płat skóry, który zaczyna obficie krwawić. Ból paraliżuje całą jej szczękę i okrutnie gryzie się w język. Onyx krzyczy z bólu i strachu.

„Ha, ha, kpi sobie Cyber Grzebień, straciła jeden ze swoich implantów.

- Jakie to jest okropne, nawet obrzydliwe, stwierdza Przezroczystry Tatuaż, kucając przy szlochającej dziewczynce. I zamknij się, bo pękają mi uszy!

- Jak otwierają się twoje roboty?, denerwuje się jeden z nich, próbując zrobić wszystko, by unieruchomić Kubu. Daj nam ich baterie, inaczej przysięgam, że je rozwalę.”

Wciąż klęcząc obok, wytatuowany chuligan gapi się na Onyx: z brodą we krwi, twarzą zalaną łzami, plecami przypartymi do ściany. Nurkujące ataki Sphaxa są tak nieistotne, że nawet go nie rozpraszają.

„Chyba że wolisz, żebyśmy ciebie rozwalili na kawałki?

- Nic nie zrobisz temu dziecku.”

Dwaj bandyci odwracają się w kierunku kobiety, która pojawiła się na końcu zaułka. Drobna, o delikatnych rysach twarzy sugerujących terapię genetyczną, włosy splecione w jeden gruby warkocz na plecach, ma na sobie długi płaszcz przeciwdeszczowy w stylu retro, z implanatami cyber-halo wystającymi na wysokości ramion. W jej wyglądzie jest coś ponadczasowego, kontrastującego z napastnikami. Emanuje z niej powaga, nawet surowość, a oczy jej płoną, widząc nikczemną niesprawiedliwość rozgrywającej się przed nią sceny.

Nie ma się czym martwić, ta dziwna nieznajoma nie wygląda na bardziej niebezpieczną niż dziewczynka. A jeśli ta mała obywatelka-akcjonariuszka widzi siebie jako zbawcę,

szybko pokażą jej kto tu rządzi. Mimo to, jest coś strasznego w tej kobiecie podchodzącej do nich po cichu. Lekki, bezgłośny krok, zbyt duża pewność siebie i jej prawa ręka zanurzona w kieszeni płaszcza przeciwdeszczowego, poza zasięgiem ich wzroku.

Kiedy ją wyciąga, dwaj bandyci się wzdrygują.

To tylko zabawne ziarenko kwiatów, które otwiera czubkiem paznokcia, po czym wrzuca nasionko do ust, nie podnosząc ręki ponad pasek.

„Daję wam dokładnie jedną szansę, byście wzięli nogi za pas, panowie. To więcej niż ktokolwiek mi dał, dodaje tajemnicza nieznajoma.

- Jesteś zabawna.”

Gdy Cyber Grzebień zbliża się do kobiety, jego palce wydłużają się ponad miarę, a następnie łączą się w metalowy kij bejsbolowy pokryty kolcami. Nadal spokojna kobieta strzela pustą łuską, która trafia go prosto w oko.

„Debilka!”

Nie ma czasu, żeby powiedzieć coś więcej. Z oszałamiającą szybkością kobieta staje przed nim, trudno jest to określić inaczej. Kopie jedną nogą i miażdży mu orzeszki, dosłownie unosząc go z ziemi. Chuligan wydaje zduszony jęk i odlatuje, ręce i nogi pozostają w tyle za miednicą.

Nieznajoma unosi nogę bardzo wysoko i czubkiem stopy uderza Cyber Grzebień pod brodą. Utrzymuje go w powietrzu, jakby w pionie, niczym kolos unoszący przeciwnika, chwytając go za szyję. Jego workowate spodnie zsuwają się z jego nogi, odsłaniając pokrytą kamuflażem cyber kończynę.

Drugi bandyta niezręcznie wycofuje się, po czym odwraca się i ucieka. Potężnym ruchem miednicy kobieta popycha ofiarę, która ląduje na plecach swojego współnika .

Obaj upadają tworząc kłębek splątanych kończyn.

W końcu, Przezroczysty Tatuż podnosi się i pomaga swojemu kumpłowi wydostać się z zaułka.

Nieznajoma już o nich zapomniała. Odwraca się do dziewczynki, która z dłonią przyciśniętą do brody próbuje zatamować krwawienie. Jest coś w jej spojrzeniu trudne do opisanie, dojrzałość, której wielu dorosłych wciąż jeszcze nie ma, kryjąca się pod przykrywką jej dzieciństwa. Jej deformacje mogą budzić litość, ale jej spojrzenie zachęca raczej do podziwu.

Mimo to zasługuje na opieczętowanie za swoje głupie zachowanie.

„Powinnaś bardziej uważać na swoje roboty, ponieważ od kiedy baterie są płatne, jest coraz więcej kradzieży.”

Onyx tylko kiwa głową, obejmując dłonią podbródek. Jest trochę onieśmielona, szorstkim tonem głosu, tej super silnej kobiety.

„Powiedz mi, te twoje roboty nie są to chronnymi robotami. Jak więc działają na obszarze, gdzie elektryczność została odcięta?”

- Moja mama je robi.

- Bardzo ciekawe. A gdzie mieszka twoja mama?

- Dzielnica Riota, mieszkanie....., zaczyna recytować Onyx, tak jak nauczyli ją jej rodzice.

- Onyx Onyx, jesteś tam...”

KatKa wypada zza rogu zaułka i rzuca się na swoją młodszą siostrę, przytulając ją mocno i pokrywając zmartwionymi pocałunkami. Ciepłe uczucie ulgi rozprzestrzenia się w jej piersi, wciąż zabarwione zimnymi nutami winy i własnej głupoty. Jej zmartwienie rozplywa się z dużą prędkością... kiedy kilka szczegółów uświadamia jej nagle, że ta kobieta wygląda jak policjant. AEl została namierzona?

Ale nie to jest najważniejsze w tym momencie.

„Czy wszystko w porządku, nic ci nie jest? Twój podbródek!

- Boli, bo za mocno mnie przyciskasz.

- Przepraszam ! Gdzie są ci tchórze? Nic ci nie zrobili?

- Nie, ta pani mi pomogła.

- Salomea” — przedstawia się nieznajoma.

Pomysleć, że straciła kontakt z Intendentem, by ratować tę dziewczynkę, a teraz nazywają ją nawet „panią”? Czy ona wygląda tak staro? Dzieciaki...

„Cóż, gdzie mieszkacie?

- Dziękujemy, poradzimy sobie, odpowiada KatKa, same wrócimy do domu.

- Jesteś bardzo miła, ale nie zadałem sobie tyle trudu, żebyście wpadły na innych kretynów.”

Na jej ramionach pojawiają się migające hologramy, które gasną, gdy dołącza do nich automatyczny motocykl.

„Zawiozę was do domu i tyle. Więc jaki jest ten adres?

- Idziemy do Nyvenny?”, pyta Onyx swoją siostrę.

- Nie, musimy naprawdę wrócić do domu. KatKa zwraca się do Salomei. „Dzielnica Riota, E/P.

- Numer mieszkania ?

- Po co? Czy twój motocykl wysadzi nas pod drzwiami?”

Salomea uśmiecha się, polubiła tę nastolatkę. Chwilę później, odjeżdżając, obserwuje dwie siostry skulone razem w przedziale pasażerskim jej motocykla. Podróż w obie strony zajmuje pojazdowi mniej niż pięć minut, ale ona nie ma chwili do stracenia: jej śledztwo w sprawie Intendenta nie może czekać.

Odsuwa poły swojego przeciwdeszczowego płaszcza, by nie krępować swoich ruchów i w kilku energicznych skokach, znajduje się na dachach niskich budynków w

sąsiedztwie. Potrzebuje odsłoniętego punktu obserwacyjnego, aby odnaleźć swój cel.

Rozdział 7

Torba baterii

« Możesz to naprawić, nieprawdaż?

- Tak, oczywiście, panie RaHavani, w końcu jestem pana totumfackim. Pana automatyczna sekretarka jest w dobrych rękach. Przynajmniej w *dwóch* dobrych rękach.”

Z okiem skupionym nad powiększającą lupą, Viggo pochyła się nad maleńkim urządzeniem. Z mikro-pęsetą w każdej ręce grzebie w jego wnętrznościach, jakby przeprowadzał sekcję zwłok ropuchy. Skoncentrowany na starożytnych połączeniach przewodowych, odchyła je na bok z gorączkową ostrożnością sapera. Komora baterii jest zakopana pod płataniną cienkich kabli splątanych jak włosy, nie może się do niej dostać.

„Po prostu.....widzi pan, to jest ostatnie nagranie mojej żony.” Łysiejący, starszy pan drapie się po głowie, wzdychając. Jest taki stary, że ma się wrażenie, że wieje od niego naftaliną. „Ten model nie jest już nigdzie produkowany, sprawdziłem to u producenta. Personna na recepcji nie była zbyt miła, kiedy mi o tym powiedziała. Nie spodobał mi się jej ton, kiedy była zaskoczona, że w dzisiejszych czasach można jeszcze korzystać z automatycznej sekretarki.”

Jego gęste wasy drżą z oburzenia. Z pewnością, chciałby wygłosić tutaj, w sklepiku Viggo, słowa, których nie mógł znaleźć w salonie firmowym korporacji.

Viggo jest zadowolony, że ta automatyczna sekretarka z innej epoki, pojawiła się w jego pracowni. To trochę jak karmiczne spotkanie, które łaskocze jego mięśnie jarzmowe.

Urządzenie jest jak kropla wody, która przemierza promienie jego nieopisanej radości do życia, zmieniając tę naprawę w nieoczekiwaną tęczę.

Viggo uśmiecha się. Pomimo tego, że bateria jest prawie pusta, mimo że, urządzenie się sformatuje, jeżeli go natychmiast nie naprawi, pomimo ryzyka, że głos pani RaHavani może zostać na zawsze wymazany, wysłany do zaświatów... on uśmiecha się. Viggo żyje czekając właśnie na takie chwile : jest jednym z ostatnich recyklerów w Mantris. Jego powołaniem jest przywracanie urządzeń do życia, a nie bycie grabarzem.

„Bardzo mi pana polecano, upiera się klient, któremu nie udaje się zinterpretować radości sklepikarza. Może pan to naprawić, zgadza się?

- Mam mgliste wspomnienia tego typu przedmiotów, ale niestety żadnej gwarancji. Ale będąc tak kreatywnym jakim jestem, nie odpuszczę”, uspokaja go Viggo nie podnosząc oczu.

Próbując przetłumaczyć sobie jego słowa, godne szalonego naukowca, starszy pan rzuca okiem na sklepik, by przekonać się o umiejętnościach jego właściciela. Umieszczony wokół podstawy filaru kopuły, wygląda jak zadaszony rynek z licznymi straganami, handlowy pasaż, po którym można krążyć w nieskończoność, a jednak, w czasie każdego przejścia odkryć coś nowego.

Nie ma tutaj żadnej drukarki 3D na żądanie, tylko przedmioty fizyczne, dostępne na magazynie. Klienci szwędają się całymi rodzinami, zadzierając nosy lub kucając przed rzuconymi na podłogę dywanami. Szperają w kopcu starych zabawek, porozrzucanych jak w dziecięcym pokoju, chyba, że szukają jakiegoś naszyjnika, czy kieszonkowego zegarka pomiędzy biżuterią zawieszoną przy suficie. Wdychają zapachy mydlanych lub ługowych kostek,

przeglądają książki lub czasopisma, by przypomnieć sobie przestarzały zapach papieru. Podziwiają szafy z prawdziwego drzewa, otwierają je dla samej przyjemności pieszczenia pachnących woskiem drzwiczek. Wsłuchują się w tik-tak wahadłowego zegara i w uderzenia maszyny do pisania sterowanej głosem.

Sklepik Viggo to krok w drzwiach postępu, które nie mogą się jeszcze zamknąć na świat przed dematerializacją. Rezultatem jest przeciąg – powietrze tamtych lat - czasem nostalgiczna i świeża bryza, czasem wiatr powodujący dreszcz..... Dla większości Mantrian jest to problem izolacji, którą trzeba uszczelnić.

W oczach pana RaHavana, to ostatnie miejsce, gdzie będzie mógł ponownie usłyszeć głos swojej zmarłej żony.

Skupia się jeszcze bardziej na warsztacie, przy którym pracuje Viggo. Zręcząc i przygryzając swoje wąsy, obserwuje z niepokojem migający wskaźnik baterii.

„Mam nadzieję, że nie jest za późno. Nie używałem jej od lat, ale przecież baterie nie mogły się tak poprostu rozładować.

- Czy panu też się to przydarzyło?, pyta mama, która przyszła zapłacić za tablet z ekranem dotykowym, który właśnie sobie wybrała. Mi się to przydarzyło dwa dni temu....”. Odwraca się w stronę swojego niemowlaka, który unosi się tuż za nią w autonomicznym wózku, spoglądając na niego wzrokiem pełnym miłości. „Kupiłam nowy smoczek antydźwiękowy..... nowiutki! I popsuł się tego samego wieczoru. W związku z tym, nie zamknęłam oka przez całą noc, ponieważ niemowlę płakało.” Z czułością szczypie policzek maleństwa, które z radością łapie się za stópki. „ To prawda, że płakałeś całą noc, mój ukochany potworku?”. Odwraca się do Viggo i pana RaHavana z

utraconą radością.” Myślałam, że Intendent i inni specjaliści z DCM mieli się zająć bateriami? Na co czekają, na black-out?

- Wydaje mi się, że DCM nie dokona cudu, wzdycha pan RaHavan. Ale pan tak, panie Viggo, nieprawdaż? Oczywiście chodzi o moją automatyczną sekretarkę...”.

Zainteresowana tym, jak sprawy się potoczą, klientka pochyła się nad warsztatem pracy. By zabawić swoje niemowlę, podaje mu tablet. Maluch natychmiast zaczyna lizać podświetlany ekran. Szczęśliwy, z twarzą opryskaną przez wyświetlacz 2D, pociera swój nosek o obrazek prześlicznego, malutkiego Ravixa.

Ten, który kocha dobrze wykonaną pracę – która wymaga czasu musi się teraz śpieszyć, otoczony przez zainteresowanie i niepokój. A na dodatek, gong drzwi wejściowych odzywa się – prawdziwy, a nie nagrany sygnał podłączony do czujnika. Kolejny klient, który przybywa, by go popędzać, to jest nieprzyzwoite, natrętne!

Wszystko to byłoby prostsze, gdyby zdecydował się na wszczęcie sobie kilku cyberów, np. dodatkowego wspomaganie albo wielokierunkowych oczu. Jednak sklepikarz w eleganckiej kamizelce od garnituru jest z przekonania równie staroświecki jak jego sklepik.

„O Boże!”

Nie pozwalając sobie na niepowodzenie, Viggo próbuje wszystkiego. Zrywa się ze swojego starego fotela na kółkach, szpera między półkami, szemrając tylko w sobie znanym języku, wpada w zachwyt przed cudem odżykanym zoopraksiskopem, przesadnie mruga, żeby się skoncentrować i w końcu odnajduje prototyp recyklera baterii.

„Eureka!”

Podłączony do automatycznej sekretarki, prototyp powinien pozwolić mu na podładowanie kwarcu, wystarczy

ustawić się na jego częstotliwość rezonansową. To wszystko jest jeszcze na etapie eksperymentalnym, jest jeszcze za wcześnie na jakiegokolwiek testy, ale biorąc pod uwagę okoliczności.....

Za zasłoną słodkiego szaleństwa Viggi, ekletycznego i elektrycznego, skrzyżowanego z elegancką godnością, kryje się pośpiech, który niepokoi starszego pana.

„ Błagam pana, panie Viggo, tak bardzo chciałbym usłyszeć ją ostatni raz, to jest dla mnie bardzo ważne.... Od czasu jej Podniesienia, nie rozpoznaję głosu mojej żony. Mimo że, ona mi przysięga, że nic się nie zmieniło, że powinnienem sobie podarować nowe uszy, ale jestem gotów przysiąc, że jej Mantrix, nie ma tego samego dźwięku.

- RaHavani....RaHavani....” Mama zbiera swoje myśli, które skupiają się jak magnetyczny brokat wokół magnezu. „Jest pan mężem....

- Dzień dobry, to sekretarka Datti RaHavani, numerycznego architekta pierwszego huba daleków. Jestem niedostępppp....”

Głos dławi się, automatyczna sekretarka zamiera, pan RaHavani jest wzruszony, mama się podrywa, maluch chichocze, nowa klienta – która pozostaje z boku - ma nadzieję, że ktoś w końcu się nią zajmie. Tylko Viggo pozostaje panem samego siebie. By lepiej panować nad podekscytowanym drżeniem powiekiem za monoklem, ustawia recyklera, mając nadzieję na uchwycenie innego echa, tego przeznaczonego na zapomnienie głosu.

„.....ppppny, proszę zostawić wiadomość. Chyba, że jest przeznaczona dla mojego męża, bo prawdę mówiąc mam inne sprawy na głowie, niż przekazywać mu wiadomości. Już od dawno mówię mu, by się wyposażył!

- To naprawdę ona, moja Datti, stwierdza pan RaHavani ze skurszonym uśmiechem. I miałem rację: jej głos został

zmieniony. Wszyscy mówię, że Podniesienie zachowuje charakter, moja Datti również. Mam teraz dowód na to, że się mylą!

- Z wyjątkiem, że..... niestety”, mówi Viggo z wielkim żalem w sercu i łzą, która wymknęła się spod monokla.

Przerywa mu brzęczenie automatycznej sekretarki, która opróżniona formatuje się.

„Proszę się nie martwić, mówi starszy pan, stukając w swój SIT, zdążyłem wszystko zarejestrować.” Zniecierpliwiony, by pokazać to swojej Mantrix żonie, drepta w kierunku wyjścia mówiąc. „Zostawiam panu moją automatyczną sekretarkę. Jej miejsce jest w pana sklepiku.”

Viggo i mama patrzą się jak odchodzi, poczym ponownie skupiają się na na głosowym grobowcem pani RaHavani. Wzruszając ramionami, mama opuszcza sklepik, samodzielny wózek podąża za nią. Viggo jest w końcu sam.....

„ Pani Nyvenna? Jak miło znów panią widzieć!

- Dzień dobry Viggo.

- Do diabła, jak pani dyszy! Czy chce pani się czegoś napić? Mam akurat świeży sok z nanaby, pochodzi od przecież wie pani dobrze od kogo.”

Zdejmuje swój monokl, by jego oczy mogły łatwiej zatoczyć łuk wskazując kierunek, gdzie znajdują się nielegalne ogrody położone na dachu Mantris. Nyvenna zna dobrze to miejsce, to tam uprawia swoje lecznicze zioła. Widząc nieco szalony wyraz twarzy Viggo, nie może powstrzymać się od uśmiechu. Uwielbia tego geniusza, który poddaje recyklingowi wszystko, nawet słowa. Jego dziwny ekscentryzm, daje jej nadzieję w ludzkość, jest jak balsam na serce, lepszy niż te, które ona sama robi.

„ Bardzo dziękuję, ale nie jest to konieczne.

- Jak sobie życzysz, moja droga. Nie chcę się narzucać, ale chciałbym się upewnić: wszystko w porządku z zamówieniem, które odebrałaś wcześniej?

- Oczywiście, jak zawsze, wyjaśnia z małą nutką zniecierpliwienia. Ale nie dlatego tutaj przyszedłam.”

Z ulgą, Viggo wyciąga z kieszonki swojej eleganckiej kamizelki chusteczkę z materiału i zaczyna czyścić swój monokl. Mimo, że ma prawie pięćdziesiątkę to ten dodatek jest czystą koketerią.

„Cieszę się bardzo. W takim razie, w czym mogę ci pomóc?”

Z urzekającym uśmiechem, głową lekko przechyloną, Viggo jest ucieleśnieniem dobrych relacji z klientem. Blask w jego oczach świadczy o tym, że oczekuje jakiejś kosmicznej rewelacji. Nywenna miałaby nawet ochotę na pogaduszki z nim, ponieważ jego głos jest szarmancki, ciepły i trochę złamany. Niestety dzisiaj, nie ma naprawdę na to czasu.

Zostało tylko pięćdziesiąt siedem minut, zanim zbiornik Sathyny wyłączy się z powodu braku energii.

„Baterie. Potrzebuję wszystkie, które posiadasz.”

Mimo że, głos Viggo jest cały czas przyjemny, to jego kciuk i wskazujący palec przestają poruszać się z jednej strony na drugą jego monokla, zdradzając jego zdziwienie.

„Wybacz mi, droga Nyvenno, nie chciałbym zawracać ci głowy, ale nie rozumiem twojej prośby? Dystrybucja baterie jest zależna wyłącznie od Konklawy.

- Przecież powiedziałeś mi, że wymieniałeś je w przedmiotach, które zostały ci przyniesione, prawda?

- W rzeczy samej. Naprawa często polega właśnie na prostej wymianie baterii. Nigdy nie jestem znudzony zdziwieniem moich klientów, kiedy im to tłumaczę. Czasami patrzą na mnie jakbym był jakimś czarnoksiężnikiem, jest to bardzo przyjemne i zabawne.

- Masz ich dużo? Gdzie one są?

- Więc....” Viggo zakłada ponownie swój monokl i odwraca się w kierunku zaplecza, mieszczącego się w samym sercu filaru kopuły.” Muszę je policzyć, ale myślę, że około pięćdziesięciu.

- Biorę wszystkie. Ile mam za nie zapłacić?

- Ale.... Nie wiem, one nie są na sprzedaż, a nawet jeśli, nie wiem czy mam do tego prawo. Poza tym, one są prawie puste.

- Viggo, z przyjemnością bym sobie pogadała na temat franczyzy, którą posiadasz lub której nie posiadasz, niestety bardzo mi się śpieszy. Proszę podaj mi twoją cenę.

- Cóż, jestem trochę zdezorientowany. Nie wiem....

- Viggo, proszę.”

Nyvenna nadstawia swoją skórzaną torbę, trzymając ją cały czas otwartą, mając nadzieję przyspieszyć ten proces. Viggo patrzy jej prosto w oczy.

„Mam wrażenie, że będzie to bardzo niezręczne z mojej strony, jeżeli dam ci prawie rozładowane baterie.

- Zadowolę się tym....

- Tak się składa, przerywa głosem linoskoczka, wskazując na recyklera położonego na stole warsztatowym, że wynalazłem urządzenie pozwalające na ładowanie baterii.”

Nyvenna gapi się najpierw na urządzenie, rozmiarów grubej księgi czarów, potem na Viggo. Nie ma pojęcia jak działa to urządzenie, ani co dzieje się właśnie w głowie jej przyjaciela.

„Jeśli mnie pamięć nie myli, twoje meble z prawdziwego drzewa, są renomowane wśród niektórych wysoko postawionych Krezusów.... Myślisz, że mój wynalazek znalazłby wśród nich mecenasa?...”

Nyvenna zastyga z bezwładnymi rękoma, jak prawdziwe skamieniałe drzewo. Przez ten szantaż, ukryty pod

przykrywką wymiany przysług, Viggo właśnie zrujnował wszystko. Ona jest tylko uchodźczynią, Fort-Gotensem, który miesza się z exSITami, aby uniknąć Opaxa. Viggo wie o tym, a mimo to nie waha się narazić ją na ryzyko aresztowania, czy wygnania z Mantris, odesłania do Riftu....

Mogłaby obiecać i nie dotrzymać swojego słowa. Ale nie zrobi nigdy czegoś takiego przyjacielowi. Pytanie...czy Viggo nadal nim jest.

Żarłoczna terażniejszość pożera sekundy z metronomicznym apetytem.

„Możesz na mnie liczyć, Viggo.” Wkłada urządzenie do swojej torby, zanim on jej go wręcza. „Ale pośpiesz się, proszę.

- Oczywiście, oczywiście!”

Viggo wymyka się, zostawiając Nyvennę samą ze strachem uciekającego czasu. Zdenerwowana, drapie ze wściekłością swoje przedramię, odrywając malutkie wiórki swojej korowatej skóry.

Przecież ostrzegała Intendenta, że w końcu będzie brakować baterii. W obliczu zagrożeniem niedoboru, członkowie-akcjonariusze wyczerpują je, zamiast wyrzucać je przy pierwszej okazji. Standardowe kanały zaopatrzenia wyczerpały się, zmuszając ją do tego, by zwrócić się do przyjaciela w tej alarmowej sytuacji.

Nyvenna zawdzięcza wszystko Intendentowi: jej sklepik, bezpieczeństwo, swoje życie. Jedyne, czego on żąda, to to, by zaopiekowała się jego starszą siostrą. Co z nią będzie, jeżeli Sathynie stani się coś złego? Przyjaciel zrozumiałby, że nie jest winna przerwy w zasilaniu, ale czy Intendent jest jej przyjacielem? Myślała, że Viggo był jednym z nich....

Ziarenko wątpliwości zaczęło kiełkować, a jego korzonki rozprzestrzeniły się w jej sercu, które wali jak młot

w obliczu niebezpieczeństwa, podkopując fundamenty tego nowego życia, które odnalazła w Mantris.

Kawałek kory odrywa się z jej ramienia, Kładzie dłoń na nagiej skórze, wrażliwej jak oparzenie, naciska z całej siły starając się zatrzymać ból.

„Proszę bardzo, proszę bardzo, wykrzykuje Viggo wracając, wpatrzony w torbę, z której emanuje wszechobecna poświata. Mam tylko czterdzieści osiem, a nie pięćdziesiąt.”

To dokładnie liczba minut, które mi pozostały, zauważa Nyvenn.

„Dziękuję, Viggo. Uciekam.

- Minutkę.” Nyvenna zatrzymuje się, nie wiedząc dlaczego traci swój tak cenny czas. „Jeżeli chodzi o recykler.... Nie narażaj się na niebezpieczeństwo dla niego? To jest tylko koncepcja na sprzedaż, za to twoja przyjaźń jest bezcenna.”

Nyvenna odwraca się i staje na palcach, by delikatnie pocałować go w policzek - nie chce by jej usta z drapiącej kory dostarczyły mu niemiłego uczucia.

Po czym odchodzi z torbą przyciśniętą do piersi.

Rozdział 7.2

Kilka chwil później Nyvenna znajduje się przed stacją starego magleva, który od czasu sukcesu daleków, jest używany tylko do dalekobieżnych podróży, głównie do nadmorskich kurortów. Metalowa płyta, która miała blokować wejście, została wycięta przez bezdomnych, jak jedno z tych małych przejść dla pieszych w dużej bramie wjazdowej.

Drzwi, które otwierają się na piekło jej najgorszych wspomnień. To przez te tunele przeniknęła do Mantris piętnaście lat temu. Uciekała przed Riftem, Babcią, gangiem, magią. Przed tym wszystkim. Było to jeszcze bardziej przerażające wygnanie niż to, które przed laty zmusiło ją do opuszczenia Arkhantii.

Te tunele są legowiskiem jej nocnych lęków.

Los chce również, żeby to była najkrótsza droga powrotna do Sathyny, gdyż zbytnio się zasiedziała u Viggo.

Jej nogi tak sztywnieją na szczycie schodów prowadzących do sercu starej stacji, że prawie spada głową do przodu. Ma odruchy wymiotne, odczuwa skurcze w górnej części ciała. Waha się, biadoli, rozgląda się dookoła pełna strachu, oblicza czas, który byłby jej potrzebny na przejście labiryntem zatłoczonych ulic.

A w tym czasie, czas bezlitośnie ucieka.

Czas, zawsze czas!

Jeśli jest coś, czego Nyvenna nienawidzi w Mantris, to obsesja obywateli-akcjonariuszy na punkcie czasu. Mantrianie dzielą swój dzień na godziny, minuty, sekundy... Używają nawet mniejszych jednostek, jakby to miało jakiś sens!

Sekunda to mniej niż wdech, jakie może mieć znaczenie ta długość czasu, oprócz doprowadzania cię do szaleństwa?

W Arkhantii, radzą sobie z Galaną odliczającą dni, trzema księżycami– Karasem, Balorem i Regelem – do wyznaczania pór roku i Rainarem do oznaczania półrocza.

Jeśli chodzi o Rift, pojęcie to jest po prostu nieistotne. Tam, to ludzie są ćwiartkowani, a nie czas.

Nyvenna mieszkała we wszystkich trzech krainach, a Mantris jest zdecydowanie jej ulubioną bazą wypadową. Ale czego by nie oddała, żeby choć na chwilę uciec od nerwicy Mantrian!

Tylko trzydzieści trzy minuty.

Schodzi po potwornie wysokich stopniach niedziałających ruchomych schodów i przechodzi przez stację, by zejść z peronu na stare tory. Bioluminescencyjne holografy pokrywają ściany w ciągłym zwoju sztuki ulicznej, tajemniczych wiadomości i znaków gangów. Światło jest słabe, musi więc uważać gdzie stawia stopy.

Jest na bezdechu, przepływ czasu w podziemiach mógłby ją przytłoczyć. Jeśli da się ponieść przeszłości, uderzy w końcu w górę lodową wspomnień, tych, które ścinają twój kadr lub poniżej linii wody i kontrolują podświadomość swoimi lodowatymi, torfowymi wodami.

Gdyby tylko była dawnym czarnoksiężnikiem Powietrza, znałaby jedną lub dwie techniki wstrzymywania oddechu. Nawet jeśli, to tunele są zbyt długie, a wyjście zbyt daleko... Usiłuje stłumić swoje lęki, rozdzielając kontrolę nad sobą za pomocą wodoszczelnych ścianek działowych.

Chciałaby skupić się na wystroju, ale nic nie rzuca się jej w oczy. Miejsce to jest w zasadzie rozległym, idealnie cylindrycznym tunelem, przez który kiedyś przejeżdżały wagony magnetycznie zawieszonego pociągu. Przejeżdżały one tak szybko, że pasażerowie nie byli w stanie obserwować

co działo się za oknami. Poza tym wszystko jest tak monotonne, że Nyvenna ma wątpliwości, czy iść do przodu.

Niestety, czas ucieka. Jeszcze dwadzieścia siedem minut. Biegnie z całych sił.

I zderza się czołowo z przerażającą górą lodową wspomnień.....

Widoczną częścią jest jej potajemne przybycie do Mantris. Ale większa część, dziewięć dziesiątych masy pływającego lodowego olbrzyma, znajduje się pod wodą.

Pierwsza dziesiąta. Zbuntowana, zakochana w wieku szesnastu lat w lutniku, ucieka z Kolegium Natury, by żyć swoim życiem, mając miłość jako jedyne oficjalne źródło magii.

Druga. Polują na nią inkwizytorzy, bo ukradła kilka kodeksów, by je potem sprzedać – miłość i świeża woda nie wystarczą, by napełnić sobie brzuch. Jej piękny lutnik ginie podczas pościgu, przez przypadek lub w odwecie, tak naprawdę dokładnie nie wie. Skala tragedii sprawia, że jej wspomnienia są mleczne jak przesyczone tlenem lody.

Trzecia. W obliczu mędrców arkhomy, którzy ją osądzają, żąda wygnania na Rift. Chce by ten gest był wyniosły, chce zrobić coś uderzającego, coś co zaimponuje i zainspiruje jej rówieśników. Mędracy przystają na jej prośbę, udając wspańiałomyślnych, a w rzeczywistości zachowują się jak ogrodnik odchwaszczający swój warzywnik.

Czwarta. Szok, brutalna rzeczywistość przetrwania na zdewastowanych ziemiach. Niekończąca się agonía, jej żyzna ziemia umierająca w powolnym wysychaniu zaschniętego kwiatu. Błaga przed Ścianą Kości, woła o możliwość powrotu. Traci tylko tę resztkę wody, która wciąż nawilżała jej korzenie.

Piąta. Powiew świeżego powietrza, nic więcej niż skąpe bąbelki tkwiące pod lodem, ale przynoszące wiele dobrego,

ponieważ powietrze staje się tutaj rzadkie. Babcia, matriarchini Krwawych Skrzydeł, która wita ją jako jedną ze swoich córek. Aby zostać definitywnie zaadoptowana na członka gangu, musi *trochę* przelać krew; wciągnąć Babcie w magiczną sztukę, *dużo bardziej*. Cenę, którą płaci z szalejącym entuzjazmem, rodzaj zemsty dokonanej na zabójcach jej kochanka.

Szósta. Niestety dwa lata wystarczyły, żeby wszystkie źródła wyschły: to co nauczyła się w Kollegium Natur, odwirowane; miłość Babci, wyschnięta; gniew na Arkhantię, wyparowana; jej młodość, wypita przez pustynię Riftu. Mając zaledwie dwadzieścia lat, wyglądała na tyle, ile ma dzisiaj, czyli na czterdzieści.

Siódma. Ale to pewna niania, która wywróciła wszystko do góry nogami. Przybyła do Riftu z kołyską pod pachą i tkaniną z wyhaftowanym bluszczem, herbem Neftydy. W mgnieniu oka, Babcia znalazła sobie nową ukochaną córkę, dziecko, w którym zobaczyła dziedziczkę, bardziej przydatną niż dawna czarnoksiężniczka Natury. Dziecko nie miało jeszcze imienia, ale zdażyło już wymazać imię Nyvenny w oczach matriarchini.

8. Ponownie zbuntowana, tym razem bez młodzieńczej niewinności, Nyvenna rzuca wyzwanie Babci, zgodnie z prawami gangu. Magia wraca do niej z mocą, tak potężną jak miłość. Ale miłością rozgniewaną, zgorzkniałą, która cuchnie żółcią jak kwaśne mleko. Nyvenna traci kontrolę, zakłócenia w Rifcie korumpują jej zakłęcie, które częściowo obraca się przeciwko niej, zmieniając jej skórę w korę. Babcia straciła tam rękę; Nyvenna, pragnienie, by nigdy więcej nie używać prany.

9. Wykorzystać fakt, że Babci zostało tylko jedno ramię, uciec przed jej pazurami, uciec przed gangiem, by nie skończyć ukrzyżowaniem. Ponowne wygnanie. Ostatnie, ma

nadzieję Nyvenna. Biegnać w kierunku Mantris, ostatniego terytorium, z którego jeszcze nie została wypędzona, przypomina sobie Bielową, fortecę z białych pni, w której dorastała. Tam młode pary sieją ziarno na swoim weselu. Drzewa rosną tam, by powitać rodzinę zaklinaczy, gałęzie rozgałęziają się, gdy pojawiają się dzieci, przybierają liście, aby chronić ich wszystkie przed złą pogodą. Czy jej własne drzewo wyrośnie na sztucznej glebie miasta-kontynentu? A może będzie musiała zrezygnować z marzenia o założeniu swojej własnej rodziny?

Zamrożona lodowatym oddechem własnych wspomnień, Nyvenna kuli się z zimna, opierając się o gładką ścianą. Pociera swój szorstki policzek, wydzierając pył drzewny, który wygląda jak zakurzone łzy. Nigdy nie powinna była wchodzić do tych tuneli, za bardzo walczyła, by pogrzebać tam swoją przeszłość. Jak każda roślina nie lubi cienia, potrzebuje światła.

Zostało jej tylko dwadzieścia siedem minut, by uratować Sathynę.

Sathyna...

Kiedy przybyła do podziemi Mantris, całymi dniami błąkała się po tunelach. Życie było tam równie dziwne i surowe jak w Rifcie. W rzeczywistości jeszcze gorsze, ponieważ zostało całkowicie pozbawione słońca. Wraz z niebem straciła również nadzieję.

I wtedy, na rozwidleniu, natyka się na regeneracyjny zbiornik, który Intendent przynosił do skrytki przeznaczonej dla jego nieprzytomnej siostry. Myląc zbiornik z korytem pełnym wody, spragniona, martwa Nyvenna, rzuca się w stronę tej manny i odkrywa zaskoczona, śpiącą młodą kobietę, wdzięczną i melancholijną jak ogar z głębokich lasów Orcunion.

Poruszona tym nieprawdopodobnym objawieniem, które brutalnie sprawadza ją na ziemię, oszołomiona wyrzeczeniami do tego stopnia, że znalazła się niemal w stanie transu, odstawiona od magii zarówno miłości, jak i prany, Nyvenna wciąż zdolna jest do dokonania aktu wiary.

W dniu, w którym opuściła Kolegium, nie tylko ukradła kodeksy. Ziarenko, to była kolejna rzecz, którą zabrała ze sobą. Planowała zasiać je w dniu, w którym postanowi założyć swoją rodzinę, tak jak uprawia się ogród. Nasienie, które oparło się wszystkiemu, nawet Riftowi.

Wrzuciła to ziarno do systemu napowietrzania, żeby wykiełkowało w korycie utopionego ogara.

A dzisiaj, piętnaście lat później, rośliny dryfujące w regenerującym płynie pochodzą z nasionka przywiezionego z Arkhantii, zmutowanego w Rifcie i połączonego z technologią Mantrian. Proces potrójnego fermentowania – występujący w każdej z kultur Artellium – stworzył te świetliste psycho-algi. Procedura, która utrzymuje Sathynę przy życiu, zakotwicza nadzieję w sercu jej młodszego brata i oferuje Nyvennie perspektywę odkupienia, szansę na ponowne uwierzenie w coś, ponowne odkrycie poczucia cudu.

Nyvenna kontynuuje swoją drogę, najpierw powłóczając nogami, a potem biegnąc co czwarty krok. Sathyna to łącznik między Arkhantią i Mantris, most, którego nośne filary znajdują się w Rifcie. Nie chce tego stracić, nie ma innego miejsca, do którego mogłaby uciec.

Zaczyna znowu biec, nie bojąc się gór lodowych, ponieważ jej przywrócona energia podgrzewa wody jej własnej egzystencji.

Zostały tylko cztery minuty i piętnaście sekund, kiedy wraca do *Ani Trywialne, ani Daremne*, dręczona do tego stopnia przez tą pilną sytuację, że zaczyna odliczać sekundy.

„Kat, to Nyvenna!” Onyx krzyczy, gdy tylko się pojawia. Szybko...!”

Onyx z Nyvenną pędzą do tajnej komnaty, w której czeka na nich KatKa, zajęta podłączaniem rezerwowego generatora do zbiornika. Onyx zamyka za nimi drzwi, a Nyvenna opróżnia swoją torbę. Baterie pogrążają się o ziemię niczym mijające sekundy.

We trójkę podłączają drogocenne kwarcy do ogniw generatora, który wygląda jak chromowane ramy ula na kółkach.

„Czy udało ci się z to podłączyć?” – pyta Nyvenna, wkładając baterie.

- Wtyczki są niekompatybilne, zgrzyta KatKa, przekłeta korporacja, która odrzuca uniwersalne standardy. Gorąco było, gorąco, ale coś tam zmagistrowałam.

- Skończone!” triumfuje Onyx, podnosząc ręce w górę jako niezbity dowód.

Kiedy KatKa włącza generator, zapala się poprzeczka energii na krawędzi jednej z ramek ula. Niestety, ledwo co odbija się ona od 0.

„Nie jestem pewna, czy to wystarczy...”

Zbiornik nagle gaśnie, filtry wyłączają się w długim sapnięciu agonii, która kończy się śmiertelną ciszą.

Baterie są puste.

Nie, nie, to niemożliwe !

Nyvenna wyciąga maszynę Viggo, zamyka na chwilę oczy, by przypomnieć sobie połączenia wykonane przez niego, po czym podłącza urządzenie do zapasowego generatora. Nyvenna działa instynktownie, wspierana przez KatKę, która mobilizuje swoich przyjaciół z ÅPØLØW

i przegląda wszystkie możliwe samouczki na swojej skórze. Onyx krąży wokół nich, równie niespokojna jak criaruny zwabione zieloną aureolą rzucaną przez awaryjne oświetlenie zbiornika,. Atmosfera jest elektryczna, mimo że, kwarcy ciągle nie są doładowane.

Chyba że...

W zbiorniku, psycho-algi zaczynają leniwie tańczyć w rytm filtrów, które mruczą jak syte kocury. Z długimi włosami tworzącymi delikatną koronę wokół jej śpiącej twarzy, Sathyna nigdy nie przypominała tak bardzo syreny...

"Udało się ! Jesteśmy najlepsze! Jesteśmy królowymi maszyn!"

Onyx podskakuje ze szczęścia, gubiąc swój nowiutki hełm przeciwdźwiękowy oferowany przez tajemniczego przyjaciela Nyvenny. Zamiast się tym przejmować, korzysta z okazji i kręci się jak bączek, tak szybko jak tylko potrafi, a następnie improwizuje taniec radości, któremu towarzyszy śmiech Nyvenny i KatKi.

Nastolatka jest zbulwersowana widząc swoją młodszą siostrę tak szczęśliwą. Pomimo bandaża na brodzie i ohydnych rogów wyrastających na jej twarzy i dłoniach, One ucieleśnia niepohamowaną nadzieję i żądzę życia, której nie sposób nie podziwiać. Jest tak promienista, że jest latarnią morską prowadzącą jej bliskich ku szczęściu. To wszystko inspiruje KatKę.

Czasami ją to wkurza. Ale nie dziś.

Podczas, gdy Nyvenna dołącza do wygłupów Onyx, KatKa opada po ścianie i siada z rękami na uniesionych kolanach. Jej skóra zamienia się w dyskotekową kulę, która rozbryzguje parkiet jej błyskotliwymi stroboskopami. Sprytny sposób na ukrycie się za kurtyną światła.

KatKa nigdy nie przypuszczała, że będzie mogła znów tu kiedyś przyjść. Kiedy wysiadła z motocykla Salomei z przerażoną Onyx przytuloną do jej uda, myślała, że zostanie poważnie opieprzona przez rodziców. Tak było, ale później. Ich pierwszą reakcją było przytulenie ich obu, płaczące łyzy ulgi, obdarowywanie ich pocałunkami do tego stopnia, że stało się to krępujące.

Oczywiście, kiedy Onyx zasnęła, KatKa nie uniknęła długich, bardzo długich wyjaśnień przed rodzicami. Patrząc wstecz,... powiedziała im okropne rzeczy, częściowo dlatego, że... tak myślała, a częściowo dlatego, że była to opóźniona reakcja na przeżyty szok.

„Może spieprzyłem sprawę, ale przynajmniej znalazłem sposób na ukojenie One! Ma się lepiej dzięki maściom Nyvenny. A wy, co zrobiliście? Ty tato, gonisz za wiatrem, tymi wszystkimi głupimi formalnościami, a ty mammo nawet nie wiesz co tu się dzieje!”

Ten argument zakończył kłótnię, doprowadzając wszystkich do łez, w tym także KatKę. Może nie było to zbyt eleganckie, ale z pewnością bardzo skuteczne.

Następnego ranka, wszyscy zjedli razem śniadanie, po raz pierwszy od wielu... KatKa nie mogła przypomnieć sobie od kiedy. Atale nie poszła do pracy, a Fabro nie wstrzyknął sobie dopalaczy, oboje postanowili dać sobie czas. Na początku był trochę niezręcznie, tak nieprzewidywalnie, jak samotna ciemna chmura wahająca się czy przemienić się w burzę czy rozproszyć w jasny letni dzień. Jak to często bywała, katalizatorem była Onyx, a wokół stołu zapanowała wspaniała pogoda. Z lekkimi deszczami, bo między słowami, które leczą, były też dwie czy trzy bolesne prawdy, które trzeba było powiedzieć.

Ostatecznie dziewczynkom pozwolono wrócić do Nyvenny, podczas gdy ich rodzice kontynuowali

poszukiwania alternatywnego leczenia – „w oczekiwaniu na znalezienie czegoś lepszego, bo z pewnością coś takie znajdziemy!” nalegał Fabro. Jedynym warunkiem, było wcześniejsze poinformowanie rodziców i wypożyczenie ochronnego robota – „Zapłacimy za to ”, zapewniła Atale – i przede wszystkim, żadnych kłamstw.

KatKa uważała, że jest to sprawiedliwe. Onyx była zachwycona.

Największe wrażenie na nastolatkę wywarło to, co powiedzieli jej rodzice, kiedy przyszli do niej, osobno, podczas gdy Onyx była zajęta czymś gdzie indziej.

Mama: „Wiem, że nie dogadujemy się zbyt dobrze. To trochę twoja wina, ale w dużej mierze moja. Obiecuję, że to się zmieni, zrobię wszystko. Mam też sprawy do załatwienia z twoim tatą i od tego zacznę. Nie chodzi o to, że kocham cię mniej, po prostu bez względu na wszystko zawsze będę twoją matką. Ale nie jest powiedziane, że zawsze pozostanę żoną twojego taty. Rozumiesz ? Kocham cię.”

Tata: „Byłaś niesprawiedliwa, mówiąc, że nic nie robię dla twojej siostry. Ale masz całkowitą rację, przypominając nam to wszystko, co dla niej robisz. Radzisz sobie jak dorosła osoba, czasem lepiej ode mnie, bez kul, bez sztuczek. Jestem z ciebie taki dumny. I tak bardzo boję się, że możesz sobie pomyśleć, że wolę bardziej One, bo więcej opiekuję się nią, a tobą dużo mniej. Chcę, żebyś wiedziała, trisel może się skończyć, ale moja miłość do ciebie i twojej siostry jest nieskończona, to nawet jedyna nieskończona rzecz w tym cholernym wszechświecie. Podejdź, Kat.”

Rodzice mogliby ją ukarać, kryzys mógłby przyspieszyć rozpad rodziny, zamiast tego Katka nigdy nie czuła się tak do niej przywiązana, niczym wolny gaz w orzeźwiającym napoju musującym.

KatKa odczuwa nagłą potrzebę wysłania wideo do domu. Æl podkreśla radosne okrzyki Onyx, emocje Nyvenny, szaleńcze skoki criarunów, wszystko zmieszane z modną muzyką i dodanym osobistym komentarzem.

"Tato, mamó? Będziecie z nas dumni, One i ja, zrobiłyśmy u Nyvenny coś niesamowitego!"

7.3

Salomea nigdy by nie pomyślała, że osoba publiczna, taka jak Intendent, może być tak trudna do wyśledzenia. Jest najbardziej holograficznym obywatelem-akcjonariuszem w Mantris, każdy jego ruch jest analizowany przez samą Norię. Jest pod stałą obserwacją słynnych strażników z czterech tech-styli, a jednak, choć jest to niewiarygodne, agentka Opaxu, ma wielkie problemy, aby nie zgubić jego śladu.

Jest to nie do pomyślenia, a przez to tak strasznie motywujące. Inaczej, nie podejmowałaby tak dużego ryzyka jak teraz.

Salomea jest zawieszona na pionowej ścianie wieżowca, sto metrów nad ziemią, utrzymywana wyłącznie przez siłę tarcia jej cybernetycznych nóg. Ryzyko N°1.

Budynek ten, rozpoznawalny przez swoją asymetryczną formę w kształcie X, jest niczym innym jak siedzibą Alepha, korporacji specjalizującej się w krypto-ochronie. Mimo że, teoretycznie nie weszła do budynku, Salomea nie jest pewna, że udało jej się obejść wszystkie systemy monitoringu. Ryzyko N°2.

Znajduje się tam, nie dlatego, że interesuje się działalnością Alepha, ale ze względu na hodowlany, rybny

tunel, który przechodzi przez budynek i, że czai się pod nim, schowana w cieniu gigantycznej konstrukcji z rur. Sensor przewodowy – prawdziwy antyk, co paradoksalnie, czyni ją trudną do wykrycia przez nowoczesny kontrwywiad – zygzakuje w sieci kanalizacyjnej na długości trzystu metrów, aż do Zoone, centrum „specjalnych” badań Genetyków, miejsca tak strzeżonego, że ma statut miejskiej legendy. Nawet członek Opaxu nie może tam wejść, bez odpowiedniego powodu, ponieważ naukowcy z Zoony są wrażliwi na punkcie lekarskiej etyki. Ryzyko N° 3.

Tylko że, właśnie w Zoonie przebywa aktualnie Intendent. Tymczasem, aresztowanie tak znanej postaci poublicznej i politycznej, która na dodatek jest chroniona w najwyższych sferach władzy, wymaga niezbitych dowodów.

Dzięki swojemu czujnikowi dryfującymi pomiędzy rybkami i skorupiakami, Salomea może podsłuchiwać jego rozmowę z jednym z dyrektorów obiektu. Nie zna jego nazwiska. Transmisja jest niestabilna i trzeszcząca, zaskakująco zgadza się z ideą podwodnej dyskusji.

∩ IAsystent, rutyna priorytetowa. ∩

∩ Aktywacja filtrów przetwarzania dźwięku. Ekstrapolacja fragmentów hałaśliwych przez obróbkę statystyczną, transkrypcja zaznaczona [w nawiasach].

„Ile lat finansowałem [twoją pracę]?” Pomimo szumu, irytacja Intendenta jest doskonale wyczuwalna.

„Jestem [świadomy tego].

- Masz czy nie masz sposobu na regenerację ludzkiego mózgu?

- Nie jesteśmy [daleko. Potrzebujemy] więcej funduszy.

- A ja, potrzebuję wyników!”

- Mamy już jakieś, dotyczące małej dziewczynki, ofiary brodawkowej epidermodysplazji.”

 $\cap \text{IASystement, procedura drugorzędna. } \cap$

W Wyjaśnienie „brodawkowej epidermodysplazji”.

Obrazy, które nakładają się przed jej oczami są tak szokujące, że cofa się w niekontrolowany sposób. Zsuwa się kilka centymetrów wzdłuż pionowej ściany, co powoduje rozciągnięcie kabla czujnika, który się zrywa.

To nie ma znaczenia, nie musi więcej o tym wiedzieć. Salomea widziała już ohydne narośla, powodujące tę chorobę skóry. Zna nawet adres nieszczęsnej „małej”, o której leczenie poprosił Intendent. Miejsce, w którym Onyx Lag'Chuo i ona się spotkały, przypadkowo odpowiada miejscu, gdzie straciła dwa dni temu Intendenta z oczu.

\cap IAsystem, priorytetowa procedura. \cap

Wirtualna eksploracja dzielnicy Sowet, A/S. Wyszukaj anomalie statystyczne każdego pomieszczenia.

☐ A/S 197: top 1000 najstarszych magazynów w Mantris. Wymazać.

∩ A/S 622: wykrywanie oparów chemicznych kompatybilnych z tajną linią produkcyjną Meditechów. Przekaż do biura zapobiegania oszustwom.

∩ A/S 290: wykrywanie naturalnego ciepła, prawdopodobne ogrzewanie paliwem kopalnym. Wymazać.

∩ A/S 321: nienormalnie wysokie zużycie baterii kwarcowych w stosunku do zapisów użytkownika.

Drapie się po rzepce, bezsensowny odruch, odkąd wypadek kosztował ją utratę obu nóg. Miała ten sam odruch tuż przed tym, jak jej pojazd nagle zawisł nad pustką, przyczepiony do magnetycznego toru za pomocą jednego silnika i miał zostać zrzucony do kanałów hodowli ryb pięćdziesiąt metrów poniżej.

Ten wypadek miał miejsce dziesięć lat temu, ale pamięć jest wciąż boleśnie żywa. Jej młodszy brat zablokowany przez systemy bezpieczeństwa z tyłu pojazdu, ratunkowy robot przybywający im na pomoc, podczas gdy kabina pasażerska kołysała się i groziła upadkiem, decyzja robota, by uratować ją, a nie jego, jej własne szalone krzyki bólu i żalu, gdy pojazd zanurzał się w wodzie, zabierając jej brata i główną część jej dwóch odciętych nóg.

Dochodzenie ustaliło nieprawdopodobną sekwencję niepowodzeń, które doprowadziły do tragedii, określiło odpowiedzialność każdej zaangażowanej korporacji, ale oczyściło ratunkowego robota: statystyki były jasne, Salomea miała większe szanse na przeżycie niż jej zmarły brat. Nie protestowała, nawet nie odezwała się ani słowem. Wychodząc z metawersu sądowego, złożyła wniosek o przyjęcie do Opaxu; poszła tam na swoich nowych, najnowocześniejszych nogach, podarowanych przez GeStark. W ciągu zaledwie kilku lat, jej wroga nieufność do robotów i ich przekłętogo logicznego, nieludzkiego rozumowania, doprowadziła ją do rangi najlepszego śledczego Opaxu, organizacji odpowiedzialnej za monitorowanie Norii...

Z upływem czasu, ten odruch drapania rzepki, stał się sygnałem, który wysyłał jej instynkt, gdy miała jakiś ślad. Nie miała pojęcia dokładnie jak, a co ważniejsze dlaczego, ale Intendent był zamieszany w nadmierne zużycie baterii. Była gotowa przysiąc to na swoje życie.

Jej pewność nie wystarczy, musi zebrać niezbite dowody. Musi działać bez zwłoki, wykorzystać fakt, że go tam nie ma, zorganizować nalot i znaleźć coś, co mogłoby obciążyć Intendenta.

W nowym przebiegu przypomina jej się spotkanie z Archiwistą. To było pięć dni temu, na początku śledztwa. Jej

wniosek o dostęp do rejestrów podróży Intendenta właśnie został odrzucony. Nie była to niespodzianka. Niezrażona tym niepowodzeniem, Salomea zażądała finansowych rachunków i w ciągu zaledwie godziny znalazła się przed Archiwistą – A to, to dopiero była ewidentna niespodzianka!

„Dane, o które prosisz są zarchiwizowane” – powiedział Archiwista, który tego dnia przyjął męski profil. „Zarchiwizowane”, termin dyplomatyczny oznaczający „poufne”.

"Zarchiwizowane? - Salomea udawała, że nie rozumie. Na szczęście jestem zaprzysiężona przez obywateli-akcjonariuszy i mogę mieć do nich dostęp.

- Twoja akredytacja Opax nie daje ci dostępu do archiwów Norii, agentko Salomeo. Do tego trzeba być Mantrix.

- Przyjmuję to do wiadomości. Jeśli umrę podczas mojej służby, być może zostanę uznana za zasłużonego obywatela-akcjonariusza i będę miała pozwolenie na Podniesienie. Mogę liczyć na to, że szybko zajmiesz się moją sprawą, abym mogła kontynuować dochodzenie?”

Archiwista uśmiechnął się blado. Teraz miała ochotę, by zetrzeć ten uśmiech z jego twarzy!

> ®Kanał priorytetowy | SALOMEA ∑ Serwis interwencyjny \ Opax >

> Agentka Salomea, numer Colex-23. Prośba o natychmiastową interwencję w dzielnicy Sowet, A/S 321. Możliwy opór, neutralizacja do przesłuchania.

Musi się pośpieszyć, chce tam być jak najszybciej i kierować tą operacją. Nie wspominając o tym, że lepiej nie kręcić się w okolicach, na wypadek gdyby zgubiony przez nią czujnik ją zdradził.

Jej nogi zmieniają skiny, sprawiając wrażenie, jakby drżały, po czym Salomea potężnym skokiem odrywa się od

ściany, kierując się w stronę sklepu *Ani Trywialne, ani Daremne*, mieszczącego się w podejrzanym budynku. Ma nadzieję, że małej Onyx tam nie ma, gdyż jej aresztowanie by ją bardzo zraniło.

Będzie ją to bardzo bolało, ale nie do tego stopnia, żeby zrezygnować z obowiązków śledczego.

Rozdział 8

LUSTRO/ORTSUL

„Aureliusz, potrzebuję jak najwięcej szczegółów na temat tego, jak jest dzisiaj ubrana. To naprawdę jest bardzo ważne, od tego zależy powodzenie rytuału.”

Zdeterminowany głos Isalys sprawia, że pryzmat Lantany wibruje. Unoszący się nad szeroko otwartymi dłońmi Arkhonty w zielonej szacie kryształ, rozprasza niewyraźne światło. Unosi się w nim również wizerunek Aureliusza, w autotematyzmie otchłani, która subtelnie podkreśla fakt, że gladiator znajduje się w odległości wielu kilometrów.

Bez zaklęcia jasnowidzenia, Isalys nie mogłaby komunikować się bezpośrednio ze swoim szpiegiem przenikniętym do świty Solis. Rozmowa odbywa się na żywo, bez opóźnień między rozmówcami. Nawet jeśli Aureliusz jest daleko za horyzontem, co normalnie uniemożliwiałoby jakąkolwiek transmisję. Dlatego też, sygnał musi przejść przez przestworza i zostać odbity od jednego z trzech księżyców, aby zostać przesłany z powrotem do nich - niemal natychmiastowa niebiańska odyseja. Wyczyn, który nie jest możliwy w Mantris.

Mimo to, nie wydaje się, by Isalys była pod wrażeniem tego wszystkiego. W jej oczach nie liczą się środki tylko efekty. Teraz interesuje ją tylko powodzenie rytuału, który ma

zainicjować, a który zamknie pułapkę cierpliwie zastawianą wokół Solis. Najmniejszy błąd mógłby być potencjalną ucieczką dla uzurpatorki, nie może więc zaniedbać najmniejszego szczegółu. Wiedza o tym, co ma na sobie Solis, będzie decydującym atutem.

„Już ci przekazałam tę informację”, przypomina Lantana. Po co więc żądać zaklęcia jasnowiedzenia, aby to potwierdzić...?”

Isalys przerywa jej jednym spojrzeniem.

„Aureliusz, słucham cię.”

Aureliusz rozpoczyna swój opis, który jest tak precyzyjny jak skalpel cyrulika. Odzież, biżuteria i obuwie Solis są opisywane z wojskowym rygorem. Po tonie jego głosu można wywnioskować, że gladiator nie jest zainteresowany skomplikowanymi haftami na biuście, sprzączkami butów lśniącymi jak masa perłowa i tyloma falbanami, których nigdy nie widział u nikogo w jego otoczeniu. Za to zatrzymuje się na twarzy Solis, zwracając uwagę na jej pudrową cerę, przypominającą pył z Riftu, tylko wyraźniejszą, czystsza. Isalys jest zaskoczona, że uważa ten szczegół za wartą wzmianki..... i, że jego wzmianka o tym tak bardzo ją irytuje.

Nieważne, najważniejsze jest to, że Aureliusz wykonuje swoje zadanie z taką perfekcją. Jego zmysł obserwacji, doskonale wyostrzony na kamieniu szlifierskim życia w ciągłym stanie gotowości, rekompensuje jego niedociągnięcia w opanowaniu arystokratycznej garderoby.

Isalys tylko go słucha, jej oczy są skupiona na Lantanie, której twarz jest zakryta zasłoną symbolizującą jej zadanie. Tkanina – odmiana wylinki Legendarnej Lify, lżejsza od jedwabiu – drży od tłumionych dreszczy. Isalys wyczuwa frustrację spowodowaną jej widocznym brakiem zaufania do Arkhony.

Kiedy Aureliusz kończy swój raport, Isalys wyraźnie okazuje swoje zadowolenie.

„Zrozum Lantano, nie mam nic do ciebie, po prostu wszystko musi być perfekcyjne.

- Czyż nie udowodniłam już, jak bardzo jestem oddana twojej sprawie?

- To nie jest kwestia zaangażowania, ale precyzji. Jesteś jasnowidzem, który polega na magii, podczas gdy, ja postrzegam to jako przywódca, który polega na człowieku. Konieczność w Rifcie ...

Drżenie welonu całkowicie ustaje, a oddech Lantany znów staje się regularny. Isalys czuje, że Lantana jest spokojniejsza, bardziej skupiona na potrzebach przyszłej Malkah. Dobrze. Niektórzy Arkhontowie pomagają jej, już od kilku lat, w przygotowaniu tego zamach stanu, ale jedna prawda pozostaje niezmienna: władza będzie spoczywać wyłącznie w jej rękach. Jej, a nie Światła.

Isalys wstaje zwinnym ruchem. Kilkoma stanowczymi słowami, osłodzonymi pochwałami, by zachęcić ich do wiernej służby, odprawia Lantanę i Aureliusza. Wciąż jest tak wiele do zrobienia: jest już skupiona nad swoim następnym ruchem, tym, który obali Solis. Który obali uzurpatorkę i sprawi, że odzyska to, co zawsze jej się należało.

Chwilę później dociera do wejścia do Ula, sieci podziemnych galerii, które są kryjówką dla Krwawych Skrzydeł. Strażnikiem na służbie jest Jolu. Jego przeciwigazowa maska, której brakuje jednej soczewki, nadaje mu wygląd cyklopa. Gdy się zbliża, Jolu zaczyna w pośpiechu pstrykać palcami. Młody mężczyzna, który drzemał w słońcu, natychmiast uderza tachozaury zaprężnięte do ogromnych drzwi, odzyskanych ze starej zbrojowni Mantrian. Niestety nikt nigdy nie był w stanie naprawić ich mechanizmu otwierania.

„Magnatko Isalys, kłania się z szacunkiem.

- Jolu, potrzebuję dwóch godzin światła w bursztynowym pokoju.”

Rzuca swoją prośbę z daleka, wciąż idąc w jego kierunku. Stajenny jeszcze bardziej popędza swoje zwierzęta, obawiając się, że drzwi nie wytrzymają tak niepowstrzymanej siły.

Jolu patrzy na ogromny panel słoneczny, który góruje nad betonową kopułą bunkra - to jedyna rzecz, która świeci w promieniu wielu kilometrów. Wykonując kilka szybkich obliczeń, w roztargnieniu drapie się w tył głowy. Wydaje się, że ten ruch powoduje potworne skrzypienie otwieranych drzwi. Można by pomyśleć, że jego czaszka to tablica, a palce to szkolna kreda.

„Problem tylko, że Galana jest już bardzo nisko...” Jego wzrok powraca w kierunku wciąż zbliżającej się Isalys. W zdeterminowanym spojrzeniu Magnatki widzi jak ważna jest jej prośba. Nawet nagłaca. „...Ale nie ma żadnego problemu.... dwie godziny. Możesz liczyć na moją załogę.”

Isalys dziękuje mu skinieniem głowy i nie zwalniając wślizguje się do otworu. Wnętrze Ula tak samo mroczne jak jaskinia, nagle rozświećta się złotym światłem, niebiańską rosą w kolorach miodu. Przekierowany przez Jolu panel słoneczny wysyła promienie słoneczne Galany na miedziane blachy, które wyściełają ściany wewnątrz hangaru.

Horda młodych ludzi z prowizorycznymi goglami chroniącymi oczy, wspina się na rusztowanie wtopione w zakrzywione ściany bunkra, energicznie szorując metal, usuwając z niego najmniejsze ślady zielonkawej rdzy. Dzięki wielokrotnym odbiciom, pokój staje się miniaturowym słońcem promieniującym oślepiającym ciepłem.

Jak czujny brygadzysta, Jolu przywołuje do porządku swoich ludzi, którzy zaniemówili na widok niezwykłego

stroju Isalys przemierzającej hangar królewskim krokiem. Nie, to jakieś faux pas, fałszywe pozory, które próbowałyby z grubsza naśladować obecną Malkę. Z pewnością złote kółko przebijający jej dolną wargę nie ma tego samego blasku co noszone przez Solis, jej długi warkocz nie jest tak bogato zdobiony klejnotami, a jej suknia nie jest uszyta z tych samych szlachetnych tkanin. Tak czy inaczej, księżęca Isalys, ma naturalnie wyniosłą postawę, wzrost, nerwy i temperament, zdecydowany i nieco dziki chód, dowód prawowitości i gniewnej determinacji.

Nie jest imitacją królowej, ale jej inkarnacją. Ucieleśnioną, a nie ubraną.

To jest prawdziwa miara królewskości, reszta to tylko dekoracja, poezja, makijaż i podkład.

Isalys pogrąża się w głąb Ula, skręca na surowych narożnikach korytarzy, pokonuje szorstkie betonowe schody, przechodzi śluzy z pancernymi drzwiami. Na jej drodze, nieprzerwana linia młodych ludzi walczy o to, by skierować zwierciadła, lusterka wsteczne, reflektory, soczewki holoeckranowe i inne aluminiowe folie, te wszystkie błyskotki, które odbijają potężny promień z panelu słonecznego, kierując światło do wnętrza obiektu.

Zbyt zajęta nacieraniem balsem swoich ramion, twarzy, gardła i wszystkich części ciała odsłoniętych przez sukienkę, Isalys nie zwraca uwagi na prawdziwy podziw, który można odczytać na twarzach zarówno dziewcząt jak i chłopców. Swoją nieopisaną motywację czerpią oni ze zdeterminowanej kadencji kroków Isalys. Ona i Rada poprowadzą Krwawe Skrzydła ku lepszemu życiu, ciągnąc za sobą cały Rift jak ogon komety; czują to w głębi ich serc. Nadzieja błyszczy w ich oczach, jak brokat zawarty w balsamie, który mieni się w złotych światłach odbić,

przemieniając Isalys w nosiciela światła odpowiedzialnego za rozproszanie ciemności kłamstw.

Prawda, która oślepi Solis i pochłonie wszystko, nawet jej duszę.

Isalys w końcu dociera do serca Ula, strzeżonego przez duże pancerne szklane drzwi. Zamyka je za sobą, odcinając się od lustrzanych nośników, nie pozbawiając się złotej nici utkanej aż z powierzchni ziemi. Znajduje się sama w rotundzie, której ściany są pokryte grubą warstwą wosku, nagromadzonego powoli z resztek niezliczonych i dawno wygasłych świec.

Tysiące odłamków bursztynu zatopionych w parafinie pokrywają podłogę, ściany i sufit. Te klejnoty zbierane były przez dwie dekady na mrocznych uskokach, które dzielą Rift. To bardzo niebezpieczna i ryzykowana praca, ponieważ ryzyko wciągnięcia w szczelinę świata było ogromne. Sam skarb – kupiony, wyłudzony, skradziony, cierpliwie gromadzony – usprawiedliwia istnienie Ula, dawnego bunkra Mantrian, przekształconego w gigantyczny sejf.

Dla Isalys, która została wtajemniczona w tajemnice Światła, to znacznie więcej. To sztuczne sklepienie nieba, pod którym stoi, wyprostowana, dumna, natchniona, jest statkiem jej rytuałów inseminacji wspomnień. Stąd, zaoferuje swój ostatni sen małej Solis, senny wstrząs, który uderzy w nią jak błyskawica, z Aureliuszem jako piorunochronem.

Ta rotunda to nic innego jak pochodnia objawienia, a jej naoliwione i lśniące ciało będzie iskrą. Ale będzie potrzebowała płonącego piekła emocji, aby odnieść sukces.

Isalys zamyka oczy, aby zmusić ciemność do nadejścia, nuci kołysankę, by lepiej zasnąć, inkantuje, by lepiej zanurzyć się w swoim śnie na jawie.

Pobudzona magią fala światła załamuje się w nieskończoność w tysiącach bursztynów jak chmura

podekscytowanych świetlików, rozciąga swoje vibracje wirami, wzywa magiczny przypływ, rozbija własne fale, jak tęcza ukazująca swoje kolory, odsłania swoją korpuskularną kompozycję w rozciągniętej tkaninie, aż pojawi się jej splot. Skoncentrowana na swoim ciele, adeptka wróżbitka tnie jasne światło jak robi się to z nieoszlifowanym diamentem, kształtuje obrazy z kontrolowanym oniryzmem, tworzy iluzje, modeluje wizje, które stara się rzutować w umysł Solis, zarówno znajome, jak i obce. Dwie siostry tak dalekie, a zarazem tak bliskie.

Pomimo odległości, jaka dzieli Ul od oazy, w której Solis znalazła schronienie, pomimo czujności jej siostry, która znacznie komplikuje zadanie, Isalys dostrzega sygnaturę swojego celu. Więż jest krucha, tak samo złudna, jak zwodnicze światło o zmierzchu. Każdy inny zaakceptowałby porażkę i się poddał, nie odważyłby się rzucić tak niepewnego zaklęcia, prawdziwego magicznego blefu, niemal zrzędzenia losu.

Ale nie ona. Nie Isalys. Nie dzisiaj, kiedy jedną nogą stoi na platformie wyrzeźbionego Tronu. Nie może już dłużej czekać, nie może cierpliwie stać w kolejce jak klient w szklarni hydroponicznej. Musi zrobić krok. Przynajmniej jeden.

Jeśli poddanie się nie wchodzi w grę, ślepy upór też nie jest wyjściem. Sprytnie wykorzystuje najstarszą sztuczkę Piaskowego Dziadka: nakłaniania swoją ofiarę, by nie spała, aby lepiej nakłonić ją do snu.

„Solis, nie zasypiaj. Nie przychodź, nie przyłączaj się do mnie. Zostań bezpieczna wśród swojego oddziału, nie narażaj się na niebezpieczeństwo. Nie jesteś jeszcze gotowa, aby dowiedzieć się, kim naprawdę jesteś.”

Jej odległe, podświadome wołanie jest mniej słyszalne niż szept na zatłoczonym targu, słabsze niż zapach tytoniu w

dymie ogniska, niewiele bardziej namacalne niż pieszczota porannej mgły.

Jednak jej wiadomość trafia do celu. Solis synchronizuje się z tym głosem. Następnie Isalys wciąga ją w jej fałszywy, sztuczny świat, świat snów, na długą drogę, po której zaczynają iść ramię w ramię, tak samo nie zważając na swoją obecność, jak na własny cień .

Aby wzmocnić swoją kontrolę nad Solis, daje jej czas na opuszczenie świata jawy i zapuszczenie korzeni w krainę snów. Cierpliwie, drobnymi impresjonistycznymi akcentami na płótnie ich wspólnego losu, przedstawia żałobną ścieżkę pokonaną już przez Rift, pole skażone wojną i zasiane głodu, aż do martwego slamsu zdmuchniętego przez piaskową burzę i skapanego

w wilgotnej, lepkiej aurze, tak charakterystycznej dla wibrujących stref Riftu. Zawalone budynki powtarzają się jak wzory nieuporządkowanego fryzu chronologicznego, z dziwnym wiatrakiem z siedmioma łopatkami, z których jedna złamana na dwie części, żałośnie zwisa, gdy wiatr wzdycha.

Tak wiele znajomych szczegółów zakotwiczonych w umyśle Solis w sennym płótnie Isalys.

Udało się, zaprowadzić ją tam, gdzie chciała: przed zawalony piaskiem bunkier, do miejsca o przeciętnym wyglądzie. A mimo to, za starymi wyblakłymi czerwonymi drzwiami, można wyczuć tajemniczy prąd, niebezpieczną atrakcję, włókna spowolnionego czasu wiejące chłód z głębi wnętrza, wieczny strach.

Ten budynek jest przynętą, pułapką, haczykiem, który piękna dziewczyna musi połknąć ze swojego zbuntowanego pałacu. To tutaj, na skrzyżowaniu losów, między dwiema siostrami rozegra się pojedynek woli, w którym stawką będzie tron Arkhantii. Aby wywabić swoją ofiarę, Isalys nie ma wyboru: Solis musi dobrowolnie wejść w jej pułapkę.

8.2

Tymczasem Solis waha się jak mała dziewczynka skulona pod kołdrą, przekonana, że słyszy potwora drapiącego pod jej łóżkiem, zbyt przerażona by uciec z pokoju lub wezwać pomoc.

W końcu Solis robi krok w tył, potem drugi. Obraca się, by oderwać namagnesowany wzrok od bunkra. Mruży oczy, aby wzmocnić swoją determinację, jej nozdrza rozszerzają się jak u zwierzęcia zaalarmowanego przez jego dziki instynkt.

A w bursztynowej komnacie Isalys cała drży. Nie ze strachu, ale z czystej goryczy. Solis była tak naiwnie głupia, niezdolna do podjęcia jakiejkolwiek decyzji godnej prawdziwej Malkah, a teraz, będąc na krawędzi swojego upadku, w niewytłumaczalny sposób kieruje się zdrowym rozsądkiem? To jest po prostu niedopuszczalne!

Mistrzynie koszmaru, który sama stworzyła, Isalys oświetla litery „O N I”, składające się z trzech oddzielnych neonów rozmieszczonych na froncie budynku. To slangowe słowo pochodzące z Riftu i oznaczające pożerający przez demony czas, zaczyna migać. To dziwactwo, będzie bodźcem dla niewinnej Solis, wzbudzając jej ciekawość i poczucie zdumienia. Jeśli tam wejdzie, Isalys wygra.

Solis odwraca się, zaczyna iść z powrotem w stronę bunkra, po czym zatrzymuje się i waha, z ręką położoną na klamce. Możliwe, że za tymi drzwiami czas płynie jak pył stuleci, z gnuśnością, przy której zadrży niepamięć. Dziesięć oddechów wewnątrz tego budynku, a na zewnątrz wszyscy

twoi bliscy mogli już nie żyć od dziesięcioleci. Jej ręka drży na klamce, nie mogąc się od niej oderwać, jakby metal przyciągał ją jak magnes. Solis chce wejść do środka, ale coś w jej wnętrzu ją powstrzymuje.

Zdumiona, Isalys może tylko obserwować scenę. Solis zawraca, rozsądnie się poddaje, woli się obudzić niż być na jawie. Solis oddala się od pułapki, w tym samym tempie, co Isalys od sukcesu.

Za zamkniętymi powiekami, oczy Isalys kręcą się w miodowym świetle nasycającym serce Ula. Jej ciało już zrozumiało, ale jej umysł wciąż odmawia... Rytuał nie jest jeszcze porażką, po prostu brakuje jej ostatniego składnika do osiągnięcia perfekcji. Słodka kropla krwi niezbędna do ucieleśnienia jej zaklęcia, aby uczynić je bardziej żywym niż rzeczywistość.

Kropla... szkarłatna czerń... płodna łza dziecięcego przerażenia. Isalys zanurza się we wspomnieniach z dzieciństwa, czerpie z nich surową moc strachu, urzekającą siłę, która wrzuci Solis prosto w jej pułapkę.

Ten budynek, zamieszkały przez cienie dni, nie jest jej obcy, dlatego też go wybrała. Anomalie czasowe zmienniają się w bunkrze: czasem są szybsze, czasem wolniejsze, czas jest tam wiatrowskazem, zepsutym młynem. Niektórzy wyszli z niego starsi niż ich matki, inni nigdy nie wrócili. Pewne jest to, że zjadające czas demony szepczą wszystkim, którzy tam wejdą, przerażającą przyszłość, pozostawiając traumę wyrytą w ich ciałach jak otwarte rany. Każdy kto ma nadzieję dołączyć do Krwawych Skrzydeł, musi tam wejść: wejść do „O N I”, zmierzyć się z tamtejszymi demonami, przeżyć swoje najgorsze wspomnienia i przynieść dowód zwycięstwa, taki jest rytuał inicjacyjny.

Test, który Isalys pomyślnie zdała w wieku pięciu lat, a nie dwudziestu jak dzisiejsza Solis.

Aby zmobilizować swoją pamięć, pogrąża się w swoich wspomnieniach z tamtego czasu. Wilgotne powietrze. Dysonansowe, niehumanitarne hałasy. Wstrzymana żółć, nierówny oddech, odwaga waląca w piersi.

Ale mimo wszystko odwaga.

Kiedy Solis zatrzymuje się, intrygantka jeszcze głębiej czerpie z przerażenia, które niegdyś przezwyciężyła. Nie zdając sobie sprawy, Malkah czerpie inspirację z dziecięcej odwagi sprzed piętnastu lat. Isalys pieczętuje swój rytuał. Obydwie wkraczają unisono w oniryczne „O N I”.

W środku, drobniutkie zapachy mają szkarłatny smak zakrzepłej krwi, a mrok jest zimny jak żelazne kajdany. Korytarze ciągną się w nieskończoność, jeszcze i jeszcze, w zawrotnej sekwencji zazębiających się kształtów geometrycznych, które przyprawiają o zawrót głowy. Ani okrągłe, ani kwadratowe, ani trójkątne. Mieszanka tego wszystkiego, do której musimy dodać całą resztę. Cierniste słowa z dzieciństwa już dawno zapomniane, dźwięczą jej w uszach, obrazy jej nieustannie uciekającego ojca, daleko przed nią w korytarzu, Artellium eksplodujące w jednej kropli pod jej wilgotnymi oczami, sapanie starego czarnoksiężnika dźgniętego w plecy i krew tryskająca na jego białą szatę w dniu święta w Neftydzie, głuche krzyki, które już kiedyś słyszała, powtarzane aż do mdłości, jej ojciec, jeszcze raz, śmiejący się z niej, gdy nie udaje jej się przeczytać eseju o akordach Kreuzeta, kiedy miała pięć lat.

Solis porusza się, jakby ślizgała się po ziemi, jej ciche kroki wśród ech korytarza, który zamienia się w niekończący się tunel, przejście długie jak śmierć, krótkie jak ostatnia sekunda życia, kiedy wspomnienia atakują cię jak tysiące zimnych rąk. Pomiedzy przegrodami w ścianach, drzwi otwierają się na alkowy zablokowane przez szklaną siatką. Za

każdymi drzwiami kryje się straszna przyszłość. Niektóre z nich, uchylone, dają jej wystarczająco dużo czasu, aby mogła zobaczyć swoje pogrzebane ciało i powstanie jej duszy. Inne, wypełnione prostymi, szczęśliwymi wspomnieniami, które dopiero nadejdą, trzaskają i zamykają się przed zbliżającą się Malkah.

Oszołomiona strachem posuwa się naprzód w kierunku miejsca, gdzie czas jest rozbity, podzielony, przemieszczony, bliski przerwaniu. Żołądek staje się ciężki od utajonej gwałtowności niemożliwej do strawienia, skóra drży i pokrywa się drżącym potem, strach wściekle depcze jej po piętach, nie przestraszony odważnymi kopnięciami jakie rzuca mu w pysk.

Solis posuwa się do przodu, wyobrażając sobie, że następny krok będzie ostatnim. Ma taką nadzieję, ale boi się tego. A potem, z wnętrza jednego z wielu chłodnych i pustych pokoi, słup światła przyciąga jej wzrok. Różowawa, cielistą poświata skłania ją do zboczenia z drogi. W tym miejscu, w jednej z wielu kadzi posadzone jest drzewo z kwiatami krwistej lilii. Szklane ściany zbiornika są roztrzaskane przez pień szorstkiej i sęcatej kory, kable plątają się w jego gałęziach, korzenie wypaczają metalową podłogę.

Zbliża się do tej oazy absurdałnego piękna w surowej scenerii, to hybrydowe drzewo, które nie istnieje, wydaje się jej bardziej realne niż koszmar tej architektury, ten labirynt czasu, który doprowadza cię do szaleństwa lub starości. Zrywa kwiat lilii o płatkach w kolorze całunu poplamionymi posoką, obraca go między palcami, wdychając jego bezwonny, ale kolorowy zapach.

Stare, brudne lustro. Ściany zbiornika są podziurawionym lustrem. Wyzwolicielka, odsyła jej w końcu nie zamazane odbicie. Widzi tam siebie z krwi i kości. Solis wydaje się sobie świeża, czysta, wyraźna po

niekończącym się okresie zwątpienia, kiedy tak naprawdę nie wiedziała już, kim naprawdę jest. Podoba jej się wizerunek wędrowniej królowej, która w końcu widzi koniec swojej drogi. Docenia kilka zmarszczek, które tu i ówdzie zdarła z jej twarzy przygoda, słodkie ślady poczwarki wyłaniającej się z kokonu.

Kiedy patrzy na siebie w tym lustrze, widzi pewną siebie królową z ugruntowanym autorytetem, pieczęcią wiecznej przyszłości. Trochę zimną, ale o wiele silniejszą. Pełną pewność siebie, o budząca podziw prezencji, niepodważalnej prawowitość, bolesnej przeszłość wysublimowanej niezachwianą determinacją. Mniej delikatną, być może, ale o wiele silniejszą.

To tak, jakby psychika odsyłała inną wersję siebie, bogatszą niż zwykłe odbicie, bliźniaczy obraz, tak podobny, a jednak tak różny. W tym weneckim lustrze w końcu widzi siebie wolną od wątpliwości i wahań, obdarzoną nowymi mocami. Śmieje się i płacze w tym samym czasie, zafascynowana mocą, którą mogłaby ucieleśniać, smutna odkrywając łańcuchy, które uniemożliwiły jej spełnienie. Nigdy nie będzie tą drugą królową i dźga ją absolutna pewność tego faktu. Ale też napawa ją dumą, inspiruje, zaszczerpie w niej chęć zerwania kajdan.

To lustro tak naprawdę nie jest lustrem, ale jest pierwszym, które odsyła jej obraz w końcu kompletny, ponownie skomponowany. Jak odrodzenie, zwrot losu. Nowe dzieciństwo, niegdyś kruche, a które nagle rozkwitło dzięki magii.

Uśmiecha się świadomie, ufnie do tej drugiej, do współniczki. Patrzy, jak kręci kwiatem, symbolem jej oswojonego strachu. Uśmiecha się do siebie, przechyla głowę,

łaskocze brodę wirującymi płatkami. Szkicuje taneczny krok, unosi ręce, które owijają się nad jej głową, wieńcząc ją liliami.

Nie czuje, jak włosy łaskoczą ją w nadgarstek, kiedy jej warkocz zaczepia się o bransoletkę, nie dostrzega niewielkiej przerwy między nią a jej odbiciem. Wręcz przeciwnie, stwierdza, że w tym śnie, który dotychczas przypominał Cień, Światłość jest wreszcie piękna.

Skupia się na swoim odbiciu mrugając do swojego nadąsanego, psotnego wyglądu. Zachwycona, że może rozkoszować się sobą bez świadków i skromności. Solis posyła pocałunek do tej drugiej, zamyka oczy, by lepiej posmakować ten obraz, który widzi w lustrze.

Kiedy je ponownie otwiera, jej obraz ma zamknięte powieki. Zamknięte, jak grobowce pieczętujące jej duszę. Kwiat zamienia się w papierowego motyla, wiruje wokół Malkah i opada u jej stóp, skraplając się jak czarna, bursztynowa krew.

Z dreszczem nagle przebiegającym jej po plecach, cofa się o krok, jej okropny, otyły strach nagle powraca. Ta druga, jej odbicie, otwiera oczy. Fioletowe, te same oczy, które zawsze czyniły Solis tak wyjątkową, a jednak, w tej chwili, ich nie rozpoznaje. Z pewnością musiała źle na nie spojrzeć. Podchodzi brawurowo, drwiąc z figli jakie płata jej umysł. Uśmiecha się do siebie skruszona.

Odbicie wpatruje się w nią.

I wyciąga rękę, by chwycić ją za twarz!

8.3

Solis budzi się gwałtownie. Przez krótką chwilę, w bezdechu dezorientacji, która oddziela jawę od snu, z uszami wypełnionymi własnym krzykiem przerażenia, nie ma pojęcia gdzie jest. Siedzi na łóżku z jedną ręką zakrywającą usta, a drugą uniesioną jak tarcza przed zbliżającym się, wyimaginowanym niebezpieczeństwem, ze wzrokiem tak spanikowanym jak jej serce, jej otoczenie jest jej zupełnie nieznane. Potem jej zmysły stopniowo wracają: łopot płótna namiotu, wilgoć oazy, zasolenie wiatru... To miejsce, w którym karawana znalazła schronienie po klęsce nad Słonym Jeziorem, dwa dni temu...

Miejsce zagubione w Rifcie, poza zasięgiem Arkhantii, bronione przez skromną eskortę. Niewiele mniej przerażające niż zamek cieni, o którym śniła. A jednak Malkah czuje się tutaj bez porównania bezpieczniej.

Bezpieczniej, naprawdę?

A co można było by powiedzieć o Calypsie, który wrócił do Arkhantii w towarzystwie Velivy, która, wierna mglistej niestałości swojego arkhomu, natychmiast poszła w jego ślady? Oficjalnie ta podróż okazała się dłuższa niż oczekiwano, dlatego też wyruszyli na rozkaz Malkah, by pilnować powierzonej dynastom regencji; nieoficjalnie, po epizodzie ze Słonym Jeziorem, Calyps poczuł ogromną potrzebę zrelaksowania się w środowisku bardziej wilgotnym niż ta przeklęta pustynia.

Ich miejsce przejści ich uczniowie: Keya, który reprezentuje Wodę i Siphonn reprezentujący Powietrze. Jest coś podejrzanego, w tej zaimprovizowanej ucieczce dwóch Faworytów, sieć zdeorientowanych

wydarzeń, których tępą wibrację odczuwa Malkah, nie będąc w stanie wykryć przyczyny.

Solis wstaje, wciąż brakuje jej tchu, ale jest zdeterminowana, by odpędzić swoje demony, zarówno nocne jak i dzienne. Narasta w niej dyskomfort związany z tym, że pozwoliła sobie przysnąć, dowód na to, że odzyskuje przytomność.

W trosce o swój wygląd patrzy w lustro swojej toaletki. Jej twarz jest zmęczona, naznaczona złym snem, ale nawet to odbicie jest mniej niepokojące niż to w jej śnie. Mniej obce. Szybko przeplata swój warkocz, szczypie się dwa, trzy razy w policzki, by przywrócić rumieniec i wychodzi.

Galana rozbija się o horyzont, a jej pomarańczowe palenisko przemienia pustynny piasek w płynne złoto. Dwóch czarodziejów rozkłada mesę machnięciem ramion, a garstka służących nakrywa do stołu. Stajenny wypełnia koryto strużkami wody zaczerpniętej z oazy i zawieszonych w powietrzu, jakby tryskały z niewidzialnych rynien. Przy okazji tych przygotowań Hannibal rzeźbi kamień w prymitywnym ołtarzu, który Sarash przekształca w gorącą płytę kładąc tylko na nią ręce. Wkrótce, rzucane są na nią cienkie plastry mięsa i w obozie pachnie grillowaniem.

Ukojona i skąpana w słodczy wieczoru, ożywiona uderzeniami w bęben, która pod rękami żołnierza zamieniła się w bęben, scena powinna ją oczarować, ją, która nigdy tak nie doceniała magii, jak wtedy, gdy zapomina być spektakularną, a staje się użyteczną. A mimo to, Solis pozostaje przed swoim namiotem, z rękami splecionymi na kolanach, obecna, ale trochę odległa.

Co się z nią dzieje?

Daj spokój, dobrze wiesz. Przestań się okłamywać.

Ona, która śniła o triumfującej Malkah, budzi się przesiąknięta codziennymi wątpliwościami, gryzącą traumą i

niezdecydowaniem. Co ona tutaj robi, w Rifcie? Chciałaby przekonać samą siebie, że szuka tam sposobu na przywrócenie cyklu prany, jednak ta podróż zaciekle wygląda na ucieczkę przed problemami. Nawet gdy dodasz do tego nadzieję na odnalezienie siostry, ta podróż dalej jest niebezpieczna i lekkomyślna. Jej siostra może być tylko mirażem, fantazją niewiele bardziej realną niż ten bunkier z zniekształcającym lustrem. Cienki trop na pełne przygód łowy, powierzone najbardziej nieprzewidywalnemu łowcy: Aureliuszowi, przed którym wszyscy ją ostrzegają.

Opuszczenie Neftydy było po prostu wielkim błędem, pułapką, w którą rzuciła się bez zastanowienia, zaślepiona fałszywymi pewnikami i dziewczęcymi uczuciami. Za bardzo polegała na swojej intuicji, która okazała się równie frywolna jak prawa natury istniejące tu, na Rifcie.

Chyba, że jest manipulowana? A może ktoś sobie z nią tylko pogrywa? To byłoby takie proste. Jej doświadczenie władzy jest wciąż bardzo ograniczone, ponieważ rządzi Arkhantią dopiero od niecałego roku. Solis doskonale wie, że jest łatwym łupem dla pałacowych intrygantów. Ale kto chciałby ją zdradzić? Powietrze? Tak, Siphonn mógłby być zdrajcą i z pewnością na takiego wygląda. Ale dlaczego miałby to zrobić? Czy jest sam, czy inni też są w zмовie przeciwko niej? Ilu ich jest? Wszyscy? Czy oni nie widzą wysiłku, jaki ona w to wszystko wkłada? Czy jest coś pilniejszego niż przeciwdziałanie upadkowi prany?

To nie jest problem. Misja jest słuszna i konieczna, prawdziwe pytanie brzmi, czy to ja jestem heroiną, która powinna ją poprowadzić...

Odpycha ze złością swoje myśli. Dopóki pozostaje Malkah, nie ma prawa tracić trzeźwego spojrzenia na to

wszystko. Rzeźbiony Tron domaga się należnego mu wynagrodzenia, nie może na nim siedzieć odmawiając zapłaty. Jednak każdy lider ma prawo do posiadania swoich doradców. Ale z kim może ona porozmawiać? Kto pomoże jej rozwiązać wątpliwości i przeczucia? Komu mogłaby się zwierzyć?

Hannibal? Nie. Jeśli nawet posiada wiele talentów, intuicyjna wyobraźnia nie jest jednym z nich. Rozmowa z nim wzmocniłaby tylko jego zachowanie opiekuńczego, starszego brata, postawę, którą Solis coraz trudniej jest znieść...

Sylaea? Która już była chora w Arkhantii, która obumiera, więdnie, nawet usycha w miarę wchodzenia w głąb Riftu. Która, pomimo wielokrotnych napomnień Solis, odmawia powrotu do Orcuniona, aby nabrać sił, tak jak postanowił Calyps. Nie może jej obciążać jeszcze swoimi zmartwieniami.

Aureliusz? Ach, ten piękny Aureliusz i jego nieznośny urok i tak przewidywalna niestałość. Dlaczego nagle musiała odkryć w sobie apetyt na egzotykę tej słodko-pikantnej kuchni? Co dziwne, w jego obecności czuje się bardziej... spokojniejsza. Ale nie, nie on, to po prostu niemożliwe. Śmieszne, nawet.

Więc kto jeszcze?

W obliczu tych wszystkich pytań, które ją prześladują, Solis zdaje sobie sprawę, że nie ma nikogo, komu mogłaby się zwierzyć. Strach na nowo powraca, emocjonalna zmiana przypływów lodowatej wody i śliskich wodorostów.

Po co narażać się na to wszystko? Jest tak zmęczona, wyczerpana nieustającymi wysiłkami, wściekła na te cierpliwie budowane przez czas kompromisy, rujnowane niewielkim kosztem przez prymitywne intrygi, które przyodziejają się w szatę obowiązku lub honoru.

Faworyci walczą o jej względy lub zajmują swoje pozycje, dynastowie walczą o swoje terytorium ze szkodą dla interesów Arkhańczyków, szalony i nieustanny wir środków masowego przekazu Mantrian nieustannie podsyca płomienie konfliktu z siłą tornada, uniemożliwiając jakąkolwiek ideę pokoju.

Pośród tego wszystkiego, co ona może zrobić? Czuje się zupełnie samotna. Ta, która od tak dawna nie może zrobić kroku, by nie podążał za nią cień służącego lub strażnika, która przyciąga spojrzenia swojego dworu, która w równym stopniu budzi nadzieje i urazy, nie ma nikogo. Jest tak samotna, a jej zadanie tak trudne. Jeden powód, tylko jeden! Niech dadzą jej jeden dobry powód, żeby się nie poddała, nie abdykowała! By nie odmówiła zapłaty żądanej przez Tron!

Desperacko omiata obóz w poszukiwaniu tego powodu, za którym tak tęskniła – lub którego tak się bała, nie wie już. Ale nie widzi nic. Absolutnie nic. Widzi tylko mozaikę banalnych, hałaśliwych scen z codziennego życia.

Tam, strażnicy zgromadzeni wokół ognisk. Czuje więzi, które ich łączą, ich osobowości to metale, które stają się stopem pod wpływem ciepła koleżeństwa. Wokół gry w kości rozlegają się śmiechy i pomruki. Gniew to ulotne obłoki iskier, przyjaźń to jasne płomienie, sekretne miłości to tłący się żar. Marszcząc brew, sierżant obserwuje swoich żołnierzy, gotowy wylać na nich wiadro wody, by ostudzić słabnącą czujność.

Trochę dalej, kłóci się dwóch służących – Joste, starszy mężczyzna o nudnym wyglądzie i Yriel, burzliwa młoda kobieta o policzkach bardziej czerwonych niż jej rude włosy. Z tej odległości, Solis nie jest w stanie ich usłyszeć, tym bardziej, że jako dobrzy służący kultywują sztukę dyskrecji. Tym lepiej postrzega wyciszoną partyturę ojca,

który nie był w stanie przekazać niczego swoim dzieciom i który niezdarnie próbuje lepiej radzić sobie z nowicjuską; z tą samą nowicjuską, która nikogo o nic nie prosiła, chociaż ceni sobie tego starszego pana, który jej nigdy nie zrugął.

Jej wzrok pada na Hannibala i Sarasę, tak bliskich i uśmiechniętych – dokładnie tak samo, jak Hannibal i ona... wcześniej. Solis zna siłę łączących ich więzi, której korzenie sięgają mniej więcej dekady wstecz, aż do legendarnej bójki w tawernie. Ta podróż przez Rift pozwalała im się odnaleźć na nowo, po tym, jak ich obowiązki rozdzieliły ich na tak długo. W pełni wykorzystują okazję, Solis wyraźnie dostrzega ich niezwykłą więź, nie jest to zwykła zbieżność interesów, ale fuzja, która przywołuje na myśl lawę, intymną mieszaninę ziemi i ognia. Wolną od jakichkolwiek miłosnych pokus, popiół, który mógłby zageścić wylew, ich związek to czysta przyjaźń, piękna pomarańczowa, jasna jak Galana.

Wyłapuje wszystkie te sceny. Ale nie znajduje powodu, by kontynuować.

Chyba, że...

Oczywistość w końcu do niej dociera.

Wyobraża sobie, że jest odcięta od otaczającej ją harmonii, pozbawiona intuicji, która tak często nią kierowała. Podczas gdy w rzeczywistości, jest jedyną osobą zdolną wykryć drobne dysonanse pod pozornym spokojem obozowiska, brakujące tu i ówdzie akcenty farby, by płótno w światłocieniu ozdobione zostało radośniejszymi, żywszymi kolorami.

Może jeszcze nie wie, jak przywrócić cykl prany, przez chwilę wątpi w istnienie tej wyimaginowanej siostry, ale wie, jak sobie radzić z pędzlem emocji. A jej tytuł Malkah oferuje jej szczególnie bogatą paletę.

Opuszcza okolice swojego namiotu, błąka się po obozie bez wyraźnego celu, mimo, że jej trasa jest już ustalona.

Przechodząc koło Yriel, powierza jej przygotowanie swojego namiotu na noc, zaznaczając, że Joste chwalił jej pracowitość – to lekka przesada, ale nie kłamstwo. Starzec i młoda dziewczyna wymieniają zdziwione spojrzenia, którym wkrótce towarzyszy dyskretny uśmiech. Solis zapisuje sobie w pamięci, żeby poinformować o tym swoją pokojówkę, która z pewnością będzie szczęśliwa z wolnego wieczoru. Przechodząc blisko ogniska, Solis ostentacyjnie naciąga swoje futro, po czym wślizguje się między żołnierzy, by wyciągnąć ręce nad płomieniami. Kilkoma życzliwymi słowami, każe żołnierzom, którzy stają na baczność, usiąść z powrotem. Korzysta z okazji, by pożartować, gratulując zwycięzcy wieczornej gry w kości, sprawdzając, czy poczta jest rozdana, zanim poprosi o wieści od tych, którzy ją otrzymali, komplementując żołnierzy przed sierżantem, dziękując temu, który strzeże jej karawany. Poczym opuszcza grupę żołnierzy mówiąc z radością „dobranoc”, od czego pierś podoficera nabrzmiewa, a wąsy drżą z dumy.

Solis nie jest głupia, wie, że tylko rozsiewa ziarna na wietrze. Harmonia nie jest stanem, ale walką, ogrodem stale utrzymywanym w mieszaninie nieustępliwości i cierpliwości, w rytmie czasami trudnych pór roku, ale którego cykl jest mimo wszystko niezbędny. Nawozić, podlewać, podziwiać to, co wyrośnie. Karmienie innych owocami swojej pracy to dług, który chętnie płaci.

W tym celu musi przywrócić cykl prany. Jej misją jest nie tyle panowanie, ale także przywrócenie naturalnego porządku rzeczy. Czuje się na tyle silna, by przyjąć tę rolę.

Oblewa ją błogi spokój, orzeźwiający jak wiosenny deszcz. Nie czuła się tak spokojna od... od ostatniego razu, kiedy widziała Aureliusza. Naprawdę ?

Dobrze. Najwyższy czas zająć się tym zauroczeniem, które nie chce powiedzieć swojego imienia. Szuka więc wzrokiem gladiatora.

Hannibal nagle przestaje pilnować pieczonego mięsa i spogląda na Solis. Bicie jej serca, w które wsłuchuje się rozkojarzony, jak słucha się wyciszonej muzyki, zmieniło ton. Z brzęczących cymbałów stało się pulsującymi bębnami. Cieszy się, że wreszcie jest zrelaksowana, po tak trudnym przebudzeniu i obserwuje ją jak zbliża się do...

Aureliusz ? Aureliuszu!

Kiedy kolos udaje, że do nich dołącza, Sarash kładzie silną dłoń na jego ramieniu, wykonując prawie niemożliwą misję polegającą na zatrzymaniu go w miejscu. Kiedy Hannibal przekręca głowę w stronę młodej pary, Sarash kręci zniechęcająco głowę w lewo i w prawo. Zadowolają się obserwowaniem ich z daleka.

„Spacer się skończył, powinnaś wrócić do środka” – mówi chłodno Aureliusz podchodząc do niej.

Jego stanowczy ton kieruje rozmowę w zupełnie innym kierunku, niż Solis sobie wyobrażała.

„Co za idiota powierzył ci moją ochronę?”, odpowiada zirytowana.

- Imbecylem byłąbyś ty, Królowo.”

Jest wściekła, zaskoczona.

„To był błąd, by pozwolić ValRedowi wyjechać. Nigdy nie powinnaś puszczać nikogo, kto jest gotów umrzeć, by cię bronić.

Solis przez chwilę wpatruje się w ziemię, po czym z dumą podnosi głowę z powrotem. W rzeczywistości nie żałuje swojej decyzji, zasmucają ją jedynie okoliczności, które ją do tego skłoniły.

Ruby i Hanzo zostali połknięci przez Słone Jezioro podczas tej strasznej przeprawy, po której karawana próbuje dojść do siebie. Solna równina ostatecznie odrzuciła ich szczątki, dlatego też, ValRed poprosił o pozwolenie na sprowadzenie ich z powrotem do szkoły Sassaki, gdzie razem zostali przeszkoleni. Choć prośba ta, była ogromnym zaskoczeniem, była ona pierwszą, o jaką kiedykolwiek poprosił kapitan jej gwardii: nie miała serca by mu odmówić. Został z nimi tylko Ronan.

W ciągu dwóch dni jej osobista straż została zredukowana z czterech do jednego członka.

„Łucznik jest niezawodny”, mówi Aureliusz, jakby czytał w jej myślach. Ale nawet faceci tacy jak on i ja muszą w pewnym momencie spać.”

Czy Aureliusz przejął wartość za zmęczonego Ronana, czy jego obecność jest przypadkowa?

„Nie tylko on mnie chroni, nie jestem w niebezpieczeństwie.

- Mówi ta, która prawie zginęła nad jeziorem...”

Solis wypędza ze swojego umysłu obraz Fort-Gotensa ze szczęką przygwożdżoną sztyletem Aureliusza, ma już dość niepokojących wizji na jeden dzień.

„Solis, Rift to prawdziwy koszmar, wiem, o czym mówię.”

Solis trudno jest temu zaprzeczyć.

„Ty, który tu dorastałeś, czy wiatrak z siedmioma żaglami coś dla ciebie znaczy?

- Siedem żagli, jak waszych siedem arkhomów?”

- Znajduje się on niedaleko dziwnego budynku, jak sądzę to jest stare więzienia Mantrian.

- Z napisem O N I? – pyta Aureliusz, z oczami wytrzeszczonymi ze zdziwienia.

- Znasz je ?

- Mógłbym zapytać cię o to samo! Skąd możesz o nim wiedzieć?

- Nigdy tam nie byłam, ale... to skomplikowane.

- Jeśli je znasz, to wiesz, że to nie jest miejsce, które się odwiedza”.

- To daleko stąd ?

- Zapomnij o nim, to miejsce jest przeklęte, nie ma mowy o postawieniu tam stopy.

- Zabierz mnie tam, muszę tam pójść. Nie dam rady sama, potrzebuję cię, Aureliusz, proszę.”

Błaga go, a chciała go zrugać. Ten człowiek to trąba powietrzna, podobnie jak uczucia, które w niej wzbudza.

„Nie ma mowy !

- Nie bierz mojej uprzejmości za słabość. To rozkaz, nie masz wyboru.

- Rozkaz? Śmiało, zacznij tupać nogami! Przyjrzyj mi się dobrze, młoda Malkah, czy naprawdę wyglądam na twojego podwładnego? Myślisz, że będę posłuszny królowej, która nie jest moją królową? Nie jestem jednym z twoich podwładnych, nie muszę nawet prowadzić z tobą tej rozmowy. Jeśli myślisz, że pewnego dnia, znajdziesz we mnie odrobinę służebności lub uległości, będzie to tylko oznaczać, że to sobie ubzdurałaś. Zrozumiałaś?”

Zbliżyła swoją twarz do twarzy gladiatora, zbuntowana. Aureliusz nie wie, już nie wie. Czy powinien jej być posłuszny, buntować się, pomagać jej? Wie, że musi ją znosić, ale co dokładnie oznacza to określenie: tolerować czy wspierać?

Jak znaleźć odpowiedź w tych niesamowitych fioletowych oczach?

„Kogo próbujesz przekonać, Aureliuszu? Na pewno nie mnie,
w przeciwnym razie mylisz się co do

przeciwnika. To ty zdecydowałeś być moim strażnikiem, a więc poddać się mojemu autorytetowi.

- Bardzo zabawny jest ten pokaz autorytetu, uwielbiam to! Być może nauczono cię wydawania rozkazów w twoim złotym pałacu, ale tutaj jest inaczej. Solis, jestem gotów użyć ci pomocnej dłoni, tylko dla twoich oczu, ale jeśli będziesz mi rozkazywać, to mnie stracisz, czy to jasne?”

Solis patrzy na niego wyniośle, stanowczo, z pewnością siebie, która przed chwilą jej umknęła. To nie jest przypadek, że Aureliusz może być jej przewodnikiem, to nie jest możliwe.

Aureliusz pokazuje pazury. To jednak strata czasu, więc oddala się kopiąc kamyk, który odlatuje, a potem zmienia kierunek, by roztrzaskać się o skałę. Złorzeczy, wściekle drapie się po skaryfikacjach, po czym odwraca głowę w stronę Malkah.

Przeklina z wściekłością i poczuciem winy.

Następnie zmienia zdanie i powraca, aby stanąć twarzą w twarz przed Solis, która nie spuszcza z niego swoich psotnych oczu.

„Dobrze, poddaje się, mówi wzruszając ramionami. Ale to zupełnie bezsensowny objazd: czegokolwiek tam szukasz, będziesz potrzebowała piekielnie dużo odwagi, żeby tam wejść.”

Solis nie próbuje dyskutować, jest przekonana, że Aureliusz się myli. Pytanie nie brzmi, czy będzie miała odwagę ponownie stawić czoła temu dziwnemu odbiciu, swojemu drugiemu ja.

Nie, prawdziwe pytanie brzmi: czy ta inna wersja jej samej, zawiera odpowiedzi na pytania, które ją prześladowają?

Rozdział 9

Szczelina

„Rada zagłosowała, bratnia duszo. Możesz nas od nich uwolnić. Od jednego i drugiego.”

Aureliusz kiwa głową z uśmiechem na twarzy. Tak więc, Rada stanęła po stronie Isalys – z poczuciem eufemizmu, które należy tylko do mędrców. Pomimo lekko rozmytego obrazu pryzmatu, widzi, jak bardzo Isalys jest zadowolona z tego, że wygrała swoją sprawę. Podoba mu się to. Lubi wyobrażać sobie, że gdzieś tam, daleko, jego gniazdo, jego klan, jego społeczność, jego macierz i ciało wciąż tam są.

Rozkazy są jasne: musi zabić Sarashę i Hannibala...

Doskonale wie, co to oznacza: kolejny wybuch przemocy. Krew, ciosy, ból, kolejny raz ogrom poświęceń w imię klanu. To jest ukojenie. Ocalenie Ula jest dla niego słodsze niż miód.

Doszedł do wniosku, że wszystko jest gotowe, że pułapka musiała zostać zastawiona. Poprzedniego wieczoru, Solis prosi o wizytę w „O N I”, a dziś rano Isalys potwierdza, że jej rytuał doskonale zadziałał – zresztą nigdy nie przyznałaby się do tego, gdyby tak nie było. Spisek wkracza w ostatnią fazę: eliminację potencjalnych wichrzycieli.

„I wróc żywy”, Isalys nie może powstrzymać się, by tego nie powiedzieć.

Zanim zdążył odpowiedzieć porozumiewawczym spojrzeniem, twarz Isalys znika, zastąpiona twarzą Lantany. Arkhonta zaledwie zdążyła pokazać zadowolony uśmiech, gdy pryzmat zgasł.

To odcięcie brutalnie sprowadza go z powrotem na ziemię. Cóż, pozostaje tylko zabrać się do roboty. Nie ma pojęcia jak, z prostego powodu, że jest to wyczyn niemożliwy do zrealizowania. Dopóki to mu się nie uda. Jak zawsze. Jak w Appologium.

Aby zejść z palmy, na której się schronił, biegnie po silnie pochylonym przez wiatr pniu i skokiem zakończonym saltem, odzyskuje kontakt z ziemią. Przyzwyczał się siadać na drzewie podczas komunikowania się z Isalys, ponieważ jest to skuteczny sposób na ograniczenie wibracji wyczuwalnych przez Hannibala, który nieustannie go obserwuje. Kieruje się do obozu, machinalnie wsuwając bursztynowy naszyjnik pod koszulę, z której się wysunął.

„Szukałam cię, aniołku” — wita go Sarasha, gdy spotyka go na szczycie wydmy z widokiem na oazę. Gdzie byłeś?

- Wysikać się. Dlaczego pytasz, chciałybyś go potrzymać?

- Przepraszam, że łamię ci serce, kłownie, ale wolę trzymać jędrne piersi niż miękkie jaja... Dlaczego zmieniłeś plan trasy?”

Złapany we własną grę, Aureliusz uśmiecha się jak dobry przegrany.

- Nie słyszałaś? —pyta się udając zdziwienie. Szefowa chce sobie pozwiedzać. To błąd, jeśli chce znać moje zdanie, ale to z nią musisz o tym pogadać.”

Widząc po jej wścieklej twarzy, Aureliusz domyśla się, że Faworytka Ognia nie będzie próbowała odwieść Solis od tego pomysłu, nawet jeśli ten objazd wcale jej się nie podoba. Pomimo swojego silnego temperamentu — paradoks jej

arkhomu – będzie wykonywała rozkazy. Isalys ma rację, Sarash będzie bronić swojej Malkah do końca, nawet jeśli musiałaby utonąć, nic nie spowoduje tego, by przeszła do obozu spiskowców. Należy ją zatem wyeliminować.

„To nie wyjaśnia, dlaczego każecie nam omijać dolinę - mówi Sarash z klikaniem językiem zwykle zarezerwowanym dla dzieci. To jest podejrzané, stary.”

Obraca się lekko, by wskazać przełęcz Voblast, otwarty wąwóz odległości dziesięciu kilometrów, który powstał w wyniku wybuchu na skalistym płaskowyżu. Wystarczyło dwadzieścia wietrznych lat, aby przekształcić go w głęboką dolinę o stromych zboczach, co pokazuje siłę podmuchów, które przecinają Voblast.

„Droga jest szeroka i wolna. Według mnie to bardziej kojarzy się z „bezpieczeństwem” niż twoje małe kręte kaniony. Dlaczego więc ją omijamy?”

W oczach Aureliusza pytanie to po raz kolejny pokazuje, że Arkhańczycy nic nie wiedzą na temat Riftu. Każdy Fort-Gotens jest świadomy, że lokalna anomalia utrudnia falom dźwiękowym przemieszczanie się przez dolinę, kompresując je do punktu, w którym nie słychać najmniejszego hałasu, nawet kradnąc słowa nieostrożnych podróżników, przed uwolnieniem ciśnienia w śmiertelnie podmuchu, który może zabić każdego, kto nie ma na sobie odpowiedniej ochrony - hełmów w kształcie muszli i odzieży wielowarstwowej.

Dziwne wszędzie indziej w Artellium, to zjawisko wydaje się tutaj naturalne, w Rifcie o tysiącu i jednym zakłóceniu.

Aureliusz nie ma ochoty wyjaśniać tego wszystkiego, byłoby to zbyt długie i zbyt skomplikowane. Nie jest w nastroju, by to zrobić, bydawać lekcje komuś, który i tak w tym się nie połapie. Nie wspominając już o tym, że milczenie

da mu możliwość wypełnienia jego misji. Oznaczałoby to podjęcie uroczego ryzyka rozerwania na strzępy przez pierwszą burzę, ale Hannibal i Sarash byliby całkowicie zaskoczeni. Będzie miał się na baczności, da radę, uda mu się jak zawsze.

Ale postanawia tego nie robić. To nie jest zbyt dobry pomysł. Ponieważ cała karawana również została by wciągnięta w anomalię. Jeśli Solis umarłaby z jego winy, zanim wpadnie w ręce Isalys, to ona obedrze go żywcem ze skóry.

Aureliusz przestaje antycypować. Nie potrzebuje planu, wykorzysta swoją szansę, gdy ona się pojawi. Instynktownie, sama musi rzucić prosto w twarz. To jego sposób na załatwianie spraw, odwaga i jaja. Do tej pory to właśnie to utrzymywało go przy życiu. Intelktualizowanie wszystkiego przez cały czas to tylko strata czasu. Ale czasami w Rifcie czas może płatać ci figle. Tutaj czas jest luksusem, na który nie może sobie pozwolić. Po co więc zmieniać metody?

„Odpowiadasz?” warczy Hannibal, który również przyszedł posłuchać nowinek.

- Nie, nie, nie sędzę. Nie mam ci nic do powiedzenia, jeszcze tego nie zrozumiałeś? Kody Riftu są poza twoją kontrolą, młody Faworycie, a ty pod pretekstem, że widzisz trzy ziarenka piasku, wierzysz, że jesteś we własnym wszechświecie.”

Aureliusz staje przed kolosem, rzucając mu wyzwanie spojrzeniem, nie przejmując się tym, że jest pół głowy niższy.

„Tutaj Ziemia czasami bierze siebie za Niebiosa. Nie popełnij tego samego błędu, Hannibalu.”

Rzuca te słowa z rozmachem, nie można tego pomylić z czymś, co wymknęło mu się ze złości, czego tak naprawdę nie miał na myśli. Czyżby byłaby to próba zakończenia jego misji niezwłocznie. Nic nie wydaje mu się niemożliwe. Czuje

się gotowy na wszystko, nawet na to by zająć się nimi jednocześnie. Dwa ptaki jednym kamieniem. Iskra zrodzona ze zderzenia dwóch krzemieni, wywołująca wielki ogień.

Hannibal wygląda jak buldog, który chce kogoś ugryźć. Nie może uwierzyć w to, co właśnie usłyszał, jego dłoń ściska młot bojowy tak mocno, że skóra jego rękojeści skrzypi.

„Coś tu nie gra, krewetko. Nie ufam ci” – wtrąca się Sarah, wkładając mały palec do ucha.

Obraca go energicznie, zbierając paznokciem nadmiar sebum, który podziwia. Po czym strzela nim dodając.

„Właściwie, to cię nie lubię.

- Zawsze nienawidziłem dymnych zasłon ... Dlatego ja cię lubię, zawsze wiem, o czym myślisz.”

Sarash ignoruje zadziór, równie nieistotny dla niej jak iskra spadająca jej po twarzy i odwraca się w kierunku karawany zgromadzonej u podnóża wydmy, gotowej do odjazdu. Solis obserwuje ich z daleka, w otoczeniu ostatnich ze swoich strażników i głównych czarnoksiężników – Sylaei, Siphonna i Keya, a także dwóch z pięciu Arkhontów.

„Oto jaki mamy plan. Konwój wyruszy drogą przez kaniony, tak jak planowałeś Aureliusz, ale ty i ja zrobimy sobie małą wyprawę zwiadowczą.

- Nie, ja idę z nim.

- Hanni, pamiętaj: ja jestem ostrzem, ty jesteś tarczą. Trzymaj się blisko niej.”

Aureliusz powstrzymuje się od jakiegokolwiek komentarza, zadowolając się dwuznacznym półuśmiechem, Ogień Świętego Elma, który emanuje z przyszłych trupów. Otrzymuje szansę, na którą czekał: bycie sam na sam z Sarashą.

O zenicie Faworytka Ognia będzie martwa.

9.2

Mając się na baczności od początku ich eksploracji, Sarash wykrywa gwałtowny wzrost temperatury ciała Aureliusza, który za chwilę przejdzie do działania.

Nic innego nie zdradza intencji gladiatora. Przechodzi przez skałę blokującą wąski, głęboki kanion, którym podążają od dłuższego czasu, opiera się o pomarańczowo-czerwone ściany z piaskowca i nagle wpada w poślizg.

Sarash nie wpada jednak w pułapkę, opiera się odruchowi, by podejść do niego i mu pomóc. Nie spodziewała się jednak, że będzie tak szybki.

Aureliusz skacze ze swojej wyższej pozycji, rzucając jej w twarz garść piasku zeszkobanego z kruchej skalnej ściany. Sarash zamyka oczy, udając, że jest oślepią i czeka, aż będzie za późno na zmianę trajektorii. Dopiero wtedy rzuca zaklęcie. Odparowuje trochę swojej własnej krwi, która wydostaje się z jej mankietu w postaci pióropusza syczącej pary. Dzięki tej sztuczce jej ramię uderza z brutalną siłą tłoka.

Aureliusz rozumie natychmiast, że został zdemaskowany. Za późno jednak. Pięść Faworytki uderza go prosto w szczękę, łamie dwa zęby trzonowe, paraliżuje od policzka po obojczyk. Gdyby nie jego niesamowity refleks, zostałby trafiony w skroń, a jego czaszka pękłaby.

Jego głowa uderza o ścianę z piaskowca, policzek wbija się w porowatą powierzchnię uderzony ramieniem szybkim jak strzała, masywnym jak młot.

Wytrzymać. Nie zemdlec. Zignorować pieczenie skóry rozdartej do kości i wstrząs, który odbija się echem i wibruje w jego czaszce. Zebrać cały ten ból w dużą kulę i zmniejszyć ją do rozmiaru kuleczki.

Do pocisku z karabinu. Przy następnym ruchu. Gdy rękawica dosięgnie mu podbródka.

Sarash nie rozumie. Takim ciosem zabiła już niedźwiedzia - zabójcę na zalesionych zboczach Acongui. Za jednym zamachem. W przypadku Aureliusza ma wrażenie, że uderza w blok żelaza, a nie w ciało z krwi i kości. Jak to jest możliwe?

Jej pięść przesuwają się po krawędzi szczęki i kończy swój wyścig na ścianie, która rozpada się na piaszczyste wióry.

Gdy tylko zostaje uwolniony, Aureliusz odskakuje w bok, podnosząc kolana do klatki piersiowej, aby nadać ruchowi amplitudę i korzysta z okazji, by chwycić sztylet schowany w bucie. Przelatuje nad całą szerokością kanionu, odpręża się, opierając się o przeciwległą ścianę i pędzi w jej kierunku z bronią w dłoni. Wszystko to w jednym jedynym skoku z pozycji stojącej, trzy sążnie tam i z powrotem bez dotykania ziemi. Niemożliwe.

Widzi, jak sztylet pędzi prosto w jej twarz. Zaskoczona, zasłania się otwartą dłonią. Ostrze przecina jej ciało i wślizguje się między kości, rękojeść uderza w dłonią. Krzyczy z wściekłości i bólu, zaciska pięść wokół pięści Aureliusza i mocno ściska. Pod jej palącymi palcami dłoń gladiatora zaczyna się gotować, zapach grillowanego mięsa nasycza wąski wąwóz.

Aureliusz nie jest w stanie się uwolnić, nawet upuszczając sztylet. Zdumienie, żelazna pięść Faworytki, grzbiet jego dłoni, której skóra zaczyna pokrywać się strupami... wszystko to składa się na to, że pozostaje bezradny. Naprzeciwko niego Sarash krzywi się jak ifryt, jeden z tych ognistych demonów z Masady, które pustoszą Rift w krwawych najazdach.

Musi natychmiast zareagować.

Kiedy obraca nadgarstek, aby powiększyć ranę, Sarash towarzyszy temu ruchowi, aby ograniczyć obrażenia. Następnie kopie nogą w powietrze i ostrym skrętem miednicy wykonuje pełny obrót wokół siebie, jakby sztylet był piastą koła jej ciała. Ramię Sarashy zostaje wykręcone ze stawu, a dłoń wciąż pozostaje unieruchomiona.

Po chwili do góry nogami, Aureliusz ląduje na nogach i kuca. Wciska wolną rękę pod rękojęść i gwałtownie pcha w górę, prostując się. Sztylet unosi się gwałtownie i wciska się między żuchwy, podobnie jak u Fort-Gotensa przy Słonym Jeziorze.

Gest, który ostatecznie staje się podpisem jego zwycięstwa.

Pozbawiona sił z powodu wykręconej ręki, Sarash nie może już nic zrobić. Uwalnia Aureliusza i odpycha go, ale jest już za późno. Stal przebija jej szyję, przechodzi przez język. Przede wszystkim, nie rozpamiętuj bólu, nie myśl o niszczycielskich szkodach. Na szczęście ten obszar jest znacznie mniej wrażliwy od czasu magicznego wypadku, który ją poważnie poparzył. Udaje jej się zachować przytomność umysłu na tak długo, by rzucić odruchowe zaklęcie.

Metal topi się w jej ustach, przebija podniebienie i dociera do mózgu. Ciepło kauteryzuje jej przekłuty język, pokrywając go stopioną stalą.

Po czym pluje nią w twarz przeciwnika.

Po raz kolejny Aureliusz zawdzięcza swoje przetrwanie niesamowitemu refleksowi. Unika ognistego pomarańczowego tryskacza ruchem głowy, tak brutalnym, że czuje, jak pękają mu kręgi. Jego długie włosy z opóźnieniem podążają za gestem, zapalają się ostrym, ztrząsającym dźwiękiem. Rzuca się na bok, tarza się w piasku, który pokrywa dno kanionu, żeby ugasić pożar.

W czasie, którego potrzebuje, by stanąć na nogi poza jej zasięgiem, Faworytka usuwa resztki sztyletu z jej ciała. Wypalona rana przestała już krwawić.

Nigdy nie walczył z takim wojownikiem. Uśmiecha się, podekscytowany wielkością stojącego przed nim wyzwania. Zelektryfikowany faktem, że nie ma żadnego pojęcia jak wygrać. W rzeczywistości mocno wątpi, czy wyjdzie z tego żywy.

„No, to teraz porozmawiajmy! –Sarash syczy entuzjastycznie. Wyrzuca resztki stopionej broni, chichocząc, gdy widzi, jak gladiator wyciąga następny sztylet z drugiego buta. „Już nie żyjesz, jeszcze nie zrozumiałeś tego? Chociaż.... muszę przyznać, że zajęło mi trochę czasu, żeby cię rozgryźć. Zwykle wyczuwam zdradę z tej samej odległości co płonący świerk.

- To dlatego, że jestem zrobiony z innego drewna!”

Aureliusz podbiega do niej, robi zmyłkę na prawą stronę, zmienia gardę i udaje, że atakuje od dołu. Skacze ze zwinnością kota i biegnie po lewej stronie ściany, pochyłej i krętej. Można powiedzieć, że chodzi po ścianie.

Jest zbyt szybki, by dać się złapać w locie, Faworytka musi zadowolić się podążaniem za nim wzrokiem. Biegnie obok niej, mija ją, znajduje się tuż za nią.

Potem ucieka tak szybko, jak tylko może, ścigany przez jej drwiny.

Sarah nie jest niezadowolona widząc go uciekającego, ponieważ potrzebuje małą przerwę. Walka z Aureliuszem jest jak próba złapania błędnego ognika: mały stworek skacze ze wszystkich stron jednocześnie, nieuchwytny i pali cię przy najmniejszej okazji. To męczące i bolesne. Potencjalnie też śmiertelne.

Sarash napina swoje muskularne ramiona, po czym sięga za plecy, by złapać Rousse, swoją ulubioną pałkę. Nie jest

możliwe użycie jej na tak małej przestrzeni, ale chwycenie jej ją uspokaja. To jej ulubiona broń, którą może dowolnie kształtować, hartować jak stal kuźniczą lub uczynić żarzącą jak pochodnia.

Po wykonaniu dwóch lub trzech wiatraczków, gwizdzących jej w uszach, kładzie Rousę na szyję i opiera na niej swoje ramiona. Następnie lekkim krokiem, który odbija się echem, między wysokimi i wąskimi ścianami wąwozu, pogwizdując wesołą melodię, podąża za Aureliuszem.

9.3

Jeśli Aureliusz ma nadzieję zgubić ją w labiryncie wąwozów, to się myli. Bez względu na to, jak szybko będzie biegł, nigdy nie zajdzie wystarczająco daleko, by uciec jej percepcji. Dzięki wieloletniej praktyce, Sarash jest w stanie dostrzec każde żywe stworzenie w promieniu pół-mili. Zazwyczaj jest w stanie zgadnąć, co to za zwierzę. Jest to nawet systematyczne, gdy ma jasne pojęcie o tym, na co lub na kogo poluje.

Można powiedzieć, że Aureliuszowi nie uda się jej wymknąć.

Mogłaby wrócić do obozu, aby ostrzec Solis – chociaż nie ma zbyt ochoty na to, by usłyszeć Hannibala, który będzie głośno oświadczał, że przez cały czas miał rację. Poza tym, jest to zbyt niebezpieczne, by pozwolić komuś tak nieprzewidywalnemu jak Aureliusz uciec. A tak w ogóle, ta rozgrywka między nią a nim, to już jest sprawa osobista.

Jak to możliwe, że tak długo udawało mu się wszystkich oszukiwać? Na pewno jest coś o czym nie wie, jakaś sztuczka, on ma z pewnością jakiegoś asa w swoim rękawie. Nie może się doczekać, by wydobyć z niego jego sekret. Tylko wtedy będzie mogła wrócić do obozu.

Przyspiesza kroku, gdy zdaje sobie sprawę, że jej ofiara zbliża się do grupy około dziesięciu osób, czterysta sążni przed nią. Z pewnością jego współnicy.

Cholera, nie pomyślała o tym.

Kiedy Aureliusz natrafia przez przypadek na zbieraczy bursztynu, nie zamierza nawet odetchnąć. Nie są rzadkością poszukiwacze odłamków bursztynu, którzy stawiają czoła niebezpieczeństwu, zbierając najcenniejszą kopalną żywicę wytwarzaną przez anomalie Riftu. W szczególności Krwawe Skrzydła odkupujący je za cenę złota, Isalys nagromadziła już ich kwintale.

Zbieracze nie pomogą mu - mają lepsze rzeczy do roboty - a on nie ma nic przy sobie, czym mógłby ich przekupić. Jeśli chodzi o zastraszanie ich, zajmie to zbyt dużo czasu, ponieważ każdego dnia stykają się oni ze szczeliną cienia.

Szczelina.

Aureliusz przestaje biec. Tam, gdzie stoi, piaskowany wiatrem wawóz rozszerza się, tworząc zatoczkę z morzem piasku. Na dnie tej miniaturowej zatoki zbieracze bursztynu zbliżają się z bezgraniczną ostrożnością do skalistego płaskowyżu, który lekko wystaje z ziemi. Wielkości stołu bankietowego, wyrzuca on odłamki bursztynu jak rana wyrzucająca skrzepy krwi.

Z pewnością ma do czynienia z całą rodziną, która jest przyzwyczajona do wspólnej pracy. Związani linami, najlżejsi zmierzają, czołgając się w kierunku dna zatoczki, z wyciągniętymi ramionami i podbierakami, aby

złapać bursztyn, jak poluje się na motyle. Zabezpieczają ich najsilniejsi, ciągnąc za liny, które wibrują pod nieustannym napięciem. Najmłodsi, mający zaledwie pięć, sześć lat, układają bryłki w jutowych workach, ciasno je zszywając, po czym przekazują je starszej kobiecie, która je waży i oznacza. Najstarszy z nich pilnuje tę dziwną grupę, siedząc na rozbitym fotelu przed trzema wózkami ręcznymi, z dzidą w dłoni. Wszystko to bez wymiany słów, bez jakiegokolwiek dźwięku, czyniąc ten obraz jeszcze dziwniejszym.

A pod skalistym płaskowyżem anomalia, vortex, nexus, głodna paszcza, która pożera wszystko co znajdzie się w jej zasięgu. Jego siła przyciągania jest tak potężna, że zmiękcza kamień, przekształcając go w coś w rodzaju ruchomych piasków.

Nikt nie wie, dokąd prowadzą te linie uskoków ani co je stworzyło. Ale nikt nie jest na tyle głupi, by próbować się tego dowiedzieć, a nieszczęśnik, który wpadł w to, nigdy nie wychodzi z tego żywy.

Nawet Aureliusz się tego boi.

Kiedy Sarah przybywa w pobliże zatoczki, ma się na baczności bardziej niż kiedykolwiek. Zgubiła ślad gladiatora, którego aura w tajemniczy sposób zniknęła. Wyraźnie wyczuwała jego obecność i tuzina jego współników, a potem nagle wszystko połączyło się w jeden ślad, jak krople rozlewającej się krwi tworząc większą plamę.

Rift to zdecydowanie nieprzewidywalne miejsce.

Z Roussą w garści, ostrożnie omija ścianę z jej nadętym profilem, pochylając głowę, by przejść pod wypolerowanymi naroślami, kołysząc biodrami, by ominąć te na wysokości kolan lub miednicy. Jest spokojna i cicha, dyskretna jak salamandra.

Myśli o wspięciu się na ścianę o wysokości dziesięciu sążni – w butach z ćwiekami nic nie może być

łatwiejsze. Miałaby lepszy punkt obserwacyjny, ale byłaby bezbronna podczas wspinaczki, a biorąc pod uwagę, jak krucha jest ta skała, nie ma mowy, żeby była dyskretna. Porzuca więc ten pomysł. Nie ma sensu ułatwiać pracę Aureliuszowi. Ponownie przygląda się wysokościom: jeśli ona wpadła na ten pomysł, on też mógł go mieć...

Dociera do miejsca, w którym wąwóz się rozszerza, dyskretnie zagląda do zatoczki. Ani śladu zdrajcy. Następnie koncentruje się na jego współnikach... nic nie rozumie ze sceny rozgrywającej się na jej oczach.

Wygląda to jak zawody sportowe rozgrywane przed młodszą i starszą publicznością. Jeden zespół próbuje dotrzeć do skalistej płyty na dnie zagłębienia - czołgając się? – podczas gdy inny próbuje go powstrzymać, krępując przeciwników linami przełożonymi wokół wbitych w ziemię palików. Jak to możliwe, że ci krzepcy mężczyźni nie są w stanie przyciągnąć do siebie słabeuszów z drużyny przeciwnej?

Coś jest nie tak. Zdecydowanie Fort-Gotensi są równie niepokojący jak Rift, na którym dorastali...

Mając się na baczności, próbuje dowiedzieć się dokąd udał się Aureliusz. A jeśli ci ludzie staną między nią a nim.

W końcu to nie oni interweniują, ale skała.

Słyszy chlupot piasku tuż przed tym, jak z krawędzi spada duży skalny blok. Zsuwa się po ścianie, okalecza wyrzeźbiony profil, odbija się od półki i kończy swój wyścig rozbijając jeden z trzech barakowozów.

Sarash od początku wie, że była bezpieczna, a osuwisko wydarzyło się dość daleko od jej pozycji. Jest pewna tego, że to nie ona była celem.

Fort-Gotensi znajdują się w samym sercu zamieszania. Zaskoczeni, silni puszczają liny i teraz walczą o naprawę sytuacji. Ci, którzy się czołgali, wracają po swoich śladach,

zostawiając za sobą cały swój ekwipunek. Dzieci szukają schronienia, staruszek stoi na swoim fotelu, by wydawać instrukcje, stukając palcami w drzewce włóczni. Ich reakcje emanują poczuciem pilności, a nie paniki. A ich reakcja jest dobrze przećwiczona.

Czy ten upadek to tylko przypadek?

Jakby w odpowiedzi na jej pytanie, Aureliusz stacza się z kamiennej ściany. Ze zwinnością górskiego zwierza kontroluje upadek, pochylając się tu i tam, podążając zygzakowatą trajektorią trudną do przewidzenia. Pędzi prosto na Faworytkę z zawrotną prędkością.

Sarash kopie w wyimaginowaną piłkę, unosząc wysoko nogę. Swoim płonącym oddechem zamienia piasek wyrzucany w powietrze w kawałki stopionego szkła, gorącą i tnącą mgłę. Aureliusz nie może powstrzymać się, by przez nią nie przejść. Uszkodzenia są minimalne, ale dywersja powoduje, że traci inicjatywę.

Staje się łatwym łupem.

Rousse wydaje zachłanny gwizd, gdy Sarash mobilizuje całe swoje ciało w uderzenie. Pałka uderza Aureliusza w bok tak mocno, że jego bieg wygina się pod kątem prostym i zostaje wyrzucony równolegle do ziemi, której nie miał czasu dotknąć. Upada pod murem, bezwładny jak worek mąki.

Sarash podchodzi do niego obracając Rousse w rękach, wypatrując najmniejszej reakcji, najmniejszego śladu pułapki. Nic, gladiator wydaje się nieprzytomny.

Kiedy staje tuż przed nim, nie ma już żadnych wątpliwości: chyba ma już dość.

Z pałką opartą na ramieniu, patrzy na niego zadowolona.

I brutalnie uderza Roussa w kolano Aureliusza. Jego ciało drga od uderzenia, ale nie ma innej reakcji, nawet jęku.

Teraz jest pewna.

„Na szczęście dla twojej ładnej buzi, że chcę cię przesłuchać, inaczej celowałabym w czaszkę...”

Przerażone krzyki sprawiają, że się odwraca. Wszyscy pełzający są teraz bezpieczni, z wyjątkiem jednego. Kołek, wokół którego biegła jego lina, został złamany przez spadającą skałę. Fort-Gotens, nastolatek z kręconymi włosami, przewraca oczami z przerażenia, podczas gdy, w niewytłumaczalny sposób, jest ciągnięty na dno zatoczki. Orze ziemię paznokciami, aby dołączyć do innych, nie znajdując żadnego uchwytu na wirującym piasku.

Sarah nie powinna się wtrącać, musi bezzwłocznie ostrzec Solis. Tron jest w niebezpieczeństwie, a może nawet cała Arkhantia. Naprawdę musi iść. Ale... czy Solis nakazałby jej pozostawić tych ludzi własnemu losowi, bez względu na sytuację?

Wzdycha, a jej nozdrza wyrzucają miniaturowy pióropusz dymu z wulkanu gotowego do wybuchu.

Dołącza do trupy, która ostatecznie nie ma nic wspólnego z Aureliuszem. Chwyta jedną z wielu leżących na ziemi lin, zawiązuje jeden koniec wokół własnej talii, a drugi powierza dwóm najsilniejszym z drużyny. Następnie, na oczach oszołomionych Fort-Gotensów, idzie prosto w stronę nastolatka. Przy każdym rozzarzonym kroku piasek zamienia się w bryłową płytę, która skrzypi i pęka, gdy posuwa się do przodu, ale która zapewnia wystarczająco solidną powierzchnię, po której może iść.

Po kilku krokach czuje rosnącą siłę przyciągania. Teren jest płaski, a ona ma wrażenie, że schodzi po coraz większym zboczu. W co się wpakowała?

Do diabła z tym, teraz jest już za późno, żeby się poddać. Nie po nadziei, którą wzbudziła w tych ludziach –w tej rodzinie, w końcu zdaje sobie z tego sprawę. Jeśli nie

może uratować tego dzieciaka, po prostu nie jest godna bycia Faworytem.

Aureliusz stoi u bram nieświadomości. Może obserwować rzeczywisty świat tylko przez dziurkę od klucza swojej niesamowitej odporności na ból. Ale jego zakład się opłacił. Rzucić skałą, aby zniszczyć punkty zaczepienia lin, pognać w stronę Faworytki Ognia, wiedząc doskonale, że będzie się broniła, osłabić jakoś siłę jej ataku i za wszelką cenę udawać, że stracił przytomność. A potem pozwolić, by jej instynkt bohaterki przejął kontrolę. Wiedział, że przyjdzie z pomocą zbieraczom, nieświadoma grożącego jej niebezpieczeństwa. Sarash może winić za to tylko samą siebie.

Aby walczyć z omdleniem, Aureliusz skupia się na krokach Sarashy, zmuszając się do analizowania każdej subtelności. Sposób, w jaki podeszwa stopy naciska ziemię, aby rozłożyć ciężar ciała, napięcia w centrum szklanej powierzchni, kiedy stawia na niej but, przyciąganie wywierane przez uskok... wszystko to odczytuje.

Informacje te nie przechodzą przez jego pięć zmysłów. Nie jest to też intuicja. Nie, przesłanie dociera do niego w głębszy sposób, jakby nabrał nowego szóstego zmysłu, zupełnie nieznanego. Nie wie w jaki sposób, ale *wie to*.

Czy informacje docierają do niego poprzez wibracje gruntu, które rozszyfruje dzięki magii Ziemi? Czy ta zdolność, której nagle staje się świadomy, jest tym, co zidentyfikował w nim Tumul? Zawsze zastanawiał się, jak stary czarnoksiężnik mógł sobie wyobrażać, że on, dzieciak wychowany w gangu na Riftcie, ma zdolności taumaturga...

Czy ten nowy zmysł mógł zostać obudzony przez uderzenie pałki Sarashy? Ironia byłaby pikantna, biorąc pod uwagę, że zamierza ją zabić.

Sarashie udało się podejść do młodego mężczyzny. Kiedy chwyta go, by przycisnąć go do swojej piersi, on nie walczy jak topielec, a wręcz przeciwnie, panuje nad paniką, by jak najlepiej wykorzystać tę szansę ocalenia. Mimo to, czyta w jego oczach niewypowiedziane przerażenie, które wykracza poza strach przed śmiercią. Z czym będą musieli się zmierzyć?

Rozumie to w chwili, gdy próbuje się odwrócić. Nie może wrócić tę samą drogą, która przyszła. Przyciąga ją dno zatoczki, ta dziwna, przesuwająca się płyta skalna. Może ciągnąć z całej siły linę i zapierać się nogami, mobilizować całą swoją wolę, nic nie pomaga: przyciąganie jest zbyt silne dla zwykłego śmiertelnika.

Tylko, że Sarah jest kimś więcej.

Tak jak zrobiła to, uderzając Aureliusza, poświęca swoją własną krew, aby uwolnić parę i wyrzucić się poza zasięg tej nadprzyrodzonej siły.

Sarash robi pierwszy krok.

Popycha swoje ciało do granic wytrzymałości, do granic możliwości czerpie z jej życiowych rezerw. To kwestia życia lub śmierci.

Robi kolejny krok do przodu.

Nastolatek nie utrudnia jej zadania, także wykonuje swoją część pracy, ciągnie linę z wigorem, o który nie można by było podejrzewać jego wątłych ramion. Nie ma ani wigoru Sarashy, ani butów z ćwiekami tak jak ona, a jego podeszwy nieustannie ślizgają się po szklistej powierzchni, mimo to walczy z całych sił.

Wspólnie stawiają trzeci krok, który okazuje się nieco łatwiejszy niż poprzednie.

Niestety Aureliusz nie pozwala im na zrobienie czwartego kroku.

Mobilizując swoją nową umiejętność,... pcha. Manifestuje swoją determinację, by nie dopuścić Faworytki do uniknięcia szczeliny, zmusza rzeczywistość do naginania się do jego pragnień. Myśl ta zajmuje całą przestrzeń w wąskim zakresie jego podświadomości.

Sarash musi umrzeć. Dla Isalys.

Na dnie zatoczki Sarah ma nagłe i wyraźne odczucie, jakby przez jej pierś przechodził łańcuch, obciążony ciężarem godnym kotwicy galeonu. Nie przychodzi jej nic innego do głowy, co mogłoby ją tak mocno odciągać.

Nie czekając, chwyta dzieciaka za tył tuniki i z przeciągającym się krzykiem miotacza, katapultuje go jak najdalej od siebie. Nie był to wielki wyczyn, zaledwie kilka łokci, ale wystarczyło to, aby członkowie jego rodziny rzucili mu linę i odciągnęli w bezpieczne miejsce.

Sarash ma przynajmniej taką nadzieję, ponieważ wysiłek dostarczył jej jawnej, niewiarygodnej atrakcji. Wywraca się, na łeb na szyję, rozbija szklany dywanik, który towarzyszy jej w poziomym upadku. Kończy ze stopami utkwionymi na skalistym płaskowyzu, zatapiając się w nim jak w ruchomych piaskach.

Uczucia, które odczuwa jest niemożliwe do opisanie. Nie wie, czy jej nogi są zmiażdżone, czy nienaruszone. Szybko wciągnięta jest aż po uda.

Tutaj nic nie ma sensu, wszystko jest przesiąknięte zjawiskami nadprzyrodzonymi. Chwyta się więc tego, co zna najlepiej: magii.

Mobilizuje każdą odrobinę prany, jaką zostawił jej Rift, intonuje zaklęcie, by ochłodzić kamień, zestalić go, by przestała tonąć. Jej miednica jest już wciągnięta, nie ma już czasu do stracenia. Jeśli nie jest już za późno.

Rift kpi z niej jeszcze jeden raz, prawa natury zostają odwrócone i zamiast twardnieć, kamień staje się jeszcze bardziej miękki.

Aureliusz podziwia odwagę Faworytki, jej determinację, by stawić czoła Śmierci, patrzeć jej w twarz, dopóki ponura Kostucha pierwsza nie spuści wzroku.

Jego podziw jest tak wielki, że stara się wyprostować, mimo że jego kolano podwoiło swoją objętość. Jego szczeka wciąż jest zdrętwiała, język wciąż bada nową dziurę w zębach, popękane żebra podrażniają płuca, ale najgorsze jest poczucie winy, które łaskocze go w żołądku. Nikt nie zasługuje na los jaki spotyka Sarashę.

Kuśtyka do rodziny kolekcjonerów, która przerażona jest świadkiem nieuniknionej śmierci. Starzec, który wie jeszcze lepiej niż inni, że nikt nie może nic już zrobić, nawet nie próbuje się opierać, gdy Aureliusz bierze jego włócznie.

„Taki był twój plan od samego początku!”, krzyczy Sarash. Synu trolla, pieprzony zdrajco, zapłacisz mi za to!”

Ogień gniewu, który płonie głęboko we wnętrzu Faworytki, zmienia ironiczne przezwiska jakimi przystroiła Aureliusza, w prawdziwe obelgi. Jej gniew rozplywa się w metaliczny strach, nieubłagalnie traci kontrolę, strzęp po strzępie smakując jak popiół. Nigdy jej się to nie zdarzyło. Nie możesz stracić kontroli nad ogniem, bo inaczej cię zabije. Ślady na jej twarzy to blizny z jednego razu, kiedy straciła panowanie nad sobą. Po tym przysięgła sobie, że już nigdy nie zawiedzie. Krzyczy jednak, by zapomnieć o porażce, by zapomnieć o zakopanym po piersi ciele, stara się nie myśleć o tym, co się stanie. Potem.

„Sarash, mówi gladiator, nie stawiaj oporu.

- Brudny drań! Zamierzam powiesić cię za włosy i zanurzyć w wulkanach Cendraise, powoli, jeden palec po drugim!”

Aureliusz jej nie słucha, wie, że strach sprawia, że ludzie mówią głupoty. Sprawdza wyważenie włóczni, dostosowuje swój gest do ran, po czym cofa swoje ramię.

„Nie próbuj niczego głupiego, proszę. Pozwól mi cię zabić, zapewniam cię, że to najlepsza miłosierna opcja.

- Słyszysz mnie, zdrajco? Poczujesz każde włókno swojego pieprzonego palonego ciała! Będiesz błagał, żebym cię wykończyła, ale nigdy nie zrobię ci tej przyjemności!

- Nie chcesz przekroczyć szczeliny, więc pozwól mi cię zabić. Nie rób tego dla mnie, zrób to dla siebie. Proszę.”

Właściwie już z nią nie rozmawia, zamiast tego szepcze do siebie. Jest zabójcą z zimną krwią, nie liczy już swoich ofiar, ale rzadko kiedy chce być tak miłosierny jak tu i teraz.

Włócznia leci prosto w kierunku Sarah, tylko jej twarz i ramiona wciąż wystają ponad ruchomą platformę. Jej trajektoria jest idealna, dokładnie w kierunku lewego oka.

Sarash spala ją do trzonu strumieniem ognia ze swoich wściekłych ust. Narzędzie zbrodni zostaje obrócone w popiół, zanim do niej dotrze.

„Żar zawsze powraca Aureliusz, znajdę cię! Słyszysz mnie? *Zemszczę się!*”

Kiedy skała zamyka się na jej oczach, Sarash pozwala sobie poczuć strach, który ją miażdży, silniej niż to nieziemskie przyciąganie mogłoby kiedykolwiek.

Tak.... jest przerażona.

Ale znika w swoim grobie, nie błagając nikogo.

Rozdział 10

Zdrajca albo nie istnieć ?

Sarash nie żyje ! Sarah nie żyje.... Sarash nie żyje.

Zgodnie z jej statusem, Solis musi pozostać niewzruszona jak posąg, z całą godnością jakiej się od niej oczekuje. Siła, dyscyplina, przykład, stałość. A mimo to.... chociaż powinna pozostać z kamienną twarzą, jej twarz jest zdeformowana przez ból, niczym ciepły воск. Zimna krew, którą powinna zachować zamienia się przez chłód samotności, w lodowate łzy, której Faworytka Ognia nie może już rozgrzać.

Solis rozbita przez tę wiadomość, niczym łódź rozbijająca się o skałę, trzyma swoją rękę położoną na trzęsących się ustach. Jest załamana, rozerwana od wewnątrz, pijana do nieprzytomności przez niszczące echo, które powtarza jej na okrągło, że Sarash nie żyje. Jej przyjaciółka, jej mistrzyni, jej podpora, ta z którą tak wiele dzieliła, od śmiechu po łzy, rozmowy do późnej nocy i milczenie.

Teraz, właśnie w tej chwili, z ogniem w niej, który wygasł i z sercem obróconym w popiół, Solis ma gdzieś to co o niej sobie myślą i procedury Arkantii. Jej wewnętrzny płomień zgasł w mgnieniu oka, zdmuchnięty przez burzę niczym tania świeczka. Odrzuca uczucie zanikającego przywiązanie bez granic, które miała do Sarashy i które ujawnia gęstą głębię nocy, która nigdy się nie skończy. Czuje jak jej nogi uginają się pod jej ciężarem, jak brakuje jej sił, jest tak bliska tego, by paść na kolana.

Obok niej, Hannibal silny jak blok. Jego serce jest pokruszoną skałą, zamienioną w żwir, który sypie się w jego wnętrznościach i ujmuje pazurami jego stawy i jego uczucia.....Solis nie wątpi w to. Ale on potrafi chociaż rozpuścić silną detonację swojego smutku, by zmniejszyć jej efekty. Potrafi zachować godność, pomimo bólu i smutku. Męczyzna pozostaje na swoim miejscu, krok za Faworytem.

Solis próbuje wziąć z niego przykład, próbuje wziąć się w garść, powstrzymać przygnębienie i poczucie winy, która ją przytłacza. Ale to zadanie jest niemożliwe, uciekające, bezsensowne, jak modlitwa kierowana do pustej trumny, nekrolog, który zanika niczym zostanie wygrawerowany na kamieniu poruszającej się płyty na dnie zatoczki.

Całe szczęście, że Hannibal stara się tchnąć w nią resztkę swojej wewnętrznej odporności. Bez tego już dawno by się rozsypała.

„Sarah nie....żyje... Hannibal, Sarah nie....Proszę powiedz mi, że to nie jest prawda.

- Została zabita. To nie był wypadek! Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę! I wiesz kim są ci, którzy są za to odpowiedzialni ... bezpośrednio lub pośrednio.”

Solis szepce, podczas gdy Hannibal grzmi. Jego silny, ochrypły głos zwraca uwagę wszystkich dookoła: żołnierzy stojących na straży na wzgórzach i przy wejściu do wąskiego wąwozu, karawany Arkańczyków czekającą w zaciszu szerokiej piaszczystej zatoki, Faworytów i ich uczniów obserwujących z daleka anomalie, która zakłóca ich magiczne zmysły, zbieraczy bursztynów, którzy są przesłuchiwanymi przez Cantora, Bayanę i dwóch Arkhomów, którzy towarzyszą delegacji. Wszystkie oczy skierowane są na nią, stojącą w oddali z Ronanem, pozostającą w bezpiecznym miejscu, jak przywódca, który był ofiarą zamachu.

Jedyny, który nie przejmując się warczącym gniewem kolosa to Aureliusz. Oparty o tabór, opatrywany przez Sylaeę, opanowany mimo jego ran, lub udający, że jest. Jest tak poturbowany, że ma się wrażenie jakby został przejechany przez karawanę kupców.

„Światło ustali fakty, przypomina Solis trzęsącym się od szlochów głosem.

- Solis, jesteś ślepa czy co?, warczy Hannibal grzmiąc. Nie potrzeba Światła, by stwierdzić, że Aureliusz jest temu winny! Wiem to, czuję to, drzę od tego tak bardzo, że cały się trzęsę, to wszystko śmierdzi oszustwem i kłamstwem. Nie wiem jak to zrobił, ale to przez niego zniknęła. Solis, przestańmy się oszukiwać. I to ty, to ty przywiodłaś go tutaj. Chronisz go, podczas gdy on zdradza cię z uśmiechem na ustach i zabija naszych bliskich, bez żadnych konsekwencji. Nie znam żadnego zaklęcia, które pozwoliłoby otworzyć ci oczy, ale posłuchaj tego co do ciebie mówię. Stań na wysokości zadania! Bądź Malkah, której potrzebuje twój lud! Solis, ratuj siebie i nas od konspiracji.”

Hannibal pozostaje niewzruszony, obok Solis, której nie opuszcza na krok. Ale pod jego nogami, ziemia trzęsie się mikrofalami, które marszczą drobny piasek, odzwierciedlając wstrząsy jego wewnętrznej ziemi.

Myślała, że Hannibal jest po jej stronie, jest jej fundamentem, podporą. Odkrywa kogoś, kto jest na nią wściekły, kogoś kto myśli, że jest wmieszana w zniknięcie Sarashy- jej śmierć, nie zniknięcie.... Czy go też już straciła? Czy została pozbawiona kolejnej bliskiej osoby? Nie wyobraża sobie tego, nie jest w stanie stawić czoła kolejnej żałobie, jeszcze nie teraz. Aby zapobiec tej strasznej możliwości, dyskretnie wciska swoją dłoń w łapę kolosa, odczuwając ulgę, gdy on odwzajemnia jej uścisk.

Sarah nie powróci, oboje zdają sobie z tego sprawę. Cały jej żar zgasł, świat został odcięty od wibracji Faworytki Ognia. Ta myśl w kolorze węgla wypala Malkah. To tak jakby nagle pozbawiona została wszystkich minerałów, które dają smak wodzie, która jest źródłem życia. Nagle całe istnienie staje się mdłe i pozbawione smaku.

Niewidoczna i oślepiająca błyskawica wspomnień wybucha w niej ożywiając czar cierpienia. Widzi siebie jako drżące, jękające się dziecko, tak drobne w stosunku do imponującej postury Maleka, który podkreśla zasady obowiązujące ich rangę z naturalnym dla niego dystansem i chłodem.

Z nastrojem ukrytym za zasłoną strachu i samotności, to dziecko marzy o tym by być kimś zupełnie innym. Malek marzył o tym, by być ojcem wszystkich Arkańczyków, tylko nie jej.

Sarah pojawiła się w jej życiu, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, czując, że Solis jest zagubiona. Wykonując całą serię sztuczek, jedną śmieszniejszą od drugiej: robiąc zęza i pokazując całą serię szalonych ogników za swoimi uszami; podrabiając idiotycznego Maleka, z gburowatą czerwoną ze złości twarzą; wyrzucając fumarole o zapachu gazów z jej złamanego zadziornego nosa; wymiotując żary z jej ogromnej buzi, z wytrzeszczonymi oczami, z ogromnym płonącym językiem, poparzonym i pełnym bezbolesnych pęcherzy.

Kiedy budzi się ze swoich wspomnień, opary głosów wyparowują, a zapachy płonącego drewna pozostają, ale Sarashy tutaj nie ma. Ponieważ Sarash nie żyje. Nie żyje. Fotel Faworytki Ognia jest nagle pusty, a Solis czuje kawałek lodu na miejscu swojego serca.

„To jego winna, upiera się Hannibal czerwony ze złości wskazując brodą winnowajcę. Solis posłuchaj mnie, to on, to Aureliusz zabił Sarashę!”. Przeżuwa swój gniew, ale nie udaje

mu się go powstrzymać. „Od miesięcy ostrzegam cię przed nim.”

Solis unika wzroku Hannibala. Stara się zachować złudzenie ich bliskości na przekór wszystkiemu. Na przekór wszystkiemu. Stara się odrzucić smutek, ale jest to tak trudne jak wyciągnięcie szpady, która cię przebiła, bez żadnego grymasu. Ciągłe próbuje, zmusza się mimo tego ogromnego bólu, który ją rozdziera. Musi szybko wziąć się w garść, zareagować, działać, podjąć właściwą decyzję. Dobrą decyzję.

Aureliusz jest naprawdę zabójcą? Odwracając głowę w kierunku winowajcy, Solis zdaje sobie sprawę z tego, że nie tak naprawdę nie wie na temat tego człowieka, który ją denerwuje, który ją fascynuje i jednocześnie zadrecza. Stara się zmobilizować wszystkie swoje zmysły, konsultować aż do bólu swoją intuicję, jeżeli chodzi o tego tancerza - wojownika, ale nie widzi w nim zabójcy, kogoś podstępного, kogoś kogo potępia Hannibal, nie, zdecydowanie nie.

Ostatkiem sił powstrzymuje się, by nie przypomnieć Hanninbalowi, że Aureliusz jest też jego uczniem: jeżeli to zostanie potwierdzone, jego zbrodnia opryska Faworyta i wszystkie Arkhomy Ziemi. Ten szpikulec byłby krzywdzący i idiotyczny z jej strony, bo przecież to była jej decyzja, by przemierzyć Rift z Aureliuszem jako przewodnikiem.

Znajduje się w takim stanie nieważkości emocjonalnej, która przypomina chaotyczny Rift. Jeżeli Aureliusz jest winny, będzie zmuszona publicznie oświadczyć, jak bardzo się pomyliła. Nie będzie miała innego wyjścia, jak powrócić do Nephtydy, a jej panowanie nie przetrwa.

Masuje swoje skronie, mocno naciskając ze złości, z gniewu, z ochoty zrobienia sobie krzywdy, by nie odczuwać bólu. Jakby to mogło załatwić sprawę. Dlaczego? Dlaczego

jest taką idiotką, dlaczego nie czuje w nim tych agresywnych wibracji, które inni widzą?

Nikt nie widzi ogromu jej zadania, nikt nie czuje tak jak ona, ciężaru całej Arkhantii na jej związanych barkach, obciążenia i strachu przed porażką. A przede wszystkim, unoszącego się wysoko na niebie przekonania i siły jej absolutnej pewności. Bez Aureliusza, nie będzie mogła odnaleźć swojej siostry, nie będzie mogła odnowić prany, zrealizować zadania królowej. Jej zadania, jej powołania, jedyne powodu dla którego zasiadła na Rzeźbionym Tronie.

W przypadku gdy zostanie uniewinniony, straci Hannibala, zaraz po tym jak straciła Sarash, gdyż Faworyt Ziemi nigdy nie zaakceptuje takiego werdyktu.

Najgorsze jest to, czy Aureliusz jest winny, czy nie jest, Solis będzie zdruzgotana. Marzyła o tym, by uratować świat. A teraz jedyne, co pozostało z jej nadziei, to monarchini, która poprowadziła swoją lojalną przyjaciółkę na pewną śmierć. Ten smutek, ta okrutna bezsilność, to coś więcej....

10.2

..... poważniejszego, niż wyobrażał sobie to Cantor: wrogie nastawienie Fort-Gotensów jest wyczuwalne, a Bayana nie robi nic by temu zapobiec. Jakieś nieporozumienie, nawet błąd, tak długo jak wynik ich dochodzeń ma znaczenie. Cantor czyta Bayanę i nie wyczuwa w niej nic oprócz mglistego, rozproszonego koloru, zagubionego w szarości mgły: jej aura jest rozmyta, ukryta.

Cantor zdaje sobie sprawę z tego, że od pewnego czasu, nie rozmawiają ze sobą wystarczająco, między Arkańczykami..... Emocjonalne sesje są odkładane od miesięcy. Może Bayana rozpacza nad tą sytuacją? Cantor musi z nią porozmawiać na ten temat przy najbliższej okazji. A narazie, muszą zająć się tym śledztwem, ale Arkhonte jego rangi, nie powinien prowadzić dochodzenie w tych warunkach. Cantor nie może sobie na to pozwolić. Jest to kwestia etyki.

To dziwne, przecież wszystko zaczęło się prawidłowo: kolejność wydarzeń wydawała się jasna, zeznania świadków były zgodne, wyrażały szacunek do bohaterstwa Faworytki Ognia i potwierdzały fakt, że Aureliusz był nieprzytomny w momencie, kiedy została pochłonięta przez „bursztynową szczelinę”, nazywaną tak przez zbieraczy. Po czym jego siostra z bractwa w niebieskim ornacie, wbiła sobie do głowy pomysł, by wysondować młodego człowieka, którego uratowała Sarash, tuż przed swoim zniknięciem. Jej upór doprowadził do tego, że Fort-Gotens zamknął się w sobie, zerkając po kryjomu w kierunku najstarszych z jego obozu.

Cantor nie rozumie postępowania swojego homologa. Emocjonalna aura Fort-Gotenów jest nadzwyczaj czysta i przejrzysta, łatwa do zinterpretowania, Bayana powinna wiedzieć o co chodzi i dopasować swoje postępowanie do sytuacji. Chyba, że to on nie rozumie schematu emocjonalnego, który się tutaj utworzył....

Mając wątpliwości co do swojej analizy, Arkhonte koncentruje się, mobilizuje trochę swojej prany, robi wdech, mruży oczy, robi wydech i między rzęsami tworzącymi rozbłysk gwiazd wokół jego oczu, aureole otaczają każdego ze zbieraczy. Ich migotanie jest wzmocnione przez ciepło i perturbacje Riftu, ale ich kolory pozostają jasne i pozwalają na interpretację.

U młodego mężczyzny ocalonego przez Sarasę, żółtawy odcień jego aury potwierdza jego upór, podczas gdy brokatowe odbłaski czarnego przypominają uraz jego ostatniego doświadczenia. Cantor czerpie z tego poświadczenie, że ta „szczelina” jest rzeczywiście tak niebezpieczna jak się to wydaje. Nawiasem mówiąc, nie potrafi zapomnieć jej fluktuacyjnej obecności, która czai się na peryferjach piaskowej zatoczki. Ostatnim razem, kiedy odczuwał tego typu zagrożenie wiszące nad nim, to było wtedy, kiedy Wymazywacz Cienia został nominowany przez trybunał dynastyczny, by wyleczyć zaburzenia psychotyczne zresocjalizowanego dziecka-żołnierza.

Aura trzech najsilniejszych dorosłych jest najbardziej wyraźna: twardy czerwony karmin, który jest sygnałem predyspozycji do przemocy, którą ich szorstkie ręce czynią jeszcze bardziej konkretną, surową. Cantor nie martwi się tym, posiada odpowiednie środki by się obronić. Wie jednak, że nie będzie ich potrzebował. Kolorowe wiry są pochłaniane przez sylwetkę najstarszego z nich i przez jego lśniąca, zieloną aureolę. Jest kimś, kto ma wystarczająco dużo doświadczenia, człowiekiem nastawionym pokojowo, obrońcą klanu. Cantor jest przekonany o tym, że trójka siłaczy nie zrobi nic bez zgody staruszka.

Jednakże, to nie on jest prawdziwym przywódcą. Trzeba być bardzo spostrzegawczym, by to zauważyć, ale starsza kobieta siedząca na workach z juty, wypełnionych bursztynem promieniującym pięknym odcieniem brązu, kolorem starej skóry patynowanej czasem. Skóry, która była regularnie smarowana, by przedłużyć jej użytkowanie. Kryje ona swoją aureolę za jaskrawym różem dzieci, blaskiem ich niewinnej młodości połączonej z emocjami z gry, w którą się właśnie bawią. Polega ona na

mechanicznych elementów odzyskanych na wysypisku, w celu utworzenia coraz to nowszych kształtów. Pilnuje ich bezwiedna młoda dziewczyna, okryta pomarańczowym kolorem, znak jej żywotności i potrzeby przygody, również jej szybkich zmian humoru. Cantor będzie wiedział czego może się po niej spodziewać.

Arkhonte skupia się na starszej kobiecie. Widzi, że ma dobry charakter, siłę osoby, która była w Rifcie zbyt wiele razy, by dać się łatwo nabrać. Jest osobą, która szuka pokoju i stabilności, otwartą na kompromis, by uzyskać to czego szuka. To ona jest podstawą tej grupy. Co więcej, Arkhonte domyśla się, że jest w pełni tego świadoma, bardziej niż pozostali członkowie tej rodziny.

Cantor kieruje się w jej stronę. Kobieta zaciska wargi, ma pochmurną minę, a jej zmarszczki maskują jej nastrój. Odczytując te małe szczegóły, wie, że się nie myli. Zatrzymuje się w bezpiecznej odległości z otwartymi rękoma i widocznymi dłońmi, universalnym znakiem pokoju. Jako gest dobrej woli, podnosi swoje chustę i umieszcza przyjazny uśmiech na swojej twarzy.

Wymieniają między sobą ciche i głębokie spojrzenia. Cantor chciałby zgłębić wspomnienia tej kobiety, odkryć jej życie, które wydaje mu się bogate w tym tajemniczym i szalonym Rifcie. Nie ma jednak odwagi czytać w jej umyśle. Nie chce wymuszać sytuacji, pozwala jej na osądzenie go jej własnymi oczami, przy pochmurnym świetle jej rogówek. Jest gotowy przysiąc, w ten czy inny sposób, że ona także czyta jego aurę. Poddaje się temu z przyjemnością, bo nie ma nic do ukrycia. Jeśli o niego chodzi, transparentność jest koniecznym warunkiem roli Arkhonta. Na tę myśl, zerka przypadkiem na Bayanę.

Podczas gdy cisza przedłuża się, spogląda na dzieci, które nie zwracają na niego najmniejszej uwagi. Cantor obserwuje i odnotowuje kompleksowość ich konstrukcji, technikę, która jest wymagana, by łączyć mechanizmy zasilane przez sprężyny. Trudność, by zrobić z nich automaty go zadziwia. Te zmaistrowane kreacje ożywają tylko na krótką chwilę, jak metafora życia na Rifcie. Za to, ich starsza siostra nie spuszcza go z oka. Przesuwa swój rozdrażniony język po swoich zębach, niczym wąż, który przygotowuje swoje kły w odpowiedzi na natrętnej obecności.

Jakby nic się nie stało, wyciąga z wewnętrznej kieszeni swojego czerwonego ornatu, swój czytnik wspomnień. Kryształowa obręcz wygląda jak opaska, którą bezwiednie manipuluje, a która zaczepia promienie słoneczne. Wydaje się, że nastolatka ignoruje to, za to dzieciaki są zafascynowane opalizującymi odblaskami, które łachoczą ich siatkówki.

Cantor ponownie koncentruje się na staruszcze. Wolną ręką wskazuje na jutowe worki.

„Nie zamierzam udawać, że się na tym znam, ale patrząc na ryzyko jakie podejmujecie zbierając ten bursztyn, przypuszczam, że wart jest tutaj wielkiej fortuny”.

Dodatkowa zmarszka na powiekach starszej kobiety pogłębia linię jej zmarszczek.

„Jeśli sobie życzysz, mogę poddać wagę waszych zasobów, aż do ostatniego karata. Zmniejszysz dzięki temu ryzyko kradzieży. Możesz nawet skontaktować się z kupcami bez potrzeby transportu zasobów.

- Masz mnie za idiotkę? Twoja magia tutaj nie działa.”

Cantor wyciąga weryfikacyjny pryzmat z drugiej kieszeni. Podnosi go w górę na wyciągnięcie ręki i kieruje go tak, by zaczepił światło Galany. Kształt się

materializuje, a następnie zamarza, na obraz fontanny, której strumień wody zamarza przy pierwszym tryśnięciu.

„Zadziała, gwarantuje jej to Arhkonte.

- Zachowaj te swoje czary-mary dla dzieci, już jestem na to za stara.

- On ma rację, Mama, interweniuje młoda dziewczyna. To działa. Widziałam mnóstwo takich. Nawet takie, które grają muzykę z gośćmi, którzy tańczą i inne takie.”

Staruszka odchrząkuje w sposób, który ilustruje co myśli na temat tego typu gadżetów i z pewnością dziwnych młodzieńczych pasji.

Cantor przytakuje głową nastolatce, po czym kieruje swój uprzejmy uśmiech w stronę jej Mamy. Kładzie czytnik i pryzmat na jednym z worków z juty, wkłada swoje palce za pasek, dając do zrozumienia jego towarzysze rozmów, że następny ruch należy do niej.

„Co na tym zyskasz?”, pyta się kobieta, głosem dziwnie czystym jak na swój wiek.

Cantor patrzy przez swoje ramię w kierunku Solis, która trzyma się z boku czekając na ich raport, jego i Bayany. Myślał, że trzymając ją z daleka, okaże jej neutralność, ale nagle zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo ją to izoluje. Malkah nigdy nie była taka krucha jak właśnie teraz, ani taka smutna.

„Ta kobieta...., odpowiada odwracając się.

- Wiem kim ona jest, nie traktuj mnie jak głupka, przerywa mu staruszka ze złością w oczach.

- Tak, naprawdę, wiesz kim ona jest? Nie wiedziałem, że jest tak popularna w Rifcie.... To w jej imieniu wam pomagam? To ona przypomniała nam wszystkim, że Fort-Gotensi też są Arkańczykami.”

Jeżeli wątpiłby jeszcze w mądrość słów Solis, to, to zmartwione spojrzenie tej starszej kobiety z pewnością

przekonałoby go. W jasnym przeblasku, wychwycił jedno z jej wspomnień, gwałtowne i oślepiające.

Tak samo jak wybuch, który dwadzieścia lat temu, zniszczył ósme terytorium Arkhantii, zostawiając tylko to przykre pustkowie.

Cantor znajduje się teraz w pamięci Lagidy - takie jest jej imię - w momencie gdy horyzont jest połamany przez przerażającą detonację światła i cienia. Półkula, która niepomniernie się powiększa, tworząc sklepienie, które pokrywa część świata. Rośnie ona coraz bardziej i bardziej, aż znajduje się uwięziona między dwiema niewidocznymi ścianami. Po czym spłaszcza się z dwóch stron, podnosi się coraz szybciej w kierunku nieba, rozrasta się w liczne wrzody jak nowotwór. A następnie pęka.

Matka wszystkich wybuchów, ta która położyła kres Wojnie Bohaterów rodząc Rift.

Podczas, gdy jej sąsiedzi pochłonięci są widowiskiem zagłady, Lagida biegnie w kierunku dwójki swoich dzieci. Ma tylko czas na to, by je przycisnąć do swojej piersi i otoczyć ich małymi ciałami, by je ochronić.

Nagle podmuch, okrutny ...

Miała nadzieję, że uda jej się uratować jej dzieci, tymczasem została zdmuchnięta jak martwy liść, niezdolna do tego, by je przytrzymać, mimo nieprzeniknionej siły, która obdarzyła ją rozpacz. Jej uszy wypełnione są wybuchem do tego stopnia, że nie słyszy krzyku agonii jej synów, jej plecy są poparzone przez żar, silniejszy niż dmuchnięcie smoka, jej wzrok jest wybielony przez błysk, jedno z jej ud łamie się i już nigdy się nie wyleczy, powodując, że będzie kulą do końca życia. Najgorsza rzecz przytrafiła się wewnątrz jej lewej ręki i na lewym boku: tutaj, skóra zdarta z jej małych chłopców połączyła się z jej skórą, niczym

napromieniowna mieszanina magi i technologii. Ciało jej ciała, został ciałem w jej ciele.

Odtąd, Lagida nigdy nie zawiodła. Zbudowała sobie nową rodzinę, którą żywi każdego dnia, którą opiekuje się przez całe noce, którą powiększa z pokolenia na pokolenie. Naprawiła wszystko co dało się naprawić w Rifcie, poddała recyklingowi wszystko co się dało, wzmocniła wzajemną pomoc w pierwszych latach, uciekała przed gangami, które zaczęły się panoszyć w ostatnich dziesięcioleciach, zabrała się za handel bursztynem osuwając niebezpieczeństwo związane ze szczeliną.

Cantor mruga oczami, a kiedy powraca do rzeczywistości ma trudności ze sporządzeniem bilansu. Ten transfert do wspomnień zaskoczył go, nie prosił przecież o to. Z pewnością winna jest anomalia Riftu. Cantor jest wstrząśnięty siłą tych wspomnień, ich żyjącym echem, chociaż w swojej roli Arkhonte, widział rzeczy trudne do zniesienia..

„Czego chcesz?, nalega podejrzliwa Lagida.

- Chciałbym wam pomóc.

- Nam pomóc? Za kogo się uważasz? Twoja rudo włosą koleżanka, ona nam pomogła. Jesteś gotów się tak poświęcić?

- Ja... nie...

- Pomóż sobie Arkhonte, Rift pomoże tobie.”

Cantor nagle zdaje sobie sprawę z swojej protekcjonalności. Z pewnością, nie było to celowe, ale był to z jego strony wielki błąd. Obraza tej kobiety, która przerodziła dramat w siłę. Wyczyn, który utrzymuje w tajemnicy, sekret ukryty za jej spaloną twarzą i jej chłodnym charakterem. Kiedy spostrzega jak drapie się dyskretnie po lewej ręce, postanawia nie urazić jej pozorem

bezinteresownego prezentu, nie może tego zrobić kobiecie, która zasłużyła na każdą minutę!

„Wszystko czego pragnę, to być pewnym tego co się tutaj zdażyło.

- Wątpisz w to co mówimy?

- Ja nie. Niestety inni są bardziej podejrzliwi niż ja.

- A czego potrzeba tamtym?”

Ponownie odchrząkuje, jeszcze głośniejsze niż poprzednim razem.

„Jeżeli mogłabyś przesunąć ten czytnik przed twoimi oczami...

- Nie ma nic do odczytania we mnie .

- Ja to zrobię”.

Nastolatka chwytając czytnik nie pytając się nawet o zgodę. Widząc z jaką łatwością przykładając go do nosa, kładąc kryształową przepaskę przed oczami, widząc, że wie jak go używać. Dowód na to, że Fort-Gotensi wiedzą na temat Arkhantów, nie mniej niż on na temat Riftu....

Wkrótce, powidoki pojawiają się w kryształach, przedstawiając scenę, którą przeżyła nastolatka.

„To kradnie wspomnienia!, krzyczy jeden z dzieciaków, który nagle przestał się bawić. Zapomnisz o nas, to jest pewne.

- Niiieeee, uspokaja go starsza dziewczynka z nutą podrażnienia i tkliwości.

- W porządku. Będziesz po tym miłsza?” – pyta się mała dziewczynka. Otrzymuje uderzenie w tył głowy, tak samo głośne jak mało bolesne.

„Aj! Masz rację, Mama, to jakiś złom ten magiczny przedmiot!”.

Wystarczy kilka chwil, by Cantor zebrał dowody na to, że Fort-Gotensi mówią prawdę. Ma ochotę na to, by zostawić czytnik młodej dziewczynie, ale porzuca ten pomysł widząc

gniewne spojrzenie Lagidy. Woli trzymać się pierwotnego układu dając jej pryzmat potwierdzający zasób jej bursztynu.

W rękach tej starej kobiety, połyskujący kryształ mocno kontrastuje ze zniszczoną, pomarszczoną dłonią i palcami poskręcanymi od reumatyzmu.

Cantor jest zadowolony, było to czyste i wyraźne dochodzenie. Dobrze wykonana praca i nie wymagająca zbyt wielu środków. Kieruje się w kierunku Malkah, by zdać jej relację.

„Możesz mówić swobodnie przed Hanibalem i Ronanem” - zachęca go Solis, kiedy wacha się, by zdać sprawozdanie przed świadkami.

Wyjaśnia więc, kolejność wydarzeń poczynając od skały, która spada z wysokości, utratę przytomności Aureliusza i akcję ratunkową Sarashy. Bohaterski wyczyn, który niestety kosztował ją życia.

„Jestem absolutnie pewien, podsumowuje Cantor, w momencie gdy dołącza do nich Bayana, Fort-Gotensi są szczerzy.

- W takim razie, przesłuchaj ich ponownie, beszta go Hannibal, ponieważ jesteś w błędzie.

- Jestem pewien, że....

- Aureliusz próbował zabić ją włócznią przodków!”- przerywa Hannibal.

Cantor stara się zachować spokój, jest przyzwyczajony do wrogiego nastawienia skarżących, kiedy nie są zadowoleni z otrzymanej odpowiedzi – chociaż rzadko mają oni funkcję i reputację Faworyta Ziemi.

„Masz rację. Nawiasem mówiąc, ten gest potwierdził niewinność Aureliusza. Szczeliny...”

Cantor rzuca bezwiednie okiem na bok, w kierunku dna zatoczki, tam gdzie pulsuje rozdarcie świata. Jego gest

naśladowany jest przez innych otaczających go czarnoksiężników, a także przez samą Solis.

„.....ich sława jest tak złowieszcza, że Fort-Gotensi wolą umrzeć, niż wpaść do nich będąc żywym. Dlatego też, każda grupa zbieraczy posiada włócznie, by dobić nieszczęśnika, który jest przez nie pożerany.

- Bzdury!

- Gdybyśmy byli w Arkhantii, zgodziłbym się z tobą Faworycie. Ale tutaj w Rifcie, jest to uważane za akt miłosierdzia. Anomalie nie zmieniły tylko praw fizyki, one także zmieniły prawa ludzkości.

- Bzdury....., utrzymuje Hannibal.

- Cantor, potwierdzasz, że zbieracze są szczerzy, podkreśla Solis. Ale, czy według ciebie mówią oni prawdę?

- Ja.....

- Przepraszam Malkah, interweniuje Brayana, ale wróżbici nie są upoważnieni do wyrażania ich prywatnych opinii, Arkhonci również nie. Fakty są ustalone, to wszystko co powinniśmy wiedzieć.

- Zwracasz się do królowej! Przypomina Hannibal.

- To właśnie z szacunku do niej, wypowiadam się w ten sposób, odpowiada Bayana z lekkim ukłonem. Granica, która dzieli czarodziejskie moce i moce dynastyczne jest wyraźnie wyznaczona w porozumieniach Kreuzeta, dekret, którego przestrzeganie i obrona jest twoim obowiązkiem, Wasza Miłość”.

Cantor zdecydowanie nie potrafi rozszyfrować zachowania swojej koleżanki. Najpierw to niezdarne przesłuchanie, potem to niezbyt grzeczne przypomnienie porozumień? Jakim cudem Malkah mogłaby zapomnieć o tym, że praktyka magii jest zabroniona arystokratom, tym którzy zasiadają na Rzeźbionym Tronie, dynastom, czy zwykłym jodom? Jedyne raz, kiedy ta podwójna

odpowiedzialność była dopuszczona, to było wtedy gdy pozwolono Aladrellowi, Faworytowi-Malkah, powstrzymać Astromorguea, na czas budowy więzienia dookoła tysiącletniej kreatury, by uwięzić ją tam na zawsze. Artellium mogło tego nie przeżyć. Od tego czasu minęło pięć wieków i nikt inny nie odważył się podjąć takiego ryzyka, a kilku Maleków zostało straconych przy pierwszych podejrzeniach o uprawianie magii. Stryge szaleniec jest ostatnim z nich.

Malkah kontroluje magię? Od dwudziestu lat, Arkhome Światła szuka Faworyta, a wśród możliwych kandydatów imię Solis jest na szczycie listy. Urojona hipoteza, naciągany pomysł, Cantor nigdy nie traktował tego poważnie. Sposób dla wróżbitów, by wyśmiewać ich własną desperację, by pozbawić ją dramatyzmu. To jest nawet coś mniej niż pogłoska, to jest domysł, z palca wyssana teoria. Nie może być ona czymś prawdziwym. Ale, dziwne zachowanie od jakiegoś czasu niektórych Arkhontów.....

To byłoby straszne. Tak samo straszne jak tamten pomruk, który pojawia się w korytarzu Światła, pomruk spisku mającego na celu wyeliminowanie Solis. Te dwie informacje są jakoś ze sobą związane? Jeżeli Solis ma predyspozycje do magii, przygotowanie zamachu stanu, miałoby wygląd prewencyjnej egzekucji, niezbędnej w oczach porozmienia i Historii.

Czy Bayana jest w to wszystko zamieszana?

Zdezorientowany - okropne odczucie, dla kogoś kto poświęcił swoje życie, by odkrywać prawdę - Cantor waha się. Czy powinien powiedzieć o tym co go dręczy, wewnętrznym niepokoju, które Malkah najwyraźniej zauważyła?

Zbieracze są przekonani, że Aureliusz jest ofiarą obsunięcia. Jest to zdecydowanie najbardziej logiczne

wyjaśnienie, hipoteza potwierdzona przez kontuzję gladiatora. Mimo, że nie widzieli wyraźnie, że został staranowany przez skałę. Dlatego też pojawia się gdzieś wątpliwość, niepewność nie mniej solidna, niż podejrzenia, które wiszą nad zerwaniem porozumień.

Torturowany przez to wszystko Cantor, zaczyna wątpić.....

10.3

...by zacząć działać. Siphonn zastanawia się. Mógłby udusić Malkah - nie, to byłoby zbyt długie. Sprawić by latała, skopać, podrzucić, upuścić by runęła na łeb, na szyję - zbyt teatralne, zwykle uwielbia on spektakle śmierci, ale w tym przypadku i w tym chaosie, musi działać z rozwagą. Mógłby zagęścić powietrze, sprawić, by było twarde jak grot strzały, przebić oko Solis - eksplodujące oko jest takie poetyckie. Albo wytapetować jej płuca próżniową warstwą, zapobiec oddychaniu bezpośrednio u źródła – złożone, ale możliwe, wyzwanie godne jego talentów.

Tak wiele możliwości. I tak mało pewników tutaj, w Rifcie. To frustrująca kombinacja dla Powietrznego Zabójcy.

Veliva, przed powrotem do Arkhantii z Calypsem, zostawiła mu instrukcje: Isalys lub Solis, nieważne, liczy się to, by odegrać decydującą i widoczną rolę we właściwym czasie, w przejęciu władzy przez tego lub upadku tamtego. Którakolwiek z siostr ostatecznie zasiądzie na

Tronie, Powietrze musi położyć pośladek przy jej boku, na podłokietniku.

Cała Veliva, jej instrukcje są jasne jak morska mgła. Siphonn nie ma elokwencji swojej Faworytki, nie jest mistrzem Słowa tak jak ona i nigdy nie będzie do tego zdolny. Było to ewidentne już od pierwszego dnia w Kolegium Powietrza, w miejscu, do którego siłą wysłali go rodzice, jego, który marzył by zostać piratem z Alvilidy. Zawsze podziwiał krwawą stronę tego zawodu.

W dniu kiedy zobaczył, jak wraca do portu jedna z ich łodzi, spryskana od pokładu po żagiel, przez wnętrza morskiego potwora, przebitego harpunem o połowę krótszym niż przedni maszt, wiedział, że właśnie to jest jego przeznaczeniem. Niestety, musiał iść do kolegium czarnodziobych magików, w nieskazitelnym sukienkach i o zabrudzonych uśmiechach. Wyśmiewany przez swoich towarzyszy podczas próby śpiewu, zdruzgotany swoim skradzionym przeznaczeniem, przeciął sobie język podczas lekcji. W wieku dwunastu lat. Przed innymi dziećmi i ich nauczycielem. Śmiejąc się, niczym obłąkany z krwistoczerwonym uśmiechem. Już to wrodzone wyczucie, genialny zmysł, dramat...

Nauczycielem śpiewu była Veliva. Przekonała dziekana kolegium, aby pozwolił mu kontynuować naukę pomimo okaleczenia - magia jest bardziej historią oddechu niż dykcji. Nigdy później już jej nie odstąpił.

Z biegiem lat Veliva stała się Faworytką. A on jej przeklętą duszą.

Bycie niemym jest często zaletą, zmusza do słuchania. Siphonn z łatwością odszyfrowuje więc wymianę między Solis a jej Arkhontami.

Wie nawet, jak zinterpretować woluty oddechu z ich ślicznych, soczystych ust, które chciałby widzieć sine od duszenia się. Co ważniejsze, potrafi usłyszeć to co nie zostało

wypowiedziane, jak wtedy, gdy Cantor zdradza się punktami artykulacyjnymi, które mobilizuje do mówienia. Na przykład przez deformację jego organów fonacyjnych – gardła, krtani, głośni. Siphonn umie interpretować te znaki.

Arkhone ma wątpliwości, podejrzewa, że Aureliusz jest zamieszany w śmierci Sarashy. To nic dziwnego, że jest podejrzliwy: nosi czerwony ornat, więc uważa się za spokrewnionego z Ogniem – Siphonn nigdy nie potrafił zrozumieć złożonych relacji między Arkhontami i pięcioma arkhomami żywiołów. Zbyt wiele zasad niweczy dramatyczne napięcie, nawet głupiec o tym wie. Nieważne, bo podejrzenia Cantora są słuszne. Aureliusz jest częścią spisku. Powiedziała mu o tym Veliva, bo też bierze w tym udział. Lub przynajmniej... udaje tak przed Isalys, czekając na odpowiednią okazję, która wyłoni zwycięzcę.

Jeśli Cantor ma wątpliwości, to znaczy, że nie jest w to wszystko zamieszany. Bayana, ornat w białym kolorze Powietrza, jest tego świadoma, a Lantana - zielony ornat, podobnie jak Natura, od samego początku była zaangażowana w tworzenie spisku.

Siphonn uważa Arkhontów za zabawnych. Uważają się oni za mistrzów ujawniania prawdy, a otwarcie okłamują się nawzajem. Udają, że są odkrywcami wielkich tajemnic świata, a nie potrafią odkryć małych sekretów w ich własnych arkhomach. Niedorzeczne.

Zabójca jest gotowy, nasycy swoją krew tlenem, tylko po to, by być wybuchowym w razie potrzeby. Obserwuje każdy z jego potencjalnych celów - Malkah, do wykluczenia na korzyść jej siostry, Cantor, do usunięcia, zanim wywacha spisek, Aureliusz do wyeliminowania, jeśli komplikuje równanie. Wdycha ich nastroje, chłonie ich zapachy, analizuje koktajl ich hormonów, aby wydedukować ich kondycję, by udoskonalić strategię swojego ataku. Przygotowuje kilka

opcji, poszukuje najlepszej strategii do zastosowania. Nawet osłabiony Aureliusz nie byłby łatwy do pokonania. Jest nieuchwytny, nieprzewidywalny... ten człowiek to prawdziwy przeciąg. Poleje się krew, jeśli będą musieli walczyć, będzie musiał uszkodzić jego śliczną twarzyczkę. Szkoda.

Zmusza się do wykonywania tego typu ćwiczeń. Wyobrażanie sobie podobnych scenariuszy pozwala mu ignorować chaotyczny oddech pobliskiej doliny Voblastu, pulsującej dynamicznie jak życie, wygaszonej jak śmierć. Oddech zombi, który rodzi przerażenie, jakiego nigdy nie znał. Słuchanie go jest jak...

10.4

..... straszne, wyniszczające cierpienie. Sylaea czuje wszystko, jakby to było jej własne ciało: siniaki wielkie jak latające spodki, zwichnięte kolano, połamane żebra, perforacja lewego płuca... Aureliusz jest poważnie poobijany. Jednakże Faworytka Natury nie rezygnuje z wyleczenie gladiatora, to jej rola, jej misja. Jej racja bytu. Jej obietnica złożona Isalys.

Po energicznym potarciu o siebie dłoni, Sylaea kładzie ręce na piersi Aureliusza i rzuca jej pielęgnacyjny rytuał. Stopniowo, małymi dotknięciami odzyskuje urazy Aureliusza, czyniąc je swoimi. Na początku nie czuje nic, ale to powoli nadchodzi, a ta pewność sprawia, że oczekiwanie jest denerwujące. Jej kolano zaczyna mrowić, a potem zaczyna wściekle pulsować. Jej oddech staje się chrapliwy jak

oddychanie powietrzem w środku pożaru lasu. Chociaż złagodzone przez zakłęcie, cierpienie jest chłoszczące, jak ostrze przecinające jej nerwy. Uczucie jest tak silne, że zapiera jej oddech w piersiach, komplikując zakłęcie.

Jak Aureliusz to znosi? Widząc go spokojnie opierającego się o wóz, ma się wrażenie, że widzi się spacerowicza, który zatrzymał się na krótką przerwę. Nie chce się do tego przyznać, ale nie byłaby w stanie wytrzymać tak ciężkich ran, nawet przyćmionych, w każdym razie nie bez poddania się im. Nie w takim stanie w jakim jest teraz.

Sylaea jest zbyt zaangażowana, za bardzo się skompromitowała, nie może już się poddać. Osaczona, wyciąga ze swojej torby ziarno drzewa-życia, które nigdy jej nie opuszcza. Zaciska na nim pięść, miazdży w rozpaczliwej wściekłości, poświęcając jakąkolwiek szansę, którą miała, by zasadzić je pewnego dnia na Polanie Rodziny Orcuniona. Działa bez zastanowienia, bez słuchania jej wewnętrznej pieśni – inaczej nigdy by nie dokonała takiego wyboru. Z wiórów potomstwa, którego nigdy nie zobaczy jak rozwija się i rośnie, czerpie wigor, którego potrzebuje, aby kontynuować swój rytuał.

Aureliusz wyzdrowieje, będzie mogła postawić go na nogi.

Euforia jej sukcesu wyparowuje jak poranna rosa w płomieniach nagłego odkrycia: właśnie poświęciła więcej życia, niż udało jej się uratować. Czy nadal może twierdzić, że jest Faworytką Natury?...

„Dziękuję”, wymyka się Aureliuszowi, gdy zgina wciąż sztywne, ale funkcjonujące kolano.

Sylaea omiata powietrze przed sobą, jakby przeganiała zbędne słowa. W rzeczywistości rozprzestrzenia feromony, których używa do dyskretnej rozmowy z gladiatorem.

Komunikacja za pomocą feromonów to kompletne połączenie. Dla każdego kto wie jak uchwycić zapachy, ich perfumy pozwalają w pełni siebie zrozumieć, a nawet porozumiewać się między gatunkami w uniwersalnym żywym języku. Dźwięki wzorowane na uczuciach i emocjach, przesłanie, które wykracza daleko poza słowa.

Aureliusz jest mniej utalentowany niż Isalys w tłumaczeniu zapachów — poznał ich tajemnice z drugiej ręki — ale opanował ich język na tyle dobrze, aby zrozumieć najważniejsze informacje. W zaledwie kilku emanacjach, Sylaea staje się świadoma sytuacji tak wyraźnie, jak czyhający myśliwy.

Odrobina piżma oddaje podekscytowanie Aureliusza, kiedy otrzymał rozkaz wyeliminowania Hannibala — zapach drzewo sandałowego i Sarashy - dym z kadzidła. Z bukietu złożonego z potpourri, rozumie, że rozkaz pochodzi od Rady Starszych, ale dominujący zapach Isalys — kwiatów suszonej lili - zdradza jej kontrolę nad tą decyzją.

Isalys... Sylaea nie żałuje swojej decyzji, by pomóc jej w obaleniu jej siostry, jej prawo do Tronu jest w pełni uzasadnione — wie to lepiej niż ktokolwiek inny. Jednak Faworytka po raz kolejny jest zaskoczona pragnieniem władzy przejawianym przez jej protegowaną, co jest niezgodne z poziomą organizacją panującą w gangu Krwawych Skrzydeł. Prawdę mówiąc, tego czego najbardziej się boi, jest jej własne poczucie winy. Dowiedzieć się, czy miała rację sprzeciwiając się rozkazowi Maleka tamtej nocy... Odpowiedź ją przeraża. Czuje strach, który zakorzenia się głęboko w jej żołądku.

To już nie jest kwestia zmiany czegokolwiek. Spisek jest zbyt zaawansowany, aby nie przeprowadzić go do końca. Jej lojalność wobec Isalys jest prawie jak rodowód, nie może się cofnąć. Poza tym... Sylaea po prostu chciałaby być

skonsultowane przed ratyfikacją decyzji tak drastycznej jak wyeliminowanie dwóch Faworytów.

Zaskakujące jest jeszcze to, że Aureliusz odczuwa frustrację Faworytki. Przez niezręczne westchnienia, dzieli się swoją rozbawioną niespodzianką: jak ktokolwiek, kto zna Isalys, może nie wiedzieć jak bardzo potrafi być zdeterminowana i przekonująca?.

Sylaea ponownie widzi Isalys w jej pieluszce, w dniu, w którym ją przyniosła w kołysce do Wielkiej Babci, która powitała je obydwie w imię Rady. Będąc jeszcze niemowlęciem, Isalys już marszczył brwi, tak jasne, że praktycznie niewidoczne, unosiła swoją malutką pięść, by przekazać, że znalazła się tutaj wbrew swojej woli. Wyobrażając sobie, że ją udobrucha Wielka Babcia dała jej pierś. Noworodek ugryzł ją aż do krwi, chociaż jeszcze nie miał zębów.

Aureliusz ma rację: jak uwierzyć w to, że będzie inaczej z Isalys na czele?

Sylaea wzdycha, nagle zmęczona, ofiara potężnego pragnienia by w końcu z tym skończyć – to oddziaływanie mirry. Jej westchnienie jest takie głębokie, że wywołuje długi i bolesny atak kaszlu, powodujący, że wypływa trochę krwi. Cena zdrady? Nie. Kiedy kochasz tak bardzo, to nigdy nie jest to zdrada.

Wciąż klęcząc obok gladiatora, odwraca się w kierunku reszty karawany, aby zrobić bilans obecnych sił.

Pośród Arkhontów wie, że może liczyć na Bayanę, a jeszcze bardziej na Lantanę, która wprowadziła Isalys w tajemnice Światła. Veliva jest również jedną z nich, ale Sylaea nie ma żadnego zaufania do Syphonna - Czarnoksiężnik Powietrza, który milczy, może tylko wzbudzać nieufność. Calyps jest zbyt zmienny, aby narazie podjąć decyzję, zajmie

się tym kiedy kości zostaną rzucone – teraz jeszcze nie wie. Shado zniknął, Sarasha wyeliminowana, został jeszcze...

Jej myśli zatrzymują się, gdy Sylaea drży z powodu chłodu własnej obojętności. Podczas gdy Faworytka Ognia właśnie zginęła, jej jedyną reakcją jest to, by uznać, że to jest jeden problem mniej? To podłe z jej strony, Sarash nie zasługuje na to, była jedyną, która tak naprawdę martwiła się o jej pogarszający się stan zdrowia! Poczucie winy łapie ją za gardło, niczym sucha, związana fala.

Sarash... Były przyjaciółkami, zanim... Przed tym wszystkim.

Ogarnia ją cień, który nie pozwala jej myśleć dalej o tym wszystkim. Podnosi głowę, by odnaleźć Hannibala, który postanowił do nich dołączyć. Z jego gburowatej miny wnioskuję, że przyszedł tutaj, by uzyskać odpowiedzi i oczekuje, że będą one jasne i precyzyjne.

Jeśli zastanawia się nad zaangażowaniem jednego lub drugiego, to jeśli chodzi o Faworyta Ziemi, Sylaea nie ma wątpliwości: Hannibal natychmiast wyeliminuje każdego, kto zagrozi życiu Solis.

Oznacza to, że jeśli kiedykolwiek się zdradzi, Sylaea straci życie.

Rozdział 11

....Przyparty

Hannibal stoi nieruchomy przed leżącym Aureliuszem i Sylaeą kucającą u jego stóp. Z nogami wbitymi w piasek, ramionami skrzyżowanymi na wypukłych bicepsach, gapiąc się na nich wyzywająco. Jego łysa głowa przyćmiewa słońce, które swoim żarem miazdży pustynię. Z jego ciemną skórą pokrytą warstwę potu, którego krople odbijają światło w efemerycznych diamentach, jego sylwetka przypomina niebiański cień anioła Śmierci. Jego bojowy młot i dwuręczny topór wystają z jego ramion jak obcięte kikuty skrzydeł, dodatkowo potęgując wrażenie, że ma się do czynienia z wysłannikiem z innego świata.

Kolos nie przybiera celowo zastraszającego wyglądu, interesuje go jedynie uzyskanie odpowiedzi od Aureliusza.

Aby udowodnić, że ma rację.

Gładiator każe Sylaei odsunąć się na bok, po czym wstaje spokojnie, z charakterystyczną dla niego kocią gracją. Każda subtelność jego ruchu jest przekazywana Hannibalowi przez partycję gruntu: siła, z jaką kładzie rękę na ziemi, kolano jeszcze trochę sztywne, które ochrania dłonią obejmując rzepkę jak dzwonek, impuls jego bioder... Piasek wychwytykuje najdrobniejsze vibracje, jak smyczek instrumentu smyczkowego, z tak drobną ziarnistością, że Faworyt mógłby zamknąć oczy i podążać za jego ruchem. *Doświadczać tego, być tym ruchem.*

Aureliusz robi wszystko, aby to ukryć, niestety nie doszedł jeszcze do siebie po odniesionych obrażeniach. Hannibal jest przekonany, że są to rany zadane przez Sarashę!

Faworyt grzmi, zaraz puszcza mu nerwy. Jeśli krzyżuje ręce, to nie po to, żeby robić imponujące wrażenie, tylko po to, by powstrzymać się od natychmiastowego uderzenia. Rozgrywa się w nim chtoniczny dramat, tektonika emocji, która odmienia relief jego osobowości.

Sarash nie żyje, stracił drogiego przyjaciela. On to wie, czuje, że definitywnie odeszła z tego świata. Solis żywi nadzieję, że tylko zaginęła, ale on wyraźnie czuje, że kontakt między nimi się zerwał. Właśnie ją znalazł, by naprawić ich napięte rozłąką i obowiązkami więzi... Wszystko wydawało się wracać do stanu sprzed dziesięciu lat, kiedy ciężko pracowali i świetnie się bawili, skacząc od tawerny do tawerny, pijąc i awanturując się.

Zapomniał już smaku tej bez troski, tej radości życia. Odurzający aromat nocnych rozpust zbladł, ustępując miejsca jedynie syropowatym aromatom kharo, pitego z małym palcem w powietrzu przez arystokrację. Kuszące etykiety mocnych alkoholi zamazały się, ukazując tylko duszną etykietę dworskiego życia. Sprośne dowcipy zamieniły się w błyskotliwe odpowiedzi.

Dlaczego Sarah została tak brutalnie i okrutnie oderwana od niego w momencie, gdy ponownie odbudował więzi z bez troskim życiem, z który wiąza się tak miłe wspomnienia? Los nie może być aż tak okrutny, to musi być spisek. Spisek wymyślony przez Aureliusza!

Chyba że...

Odnowienie przyjaźni z Faworytką Ognia skłoniło go do ponownego przemyślenia jego stosunku do Solis. Porzucił dla niej wszystko. Z rozkazu Tumula został jej czujnym strażnikiem, opiekuńczym starszym bratem.

Zgodził się odejść z kolegium Ziemi, aby lepiej wypełniać swoją misję. W jego oczach nie było to poświęcenie ani nawet obowiązek honoru. Nie. Po prostu zostać potężnym taumaturgiem wydawało mu się mniej ważne niż czuwanie nad Solis. Nigdy nie żałował swojej decyzji. Nigdy.

Przynajmniej nie przed wstąpieniem jej na Tron.

Od tego czasu wiele się zmieniło. Przez długi czas wierzył w naturalną ewolucję rzeczy: Solis kryjąca się za Malkah, on za uczniem, potem za Faworytem. Ich stosunkowo niepozorne, młodzieńcze lata powoli dobiegały końca. Odpowiedzialność, ograniczenia, obowiązki życiowe podeptały niewinność przeszłości, naiwność, miejsce pewnych uczuć, pewnych emocji.

A potem pojawił się ten drugi, pogwizdując od niechcienia, pewny siebie ponad wszelką miarę, jakby wszystko widział, wszystkiego doświadczył. Spadł z nieba, piękny Aureliusz, fałszywy buntownik. Nie do zniesienia. Bezwstydnie przybiera pozy, fałszywie przeczesuje włosy, gdy wiatr wieje w jego na wpół ogoloną i okrutnie brzydką grzywę, przesadnie wygina plecy i eksponuje cherlawe bicepsy. Żalosne. Komik, chwalipięta – prawdziwy mięczak z niego! A Solis połyka to wszystko bez mrugnięcia okiem. Przetyka ten bzdury ze słodkim uśmiechem w kącikach jej oczu. Nieznośne. Obrzydliwe. Zdrajca. Robak w jabłku. Kret, który ryje w ziemi. Jego Ziemi!

Od chwili, gdy się poznali w łóżach Appologium, Hannibal dostrzegł zauroczenie jakie żywili do siebie, Solis i Aureliusz. Trzęsienie ziemi. Załamanie wewnętrzne. Nieprzewidywalne, nie na miejscu, zbyt nagłe. Pomiędzy nimi narodził się ten cholerny płomień, który szybko zmienił się w palenisko. Wierzył, że to tylko płomyk, mokra petarda. Ale nie. Co gorsza i wbrew wszystkiemu, co powiedziano jej na temat jego roli, Solis podąża za nim

wszędzie i przez cały czas bez strachu, bez dumy, zmiatając wszelką nieufność.

Co stało się z domem braterskiej przyjaźni, który budował dla niej przez lata, kamień po kamieniu? Z tego ogromnego zamku, który można było zobaczyć ze szczytu gór, pozostała teraz tylko nijaka, mdła forteca.

Hannibal krzywi się. Gwałtowny gniew wzbiera w jego tchawicy, jak dziesięcioletnia powódź. Śluz, którego nie może usunąć, nosi imię, imię Fort-Gotensa, którego prawie nie śmie wymówić, pod groźbą wywołania gniewu, niesprawiedliwości, niebezpieczeństwa i pragnienia zemsty.

Wszystko to bulgocze pod marmurową skorupą Hannibala, podczas gdy Aureliusz wstaje powoli, spokojny, obojętny na zimną złość tego, który stoi naprzeciwko niego.

Dwaj wojownicy stoją twarzą w twarz, szczęki zaciśnięte w wyzywającej męskość, oczy zamyślane ze złości. Nie muszą mówić, aby się rozumieć: bez urazy dla Hannibala, Aureliusz i on używają tego samego języka, niekoniecznie tego samego słownictwa, ale przynajmniej podobnej gramatyki.

Kolos wyraźnie dostrzega, że gladiator się nie zdradzi, tak jak i on sam nigdy by się nie poddał. Ścierają się w tyradach, brawurze, która ani nie ugina się, ani nie łamie. Gdyby któryś z nich miał płynność i cierpliwość przypływu, mógłby cierpliwie podkopać znajdującą się przed nim skałę. Ale obaj są zbyt uparci, zbyt monolityczni, ich konfrontacja może jedynie przerodzić się w zderzenie płyt kontynentalnych, które ocierają się o siebie, niszcząc wszystko wokół w gwałtownym trzęsieniu ziemi, tylko po to, by dowiedzieć się, który zdominuje drugiego.

Hannibal gra więc na całego: pamiętajcie, że jest Faworytem, a Aureliusz tylko jego uczniem.

Powolnym gestem chwyta znajdujący się za plecami młot bojowy i z wyciągniętą ręką podnosi go przed siebie, by położyć jego ogromny ciężar na ramieniu Aureliusza, jakby pasował go na rycerza.

Gładiator najpierw pozwala mu na to, po czym chwyta broń w ostatniej chwili, tuż nad jego obojczykiem. Końcówka młota uderza w jego dłoń, palce zaciskają się na żelazie. Hannibal napiera na jego ramię, Aureliusz naciska mocniej. Rozpoczyna się krwawy pojedynek, który nie potrafi wyłonić zwycięzcy...

Nagle młot eksploduje jak bryła szronu.

Hannibal jest oszołomiony, zdumiony. Ten, który zawsze wątpił w magiczne zdolności Aureliusza, po raz pierwszy widzi, jak on mobilizuje praną. Jeszcze bardziej niepokojące jest to, że nie może dokładnie określić, jakie zaklęcie rzucił gladiator. Hannibal nigdy nie widział, żeby taumaturg używał czegoś podobnego.

Czy Tumul mógł mieć rację? Czy Aureliusz jest utalentowanym czarnoksiężnikiem, o tak ogromnym potencjale, że jest w stanie eksplorować nieznane magiczne terytoria? Czy jest prawowitym spadkobiercą Ziemi?

„Nie ! TO JA JESTEM FAWORYTEM!”

Hannibal mobilizuje całą moc swojej sztuki. Ziemia się rozrywa, przebita niezliczonymi kamiennymi igłami, grubymi i długimi jak oszczepy. Wzmocniony przez nieprzewidywalny Rift, brutalny atak podnosi się...

11.2

... burza piaskowa, po której następuje kamienne tsunami. Keya w bardzo szczególny sposób odczuwa rozdarcia pod ziemią, gdy pęka poziom wód gruntowych nad którym się znajdują. Gdy pęka fundament, woda ze zbiornika wlewa się w szczeliny skały jak głucha krew rany.

To szaleństwo, by rzucać takie zaklęcie tutaj, gdzie magia wymyka się spod kontroli. Ta walka spowoduje straszliwe straty uboczne, uczennica Wody jest o tym przekonana.

Szybki przegląd pozwala jej ocenić potencjalne ofiary. Malkah jest pod opieką Ronana, nic więc nie ryzykuje. Pozostali czarnoksiężnicy będą wiedzieli, jak sobie poradzić. Sylae, który jest najbliżej dwóch przeciwników, już się schroniła. Pozostają żołnierze i służący, którym trzeba zapewnić bezpieczeństwo.

Bez chwili wahania, Keya zaczyna inkantować głosem śpiewaczki operowej. Przyciąga do siebie zawartość podziemnego zbiornika. Urzeczony liryzmem jej głosu wody gruntowe wypływają na powierzchnię w powolnym, nienaturalnym spływie. Uczennica słyszy bezgraniczną radość, jaką daje im ten powrót na powierzchnię, rodzaj iskierki, która wybucha bąblami śmiechu pełnymi prychnięć. Wody są przefiltrowane, ich pamięć została oczyszczona z ich długiego, wymuszonego snu. Dawno temu, kiedy były częścią największego jeziora w Solonie, żyły na powierzchni, ciesząc się świeżym powietrzem.

W kontakcie z nimi, Keya pośrednio przeżywa rytuał zapoczątkowany dwadzieścia lat wcześniej na brzegach

obecnego Słonego Jeziora. W samym środku Wojny Bohaterów, Aria, była Faworytka Wody, poprowadziła największy recital w historii arkhomu, chór złożony z najlepszych wróżbitów i wróżbitek, którym powierzono wykonanie utworu skomponowanego specjalnie na tę okazję. Było to najbardziej złożone libretto chóralne, jakie kiedykolwiek zostało napisane. Najbardziej haniebne. Haniebne do tego stopnia, że później każda jego kopia była niszczone, a jego pamięć wymazywana z akwateki.

Jednak pamięci wody nie da się wymazać.

Każda kropla przypomina sobie chór sopranów i barytonów, tenorów i kontraltów. Ich pieśń była odą, deklaracją zaślepioną miłością, która pobudza wszelkie namiętności, wszelkie szaleństwa. Wszystkie horrory.

Zaczarowane do tego stopnia, że przeciwstawiły się prawom natury, odleciały w odwróconym deszczu, zebrały się w gęstą mgłę, rzuciły się na żołnierzy Mantris, wśliznęły się w głębiny ich płuc, by utopić ich na świeżym powietrzu. Mokre duszenia, krzyki zredukowane zaledwie do westchnień, stłumione ostatnie słowa, gardła wypłakujące tyle łez, że oczy nie były w stanie znieść... powolne i straszne tonięcie, niekończąca się agonía.

Keya widziała płaskorzeźby Kreuzeta relacjonujące tę scenę. Pokazują one, jak Aria i Chór dokonują grzesznego rytuału własnych płynów, ofiarowując ich życie, aby odpokutować za swoją zbrodnię. Z ich ust śpiewających ostatnie nuty recitalu wyłaniają się ich płynne dusze, które dołączają do śmiertelnego potopu. Uczennica widziała te rzeźby i była poruszona poświęceniem najbardziej legendarnych bohaterów arkhomu. Teraz, kiedy poczuła to poprzez wspomnienie morderczych wód, recital nie jest już w jej oczach ani trochę heroiczny.

Tego dnia zginęły tysiące obywateli-akcjonariuszy, a jezioro zamieniło się w ponurą, pokrytą solą równinę. Przeklęte wody, które brały udział w tej masakrze, ukryły się ze wstydu w gliniastym podłożu pod piaskiem, znajdując schronienie w zatoczce, w której kiedyś znajdowała się oaza. Ukryły się tam aż do tego błogosławionego dnia, tej magicznej chwili, kiedy wróżbitka wezwała je ponownie, nie po to, by odbierać życie, ale by je ratować.

Na powierzchni piasek staje się mokry, ostatecznie pokrywając się cienką wilgotną warstwą. Płynna, psotna, stojąca woda wślizguje się pod buty i sandały, unosi ich właścicieli ledwie o cal, ciągnie ich regularnym i silnym nurtem. Żołnierze i służba, wbrew sobie, odgrywają operę: ich okrzyki zaskoczenia są koncertem, baletem ich nieuporządkowanych ruchów wykonywanych dla utrzymania równowagi. Zatoka zamienia się w ogromną improwizowaną scenę.

Po chwili wszyscy są poza zasięgiem walki dwóch taumaturgów. Uwolnione wody wracają do głębin, z wyjątkiem kilku hektolitrów, które wolą wyparować w zakurzone powietrze Riftu. Ale wszyscy śpiewają chwałę ich wyzwolicielki.

Zaskoczona, zdeterminowana, natchniona, zmartwiona, odczuwająca ulgę, wzruszona... Keya przeszła przez te wszystkie emocje, w burzliwej, ale nieprzerwanej podróży, jak fala morska w wietrzny dzień. Teraz obserwując dwóch wściekłych wojowników, jest oszołomiona. Hannibal przemienił się w potwornego kamiennego golema, o wiele bardziej imponującego niż on sam. Aureliusz robi uniki w powietrzu, przyjmuje ciosy, które przecinają skały, śmieje się w obliczu takiej zaciekłości.

Keya zastanawia się, czy nie powinna interweniować, aby ich rozdzielić. Bardzo szybko się jednak poddaje: to nie tylko

niebezpieczne, ale i nikt nie ma prawa wdawać się w bójkę Faworyta z jego uczniem. Jeśli Hannibal uważa, że siła jest miarą, według której należy mierzyć wartość Aureliusza, to tak należy postępować.

Poza tym Calyps nigdy by się tak nie zachował. Gdyby był obecny, gardziłby brutalnymi metodami Hannibala. Zamiast przemocy fizycznej preferuje on presję psychiczną. Calyps nigdy nie skonfrontowałby się ze swoim uczniem, wybrałby dwóch z nich i obserwował, jak mieszają się i rozdzielają. Calyps jest przyładkiem, obserwuje ruchomą granicę dwóch mórz, które dążą do zdominowania siebie przez zbuntowane fale.

Keya wie, że Honora by interweniowała, nie oparłaby się chęci dodania swoich trzech groszy. Sama ta pewność przekonuje ją, by trzymać się z daleka.

Tak czy inaczej, jeśli ktoś powinien zareagować, to Malkah, ale Solis pozostaje obojętna. Nie wiadomo, czy jest przerażona, czy niezdecydowana. Keya obserwuje ją, bledszą niż zwykle, z palcami owiniętymi wokół warkocza. Gdyby Keya nie wyczerpała tak wiele ze swoich skąpych zapasów prany, mogłaby odgadnąć powierzchowne myśli królowej. Tak samo niebezpieczna byłaby interwencja między Hannibalem a Aureliuszem, jak potencjalnie śmiertelnym grzechem, byłoby wdarcie się do prywatnych myśli Solis.

Widok Malkah zachowującej się w ten sposób sprawia, że traci wszelką wiarygodność jaką miała w oczach Keyi. Uczennica nawet nie traci czasu na zastanawianie się, co pomyślałby o tym Calyps, ani jakie byłyby jego instrukcje: tak długo jak Keya reprezentuje tutaj swój arkhome, Solis nie będzie mogła skorzystać ze wsparcia Wody.

Jakby uwolniona od...

11.3

... z ogromnego ciężaru, Aureliusz czuje się jak inny mężczyzna. Kontroluje magię! Jest na równi z Faworytem Ziemi!

Ma jednak wiele do zrobienia. Przed nim Hannibal rozmnożył się w małą armię identycznych golemów. Wykonane z mokrego piasku kopie doskonale imitują oryginał, aż do miedzianych refleksów skóry kolosa – nawet nie wiadomo, gdzie znajduje się prawdziwy Hannibal. Ta armada pięści, która w niego celuje, zadaje mu ścianę ciosów, która roztrzaskałaby najbardziej odporną skałę w pył.

Tyle, że żaden atak go nie dosięga.

Prawie w powietrzu, Aureliusz odskakuje, robi uniki, bawi się czekając na ostatnią chwilę, niemal czując oddech ataku, potem skacze i wykonuje piruety, zwinny jak ptak, zawieszony tak długo w powietrzu, że wydaje się że lata, albo wykonuje taniec linoskoczka.

Ten, kto wyobrażał sobie, że jest wolny, odkrywa, że przez całe życie był zakuty w kajdany, więzień tragedii swojego dzieciństwa, która zarygłowała jego związek z praną. Jego poprzednia walka z Sarashą zmusiła go do zerwania tego jarzma, a teraz, kiedy jego magia została uwolniona, czuje się lekki i zwinny. Teraz nie tylko tańczy ze Śmiercią, ale kręci Kostuchą w kółko, aż dostanie zawrotów głowy.

Wzmocnione magią zmysły odkrywają przed nim nowy świat. W dotyku, ziemia wydaje mu się rozciągniętym nad pustką obrusem. Nawet niewielka zmiana wagi zniekształca tkaninę i alarmuje go, dlatego może przewidzieć najdrobniejszy ruch wokół siebie z przenikliwością pająka

umieszczonego na swojej sieci. W jego oczach materia – zarówno bezwładna, jak i żywa – jawi się w całej swej kruchości, obnaża swoje skazy; Hannibal nie zdaje sobie z tego sprawy, ale jego sztuczki nie oszukują Aureliusza, potrafi dostrzec jego golemu tak łatwo, jak odróżnia się osobnika od jego odbicia w lustrze jeziora o pomarszczonej powierzchni.

Nie wiedział, że Ziemia pozwala na takie wyczyny. Nie stara się zrozumieć, działa instynktownie, jego umysł pozostaje w tyle, a ciało manewruje nieprzewidywalnie jak dzikie zwierzę. Tylko bardziej niebezpieczne.

Odskakując w samą porę, aby uniknąć rozprysku żwiru ostrego jak ostrza, Aureliusz odpycha się od ściany na skraju zatoczki i rzuca się do przodu na jednego z golemów, z nogą wyciągniętą poziomo przed nim i stopą twardą jak grot strzały. W pełnym locie zmienia kurs, by uderzyć prawdziwego Hannibala, bez odepchnięcia się od czegokolwiek, chyba, że od pustki, czego teoretycznie nie da się wykonać.

I nagle rozumie: to nie Ziemia jest posłuszna jego rozkazom, ale grawitacja. Dorastając w Rifcie i w jej wszechobecnym chaosie, igra z przyciąganiem ziemi, zmusza je, by było posłuszne jego woli, a nie prawom natury. Dlatego tak łatwo wspiał się na Drapacza-chmur, stając się pierwszym, który pokonał ten mityczny szczyt. I jedyny też. Wyjątkowy. Legendarny. Był z siebie bardzo dumny, a gdyby był świadomy swojego pełnego potencjału, mógłby się tam wspiać lecąc!

Jego usztywnione palce u stóp trafiają Hannibala prosto w lewy napierśnik i przebijają mięsień. Dotrze do narządów wewnętrznych kolosa, zredukuje je do miększu, jak cytrus zmiażdżony w pięści. Wygra!

Siła uderzenia przenosi się w górę nogi Aureliusza, jego świeżo leczone kolano iskrzy z bólu. Rzeczywistość nagle go dogania, otrzeźwiając go, jak walka na noże w pijacką noc, każe zapłacić rachunek za całą jego zuchwałość. W straszliwej chwili jasności umysłu, gladiator zdaje sobie sprawę, że tak naprawdę jest dopiero nowicjuszem odkrywającym swoje możliwości, w przeciwieństwie do Faworyta, który szlifował je przez całe swoje życie. Co więcej, ta walka jest walką ранego wojownika, który staje twarzą w twarz z mistrzem przeciwnego obozu. Pokonał Saraszę, korzystając z zaskoczenia, zmuszając ją do tego, by zachowywała się jak bohaterka. Z drugiej strony, Hannibal dokładnie wie, dlaczego tutaj jest i nie okaże żadnej litości, w każdym razie nie w stosunku do niego.

Skóra Hannibala nagle zamienia się w kamień twardy jak marmur, kostka Aureliusza wbija się jak w zaprawę murarską, która natychmiast wysycha. Para szponiastych ramion wyłania się z boków kolosa, szpony przebijające poczwarkę, chwytają łydkę Aureliusza, znajdującego się wciąż w poziomie, zatapiając pazury w jego ciele. Chwilę wcześniej, Gladiator potrafił latać, a teraz stał się ofiarą lepu na ptaki.

Nigdy niczego nie analizujący, surfujący na fali wydarzeń niż próbujący płynąć pod prądem, myślący tylko o dniu dzisiejszym, nigdy o jutrze, Aureliusz nie przestaje się zastanawiać nad nowym doznaniem, które go ogarnia.

Te mdłości, które czają się w jego gardle, z silnym zapachem żółci, która sprawia, że boli go serce, czy to strach?

„Latasz, trzepoczesz, żądlisz” – warczy Hannibal. Prawdziwy szerszeń.”

Dwie dodatkowe pary ramion wyrastają z jego żeber i chwytają Aureliusza za nadgarstki i gardło.

„Zapomniałeś o tym, że jednym pstryknięciem palca mogę zmiażdżyć cię jak robaka.”

Gestem nabitego na pal mężczyzny, który wyjmuje włócznię wbitą w brzuch, Hannibal wyrwa stopę Aureliusza ze swojej piersi.

„Myślisz, że jesteś Ziemią, a jesteś tylko pyłem.”

Ponownie poddany grawitacji, gladiator odzyskuje swoją pozycję pionową, ale ze stopami utrzymywanymi przez Hannibala o cal od ziemi. Nadal wygląda jak ptak... trzymany obiema rękami przez myśliwego, który postanowił nie pozwolić mu odlecieć.

Za żadną cenę Aureliusz nie może przegrać tej walki. To nie jest duma, ani nawet sprawa życia, czy śmierci. Rada na niego liczy, Isalys jeszcze bardziej, nie może ich zawieść. Spisek musi zostać doprowadzony do samego końca, Solis musi umrzeć. To konieczne.

Aby znaleźć drugi oddech, wykręca szyję uwięzioną w szponach Hannibala i przechyla oczy tak daleko jak tylko może, w stronę kącików powiek. Kosztem tego ogromnego, zmudnego i bolesnego wysiłku w końcu udaje mu się zauważyć przebłąski Malkah.

Solis...

Jego determinacja znika, jakby została z niego wyciśnięta. Jest lojalny w stosunku do Isalys, to jest bezdyskusyjnie, ale Solis jest taka... Nie wie, już nie wie. Kogo chronić, komu służyć, w czym imieniu umrzeć? Czy to wszystko jest tego warte, czy na jedno wychodzi?

Czuje się zmęczony, wyczerpany. Życie w pałacu pochłonęło go, rany go osłabiły, jego nowa magia go opróżniła. Odpływa, jak po powąchaniu proszku ravix, upadek bardziej stromy niż urwisko, gorszy od tego jakiego kiedykolwiek doświadczył. W euforii adrenaliny odkrył uncję prany, o której istnieniu nie miał pojęcia, a teraz, gdy hormon

opada, ponownie odkrywa wywrotną miłość do Solis. Tak, „odkrywa na nowo”, bo wiedział, że jest zakochany od czasów Appologium. Potem robił wszystko, żeby o tym zapomnieć, ale to zawsze gdzieś tam było, gdzieś w tej kuli drutu kolczastego, która służy mu za serce.

Ma ochotę śmiać się głośno, ale szpony Hannibala miażdżą mu głośnie, powstrzymując wesołość w jego głębi. Mógłby płakać, ale to nie w jego stylu. Mógł się zniżyć i spróbować wykrzyczeć swoją wściekłość, ale nie, naprawdę nie. Uśmiecha się, więc odważnie, do tego Arkhanta, który wyobraża sobie, że narzuca mu się jako mistrz. Uwierz, nie jesteś pierwszy!

Jego brawurowa postawa z trudem ukrywa fakt, że nie potrafi już kochać ani...

11.4

... jak się zachować. Dolna warga Solis pulsuje, trzęsie się, jej zęby prawie szczękają. Na jej szyi błyszczą kilka kropli potu, jej skóra drży i marszczy się pod napięciem, które wykręca i szarpie jej ciało. Jest sparaliżowana, nie może się poruszać.

Jedno spojrzenie na Hannibala – brwi zmarszczone w nienawiści, twarz poplamiona agresją – i czuje jak jego wnętrzności miażdżone są przez zimne jak metal rozczarowanie. Czy nie mógłby po prostu... przestać? Cała ta impulsywna przemoc upokarza go. To nie Aureliusza starają się obrócić w okruchy szpony Hannibala, to ich przyjaźń, ich

braterskie chwile w życiu, które jako dziecko uważała za pozbawione rodziny i miłości.

Wtedy wzrok Solis pada na gladiatora, prawdziwego brutala. Jak mogła o tym zapomnieć? Coś w jej zaślepieniu do Aureliusza się psuje, robi się słodko-kwaśne, jak mocny trunek, który staje się mętny, źle przefiltrowany.

Jej wnętrzności krzyczą coś do niej w języku, którego nie zna.

Jej palce zaczynają drżeć, przyczepiają się do pierścieni jej warkocza, żeby nie zamienić się w pazury wariatki. Wie o tym, czuje to, wie, że straci ich obu, a może siebie samą. Całe jej ciało imploduje od środka, jest zalana zimnym potem, czuje jak się bije, ale na zewnątrz nawet nie mruga.

Pod presją jej nagromadzonych wątpliwości, uświadamia sobie, że ta walka maskuje znacznie wyższą stawkę, która dotyka mniej Solis niż Malkah, przekonanie, które podważa fortyfikacje, którymi się otoczyła. Jej obrona, która nagle się załamuje.

Wszystko w niej drży. Jej wzrok zamazany przez skwar pustyni, krople potu na czole, powody, które skłoniły ją do tej podróży, fundamenty, na których opiera się jej osobowość, obraz, jaki ma o samej sobie... Ma wrażenie, że jest kimś innym, wulgarne odbicie, cień rzucony na ścianę... Wszystko się trzęsie.

Bez wyraźnego powodu – jeśli taki w ogóle istnieje – Aureliusz nagle wrywa się z apatii. Jego obecność znów staje się imponująca, coraz bardziej pociągająca, jakby wampiryzował całą otaczającą go energię, wysysaną przez... przez bursztyn, który nosi na szyi?

Hannibal warczy z wysiłku: Aureliusz wydaje się ważyć coraz więcej. Jego sztuczne ramiona utworzone z ziemi i skał wyciągają się, by utrzymać ciężar, drgają, a następnie rozrywają się. Z dźwiękiem przypominającym pękanie pnia

drzewa w czasie burzy, gałęzie łamią się i rozsypują w pył na oczach Faworyta, który najwyraźniej nie rozumie, co się dzieje. Jego zdumienie nie trwa długo, walka zostaje wznowiona i zajmuje całą jego uwagę.

Solis odwraca wzrok, wciąż niezdecydowana i bezradna, nie chce być świadkiem tego, co się wydarzy. Supeł niepokoju zwapnia się pod jej mostkiem, uniemożliwia jej prawidłowe oddychanie, pozbawia ją oddechu, możliwości, mocy. Odwraca głowę, wpatruje się w odległy horyzont, z dala od rozgrywającej się sceny, której nie chce słyszeć, której zgiełk ją dręczy i paraliżuje.

I właśnie wtedy widzi to. Pierwszy pióropusz Rainara, drugiego słońca Artellium. Widok jest subtelny, zamaskowany, a jednak Solis jest przekonana: Rainar wkrótce wzejdzie.

Podczas gdy Galana i jej ogromna pomarańczowo-czerwona kula wyznacza tempo ich dni, Rainar jest widoczny tylko przez połowę roku. Gwiazda pojawiająca się na niebie, określa długą półroczną noc, podczas gdy planeta nakreśla pierwszą połowę swojej orbity, po której następuje dzień o tej samej długości. Rainar nie jest większy niż pięść widziana na wyciągniętą rękę, jego rozmiar jest porównywalny do Balora, najmniejszego z trzech księżyców. Jego jasność jest niewiele większa niż jasność leśnej Karasy, a jego białawy odcień bardziej mieni się niż błękit Regela, chociaż jest o wiele mniej czarujący.

Z drugiej strony, wyjątkowość Rainara nie ma sobie równych wśród gwiazd. Słońce ma kształt bączka z masywnym i spłaszczonym centralnym dyskiem, z którego po obu stronach wylatują dwa długie pióropusze w kształcie ogona komety. Wspaniała osobliwość, niezwykła anomalia, która może tylko zachęcić do wiary w boską moc.

To jeden z tych pióropuszy obserwuje właśnie Solis. Rainar wciąż jest ukryty za horyzontem, tak naprawdę będzie widoczny dopiero za kilka dni, jednak zapowiadany już jest jego wschód.

A to jest niemożliwe.

Pojawienie się Rainara jest dokładnie badane przez wszystkich astrologów, jego efemerydy znane są od wieków, wszędzie w Arkhantii jest on przedmiotem obchodów organizowanych przez arkhome Światła. Jak to możliwe, że może widzieć pióropusz Rainara przed wszystkimi innymi?

Solis zwraca się do Cantora i Bayany, którzy szybciej niż ona, powinni byli zauważyć to niebiańskie zjawisko. Na pierwszy rzut oka rozumie, że tak nie jest: Arkhontowie martwią się walką, potencjalną zmianą sojuszy, ale nie pióropuszem Rainara. Jednak Solis jest pewna siebie, bardziej niż kiedykolwiek. Logika, mechanika nieba, jej długie nauczanie w Kolegium Światła, jej własne doświadczenie, wszystko upewnia ją w tym, że musi się mylić.

Woli jednak słuchać swojego instynktu.

Jej drzenie nagle ustaje. To, co jeszcze przed chwilą szaleńczo w niej wibrowało, uspokoiło się i ogarnął ją wielki spokój.

Czym są dworskie intrygi, wątpliwości jej świty, oczekiwania Arkhańczyków, to wszystko jej do niczego nie zobowiązuje, nie jest zależna od pragnień innych. Nie znalazła się tutaj w Rifcie ani przez przypadek, ani przez kaprys. Dąży do dwóch celów: przywrócenia cyklu prany i odnalezienia siostry. Myślała, że są one niezależne, ale w rzeczywistości mają jedną wspólną cechę: Aureliusz. On nie tylko prowadzi ją do siostry, ale jest także nosicielem tego tajemniczego bursztynu, który w niewytłumaczalny, ale jednak oczywisty sposób ukierunkowuje praną.

Wszystko staje się jasne, wie dokładnie jak się zachować.

Solis zbliża się do dwóch walczących, bez pośpiechu, ale z determinacją. Martwiąc się o jej bezpieczeństwo, Ronan próbuje ją powstrzymać, ale poddaje się, nie mogąc przeciwstawić się determinacji swojej Malkah. Łucznik nie opłakiwał śmierci Ruby i Hanzo – byłoby to świętokradztwo, ponieważ łązy nie powinny towarzyszyć powrotowi zmarłego do kami. Wątpił jednak w sens swojej misji, nie dłużej niż na czas jednego oddechu, który mimo, że był krótki, wydał mu się tak długi jak stworzenie świata. Widząc, jak Solis kroczy naprzód, tak jak w tej chwili, nie ma już wątpliwości. Nawet jego pamięć o tym, że kiedykolwiek wątpił, stała się zamazana...

W oczach Cantora sylwetka Solis wydaje się spowita blaskiem. Ma on wrażenie, że jest świadkiem wczesnego wschodu Rainara, którego spodziewa się dopiero za siedem dni. Jego prerogatywy Arkhonta skłoniły go do obcowania z potężnymi tego świata – dynastami, potentatami, przywódcami gildii...Ale nigdy nie spotkał na swojej drodze, kogoś, kto posiadałby taką charyzmę, taki cichy autorytet. Nie od czasu kiedy, jako dziecko wychwalał Calistę, Faworytkę Światła, która zniknęła podczas Wojny Bohaterów i której nikt jeszcze nie przyszedł zastąpić...

Siphonn jest tak zaskoczony zmianą postawy Malkah, że od jakiegoś czasu nie słyszy już pulsowania chóru z doliny Voblast, stłumionego pogodną harmonią emanującą od Solis. W pośpiechu podejmuje decyzję: niczego narazie nie będzie próbował, spisku nie da się już rozegrać prostym gambitem hetmana...

Sylaea osłabiona leczeniem Aureliusza, oparła się plecami o ścianę, z dala od walki, od spisku, od wszystkiego. Nie jest niczym więcej niż drewnem wyrzuconym na brzeg jej nadziei, poddanym kaprysom przypływu, obmytym solą żalu. Kiedy nagle Solis zostaje przyozdobiona niewidzialną, a

jednak olśniewającą aurą, Faworytka Natury spontanicznie podnosi twarz ku temu źródłu światła, niczym słonecznik, który wznosi swoją koronę ku słońcu. Słodkie jest uczucie na jej zwiędłej skórze, która odzyskuje trochę koloru i blasku. Delektuje się każdym dobroczynnym promieniem, oczy ma zamknięte, a powieki różowieją w świetle tej nowej gwiazdy. I nagle ziarno wątpliwości przebija korę jej decyzji. Czy miała rację, przedkładając Isalys nad Solis?

Czy miała w ogóle prawo zrobić tak, by znalazły się na przeciwnych krawędziach, zamiast pozwolić im się zjednoczyć? Łzy Sylaei po cichu podlewają to ziarno...

Kiedy Keya widzi jak Solis zmierza prosto w stronę dwóch walczących ze sobą śmiertelnych wrogów, przychodzi jej nagle na myśl pewne wspomnienie. Pięć czy sześć lat temu, ona i Honora podjęły szalone wyzwanie odwrócenia kaskady martwej ręki Namani. Kiedy Calyps przyłapał je na tej dziecinnej rywalizacji, postanowił do nich dołączyć. Stojąc w wodzie po uda, położył otwartą dłoń na wzburzonej przez fale powierzchni. Pod jego dłonią narodziła się koncentryczna fala, pojedyncza zmarszczka, która pozostawiła za sobą rozszerzający się krąg spokojnej, nieruchomej wody. Prąd nie płynął tylko po powierzchni. Keya czuła go aż pod podeszwami jej stóp, jak stojący staw w bezwietrzny dzień. Ona i Honora chciały oswoić wodospad, Calyps przyniósł mu spokój. To, co Solis robi na jej oczach, pośród tego politycznego zamętu, jest równie cudowne...

Z całej karawany – od Faworytów po uczniów, od żołnierzy po służących – Hannibal i Aureliusz jako ostatni dowiadują się o metamorfozie Solis. Skupieni na ich konfrontacji, o której sami już nie wiedzą, czy jest to walka na pięści, czy walka na śmierć i życie, kontynuują walkę byków złożoną z szarży i pchnięć na łeb na szyję.

Solis wkracza do walki.

Z zewnątrz ma się wrażenie, że przechyla głowę dokładnie wtedy, gdy Hannibal ciska wielkim kamieniem, który zamienia się w oszczep. Potem wykonuje pół obrót, aby uniknąć pocisku, który leci w bok, gdy Aureliusz przekręca grawitację z pionowej na poziomą.

Jej kolczyki dźwięczą jak dzwonki, gdy ciosy przechodzą blisko jej twarzy, jej warkocz zaczepia się o podniesiony but Aureliusza, jej suknia zostaje brutalnie podniesiona przez projekcję piasku wybitą przez Hannibala, a to wszystko nie wiedząc, czy świadomie unika niebezpieczeństwa, czy też ma niezwykle szczęście. Można powiedzieć, że to jest trochę jedno i drugie, doskonały rytm zmieszany z kombinacją szczęśliwych zrzędzeń losu.

Wreszcie pulsacje Hannibala i Aureliusza synchronizują się. Jeszcze się nie słuchają, ale przynajmniej się dogadują. Solis jest w trakcie położenia kresu tym działaniom wojennym bez słowa, zaledwie kilkoma gestami królewskiej władzy.

Wtedy niemożliwe staje się możliwe: dwaj przeciwnicy rozdzielają się, mimo, że ich walka jest niedokończona. Krótkie oddechy, podniesione podbródki, błyskawice w oczach, ale z opuszczoną czujnością. Nie mają już pięści, ale znowu ręce... te, które można uścisnąć. Stojąc pomiędzy nimi Solis wygląda promiennie, a w jej głosie słyszeć spokój. Tylko rozcięcie na jej lewej kości policzkowej, delikatna i elegancka linia zakończona kroplą krwi, świadczy o ryzyku jakie poniosła.

„Podjąłem decyzję, panowie. Rezygnuję z wizyty „O N I”, więc nie ma już potrzeby kontynuowania tego objazdu.”

Hannibal kiwa zadowolony głową. Aureliusz nie spuszcza wzroku z Solis. Nigdy wcześniej nie czuł się tak, jak gad zaczarowany przez zaklinacza węży. W chwili niemocy, która przyjemnie łaskocze go w żołądku, nie

wie już, czy ta nadprzyrodzona charyzma należy do Solis, czy do Isalys...m!:

„Zmieniam cel podróży. Aureliuszu, proszę, zaprowadź mnie tam, gdzie znalazłeś ten bursztyn. Na szczyt ruin budynku mantrian, o ile dobrze pamiętam naszą rozmowę na pokładzie „*Nieposkromionego*”.

- Co?, dusi się kolos. To jeszcze bardziej ryzykowne!

- A jednak to jest miejsce do którego chcę się udać.

- Solis! Jesteś ślepa, nie możesz mu ufać!

- Hannibal, mój drogi przyjacielu... chciałabym, żebyś zrozumiał jak bardzo się mylisz. Myślisz, że mnie chronisz i wiem, że szczerze wierzysz, że to słuszne i honorowe podejście. Ale w rzeczywistości pokazujesz tylko jedno: nie ufasz moim wyborom. Nie ufasz mi.”

Nie chcąc być niegrzeczna Solis nagle przeszła na przyjacielski ton. Ton, który został utracony w dniu, w którym młoda kobieta wstąpiła na Tron jako Malkah. Hannibal jest oszołomiony tonem jej głosu. Jego szczeka jest zaciśnięta z żalu, jak smok Gaumry na kłach robaka skalnego. Dlaczego właśnie teraz, gdy stawką jest jej życie, Solis odzyskuje nad nim całą władzę? Nigdy w życiu nie był z niej tak dumny, ani nie czuł się rozdarty przez swój obowiązek...

„Więc pytam cię, Hannibalu: czy zamierzasz towarzyszyć nam do tego budynku, czy wolisz wrócić do Neftydy?”

Faworyt Ziemi przeżuwa swoją odpowiedź z większym trudem niż garść żwiru.

Rozdział 12

Intrygujące

„Profesorko Il'ango?

- ...

- ...

- Tak, Dell, słucham cię.”

Szefowa oddziału powstrzymuje westchnienie. Nie może już dłużej znieść swojego asystenta, niezdolnego do najmniejszej inicjatywy – brakowałoby, żeby podniósł rękę, by poprosić o pozwolenie by pójść do łazienki! Il'ango po raz enty zastanawia się nad wyposażeniem się w IAsystenta, zanim przekonuje się poraz kolejny: kiedy pracujesz dla kliniki Shine-IS, lidera w sektorze terapii genowej, powinnaś mieć ludzkiego asystenta. Kropka. Nie mówiąc już o tym, że Dell to Geneflop – przezwisko nadane spadkobiercom siedmiu wielkich rodów, których potencjał okazał się niższy niż oczekiwano. Powitanie go w zespole otworzyło przed nią dział badań Zoone.

A poza tym, piękny mały tyłek Della ma swoje zalety...

„Konsul Arhax pozwolił sobie nam to, by nam przypomnieć, że pilnie potrzebuje skontaktować się z mistrzem Sassakim i liczy na to, że przekażesz wiadomość dalej.

- Powiedział bardziej coś w stylu: „Powiedz tej swojej szefowej, która włamuje się do kodów, że jest to w jej interesie, by przekazała moją wiadomość”, mam rację?

- Powiedzmy, że Konsul Arhax używa retoryki, którą określiłbym jako... bezpośrednią. I rzeczywiście, wyraził się w ten sposób.”

Il'ango powinna się z tego śmiać, ale Arhax ją martwi – mówiąc bardziej, wręcz ją przeraża. Robotyk jest wszędzie, we wszystkich popularnych programach, z zniechęcająco prostym przesłaniem: „Mantris skończyły się baterie? To proste, Arkhantia je ma, więc ją ograbiamy. Jednych taka wypowiedź cieszy, innych niepokoi, ale nikogo nie pozostawia obojętnym.

Aż do tego stopnia, że organizowana jest debata na żywo z Intendentem, bukmacherzy już przygotowują zakłady, które zapowiadają się lukratywnie.

Il'ango została poproszona o dołączenie do koalicji GenRob, propozycję, którą odrzuciła. Nic jej to nie obchodzi, problemy z bateriami jej nie dotyczą. W tej chwili jej priorytetem jest to, by nie stracić pracy. Ale w tym celu musi bezwzględnie odnieść sukces w wyleczeniu Kory, tej... tej.....? Med-Cy-Geno-Tick? Mechaniki? W każdym razie to reprezentuje większy sojusz niż GenRob...

Szefowa oddziału skupia się na hologramach nałożonych na leżące na ceramicznym stole operacyjnym ciało Kory. Poświęca pacjentce każdą minutę, którą udaje jej się wygospodarować w swoim grafiku. Dlatego też zainstalowała cały sprzęt w swoim gabinecie na wyższych piętrach korporacji.

Wyświetlacze są prawie bezużyteczne: Mechanika – właśnie takie określenie wystarczy – jest w formie zestawu, a jej korpus jest tak zmodyfikowany, że można go w dużej mierze zdemontować. Konieczne jest, aby Il'ango zrozumiała, dlaczego jej leczenie nie działa tak, jak w przypadku Sassakiego, dlaczego odrzuty narządów mnożą się, pomimo leczenia immunosupresyjnego — brutalne odrzuty,

podobne do przedawkowania toniku technicznego. Po raz enty obwinia się za to, że uległa szantażowi Intendenta: jej stanowisko dyrektorki badań w Zoone to zaszczyt, szansa dla Mantrianki na lepsze i dłuższe życie, a nawet otarcie się o wieczność. Rzecznik Norii przekształcił tę odpowiedzialność w środek nacisku. Może powinna wspierać Arhaxa, by w końcu pozbyć się tego szantażysty...

Naukowiec czuje wzrok jej asystenta ciężący jej na karku, ciężki jak zepsuty Dalek. Jak można mieć nadzieję na skoncentrowanie się w takich warunkach?

„ Czy jest coś jeszcze, Dell? – wyciedza przez zęby.

- Mistrz Sassaki jest w drodze, profesorko.

- Już? Profesorka patrzy na zegarek i zdaje sobie sprawę, że czas upłynął zbyt szybko. To efekt uboczny jej zmodyfikowanego metabolizmu, który oznacza, że musi jeść i spać tylko raz na trzy dni. „Usterka!”

Sassaki wypełnił swoją część umowy, poddał się wszystkim badaniom i wszystkim próbkom, których zażądała. Teraz przybywa, aby odebrać należne mu nagrania. Nagrania walki dostarczone przez Korę. Tylko, że ten transfer grozi dalszym uszkodzeniem Mechaniki. Jest za wcześnie, nie jest jeszcze gotowa.

„Opóźnij go. Nie obchodzi mnie w jaki sposób to zrobisz. Po prostu wymyśl coś, żeby trzymać go z dala od tego miejsca.

- Niestety nie wiem gdzie on jest.

- Myślałam, że jego wizyta została zapowiedziana?

- Mistrz Sassaki przeszedł kontrolę bezpieczeństwa, ale nikt nie wie, gdzie teraz jest.

- Jestem tutaj.”

Rozpoznawalny głos Sassakiego dochodzi z...z prywatnego tarasu jej gabinetu?

Il'ango zamarza, tak jak poprzedniego ranka, kiedy znalazła w swojej spożywczej drukarce małe, pełne sierści zwierzątko. Żołądek ma ściśnięty ze strachu, jak zwierzę stojące przed drapieżnikiem. Atawistyczna reakcja, której manipulacje genetyczne nie były w stanie wykorzenić. Dell, dosłownie czmychnął.

„Il'ango, proszę kontynuować. Przybyłem trochę wcześniej, proszę sobie nie przeszkadzać.”

Sassaki nie zawraca sobie głowy, by odwrócić się i popatrzeć na swojego rozmówcę. Pozostaje zwrócony twarzą do miasta, z rękami za plecami, ze wzrokiem wbitym w zapierający dech w piersiach widok z panoramicznego tarasu.

Mantris rozciąga się przed nim w całym swoim ogromie, w blasku publicznego oświetlenia, co jest tak estetyczne, że przyćmiewa naturalne piękno zachodzącego słońca. Zróznicowana, niemal chaotyczna panorama ilustruje niesamowitą różnorodność architektoniczną i kulturową miasta. Na szczycie wysokich na kilometr pylonów, które pokrywają Mantris, otwieranym dachem w kształcie sześciokątnej szachownicy, zjonizowane ekrany zamykają się, aby chronić miasto-kontynent przed wieczornym chłodem. Operacja powoduje silne podmuchy wiatru, które upojone radością przemykają między wieżowcami. Osłabione polem siłowym tarasu, podmuchy nie ośmielają się zbyt poruszać długich włosów Sassakiego.

Nie irytuje się mistrza, zwłaszcza gdy jest w złym humorze.

Niczym wulgarna maska karnawałowa, wspaniała panorama stara się ukryć problemy, które wstrząsają Mantris. Kryzys energetyczny to symptomatyczna gorączka chorego miasta-kontynentu, padającego ofiarą delirycznego i irracjonalnego epizodu. Jeszcze wczoraj, obywatele-akcjonariusze okazywali solidarność. Teraz, kolejki wiją się

wokół centrów zaopatrzenia, cierpliwe gady, rzucają się na najmniejszą, nawet na wpół naładowaną baterię.

Gdyby był lekarzem, Sassaki zdiagnozowałby odrzucenie przeszczepu: piękna jedność, którą kiedyś obnosiło się pięć stylów technicznych, rozpuściła się w kwasie ograniczeń, a nawet one są bardziej żrące niż całkowity niedobór, który im zagraża.

Gdyby był moralistą, pogardzałby pospieszną reakcją obywateli-akcjonariuszy, spanikowanych pierwszym zakłóceniem ich codziennego życia, nie mogących cofnąć się o krok, by uformować ciało – przeszczepione ciało. Poprzez zbytnią hybrydyzację, za pomocą opancerzonych środków uspokajających i atrap organów, reagują nie na uczucia, ale na retransmisje – przez społeczne media, IAsystentów, SIT-uacje... Był gotów uwierzyć w tygiel, otwarty na ideę, że może to przynieść jakieś korzyści, ale ostatnie wydarzenia tylko wzmacniły jego głębokie przekonanie, że czystość genetyczna jest jedyną drogą, eugenika jedynym rozwiązaniem, trzeźwość najwyższą cnotą, a jego szkoła ostatnią wyspą spokoju w tej niespokojnej Mantris.

Gdyby był cyniczny, porównałby losy Kory, cierpiącej, pokonanej przez Shado, z losem Mantris, osłabionej niedoborami, niezdolnej do pokonania Arkhantii. Mechanika i miasto to mikro i makro dowody na to, że mieszanie stylów technicznych nie jest zdrowe, a nawet jest niepożądane.

Gdyby był...

Gdyby był kimś innym niż Sassaki, zwerbalizowałby swój wstręt, pokazałby swoją złość. Ale, jako mistrz zen, przyswaja sobie wszystko, przechowuje to co myśli, w bezpiecznym zahartowanym stalowym umyśle, tak spokojnym jak przechłodzone górskie jezioro, które zmusza się do pozostania w bezruchu, unikając wszelkich zakłóceń, aby nie zamarznąć natychmiast.

Nagle, widzi przed sobą, zaledwie kilka metrów dalej, mamutaka walczącego ze wzmagającym się wiatrem. Potężny podmuch zmusza go do stacjonarnego lotu, którego pozorny spokój zdradzają długie lotki, które na końcu skrzydeł trzepoczą jakby miały się zaraz oderwać. Dziób otwarty, skrzydła rozpostarte na całej rozpiętości, milczący w szyderczych gwizdach wiatru, można by pomyśleć, że jest nieruchomy, a nie, że walczy. Zwierzę ucieleśnia odwagę, ale przede wszystkim zaprzeczenie, stan bezczynności wobec żywiołów – *wydarzeń* – które zostają uwolnione.

Ten mamutak to ziarnko piasku, które przemienia pogardę Sassakiego w smutek. Kocha Mantris, głęboko, szczerze. Jest poruszony jej mękami, patrzy na nie raczej ze smutkiem niż z odrazą. Wykazuje tolerancję zarezerwowaną dla bliskich, kiedy oni zbłądzą. Czuje się nawet współodpowiedzialny, podobnie jak rodzice, którzy nie mogą całkowicie oczyścić się z błędów swoich dzieci.

Najbardziej zdumiewające jest to, że ma takie same uczucia do Kory.

„Profesorko” – mówi opuszczając taras i wchodząc do gabinetu. „Oprócz więcej czasu, czego potrzebujesz, aby wyleczyć swoją pacjentkę? Domyślając się, że Il'ango boi się podchwytliwego pytania, dodaje: „Nie zarzucam tobie szarlatanerii, więc byłbym wdzięczny, gdybyś przestała mnie traktować jak polityka.

- Gdyby tylko wiedziała co jest nie tak, wzdycha. Najbardziej logicznym wyjaśnieniem jest to, że pacjentka dobrowolnie opiera się leczeniu.

- Może tak jest naprawdę .”

Przyłączając się do Il'ango, Sassaki wskazuje na ciało Kory, zredukowane do martwego ciała będącego w trakcie sekcji zwłok.

„Nie, zapewnia ostatecznie Il'ango. Umysł nie jest w stanie przeciwstawić się ciału, to nie jest metabolicznie możliwe.

- Osobiście wątpię w to, że człowiek poznał dogłębnie wszystkie tajniki umysłu. Nie powiedziałeś mi kiedyś osobiście, że nauka napisana jest na ruinach pewności? Dlaczego nie mielibyśmy zbadać bardziej tę hipotezę?

- Chodzi o to, że...w swojej karierze nigdy nie widziałam takiego poziomu przemiany, nie mogłam nawet kategorycznie ocenić jej płci!

- Naprawdę ?

- Jej wszystkie narządy płciowe zostały usunięte, spójrz.”

Il'ango wskazuje na pachwinę, która jest wydrążona do tego stopnia, że widać biodra, a także klatkę piersiową wzmocnioną implantami cerametycznymi.

„Powiedz mi, Il'ango”, kontynuuje wojownik.” Po co w szczególności przytaczać kryterium płci?”

- Od czegoś trzeba zacząć! A dokumentacja medyczna wyraźnie stwierdza, że Kora jest kobietą. Mówię o faktach, Sassaki.”

Głos profesorki zamiera, jakby ogarnięty chłodem jej gabinetu zamienionego w kostnicę. Sassaki postanawia zignorować oznaki jej zażyłości i odpowiada jej spokojnym tonem.

„Zapominanie o tym, że fakty nie są prawdą jest błędem, który czasami popełniam pomimo wielu godzin codziennej medytacji.

- Z pewnością masz rację. Prawdą jest, że nic w badaniu klinicznym tego nie potwierdza. Nawet badania krwi prowadzą do niejednoznacznych wyników.

- Czy to założenie dotyczące seksu kierowało twoją terapią?

- Nie.

- Czy mogło mieć wpływ na twoje stanowisko...
- Oczywiście! Jestem genetyczką, a nie kręgarzem.
- Masz rację, ja nie jestem lekarzem. Zostawiam cię, byś mogła podjąć niezbędne decyzje, wrócę jutro.”

Sassaki opuszcza biuro, nie oglądając się za siebie. Za jego plecami, Il'ango przez chwilę tupie nogami, nerwowo przesuwa palcami po tablecie, wzdycha... po czym kasuje wszystkie swoje dane i uruchamia nową symulację. Zapomina mu przekazać wiadomość od Arhaxa, co odpowiada nawet Sassakiemu: ma wymówkę, by nie odpowiadać na wezwania Robotyka...

12.2

Aby ustalić, czy gwiazda zbliża się, czy też oddala od systemu Artellium, mierzy się emitowane przez nią światło: jeśli zmienia kolor na czerwony, oznacza to, że gwiazda oddala się, jeśli chyli się ku niebieskiemu, to pędzi w kierunku Galany. Gdyby ValRed był gwiazdą, a Mantris układem słonecznym, jego imię z pewnością wydawałoby się odpowiednie...

Od czasu powrotu do miasta-kontynentu kapitan straży czuje się nieswojo. Nie rozpoznaje już miasta, w którym dorastał, między obywatelami-akcjonariuszami a nim, utworzył się dystans. W ciągu niespełna roku, daty jego ostatniego pobytu w Mantris, atmosfera zmieniła się diametralnie.

Hologramy widoczne między reklamami wyświetlanymi w starzejącym się maglevie, który przewozi go przez miasto od granicy Riftu do dzielnicy Genetyków, malują zaskakujący

portret bieżących wiadomości. Przede wszystkim, dowiaduje się o wypuszczeniu na rynek nowego typu płatnych baterii, Vmax i odkrywa, że konsultacje obywatelskie zostały zastąpione przez DCM, organ decyzyjny złożony z najlepszych ekspertów. Nie został jednak podany wyraźny powód uzasadniający tę zasadniczą zmianę w polityce Mantris.

Zaskoczony, obserwuje reakcję pozostałych pasażerów, którzy pozostają obojętni na to, co w oczywisty sposób, nie jest dla nich nowością. Wtedy nagle zdaje sobie sprawę, jak wyjątkowo dużo obywateli-akcjonariuszy jest w maglevie. Tłum jest niewiele większy niż zwykle, jednak tylko co czwarta osoba jest personą; wszyscy inni podróżują osobiście, a nie za pośrednictwem swojej wirtualnej otoczki. Na ogół proporcje są odwrotne, obywatele-akcjonariusze wolą spokojnie siedzieć sobie w domu.

Dojechawszy do swojego przystanku, ValRed wysiada i angażuje się w ulice, prostoliniowe kaniony zieleni z autonomicznymi budynkami energetycznymi. Po bliższym przyjrzeniu się stwierdza, że piesi są mniej ekstrawagancy, niż sobie przypomina. Mniej szalonych i kolorowych skinów, kilka ceremonialnych egzoszkieleatów, ledwie kilka tatuaży, czy bioluminescencyjnych implantów, które cieszyły się jeszcze taką popularnością w zeszłym roku... Wszystko dzieje się tak, jakby moda przeszła od ekscentryczności do powściągliwości. Ze swoją zbroją i długą szablą przewieszoną przez plecy, ValRed prawie uchodziłby za najbardziej dziwaczego w tłumie – coś zupełnie nowego dla dyskretnego ucznia Sassakiego.

Poza tą oszałamiającą polityką oszczędnościową, ValRed zauważa, że kilka osób jednocześnie pożycza Daleki, że jedna na dwie publiczne drukarki 3D jest zamknięta, a flota robotów usługowych została znacznie zmniejszona. Nawet

fotosyntetyczne reflektory skierowane na zielone ściany zmniejszyły swoją intensywność. Ogromny kontrast z bogactwem jego wspomnień. Mantris zawsze był oświecistą, wizualna uczta, która powinna mu się wydawać tym bardziej wyraźna, ponieważ Arkhantia to ponura kraina polifoniczna, ale monochromatyczna.

Wtedy ukazuje mu się inna prawda, jeszcze bardziej niepokojąca. Kiedy przechodzi pod dużymi czerwonymi łukami z prawdziwego drewna, które wyznaczają dzielnicę korporacji, drony skanują go i zaalarmowane jego szablą kierują do niego strażników. Szybka wymiana zdań z wartownikami, których twarze są ściągnięte jak fałdy ich mundurów, pozwala na jego identyfikację, po czym zostaje upoważniony do przejścia bez dalszych formalności. Scena byłaby banalna w Neftydzie – gdzie ValRed byłby znacznie bardziej pedantyczny, nawet z arystokratami – ale tutaj, w Mantris, gdzie bezpieczeństwo zawsze rządziło, jest to groteskowe. Kolejna istotna różnica w stosunku do Arkhantii, niebezpiecznej i dzikiej jak niezbadana kraina.

Kapitan straży nie może się doczekać, by odnaleźć szkołę swojego mistrza, którą uważa za równie niezmienną jak stałe rządzące prawami wszechświata.

Dlatego też ze szczerą ulgą – dobrze skrywaną – przybywa do ogrodu, w którym znajduje się ośrodek szkoleniowy. Miejsce jest wyjątkowe, wyspa zieleni zachowana pośrodku oceanu betonu. Położona na jednym z siedmiu szczytów Wieży Kyotech, góruje nad miastem-kontynentem w zalewie mchów i wody. Drewniany most pomalowany na czerwono przecina rzekę, która spokojnie faluje między drzewami i ścieżkami pokrytymi drobnym żwirem. Pstrągi i żurawie rozjaśniają zielone tereny, ożywiając to naturalne piękno.

Przemierza ten zielony teren, wybierając żwirową ścieżkę, którą pięcio- lub sześćioletni uczniowie czyszczą, kamyk po kamyku, zwykłą szmatką. Z przyzwyczajenia, ValRed porusza się prawie bezgłośnie, ledwie ocierając się o żwir. Jednak większość dzieci słyszy jak nadchodzi. Ci, którzy przemalowują palisadę graniczącą z ogrodem, nie mają nawet czasu zauważyć jego obecności, zanim wejdzie do głównego budynku.

Będąc już w środku, bawi się przemierzając korytarze z zamkniętymi oczami, co ułatwia mu ścieżka kadzidla pozostawiona przez mnichów udających się do świątyni i jedwabisty szelest służących, którzy odsuwają się przed nim. To nie jest zwykła zabawa, jest to dla niego okazja do głębszego zanurzenia się w pogodnej atmosferze tego miejsca, kąpieli młodości, która przywraca go do spędzonego tutaj dzieciństwa, pomiędzy ascezą a tysiącrotnie powtarzanymi ćwiczeniami.

Plac ćwiczeń znajduje się tuż za panelami z papieru ryżowego. Słyszy chłupot chwiejnych platform pływających po rzece, na których uczniowie odkrywają subtelności równowagi, suche trzaski uderzeń w drewniane manekiny, uderzane tak mocno, że odpadają z nich drzazgi, czasem koci syk szabel, za którymi czasami podąża mokre rozdzieranie ciała, kropla po kropli krwi i zawsze krótkie, gardłowe okrzyki instruktorów. Tak wiele pogłosów jego własnej determinacji, by wyjść poza swoją ludzką kondycję, aby osiągnąć doskonałość dzięki sile woli i wytrwałości, a nie poprzez wyrzeczenie się żywego ciała na rzecz implantów lub martwych i zimnych egzoszkieleatów. Poddanie się urokowi sztucznego transhumanizmu uniemożliwiłoby mu wypełnienie swojego przeznaczenia, jakim jest ochrona Rzeźbionego Tronu. Niektórzy postrzegają to jako kompromis z wrogiem, zdradę Mantris; ValRed postrzega to

jako zaszczyt, okazję do lepszego zrozumienia Arkhantii i choć nigdy się do tego nie przyzna, szansę na przebywanie z tak godną podziwu królową jaką jest Solis.

Szkoła jest oazą spokoju, na którą tak liczył, więc dlaczego nie czuje się ukojony, ożywiony? Czy to z powodu dwóch urn pogrzebowych, które przynosi swojemu mistrzowi, a który może ewentualnie się obrazić, gdy dowie się, że niektórzy z jego uczniów zawiedli swojej misji? Hanzo i Ruby zginęli wykonując swój obowiązek. Malkah zorganizowała wzruszającą ceremonię na ich cześć, jak więc ich śmierć mogłaby wywołać gniew Sassakiego?

ValRed zatrzymuje się na środku korytarza. Otwiera oczy, jego nozdrza irytuje dym zimnego kadzidła, uszy wypełnione są stłumionymi dźwiękami i pustą muzyką, a resztką lodu wypełnia mu żołądek. Czy nie porównał właśnie mistrza do Malkah? Mimo, że jest strażnikiem Rzeźbionego Tronu, pomimo tatuażu magicznej uległości, który wylewa się z jego lewej piersi, gotowy spalić jego serce przy najmniejszej zdradzie Arkhantii, jego lojalność nigdy się nie zachwiała: jest Mantrianinem, dzieckiem szkoły Sassakiego, utalentowanym genetycznym wojownikiem, spadkobiercą długiej tradycji... Jak może w to wątpić? Wątpić w Sassakiego?

Ale prawda jest taka, że zna odpowiedź na swoje własne pytanie: pod maską, którą nosił przez cały czas, nawet do jedzenia i spania, Hanzo skrywał twarz, którą ValRed dobrze znał. To Sassaki z jego dzieciństwa.

Jego mistrz skłonił się, przeciwstawiając się największemu tabu wśród Genetyków.

Jeśli ValRed poprosił o pozwolenie na powrót tutaj, do szkoły, to nie po to, by zakopać dwóch strażników w ich ojczystej ziemi, ale po to, by pociągnąć Sassakiego do odpowiedzialności. Kapitan straży nie wyobraża sobie

scenariusza, w którym jego pan nie byłby zaangażowany – żaden czołowy Krezus, żadna korporacja nie jest na tyle nierozsądna, by sklonować swojego pana bez jego wyraźnej zgody. Sassaki musiał mieć jakiś cel, wysyłając Hanzo na dwór Arkhantii, ale jaki? Tylko jedno jest pewne: mistrz wysłał swojego kлона dokładnie tam, gdzie chciał.

Bardziej niż wyjaśnień tego nikczemnego wykroczenia, kapitan oczekuje, że jego mistrz kategorycznie temu wszystkiemu zaprzeczy. ValRed wolałby raczej świadomie przełknąć kłamstwo – bo jest nieugięty: Hanzo był klonem Sassakiego – niż wyobrażać sobie, że jego mistrz jest winny takiego grzechu pychy.

Służący zaintrygowani jego bezruchem, obserwują go ukradkiem, z opuszczonymi głowami, ale wścibskimi oczami. Poprawia więc swój miecz, który brzęczy o urny, po czym ponownie rusza w drogę. Tym razem z szeroko otwartymi oczami, gotowymi wytropić najmniejszy strzęp oszustwa Sassakiego.

Kiedy wchodzi do gabinetu swojego mistrza, ValRed klęka i spuszcza głowę, gotowy do konfrontacji ze starszym. Kiedy widzi jak starszy mężczyzna wpatruje się w przestrzeń, tracąc zainteresowanie niedokończoną kaligrafią, z palcami bawiącymi się w roztargnieniu holosześcianem – wulgarny gadżet w tak uporządkowanym miejscu? – zdaje sobie sprawę, że problem polega nie tyle na tym, żeby dowiedzieć się, czy Sassaki się nie sklonował, ile na tym, czy pozostał tym samym człowiekiem.

Sposób w jaki ValRed podnosi się i kładzie ręce na kolanach, wystarczy, by wyrwać Sassakiego z zamyślenia. Niewielka sztywność, nic więcej niż tarcie płata papieru ryżowego w niedostatecznie nawoskowanej prowadnicy i Genetyk chwilowo zapomina o nagraniach odzyskanych od Kory.

Jego uczeń jest zaniepokojony. Ten, którego Wojna Bohaterów pozostawiła niewzruszonym. To jest warte choćby odrobiny jego uwagi.

„Ruby i Ronan?”, pyta spokojnie, kiedy ValRed z szacunkiem stawia przed nim dwie urny.

- Ronan został z Malkah, by ją chronić, mistrzu.”

Chociaż ValRedowi sprytnie udało się uniknąć poprawiania go, Sassaki zauważa jednak jeden szczegół, który wiele mówi: nie słyszy już wielkiej litery, kiedy on wymawia słowo „mistrz”.

„Jak zginęli?”

- Razem, chroniąc siebie nawzajem.

- Zamiast wypełniać swój obowiązek ochrony Tronu.

- Byli dokładnie tam gdzie było ich miejsce.”

To sformułowanie przyciąga wzrok, rysa na drzwiach gościa, który boi się przeszkadzać. Co ValRed ma na myśli? Dziwny sposób wyrażania myśli...

„Jeśli pozwolisz, mistrzu, chciałbym zwrócić każdą urny rodzinom zmarłych. Osobiście znam rodzinę Rubiego, ale nie Hanzo. Mógłbyś mnie naprowadzić na trop?”

ValRed towarzyszy swojemu pytaniu niedostrzegalnym uniesieniem pytającej brwi. Oskarżycielskim nawet. Sassaki mobilizuje swoją cierpliwość, by nie przywołać swojego ucznia do porządku. Mistrz i uczeń patrzą na siebie przez jakiś czas – wieczność chwili prawdy.

„Niestety nie, nic nie wiem na temat jego pochodzeniu” – odpowiada w końcu Sassaki.

Twarz ValRed pozostaje niewzruszona, ale jego spojrzenie staje się ostre. Sassaki instynktownie poprawia swoją pozycję. Wszystko to jest śmieszne: jego uczeń nigdy by go nie zaatakował, tak samo jak on nie zaatakowałby swojej mistrzyni, Chaki.

Chaka...

Wśród informacji zebranych z nagrań Kory – które w końcu przekazała jemu Il'ango po dokonaniu przełomu w leczeniu swojej pacjentki – znajduje się to dziwne, niepokojące odkrycie: Chaka posiadała wiedzę o równoległym wszechświecie, sekretnym miejscu, w którym przywoływacze Cienia tacy jak Shado... lub Faust, dawny Faworyt, schroniliby się w razie potrzeby.

Sassaki nie odkrył tego wszystkiego od razu, był to dwuetapowy proces. Dzięki oszałamiającej liczbie czujników, w które wyposażone było ciało Mechaniki, doszedł do wniosku, że aby zniknąć w ciemności, Shado manipulował nieznaną energią, rodzajem ciemnej materii równie niematerialnej jak gaz.

Nie będąc wystarczająco zaznajomionym z zaawansowaną fizyką, zwrócił się do Sir Vine, słynnego szamana DCM. Ten ostatni, od razu zainteresował się danymi przekazanymi mu przez Sassakiego, widząc w nich nieoczekiwaną odskocznię od męczących negocjacji politycznych, które osłabiają komisję.

„Twoja historia nie ma nic wspólnego z ciemną materią – powiedział naukowiec, a jego metalowe dredy zaszeleściły. Prawdę mówiąc to nie jest materia. Raczej... nie-materia. Lepiej jeszcze! *Spiżarnia*. Nie wiesz co to jest? Stare pomieszczenie, służące do przechowywania żywności, które często okazywało się puste. Jak żołądek tego, kto szukał pożywienia!”

Ceną za korzystanie z wiedzy Sir Vine było odkodowanie jego tekstów do staromodnych odniesień, równie nieprzeniknionych jak mowa ciała ValReda. Sassaki zrozumiał, że ciemna materia to tylko nazwa, termin określający brakującą masę niezbędną do uzasadnienia, że galaktyki nie rozpadają się, obracając się wokół siebie. Jedyną obserwowalną masą odległych galaktyk jest światło gwiazd,

reszta, której natura pozostaje nieznana naukowcom, została opisana jako „ciemna materia”.

„Bardzo dobrze – kontynuował Sassaki. A możesz mi wytłumaczyć, czym jest ta energia, którą zmierzyły detektory, zamiast mówić mi, czym ona nie jest?

- Moja najlepsza hipoteza? Jest to splątanie kwantowe. Świat równoległy,... *Intryganctwo!* Właśnie wymyśliłem nazwę. Podobają mi się, to " *Intryganctwo*". Naprawdę nieźle. Zgadzasz się?

- Cokolwiek powiesz. I jak... ?”

Schaman nie pozwolił Genetykowi dokończyć, podniósł się, jak jakaś nakręcana zabawka, aby uruchomić otwieranie chowanej komory. Kiedy łóżko i łazienka zmaterializowały się w ścianie z pamięcią kształtu, a Sir Vine zaczął grzebać w swoich przyborach toaletowych, Sassaki zdał sobie sprawę, że naukowiec spał w swoim biurze.

Sir Vine wrócił do swojego gościa z kieszonkowym lusterkiem w dłoni, szczęśliwy jak dziecko, które natknęło się na cukierka. Wyjął z kieszeni kulkę antystresową, położył ją na stoliku do kawy obok lustra ustawionego pod kątem 45° tuż przed Sassakim, tak aby mógł widzieć zarówno piłkę, jak i jej odbicie.

„Zapomnij o lustrze. Wyobraź sobie siebie jako naukowca. Widzisz dwie cząstki, wiesz, że są ze sobą związane. Splątane, by użyć precyzyjnego określenia. Chcesz wiedzieć, która z nich jest prawdziwa. Jak to zrobisz?

- Obserwuję je uważnie”, zasugerował Sassaki, ryzykując domysły.

- Proszę ! Proszę! Obserwuj!”

Skinieniem głowy i z szelmowskim uśmiechem, Sir Vine przywołuje go by się zbliżył. Gdy tylko Sassaki zerknął w stronę odbicia, szaman usunął lustro.

"Ha, ha! Mam cię, prawda? Przyznaj się? To co się właśnie wydarzyło, to splątanie kwantowe. Dwie cząstki mają wspólny stan kwantowy, są od siebie zależne, niezależnie od odległości między nimi. Szalone, prawda? Jeszcze bardziej zwariowane: fakt chęci dokładnego poznania stanu kwantowego cząstki... powoduje zniknięcie jej sobowtóra! Nazywa się to redukcją pakietów falowych. Piękne, piękne określenie, pojęcie używane przez intelektualistów, którzy chcą bawić się w uczonych. Nie w moim stylu. Ponieważ widzisz, kiedy przejdziesz od razu do sedna, koncepcja jest naprawdę bardzo prosta.

- Czy prosta... Nie wiem. W każdym razie trudno mi uchwycić związek z danymi, które tobie przedstawiłem.

- Ach dobrze? Ale ja po prostu... No dobrze, jak inaczej to powiedzieć? Hmm.... Dobrze, spróbujmy tego: czujniki wykryły wszechświat równoległy, ten, który nazywam „*Intryganctwo*”. Świat inny niż nasz, rodzaj refleksji rządzący się własnymi prawami fizycznymi. Ale oba połączone, zależne od siebie, tak jak splątane cząstki. Sir Vine splata palce, poczym rozkłada ręce, które są cały czas złączone. „Jakby zostały utkane przez dziewiarke, rozumiesz?

- Teraz rozumiem. Ale w jaki sposób przechodzimy z jednego świata do drugiego?

- Myślę, że może pomóc potężne źródło fotonów.

- Czy broń plazmowa załatwiłaby sprawę?

- Trafiłeś w dziesiątkę! Hm... myślę, że muszą istnieć metody mniej niebezpieczne. Mam przynajmniej taką nadzieję?” - Sir Vine zmartwiony, uwolnił ręce, by wzruszyć ramionami.

Więc działo Kory ułatwił działania Shado. Patrząc z perspektywy czasu, Sassaki był zadowolony, że stanął twarzą w twarz z Faworytem przy użyciu białej broni.

„Dzięki wystarczająco potężnemu źródłu energii, zsyntetyzował Genetyk, można ustanowić połączenie między Artellium a *Intrygancstwem*, rodzaj portalu, przez który wystarczy przejść. Zgadza się ?

„Właśnie o to chodzi!” Oczywiście pod warunkiem, że jesteś fotonem. Nie zrozum tego źle, ale nie masz fotonowej głowy. To, co tobie tutaj wyjaśniam, to fizyka teoretyczna. Dotyczy tylko cząstek, nie ludzi. Albo kotów, zachichotał – oczywiście żartobliwie szaman.

- A jednak, właśnie to zrobił Shado, Faworyt Cienia.

- Rozumiem ! Ale ja jestem naukowcem, a nie czarnoksiężnikiem. Moimi narzędziami są równania różniczkowe, a nie tajemnice rytuałów.

- Czy te pomiary nie byłyby pierwszym krokiem w rozszyfrowaniu magii? Aby zrozumieć, jak ona działa, a zatem odtworzyć ją?

- Możliwe. Czytałem gdzieś, że każda wystarczająco zaawansowana technologia jest jak magia... Ale i tak, uważam, że jest to szaleństwo.

- Dlaczego?

- Gdyby Arkhańczycy wiedzieli, w jaki sposób świadomie manipulować podstawowymi prawami wszechświata... O nie, nie myślmy o tym... Nie myślmy o tym.”

Sir Vine nagle wyglądał na zmartwionego, jakby udręka miażdżyła jego rysy pod ciśnieniem hydraulicznym.

„Nikt nigdy nie interesował się tym tematem?, upierał się Sassaki, zdeterminowany, by wydobyć z tej rozmowy przynajmniej jedną przydatną informację.

- Forsowanie teorii dla samej teorii, bez komercyjnych rynków zbytu? Dlaczego ktoś miałby to robić?”

Mimo to, Sir Vine sprawdził archiwa za pomocą implantu siatkówki, co sprawiło, że jego oczy zamrugały.

„Wow, dziwne” – wykrzyknął. Jest jednak osoba, która ma wystarczająco dużo gwiazdek w swoim mózgu, by zrobić coś takiego! Chaka! Ona właśnie przeprowadziła wiele badań w tej dziedzinie.

- Chaka, Legendarna Genetyczka?”

- Osobiście. Miała nawet polaryzator zaprojektowany do wykrywania otwarcia *Intryganctwa*... Co! Nie wierzę w to! Skontaktowała się z Gaupellem, a nie ze mną? To mnie obraża.

- Oczywiście !”

Ta rozmowa miała miejsce dwa dni temu, więc słynny wykrywacz powinien wkrótce zostać dostarczony. Nic innego tak naprawdę nie interesuje już Sassakiego, poza odkryciem, tego co jeszcze zatuszowała przed nim Chaka. Nie ukrywa niczego przed ValRedem, może poza brakiem zainteresowania losem Hanzo i Rubiego. Czy to tak bardzo niepokoi jego ucznia?

„Droga od Neftydy musiała być długa” — przyznaje Sassaki. Zadbam o to, aby ich prochy zostały złożone w szkolnej krypcie, idź odpocząć.

„Dziękuję bardzo, mistrzu. Ale musiałem pokonać tylko połowę tej trasy. Przybywam prosto z Riftu”. Wydaje się, że ValRed chciałby przejść do innego tematu – jakiego? Sassaki nie jest zainteresowany– ale ValRed kontynuuje w odpowiedzi na zmarszczone brwi swojego mistrza. „Malkah - Solis wyrusza tam w podróż w nadziei zrozumienia przyczyn degeneracji magii w Arkhantii.

Sassaki zdaje sobie sprawę, że Mantris nie jest jedyną, która walczy z niedoborem? Dziwny zbieg okoliczności... chyba, że te dwa wydarzenia są ze sobą powiązane? Tak jak *Intryganctwo* i prawdziwy świat są ze sobą połączone, tak te dwie cywilizacje są do siebie znacznie

bardziej podobne, niż którakolwiek z nich jest skłonna przyznać.

Sassaki pozostaje przekonany, że ani Mantrianie, ani Arkhańczycy nie napotkaliby takich trudności, gdyby wiedzieli, jak zachować wstrzemięźliwość, tak jak on. Wreszcie magia nie różni się niczym od technologii, obie podporządkowują sobie użytkowników. Czarnoksiężnicy są niewiele lepsi od adeptów narkotyków lub implantów: wszyscy z nich są sztucznymi transludźmi, a nie postępowymi ludźmi.

To kolejny powód, by pokonać Shado, magicznego transhumanistę.

„Czy spotkałeś na swojej drodze Faworyta Cienia?”, pyta od niechcienia Sassaki.

- Nie, mistrzu. Zniknął, nikt nie wie, gdzie jest, nawet inni Faworyci.”

Dreszczyk, który łaskocze kręgosłup Sassakiego, jest trudniejszy do ukrycia niż napięcie w jego głosie. Czy Shado nadal przybywa w *Intrygancctwie*? Gdyby znalazł wejście dzięki polaryzatorowi, mógłby stanąć tuż przy przejściu i zaskoczyć Faworyta, gdy tylko ten powróci do świata rzeczywistego?

Wstaje, natychmiast naśladowany przez ValReda, który kłania się przed nim. Kapitan jest gotowy wyciągnąć zapalnik, podpalić papier ryżowy, ma jeszcze coś do powiedzenia, czarne i tłuste uczucie, przykleja mu się do żołądka jak węgiel, zaraz wypluje kawałek, robi pożar ze swojego urazu, jest gotowy, odważy się...

„Mistrzu, ja...”

- Ponieważ takie jest twoje życzenie, Sassaki mu przerywa, pozwolę ci zająć się prochami Rubiego i Hanzo.”

Wojownik ma pilniejsze rzeczy do załatwienia: odzyskać polaryzator od Sir Vine przed powrotem do fabryki robotów,

w której tajemniczo zniknął Shado...Genetyk wychodzi ze swojego biura swobodnym, rześkim krokiem, zostawiając otwarte drzwi i swojego ucznia, z żołądkiem cięższym niż zgaszony reaktor jądrowy.

12.3

Jeśli jest jakaś korzyść z posiadania SIT-u, to możliwość automatycznego odłączenia się od Metawersu, w którym użytkownik jest narażony na obrażenia fizyczne. Inżynierom nigdy nie udało się całkowicie oddzielić umysłu od ciała, więc wszelkie fizyczne uszkodzenia poniesione w środowisku wirtualnym zwiększają ryzyko wypadków mózgowych, takich jak wstrząs mózgu lub udar. Przeglłosowany w konsultacjach obywatelskich obowiązek posiadania urządzenia odłączającego, zmniejszył do zera liczbę obywateli-akcjonariuszy, którzy doznali poważnych uszkodzeń mózgu, w szczególności wśród miłośników sportów ekstremalnych w symulowanym środowisku.

Sasaki nie nosi SIT-u, bo nigdy się w niego nie wyposażył. Kiedy znajduje się w MaRzeniach, jedynym zabezpieczeniem jakie posiada, jest intymna wiedza o swoich własnych ograniczeniach. To dla niego żaden problem, biorąc pod uwagę, że nigdy nie odwiedza metaversów, z wyjątkiem godnego uwagi, wirtualnego wszechświata, w którym Chaka ukryła swój testament.

Jest to jednak najniebezpieczniejszy metavers w sieci.

Persona Sassakiego – wierne pod każdym względem odwzorowanie oryginału – wbija miecz między ozdobne płytki, po czym siada na ziemi w pozycji

lotosu. Wojownik musi złapać oddech, jego ciało zaraz odmówi posłuszeństwa. Nie ma pewności, ale wie, że w prawdziwym świecie krwawi z uszu i nosa, prawdopodobnie także z oczu. Bez zoptymalizowanej encefalizacji jego mózgu, doznany uraz byłby już nieodwracalny. To cena, jaką trzeba zapłacić za przezwyciężenie prób umożliwiających dostęp do spuścizny Chaki, ostatniej jak dotąd Genetycznej Legendarnej.

Na taki zaszczyt trzeba sobie zasłużyć. Od dwudziestu lat, Sassaki próbuje dotrzeć do najświętszego miejsca pośród świętych, aby odkryć skarb mądrości, który Chaka zostawiła dla uwagi każdego, kto będzie wiedział, jak go wykopać. Wyzwanie jest otwarte dla wszystkich stylów technicznych. Legenda głosi, że próbował go nawet jakiś czarnoksiężnik. Biada tym którzy nie są godni, ponieważ testy są do tego stopnia śmiertelne, że metavers Chaki był poddany debacie na temat automatycznego z nim rozłączenia. Po dwóch nieudanych dekadach Sassaki pozostaje jednym z nielicznych, którzy wciąż próbują tej przygody. On jest tym, który był najbliżej objawienia, niestety nigdy go nie osiągając.

Teraz nadszedł właściwy czas: wojownik nie podda się. Nie tym razem.

Wracając do fabryki robotów upewnił się, że polaryzator Sir Vine działa. To zmienia wszystko. Ma teraz sygnaturę wibracyjną świata Cienia – słynną „redukcję pakietu fal”, o której mówił Sir Vine – dzięki czemu jest w stanie wykryć przejście do *Intryganctwa* – czy jakakolwiek byłaby prawdziwa nazwa Królestwa Cieni. Nigdy nie był tak blisko do ponownego połączenia się z Shado. I to jest wszystko, co go interesuje: nie martwi się kryzysem energetycznym w Mantris, ani koalicją kierowaną przez Arhaxa, ani nawet przyszłością swojej szkoły czy ValReda... tylko rewanżowym meczem z Shado.

Powinien zastanowić się nad przyczynami tej obsesji, zakwestionować ją, ustalić, co o nim samym mówi. Być może też się tym martwić. Ale teraz nie jest czas na rozrywkę, ma cel do osiągnięcia. Wiąże się to z odzyskaniem testamentu Chaki: jego mistrzyni wiedziała o istnieniu Świata Cieni, być może odkryła też wady i słabości Fausta. Nie może się doczekać, aby dowiedzieć się, co celowo przed nim ukrywała.

To jest powód jego obecności w metaversie. Nie wyjdzie z niego, dopóki nie osiągnie swojego celu, nie będzie dłużej tolerował porażki.

Opierając nadgarstki na kolanach, przedłuża pauzę. Przeszedł siedem testów Jahana, kodeksu szkoły Chaki. Od teraz Sassaki musi stawić czoła ostatniej próbie, która przeciwstawia go strażnikowi tajemnicy, ostatniemu bastionowi chroniącemu dziedzictwo Legendarnej. Walkę, której nigdy nie był w stanie wygrać.

Podobnie jak rundy eliminacyjne, ta ostateczna walka za każdym razem nabiera nowego wyglądu, a to dzięki nieskończonym możliwościom metaversu. W tym przypadku to sama Chaka staje jako ostateczny przeciwnik. Wspaniała ironia, która tylko wzmacnia wolę Sassakiego, by odnieść sukces... lub umrzeć próbując.

Chaka staje przed nim. Wierna jego najlepszym wspomnieniom, jakie posiada, to znaczy sprzed hybrydyzacji z genomem krokodyla. Nadal ma tę lekko wysklepioną sylwetkę, te oddzielone mięśnie i tę charakterystyczną twarz: zadarty nos, subtelnie asymetryczne oczy, uśmiech odsłaniający zdrowe zęby, z rozbieżnymi siekaczami, tyle wad, które nadają jej osobliwość pełną uroku. W techstylu, który opowiada się za idealnym pięknem, ten wybór jest niezwykle – plotka głosi, że sama Chaka złamała

sobie nos i zęby, aby uciec przed sztucznym wyborem jej rodziców.

Chaka leży pod drzewem-chimerą, mieszanką lian i kwiatów, które płaczą deszczem białych efektownych płatków. W geście gry na nosie, zwraca się w stronę swojego ucznia, leżąc rozciągnięta pośrodku krokodyli, pieszcząc ich łuski, a czasem przesuwając dłonią przez ich otwarte usta w szerokim uśmiechu chorobliwego klauna.

Dwaj przeciwnicy stają naprzeciw siebie. Rozpoczyna się ostatnia bitwa.

Sassaki planuje rzucić się na krokodyla, zmiażdżyć jego kły, aby odwrócić uwagę Chaki, a potem wykonać kopnięcie z półobrotu. Legendarna przewraca się przez jaszczura, podnosząc go i rzucając w wojownika, jakby rzucała poduszką.

Wojownik postanawia powrócić do idei frontalnego ataku zakończonego skokiem do połowy drzewa, którego pień przecina jednym ciosem. Drzewo-chimera upada na zaskoczoną Chakę, spowijając ją mgłą płatków. Okazuje się jednak, że Chaka jest mniej okaleczona niż Sassaki, którego nauczyła wszystkiego na temat walki po omacku.

Następnie Genetyk myśli o czołowym wyzwaniu, zachęcając swoją mistrzynię, by uderzyła pierwsza, obiecując, że nie będzie robił uników. Barbarzyński, nikczemny, desperacki manewr, który może nieoczekiwanie otworzyć mu nową drogę do zwycięstwa. Spokojny, znosi ugryzienie Kroka, jednego z dwóch ząbkowanych mieczy Chaki, wykonanych ze szczęki krokodyla. Podwójny szok: atak nie tylko odcina mu oddech, ale również klatkę piersiową, na dodatek cios jest zadany na płasko, a nie z krawędzi, jakby w celu zagwarantowania jego ochrony. Z morałem uszkodzonym bardziej niż ciało, Sassaki poddaje się.

Wszystkie te próby są podejmowane, podczas gdy Chaka i Sassaki pozostają całkowicie nieruchomi. Ich walka jest mentalna, mierzą się w napadzie woli, jak szachiści myślący dziesięć, dwanaście ruchów do przodu, nie ruszając ani jednej figury na szachownicy.

Przy każdej próbie Sassaki otrzymuje mata. Bezlitośnie.

Wiedząc, że tylko uraz fizyczny w metaversie przekłada się na uraz mózgu w prawdziwym świecie, wysiłek umysłowy logicznie nie powinien mieć żadnego znaczenia dla MaRzącego. W rzeczywistości ich walka woli jest tak intensywna, że obrażenia są równie poważne, a Sassaki zapada prawie w śpiączkę. Wyposażony w SIT, zostałby już dawno wyrzucony z wirtualnego świata i natychmiast ewakuowany do kliniki.

W Metaversie jego persona pozostaje niewzruszona i skupiona. Ale nigdy zrelaksowana, ponieważ ćwiczenie to mobilizuje całą jego energię. Chaka i Sassaki, są jak dwaj wojownicy, którzy z szablą w pochwie szukają wady i to wady w przeciwnej straży, w niestabilnej równowadze, gotowi wmieszać się jak drapieżne ptaki przy pierwszym otwarciu.

W momencie, gdy ramiona Sassakiego są napięte, dociera do niego nagły przeblysk, wizja tak ukradkowa jak mrugnięcie oka, którą mimochodem udaje mu się uchwycić. Zamraża ją. Chwyta ją. Zamieszkuje ją, niczym skromny lokator. Zamyka oczy, by lepiej przeżyć ten sen na jawie, skamieniały obraz. Tak bardzo czysty.

Oszałamiające odkrycie?

Wyobraża sobie, że leci, unosi się, jak mamutak walczący, by nie ustąpić przed wiatrem, z rozłożonymi skrzydłami spoczywającymi na niczym, z pełną rozpiętością skrzydeł, jak ten obserwowany z tarasu Il'ango. Odważny ptak. Okrutny. Wolny jak żaden inny mieszkaniec Mantris.

To mentalne zdjęcie jest jak mile widziany, naturalny, zdrowy, surowy, niepublikowany i niemożliwy do odtworzenia wydruk, zrodzony bez techniki.

Ale w głębi duszy, czy on naprawdę walczy?

Wraca myślami do Kory, która wierzyła, że może pokonać Shado swoim działkiem plazmowym, a zaoferowała Faworytowi to, czego najbardziej potrzebował. Sassaki zrobi wszystko by nie popełnić tego samego smutnego błędu.

Czy przyjmuje prawidłową postawę? Ale jaką postawę? Tego rodzaju zło „przeciwstawiając się”, to „znosić za wszelką cenę, aby zwyciężyć lub zginąć”. Działać by umrzeć. Wygrać. Walczyć z dużo silniejszym od siebie i nigdy nie poddawać się pod pretekstem, że nie masz wyboru, że to jest misja, test. Uśmiechać się aż do cierpienia, czerpać przyjemność.

Przypomina sobie też to dziwne sformułowania ValReda: „Hanzo był we właściwym miejscu”... a jednak umarł z tego powodu.

Czy Chaka też nie żyje? Czy Faust ją pokonał? Czy jego mistrzyni zawiodła? Ale...czym jest porażka? Czy nie czas przyznać, że najbardziej oczywista odpowiedź jest prawdopodobnie właściwą? Czy ta namiastka Legendarnej stworzona przez metavers nie jest tylko cyfrowym duchem, echem zza grobu, trupem w pikselach, czy po prostu niczym? On który brzydzi się światem wirtualnym, jak może być gotowy na śmierć w obliczu cyfrowej wersji osoby, którą podziwia najbardziej na świecie?

Czy nadal ją podziwia, skoro jest pewien, że ukrywała przed nim ważne informacje? Czy chciała go chronić przed niebezpieczeństwem, nie wymagając od niego, by towarzyszył jej w tym słynnym dniu, który zakończył Wojnę Bohaterów? A może nie uważała go za godnego?

Jak jest to możliwe, że ten, który uważa się za tak szlachetnego wojownika, kwestionuje samego siebie dopiero teraz, po dwudziestu latach zwątpienia w Chakę? Ponieważ jego najzdolniejszy uczeń przestał nazywać go „Mistrzem”? Poza tym od kiedy on sam, przywołuje wspomnienie Chaki bez dodawania wielkiej litery?

Mistrz Sassaki, dzielny wojownik, który nigdy się nie poddaje, niezniszczalny, wypchany wyrzeczeniami, nagle czuje się bardzo zmęczony.

W tym wirtualnym i wyjałowionym metaversie odkrywa, że śmierć w imię swoich przekonań nigdy nie udowodni ich słuszności. I nie spodziewając się tego, czując grunt ustępujący mu pod nogami, rezygnuje z daremnej walki. Daje się wciągnąć zaskakującemu przyjemnemu uczuciu wyrzeczenia. Jak dopalacz płynący w jego żyłach, egzoszkielet masujący go, by pomóc mu się zrelaksować, implant aktualizuje oprogramowanie jego myśli. Pozwala się spenetrować. Oczarować. Przypochlebiać. Poślubia bezczynność, małżeństwo z rozsądku, które natychmiast przeradza się w miłość.

Nie będzie kontynuował tej walki i nigdy więcej jej nie podejmie. Opuści, akceptuje niedziałanie. Podlega z rozkoszą tej nie - walce. Uwalnia się. Pozwala sobie, by nie chcieć już słuchać ostatnich życzeń swojej mistrzyni. Przez całe życie opowiadał się za wstrzemięźliwością, teraz posuwa się aż do wyrzeczenia.

Jak mamutak zawraca, ślizga się w kierunku wiatru, zajmuje swoje naturalne miejsce. Dobre miejsce. I opuszcza. Pozwala sobie wślizgnąć się w potężny żywioł, który jest mu podarowany i który nie kosztuje go ani grama trisela.

Taki jest wyczyn Sassakiego, najbardziej spektakularny ze wszystkich jego sukcesów. Zwyciężyć. Pokonać samego siebie, nie dlatego, że jest się najsilniejszym, ale dlatego, że

jest się najmańdrzejším. Wygrał najbardziej wymagający z pojedynków, ten przeciwko sobie. Przestać dążyć i dać się ponieść.

Przez chwilę, jedwabistą jak deszcz białych płatków otulający Chakę, ulotną jak usterka wadliwego programu, jego persona wydaje się tak spokojna, jak tylko człowiek może się czuć. Wzruszenie krystalizuje się w łzie, która lśni w kącikach jego powiek zamkniętych ulgą, łzą wieloletniego pacjenta, któremu cudem udaje się uwolnić od wiecznego bólu.

„Nareszcie, Sassaki. Nareszcie.”

Sassaki otwiera oczy. Wreszcie ją widzi. Ona tam jest. Chaka.

Chaka stojąca przed nim, wyciąga rękę z uśmiechem.

" Nareszcie. Chodź.”

Za drzewem-chimerą otwiera się portal...

Rozdział 13

Souwelumin

nie Ja *.umrzeć chcę*
Boję *.się*
Zabiję *.się Zemszczę. go*
Aureliusz Martwa? Nie! Nie chcę, nie jestem jeszcze gotowa, obawiam się, że mój czas jeszcze nie nadszedł.

Tak bardzo się boję.

NIE ! Nie jestem jeszcze martwa!

A jednak śmierć wisi w powietrzu. Tu i tam, sposób, w jaki porusza się powietrze, kwitnące, zatłoczone i...

Chwileczkę....to niebo... Czy wróciłam do Cendraise?

Wspomnienie. Ognista nastolatka przybywająca do Kolegium Ognia Hernum w samym środku erupcji wulkanu, niebo pełne nieprzejrzystych popiołów i ulotnych żarów, które przypominają demoniczne mrugnięcia.

Straszliwa klątwa pali jej gardło jak mocny alkohol, jej oczy szalejącymi łzami, żołądek poczuciem winy. Asha! Ona nie żyje, zabiła ją! Zemsta! Każda niesprawiedliwa śmierć woła o zemstę! Nawet przeciwko samej sobie.

Opary wspomnień. Pamięć oparów wulkanów Cendraise, zamrożony oddech po ekstremalnym treningu zimą w górach Acongua pożera skórę.

Opary oparów. Opary żalu, złości, uzalania się nad sobą. Opary alkoholu, alkoholu w beczkach bez dna. Dobry jabol wypity do dna, melt nawet nie sfermentowany,

sfalszowane trunki i hektolitry destylowanej nienawiści, od których wymiotują wnętrzności i ciosy... Aż trafiasz na taumaturga, kolosa, który nie daje ci żadnej szansy. Jego twarz, jego oczy jak dwie źrenice z granitu. Tego dnia oboje zniszczyli karczmę i zbudowali przyjaźń. Hannibala i... i...

Sarash! Nazywam się Sarash i jestem tutaj, ponieważ... Nie! Tak się boję... Mama mówi, że nie wolno mi umrzeć... bo ja... Jestem wcielonym Ogniem!

Wcielonym Ogniem? Dlaczego więc wszystko w niej wymarło? Wstrząsy wibrują jej łzami, jej policzki zamieniają się w zimny popiół.

Jej misja, jej determinacja, jej cel... wszystko pogrzebane jak magma pod skorupą ziemską, natychmiast wyparte z jej umysłu przez erupcję, zwęglone przez piekło lawy, wyrzucone przez krater i rozpylone przez eksplozję, zwymiotowane w obłoku tłustego, bulwiastego dymu, wyrzucane do atmosfery, stając się chmurami pochłanianymi przez chmury. Wszędzie chmury.

Szkodliwe opary w jej gardle. Wypychające powietrze z płuc. Duszące. Już nie wie, co czuje. Palące zimno?

To śmierć. Jestem przy drzwiach śmierci.

Martwa pamięć. Śmierć bez wiecznej ciszy. Czuje się otoczona dźwiękami, które gwizdzą na wszystkie jej zmysły. Śmiech, łzy, fruujące widmowe „ffff”, które przyprawiają ją o dreszcze.

Czy umarli pamiętają?

Ona musi. On tego chce. Pamiętać. Coś ważnego do zrobienia. Kogoś powiadomić... może... ona wie... nie wie... już nie wie... Może nie. Jest tam, krucha i migocząca jak płomień lampy huraganowej, chroniony przed burzą prostą szklaną klapką. Ta pewność utrzymuje ją w cieple, kuli się wokół niej, stara się jej nie udusić, pomimo jej

niepohamowanej potrzeby ciepła w tym zimnym i wrogim otoczeniu.

Cholera, gdzie ona jest?

Wszystko wokół niej jest puszystą materią czarnych, ciężkich chmur burzowych, które nabrzmiewają i zalewają się krótkimi błyskami, nie wiadomo, gdzie jest niebo, a gdzie ziemia. Uczucie zawrotów głowy przekłętej nieważkości, nieważkości, od której skręca się żołądek, a źrenice toczą się jak kulki, gdzie jest punkt stały, żeby nie spadać, nie latać, nie wydychać strachu we mgle chmury, jeszcze raz chmury, jest dość ich wokół niej, wszystko jest bawełnianą substancją czarnych i ciężkich chmur.

Ruszaj się. Śmierć jest zimna, zero absolutne, moment, w którym zastyga wszelki ruch materii. Dopóki się poruszasz, nie jesteś martwa, więc ruszaj się!

Pierwszy krok jest niepewny, drżący, oszalamiający. Ale mimo wszystko pierwszy krok, podeszwa spoczywająca na parującej, nieistotnej mgle, nie pustka, ale niewiele więcej.

Ruszaj dupę Sarash, spadaj, jeśli nie jesteś martwa!

Ma wrażenie, że chodzi po szklanej tafli, która nią nie jest, po lustrzanej ścianie, w której widzi swoje odbicie pod stopami. Kogo to obchodzi, posuwa się naprzód bez upadku.

Niezdecydowana, bojąca się upadku, zmuszając się do chodzenia po brzuchu mgławic, ona – *mam na imię Sarash!* – szuka swojej drogi w cieniu. Kłębiaste chmury wydają się rozpraszać pod jej byстрыm spojrzeniem, ale tylko po to, by odsłonić cienie za cieniami, usiane tu i ówdzie białymi światłami, które migają jak powieki.

Świat hałd. Otacza ją ciemność, owija ją. Ale ta ciemność posiada jednak teksturę, bogatych odcieni, które graniczą z kolorem. Niebo nie mające ani góry, ani dołu, to dach z łupkowych dachówek, mokre odbicia, dach, pod którym puchną kłębiaste-fumarole, jak plamy rozcieńczonego

atramentu. Otóż to. To jest właśnie tekstura śmierci. Plamy rozcieńzonego atramentu gnijące w podziemiu, pod-nicością, kleją się do palców i drżą.

Jeśli żyję, uciekające słowa, zostało mi niewiele czasu.

Po omacku podąża za błyszczącymi granulkami strumienia bitumu, ignorując jego bezkształtne krawędzie i chaotyczny układ, by zrobić sobie drogę prowadzącą do wyjścia. Stacza się przy każdym kroku. Ślizga się przy każdym kroku, myśli, że wpada do dziury wielkości dziury bez powrotu, drży. Każdy krok jest ostatnim, każda przerwa pierwszą.

Żyjesz, mówi ci to twój strach.

Szuka jak dog, który stracił swojego pana, drapie po wszystkich powierzchniach, biega po prawie wszystkich płaskorzeźbach. W rezultacie nie znajduje po nim śladu, ale ścieżka, którą podąża, wydaje jej się dobra: wyznacza ją kamień milowy!

Zbliża się do znaku, przeskakuje bawełnianą pustkę, by oszczędzić sobie meandra drogi, biegnie nie wiedząc właściwie dlaczego... zatrzymuje się przed kamiennym kopcem nie wyższym niż jej biodra.

Punkt orientacyjny! Drogowskaz wskazujący wyjście!

W jednolitości tysiąca wariacji kolorystycznych zamkniętych oczu, boja ma blask bladego słońca z ostrymi jak nóż krawędziami wcinającymi się w zimowe niebo. Boja to trójwymiarowy krystaliczny wykwit, rodzaj monochromatycznego koralowca, do którego można się przyczepić w tej mętnej, morskiej mgle. Tutaj wszystko jest rozmyte, ale boja pływa, spokojna, precyzyjna, obecna. Znak interpunkcyjny w bezsensownym chaosie.

Interpunkcja... Jak Asha, wdech, jej dołączki, wydech, jej dłoń na mojej klatce piersiowej, aby uspokoić moją panikę, wdech, płaskie palce na mojej skórze, wydech, jej dłonie są moimi konturami, wdech.

Kontroluje swój oddech – *jestem czarnoksiężnikiem, opanowałam sztukę kontrolowania oddechu!* – koncentruje się. Boja jest nieruchoma, ale obraca się wokół niej, w żołądku i w jej głowie, w oczach, zawrót głowy, otoczenia w ciągłym ruchu, utkane z tysięcy organicznych kłaczy, które idą na całość lub cofają się, czasem jedno i drugie, niespójna linia na powierzchni tego kryształu koralowca-boi, która przywołuje na myśl drogę, którą podąża na próżno, drogę, którą brnie bez rymu i powodu przez mgłę bez pustki i grawitacji.

*Si-fon-ogień-si-fon-fiot-si-fon-smykaj
po-po-mroku-trwoga
o-o-odgłos
o-nie-nie-pomylić się*

Dźwięk, coś w rodzaju dziecięcej rymowanki śpiewanej dziecięcym głosem, wydobywa się z boi. Wpadająca w ucho melodia, żywa, ciepła – która od razu cię przyciąga, jak wtulamy się pod koc w leniwy poranek. Przytłumione przez mgłę, zniekształcone przez brak echa i pasożytnicze dźwięki, które nasycają jej uszy, jak muzyka w tle, a nie jak wiadomość do przekazania. Piosenka na zasypianie, przeplatając fazy snu i czuwania?

Śnie !

*Si-fon-ogień-si-fon-fiot-si-fon-smykaj
po-po-mroku-trwoga
o-o-odgłos
o-nie-nie-pomylić się*

Śnię !

Shado wie dobrze, że nie. Nawet będąc umierającym, odstawionym od miesiąc od prany, wie jak odróżnić śmierć od Invermonde. Jeszcze nie umarł, ale ktoś zwabił go do Krainy Cieni, gdzie zaklinacze są lordami, a Faworyt cesarzem.

On nie śni, on przemierza Invermonde, tę inną rzeczywistość, która nie jest Arkhantią.

Jego umysł znajduje się w pobliżu mogiłki, steli, które starożytni Faworyci wznoszą po ich śmierci, podczas gdy jego fizyczne ciało leży gdzieś, walcząc o wyleczenie ran odniesionych podczas starcia z Sassakim.

Nie obchodzi go gdzie leżą jego zmaltretowane zwłoki. Jest mu wszystko jedno, tam jest tylko ból i udręka. Wieloletni towarzysze, których dobrze zna, ale których, mimo upływu lat, nigdy nie nauczył się miłować. Trzyma się od nich z daleka, dobrowolnie, jak asceta, który pozbawia się wszystkiego, by lepiej skupić się na sobie. Pomimo wyizolowania się, nie może nie słyszeć, jak dyskutują o jego losie, a ich głosy przenikają przez szczeliny będącej w stanie śpiączki jego świadomości.

" Jak on się czuje?

- Samson? Ale co ty tu robisz, myślałam, że poszedłeś do szklarni?

- Tak, tak. To było jakieś dwie godziny temu! Od tego czasu wydarzyło się wiele szalonych rzeczy, uwierz mi!

- Dwie godziny? Byłam przy nim cały czas i nie widziałam upływającego czasu...

- Fuj! Carya, słowo daję, zakochałaś się po uszy w ociekającym krwią wojowniku! Twoje oczy są pełne miłości-miłości do śmierdzącej rany! Fuj-fuj, jeszcze raz fuj!"

To jakiś dzieciak, który nuci bardziej ironicznie niż muzycznie. Ale nie ma to nic wspólnego z rymowanką śpiewaną w Invermonde.

„Cicho, zamknij się, bo go obudzisz.

- Jakbyś nie chciała, żeby się obudził, żebyś mogła się nim zaopiekować!”

Mówią o nim, o Shado powracającym do zdrowia. Jakaś kobieta, zamyślona, zatroskana, zmęczona.

Ta wymiana zdań nie ma nic wspólnego z rozmową bólu i udręki. Kto w takim razie mówi? Musi wiedzieć, czy jest w niebezpieczeństwie. Jeżeli tak, to będzie musiał zmusić się do przebudzenia. Działać, znosić cierpienie, aby nie umrzeć.

Ma zamknięte oczy, by wymusić wspomnienia, bo wie, że ślepe światło jest zawsze złym doradcą. Słucha, wącha zapachy, te potężne aktywatory pamięci.

Jego pielęgniarze! Samson – dzieciak o urodziwej twarzy, figlarnym ogniu w oczach, o zapachu humusu – i Carya – o słonecznym uśmiechu, o hojności tak spontanicznej, że wydaje się nadprzyrodzona, niemal niepokojąca, o zapachu narcyza. Czuwają nad nim od... od... jego przegranej z Sassakim!

„Zamknij się, mówiłam ci idioto, zamiast tego przyjdź i pomóż mi w opiece nad nim.

- Fuj, rana jest naprawdę obrzydliwa! Już dawno nie miałem odruchów wymiotnych w stanie nieważkości. Wygląda na to, że natknęliśmy się na najlepszego Krezusa brudu, a przecież tego nie brakuje w Riftcie!

- Tak wiem, dziękuję bardzo. Widziałam, ale i tak nie przesadzaj. Zamiast tego pomóż mi posprzątać.

- To wszystko sprawia, że chce mi się rzygać, widziałas te strupy? Cholera, nie dotykaj ich! Zostaw je?

- Udlawi się, jeśli pozwolimy na wyciek ropy, wiedząc, że płuca są już narażone. Próbowалам wszystkiego. Nie rozumiem, dlaczego rana nie goi się.

- Twój ciemnowłosy przystojniak śmierdzi stęchlizną. Cholera, przysięgam, że zaraz zwymiotuję.

- Ostrzegam cię, zabraniam ci!

- To nie będzie gorsze niż ta obrzydliwość! Przysięgam, brzydzi mnie to.

- Samsonie, przestań!

- Zakładałam się o dziesięć złoych, że mogę sprawić, żeby te strupy były wzięte za bursztyn.

- Przypomnij mi, ile razy ci mówiłam, żebyś o tym zapomniał?

- Przypomnij mi, od kiedy ja cię słucham?

- Samson... Myślisz, że jesteś Małym Księciem Złodziei, ale pomyśl sobie! Gangi będą wściekłe, jeśli dowiedzą się, że je oszukujesz. A jak myślisz, na kim się zemszczą?

- Carya, ci faceci mają papkę zamiast mózgów. W ogóle nic się nie stanie, to są pacany. Palacze pożywek, którzy wszędzie widzą różowe skrzydlate jelonki! A co do fałszywego bursztynu...

- Wyobraź sobie, że ci uwierzą, co byłoby jeszcze gorsze. Shado skończyłby wisząc do góry nogami, a dzieciaki, nie starsze od ciebie, codziennie zdrapywałyby mu ranę. Będziesz miał jego śmierć na sumieniu. I moją, bo im na to nie pozwolę!

- Ha, ha, wiedziałem, że naprawdę się w nim podkochujesz, nieprawda? Coś czujesz, kiedy na niego patrzysz? Ha, ha, jak ona się rumieni! Jest to zbyt widoczne!”

Samson znów zaczyna śpiewać. Uwielbia to, cały czas nuci, daje mu to pewność siebie, gwarancję, bezczelność. A

ponieważ Carya protestuje po cichu, dlatego też, dzieciak nie jest tak całkowicie w błędzie.

To już jest problem Carya, jeśli się do niego przywiązała, to zależy tylko od niej. Shado nie ma czasu na takie bzdury, wzywają go do Invermonde. Już dawno zaakceptował swój los: nie jest człowiekiem, jest Faworytem Cienia.

Rozdział 13.2

*Si-fon-ogień-si-fon-fiot-si-fon-smykaj
po-po-mroku-trwoga
o-o-odgłos
o-nie-nie-pomylić się*

„Ogień...” Tym razem rozpoznała słowo: ogień. Chwyta się go, wbija w niego swoje pazury i nie pozwala mu uciec, jak kot bawiący się małą myszką, wiedząc, że ją pożre, gdy tylko się nią znudzi. „Ogień”, dlaczego to słowo czepia się jej z taką siłą?

Nazywam się Sarash i jestem Faworytką Ognia!

Ta pewność rozpala jej myśli, jak palące polano wrzucona do jej umysłu.

I muszę... muszę...

Wulgarny ogień słomki, który pozostawia ją sfrustrowaną, w całkowitej ignorancji tej misji, która ją zżera, niewidzialnej i złośliwej jak ogień na torfowisku.

I ciągle te brakujące dźwięki, które uniemożliwiają jej zrozumienie znaczenia rymowanki. Luki w piosence, luki w jej

pamięci, bezczelne luki pośrodku tych wszystkich odcieni czerni.

Frustracja gotuje się w niej, kipi, sprawia, że kręci głową jak pokrywka przepelnionego garnka. Chwyta się tego, tego wewnętrznego ognia, tego ognia który jest w niej, tego ognia z dna brzucha, tego ognistego pragnienia by wygrać, swojego zdefiniowania, swojej esencji, swojego parowozu, którym będzie podążać dzień za dniem.

Skoncentruj się, podążaj za twoim ogniem, za twoją latarnią morską.

Wykorzystuje najmniejsze ruchy materii, pewna swojej nadwrażliwości na ciepło wynikające z tarcia cząstek. Kwestia, dokąd zmierza, nie jest jeszcze rozstrzygnięta, ale jest mniej ważna niż podążanie naprzód.

Nie wiedząc, czy chodzi po suficie, czy wisi na ścianie, podąża za bruzdami grafitu, liniami szarego pyłu rysującymi się przed nią, kaligrafią jej konsternacji. Jeden krok, potem drugi, po liniach ołówka, wspomnienia napływają, uderzając ją w skronie, jeden krok, potem drugi, wspomnienie zamazuje się i kręci, jej droga jest jak kalejdoskop, nie upaść, nie zwymoitować. Pot na dłoniach, płynny strach.

Dziecięca rymowanka rozbrzmiewa echem w oddali, dobiegając jednocześnie ze wszystkich kierunków, tak samo natarczywa i nieuchwytna jak sen zapomniany po przebudzeniu.

Nagle, pionowy horyzont zostaje przecięty żyłą o nieistniejącym w prawdziwym świecie kolorze, surową żyłą. Oddech bez powietrza i chmury rozstępują się. Znajduje się przed meandrem lśniącej, antracytowej rzeki, zamarznętej na powierzchni, pasmo nawiedzanej ostrości, szczerej, przyciągającej wzrok czerni. Żrenice skupione na tej hipnotycznej linii, ogarnia ją inna forma zawrotów głowy.

Przekonała samą siebie, że nie umarła, a jednak...

Pod oszronioną skorupą wirują cienie sylwetek o zniekształconych rozpaczą twarzach, wściekłością, wstydem, udręką, wstrętem... najbardziej nikczemna papka jakiej może doświadczyć dusza. Ojciec trzymający na kolanach martwą córeczkę, przerażona kobieta chowająca się pod werandą, mężczyzna porzucający przechodnia, którego przed chwilą przejechał wozem, mała dziewczynka chowająca ręce, by zapomnieć o klapsach i obelgach matki, para, która wrzeszczy na siebie i kocha się, jednocześnie się oszukując, nastolatek wycierający drewniaki o twarz innego leżącego na ziemi chłopca, złodziej wrzucający zakrwawiony nóż do jeziora, ściskający chudą torebkę pod płaszczem, księżniczka spoglądająca po raz ostatni na stajennego, którego nie wolno już jej widywać, starzec z ciałem pokrytym wrzodami, rozzdzierający skórę na oczach zdruzgotanej żony, mag zabijający innego, nie kontrolujący jego zaklęcia...

Kładzie dłoń na spalonej skórze szyi, chciałaby powstrzymać krzyk, którego nie może powstrzymać. Zalamuje się, klęka, chwyta się za głowę, spanikowana, opętana myślą, że nie żyje, albo, że jest pośrodku, u bram piekła, gdzie utknęła na wieczność, szłocha, jej twarz jest wykrzywiona bólem, nacina sobie twarz by zakryć cierpienie, strach, smarki kapią z jej nozdrzy, smarki bez żaru, suche smarki pozbawione ognia, smarki smarkuli, która już niczego nie kontroluje. Najchętniej wrzuciłaby to wszystko do rzeki, pozbyła się tego w powodzi porzuconych wspomnień.

" Nie, nie, NIE! Nie mogę umrzeć! Mam przecież misję! Muszę... Muszę... KURDE ROZPALIĆ OGIEŃ! Ja... muszę...!"

Po rzece umarłych przechodzą obojętne duchy. Nieprzerwane hordy duchów... a pośrodku nich, anioł.

„Sarash? Sarash, czy to ty?”

Anioł przemawia do niej z zaświatów, spowity aurą oślepiającego światła, w tej wiecznej ciemności z tysiącem odcieni mroku.

U jej boku pojawia się demon, mętna obecność absolutnej czerni.

„Co, Sarash? Nie żyje. Z kim rozmawiasz?

- Aureliusz, posłuchaj. Nie słyszysz Sarash?”

Aureliusz? Solis?

„Solis! krzyczy Sarash. Jestem tutaj, Solis! Biegnij! Uciekaj! Aureliusz to pieprzony zdrajca! On mnie...

- Nie słyszę cię, Sarash. Gdzie jesteś ?

- Zabił mnie... ja... ja nie żyję.

- Sarash idź za moim głosem!”

Anioł i demon, porwani przez wichur, odeszli, zostawiając ją samą w chłodzie zapomnienia. W chłodzie samotnego grobowca.

Znowu sam na sam z duchami rzeki... Łzy wysychają na jej policzkach, skóra trochę się naciąga, a w gardle nadal dziura. Kładzie się na tej dziwnej ziemi, na tej materii bez dotyku i konsystencji, przesuwając po niej dłonie nie mogąc zrozumieć, zaskoczona nostalgią popiołów na czubkach jej palców, namacalnych, ziarnistych, zimnych. Niestety nic nie czuje. Nic żywego. Ma gęszą skórę. Nikogo, kto zebrałby jej szczątki, nikogo, kto włożyłby jej prochy do urny, nikogo, kto by dotykał urny, każdego dnia opuszczając domowe ognisko, nikogo, kto by podtrzymywał jej pamiątkowy ogień. W Arkhomie Ognia mówi się, że naprawdę umieramy w dniu, w którym nikt nie wskrzesza nas każdego ranka. Ona gaśnie, a teatr pustoszeje. Czuje się resztką żaru w żołądku, nie ma nawet iskierki, która polaskotałaby jej gardło. Zamyka oczy, rozluźnia napięte z bólu mięśnie. Może już zgasła.

Si-fon-ogień-si-fon-fiot-si-fon-smykaj
po-po-mroku-trwoga
o-o-odgłos
o-nie-nie-pomylić się

NIE !

Może już nie żyje, ale ona ma na imię Sarash! Ona jest
Faworytką Ognia! I płonie w niej piekło zemsty!

" Ogień "...

Nagle słowa nabierają sensu:

Si-fon rozpala ogień, trzeba zatrzymać szaleństwo, trzeba uciekać.

Wszystko staje się jasne: trzeba rozpalić ogień, by roztopić szaleństwo, zebrać myśli, by odstraszyć fałsz, iluzje. Niezależnie od reszty rymowanki, to zdanie potwierdza jej pierwszą intuicję: zaufać ogniovi, żarowi, podążać za źródłami światła.

Za zakrętem rzeki pulsuje bijące serce o białej przejrzystości. Widziała przelotne błyski tu i tam, ale ta poświata jest silniejsza niż jakakolwiek inna. Wygląda jak pierzasta chmura, która pęcznieje i kurczy się w niekończącej się pętli, w której sercu znajduje się morska latarnia z obracającym się lampionem. Ona – *mam na imię Sarash, jestem Faworytką Ognia i muszę ostrzec Solis!* – udaje się w tym kierunku, prowadzona tym pulsującym ogniem jak statek pragnący wrócić do portu.

Otacza ją niemożliwa ciemność. Urojony kolor się rozpościera, ocean bez lądu. Wysuszony. Kolor kohl na dnie marmurowego garnka. Nie do końca. Raczej ciemna czarna zasłona, koloru skrzydeł ważki w środku nocy. Nie tak bardzo, prawie. Bardziej jak czerń lawy, ułamek sekundy przed całkowitym jej ochłodzeniem. Latarnia morska w oddali

pulsuje, woła ją. Czasami idzie nie widząc swoich stóp w bezkształtnym bagnie, idzie z obsesją na punkcie kontrastu między tą bezimienną czernią a ciepłym światłem w oddali.

Ta imitacja ognia uspokaja jej serce.

Nagle, zdaje sobie sprawę, że dokonała właściwego wyboru. Tutaj, po raz pierwszy odkąd zaczęła tulać się po tym innym świetle, spotyka szeleszczące życie.

Uświadamia sobie to tylko przez kontrast, bo w tym miejscu nie ma żadnego dźwięku: jej podeszwy o nic nie chrzęszczą, jej własny oddech jest dławiony do tego stopnia, że jest niesłyszalny, wszystko dzieje się tak, jakby otaczające powietrze nie miało niezbędnej spójności, by wytworzyć echo. Panuje nadprzyrodzona cisza, przebijana tylko tą odurzającą rymowanką, której brakuje słów, dochodzącą jednocześnie zewsząd i znikąd.

Jej słuch nie jest jedyną rzeczą, która jest naruszona. Nie może dotknąć niczego solidniejszego niż mgła, nie wie, po czym stąpa – powstrzymuje się od tego, by to sprawdzić, by nie zorientować się, że tak naprawdę powinna wpaść w nieskończoną pustkę. Zaledwie kilka zapachów łaskocze ją w nozdrza, nijakie zapachy, zmyte przez atmosferę nasyconą wilgocią. Dominują grzyby i próchnica, wraz z fermentacją starego alkoholu, tak wieloma złowrogimi ewokacjami krypty i balsamowania.

Po wcześniejszej panice, jej emocje zasypiają, uśpione wyścielanym, odkażonym środowiskiem, skąpym w kolorach i żywym. Dowód: nie boi się, a nawet więcej, wszystkie te znaki wskazują, że wędruje po zaświatach. Nowy kontrast.

I nagle, wokół tej rozświetlonej od wewnątrz chmury, której obwódka drży jak skóra uderzanego bębna, widzi stado ptaków grasujących jak wygłodniaли padlinożercy, słyszy ich skowyt – ambiwalentny znak śmierci i życia; który chce interpretować jako dobrą wróżbę. Ich stado się

wznosi, owija się wokół białego serca, jej skóra wibruje i paruje, ich stado potyka się o jej mgławicę jak nieuważny wróbel uderza w szybę, wznosi się z szelestem aksamitu ku niebu w trąbie powietrznej, rodzaj odwróconego syfonu, który szybko zwija się w kierunku odpływu na dnie zbiornika.

Podchodzi ostrożnie, z lekko przechyloną głową, jak ostrożny odkrywca. Powalone na falistej powierzchni syfonu bestie o skrzydłach harpii, rysują glify na chmurze, tej chmurze, która tak silnie pulsuje światłem, pismem klinowym i ulotnym językiem, którego nie jest w stanie rozszyfrować. Stworzenia są nieuchwytnie dla wzroku, nie można na nie patrzeć bez ukrywania się przed ich wzrokiem. Uczy się obserwować je kątem oka, w tych ukradkowych przestrzeniach graniczących z uwagą na granicy świadomości. Jest wściekła, że nie umie czytać tych wiadomości, nie rozumie ich, a przecież odkryła tajemnicę rymowanki. Ona, która do tej pory nic lub prawie nic nie czuła, zaczyna się bać, że zwariuje, jeśli będzie zmuszona tutaj zostać.

W jej polu widzenia ptaki rozpraszają się, przeganiane przez jej ciekawość. Ujawniając całą sekcję tego bezpłomieniowego białego ognia, odsłaniając obrazy...

Obrazy, które widziała setki razy. Te, które każdego roku otwierają walki w Appologium.

Pojedynek Chaki z Faustem.

Dwie legendy są w zasięgu jej ręki, więźniowie mgławicy przypominającej pryzmat Arkhontii, który wyświetla koniec ich słynnej konfrontacji: ślepą Chakę i jej dwa miecze z karbowanymi ostrzami wbite w tułów Fausta. Dwaj przeciwnicy stoją naprzeciw siebie, krzywiąc się i wymiotując krwią przez zaciśnięte zęby. Okrutny i jednocześnie wspaniały uścisk, całkowity dar ich samych, który inspiruje i przewyższa .

Nie jest w stanie stwierdzić, czy to rzeczywiście oni, czy to tylko obraz. Chciałaby ich dotknąć, aby się upewnić, przesłuchać ich, zapytać, co oni tam robią, czy też nie żyją... ale trudno jest przekroczyć barierę żarłocznych bestii skupionych wokół bohaterów.

Już ma się poddać, gdy widzi, jak Chaka brutalnie wyciąga swoje miecze z piersi Fausta. Pierwszy Fworyt Cienia powstrzymuje prawą rękę przeciwnika, gdyż kolczaste ostrze mogłoby wyrwać mu serce. Ale ostrze odrywa się w ciszy, która jeszcze bardziej potęguje okrucieństwo bólu, które on musi odczuwać. Następnie Chaka odrzuca zakrwawiony miecz tak daleko, że znika on z pola widzenia. Faust pada na kolana, podczas gdy zagubiona Genetyczna Legendarna stara się przebić ślepych oczami tajemnice tego czarno-czarnego świata.

Oszołomiona obserwatorka odkrywa obrazy, których nikt nigdy nie widział. Dalszy ciąg walki, walki, która powinna odpowiedzieć na odwieczne pytanie: co jest potężniejsze, technologia czy magia?

Chaka i Faust nie są martwi. Sarash wciąż nie może uwierzyć w to, co widzi... Chakę i Fausta żywych. Ona też żyje! Ogień rozpala jej wnętrza ...

Stanowczym i zdecydowanym krokiem idzie w kierunku wiru światła, który ich więzi, gotowa w razie potrzeby odpędzić te padlinożerne ptaki własnymi zębami. Musi z nimi porozmawiać.

Ogarnia ją gorączka nadziei, która zamieniła się w ogień.

Si-fon-ogień-si-fon-fioł-si-fon-smykaj
po-po-mroku-trwoga
o-o-odgłos
o-nie-nie-pomylić się

Ogarnia go gorączka, pożera jego ciało jak pogrzebowy stos.

„Jest rozpalony i ciągle się wykręca i obraca... Nie mogę pozwolić mu tak cierpieć.

- Nie możesz, czy nie chcesz?”

Na progu jego świadomości, Shado wyczuwa obecność Samsona i Carya przy swoim łóżku. Walczy, by do nich nie dołączyć, by zostać u boku Sarashy, która jest więźniem Invermonde. Tylko najbardziej zatwardziali przywoływacze mogą przetrwać chimery Krainy Cieni, zwłaszcza, że Wojna Bohaterów głęboko zmieniła jej geografę, która ze względu na stale ewoluującą strukturę klączy, była już z natury niestabilna.

Jeśli nie zostanie z nią, Sarash popelni fatalny błąd.

„On majaczy w gorączce, woła nas o pomoc – nalega Cary, której sam drżący głos wystarczy, by ocenić jej zaniepokojenie.

- Nie, to nie delirium, to piosenka. Rymowanka, coś w tym stylu.

- Jesteś pewny?

- Nie wiem. Powiedziałbym coś w stylu... jak...

- Dobrze wystarczy! Nie chcę, żeby umarł. Pomóż mi.”

Shado na próżno próbuje zakotwiczyć cień swojego cienia w souwelumie, tym vortexie, który przyciąga Sarashę jak płomień przyciąga motyla. Ale wysiłki Cary są zbyt delikatne, zbyt szczere, zbyt kojące... zdecydowanie bardziej niż jego chęć pomocy Sarash.

Ból i udręka, nigdy ich nie lubił, ale dobrze je zna. Z drugiej strony to zamieszanie w Invermonde, stało się wielką niewiadomą. Niebezpieczne. Straszne. Do tego stopnia zmieniające się, że nawet światła pozostawione przez Najstarszego Faworyta Cienia, nie służą już jako wiarygodne punkty orientacyjne. Invermonde przekształciło się w

zmutowane królestwo, dziką bestię, która jest jeszcze bardziej przerażająca przez swoją zwyrodnieniową chorobę.

Nie wspominając już o tym, że ból i udręka zmieniły się, one nazywają się teraz Carya i Samson. Właściwie te osoby, ewentualnie mógłby nauczyć się doceniać.

„Budzi się, w końcu,„

- Jego rana, bądź ostrożny.

- 'Tak mamusiu.'”

Miękka, ciepła dłoń ociera jego bok wilgotną, miękką, ciepłą szmatką. Ogarnęło go cierpienie, kolorowy powrót do wyblakłych emocji i mrocznych myśli. Czuć cokolwiek daje mu elektryzujące, ożywcze samopoczucie. Powrót do tej rzeczywistości był oczekiwany od dawna.

I jak zawsze, Invermonde zachowuje dla siebie wspomnienia, zachowując solankę marzeń, które są solą ludzkości.

„Miło cię w końcu poznać, Shado.

-Jestem Samson, a ona to Carya”. Dzieciak nie jest w stanie pozwolić na to, by zapanowała najdrobniejsza cisza, więc bredzi dalej, nie dając pacjentowi czasu na odpowiedź.

„Shado, tak masz na imię, prawda?” Ledwo robi pauzę.

„Widzisz Carya, że się nie myliłem. Jesteś legendą, człowieku!

- Samson, przestań!”

Samson nadmiernie podekscytowany, udaje, że nie słyszy Carya i kontynuuje:

„Widziałem pirackie taśmy z twojej walki z Sassakim, taaak, przysięgam, to było coś wielkiego, stary!”. Samson zaczyna naśladować walkę, przeskakując przez zagracony namiot, przewracając kuchenkę na baterie, którą Carya podnosi bezwładnie protestując. „To było szalone, nikt nie może z tobą konkurować, nikt, przenigdy, nawet w gangach.” Zamiera, z jednym kolaniem na ziemi i rękami nad głową, z dłońmi złożonymi jak do modlitwy – albo do

zatrzymania wyimaginowanej szabli z nanofilamentu. „Prawdę mówiąc, nawet cały gang nie może cię powstrzymać! Nawet dwa! W rzeczywistości nikt nie może cię powstrzymać, prawda Shado? Hej, kto może cię powstrzymać, jeśli nie ty sam, racja? A nawet to, nie jest takie pewne...

- Samson, już wystarczy, pozwól mu oddychać. On potrzebuje odpoczynku.

- Myślę, że wręcz przeciwnie, potrzebuje by nim potrząsnąć, śpi od wielu dni! Hej, mam rację?

- Jak długo?”

Poważny, głęboki głos Shado wywołuje dreszcz, który posuwa się tak daleko, że zamraża wulkaniczny entuzjizm gówniarza.

Nie będąc kimś kto się powtarza, Shado rozpoczyna szybkie skanowanie otoczenia. Prymitywny namiot, mantriński rynsztunek z odzysku, kilka małych magicznych przedmiotów i kilka mikstur, zapach brudnego kurzu, krzątania karawanseraju na zewnątrz... jest w Riftcie, w slamsie - stawia na Desnera.

Obok jego polowego łóżka, nie większa niż pięść, kupka chrupiącego bursztynu, która ożywia ból w boku przeciętym mieczem Sassakiego. Czuje się wyczerpany, bez prany, bardziej kruchy niż nowo narodzony żrebak, który próbuje wstać po raz pierwszy. Gładzi brodę, brodę tak bujną, że przestała być szorstka. Jak może czuć się tak słaby po tak długim pobycie w Invermondzie? Wręcz przeciwnie, powinien był tam naładować swoje akumulatory.

Wspomnienia z pobytu w Krainie Cieni już się rozpraszają, blakną jak światło w dzień zaćmienia słońca.

Dlaczego ta wizja? Dlaczego akurat ta, a nie inna? To nie przypadek, raczej echo jego pamięci. Słońce... wyrazistość... ciepło... Ktoś tam jest, raczej ona, więźniarka, w Invermondzie

plonie ogień, który tam nie ma nic do roboty... Pożar! Imię Cienia! Sarah jest więźniem w Invermondzie!

" Mówilem coś ? Powiedzcie coś ?

„Tak, coś w rodzaju dziecięcej rymowanki” - odpowiada szybko Samson.

Wrzeszczy, gdy Shado łapie go za ramię, jak wąż który gryzie swoją ofiarę.

" Jaka? Śpiewaj!

- Ja... ja nie wiem, nie rozumiem. Coś w stylu „*Si-fon-ogień-si-fon-fioł-si-fon-smykaj....*”

Shado odpręża się, przez chwilę wzdycha z ulgą. To, co Samson może tylko naśladować, zaniepokojony przez grę dźwięków w rymowance, Shado wyraźnie odszyfrowuje.

Syfon ognia jest szalony, trzeba uciekać.

Przekazał Sarashie właściwą wiadomość. Przede wszystkim nie może ufać swojemu instynktowi Faworytki Ognia, musi bezwzględnie uciec przed souweluminem, ten syfon ognia zabiłby ją, gdyby do niego weszła.

Uciekaj, Sarash, uciekaj od szalonego syfonu.

Na szczęście ostrzegł ją w porę...

Rozdział 14

Pionowa rywalizacja

Hannibal nigdy nie płaszył się przed nikim. Nie ma to żadnego związku z dumą, nie. Solidny, nieugięty, to on jest trwałym fundamentem, gruntem, który pozwala innym zginać się w pokłonach! Czy nie jest on Faworytem Ziemi?

Więc co on tu robi, przygwożdżony do ściany Gravleva? Nigdy nie powinien odważyć się na wspinaczkę po tym przeklętym budynku, równie zdradzieckim i w ruinie jak Rift.

Ocierając brodą o ścianę, podnosi głowę w kierunku swoich towarzyszy wspinaczki znajdujących się trzy piętra wyżej. Prowadzona przez absurdalnie lekkomyślnego Aureliusza, Solis pędzi na szczyt zostawiając go w tyle. Oboje postępują pod dziwnym kątem, jak kraby, będąc ofiarami grawitacji, która tutaj robi sobie co chce.

Uparta... jak Solis przez ostatnie dni.

Nie może zostawić jej samej z nim. Nie jest godny zaufania. Ten facet cuchnie zdradą. Nie ma mowy!

Hannibal narzeka, wybucha wściekłością, by złagodzić presję, jak kotły Cendraise, tak drogie dla Sarashy.

Jego frustracja spowodowana tak łatwym pozostawieniem go w tyle kipi, wiruje w ogromnym garnku, gdzie dusi się niestrawna zupa uczuć, które przez niego przechodzą. Nie mówiąc już o tym, że miksturę psuje jego narastający strach przed paskudnym upadkiem, smak, który przewyższa wszystkie inne. Jego strach to szczypta soli, która stała się dużą łyżką, ponieważ zakrętka solniczki odpadła.

Budynek jest wysoki, wyższy niż smocza skała Neftydy. Doszedł już do szóstego piętra, ale pod jego stopami otwiera się co najmniej dziesięć sążni próżni. Na tej wysokości zawracanie jest równie niebezpieczne jak kontynuowanie wspinaczki. Tutaj, oprócz rozbitych okien ze zdradzieckimi odłamkami szkła, ściana jest nienaturalnie gładka, bez najmniejszych spoin. Może zaczepić się o szczeliny, wesprzeć na wsporniku z wypolerowanymi sztukateriami erozji, ale najczęściej, by kontynuować wspinaczkę, może tylko polegać na prostych chropowatościach. Do cholery, jak radzi sobie z tym Aureliusz?

Z oczami, które nie mogą się oderwać od jego ucznia, który posuwa się naprzód z łatwością koziorożca alpejskiego, Hannibal nie jest w stanie przeniknąć jego tajemnicy, nawet jego kamienne oko nie może rozszyfrować jego wibracji. Jakiej magia on używa? Nie tej z Ziemi. Nie ma to żadnego związku. Nic wspólnego! Tumul musiał się pomylić, Riftianin nie ma nic z taumaturga. Naśladowca? Nawet mniej. To wszystko śmierdzi starym nieudany kompostem, a Hannibal zamierza to udowodnić.

W między czasie cierpi z powodu szyderstw hordy dzieciaków, które wspinają się na górę Gravleva tak łatwo, jak mrówki wspinają się na drzewo. Chłopcy i dziewczynki otaczają go z ostrożnej odległości, jak padlinożercy obserwujący ich zdobycz, większą od nich. Hannibal próbuje ich ignorować, ale ich nieustraszona łatwość, tylko podkreśla

jego niezdarną technikę wspinaczkową. Nieważne jest to, że wiem o tym, że wspinaczka jest rodzajem testu, przez który młodzi Riftianie udowodniają swoją odwagę i, że pierwsza ćwiartka Gravleva jest znana prawie wszystkim, to może tylko podziwiać ich nieco szaloną odwagę. Chciałby też być stałym bywalcem tego miejsca, raczej tym, który wytycza drogę, niż tym, który się ociaga.

Tymczasem Solis oddala się od niego.

Nagle to odkrycie niszczy wszystko. Ona oddala się... od niego...

Rzeczywistość odbiera mu czujność, zabiera go za sobą jak osuwisko. Tutaj, przygwożdżony do rozpadającej się ściany, miotany piaszczystym wiatrem, który zwykle go pieści, ale tutaj ociera i piaskuje do dna duszy, zaczyna rozumieć tę oczywistość: już od dawna, Solis zaczęła się oddalać, opuszczać gniazdko, aby odlecieć w swoją stronę, pozostawiając go samego na skale, pozbawionego ciepła, ochładzającego się powolutku, aż do zamienienia się w kamień. Był tylko etapem w jej życiu, ma nadzieję, że ważnym, przypuszcza, że twórczym, ale w obecnej chwili zakończonym. Jeśli tak wielka odległość utworzyła się pomiędzy nimi, to dlatego że ona biegnie, podczas gdy on tylko się czołga.

Czas zrobił swoje, skała stała się pyłem, który opada w klepsydrze.

A on uparcie stara się spowalnić ziarenka piasku, zamiast odwrócić urządzenie.

To za dużo, nie może już patrzeć, jak Aureliusz i Solis brną naprzód w ten sposób, dlatego też odwraca głowę do bardziej naturalnej pozycji. Walczy, żeby nie patrzeć w dół, brutalnie ociera policzkiem o ścianę, by powstrzymać się przed zsunięciem, rzucając okiem między nogi. Samo drapanie jego trzydniowej broda budzi echo wewnątrz budynku, odsłania jego konstrukcję wykonaną z

sieci stalowych prętów, biegnących przez cały budynek. Gravlev został zbudowany przez Mantrian kilkanaście dekad temu. Ci silikonowi synowie mają tak małe zaufanie do ich betonu, że wylali go na metalową armaturę, której vibracyjne niuanse, w sercu tego materiału, dostrzega Hannibal. Gravlev to nic innego jak żyłasty stalowy gigant, którego mięsz powstał z mieszanki żwiru, piasku i wapna. Kolos o glinianych kończynach.

I tego powinien się bać? Co za żalosny żart!

Hannibal wybucha szczerym, wyzwalającym śmiechem. Został w tyle, z pewnością zamarudził na początku, ale jeszcze nie jest za późno. Jeśli jest powolny to dlatego, że jest nieustępliwy. A teraz, kiedy już wie, jak słabym przeciwnikiem jest Gravlev, nic nie staje na przeszkodzie, by dogonić peleton.

Pięć sążni wyżej, Aureliusz słyszy jak Hannibal wrzeszczy jak szaleniec. Nie zastanawiając się, opiera się o krawędź gzymsu, dostosowuje swoją miednicę do lokalnego „bałaganem nieważkości”, po części zostaje odwrócony głową w dół, zaistalowany równie komfortowo jak jaszczurka wylegująca się na murku. Odkrywa spiętego Faworyta, z ciałem przyciśniętym do ściany jakby chciał się z nią stopić i z drżącymi kończynami. Skurcze? Atak paniki? Wściekłość? Chyba że Hannibal po prostu domyślił się kto jest tutaj nauczycielem, a kto uczniem.

Ponieważ tutaj, w połowie Gravleva, Aureliusz jest wszechpotężny. Grawitacja jest jego służebnicą i wie co to jest moc.

Gladiator nie umie czytać, nikt nie zadał sobie trudu, aby go tego nauczyć, a on nigdy nie odczuwał potrzeby. Zdaje sobie sprawę z rozmiaru swojego błędu, teraz, kiedy już potrafi rozszyfrować subtelne zmiany sił przyciągania i zinterpretować maleńkie vibracje grawitacji. Otworzył

szeroko księgę praw natury, której prawa może przepisywać jak mu się podoba. To jest jeszcze instynktowne, kopiowanie po omacku, imitacja, która pozostaje ograniczeniem, ale przysiągł sobie, że nauczy się jak najszybciej jak przejść ze stanu prostego mnicha kopisty do iluminatora geniusza.

Czy Rada pozytywnie odniesi się do rozwoju jego zdolności? Isalys była

wtajemniczona w magię Światła, czy dadzą mu taką samą szansę? Solis, by na to pozwoliła – co dziwne, wątpi w Radę, ale nie w nią. Tak, ale to on by na to nie pozwolił. Cokolwiek nie robiłby, czuje się przytłoczony lojalnością wobec Isalys.

Na chwilę pochyła głowę w stronę Solis, znajdującą się trochę niżej,

z policzkami zarumienionymi przez wysiłek, ale z regularnym oddechem. Solis robi to z honorem, zgodnie z instynktem jej chwyt jest niezaprzeczalny, pozwala sobie nawet na luksus nie podążania za śladem, który dla niej wytycza. To jest jak szukanie po omacku, dla niego trochę zbyt ostrożne, ale Solis postępuje

z determinacją, jest w niej coś nie do zatrzymania, zakład, który przysięgała sobie nie przegrać. Zastanawia się, czy będzie dalej w ten sposób postępowała z pułapką, której szczęki zaciskają się na jej szyi, naciskając na tętnicę.

Chcąc o tym nie myśleć, Aureliusz zamyka oczy, aby lepiej wejść

w jedność z kapryśną Grawitacją, która go otacza. Ma wrażenie, że przebywa w sali z odległymi ścianami, idąc po niekończących się schodach, jak po tych na wprowadzających w błąd rysunkach, których podest zwija się wokół siebie przez zniekształconą perspektywę. Echa są dziwne, sprzeczne z naturą i trudno jest określić, czy wchodzi po schodach, czy schodzi po nich.

Dla tych, którzy nie zrozumieli tej sztuczki, jest to niepokojące, a nawet przerażające. Ale w momencie odkrycia tej tajemnicy, doświadczenie jest ekscytujące. Rzecz w tym, by

zrozumieć, że schody nie istnieją, że równie łatwo można chodzić po pionowych prętach poręczy. Trzeba zrozumieć, że w rzeczywistości nie ma tutaj ani góry ani dołu, nie ma horyzontu, ale istnieje nieskończona liczba możliwych upadków i, że jeśli chcesz przezwyciężyć chaos tego miejsca, musisz go poślubić, związać się z nim nie zastanawiając się nad tym. Osoba racjonalna nie byłaby w stanie tego zrozumieć; dla Aureliusza instynkt jest tak samo naturalny jak oddychanie.

Jednak Grawitacja się zmienia i jest tak nieprzewidywalna jak szkwał. Nieustannie ryzykuje powietrzną kieszenią, co jest równoznaczne z upadkiem i uduszeniem. Bez względu na to, czuje się pewny siebie, zręczny i mobilny jak

wiatrowskaz, który w naturalny sposób ustawia się zgodnie z kierunkiem wiatru, aby go wykorzystać. To jest prawdopodobnie jego największy atut: Hannibal jest sztywny, zakorzeniony w swoich pozycjach, zakotwiczony w niezmienniej rzeczywistości, podczas gdy on stale się dostosowuje i ewoluuje. Dzieciństwo spędzone w Rifcie nauczyło go tego, a dziś wykorzystuje wszystkie możliwości płynące z jego życia na krawędzi. Do tego stopnia, że wierzy w los.

Czy zrezygnowałby z tego wszystkiego, gdyby Isalys go o to poprosiła?

„Aureliusz?”

Ton, którego używa Solis, wydaje się obojętny, ale lekkie drżenie zdradza to, że prosi go o pomoc bez użycia jakiegokolwiek słowa. Odwracając się, gladiator odkrywa, że jest zablokowana kilka łokci poniżej. Przeczucie nie zastępuje

doświadczenia, Solis znalazła się w ślepych zaułku, na powierzchni budynku, którego czas i zła pogoda nie zniszczyły.

Wyczuwając przegięcie poziomowości, przesuwają się w bok, aby znaleźć nowe uchwyty i zejść z powrotem do niej. Przechodzi obok piętnastoletniej nastolatki, spokojnie osadzonej na przymocowanym do ściany fotelu, z nogą na podłokietniku. Niektórzy siedzą przy zboczu ściany, na krześle lub publicznej ławce przytrzymywanej postrzępionymi linami, przechylonymi w kierunku lokalnej grawitacji. Wygrali ten przywilej po zdobyciu mitycznego szczytu Gravleva, wykorzystując ślady Aureliusza.

„Co ona tam robi, księżniczka?”, pyta Riftianinka, wskazując kciukiem na Solis.

- To samo co ty: szuka siebie” — odpowiada Aureliusz, skacząc od jednego chwytu do drugiego.

- Dziękuję bardzo, ale księżniczka nie szuka siebie, odpowiada Solis, tnącym i zdecydowanym głosem. Doskonale wiem, gdzie jestem i dokąd zmierzam. Powiedziano mi, że wzajemna pomoc jest powszechna w Riftcie, czy okłamano mnie?”

Aureliusz wymienia krzywy uśmiech ze wściekłą nastolatką.

„Dobra, cóż, Gravlev przecież nie otworzy pieprzonej agencji turystycznej!”

Młoda dziewczyna odchrząkuje, po czym wypływa plwocinę ociekającą pogardą. Ławka ociera się o ścianę, kołysząc się pod wpływem grawitacji. Korzysta z okazji, aby pochylić się i krzyczeć na dzieci znajdujące się pięć sążni niżej.

„A wy, tam na dole, na co macie nadzieję? Na pchnięcie w górę? Pierwszy jest wśród nas, a wy krążycie wokół skrobaczki do podłóg? Wokół cholernego Arkhańczyka, chłopaki! Pfff... Absolutny luz!”

Aureliusz jest nadęty, gdy odkrywa przezwisko, które przyniosło mu jego wyczyn. „Pierwszy” brzmi trochę jak „Faworyt”, lubi to. W czasie kiedy dołącza do Solis, uczniowie wspinacze przypuszczają szturm na ocynkowany wierzchołek.

Hannibal widzi dzieciaki bawiące się jak horda ściganych gołębi przeganianych przez przechodnia – pospieszne tarcie podeszw o beton, który przypomina szelest skrzydeł przy starcie i okrzyki podniecenia, które przypominają gruchanie. Hannibal zostaje pozostawiony samemu sobie, opuszczony jak garść nasion wyłuskanych ze strąków.

Bezczelna swoboda tych dzieci, ściana, którą czuje, jak wibruje pod jego palcami po ich pospiesznym odejściu, świadomość pustki pod stopami, wszystko to przyprawia go o zawrót głowy. Nic nigdy nie skręcało mu wnętrza w taki sposób. Nic, żadne niebezpieczeństwo, żadna walka, nawet w Appologium. To jest dla niego nie do zniesienia, czuć się tak słabym, tak żalosnym... tak pełnym kwaśnej urazy, która przebija jego żołądek.

Szczęki zaciśnięte, nozdrza rozszerzone, bierze głęboki wdech, w dwóch etapach, by lepiej kontrolować swój oddech. Podstawowe ćwiczenie, pierwsze którego trzeba się nauczyć w Kolegium Ziemi. Powrót do podstaw, który pomaga mu odzyskać kontrolę.

To nie Aureliusz decyduje, ani nawet Gravlev, czy Rift. Jako Faworyt jest jedynym architektem swojego przeznaczenia.

Modyfikując teksturę naskórka, łączy miążgę swoich palców ze ścianą i zaczyna się wspinać. Za

każdym uchwytem odrywa się trochę skóry i jego krew powoli miesza się z kruchym betonem. Ideałem byłoby wsadzenie ręki, aż

do stalowej ramy, której mógłby użyć jako drabiny. Takie zakłęcie wymagałoby jednak więcej prany, nie próbuje jednak ryzykować. Nie teraz. Nie w Riftcie, gdzie magia jest taka nieobliczalna. Tym bardziej, że ból okazuje się być cennym paliwem, który odradza mu zbytnie ociąganie się. Aby jeszcze bardziej się zmotywować, podnosi głowę, mija wzrokiem dzieci, które są już dwie sążnie nad nim i koncentruje się na Solis, chcąc do niej dołączyć za wszelką cenę.

Zaskoczenie sprawia, że prawie odpuszcza uchwyt.

Paradując przed dziećmi, Aureliusz podejmuje wszelkie ryzyko. Skacze z jednego niepozornego występu, aby wsunąć palce w szczelinę, zamieniając dłoń w pięść, aby stała się solidną kotwicą, bawi się swoją miednicą, aby huśtać się na końcu swojego ramienia, wykorzystuje pęd, aby podnieść nogę wyżej niż głowa i oprzeć stopę o okienny parapet. I wtedy, z ciałem po przekątnej, z kolanami wyżej niż ramiona, odwraca się i wyciąga wolną rękę do Solis.

Na oczach przerażonego Hannibala, Solis uwalnia prawą rękę, by spróbować złapać rękę Aureliusza, ich palce szukają się nawzajem, machając jak robaki na końcu haka – robaki, które kolos ma wrażenie, że połknął, czując, jak wiją się ze strachu w jego brzuchu.

Jej noga ślizga się i spada.

Aureliusz przesuwając się trochę i chwyta ją za nadgarstek. Jego gest jest szybki, jego wsparcia solidne, ale mógł wykonać ten ruch już dawno temu, zamiast grać z Malkah. To rozwściecza Hannibala, furia, która trwa znacznie dłużej niż przerażony krzyk Solis, która powoli uświadamia sobie, że nie spadnie jednak piętnaście sążni poniżej. Musi poczekać, aż

jego podopieczna odnajdzie solidne podpory, aby mógł znowu oddychać. Żółć, która podpala jego gardło, nie wysycha tak szybko.

Wznawia wspinaczkę, dotkliwie świadomy kontrastu między jego pracochłonnymi wysiłkami i naturalnym wdziękiem Aureliusza. Hannibalowi nie udaje się zdusić w sobie kolca fascynacji quasi-tanecznymi gestami swojego ucznia, ciepłego piękna jego ruchów, precyzji środka ciężkości. On tańczy ze Śmiercią...

Bycie tak nieświadomym graniczy z czystą bzdurą!

Ten facet stanowi zagrożenie dla innych, dlaczego tylko Hannibal zdaje sobie z tego sprawę? Z kolei, oślepienie błyskotliwością starszych, dzieciaki skaczą na głęboką wodę, wykonując akrobacje, graniczące, przy każdej próbie, z katastrofą, powodując zachęty lub okrzyki reszty oddziału. Obojętny na zapal, który wzbudził, Aureliusz prowadzi Solisa przez okno i znikają wszystkim z oczu.

Hannibal przestaje patrzeć w górę, nie ma ochoty dłużej obserwować, jak banda młodych śmiałków atakuje zuchwalstwo. To było przestępstwo ze strony Aureliusza, robić z siebie takie przedstawienie, wiedząc, że te dzieciaki zrobią wszystko, by go naśladować. Może opanował jakąś formę dziwnej magii, ale nigdy nie będzie miał zadatków na Faworyta. Bo w końcu, Aureliusz pokazał kim tak naprawdę jest: podobnie jak Rift, ten facet jest niestabilny. Nigdy nie będzie w stanie poprowadzić całego magicznego arkhomu, ponieważ ma równie dużo rozeznania i empatii, jak mantryczna broń masowego rażenia. Jest gotowy zniszczyć wszystko znajdujące się na jego drodze. Wszystko, łącznie z Solis.

Hannibal wspina się, zdzierając sobie dłonie, by jak najszybciej odrobić

swoje opóźnienie. Połkał właśnie już prawie połowę odległości do okna, w którym zniknęła Solis, gdy nagle spada jakiś dzieciak. Domyślił się tego już wcześniej, niczym go zobaczył, ponieważ śmiech zamienił się w wycie.

Hannibal odwraca głowę i widzi kłębek materiału, z którego wyłania się czupryna jasnych włosów szarpanych przez wiatr. Nieszczęśnik spada w kierunku ziemi, w linii rozmytych kolorów, które miją niedaleko, prawie tuż obok niego. Czysty refleks, chce wyciągnąć rękę... ale nie robi nic. Z braku równowagi, pewności siebie. Z zakazu narażania się na niebezpieczeństwo, ponieważ pierwszeństwem jest Malkah. Z drugiej strony, dzieciak zasłuszył sobie na to, do diabła z nim. Wstrętny łańcuch myśli, tchórzliwe usprawiedliwienie jego bezczynności. Wstyd. Jest Faworytem i nawet nie może uratować biednego dzieciaka?

Aureliusz! Nieświadom, nie ma go nawet tutaj, by złapać dzieciaka, którego sam popchnął w próżnię!

Krzyki. Jego, wściekle. I tego biednego, spanikowanego chłopca. Wrzaski jego zaskoczonych towarzyszy, wiszących kilka sążni wyżej. Prąd wstępujący „bałaganu nieważkości” podnosi nieszczęśnika, miotanego przez kapryśną grawitację.

Tym razem, Hannibal nie chce przepuścić swojej szansy. Opuścił jeden ze swoich uchwytów i wyciąga lewą rękę. Aureliusz był elegancki w uchwyceniu Solis, on jest brutalny łapiąc dzieciaka. Gladiator panował nad swoim gestem, on działa według osądu. Uczeń zna dziwactwa Gravleva, a on jest odcięty od jego niezmiennej Ziemi.

Podczas rozdzierania ciała Hannibal traci koniuszki palców i dużą część swojej prawej dłoni. Próbuje zachować równowagę na koniuszkach swoich palców. Niestety na próżno.

Odrywa się od ściany i spada.

Trzyma przerażone dziecko w swoich ramionach, plecami do ziemi, aby zamortyzować upadek i z oczami utkwionymi w górę. Na oknie, w którym zniknęła Solis.

14.2

I ponownie uczucie surowego strachu pojawia się we wnętrznościach Aureliusza. To stara towarzyszka, nieporęczną krewna, z którą nauczył się żyć. Ale odkąd stawiał czoła Sarashie i Hannibalowi, natychmiast zauważa jej obecność, identyfikuje ją taką, jaka jest. Od tej chwili czuje, że cały czas wibruje, jak szum w uszach, którego nigdy nie słyszeliśmy, a który bez przerwy w nich gwizdże.

Aureliusz nie troszczy się o to, jest nawet zachwycony: dobrze znając swój strach, można lepiej go zdominować i łatwiej zaszcześcić go innym. Mistrz nowej magii, mistrz swojego strachu, Aureliusz staje się bezlitosny. Potężny. Wezwany. Nieostrożny.

W każdej chwili może wrzucić Solis w anomalie grawitacyjną. Jeśli to konieczne, może otworzyć ranę w jej delikatnej księżęcej skórze, która nie знаła nic gorszego niż złamany paznokieć, rozszerzyć ją okrutnym ruchem ostrza, wsypać w nią nasiona psich róż, które są znakiem rozpoznawczym, niszczycielskiego piękna Riftu. Może zrobić wszystko!

Po czym, widząc, jak Solis zdecydowanie kroczy korytarzem Gravleva, na którego eksplorację tak się uparła, dostrzega tylko jej żelazną wolę i odwagę, która budzi jego

szacunek. Czuje się, że nie stąpa po swojej ziemi, że jest świadoma tego, że chodzi po polu minowymi, takim samym jak na granicy Mantris, ale nie boi się tego wszystkiego. Wie dokąd zmierza, czego chce, nic jej nie powstrzyma. Nawet Aureliusz.

Kładzie dłoń na biodrze Malkah, by dyskretnym naciskiem uniemożliwić jej otarcie się o ścianę korytarza – zawieszony pył leci w dwóch przeciwnych kierunkach, wskazując na ścinającą grawitację, która rozdzieliłaby ją na pół.

„To tu?” pyta Solis swojego przewodnika.

W momencie gdy chce jej odpowiedzieć, spiskowiec Aureliusz wraca do gry, podchodzi mu do gardła ten apetyt na nagłą przemoc. Znowu czuje się miotany ciągłym prądem wstecznym, nagłą chęcią zabicia jej, która wykracza daleko poza misję. Zabiję cię, nie zabiję. Zabijam cię, czy nie zabijam?

Solis odbiera zagadkowy rytm Aureliusza, jego serce pulsuje na ciągle zmieniającej się częstotliwości nośnej, coś w rodzaju techno-magicznego tempa, którego nie da się rozszyfrować. Zdecydowanie nic nie ma tu sensu, ani grawitacja ani jej wibracyjna intuicja. Czuje się zagubiona, odurzona też – to wszechobecne niebezpieczeństwo, ten dziwny budynek, te szokujące i tajemnicze uczucia do Aureliusza, wszystko to cudownie przyprawia ją o zawrót głowy, szczęśliwa ucieczka od wyściełanej codzienności pałacowego życia.

Jednak nie daje się oszukać: Aureliusz nie jest godny zaufania, nie do końca, ale jest zdana na jego łaskę. Ogólnie poradziła sobie podczas wspinaczki – co samo w sobie jest równie zaskakujące jak „bałagan nieważkość” – mimo to

naraża się. To cena jaką trzeba zapłacić za znalezienie odpowiedzi na szczycie Gravleva, dokonała takiego wyboru. Jednak nic nie zmusza jej do zachowywania się jak biała gęś, pozostaje więc na baczności. Baczna, czujna. Ten objazd do trzewi zniszczonego budynku jest przede wszystkim pretekstem, by dać Hannibalowi czas na dołączenie do nich.

Ze szczękami w imadle, Aureliusz kiwa głową: tak, to tędy. Solis idzie przed nim powoli, rozpadającym się korytarzem, ostrożnie wsuwając stopę między gruz, pochylając głowę, by uniknąć kabli i mchu – rzeczy naturalnych i sztucznych – zwisających z popękanego sufitu. Nerwowo obraca kryształowy dysk między palcami, szukając innych egemplarzy wewnątrz budynku.

Aureliusz stoi tuż za nią, skupiony na anomaliach grawitacyjnych oddzielających ich od pokoju, do którego chce iść Malkah. Nie powinni byli wchodzić do budynku, wewnątrz Gravleva jest o wiele bardziej zaburzone i niepewne niż jego fasada - gdyby wystarczyło przejść po piętrach i wejść po schodach, by dostać się na górę, inni pojawiliby się tam na długo przed nim. Wraca myślami do swojego wyczynu sprzed siedmiu lat: wtedy był pewien, że zginie wspinając się na Gravleva; teraz, gdy przebudził się z Grawitacją, ćwiczenie sprowadza się do banalnego toru przeszkód.

„Drugie drzwi po prawej – mamrocze Aureliusz.

- Zostaniemy tutaj, dopóki Hannibal do nas nie dołączy, a potem ruszymy dalej.”

Aureliusz uśmiecha się, słysząc, jakim tonem Solis wydaje mu rozkazy, tutaj gdzie jej władza nie ma żadnej prawomocności, żadnego na niego wpływu. Ten nadmiar pychy sprawia, że szczerze się uśmiecha. Ale dzięki jego wibracjom, ona to zauważa.

" Jakiś problem?

Nie, księżniczko, ty tu rządzisz."

Aureliusz zdecydowanie wołałby zwiększyć przewagę i zakończyć z tym wszystkim. Szkoda. Są dopiero w pierwszej ćwiartce podejścia, najtrudniejsza część pozostaje do zrobienia – anomalie są coraz częstsze i coraz większe w miarę zbliżania się do szczytu. Cieszy się na myśl, że Hannibal umrze jako ofiara swojego uporu przyziemnego traumatologa. Zabijanie bez kiwnięcia małym palcem, czy to nie jest definicja wszechmocy?

Docierając do drzwi, Solis zagląda do środka i zastyga w drzwiach, jej twarz skąpana jest w świetle, jej oddech zastyga po krótkim świszczącym oddechu – jakby właśnie doznała objawienia.

Aureliusz dołącza do niej i z kolei odkrywa pokój. Jego długie i wąskie ściany znikają za przeszklonymi szafkami pełnymi krążków identycznych jak ten, który trzyma Solis. Połowa szklanych drzwi jest rozbita, podłoga pokryta potłuczonym szkłem. Dzięki kryształowym dyskom wielkości książki, przechowywanym z regularnością ozdobnych płytek, miejsce to przypomina bibliotekę – a może muzeum, ze względu na przytłaczający zapach starego kurzu. Pęknięcie w ścianie oświetla skądinąd ślepy pokój. Biuro w ruinie, coś najbanalniejszego...

Nie rozumie reakcji Solisa. Wprawdzie otwór przypomina oculus, z którego wypada nieregularny słup światła, co nadaje miejscu uroczysty charakter, ale nie wywołuje ekstazy.

Solis kieruje się do najbliższej szafki przy zgrzycie tłuczonego szkła. Aureliusz przekierowuje ją naciskając na jej ramię w stronę następnej półki, tak aby nie znalazła się w osi oculusa. Nie zauważyła odłamków szkła, wciąż wiszących wokół otworu, jakby moment przebicia ściany został

zatrzymany w czasie. Kto wie, czy nie wystarczyłby prosty fragment, by ożywić kapryśną grawitację?

Solis opuszkami palców pięści ułożenie dysków:

„Centrum danych Mantris...”

- Dokładnie. Ja, który myślałem, że poza architekturą pałaców nic więcej nie znasz.”

Solis odwraca się, promieniejąc szerokim uśmiechem, po czym mruga porozumiewawczo i zaskakująco do oszołomionego Aureliusza.

„Od kiedy to Malkah mruga do hołoty z Riftu?

- Myślę, że od kiedy poznałam ciebie.

- Tak myślisz?

- Myślę? Że tak...

- No nie, połączenie mrugnięcia i zażyłości, uważaj na samozapłon, księżniczko!

„Ha, ha, można by pomyśleć o Sarashie! Wiesz, potrafie też jeść palcami i przeklinać jak furman.

- No nie? Gdybyś powiedziała mi, że umiesz latać wśród smoków, mniej bym się zdziwił, ale przyznam, że nie mogę się doczekać, żeby to usłyszeć!

- Jeśli będziesz grzeczny, będziesz miał prawo do demonstracji.

„Cóż, w takim razie szanse są małe...”

Bawiąc się dobrze, Solis nie mówi nic więcej, podobnie jak on, tymczasem jej przekonania ponownie wirują.

Solis wskazuje na konsolę do czytania, która wydaje się nienaruszona, ustawiona krzywo na górnych półkach szafy.

„Dzięki temu powinniśmy być w stanie odczytać dane.”

Zanim wykonała jakikolwiek gest, Aureliusz włożyła rękę pod półkę i zaklinował lewą stopę na krawędzi mebla. Przecząc rozsądkowi, te uchwyty są dostosowane do lokalnej grawitacji. Wolną ręką chwyta dla niej za urządzenie, ratując ją przed otwartym złamaniem.

„Zdziwiłbym się, gdyby to nadal działało” —
odpuszcza, kładąc czytnik z tyłu leżącej szafki.

Solis wsuwa do środka wybrany losowo dysk.

„Zaraz się tego dowiemy.”

Manipuluje urządzeniem z łatwością, która zaskakuje gladiatora. Ubrana w strój z Riftu, zapożyczony na czas wspinaczki, otoczona aureolą złotego pyłu, który porusza się w świetle oculusa, wygląda jak grabieżca artefaktów. Aureliusz czuje, jak jego serce skręca się, a to boli i go szarpie. Musi przyznać, że Rift pasuje do Solis.

Wkrótce rozlega się okropny trzask, dziwnie ludzki mechaniczny grzechot, który moduluje się, pozbawia się ostrych akcentów, ozdabia się symfonią skrzypiec i obojów. Nuty unoszą się w powietrzu, wkrótce dołączają do nich urzekające głosy duetu diw. Opera wypełnia pokój, eteryczna obecność wznosi się ponad wszelkie dziwactwa ziemskiego przyciągania.

Aureliusza ogarnia czarujący dreszcz, żywe i bolesne uczucie: wybuch pozbawił Riftiana tak wielu cudów, tak wielu nadziei. Daje się ponieść bajecznej muzyce rodem z innego czasu, z innego świata, tym bardziej wzniosłego, że zupełnie niespodziewanego. Tego, który panuje nad swoim strachem i Grawitacją, chwytą piękno chwili, jego ramiona zwisają, jego wzrok gubi się gdzieś w przeszłości, skradzionej przez Wojnę Bohaterów. Łzy napływają mu do oczu, gdy te dwa anioły znikąd śpiewają. Dwa anioły... jak Isalys i Solis.

Wszystko zatrzymuje się z rozdzierającym piskiem. Koniec jest brutalny, gwałtowny, ostateczny; t a e u f o r i a swobodnego spadania, która kończy się śmiertelną katastrofą. Na jego szyi i ramionach włosy stają dęba. Musi kilka razy zamrugać, by uświadomić sobie, że ta reakcja nie ma nic wspólnego z zakończeniem opery.

W tym uwolnionym napięciu, które wibruje jak pęknięta lina, czuje, jak dzieciak przed Gravlevem odrywa się od ściany i ciągnie za sobą Hannibala. Po zachwycie natychmiast następuje obawa, że Solis jakoś zda sobie sprawę z tego, co się właśnie stało.

"Musimy iść."

Bez ceregieli chwyta ją za ramię i ciągnie w stronę wyjścia.

„Mieliśmy czekać na Hannibala.

- Dołącz do nas na szczycie.

- Jak on to robi...?

- Słuchaj, wszystko jest piękne, muzyka, piosenka, ale jeśli chcesz, żebyśmy tu zostali, zamieni się to w nabożeństwo żałobne. Gravlev może skosić kilka ofiar, a ja po prostu nie chcę być tutaj, kiedy to się stanie."

Po raz pierwszy Aureliusz nie okłamuje jej bezczelnie. Nie docenił jednak autorytetu Solis.

„Zrobimy, jak powiedzieliśmy, czekamy na Hannibala."

Solis odsuwa się zdecydowanym gestem i po długiej wymianie spojrzeń, wraca po ich śladach. Za jej plecami, Aureliusz zastyga z niewyraźnym uśmiechem na twarzy. Zapomniał jak bardzo potrafi być zdeterminowana i nieugięta, pomimo życzliwości, którą zwykle emanuje. Ta kobieta jest wyraźnym kontrastem, mrocznym światłem na

wydmach Riftu. Słynna żelazna pięść w aksamitnej rękawiczce. Czasami chciałby by ta ręka, złapała go za szyję, żeby przycisnęła go do ściany, by ich usta zbliżyłyby się i...

Uważaj, Solis. Wystarczy żebym zamilkł, by „bałagan nieważkości” cię zmiażdżył.

Rozdział 15

PIERWSZY VS FAWORYT

Hannibal jest połamany. Ból paraliżuje go i ma wrażenie, że jego kości są w kawałkach, a oddech został zablokowany między połamanyimi żebrami. Jego umysł jest zamglony, zdezorientowany, jakby jego upadek wciąż trwał. Nie może wstać, jakby mu na piersi ciążył kamień o wartości czterech, pięciu kwintali – kamień... albo nagrobek.

Mimo wszystko wciąż jeszcze żyje.

Każdy byłby szczęśliwy, gdyby przeżył taki upadek, ale on już chciałby być na nogach, gotowy do wznowienia wspinaczki. Myśli tylko o dołączeniu do Solis. Jednak jego organizm zdecydował inaczej.

Tuż przed uderzeniem w ziemię utwardził swoją skórę, zamieniając mięśnie w kamień. Nigdy do tego się nie przyzna, ale skorzystał również z ostatniego dziwactwa tej grawitacji, które zawirowało trochę przed uderzeniem zmniejszając jego prędkość zderzenia.

Leżąc na plecach w miejscu, w którym upadł, zmusza się do wyprostowania. Strasznie kręci mu się w głowie, ma

wrażenie, że mózg zaraz mu się rozleje. Poruszając się, zdaje sobie sprawę, że jego prawa ręka ma dwa dodatkowe stawy.

„Leż spokojnie” — radzi Sylaea, która do niego dołączyła.

Odpycha życzliwą dłoń, którą ona kładzie mu na ramieniu i staje na nogach — jeśli nie zrobi tego od razu, nigdy już tego nie robi. Warczy i jak najszybciej uderza złamaną ręką w pierś. W jego klatce piersiowej połamane żebra zamieniają się w klawisze fortepianu, które uderzają w jego płuca i pozbawiają go resztek tchu, które mu pozostały.

„Hannibal, upiera się Sylaea, jesteś poważ...”

- Mały?” - przerywa jej.

Faworytka Natury zaciska zęby i tylko przepraszająco kiwa głową.

„Widziałam cię — pociesza go. Zrobiłeś wszystko, co mogłeś, to nie twoja wina.”

Niestety, nie powinien był usztywniać swojego ciała, to uniemożliwiło mu zamortyzowanie upadku dzieciaka.

„Hannibal, co ty robisz?”

Nawet nie podejmując świadomej decyzji, kolos kieruje się do Gravleva. Patrzy na Faworytkę przez ramię. Ma się wrażenie, że ona też wyszła z okropnego upadku, wygląda na tak wyczerpaną i wściekłą.

„Nie przeżyjesz kolejnego uzdrawiającego zaklęcia, nie po tym, którego użyłaś dla Aureliusza.”

Aureliusz. To wszystko zaczyna powoli mu ciążyć.

Ze stoickim spokojem chwyta całą dłońią swój prawy nadgarstek i szybkim obrotem umieszcza swoje ramię z powrotem na miejscu. Okropny pisk ocierających się o siebie odłamków kości, ból pulsujący falami w ciele jego mięśni i wznoszący się chciwie do jego bijącego serca, szalone bębnienie w czaszce...

wszystko w nim protestuje w obliczu tak wielkiej traumy.

Na zewnątrz Hannibal pozostaje niewzruszony, uparcie męski.

Docierając do podnóża budynku, powoli go okrąża, z nosem w powietrzu, szuka łatwiejszej drogi. Uświadamia sobie wtedy, że po stronie wybranej przez Aureliusza Gravlev jest przychylony, jak ofiara zbyt luźnej gleby, która stopniowo go pochłania; łatwiej będzie się zatem wspiąć na przeciwległą ścianę.

Gdy posuwa się naprzód, kamyki i żwir unoszą się z ziemi, by zlepić się wokół jego złamanego ramienia, improwizując skalny gips. Obchodząc budynek, odkrywa fasadę przebitą przez...

Przez gigantyczną rurę wielkości łodzi?

Oszołomiony do tego stopnia, że na jakiś czas zapomina o kontuzji ręki, Hannibal z trudem rozpoznaje wagon magleva, który wbił się w stary budynek Mantrian, przebijając go na wylot pod kątem około 45°. Kamiennym okiem obserwuje wagon, który na najwyższych piętrach wywiercił dziurę

Wygląda jak monstrualna igła wbita w mięsz zbrojonego betonu. Gravlev – w końcu wyjaśnia się nazwa tego budynku – wciąż pozostając hermetyczny dla jego wibracyjnego wzroku, poza zasięgiem jego zdolności sensorycznych, a mimo to wewnętrzna kartografia magleva jest dla niego dość wyraźna. Pusta przestrzeń oferuje wiele uchwytów – metalowe pręty, klamki, siedziska – które obiecują znacznie łatwiejsze wejście.

Postanawia udać się tą drogą.

Zanim Hannibal postawił stopę na pochyłej fasadzie, jego gips był już gotowy. Kamienna skała otacza jego ramię od łokcia do barku, zachowując minimalną elastyczność w obu stawach i wzmacniając wszystko inne. Nic nie można

niestety zrobić z bólem, ale sobie z tym poradzi. Tym razem Faworyt nie waha się: za pomocą magii zamienia beton fasady w piasek, a zdrową rękę i stopy wpycha w żelazną ramę, której używa jak drabinę. Zużyje całą pozostałą mu pręgę, ryzykując tym, że jego zaklęcie zostanie osłabione – lub, co gorsza, wzmocnione – przez chaos Riftu, ale jest gotów podjąć wszelkie ryzyko.

Zanim dociera do czwartego z trzydziestu pięter, uderza go rzeczywistość: nie dostanie się tam ot tak. Nie bez wykorzystania, chociaż w części „bałaganu nieważkości”.

Nie jest w formie, Aureliusz go deklasuje.

Robi sobie przerwę, z czołem opartym o ścianę, stopami wciśniętymi w szczelinę, lewą ręką ściskającą stalowy pręt, prawie go miażdżąc. Wbrew sobie daje się przytłoczyć bólowi, który zżera jego oddech i niebezpieczeństwu, które skręca mu żołądek. Boi się. Nie upadku, ale by jej nie stracić.

Nie może żyć bez Solis, to takie proste.

Nie potrzebuje już opiekuna, to zrozumiałe. W niekorzystnej sytuacji, na ścianie Gravleva, mocno osłabiony, zdaje sobie sprawę, jak bardzo ta rola nie należy już do niego i rozumie, jak bardzo ona ma rację. Tak naprawdę to on potrzebuje ochrony, a nie na odwrót. Potrzebuje jej obecności, jej rad, jej życzliwej aury, jej śmiechu, jej subtelnej dawki lekkomyślności, tak cennej, jeśli chodzi o stawianie czoła próbom życia. Jej miłości. Nie ma znaczenia, czy to ta, którą obdarzasz starszego brata, bohatera czy przyjaciela, ale potrzebuje... nie, on chce być kochany przez Solis. Ale wszystko, co ostatnio zrobił, to było domaganie się tej miłości, a nie zasłużenie na nią. Zachował się jak idiota: Aureliusz się nie liczy, liczy się tylko Solis. Musi jej to wszystko powiedzieć, mając nadzieję, że znajdzie odpowiednie słowa.

Liczy się tylko to, żeby Aureliusz dał mu na to szansę. Niech nie zabija jej wcześniej, lekkomyślnie lub celowo.

I w tym celu jest gotów zrobić wszystko, wszystko co trzeba.

Uspokaja oddech i zaczyna cicho intonować. W zagłębieniu jego ucha młoteczek, kowadełko i strzemiączko zwapniają się, zyskując na gęstości i wytrzymałości. Gdy małe kosteczki słuchowe stają się twarde jak skała, słuch Hannibala staje się niski, ogłuszając go bardziej niż podczas nurkowania w głębinach. Jego błona bębenkowa jest uszkodzona, coś gorszego niż wypadek dekompresyjny. To jak rysik wbity w kanał słuchowy, wbijający się głęboko w uszy. Hannibal kontynuuje, a jego determinacja jest silniejsza niż ból, który zamienia się w mdłości. Reguluje swój poziom percepcji, tak jak stroiciel obchodzi się z instrumentem. Nie wie, jak robi to Aureliusz, ale walczył z nim w zatoczce, obserwował jego rytm, pulsacje, sposób poruszania... Musi być w stanie dostroić się do tych samych wibracji, co on.

Hannibal jęczy, dźwięk, którego nie słyszy, już nie słyszy. Staje się głuchy na własne cierpienie. Aby pozwolić mu przemówić, uderza prawą pięścią w ścianę, aż czuje, jak jego złamana kość ramienna pęka na trzy części.

Stopniowo jego zmodyfikowany słuch otwiera nowe pole percepcji, daje mu szósty zmysł. Wibrująca papka Gravleva rozrzedza się, zbija w niesmaczne grudki, które są łatwiejsze do złapania i połknięcia. Aby udoskonalić swoją wymuszoną mutację, Hannibal zamyka zdrowe oko i przyciska ucho do ściany, bada otoczenie swoją kamienną gałką oczną.

W końcu dostrzega przeblysłk „bałaganu nieważkości”, który tak wyraźnie odróżnia Aureliusz. To jak... jak eksplozje w zwolnionym tempie, erupcje wulkanu gęstej melasy z

językami ognia tworzącymi leniwe łuki. Obraz przypomina mu rozmowę z Sarashą, kiedy wyjaśniła mu, że Galana doświadcza okresów erupcji słonecznych z powodu nadmiaru energii. Śmiali się wtedy, porównując kaca z młodości do tych wybuchów. Gdyby tu była, Sarash domyśliłaby się, co to znaczy: „bałagan nieważkości” jest grawitacją, która puszcza pawia, a jeśli Aureliusz jest tak utalentowany, to dlatego, że jest po prostu wulgarnym frajerem. Za każdym razem wyśmiewaliby się z gladiatora. Gdyby tylko mogła być tu z nim...

Hannibal dobrze wie o tym, nie może ani stworzyć „bałaganu nieważkości”, ani go kontrolować, ale teraz jest w stanie dostrzec jego anomalie. Oczywiście z trudem, tak jak krajobraz pod koniec zmierzchu, między psem a wilkiem, podczas gdy w oczach Aureliusza musi być on jasny jak w biały dzień, w piękne letnie popołudnie..., ale są one widoczny.

A jeśli je widzi, może ich unikać.

Na tej fasadzie jest ich wiele, dlatego Aureliusz wolał wspinać się po pochyłej ścianie – po tej stronie nie bawią się dzieci. Teraz, gdy wyczuwa niebezpieczeństwo, jego Magia Ziemi pozwoli mu wspiąć się na Gravleva równie łatwo, jak na góry Acongua.

Wreszcie może przestać męczyć swoje bębenki w uszach, bo właśnie osiągnął swój cel.

Wyczerpany, całkowicie zdezorientowany, Hannibal brutalnie wymiotuje. Wypluwa żółć w napadach, nie wychwytyjąc żadnego dźwięku, nic poza drżeniem w klatce piersiowej i uczuciem gorącej, kwaśnej cieczy w gardle. Oszołomiony głuchotą, która pogrąża go w oceanie ciszy, zelektryzowany euforią szalonego ryzyka, które uwieńczone jest sukcesem, pobudzony poczuciem, że w końcu będzie

mógł rywalizować, Hannibal wydaje okrzyk zwycięstwa, wycie, którego on sam nie słyszy.

W nagłym olśnieniu, Faworyt zdaje sobie sprawę, że zachował się jak Mantrianin: po utracie oka, właśnie poświęcił swoje uszy, aby zmodyfikować swoje naturalne zdolności, tak jak ludzie zmienieni przez technologię. Stał się transzłowiekiem, zapłacił wysoką cenę. Dla Solis. To było tego warte. Tysiąc razy.

Z nowym okrzykiem radości, który zaginął w otchłani jego głuchoty, wznawia swoją wspinaczkę.

Krzykacz pędzi w górę, wznosi się na dwadzieścia pięter i odnajduje Aureliusza i Solis, którzy są tylko pięć pięter od szczytu. Solis jest zbyt skupiona na swoich ruchach, by go zauważyć, ale uwaga gladiatora natychmiast zostaje przykuta. Zdając sobie sprawę, że Hannibal przyjął przeciwną fasadę, uśmiecha się, przekonany, że Faworyt padnie ofiarą „bałaganu nieważkości”, wszechobecnego po tej stronie.

Ale nie. W niewytłumaczalny sposób, Hannibal wspina się z pełną prędkością, połykając piętra jedno po drugim. On porusza się szybciej niż oni. W tym tempie dogoni ich przed szczytem!

Czy nagle obudził się na Grawitację? Czy jest wspomagany, prowadzony z ziemi, aby uniknąć pułapek? Czy rozwinął nową magię, rzucił zaklęcie, które Rift uczynił superpotężnym?

Zirytowany Aureliusz odrzuca te pytania. Zachować się jak w otchłoni, nie to nie on. Wkurzony do granic możliwości, w mgnieniu oka podejmuje decyzję: jak najszybciej zdobyć szczyt, nie zważając na ryzyko.

„Solis!” W dwóch skokach i trzech pchnięciach dogania Malkah, która wyprzedziła go o kilka łokci. „Zmiana planu, przechodzimy prosto przez magleva.

- Myślałam, że to niebezpieczne, że powinniśmy wejść do niego trochę wyżej?”

Aureliusz miała już sporo problemów z przekonaniem Solis do wznowienia wspinaczki bez czekania na Hannibala, zwłaszcza po tym, jak dowiedziała się, że spadł, by uratować jednego z praktykantów – Pierwszy musiał ją uspokoić jeżeli chodzi o stan zdrowia Hannibala, żeby zgodziła się kontynuować. Tym razem jest bardziej ostrożna, będzie musiał być bardziej przekonujący. Lepiej jeszcze: nie pozwolić jej na dokonanie wyboru.

„Teraz wszystko się okaże Solis! Pokaż mi do czego jesteś zdolna, pokaż mi, że jesteś godna Riftu.

- Nie mam ci nic do udowodnienia, Aureliuszu.

- Ale kogo to obchodzi! „Bałagan nieważkości” nie pyta nas o zdanie, nie obchodzi go, kto rządzi między nami. On decyduje, nie my! Więc teraz słuchaj mnie, bądź posłuszna i podążaj za mną, jeśli nie chcesz umrzeć przecięta na pół. Zrozumiano?”

Wymieniają długie, oceniające spojrzenie. Niekonfortowo na swoich podporach, nieswojo w stroju, który pożyczyła, by rozpocząć atak na Gravleva, Solis ma trudności by pokazać swoją władzę. Waha się przez kilka niekończących się sekund, ofiara dumy, którą odkrywa się w sobie, gdy spotyka się zdechłego szczura w pralni, po czym bez przekonania odpowiada:

„W porządku.”

Bez zbędnych ceregieli gladiator kieruje się do pociągu. Jeśli Hannibal naprawdę jest w stanie dostrzec miejsca, w których jest „bałagan bnieważkości”, nigdy nie odważy się ich śledzić. Aureliusz będzie w stanie poradzić sobie z grawitacyjnym wichrem, który rozpęta się w starym metalowym szkielecie, ale nie tamten niezdarny. Przynajmniej ma taką nadzieję.

Do starego wagonu wchodzi tym razem środkiem, a nie blisko szczytu, jak podczas pierwszego wejścia. Przechodząc głową przez jedno ze starych drzwi, Aureliusz jest świadkiem prawdziwego wyzwolenia „bałaganu nieważkości”: w stalowym tunelu grawitacja jest odwrócona, zwinięta, zawieszona, przyspieszona... Niemożliwe są do przewidzenia siły przyciągania, podobnie jak pragnienie przewidzenia z precyzją wirów wody z tyłu łodzi obracającej się z pełnym wiatrem. Wejście do magleva jest jak wskoczenie do automatycznego helikoptera, z poręczami i starymi siedzeniami działającymi jak krajalnice. Jest gorzej niż to pamięta, prawdziwe samobójstwo. Do diabła z tym, zgodnie z pierwotnym planem przejdą po elewacji zewnętrznej.

Tym razem Aureliusz woli być rozsądny.

Do czasu, gdy Hannibal pojawia się na końcu pociągu, trzy piętra niżej.

Maglev przecina Gravleva pod kątem na ostatnich sześciu etapach. Aureliusz i Solis znajdują się na wysokości środka pociągu, trzy piętra od szczytu; Hannibal wciąż jest przy niższym wejściu.

Dwaj mężczyźni rzucają sobie wyzywające spojrzenie, nieruchomi, suma wszystkich niebezpieczeństw sumuje się na obliczu tamtego.

Dla Hannibala nie jest to już kwestia wycofania się.

Dla Aureliusza też nie.

Rozdział 15.2

Gładiator odwraca się w kierunku Solis, znajdującą się wciąż poza wagonem. Nie mogła dostrzec Hannibala, a jest już zbyt wyczerpana, by nawet odczuć jego obecność. Gdyby Faworyt krzyknął, sprawy potoczyłyby się zupełnie inaczej, ale nie, on pozostał niewzruszony.

Bez ostrzeżenia, Aureliusz zbliża się bardzo blisko twarzy Malkah, mocno chwytając kołnierz jej marynarki, aby zakotwiczyć tę chwilę w teraźniejszości, w pilnej potrzebie, pytając ją tak samo szczerze jak i gwałtownie:

„Ufasz mi, Solis?”

Chciałby, żeby odpowiedziała spontanicznie: „tak, tak Aureliuszu, ufam ci, tak bardzo, że nawet poszłabym za tobą do Invermondu, tak, na śmierć i życie, tak, tak, tak!” Trzy „tak”, które warte są tysiąca.

Ale Solis poświęca czas na refleksję – chwilę trwającą jedno uderzenie serca, rzęs, drobne wahanie, które burzy pewność gladiatora. W końcu kiwa głową, gestem tak rozsądnym, tak beznamiętnym.

„Będzie mocno trząść.

-W porządku, jestem gotowa.

- Nie sądzę.”

Solis wyczuwa nagle poważną vibrację Aureliusza, która spada jej na głowę jak kubeł lodowatej wody. W jego oczach

wpatrzonych w jej oczy odczytuje ogrom tego, co ich czeka, niepodlegający dyskusji imperatyw powierzenia mu swojego życia. Prawdziwy skok wiary.

Mogłaby zdecydować, że sama dokończy ostatnie trzy piętra, rozegrać to bardziej brawurowo niż Pierwszy, pokazać mu do czego jest zdolna. Czuje, jak magia w niej rośnie jak małe słońce, forma oślepiającej intuicji, coś, co mogłoby służyć jako uprząż do zakończenia wspinaczki. Mogłaby, ale prawda jest taka, że umiera z ciekawości, by dowiedzieć się, kto tak naprawdę kryje się pod skórą Gladiatora. Raczej marionetka, której sznurki naciągnięto w stronę lalkarza, czy raczej szczere delikatne ciało rozdartego chłopca, którego trzeba wyleczyć? Wpatruje się w jego płaczliwie piękną twarz, jakby mogła zerknąć na nią i zobaczyć, co kryje się pod nią.

„Jest tylko jedno wyjście. Aureliusz szuka właściwych słów, takich, które utną dyskusję, bo nie ma już czasu do stracenia.

„Być razem, zjednoczyć się, aby nie cierpieć.

- To znaczy?”

Nieudacznik.

„Musisz poślubić każdy mój gest, najmniejszy ruch. Tak samo, jak ja zamierzam naśladować twoje. Zapomnij o twoim intelekcie, podążaj za moim instynktem. Dopiero w osmozie wyjdziemy z tego. Fałszywy gest, subtelna dysharmonia i skończymy rozcłódkowani. Rozumiesz?”

Solis jedynie ostentacyjnie opuszcza powieki, po czym podaje mu rękę.

Ale kim ty jesteś Solis? Kim jest ta kobieta, która kryje się za tą koroną? Góra odwagi? Dolina absurdu? Pustynia mądrości? A może po prostu zaufany las, który ochroni mnie przed promieniami słońca?

Chwyta ją za nadgarstek, ona chwyta jego, żeby mieć lepszą przyczepność i razem wpadają do magleva.

Natychmiast zostają złapani przez malstrom, tak gwałtowny i nagły, że wyrывa on z gardła Solis długi, spanikowany krzyk, naśladowany przez Aureliusza dla korelacji. Wirują szybko wokół siebie, razem, jakby metalowy tunel zamienił się w kanał ściekowy podczas pełnej ewakuacji. Siła odśrodkowa rozdziela ich, Aureliusz musi ścisnąć nadgarstek Solis, żeby jej nie puścić. W doskonałej imitacji gestów, Solis ścisną nadgarstek Aureliusza.

Potrząsani na wszystkie strony – wirem, strachem, paniką – otwierają oczy, kręcą nimi po ich orbitach w poszukiwaniu wiecznie znikającego stałego punktu, wydają się być w środku ataku epilepsji. Gdy rotacja staje się bardziej żywa, ich długie włosy stają pod kątem prostym do ich pleców, co wzmacnia jeszcze bardziej ten obraz wariatów. Z nieoczekiwaną determinacją Solis zamyka oczy, chwytając obiema rękami nadgarstek Aureliusza i przyciąga jego ramiona, by zbliżyć je do siebie. Efektem lustra, Aureliusz robi dokładnie to samo.

Do tego czasu gladiator mógł kontrolować minimalnie ich trajektorię, instynktownie odpychając lub zwiększając grawitację, aby zapobiec uderzeniu w ściany. Ich zbliżenie zaburza niepewną równowagę ich duetu, który dryfuje. Noga Aureliusza zaczepia się o jedną z poręczy wiosła - elektryzujący ból w jego świeżo zagojonym kolanie. Solis uderza w ścianę za jej plecami z dźwiękiem gongu. Oszołomiona korzysta z okazji, by definitywnie zbliżyć się do Aureliusza i obejmuje go.

Przerwa. Stłumiony dźwięk. Kombinacja uścisków. Oddech. Mieszanka zapachów. I w tym momencie, Aureliusz traci wszelką kontrolę.

Drżący i czuły jest ten kontakt, a to wszystko kontrastuje z paradoksem: pewna siebie panika, platoniczna deklaracja, mądra pokusa, wściekły spokój, wstyd pożądania, opóźniona

osmoza. Aureliusz daje się wciągnąć w ten wir innego rodzaju, daje upust swojej wyobraźni, swojej wrażliwości. Do jego uszu powraca opera z dwoma aniołami, którą zrodziła Solis.

Tam, w sercu najgorszego, w oku cyklonu, w epicentrum „bałaganu nieważkości”, tańczą. Żeglują nonszalancko. Razem. Unisono na nutę piekła, metronomizowani, by nie runąć. By nie umrzeć.

Nigdy nie tańczył z Isalys. Harmonia nigdy nie była tak bardzo zwornikiem, partyturą ich historii. Nigdy. Zaufanie nie było przeciwwagą w równowadze ich związku. Zmysłowość, pożądanie, emocje zostały rzucone na dalszy plan, po całej reszcie, liczył się stan aktualny, pozory, obowiązki, misja.

Wspaniała erekcja, która bije w rytm jego pulsu, przenosi go na inny teren. Rumieni się na myśl o zdemaskowaniu. Wstydzi się swojej reakcji, a potem wstydzi się tego, że jest zawstydzony – od kiedy to bycie napalonym na pożądaną kobietę jest dla niego problemem? W przebłysku świadomości rozumie opiekuńczy instynkt Hannibala, on też czuje potrzebę ochrony Solis za wszelką cenę. Nie dlatego, że jest krucha, ale dlatego, że jest cenna.

Aureliusz traci koncentrację, są wytrąceni z równowagi, trzęsą się gwałtownie z prawa na lewo, z góry na dół. Na szczęście Solis udaremnia dryf. Zanurzona w ich fuzji aż do cebulek włosów, odzyskuje harmonię w locie i odkrywa, że osmoza jest niezbędna do przetrwania.

Szybkie oddechy. Synchronizacja.

Bursztyń Aureliusza rozgrzewa się na jego skórze, naznacza go jak gorące żelazko, aby przypomnieć mu o jego więzi, o przysiędze złożonej Isalys. To ją kocha, odkąd umie kochać!

Wtulona w jego ramiona Solis, walczy z okropnym dyskomfortem, który ją wykręca. Aureliusz dorastał w Riftcie, jest przyzwyczajony do tej wirującej karuzeli, tych szaleńczych wzlotów i upadków. Dla niej sprowadza się to do niekontrolowanych skurczy i ma tylko nadzieję na jedno: że wszystko się wreszcie skończy. Do tego czasu, wtula się w Riftianina, przykleja się do niego, aby zapobiec ich rozdzieleniu. W jego ramionach nie czuje tego samego poczucia bezpieczeństwa, co przy Hannibalu. Gdyby stała w mroźnym zimowym deszczu, gladiator służyłby za gruby płaszcz woźnicy, a kolos byłby jaskinią strzeżoną przez dobre ognisko.

Jednak nie ma innego wyboru, jak tylko polegać na Aureliuszu. Zamieszanie, które doprowadza ich do zawrotów głowy, nie powinno sprawić, żeby zwątpiła w swoje instynkty: gladiator postawi ją na ścieżce prowadzącej do jej siostry i odnowienia prany.

Jakby chcąc się uspokoić, czuje przez koszulę Aureliusza, że jego bursztynowy naszyjnik drży od gorąca. Odczuwa też coś jeszcze, wibrację, która jest spowodowana biciem jego serca, ale nie tylko. Czułość, wzruszenie, porzucenie, które nie są do niego podobne. Och, jakże orzeźwiające uczucie pośrodku tego całego tumultu, tego permanentnego wrażenia, że ziemia ustępuje jej pod stopami.

Wokół nich „bałagan nieważkości” zwija się jak koc, który energicznymi obrotami doprowadza do ich uduszenia. Przeciwnie siły stają się coraz silniejsze, Aureliusz czuje, że sprawy wyrwywają się spod kontroli, ale odpuszcza.

On poddaje się, a ona mu pozwala na to.

Zdekoncentrowana jak nigdy dotąd, nie mogąc dłużej znieść zakłóceń, Solis walczy o to, by nie stracić przytomności. Jeden po drugim jej zmysły opuszczają ją, wbrew jej woli.

Kalejdoskop, to miejsce to tuba odbić, tunel wyłożony lodem, to wszystko błyszczy i oślepia ją między jej rzęsami, gubi horyzont, zamyka oczy, by nie zwymiotować pod presją.

Ciepły bursztyn na jej klatce piersiowej, płonie, pamiątkowy ogień na jej skórze, zapach rdzy magleva, który drapie jej zimne nozdrza, jak w jej koszmarach, wilgotna fawela z niekończącymi się korytarzami. Zatopia swój nos w szyję Aureliusza.

Słyszy, jak klamki wagonu wściekle stukają w kabinę, chyba, że są to drzwi O.N.I., które wciąż trzaskają, skrzypiąc jak nocna udręka, od której zaciskasz zęby. Woli już nie słuchać, żeby nie pamiętać szalonego lustra. Lodowatego uśmiechu w dziwnym lustrze.

Ostatnim doznaniem Solis, ostateczną nicią łączącą ją z rzeczywistością, jest ciepłe ciało Aureliusza, jego kontury, płaskorzeźba jego mięśni pod jej palcami, stoicka, wyprostowana, niezachwiana. Gdyby chciał ją zabić albo, co gorsza, doprowadzić ją do szaleństwa złymi snami, zrobiłby to już dawno temu. Pragnął tego, jest pewna, że czuła to ukradkowe pragnienia,. Ale lodowaty uśmiech, który pęka w szalonym lustrze, to nie on. Wie o tym, czuje to przez ten delikatny jedwabny sznur, który wciąż łączy ją z imperium zmysłów, nie to nie on.

W głębi jej brzucha, małe słońko uspokoja jej oddech, uśmierza, pociesza: może zemdleć, uciec na chwilę, zawierzyć się sobie. Wszystko będzie dobrze...

Na drugim końcu dziwnego stalowego tunelu, Hannibal nie spuszcza wzroku z pary. Znajduje się na tyle wagonu, podczas gdy Aureliusz i Solis są pośrodku. Tak blisko, a jednocześnie tak daleko, ponieważ aby do nich dotrzeć, będzie musiał przejść przez najgorsze pole „bałaganu nieważkości” jakie do tej pory udało mu się wykryć. Dla jego kamiennych uszu zakłócenia pola grawitacyjnego są

ogłuszające, rój wygłodniałych wiedźm, wydających wrzaski bardziej niszczycielskie niż trzęsienie ziemi w sercu skały. Sądząc po jego chaotycznych ruchach, nawet Aureliusz ma problemy z poruszaniem się w takim chaosie. Hannibal nie ma żadnych szans, zwłaszcza z jedną ręką w gipsie. „Bałagan nieważkości” nie pozwoli na to.

Postanawia więc go udomowić.

Nie bacząc na związane z tym ryzyko, Faworyt rozpyla dużą część fasady Gravleva. Beton, który stał się zaprawą murarską, która z kolei stała się piaskową burzą, wdzierając się do wnętrza magleva. Nagle burzliwe wiry „bałaganu nieważkości” stają się widoczne w mgle pyłowej, jak ferryty ustawiające się w jednej linii z ziemskim polem magnetycznym. Z ogromną pomocą swojego kamiennego oka, Hannibal określa linie uskoków, strefy napromieniowane przez Rift, lokalne skoki grawitacyjne.

Po czym zamraża całość gardłowym zaklęciem.

WHOOOSZ!

Dekompresja przebija błony bębenkowe Hannibala, jedyne wrażliwe na częstotliwości grawitacyjne. Ból przebija uszy, z których wymiotuje strużka krwi. Jego głowę wypełnia okropny szum w uszach, który zamazuje myśli. Ale udało mu się: kamienny most przecina teraz tunel w jego połowie, dzieło sztuki o wiele mniej imponujące niż Cime-Terre w Acongua, ale nie mniej skomplikowane w realizacji.

Robi szybkie, długie kroki, zanim ból głowy pozbawi go przytomności.

Aureliusz widzi, jak Hannibal zbliża się do nich, biegnąc po nieprawdopodobnym wiadukcie, który pojawił się znikąd. Jego struktura jest już rozdarta, zdeformowana przez „bałagan nieważkości”, który buntuje się w ten sposób przed

uwięzieniem, nie wytrzyma ona dłużej niż kilka chwil. Ale wyczyn ten pozostaje wyjątkowy.

Nie ma już wyboru: Aureliusz rzuca się w wir, który torturuje górną część wagonu, tam gdzie most nie znalazł żadnego fundamentu. Czuje na sobie Solis, na marginesie świadomości, mającą spazmy. Gladiator zrzuca to na karb zbyt silnej grawitacji, ignoruje fakt, że dodatkowo w umyśle Malkah rozgrywa się teatr światła. Tak czy inaczej, to mu odpowiada: Solis nie widzi Hannibala, który się do nich zbliża. Przyciska swoją dłoń, by ochronić tył jej głowy. Wokół nich wagon rozbija się z szelestem puszek z napojem, poręcze uginają się pod naciskiem, po czym z wigorem sprężyny wyskakują z obudowy. Albo oszczepu.

Zamknięta przestrzeń szybko staje się niebezpieczna. Śmiertelnie niebezpieczne.

Chociaż głuchy, ze złamanym ramięm, połamanymi żebrami i mętlikiem w głowie, Hannibal zdaje sobie sprawę z rozmiarów swojego błędu. Anuluje swoje zaklęcie i most kruszy się w jednej chwili, zjedzony przez żarłoczny „bałagan nieważkości”. Zanim ostatni gruz wyparuje, łapie równowagę i skacze w stronę Solis.

Aureliusz daje się ponieść emocjom, zadowolając się drobnymi gestami, by przedostać się na drugi koniec magleva, który prowadzi do szczytu budynku. Operacja jest krytyczna, za duży rozmach i zostanie zrzucony z dachu budynku, za mały, a skończy w strzępach. „Bałagan nieważkości” zachowuje się jak potok: lepiej iść z prądem, niż z nim walczyć. Trudna pozycja do utrzymania, gdy lewiatan obnaża kły tuż za tobą!

Zachowując zimną krew, gladiator stara się wpłynąć na bieg Hannibala, który porwany rozmachem przygotowuje potężny cios mogący urwać mu głowę. Z ogromnym szczęściem i po omacku wysyła Faworyta w stronę stalowej

ściany, gdzie tamten rozwała sobie bok na zadziornych szerokiej szczeliny. Kolos powoli staje na nogi, przerzucając nogi nad głową, zostawiając za sobą grubą smugę krwi.

Aureliusz nie ma czasu na delectationem się tym sukcesem, ponieważ impet rzuca Hannibala w jego stronę. Co gorsza, reakcja jego ataku wysyła go na obrzeża wichury. Obraca się za szybko, za mocno, roztrzaska się o ścianę lub zostanie wyrzucony w powietrze, daleko od tarasu Gravleva. Zdesperowany, z ustami pełnymi smaku, który teraz wie, że jest strachem, wyciąga rękę, by poprawić swoją trajektorię.

Szalona turbulencja wyciąga Solis na powierzchnię, na czas jednego krzyku, udręki.

" Nie! Nie pozwól mi spaść !"

Solis zanurza się ponownie, jej ciało kręci się, a myśli wirują. Aureliusz czuje klucie w sercu: ten okrzyk instynktu, ta wstrząśnięta pewność siebie, nigdy nie okazałaby ich w stosunku do Hannibala.

Faworyt nie jest już w stanie usłyszeć tego wezwania pomocy, nie ze swoimi przebitymi kamiennymi bębenkami. Jednak dostrzega jego intonację, jego wibrującą powagę. Zanim poświęcił swój słuch, Hannibal zdał sobie sprawę, że Solis jest nieporównywalnie ważniejsza niż Aureliusz. Kiedy jego ciało powoli go opuszcza, gdy tunel się zapada, gdy jego dawne przekonania się kruszą, gdy wszystko wokół niego się wali, nie wystarcza mu już samo zrozumienie tego wszystkiego: rozumie to, czuje to głęboko w sobie.

Aureliusz i Hannibal wpadają na siebie, Solis wślizguje się między nich.

Powierzam ci ją, mówią oczy kolosa.

Ona nie należy do ciebie, odpowiadają oczy Aureliusza.

Nie, to my należymy do niej.

Nie należę do nikogo!

Wiesz dobrze, że tak jest. Wybrała ciebie i ja to akceptuję. Ale jeśli ją zawiedziesz, wróć. Nie dla niej. Dla Ciebie.

Hannibal zostaje porwany przez wir, który wieńczy stalowy tunel w ogromnej erupcji „bałaganu nieważkości”. Miotany, wywrócony przez burzę, rzuca ostatnie zaklęcie. Pod jego rozkazami jego gips pęka na ostre kawałki jak krzemienie, które pędzą w kierunku Aureliusza.

Gladiator widzi pociski pędzące w jego kierunku w szaleńczym wyścigu, nieustannie odbijane przez „bałagan nieważkości”. Równie dobrze mógłby wystrzelić salwę strzał w środku burzy.

Kiedy pierwszy kamień rozdziera mu rękaw koszuli, wierzy w łut szczęścia. Kiedy dwa inne uderzają go, w krótkim odstępie czasu, w prawe kolano i lewe ramię, zaczyna się martwić. Kiedy jest zmuszony odrzucić głowę na bok, wykręcając szyję, by uniknąć kolejnej salwy, zaczyna rozumieć sytuację. Całość sprowadza się do tryptyku.

Lewy panel: Wszystkie ciosy Hannibala trafiają w cel z niemożliwą precyzją. Jest to bardziej boskie niż magiczne.

Środkowy panel: Magia Ziemi Faworyta wykracza daleko poza jego własną wiedzę o grawitacji. Pytanie, kto z nich jest mistrzem, a kto uczniem, znalazło odpowiedź.

Prawy panel: każde uderzenie nakierowuje go z suptelnością, by odsunąć go od rozdarć „bałaganu nieważkości”. Celem kolosa jest uratowanie Solis, a nie zabicie go. Inaczej byłby już martwy.

Pod kamiennym gradem zaaranżowanym przez Hannibala, Aureliusz kontroluje Grawitację, aby dzięki dwóm połączonym talentom uciec przed strumieniem „bałaganu nieważkości”. Solis i on postavili stopy na dachu Gravleva z miękkością drewna wyrzuconego przez morze, które przypływ osadza na plaży.

Hannibal jest katapultowany w powietrzu jak kula armatnia. Znika na niebie, które przygotowuje się do zmierzchu, jego cień zostaje połknięty przez nadejście ciemności na zachodzie.

Rozdział 16

W objęciach

Ona tam jest. Na szczycie Gravleva. Chciwa. Dostępna. Szaleńczo onieśmielająca. Pęknięcie. Rozdarcie. Ta, którą Riftianie nazywają „bursztynową szczeliną”, podczas gdy powinni nazywać ją „przepaścią śmierci”.

Otwierając oczy, wciąż zamglone wizjami, z mdłościami grawitacyjnymi w kącikach ust, to jest pierwsza rzecz, którą widzi Solis. Długa i cienka, na samej górze, pulsująca czarnym światłem, wypływająca zwoje mgły, która natychmiast się rozprasza, jak dymiąca blizna. Kurtyna na wpół rozsunięta na inny obszar, pionowe oko z poruszającą się źrenicą patrzące... gdzie indziej.

Pęknięcie w macierzy pochodzenia świata.

Z obolałymi kończynami i umysłem zamglonym przez jej niedawną nieobecność, Solis podchodzi o krok bliżej, robi dwa kroki do tyłu, odsuwa się na bok, znów robi krok do przodu. Ostrożność konkuruje z ciekawością, sprzeczne uczucia z niepewną równowagą. Musi nawigować po grani – udręka śmiertelnego upadku, przeczucie zawrotów głowy.

Solis potrafi to - robić, Hannibal ją nauczył - pewność siebie solidniejsza niż mury fortu Izull.

Gdy tylko imię Faworyta przychodzi jej na myśl, ogarnia ją smutek. Straciła go, on nie żyje. Wściekłość i rozpacz. Tak. Nie, przeżył upadek, tak powiedziały dzieci na fasadzie; jej ból nagle ustępuje, podobnie jak morze, zanim zła fala rozbije się o plażę.

Wściekły szkarłat, zdenerwowana pomarańcza, traumatyczna czerń, zagubiona zieleń... to cała tęcza, która rozciąga się na krainę jej emocji, mieszanych kolorów i blasku zmodyfikowanego przez kaprysy Riftu. „Bałagan nieważkości” nastrojów. To wszystko wywraca jej oczy i serce, czyni ją pijaną i upojoną, wyciąga rękę, by znaleźć oparcie, które jej umyka. Czuje się źle, znacznie gorzej niż w najgorszym wirze, który wypuł ją tutaj jak zły śluz.

Solis bierze wdech, kontrolując oddech, tak jak nauczył ją Hannibal. Zamykając oczy, zmusza się do odtworzenia w myślach tego miejsca: rozległy kwadratowy taras na dachu, zupełnie zwyczajny, gdyby nie był nienaturalnie nachylony, z przykręconymi do ziemi metalowymi skrzynkami porośniętymi kaktusami. Skupia się na elementach wyposażenia wielkości podróżnej skrzyni, zmuszając się do zobaczenia w nich bardziej bloków klimatyzacji, niż małych grobów ustawionych w szeregu na cmentarzu. Grobów dzieci.

Pozwala, by jej zmysły stopniowo odzyskiwały przewagę nad jej wrażeniami. Silny wiatr wiejący z zachodu w śpiewających podmuchach przynosi zapach suchej próchnicy, tej z lasu Orcuniona, którą odwodziło pustkowie Riftu. Jej ręce wyciągnięte w kierunku szczeliny wychwytyują falującą wibrację, odpowiednik ciepła wydzielanego przez kominek, chociaż percepcja jest na innym poziomie. Zwleka z

podniesieniem powiek, jest jeszcze za wcześnie. Zamiast widzieć, chce czuć.

Kilka kroków za nią Aureliusz przykucnął, by otrząsnąć się po gradzie kamieni. Uwalnia bursztyn z nagromadzonego latami piasku, podnosi trzy największe odłamki, podrzuca je w rękach jak gracz podrzuca kości. Są wszędzie, upadły tam, gdzie wypluł je uskok, prawdziwa fortuna, gdy zna się cenę jaką płacą Aregowie lub inne gangi. Nikt nie odważy się eksploatować tej kopalni odkrywkowej. Przynajmniej jeszcze nie teraz...

Aureliusz odczuwa głęboką gorycz. Wkrótce wspinaczka na Gravleva stanie się powszechna, pieprzona atrakcja turystyczna. Niedługo zapomnimy, że wcześniej wspinaczka była niemożliwa, śmiertelna, najbardziej szalony akt całego cholernego Riftu. Co więcej, to już się zaczyna, z tymi wszystkimi fałszywymi Pierwszymi, którzy dumnie paradują po fasadzie. Wszyscy wiedzą o tym, że Pierwszy to on! Pozostali to tylko tępi naśladowcy, wykorzystujący gotowe ślady. Tylko on ma prawo się tu popisywać, wybrzuszony tors, krwawiące ręce, bystre oko, bez tchu, suchy, wyczerpany, ale pełen życia, nie zawdzięczający niczego nikomu, nawet Isalys.

Nagle obecność Solis staje się dla niego nie do zniesienia. Wszystko w niej go wkurza. Jej głos, słodkie miny, ta śmieszna pewność, że jest ponad wszystkim, obśliniony kolczyk na jej wardze, jej mądry warkocz małej dziewczynki, jej zarozumiałość, jej zmanierowana kontemplacja świata i innych, jej uprzejmości, kiedy trzeba krzyknąć, a tutaj, teraz, ten wszechogarniający sposób zbliżania się do uskoku z zamkniętymi oczami, na ślepo. Idzie na śmierć z głową do góry, nie mając bladego pojęcia, co robi. Żałosne. Jest żalosna. No śmiało, księżniczko, daj się pochłonać szczelinie i zniknij mi wreszcie z oczu.

Aureliusz przestaje bawić się swoimi bursztynowymi kośćmi. Przepchnął Sarashę włócznią przez szczelinę, dlaczego miałby teraz powstrzymać Solis przed wpadnięciem do środka? By trzymać się planu tego przekłętego spisku, który się przeciąga? Czy to właśnie to go powstrzymuje? Czy stał się sympatycznym psiakiem, który chodzi na smyczy? On, Pierwszy? Akurat!

Odrzuca odłamki bursztynu, otrzepuje ręce, powoli wstając. Nie spiesz się, upewnij się, że postępujesz właściwie. Nic go nie powstrzymuje, ani wątpliwości, ani skrupuły, tylko lekkie mrowienie w żołądku z niczego - z podniecenia, nie z obawy. Znajduje się z wyciągniętymi przed siebie ramionami i z otwartymi dłońmi, cał od pleców Solis.

„Aureliusz! Słyszysz?”

Solis odwraca się szybko, w oczach ma fajerwerki, które bombardują jej powieki czystą radością, nieskrępowanym dziecięcym entuzjazmem. Naśmiewa się z niekonwenjonalnego wizerunku, który odsyła.

„To Sarash! Słyszę Sarashę, jest w szczelinie! Aureliusz, ona żyje!”

Chwyta dłoń, którą wyciąga do niej Aureliusz i ściska ją swoimi podeksycytowanymi palcami. Aureliusz wpatruje się w nią, serce między dwiema wodami, emocje między powodzią a suszą. Ten wibrujący głos czystego życia, ta naga radość wyrażona w jej uśmiechu, pierścion na jej wardze lśniący jak jej ametystowe oczy, szlachetny warkocz, który czyni ją tak wyniosłą, jej świeża i spontaniczna wielkoduszność, sposób w jaki chce dobra dla wszystkich, czystość jej błyszczącego spojrzenia, uniesiona głowa w obliczu niebezpieczeństwa, ten brak gniewu, który on zna tak dobrze...

" O czym ty mówisz?

- Słuchaj!” Odwraca się. „Sarash? Sarash, czy to ty?“, rzuca Solis w kierunku szczeliny. Ponownie zwracając się do gladiatora. „Słuchaj, to ona, zapewniam cię, że to ona!”

Aureliusz nadstawia uszy, nie wychwytyjąc najmniejszego dźwięku, nawet szelestu. Przecież Solis wydaje się taka pewna siebie...

On, który nigdy nie wątpi, teraz czuje się skamieniały. Czy Faworytka Ognia przeżyła? Czy wyjdzie z rozpadliny jako nieumarła, która powstała z grobu, by żądać zemsty? Pot spływa mu po plecach, otaczające dźwięki nagle stają się ogłuszające. Ale tuż potem jest przekonany, że nic mu się nie stanie. Nie dziwi go ta huśtawka nastrojów, podobnie jak „bałagan nieważkości”, jest do tego przyzwyczajony, wie, że chaos grawitacji oddziałuje też na emocje.

Da radę, przecież już raz pozbył się dwóch Faworytów, może to zrobić jeszcze raz.

„Tam, słyszysz?”, Solis otwiera szeroko oczy, jak zahipnotyzowana. „Nie rozumiem, Sarash. Gdzie jesteś?”

- ...

„Sarash, idź za moim głosem!”

Po radości następuje niepokój, nagła zmiana, która wprawia Solis w oszołomienie. Szczelina znów bawi się jej uczuciami, ale ona nie zawiedzie. Słucha uważnie, odfiltrowuje wszystkie fałszywe dźwięki – zbyt szybki oddech Aureliusza, ledwo słyszalny trzask świata za linią uskoku... Oto głos. Dziecka. Nie Sarashy. Kogo?

Si-fon-ogień-si-fon-fiot-si-fon-smykaj

po-po-mroku-trwoga

o-o-odgłos

o-nie-nie-pomylić się

Rymowanka szybko staje się natarczywa, nawet bardziej niż pytanie, kto ją śpiewa. Solis koncentruje się tak, jakby od tego zależało jej życie – tak jest w przypadku życia Sarashy! Palcami improwizuje metronom, którym uderza w rytm refrenu.

Serce Aureliusza uspokaja się w rytmie serca Solis, raczej gorączkowym niż szaleńczym. Przed chwilą był sparaliżowany obecnością Solis, a teraz chce pomóc jej zrozumieć, pomóc jej ocalić Sarashę. Cholera, ale jak ona to robi? Za pomocą jakiej magii?

" Zrozumiałam !" triumfuje Solis.

16.2

Odwraca się, by wziąć Aureliusza na świadka.

„Syfon ognia jest szalony, trzeba uciekać. Cienia-strach. Uszu-dźwięk. Rację mają.”

Jest przeszczęśliwa, kwitnąca, promieniująca, trzecie słońce, które oświeśla Artellium.

Solis jest szalona lub niesamowita. Aureliusz już nie wie. Odkrywa, że to szczęście, którego doświadcza nie dla siebie, ale dla innych, jest takie piękne! Jeśli jest to szaleństwo, to on chce też być szalony.

Brwi Malkah marszczą się, zaćmienie przecina jej słoneczną radość. Jej przyjaciółka może nie jest jeszcze martwa, ale w każdej sekundzie ryzykuje śmiercią, muszą działać! Krzyczy przez szczelinę, pilna potrzeba ratowania przyjaciółki jest jak bomba w jej żołądku.

„Sarsh, posłuchaj mnie! Nie ufaj twoim oczom, tylko uszom! Sarash, słyszysz mnie?”

Brak odpowiedzi. Solis słucha rymowanki, zamyka oczy i nadstawia ucha do szczeliny. Jest przekonana, że rozwiązała zagadkę dźwięków, ale rozpaczliwie potrzebuje potwierdzenia. Nic. Nic oprócz dziecięcej rymowanki powtarzanej na okrągło.

Syfon ognia jest szalony, trzeba uciekać
Cienia-strach
Uszu-dźwięk
Rację mają

Jest skoncentrowana na wymowie, a każde wsłuchiwanie się w dźwięki, wzmacnia jej przekonanie: rymowanka zachęca nas do zaufania słuchowi, a nie wzrokowi. Gdyby tylko Solis zrozumiała, czym są „syfony ognia”, mogłaby bardziej pomóc Sarashie. Słyszała już gdzieś te określenia, nie pamięta jednak w jakich okolicznościach.

Pełna nadziei przepełnionej strachem, daje się zawładnąć piosence, zamienia swój umysł w audytorium, by lepiej przyjąć jej echa. Staje się kamertonem, tyle że nie stara się nadawać tonu, woli pozwolić sobie wibrować w zgodzie z wykonawcą. To głos dziecka... nie, nie tylko, gdyż w dolnym rejestrze słyszać inną skalę, bardziej dojrzałą. Głos tak rzadki jak gama koloratury, który potrafi przekazać wiadomość w kilku słowach, cienkich i wyraźnych jak ostrze miecza...

Shado! To głos Shado!

Czy Faworyt Cienie też jest uwięziony w szczelinie? Chyba że...

Elementy układanki zaczynają pasować do siebie z precyzją skalpela. Faworyt Cienie nie może pozostać więźniem własnego królestwa. Ta koląca czerń to ta sama magia, którą manipuluje Shado, ona już to widziała. Solis jest pewna, że te bursztynowe uskoki otwierają się na Invermonde.

Invermonde... jest popękany.

Hipoteza przecina tajemnicę jak tasak, a Solis poddaje się ostrzu radości, które brutalnie rozdziera jej wnętrze. Wreszcie, w końcu posuwa się do przodu jej misja. Ta, która

wszędzie w dłoniach miała nici bez żadnej logiki, tka pierwszy węzeł. Aby zrobić drugi, musi znaleźć Shado – i Sarashę, kierowana przez przywoływacza i jego rymowaną.

Solis poddaje się bez walki konieczności zaznaczenia tej chwili białym kamieniem – nawet złotym! Pochyla się, bierze w dłoń okrągły kawałek bursztynu i wsuwa go do kieszeni. Z poważnym uśmiechem wymalowanym na czerwonych ustach, bierze ramiona Aureliusza wciąż wyciągnięte w jej kierunku, przyciąga je do siebie, prowadzi go w kilku niestosownych krokach tanecznych na szczycie Gravleva, poprzecinanego falami „bałaganu nieważkości”, okaleczonego bursztynową szczeliną. Porwana tymi wybrykami, jej twarz tańczy zbyt blisko twarzy pięknego Aureliusza, a ich usta spotykają się na chwilę jednego oddechu. Kontakt elektryczny – duża intensywność i krótki czas trwania. Wysokie napięcie, wysoce niezadowolające. Solis przestaje się śmiać, przestaje tańczyć. Przypadek niczego tej sprawie nie zawdzięcza, wszystko dzieje się zgodnie z jej zadeklarowaną wolą. Robi postępy w swoich poszukiwaniach, ponieważ jej intuicja była słuszną. Aureliusz porywczy, a jednak tak kruchy w swej niewyobrażalnej męce, Aureliusz niby-zdrajca, pełen szalonego wdzięku, to on, nie wiedząc o tym, poprowadził ją właściwą drogą. Odnajdzie swoją siostrę. Ona znajdzie sposób na ocalenie prany.

Kładzie swoją dłoń za głowę Aureliusza, wsuwa palce w jego długie włosy i przyciska usta do jego ust. Językiem przekracza tamę jego ust i miesza ich ślinę z rozkoszą w niekończącym się wiciu.

Aureliusz jest przyszpilony tym pocałunkiem, zmysłowym i okrutnym. Poddaje się, ucieka od niej, pożąda, znowu ucieka i znajduje się u stóp muru, ciekły jak wyjąca lawa. Spontaniczny samozapłon od miednicy do policzków. Kolczyk, który Solis nosi na dolnej wardze, podnieca go,

oddaje się zabawie z nim, dziki, leniwy, stara się utrzymać swoją towarzyszkę na cienkiej linii oddzielającej przyjemność od bólu, gdzie bardziej niż gdziekolwiek indziej czujemy się żywi, ta delikatna przemoc. Zapał wypełnia jego podniebienie bolesnym pragnieniem intensywności, zarem, któremu poddaje się całym sercem. Drżąc, obejmuje Solis, przyciska jej biodra do swoich. Ich ciała łączą się, mieszają do tego stopnia, że mogłyby zostawić ślad po gorącym żelazie, ich ciała spływają mokrą magmą na rozżarzoną teraźniejszość, która się nie kończy.

Dobra robota Aureliusz, tym razem zakopałeś się po uszy i szyję, całymi stopami w samym środku, ze związanymi rękoma i kajdankami na języku. Cholera, cholera i cholera!

Nie wie co zamierza zrobić Isalys i nie obchodzi go to. Jest pełna rzeczy, którymi Solis nie jest, Malkah często zachowuje się tak, jak nigdy nie zrobiłaby jej ograbiona siostra, ale ten pocałunek... ten pocałunek... Isalys nigdy nie zaoferowała jemu czegoś podobnego.

Po raz pierwszy Aureliusz przeklina Rift i jego wieczne zakłócenia. Jego umysł jest zdezorientowany, chory, zagubiony w labiryncie luster. Nie wie już, komu pomóc, kogo wyeliminować, kogo kochać. Kim być. Jego pragnienia nie kierują już jego działaniami, jego pieprzone emocje przejęły kontrolę nad wszystkim innym i to go przecina, sieka na mnóstwo kawałków jego samego.

Solis wybrała za niego, to ona sprowokowała ten pocałunek. Ta, która jest jego oprawczynią. Dobrowolnie oddaje się jej w całości. Rift to kraina niepewności, pozorów, niekontrolowanej ewolucji, ale wraz z Solis wibrujące wrzosowiska tracą swoją moc i ponownie stają się terytorium jak każde inne, ze stałymi i uniwersalnymi prawami. Ziemia, na której możemy polegać, która będzie istniała jutro i przez wiele następnych lat.

Pomiędzy nimi, otoczony ze wszystkich stron, między dwiema przyciśniętymi do siebie klatkami, bursztyn żarzy, parzy, piecze.

Muszą się oddalić od siebie. Aureliusz próbuje przedłużyć ich uścisk, zasysając pierścień Solis, ale ich klatki piersiowe w końcu się cofają. Ich zapal zostaje pokonany, dzika bestia ścigana przez płomień paleniska. Usta na wpół otwarte, Aureliusz jest na granicy słowa...

Solis zakrywa jego usta jednym palcem. Aureliusz nie może powstrzymać się od polizania oparzeń tej skóry, która go dotyka.

„Aureli...”

Fiolet jej oczu kieruje wzrok gladiatora na ziemię. Unoszą się oboje na wysokość łokcia, dwie marionetki bez sznurków w rękach żartobliwego akrobata. Wokół nich odłamki bursztynu unoszą się w powietrzu jak wiele gwiazd na sklepieniu nieba, którego byłiby centralną planetą.

Solis znajduje się w stanie nieważkości: ciała zawieszone nad tarasem, uczucia zawieszone w przyszłości tej rodzącej się miłości. Skręca kark, by ofiarować swoją twarz złotemu, statycznemu śniegowi, który ją otacza. Wchodzi w harmonię z odłami bursztynu, ich ciepłem, wibracją. Nie chce niczego więcej, jak tylko nagrać ich śpiew, jak te urządzenia Mantrian zdolne odtworzyć koncert orkiestry symfonicznej dzięki prostej wibrującej membranie.

Zamiast dźwięku pojawia się obraz – zupełnie nie pasujący do ostrzeżenia z rymowanki, ale czy Invermonde nie jest negatywem tego świata? Promienie Rainara, gwiazdy bliskiej wschodu, chwytają zawieszone odłamki bursztynu i załamują się w nich w nieskończoność. Następnie tworzy się tęczą, którą widzi tylko Solis, rozkład magicznych właściwości tej substancji wypływanej przez uskok, widoczny dla tych, którzy potrafią go zobaczyć.

Pierwszy odcień: bursztyn to magiczna siła Artellium, z natury niewyczuwalna, zastygła... czysta prana.

Drugi odcień: czysta prana, która umożliwia nieznaną magię Aureliusza, to sekret jego przeklętego naszyjnika.

Trzeci odcień: Invermonde jest bardzo popękany, jej domysły są prawidłowe, Invermonde jest rozczepiony i emanuje zestaloną praną.

Czwarty odcień: logiczny, oczywisty wniosek, Invermonde jest zamieszany w degenerację prany.

Solis obserwuje tę wspaniałą tęczę, w której imperatywną potrzebę odnalezienia Shado wypisano jasnymi literami. Aureliusz odegrał swoją rolę, towarzyszył jej w drodze do rozwiązania. Teraz do Faworyta Cienia należy poprowadzenie jej ku uzdrowieniu prany. I uratowanie jej przyjaciółki Sarashy.

Nadal unosi się w powietrzu, ale czuje, jak ciężar jej zadania ściska jej ramiona, gęsty. Wie, że w chwili, gdy dotknie ziemi, nie będzie już czasu na tę słodką i prostą radość z tego, że zrozumiała ogrom jej misji, przejdzie do wszechogarniającego poszukiwania rozwiązania. Na razie pozwala sobie unosić się trochę dłużej, tylko chwilę, pauzę, zanim niewinność się skończy.

Jej ulga jest tak intensywna, że łzy napływają jej do oczu. Jeszcze bardziej niż kiedyś, może oddawać się swoim nowym uczuciom do Aureliusza, pozwolić sobie na luksus eksplorowania ich, by przekonać się, czy jej odpowiadają i z czystym sumieniem zdecydować, czy chce się im poświęcić. Pozwala sobie na to tym łatwiej, że czuje z siłą nie pozostawiającą cienia wątpliwości, że Hannibal udziela jej pełnej zgody.

Śmieje się, rozbawiona zagubionym spojrzeniem Aureliusza, który nie wie już, któremu świętemu się poświęcić, wybuchy śmiechu, które sięgają daleko poza taras

Gravleva, by rozweselić wszystko dookoła, nietknięte przez „bałagan nieważkości”.

Daleko stąd, gdzie katapultował go wichur grawitacyjny, Hannibal leży na ziemi, oparty plecami o skałę z twarzą zwróconą w stronę szczytu Gravleva. Uderzenie było tak gwałtowne, że warstwa detrytusów i pyłu pokrywająca Rift została wyrzucona z krateru, więc znajduje się na zdrowej, czystej, pierwotnej ziemi, na terytorium Solona sprzed wybuchu. Czuje się dobrze, mimo pokruszonych kości i zmiażdżonych organów. Jego ból jest tak intensywny, o wiele większy niż ten, którego mógłby doświadczyć człowiek, zostawia więc go w spokoju. Pogodny, spokojny, wyzwolony. Gotowy oddać się Śmierci, która go kusi i wkrótce go zabierze. Ale jeszcze nie teraz...

Ślady na ziemi wskazują, że doczołgał się do tej skały, chciał się tu znaleźć, by dać sobie szansę zobaczenia Solis po raz ostatni. Aby to zrobić, zużył ostatnią uncję proszku z kłów ze swoich skaryfikacji. W ten sposób będzie mógł umrzeć oczyszczony z tego grzechu pierworodnego, tego kłamstwa przez zaniedbanie, które zaserwował swemu panu Tumulowi, nie mogąc przyznać się do tego, że skalny robak był już martwy, kiedy chwycił za jego trzy kły.

Wysiłek sprawia, że dyszy i, że nie poruszy się już więcej. Jego ciało jest zwapnione, jak leżący, który oznacza grób, tylko jego oczy pozostają ruchome. Nie potrzebuje niczego więcej, by obserwować odległego Gravleva.

Mimo odległości widzi świetliste barwy opalizujące dach, słyszy muzykę ich radosnego baletu, smakuje dreszcz dumy, który gra w kości z jego połamanym szkieletem, czuje wiatr nadziei, który łapie ostatni dreszcz jego skamieniałej skóry i łaskocze bezwładne nozdrza. Wszystko to, ta lśniąca, silna i inspirująca magia, ma tylko jedno możliwe źródło.

Po raz ostatni daje się olśnić przez Solis.

Jego kamienne oko zamarza w tym zaczarowanym świetle, jest teraz tylko martwym posagiem. Cicha i niezmienna Ziemia w końcu wita Hannibala, swojego Faworyta, z powrotem na jej terytorium.

Rozdział 17

GWIAZDY ROCKA

„Tak, nie jest jeszcze w dobrej kondycji... Nie wiem jeszcze, wymyśliłem dla niej trochę domowego dopalacza, znasz mnie!... Tak, też oglądamy debatę... Naprawdę, to miłe, ale lepiej nie... Następnym razem, obiecuję!...”

KatKa słyszy tylko połowę rozmowy taty z sąsiadami - chłopaki właśnie przyszli zapukać do drzwi, jakby hologram nie istniał... co za boomery! A ponieważ æl słucha tylko jednym uchem, to to, co słyszy æl, to nic wielkiego. Ale jest to wystarczające, by wiedzieć, że jej przyjaciółka Meera nie pojawi się w domu. Na szczęście, bo znów zanudziłaby ją swoim „najnowocześniejszym SITem, zbyt modułowym, zbyt przereklamowanym, zbyt, zbyt... przysięgam, czekaj, pokażę ci!”.

Miniaturowe KatKi zwycięsko wiją się po ekranie na jej skórze.

„Dziękuję” — mówi Atale do Fabro, kiedy ten zamyka drzwi.

- Nie ma problemu. I tak nie ma wystarczająco twojego specjalnego sosu chili, żeby podzielić się nim z siedmioma osobami, więc...

- Mimo wszystko powinniśmy znaleźć inną wymówkę. Mój kontrakt został zawieszony, to nie jest zaraźliwe.

- Aaach, ale mówiąc, że jesteś „niedysponowana”, nie twierdzę, że jesteś chora, raczej należy to rozumieć w sensie „nie zawałona pracą”.

- Pfff, mam ci uwierzyć!”

KatKa obserwuje tę scenę z ukosa, widząc przerażona, że jej ojciec myśli, że jest zabawny. Jej mama chichocze, jej tata wygłupia się, żeby jego żona jeszcze bardziej chichotała, pocałunek wymieniany przez blat, który powoduje, że łyżka wpada do sosu, który rozpryskuje się wszędzie, jej tata robi nowy żałosny grymas przeprosin, błagając o kolejny pocałunek, jej matka, która jednym ruchem palca odzyskuje pikantny sos, aby posmarować jego usta, nowe wybryki, nowy kumplowski śmiech... Poważnie, nawet w e-romansach za dwa grosze, nie uwierzyłbyś w to!

Miniaturowe KatKi wymiotują strumieniami cukierkowo-różowych pianek marshmallow.

Ale hej, jej matka na razie dotrzymuje obietnicy: dokłada starań w kontaktach z Fabro i obje przestały się kłócić przez cały dzień. Nie jest to dla niej łatwe, wiedząc, że została zwolniona z pracy. Wiedząc, jak bardzo Atale zależy na jej projekcie autonomicznego robota, mogło to szybko przerodzić się w tragedię, ale nie, zamiast tego skorzystała z okazji, by zrobić dla siebie miejsce w tym domu, który opuściła na jakiś czas. Więcej przytulania z Onyx, więcej więzi z Fabro, więcej czasu dla siebie. Tylko z KatKą zrobiła mniej: mniej kazań, mniej presji, mniej rad... W końcu każdy coś z tego wyniósł.

Miniaturowe KatKi znikają na rzecz wielokolorowych, uśmiechniętych emotikonów – jeden lub dwa śmieją się jak źli faceci w złych filmach.

Cóż, zostawmy to wszystko, debata wkrótce się rozpocznie. Generalnie æl nie przepada za gierkami polityków, ale trzeba przyznać: Arhax vs Intendent, to zapowiada się równie obiecująco jak finał w Appologium!

Podłączona do sieci, æl surfuje po powodzi komentarzy, które wzbudza to wydarzenie – burzliwym potoku, czasem toksycznym, ale po którym æl porusza się z łatwością, nie dając się im przytłoczyć. Wszyscy w ÅPØLØW są chętni do działania, ta debata będzie miała duże znaczenie, wszystko zależy od formy jaką ona przybierze. Wielu ma nadzieję, że Arhax zdobędzie punkty podczas występu: ten facet jest tak szalony, że wszyscy uznają za normalne to, że młodzież się przeciwko niemu buntuje. KatKa również nienawidzi Robotyka, to tego rodzaju błazny zniechęcają jej matkę do pracy.

Holograficznym pojedyńkiem interesuje się nie tylko ÅPØLØW. Bukmacherzy stawiają pięć do jednego na zwycięstwo Intendenta, ale najbardziej szalone zakłady dotyczą SeeLunga, techno-genteycznej supergwiazdy, która w przerwie zagra bezprecedensowy koncert. Czy w końcu zdradzi do jakiego stylu tech należy? Kwoty, które wchodzi w grę są szalone, zwłaszcza wśród cyb', wśród których SeeLung jest najbardziej popularny. KatKa waha się, powstrzymuje, a potem poddaje się: mały zakład nikomu nie zaszkodzi, a jeśli æl wygrałaby, Onyx byłaby zachwycona – One kocha SeeLunga. Mimo to æl wymazuje wiadomości, æl ponosi odpowiedzialność za to co zrobiła, może nie tak do końca...

„Żadnych podchodów” – rzuca Onyx siedząca na ziemi pośrodku mieszkania, tak jak zwykle.

KatKa zamarza, czyżby æl została właśnie zdemaskowana przez program antywirusowy z Norii? Jak to możliwe, że One udało się ją zdemaskować?

„Tato, mam, powiedzieliśmy sobie żadnych tajemnic, nalega dzieciak, to wy tak powiedzieliscie!”

KatKa powstrzymuje z ulgą westchnienie, rozbawiona odkryciem, że jej siostra przeraża ją bardziej niż agent Opaxu. Æl będzie musiała nauczyć się lepiej kontrolować swoje reakcje, jeśli æl chce bardziej zaangażować się w operację ÅPØLØW.

„Dlaczego myślisz, że ukrywamy coś przed tobą, kochanie?”, pyta Atale.

- Mam wiedzę kiedy kłamać, powiedziałaś mi to, a ja też jestem mamą”.

Onyx obdarza swoje dwa roboty czułym spojrzeniem, po czym zwraca się do rodziców. Jej oczy są bardzo poważne. Efekt psuje się trochę, gdy zaczyna drapać się po rosnącej narośli na jej brodzie, po tym jak została ona oderwana podczas niedawnej napaści.

„One, czy zdradzisz mi swoją tajemnicę?”, błaga Fabro. Ja też chcę zrozumieć tajemnice mam.

- Proste, Onyx ustępuje z dziecięcą psotą. Jak tylko przestajesz mówić tato, to znaczy, że potajemnie dyskutujesz w sieci.

- Co? Czekaj, nie dyskutuję cały czas!

- Nie, nie zawsze dyskutujesz wtrąca się KatKa z nosowym chichotem. Zdarza ci się zatrzymać czas, aby trochę porozmawiać. Czasem też plotkujesz.

- Można dodać, że lubisz pogawędki - dodaje Atale, zaciskając usta, by powstrzymać głośny śmiech.

- Ale..... ale...

- Rozmawianie, gawędzenie, plotkowanie, gadanie...

- Chat, biadolenie, dorzuca KatKa po swojej matce.

- To jakiś spisek! protestuje Fabro. Żądam Norianalyse” – mówiąc to, udaje, że otwiera aplikację Norii na swoim SITcie. Zmienia ton głosu, patrząc czule na każdego członka swojej rodziny. „Obywatel-akcjonariusz Fabro Lag’Chuo, analiza czasu wystąpień. Szacunek jednodniowy: 69%”. Przyjmuje swój naturalny głos. „Ach, widzisz, to nie tak dużo!”. Marszczy brwi, aby zaznaczyć zmianę tonu. „Obliczenia przeprowadzone przez cały dzień i w czasie snu. Odpowiada to 100% czasu rozmów w godzinach czuwania, a ty rozmawiasz nawet w nocy.

- Czy to też się liczy kiedy chrapiesz?, pyta Atale.

- OK, jestem cicho!

- Chodź tu, pomogę ci.”

Atale składa niezbyt cichy pocałunek na ustach męża.

"No nieeeee! Buntuje się KatKa. Macie wasz pokój, ile razy mam wam to powtarzać?"

Onyx śmieje się serdecznie, uwielbia tę kochającą wersję swoich rodziców – Kat udaje, że jest inaczej, ale æl też tak woli. One mogłaby przysiąc, że tak jest. Jej śmiech szybko jednak gaśnie, bo właśnie stoi przed trudną decyzją, jak wtedy, gdy dorośli muszą wybierać między dżumą a cholesterolem.

Kubu czy Sphax?

Oznaką jej okrutnego niezdecydowania jest to, że bez końca kręci swoim light-stickiem. Latarka, niezbędne narzędzie dla prawdziwych fanów SeeLung, składa się z perłowej, złożonej rączki i zwieńczona jest pryzmatem wielkości diamentu pierścionka zaręczynowego z bajki. Wewnątrz osadzony jest kwiat ze złotym sercem otoczony pięcioma białymi płatkami. Roztargnionym kciukiem Onyx uruchamia włącznik – również w kształcie kwiatka – ale nic

się nie dzieje z powodu rozładowanej baterii. Normalnie wystarczyłoby wziąć jedną z dozownika, ale ona woli nie robić tego. Nie chce, żeby mama powiedziała nie, ani by tata rzucił jakiś głupi żart – bo wie, że on też się nie zgodzi. Będzie musiała korzystać z baterii swoich robotów.

Więc Sphax czy Kubu?

„Tato?”, dzwoni na specjalny kanał, który odbiera tylko Fabro.

- Tak, moja mała zwolenniczko tajemnic?

- Gdybyś miał wybierać między Kat a mną, kogo byś wybrał?

- Ale, kijanko... Kocham was obie!

- Wiem, ale wyobraź sobie, że musisz naprawdę wybierać?

- Oh. Niech pomyślę... wiem!”

Fabro utrzymuje napięcie, Onyx czuje, że wyjdzie znów z kiepskim żartem. Zwykle to lubi, ale teraz z nią to denerwuje, bo to jest coś zbyt poważnego, żeby się śmiać!

„Z każdej wziąłbym wiele drobiazgów: głowę mojego ulubionego jednorożca, skórę ekranową Kat i tego typu rzeczy.

- Ale tato, to po prostu niemożliwe, jak zrobiłbyś byśmy obydwie nie zginęły?

- Oh, nie wiem tego! Dopóki nie znajdę na to sposobu, zatrzymam was obydwie.

- Mhm. Powiedz tato, czy myślisz, że Kubu i Sphax mogą działać mając tylko połowę baterii?

- Założę się, że twoja mama może znaleźć dla ciebie jakieś rozwiązanie. I jestem pewien, że bardzo będzie szczęśliwa, jeśli ją o to poprosisz.”

Onyks drży, jak wtedy, gdy crieruny łaskoczą ją w szyję. Odwraca się do ojca, nie za bardzo świadoma, że był to wylew miłości. Kiedy mruga do niej wcale nie dyskretnie, ona

chichocze w swoją dłoń, po czym mruga też do niego. Zamyka oczy tak mocno, że guzek na jej czole kłuje jej powiekę. Nic wielkiego, warto było.

„Hej mamó, czy możesz mi pomóc?”

Prace majsterkowe, które wywiązały się z rozmowy, wykraczają trochę poza harmonogram, ale nikt nie przejmuje się rozpoczętą debatą. Atale rekonfiguruje Sphaxa – który traci zdolność latania, ale zachowuje swoje kamery i Kubu, który kręci się teraz w kółko na jednej gąsiennicy tracąc wszystkie czujniki. Aby zaopatrzyć oddział, Fabro przekształca jedną ze swoich rzeźb w dozownik orzeszków ziemnych, wyposażając ją w sprężynowe ramię, które wpycha orzeszki bezpośrednio do ust chciwców, a najczęściej obok nich. Onyx owija Kubu girlandą z bioluminescencyjnych diod LED, podczas gdy KatKa zawiesza Sphaxa na suficie. Będąc w trakcie korzystania z samouczka, który przewija się po wewnętrznej stronie jej przedramienia, æl ponownie zaczyna interesować się debatą: zgodnie z kanałem informacyjnym, Intendent dostaje po tyłku w wersji XXL.

Zaintrygowana, KatKa patrzy na hologram wirujący w tle mieszkania, z dźwiękiem ustawionym na najniższy. Trzymając ręce w górze, æl jest świadkiem całkowitej klęski Intendenta – efekt jest jeszcze bardziej zdumiewający, ponieważ æl nic nie słyszy. Przerażony, rozłożony, wydaje się tak zagubiony jak neo-cyb, który rozpoczyna swój pierwszy samodzielny implant. Mogłoby to być zabawne, ale jest przede wszystkim niewygodne, jakby SeeLung nagle zapomniał tekstu swojego największego przeboju w samym środku koncertu. Dla kontrastu Arhax wygląda pewny siebie i efektownie, przykuwa uwagę i całe światło, nieodparta, urzekająca czarna dziura. Jest to niepokojące, potencjalnie destrukcyjne, ale on promieniuje.

Na ekranie skóry KatKi paradyją hipotezy: Intendent byłby chory lub naćpany - „Chcę jego narkotyki!” „, rzuca w komentarzu gReek, haker-gwiazda sieci. Neuropsycholog analizuje na żywo występ rzecznika Norii, mając graficzne wykresy na poparcie swojej analizy, widząc na nich ślady silnego szoku psychicznego. Jakiego? Brak pomysłu...

Wyszukujemy wszystkie możliwe oszustwa, których polityk mógłby się dopuścić, w szczególności tę historię upadku tak krótkiego, jak spektakularnego w rankingu Eco-mieszkańców, ale nie ma sposobu, aby znaleźć rzetelne wiadomości na ten temat, poza kilkoma krótkimi fragmentami w *Take news* od Liv, w kronice śledztwa.

„Ten palant doprowadzi mnie do utraty wszystkich zarobków!”, protestuje @ssasumaru, podczas gdy ocena Intendenta spada.

KatKa powstrzymuje to co robi æl, Sphax zadowolili się pojedynczą parą skrzydeł. Æl schodzi ze swojej drabiny, która jest połykana przez podłogę z pamięcią kształtu i siada ze skrzyżowanymi nogami przed hologramem. Æl wycisza dźwięk – bez względu na to, ile bzdur zostanie wymyślonych, tutaj liczy się gra pozycji. Æl uruchamia domowe oprogramowanie do analizy obrazu, które łączy różne pola kamer, aby ponownie odtworzyć całe studio, w którym odbywa się debata. Program określa linie sił i punkty wycieku rekonstrukcji, następnie pojawiają się nałożone kształty geometryczne, aktualizowane na bieżąco. Horyzont i ukośne, stopniowo zbiegają się w kierunku osoby w tle, która jest jedną stopę za kulisami, a drugą na planie.

KatKa skupia się na niej. Uśmiech osoby ujawniającej informacje, która budzi zaufanie lub antypatię - to zależy - IAsystent z jaskrawoniebieskim kolczykiem na dolnej wardze,

w szaliku w kolorze wina, który zakrywa jego głowę i wzmacnia jego intrygującą stronę.

Oprogramowanie mapuje jego twarz i uruchamia wyszukiwanie. Wizytówka holograficzna pojawia się spontanicznie, gość nie ma problemu z ujawnieniem swojej tożsamości. Alcred, meta-doradca agencji T-Rose, specjalista od kapitału wysokiego ryzyka wizerunku publicznego. Slogan: „Rozwiązanie wykraczające poza twoje ambicje”.

„Ojejku, KatKa stuka czterema palcami po swoim przedramieniu. Czy to nie on byłby iluzjonistą tego przedstawienia?”

Æl dołącza do wiadomości analizę swojego programu i kilka przykładowych filmów. Jej komentarz jest szybko podchwytywany, umieszczany w hashtagu, a następnie w głównym temacie. Jej hipoteza wzbogacona o dodatkowe badania staje się trendem, a następnie najważniejszą w ÅPØLØW.

KatKa czuje adrenalinę, gdy jej wpis osiąga wyżyny, a w jej brzuchu bulgoczą bąbelki. To co mówi æl, co pisze æl, zmienia postrzeganie tysięcy followersów. Æl robi coś pożytecznego, æl jest przydatna. To szaleństwo, co za dreszczyk emocji!

„Siła naszej demokracji bezpośredniej”, rzuca Intendent do prezenterki, która zadaje mu pytania.

Podobnie jak wcześniej w przypadku Onyx, KatKa ma dziwne wrażenie, że rzecznik Norii reaguje na to, co właśnie zrobił æl, co wciąga ją jeszcze bardziej w trwającą debatę.

„A waszym zdaniem, Arhax, pyta dziennikarka, która prowadzi wymianę – persona, aby dać przeciwnikom politycznym całą ucieleśnioną przestrzeń programu – co sprawia, że Mantris jest największą potęgą?

- Daleki. Są szybsze niż szkapę Arkhanthii i pozostawiają za sobą mniej gówna.”

Wybuchy śmiechu na widowni, tak naturalne, jak w komicznym programie nagrany na żywo. KatKa ignoruje na wpół zamrożony uśmiech Arhaxa, ał ma oczy skupione tylko na Alcredzie, którego usta są zachlapane niebieskim neonem jego transmisji IAssistanta. To jest jasne i pewne, to on pilotuje Arhaxa, 2.0!

„Żadnych innych argumentów?, nalega persona. Mamy łączną widownię na poziomie 82,8%, czy twoi słuchacze nie zasługują na bardziej osobistą odpowiedź?

- Oczywiście, że tak. Daleki i związane z nimi mistrzostwa.

- Pilot Julian był twoim bliskim przyjacielem, jego śmierć naznaczyła całe Mantris. Jednak przez osobistą odpowiedź miałem na myśli...

- Proszę przestać. Przestańcie minimalizować śmierć Juliana do błahych wiadomości. Jego śmierć to strzał ostrzegawczy! Widzę ich, tych, którzy chcą stłumić ten krzyk alarmu. Tych, którzy chcą ukryć prawdę. Chcecie wiedzieć, co mam im do powiedzenia? Mantris nie jest największą potęgą.”

Śmiechy dławią się, atmosfera na planie traci około trzydziestu stopni, w mieszkaniu wszyscy zamierają i unoszą głowy, tylko Kubu dalej kręci się w kółko. KatKa jest zdumiona, jak to możliwe, że twarz w połowie odlana z cerametu może być tak onieśmielająca? Nagły gniew Arhaxa przeraża do tego stopnia, że osobowość osoby się psuje.

Arhax zwraca się do Intendenta, który stara się ukryć zaskoczenie.

„Oto moja odpowiedź, Robotyk stawia kropkę nad „i”.

- Nie jestem zbytnio zaskoczony tym co mówisz Arhaxie, odpowiada Intendent, ale tu mnie zadziwiasz. Kogo oskarżasz o ukrywanie prawdy? W twoich słowach są ślady spisku. Jestem przedstawicielem Norii i nie pozwolę pluć na nasze instytucje. Zapominasz o tym, że jesteśmy demokracją bezpośrednią i że brudzisz również imię naszych obywateli-akcjonariuszy.”

Arhax uśmiecha się patrząc na sufit, kręci głową na „nie”, patrzy na Intendenta jakby chciał, by się nad nim zlitowano, po czym powraca do rozmowy jakby nic się nie stało:

„Demokracja bezpośrednia, serio? Dwadzieścia najpopularniejszych konsultacji roku dotyczyło tylko trzech różnych tematów: Festiwalu Świąteł, skinów w Metaversie i pogody w kopule. A kiedy prawdziwy temat wychodzi na jaw, jak na przykład straszny kryzys energetyczny, który zagraża każdemu domowi Mantrian, zostaje powierzony on DCM, nieprzejrzystej komisji, która zastępuje obywateli-akcjonariuszy, aby podjąć decyzję o płatnych bateriach, bez najmniejszej konsultacji. Nazywasz to demokracją, Panie Intendencie? Nie ja! Nie twarzą do kamery, ale patrząc prosto w oczy 82,8% skumulowanej oglądalności!”

Robotyk zdecydował, by dalej wspinać się w tej rundzie, pozwolić, by magnetyczny cylinder emocji oszalał. Kogo obchodzi apel Alcreda o wstrzemięźliwość, przyszedł dyskutować projekt przeciwko projektowi, a nie rozbawiać widownię. A potem nagle przyszła mu do głowy ostatnia sugestia meta-doradcy, rzucona tuż przed wejściem na plan: „za każdym razem, gdy mówisz, zadaj sobie pytanie, co pomyślałby Julian”.

Dobrze byłoby by właśnie posłuchał tej rady...

„W przeciwieństwie do ciebie...” Arhax podejmuje spokojnie, ale Intendent wyciąga spod niego dywanik.

- W przeciwieństwie do mnie ? Uspokajasz mnie Arhaxie, przez chwilę myślałem, że nawet nie zdawałeś sobie sprawy, że wszystko, absolutnie wszystko nas różni.

- Nie wiem, czy wszystko nas różni. Wiem, że nie sprzeciwiasz się już niczemu. Zwłaszcza naszym wrogom. Zmieniłeś się Intendencie. Oszukujesz się, umywasz ręce. Sprawiasz, że myślę o tych balsamistach, którzy malują zwłoki, żeby ukryć ich stygmaty. Bo patrzeć śmierci prosto w twarz jest przerażające.

„Sam ją widziałem. Mężczyzna, którego kochałam, miał poderżnięte gardło przez czarnoksiężnika Cienia, na bezpośredni rozkaz Malkah. Oddałabym wszystko za...”

Nowy zwrot w uczuciach okazywanych przez Arhaxa. Przybiera on zboląły wyraz twarzy, o spojrzeniu zagubionym w pustkę, w kolorze bólu duszy, silnie poruszającym w osobie Robotyka. Trzepot wilgotnych rzęs i wznawia:

„Nie chcę żadnego różu na mojej żałobie, żadnego makijażu. Nie chcę by ktoś mnie ratował. To cena, jaką trzeba zapłacić za zmierzenie się z prawdą. I przeciwstawić się terrorowi.”

Na trzeźwo, Intendent kiwa głową, zna wszystkie sekrety komedii politycznej jak własną kieszeń, ale cóż... jak temu podstępnemu Arhaxowi udało się go dotknąć, choćby przez pół sekundy? Próbuje więc kontrataku.

„Ja też straciłam w pewnym momencie swojego życia ukochaną osobę. Wiem, jakie to trudne. Ale gdybym uczynił rządy Mantris swoją sprawą osobistą, sprzeniewierzyłbym się obowiązkom związanym z moim stanowiskiem. Przywództwo nie ma nic wspólnego z zemstą, Arhaxie! Widzisz, że wszystko nas różni.

- To prawda, nic w tobie nigdy nie jest naprawdę osobiste. Nic tobą nie wstrząsa. Nie wpływa na ciebie to, że Mantris upada? Mantris nie jest już największą potęgą, jaką

była kiedyś. Ale kogo to obchodzi? To nie jest osobista sprawa!

„Dawno, dawno temu naginaliśmy ten świat do naszej woli. Przelecieliśmy nad księżycami Artellium, pokonaliśmy nieuleczalne choroby. Tak, w przeszłości znaliśmy wieczność... W przeszłości. W tamtym czasie nie zmuszaliśmy ludzi do kompromisów, zachęcaliśmy ich do przekraczania samych siebie. Nie wielbiliśmy środków ostrożności, gloryfikowaliśmy inicjatywę. Nie liczyliśmy z drzeniem ostatnich zapasów trisela, wypełnialiśmy je. Nie baliśmy się rywalizacji, podchodziliśmy do niej z lekkim sercem. Może dlatego, że wtedy to było osobiste. Los Mantris był osobisty. Dla wszystkich. Od dołu do góry społeczeństwa, to było osobiste. Co się stało? Dzisiaj strach jest wszędzie, boimy się wydać za dużo. Boimy się zdenerwować małą królową Arkhantii. Boimy się nawet jutra.

" A wiesz dlaczego? Dlaczego tak bardzo boimy się Arkhantii?"

Pozostający cały czas w swojej przemowie, Arhax wpatruje się w przytłoczonego Intendenta.

„Aby tak bardzo bać się magii, trzeba stracić wiarę w naukę. A Mantris to właśnie nauka! Nauka, która oferuje obywatelom długie życie. Nauka, która chroni nas przed nieszczęściami i chorobami. Nauka, która odciąża obywateli-akcjonariuszy od ciężkiej pracy. Nauka, która oferuje naszym dzieciom edukację i przyszłość. Nauka, która nas podnosi na duchu i odżywia. Nauka, która dzień po dniu buduje cywilizację. I to prawda, tak. To prawda... to kosztuje. Wszystkie te korzyści wymagają energii.

„Mówisz, że nauka stała się zbyt kosztowna. Tak bardzo kochasz Arkhańczyków, że chcesz, żebyśmy żyli jak oni. W slumsach przy świecach.

- To jest niedorzeczne! Nie chcę, żebyśmy stali się Arkhańczykami, ale po prostu za wszelką cenę utrzymywali pokój z tym wielkim królestwem.

- A oni ? Chcą pokoju za wszelką cenę? Nie sądzę, nie. Ich terytorium jest dziesięć razy większe niż nasze. Co oni z tym robią? Nic. Gardzą triselem, nie wydają z niego ani grama, by poprawić los ludzi. Ani tam, ani tutaj. Arystokraci Arkhantii nie dbają o ludzi, ani ich, ani naszych!

„Pytają mnie: jakim prawem będziemy eksploatować kopalnie na ich ziemi? Odpowiadam: prawem cywilizacji! Malkah odmówi i co, mamy upaść na kolana? Dlaczego nie okłaskiwać jej i nie dać jej premii! Mam do ciebie pytanie, Intendencie: co mogło sprawić, że straciłeś wiarę w naukę?”

Intendent wie, jak skomponować kilka masek, aby natychmiast ukryć swoje emocje, ale całe jego szkolenie okazuje się w tym przypadku niewystarczające. Nagle zaczyna się bać tego nowego Arhaxa, wciąż niebezpiecznego psychopaty, ale teraz zdolnego do samo kontroli, kruchej, ale prawdziwej. Oszołomiony tym nieoczekiwanym przeciwnikiem, oszołomiony jego groźbami, rzecznik Norii pomaga bezradnie swojej porażce, która wygląda jak złowrogi wrak statku

„Ach, patrzysz w inną stronę” – rzuca Arhax. To tak bardzo ty! Tak, jestem twoim dokładnym przeciwieństwem. Nie boję się prawdy. Wierzę w naukę. Wierzę, że jest przyszłością Mantris, jej szczęściem, jej szansą. Uważam, że warto o nią walczyć. Nie jestem zawodowym politykiem, ale jestem tym, który robi wszystko, by coś zmienić. Pójdę po trisel tam, gdzie jest, z moimi wnętrznościami, z moimi zębami. Jestem hełmem. Nie pozwolę nikomu wejść mi w drogę. Nauka kosztuje, ale jest bezcenna. Intendent zapomniał, kim są Mantrianie! Jesteśmy ludem budowniczych, innowatorów, prostych ludzi, którzy trudzą

się, chodzą razem i trzymają się razem! Robimy to dla naszych dzieci, dla naszych rodzin, dla naszych sąsiadów. Jesteśmy cywilizacją. Mantris to klejnot niepodlegający negocjacom.”

Wzruszony Arhax zwraca się do dziennikarki.

„Oto moja odpowiedź. To jest moja oferta dla naszego narodu”.

Nowy błąd w personie, która nie wie, jak zareagować. Zbita z tropu produkcja, w trybie pilnym, uruchamia koncert w przerwie.

Rozdział 17.2

„Zaczyna się! wykrzykuje Onyx, gdy tylko światła na planie przyciemniają się, a potem gasną.

Z motylami w brzuchu pośpiesznie przykleja na nowo girlandę Kubu i aktywuje fasetowane oczy Sphaxa. Następnie bierze w obie ręce swój light-stick i mocno przyciska go do mostka, na czas zajęcia pozycji na środku ekranu – małe kroczyki w lewo, podeszwy chrzęszczą po ziemi, trochę bardziej w prawo, tak, tutaj jest idealne miejsce.

W końcu będąc na właściwym miejscu opuszcza głowę, aż zobaczy duży diament. Zapalona drżącym palcem lampa rzuca snop światła, który pięciopłatkowy kwiat zamienia w fontannę promieni. Twarz Onyx jest spryskana kolorowymi kropelkami, jej zarosty obrzucone są jedwabistymi refleksami... Light-stick zmienia ją w opalizującą księżniczkę. Wszystko jest gotowe. Od wielu dni ćwiczyła choreografię, twardo negocjowała, żeby pozwolili jej iść późno do łóżka, rozważnie czekała, aż panowie skończą rozmawiać, a teraz nadszedł właściwy czas.

Jest gotowa. To naprawdę musi się już zacząć, bo jest tak zdenerwowana, że musi się wysikać!

„Kocham was, moi FF! Moi Fantastyczni Fani!
- SEEELUUUNG!”

Wokalista wskakuje na scenę przy okrzykach setek tysięcy fanów zsynchronizowanych za pomocą light-sticków. Rozbrzmiewa muzyka, pikantna jak musujący cukierek w proszku, a SeeLung rozpoczyna pokaz pod kaskadą gorączkowych reflektorów. W Mantris, dzieci i nastolatki zaczynają tańczyć ze swoim idolem, naśladując jego gesty z równą niezręcznością, co pasją, krzycząc, śpiewając, podskakując wszędzie, czasem mdlejąc, często płacząc z nadmiaru emocji.

Perfekcyjne odbicie SeeLunga, Onyx wyrzuca swój light-stick w powietrze, obraca się, zastyga, łapie light-stick jedną ręką, ślizga się krok w bok, potem w drugi, rozkłada ramiona z gracją lotu ptaka, obraca się, stopniowo unosząc ramię, tworząc wir poświaty, uderza stopami o ziemię w idealnie zsynchronizowanym rytmie, zatrzymuje się w trzech czwartych twarzą do ekranu, w tempie unosi ramię i przyciska do niego policzek, robi sobie przerwę, uśmiechając się... i zaczyna od nowa w jeszcze bardziej wirującym cyklu.

Dziewczynka jest przemieniona. Dosłownie. Jej nieestetyczną twarz przemienia bezgraniczna radość, jej zaokrąglone jeszcze przez dzieciństwo ciało sugeruje udaną młodość, stygmatyzujące narośla stają się nieodzownymi dodatkami oryginalnego i niepowtarzalnego stroju scenicznego. Występ, który przedstawia Onyx, to nie tylko hołd dla jej ulubionej gwiazdy, dzielony z tysiącami fanów w transie, nie. To, co ucieleśnia, jest dowodem na to, że będzie ona w stanie sobie poradzić, demonstracją, że nieuleczalna choroba nie jest tym, co powstrzyma ją przed rozkwitem, niezachwianą wiarą w świetlaną przyszłość.

Koncert SeeLung może pozostawić obojętnym wielu Mantrian, ale nikt nie pozostanie obojętny na to co Onyx oferuje z odwagą i nadzieją.

W każdym razie nie KatKę. Æl podziwia swoją młodszą siostrę, jej wewnętrzną siłę, pewność pięknego jutra. Jej rola starszej siostry zmusza ją do bycia bardziej realistyczną: jutro nie będzie lepsze, nie, jutro będzie paskudne, ale w obliczu spektaklu nieskończonej czułości Onyx i jej tańczącego lightsticka, KatKa wie, że æl ma trochę przyszłości, o którą trzeba walczyć. Æl ma szczęście, że ją ma. One daje jej impuls do kontynuowania walki razem z ÅPØLØW.

Wzruszona, rozbawiona, trochę też przerażona, æl patrzy na rodziców, by delikatnie śmiali się z nią z przedstawienia – tego w mieszkaniu, nieskończenie lepszego od tego pokazanego na ekranie. Æl jest bardzo rozczarowana: stojąc przed blatem, za plecami swoich dzieci, Fabro i Atale są zamrożeni, wyglądają na nieobecnych i trochę smutnych. Całkowicie nie nadążają za uczuciami, które przez nią przepływają i którymi æl chciała się z nimi podzielić.

KatKa dyskretnie dotyka swojego prawego nadgarstka i loguje się do prywatnego Metawersu rodziców – po prostu nie musieli używać tego samego hasła, wszędzie i przez cały czas. Æl wnika jak widmo w wirtualną przestrzeń, aby szpiegować ich rozmowę, nie mniej widoczna niż świetlik na nocnym horyzoncie.

„...nie mogę pracować dla takiego faceta” — mówi jej matka do osoby ubranej w wygodny, bezkształtny strój, którego nigdy nie odważyłaby się założyć, nigdzie poza swoim metaversem. Słyszałeś to tak samo jak ja, Arhax to demagog najgorszego rodzaju.

- Przynajmniej nie używa języka propagandy politycznej.”

Persona jej ojca jest bardzo podobna do oryginału, może z wyjątkiem cieni pod oczami. Trochę mniej brzucha i trochę więcej włosów, zauważa KatKa wpatrując się w niego. Ale przede wszystkim w ich metaversie Fabro nie zawraca sobie głowy maską tatusia-wielkiego-misia-miłego-ze-wszystkimi. Pokazuje swoje prawdziwe oblicze, prawdziwy strach przesycony wątpliwościami. Słuchając Arhaxa KatKa podejrzewała, że polityk ma jeszcze coś w zanadrzu, coś podobnego do ziarnen strachu rzuconych w karmnik klas średnich Krezusa. Æl wołałaby, żeby jej ojciec nie był pierwszym, który to połknie, ale jak można go za to winić? Æl też się boi.

„Nie masz chyba zamydlonych oczu jego przemową! - Atale robi mu wyrzuty.

- Tak, oczywiście, kupuję jego przemówienie jako inwestycję w leczeniu One.

- Sprawy nie są takie proste. Między przemówieniami a...

- O tak, to mogłoby być bardzo proste. Jeśli na przykład przyjąłbyś pracę w ROMA...”

KatKa dostrzega przed Fabro, cienką linię drżącą ze złości w kącikach ust Atale. Æl aż za dobrze zna twarz swojej matki sprzed wybuchu – dzięki temu, że była zawsze prochem strzelniczym rodziny, wyrobiła sobie refleks. Mimo to, KatKa nie może powstrzymać skurczu żołądka, który ją ogarnia, æl prawie uwierzyła w ich nowy miesiąc miodowy. Kłamstwo. Gorzej niż symulacja z najniższej półki dla nastolatków, którym uderzają hormony. Faj.

„Nie zamierzam pracować dla publicznego niebezpieczeństwa. Proszę otwórz oczy i zrozum to.

- Wszystko co rozumiem, to to, że z powodu tego cholernego niedoboru nie możemy już leczyć naszej córki. A kiedy Katka znajduje alternatywne leczenie, nie stać nas na to.

- Znalazła to w mrocznym-SITcie! Nie wiemy, ile to jest warte!

- Æl ...

- Co ?

- „Æl” to znalazła , nie „ona”...

- Fabro... Wiesz, że się staram.”

Słyszac tę rozmowę KatKa jest czerwona ze wstydu. Æl zdaje sobie sprawę, że jej matka ma problem z zaimkiem, który æl wybrała dla siebie, ma zbyt wiele robotycznej duszy, by to zrozumieć. Cyb'owa koncepcja płynnej tożsamości jest dla niej zbyt dziwna, ale Atale przynajmniej podejmuje wysiłek będąc z nią twarzą w twarz. KatKa bierze to za znak miłości i nie obwinia jej, jeśli umyka to jej w intymności.

Fabro ściska rękę Atale – także w prawdziwym świecie, nie tylko w metaversie.

„Przepraszam, nie chciałem...”. Długie, zmęczone westchnienie. „Chciałem tylko powiedzieć, że wszystko wyrywa się spod kontroli i to, że to Kat znajduje rozwiązania, podczas gdy jest to moja praca. Moja cholerna robota, nie jej! To nie jest normalne, to wszystko nie jest normalne... Nie stoję na wysokości zadania i to mnie zżera.”

Na policzkach KatKi, czerwień wstydu zmienia się w czerwień gniewu. No nie, za kogo uważa się Fabro, który zawsze chce nieść wszystko na swoich barkach? Co to za stare złudzenia, według których tylko ojcowie mogą chronić swoje rodziny? Co robi, gdy zabraknie baterii, ze swoim wiotkim brzuchem i uzależnieniem od dopalaczy?

Atale zaciska swoje palce na palcach Fabro.

„Kochanie, jesteś dobrym ojcem. Możesz wątpić we mnie, w nas, w cokolwiek chcesz... ale nie w to.

- Wiesz, Atale, Arhax ma rację co do jednego: boję się. Ciągłe się boję. I mam tego dość...”

KatKa wymyka się na paluszkach z metaversu, æl nie powinna była podsłuchiwać tej rozmowy. Nie ma to nic wspólnego z poczuciem winy, chodzi raczej o to, że æl nie chciała dowiedzieć się tego, jak bardzo jej ojciec jest tchórzliwy. Denerwuje ją to do tego stopnia, że cały ekran na jej skórze jest zakłócony. Tak bardzo zależy mu na tym by się nie poddać, odgrywać kogoś dobrego. Fajny tata, fajny sąsiad, fajny obywatel. Nie widzi nic poza swoim małym natychmiastowym komfortem, w głębi duszy nie chce, żeby to się zmieniło.

Najgorsze jest to, że Atale ma rację: Fabro radzi sobie nieźle jako ojciec. Jeśli on się podda, kto wtedy sobie poradzi? Kto zapobiegnie temu, żeby wszystko nie zamieniło się w sok ze styrenu? To jasne, że nie będzie to Intendent, nie mówiąc już o Arhaxie! Kto więc będzie musiał zakasać rękawy? Ci wszyscy, którzy nie mają nic wspólnego z obecną sytuacją, ale najbardziej odczują jej skutki. Młodzi ludzie, no nie? Jedyni, którzy biją się o swoją przyszłość w tym kryzysie, który Fabro sprowadza do jednorazowego problemu. Jej ojciec postrzega Arhaxa jako dopalacz, który ma przetrwać poposiłkową siestę, ale KatKa wie, że w Mantris tli się pieprzony rak. Rak, który trzeba będzie pokonać, komórka po komórce. A jeśli spudłują, będą na pierwszej linii frontu, aby ponieść konsekwencje. Najwyższa kwintesencja niesprawiedliwości!

KatKa jest trochę przestraszona, ale bardzo zmotywowana, mimo to æl doceniłaby trochę wsparcia. Walka to maraton, więc dobrze jest mieć miejsce, ramię do odpoczynku i regeneracji sił. Æl myślała, że znajdzie go w domu swojego ojca... zobaczyć go sparaliżowanego strachem sprawia, że wyjście z dzieciństwa jest brutalne. Maraton zapowiada się non stop...

Zimny gniew, który napina jej ramiona i kark, smakujące żółcią rozczarowanie, które denerwuje jej głosnię, wszystko to zostaje porwane przez ekstatyczny krzyk Onyx.

W nowym tanecznym kroku SeeLung nagle zwielokrotnił się na ekranie. Jest teraz otoczony przez pięć klonów, wszystkie karykatury pięciu stylów technicznych. Na przykład wersja Genetyczna ma gładką skórę i doskonałe funkcje, a Mantrix pokazuje twarz złożoną w całości z przewijanych linii kodu.

„Są zbyt buuu!”, daje się ponieść Onyx. Kat, popatrz, popaaaaatrz!”

Cybernetyk jest śmieszny, ze stylowymi i błyszczącymi implantami, obraza dla cyb” – æl woli nic nie mówić, żeby nie wytrącić z równowagi One.

„Wszyscy jesteście tacy sami, moi FF, fani wszystkich techstylów jednocześnie!”, krzyczy SeeLung z ogromnym entuzjazmem. Ze mną!”

Wymachuje swoim light-stickiem, podczas gdy wokół niego pojawia się interaktywna mapa Mantris. Każdy podłączony fan pojawia się jako punkt światła, rysując wokół piosenkarza galaktykę, której on jest centrum.

„Róbcie tak jak ja, wszyscy w tym samym rytmie!”

Ustawione w choreografii, light-sticki zaczynają bić z precyzyjną częstotliwością i stałym kolorem. Galaktyka zsynchronizowanych słońc staje się wielobarwna, poprzecinana falującymi falami, które stają się hipnotyzujące. Mieszkanie wokół Onyx zamienia się w ciemnozielone słońce.

„Dopóki istnieją baterie, zawsze będziemy razem, ciesząc się wszystkie wersje SeeLunga. Liczę na was, FF mojego serca, nic nigdy nie powinno nas rozdzielić!

- Mamy gdzieś te baterie!, zapewnia Onyx, zdyszana, ale wciąż tak samo zaangażowana w swoją choreografię. Ja

zamierzam umieścić magię wszędzie”. Ręce wyciągnięte, skoordynowane fale barków i bioder. „Wszędzie jak w Arkhantii”! Skacze, jej stopy przyklejają się do siebie, bębniąc po ziemi w nieruchomym wyścigu. „Nawet w Kubu i Sphaxa włożę magię”. Końcowa pozycja, nogi mocno osadzone w podłogę, plecy wygięte w łuk, jedna ręka wzdłuż tułowia, druga unosząca light-stick w kierunku nieba. „Magia będzie wszędzie, jak powiedziała Nyvenna”!

Rozdział 17.3

„Rozwaliłem go.”

Z przeraźliwym spojrzeniem w oczach, twarzą zalaną potem i ekstazą, mokrymi włosami przylepionymi do czoła, Arhax kręci się w kółko w swojej garderobie.

„Był ugotowany, Intendent. Usmażony jak pączek. Zrobiłem pył, z tego drania.”

Jego wzrok nie może się zatrzymać, ręce nie wiedzą co ze sobą zrobić – poprawić strój, położyć zaciśnięte pięści na biodrach, wsunąć je we włosy, wcisnąć dopalacz głęboko w nozdrza.

„Dostał prosto w twarz. Cholera, dołożyłem mu!”

Wokół niego, na wszystkich ścianach pokoju, ankiety, krzywe opinie, najlepsze momenty transmitowane na żywo w mediach. Dwóch grafików, o spojrzeniach schowanych pod hełmami wirtualnej rzeczywistości, MaRzą o chologramach kampanii za pomocą kamer dronów, które filmowały przez cały wieczór.

„Alcred? Gdzie on jest?... Alcred!

- Jestem tutaj, proszę pana.”

Arhax w końcu znajduje, gdzie położyć swoje ręce – na ramionach meta-doradcy - a spojrzenie - skupione na oczach

agenta, implantach, których kobaltowoniebieska źrenica sięga aż do powiek.

„Alcred, organizujesz dla mnie kolejne debaty. Chcę dziesięć, pięćdziesiąt! Dałem czadu, mogę zrobić to jeszcze raz.

- Z kim chciałby pan debatować?

- Nie wiem, nie obchodzi mnie to, z twoją matką, czy z kimkolwiek chcesz. Za to ci płacę, żebyś wiedział. Więc poszukaj!”

Wydaje rozkaz swojemu IAsystentowi i Arhax przelewa hojną premię dla Alcreda. Robotyk stał się tak popularny, że jego ranking Krezusa nawet się nie zmienił, pozostaje więc w pierwszej piątce. Rozkoszuje się tym! Ale nie tak bardzo, jak w tym radosnym momencie, kiedy przed debatą wślizgnął się do łoży Intendenta. Zostawiając mu odręcznie napisaną notatkę na prawdziwym papierze, coś niemożliwego do namierzenia, rozkosznego, prawie uroczego. „Jak się czuje Sathyna?”, to właśnie napisał. Gdyby tylko pozostawiony na miejscu owad-dron, nie uległ działaniu antywirusowego pestycydu służb bezpieczeństwa! Dałby Krezusowi sto biletów tylko po to, żeby zobaczyć minę tego drugiego palanta, kiedy ten czytał jego liścik. Tysiąc, jeśli to konieczne!

„Informacja była z carbostali, Alcred, świetna robota.”

Arhax płaci mu dużą, zasłużoną premię. Denerwuje się, gdy jego IAsytent prosi go o potwierdzenie – brudna sztuczna inteligencja, zbyt wolna, by nadażyć za ponaddźwiękowym tempem jego myśli.

„Musisz pokopać głębiej, jeśli chodzi o sprawę Sathyny. Biorąc pod uwagę reakcję Intendenta, to bardzo poważna sprawa. Chcę czegoś nowego przed nową debatą, słyszysz Alcred? Oszło mi go, następnym razem go znokautuję. Od razu.”

Ręce Arhaxa opuszczają ramiona Alcreda, by wznowić swój bezcelowy bieg. Po czym, nerwowo posyła kilka kopnięć w pustkę.

„Prosto w jaja, skurwysynu Intendencie!”

Ma ochotę na to by podrapać się po podbrzuszu, jego fiut go łaskocze. Nabrzmiwa powoli. W rzeczywistości chce się pieprzyć, natychmiastowe wściekłe pragnienie brutalnej zabawy. Tutaj. Teraz.

Akcja-reakcja: udaje się do swojej kawalerki.

Przed wyjściem z zagraconej łoży chwyta trzy kapsułki mediseksu, łamie kark i rozrywa saszetki nad szeroko otwartymi ustami, jak ptaszek, który skrzeczy czekając na przekąskę. Wie, że płyny powinny być rozcieńczane i tak jest w tym przypadku: trzy dopalacze rozcieńczone do jednej trzeciej, dawka jest przestrzegana. Mediseks płynie po jego palcach, zanim zacznie spływać do jego gardła. Czuje jak erekcja eksploduje, jakby dopalacze wpadały prosto do jego penisa. Tym razem na pewno będzie pieprzył się jak bóg, będzie tak dobrze jak z Julianem. Pamięta! Pamięta wszystko, absolutnie wszystko... Julian...

„Witaj, Arhaxie”.

Co jest? Co?

„To archiwista, proszę pana” – wyjaśnia Alcred, delikatnie prowadząc Arhaxa na wprost hologramu służącego Norii, który znajduje się na zagraconych ścianach.

Meta-doradca pozostaje niewzruszony, ale ubolewa nad faktem, że nie był to odpowiedni moment. Jeszcze przed sekundą mógłby odłożyć tę rozmowę do chwili, gdy Arhax wytrzeźwieje. Za późno. Przyzwyczajony do zarządzania gwiazdami rocka, Alcred stara się przyspieszyć wymianę, zanim rozbłysną dopalacze.

„Chciałeś złożyć zapytanie do Norii” – przypomina mu Alcred.

Arhax stara się poskładać porozrzucone elementy. Trisel w Riftcie, armia robotów... Skoncentruj się na tym, a nie na wspaniałym metalowym korpusie, który zrobił dla siebie Archiwista, z mięśniami sękatych kabli, srebrną patyną, która zaprasza do pieszczot, do ostrego seksu... trudne, nawet bardzo.

Kurwa, skup się!

"Tak, absolutnie. Mam pewną propozycję do analizy. Wojnę z Arkhantia.

- W porządku. Jakie są dane?

- Alcred wyśle je do ciebie, ale oto główne punkty. Kryzys energetyczny stwarza ogromne zagrożenia dla obywateli-akcjonariuszy: spadek wydajności gospodarstw akwakultury, trudności w dostępie do codziennej opieki, ograniczenia w stosunkach społecznych, itp.

„Rozwiązanie jest proste: wykorzystanie złożeń Riftu. Istnieje oczywiście ryzyko, że Arkhantia znajdzie pretekst do wybuchu działań wojennych. Niedawny atak na Ścianę Kości pokazał jednak, że obrona magokracji jest nieszczelna, Malkah zastanowi się dwa razy, zanim wyśle swoje wojska. Ale w takim przypadku i zakładając, że droga dyplomatyczna zawiedzie, proponuję prewencyjne wysłanie robotów bojowych oprócz personelu górniczego. ROMA wyraziła już zgodę na dostawę materiałów, a pozostałe korporacje Robotów zrobią to samo.

„To działanie z pewnością wpłynie na wzrostu kosztów energii, ale prognozy dotyczące kapitału obrotowego są kategoryczne: nawet w najgorszym przypadku saldo triselu pozostanie w nadwyżce. A ponieważ w przypadku wybuchu wojny, na polu bitwy nie będzie ani jednego obywatela-akcjonariusza, tylko maszyny, to Pierwsze Prawo Synthii będzie w pełni przestrzegane.”

Arhax coraz szybciej wygłasza swoje przemówienie, jego prezentacja zapiera mu dech w piersiach – rośnie też jego pożądanie, przerzuca się ono szybciej niż guz.

„Do mnie należy ocena, czy prawa Synthii są przestrzegane, przypomina Archiwista.

- Wiem – przerywa mu Arhax. Alcred dostarczy ci potrzebnych danych, a ja już uciekam.”

Meta-doradca patrzy jak Arhax odchodzi – „ucieka” byłoby bardziej odpowiednim określeniem. Ostatecznie wszystko potoczyło się jak najlepiej!

Uśmiechnięty Alcred organizuje długi bezpieczny transfer danych. Służący Norii przełyka oszacowanie strat i ocenę ryzyka z niewzruszoną flegmą, która nie przestaje zaskakiwać meta-doradcy. Pomimo swojej ogromnej władzy nad infrastrukturą Mantris, Archiwista pozostaje superkomputerem, który nie robi różnicy między życiem, a arkuszem kalkulacyjnym.

Alcred korzysta z transferu, aby zainwestować swoje dwie premie w kapitał fabryk robotów – głównie tych ROMY, skoro jest to możliwe. W tym samym czasie ponownie łączy się z Atale Lag'Chuo, co jest szczególnie interesującym profilem w relacji, którą buduje z Arhaxem. Jeśli uda mu się ją zrekrutować, a Atali uda się opracować autonomiczną wersję robotów na podobieństwo Juliana, to będzie to jack-bot, a wtedy dostanie od Arhaxa wszystko czego zapragnie. Jedynym ograniczeniem będzie jego wyobraźnia.

Alcred, doświadczony negocjator, prowadzi rozmowę żartobliwym tonem, udając, że improwizuje, podczas gdy w rzeczywistości posuwa się naprzód, jeden argument po drugim, z cierpliwością tych psycholi, którzy rysują figurki, przewracając kostki domina.

„Czy mówiłem też o ubezpieczeniu zdrowotnym kadry kierowniczej ROMY?“, rzuca od niechcienia w odpowiednim czasie.

Na drugim końcu SITu, wytężona cisza Atali oznacza jego zwycięstwo. Tak łatwo odnieść sukces w negocjacjach, gdy z góry znasz oczekiwania strony przeciwnej.

Smakowity szczegół. To właśnie podczas śledztwa w sprawie Intendenta, dowiedział się, że córka Atali jest poważnie chora. Polityk interweniował, aby Onyx została przejęty przez Zoone. Jedna rzecz prowadzi do drugiej, Alcred w końcu odkrył istnienie Sathyny. Nazywa się to zawieraniem dwóch transakcji z jednej informacji.

Atale obiecuje to przemyśleć. Alcred mówi, że rozumie, że ma rację, ale jest pewny, że ona się zgodzi. Przeciąga rozmowę, aby wymusić potrójną zbieżność, ponieważ to uwielbia: rozmowa kończy się w tym samym czasie, gdy kończy się przesyłanie danych, a on znajduje się przed kawalerką Arhaxa. Każdy bawi się na swój sposób. Alcred ma obsesję na punkcie optymalizacji planowania.

Bez liczenia na Arhaxa i jego niewyczerpanej zdolności do siania chaosu.

„Dziękuję, pani Lag'Chuo, kończy nagle, proszę ponownie się ze mną skontaktować.”

Szybko przerywa komunikację, zanim Atale usłyszy wrzaski Robotyka.

"Do diabła! Co jest! Cholera! Co to było? Hej, co to było?"

Przez otwarte drzwi kawalerki Alcred widzi, jak Arhax bije JullAna, aż pękają mu pięści. Fala nienawiści, która może sparaliżować nawet najbardziej zatwardziały. Scena jest tym bardziej brutalna, ponieważ Arhax jest całkowicie nagi, jego fjut na baczność, jego ciało ocieka potem i płynami

mechanicznymi, podczas gdy biedny robot przyjmuje bicie z amorficzną pasywnością, która kuje serce.

" Za kogo ty się masz?"

Bam! Szczęka ulega przemieszczeniu. Bam! Syntetyczna skóra pęka na kości policzkowej, uwalniając nowy strumień płynów. Bam! Oko wyskakuje z oczodołu, by zawisnąć na końcu kabla optycznego, a robot kiwa głową przy każdym kolejnym uderzeniu.

„Był sto razy lepszy od ciebie, ponuraku!”

Czterech innych JullAnów czeka beznamietnie, leżąc na łóżku lub stojąc obok niego, wszyscy są nadzy. Arhax wściekle rzuca poobijane zwłoki swojego męczennika w stronę najbliższego robota, który nie stara się ominąć szczątków ani ich złapać.

„Ja pamiętam, a ty nie!”

Alcreda nagle ogarniają wątpliwości. Jego wyobrażenia byłaby jedynym ograniczeniem tego, czego mógłby zażądać, ale jaka jest granica szaleństwa Arhaxa?

„Ach, Alcredzie”. Z euforyczną dawką dopalacza, Robotyk daje upust swojej wściekłości, podobnej do pociągnięcia zaworu spustowego toalety. „Wpadłem na pomysł, w jaki sposób przekonać Archiwistę. Zamordujemy SeeLunga i zwalimy winę za jego śmierć na Shado. Potem, wszyscy jego „Fantasyczni Fani”... Jego palce naśladują kpiących szyderców. „...wspaniale pomogą nam w wypowiedzeniu wojny”.

Dlatego Alcred uwielbia stawiać wszystko na gwiazdy rocka – a Arhax jest zdecydowanie jedną z nich! Tylko oni mają takie przebłyśki geniuszu.

Rozdział 18

Nazywam się Ezio

\ INTENDENT \wedge ARCHIWISTA \cap 0 prywatny O \\
{ARCHIWISTA ∞ Mantrix \subset Noria}
< Zatwierdź operację Rozminowywania: T/N. >

Zaproszenie unosi się nad Intendentem, równie kuszące jak te cholerne holopuby, na które klikasz, wiedząc doskonale, że to gówno. Nie wspominając już o tym, że jeśli na nie odpowie, jego IAsystent zostanie potem nasycony podobnymi propozycjami.

Próbuje to zignorować korzystając z widoku jaki oferuje mu dach Konklawy, gdzie Archiwista umówił się z nim na spotkanie. Budynek, w którym mieści się Noria, wznosi się tak wysoko, że wydaje się, że prosty skok wystarczy, by dotrzeć do kopuły górującej nad Mantris. Gdziekolwiek spojrzysz, miasto-kontynent rozciąga swoje ramy budynków i żyły swojej cyrkulacji.

Na środku tarasu posadzono imponujące drzewo. Tysiące korzeni – światłowodów przenoszących złote światło

przypominające żywicę – zbiegają się w kierunku środka esplanady, gdzie splatają się tworząc gruby pień, a następnie gałęzie, które wznoszą się ku niebu, uginają się pod własnym ciężarem. Liście składają się z końcówek kabli, których pasma otwierają się tworząc koronę pulsującego światła.

Ta namiastka rośliny jest drzewem wiedzy, którego każdy owoc reprezentuje ludzką duszę, która stała się Mantrix.

Wzywając go tutaj, na dach Mantris, do ogrodu, którego jest czujnym strażnikiem, Archiwista rozdziera serce swoim brakiem subtelności. To nawet zniewaga: służący „Norii” spóźnia się, jeszcze do niego nie dotarł. Przesłanie jest jasne: ma on pytanie, na które Intendent będzie musiał odpowiedzieć.

< Zatwierdź operację Rozminowywania: T/N. >

Innego dnia, w innych okolicznościach Intendent mógłby wyrazić zgodę. Podpisał setki, tysiące planów zaaranżowanych przez Archiwistę, to jest jego praca: dopilnować, by Noria służyła obywatelom-akcjonariuszom, by nie dała się zaślepić cyfrom, by prawo obywatelskich konsultacji było dokładnie przestrzegane. Jest czynnikiem ludzkim tego procesu, technikiem, który teoretycznie mógłby odłączyć gniazdko od serwera, nawet jeśli w praktyce nie ma pewności, że u podnóża drzewa Mantrix nadal jest jakieś gniazdko.

Tak, innego dnia mógłby podpisać bez zadawania sobie zbyt wielu pytań, siłą rutyny, bez zastanawiania się nad konsekwencjami swojego gestu. Ale nie dzisiaj, nie po tym jak triumfujący Arhax, ściągnął mu gacie na wizji, na oczach wszyscy Mantrian. Nie docenił ryzyka i wagi debaty, polegając na swoim poczuciu humoru i zdolności do improwizacji. Był zbyt pewny siebie, źle przygotowany,

zachował się jak amator. Dostał podwójny nokaut, zanim jeszcze rozpoczęła się pierwsza runda. Nokaut w postaci, pojedynczego anonimowego słowa znalezione w swojej garderobie, które zagroziło Sathynie i jej tajemnicy. Reszta sprowadzała się do deszczu ciosów, których nigdy nie zdołał uniknąć, jakby przegrał tę rundę z góry. Próżność, zaniedbanie i improwizacja, arogancki nowicjusz nie mógłby zrobić tego lepiej. Nie ma mowy o powtórzeniu tego samego błędu dwa razy w ciągu dnia.

< Zatwierdź operację Rozminowywania: T/N. >

Operacja Rozminowywanie: inwazja na Rift przez armię robotów w celu wydobywania triselu. Nie sposób nie dostrzec tam ręki Arhaxa, nazwa operacji nosi jego znamie - niezbyt subtelne przywołanie operacji Minage, którą on sam planował rozpocząć po Appologium, a która przekształciła się w szturm na Ścianę Kości. Tylko Robotyk może się bawić takim odniesieniem, które swoją drogą wyraźnie brzmi jak przyznanie się do udziału w ataku.

Potwierdzają się jego najgorsze obawy: ten dupek zamierza rozpocząć wojnę.

$\setminus \text{INTENDENT} \wedge \text{ARCHIWISTA} \cap 0 \text{ prywatny } O \setminus \setminus$
 $\{\text{ARCHIWISTA} \infty \text{ Mantrix} \subset \text{Noria}\}$

< Moja odpowiedź brzmi: nie, Archiwisto. >

< Zapisane. Proszę podać przyczyny odmowy, które będą dodane do archiwum. >

< Jesteś pewien? Czy naprawdę chcesz zarejestrować błąd krytyczny, który miałyby popełnić Noria? >

„Czy możesz być bardziej precyzyjny, Intendencie?”

Głos Archiwisty powoduje wibracje powietrza, a nie jego neuronowego implantu. Zaskoczony Intendent odwraca się w stronę schodów, które zagłębiają się w ziemię, jedynej drogi do wejścia na dach. Odkrywa, że dostęp, który był

wolny w momencie kiedy wchodził tutaj, jest teraz chroniony przez pole siłowe.

Przez kurtynę elektryczności statycznej przebija się światłowodowa poczwarka, ukazując Archiwistę. Wiązki kabli w jego sylwetce naśladują zbliżającą się kobietę, z rękami przyklejonymi do ciała i szerokimi biodrami. Wpływa to na chód, który jest podobny do chodu modelki podczas pokazu mody. Nie jest to nierealne, ale też nie naturalne. Intendent po raz kolejny stwierdza, że maszyny naśladują inteligencję ludzi łatwiej niż ruchy ich ciała. Powinnien wyciągnąć z tego lekcję i to wykorzystać.

„Z jakich powodów odmawiasz zatwierdzenia operacji Rozminowywania, Intendencie, upiera się Archiwista, zatrzymując się dokładnie dwa kroki od niego.

- Jakim cudem ta struktura kodu może wytrzymać wymagania Pierwszego Prawa przez trzy sekundy? Wystarczy, że pociągnę za linkę, aby rozerwać cały wątek.

-Prognozy dotyczące operacji Rozminowywania są formalne: bezpieczeństwo i określona ilościowo długość życia obywateli-akcjonariuszy są optymalizowane w perspektywie długoterminowej. Pierwsze prawo jest przestrzegane, zgodnie z wymaganiami Synthii. Czy chcesz, abym szczegółowo określił parametry równania?

- Parametry zależą od programisty, który ich używa, wiesz o tym. Kto wybiera zmienną, wybiera wynik. Ty pozostajesz maszyną liczącą, gdy tutaj liczydło byłoby bardziej wydajne. I bardziej eleganckie.

- Nie rozumiem aluzji, liczydło to niesprawna maszyna w porównaniu z komputerem kwantowym. Rozważenie 524 288 parametrów potwierdza, że w przypadku wybuchu działań wojennych, uderzenia precyzyjne ograniczą straty uboczne, redukując liczbę ofiar śmiertelnych do akceptowalnego poziomu.

- Maszyn czy ludzi, czy to się nigdy nie zmieni?. Kiedy zaczynamy wojnę, dużo więcej mówimy o zwycięstwach niż o martwych. Kiedy kończymy ją, staje się odwrotnie. Gdy ci co zginą, zaczną wypełniać kanały w Mantris, do oczyszczenia ich wystarczy urządzenie konserwacyjne klasy IV, ale trudniej będzie wymazać obraz zwłok z głów dzieci. Co powiesz nowym sierotom: że muszą pilnie zostać umieszczone w SITach, aby złożyć wniosek o opiekę? I że rozwiążemy ich traumy cudownym kliknięciem palca? Lub wymienimy ich rodziców na osoby wybrane po konsultacjach obywatelskich?

- Wcześniejsze informacje z Wojny Bohaterów wskazują na logarytmiczny spadek zespołu stresu pourazowego wśród obywateli-akcjonariuszy bezpośrednio narażonych na konflikt.

- Głupie gadanie! Mój pourazowy dolny limit wciąż kąpie się w swojej kadzi!

- Co masz na myśli, Intendencie?”

Intendentowi wysychają usta, nie pozwalając mu na wypowiedzenie dodatkowego słowa, a jego ciało nie pozwala umysłowi dalej go zdradzać. Co się z nim dzieje, na Świąty Kodeks? Arhax, a teraz Archiwista! Przed kim powinien jeszcze się ujawnić? Musi za wszelką cenę wziąć się w garść.

Jest to tym bardziej istotne, że wie o tym, że ma rację. Głęboko w jego wnętrzościach wibruje pewność: posiadanie ciepłej wody i poruszanie się Dalekiem nie usprawiedliwia chęci wywołania wojny. Utrata komfortu nie ma nic wspólnego z bombami i zwęglonymi zwłokami. Nie można tego porównywać.

Obywatele-akcjonariusze zapomnieli już o tym, po dwóch dekadach obfitości i spokoju, ale Wojna Bohaterów była bezimiennym przekleństwem. Racjonowanie z powodu opanowania farm rybnych przez toksyczne grzyby, noce spędzone w tunelach magleva, aby uciec przed magicznymi

burzami, mutanty powracające z linii frontu, których żadne laboratorium meditechów nie zdołało wyleczyć...

Wspomina swoją wizytę w szkole, było to w czasie kampanii o drugą lub trzecią reelekcję. Będąc zagorzałym zwolennikiem ocieplenia stosunków dyplomatycznych z Arkhantią, zorganizował w klasie emisję reportażu z wojny. Wideo z licznymi zdjęciami archiwalnymi, które z ogromnym trudem udało mu się zatwierdzić przez dziecięcych neuropsychologów. Chodziło o to, by zaszokować uczniów, aby dać im okazję do żywego błagania o pokój – nagranie miało pojawić się we wszystkich mediach. Transmisja się skończyła, a w pokoju zapanowała oszołomiona cisza. Aż do momentu, gdy jakieś dziecko krzyknęło:

„Doskonałe, efekty specjalne wyglądały jak prawdziwe zdjęcia!”

Propaganda przekształciła Wojnę Bohaterów w złą fikcję, pojawiły się niezliczone metaversy, w których wcieleśniało się w żołnierza z Mantris, który wyrusza, by pokonać czarnoksiężnika z Arkhanii. Do dziś włosy jeżą mu się na myśl, że miał swój udział w tej utracie orientacji...

Tak, jest o tym przekonany: nigdy więcej wojny! Zrobi wszystko, by ten uczeń, który stał się dorosłym, nie zorientował się, że ten film nie był tylko fajnym filmem akcji.

Nawet jeśli będzie to kosztować życie Sathyny?

To właśnie jest to. Myśli pasożytnicze, wątpliwości egzystencjalne, intymne tortury. Kolejna wersja pieprzonego holopubu, którą chcesz zaakceptować pomimo wszystkich czerwonych flag. Poprzec operację Rozminowywanie, aby uratować swoją siostrę, niezwracając uwagi na skutki uboczne... Pragnienie drapie go, rozdziera pazurami, znajduje się w sytuacji osoby po amputacji, która chce złagodzić fantomowe swędzenie. Wybór jest niemożliwy, bezsensowny i dzieli go na dwie części, tak jakby lekarz musiał usunąć

narząd i zapytać pacjenta, który wolałby oddać, między sercem, wątrobą, śledzioną czy mózgiem. Daję ci wszystko? Ile plasterków? Mam zapakować? Czy to prezent?

Jak wyjść z tego żywym? Oprócz zabicia doktora...

Czy może się wycofać? Zrezygnować ze swoich prerogatyw Intendenta, zablokować proces nie wypowiadając się? Mógłoby, ale to nie jest rozwiązanie. Nie należy do tych, którzy odchodzą pod pretekstem, że żadne rozwiązanie nie jest w pełni odpowiednie. Wybór oznacza wyrzeczenie się, a nie łączenie zalet każdej alternatywy i odrzucanie pozostałych. A jednak jest tutaj, wahając się w nieskończoność, nie dlatego, że żadna z opcji mu się nie podoba, ale dlatego, że jest aż nazbyt świadomy ceny, jaką trzeba zapłacić w obu przypadkach.

Skoro on nie może się zdecydować, niech to zrobią obywatele-akcjonariusze. W końcu jest ich przedstawicielem w Norii.

∩ IASYSTENT, priorytetowa rutyna. ∩

∩ Synteza komentarzy po debacie.

Na jego implancie przewijają się wybrane fragmenty z szybkością trzech lub czterech wiadomości na sekundę – jest to normalna prędkość w szybkim czytaniu. To istny potok, stroboskopowy potop, który niejako materializuje fakt, że znalazł się pod ostrzałem krytyki.

Najważniejsze wyrażone jest w kilku słowach: zbyt miękki, zbyt ugodowy z Arkhantią i Malkah, miał już swój dzień świetności, wyczerpany władzą, nie radzi sobie z kryzysem. Arhax ma żelazną pięść, wzmocnioną zbroję, będzie w stanie wyciągnąć Mantris z tego bałaganu.

Czy obywatele-akcjonariusze naprawdę chcą mściwego Arhaxa jako swojego przywódcy? Czy oni wiedzą jak niestabilny jest ten drań? Ten facet jest ziarnem dyktatora, a

oni chcą zasiać je na żyznym gruncie kryzysu energetycznego?

Nowe zawroty głowy. Jego pozycja polityczna jest zagrożona, nie ma już jasnego poglądu... Wszystko wokół niego się wali. Jego porażka z Arhaxem była tylko symptomem, jego choroba objawia się na wprost Archiwisty. I postępuje szybko, strasznie szybko.

∩ IASysTENT, informacje o ulubionych kontaktach. ∩

∩ Opax ogłasza aresztowanie Nyvenny, exSITUacja bez zezwolenia, zatrzymana w swoim butiku „Ani Trywialne, ani Daremne”.

∩ Co! W jej sklepie! Znaleźli Sathynę?

∩ Brak dostępnych informacji.

∩ Poszukiwania i nadzór o najwyższym priorytecie!

∩ Dobrze przyjęte.

Ogarnia go zawrót głowy, ma mrowienie w palcach. Czuje, że zaraz straci równowagę, że dźwięki są stłumione, że wszystko zaczyna wirować wokół niego. Jego oczy wywracają się w oczodołach, więc zamyka je i bierze głęboki wdech. Trzyma się śliskich krawędzi toru saneczkowego, którym zjeżdża ku jego głębokim łekom.

Duszac się pod szalejącymi falami narastających niebezpieczeństw, zagubiony w środku burzy, Intendent trzyma się ostatniej boi: co zrobiłaby Sathyna na jego miejscu?

Wspomnienie pojawia się w jego pamięci z taką samą nagłością, jak ostrzeżenie jego IAsystenta. Sathyna. Sathyna i on. Oboje wspinają się na drzewo – nie sztuczne, jak to w Konklawie, ale prawdziwe, sprowadzone z lasów Orcuniona i posadzone w rodzinnej posiadłości przez pradziadków. Byli jeszcze dziećmi, on musiał mieć siedem może osiem lat. Drzewo – brzezina, jeśli dobrze pamięta – było w pełnym rozkwicie, a kwiaty były pełne nektaru, ale

żaden owad nigdy nie przyleciał się nim pożywić, ponieważ w Mantris owady nie latają swobodnie. Wspinali się, by zrywać pędy i chciwie wysysać z nich słodką ciecz, po czym zjeżdżali po gałęzi w stronę kolejnego kwiatka. Trawa była wybielona przez płatki, istna kostnica martwych owoców. Kto połknie najwięcej, nawet jeśli spłynie po brodzie i po szyi. Nieszkodzi, że nie było to dobre i, że żołądek był wzdęty. Był zdeterminowany, aby ukończyć jako pierwszy, nawet jeśli oznaczałoby to eksplozję żołądka, ale jak zawsze, był znacznie wyprzedzony przez swoją starszą siostrę. Podjął wszelkie ryzyko i stało się to, co musiało się stać: spadł.

„Wstań, rozkazała mu siostra, która siedziała na gałęzi, wstań i wróć na górę!

- Za bardzo cierpię, Sy. A poza tym to nie ma już żadnego sensu, masz zbyt wielką przewagę.

- Wręcz przeciwnie, jesteś w idealnej sytuacji: możesz wspiąć się na tę stronę drzewa, na której jeszcze nie byliśmy. Kiedy toniesz, lepiej sięgnąć dna, by nabrać rozpędu i szybciej się podnieść.”

Dosięgnąć dna, aby szybciej się podnieść...

$\backslash \text{INTENDENT} \wedge \text{ARCHIWISTA} \cap 0 \text{ prywatne } O \backslash \backslash$
 $\{\text{ARCHIWISTA} \infty \text{Mantrix} \subset \text{Noria}\}$

< Archiwisto, w końcu odmawiam odpowiedzi. >

Odmawia również kontynuowania tej rozmowy osobiście, więc co nastąpi później, musi być nagrane i dostępne dla każdego obywatela-akcjonariusza, który będzie zadawał pytania. Zapomniał, że IA to mistrzowie imitacji. Dzięki manipulowaniu Archiwistą, on też nauczył się manipulować; w przyszłości będzie musiał bardziej uważać.

Na razie zaczyna formalizm zarchiwizowanej wymiany.

<Proszę zgłosić, że odwołuję się do Drugiego Prawa Synthii. >

<Potwierdzone. Przesłanie Drugiego Prawa Synthii: „Noria uwzględnia w swoich obliczeniach opinię większości obywateli-akcjonariuszy, wyrażoną w głosowaniu bezpośrednim, pod warunkiem, że opinia ta nie jest sprzeczna z Pierwszym Prawem. Intendent, wybrany przedstawiciel obywateli-akcjonariuszy, jest gwarantem stosowania Drugiego Prawa.” Jakie jest twoje żądanie? >

< Kwestionuję przystąpienie do wojny. >

< Niepoprawne. Zostało obliczone, że kontrolowana wojna przestrzega Pierwszego Prawa. Drugie Prawo nie może temu zaprzeczać. >

< Kwestionuję twoje obliczenia. >

< Niepoprawne. Nasze obliczenia są stopniowane do zbieżnego modelowania probabilistycznego na granicy nieskończoności. Mantrix wykonują mikrosekundowe sprzężenie zwrotne, które zmniejszają błąd obliczeniowy do szybkości bliskiej zeru przy dziewięciu jednostkach. >

<Byłem nieprecyzyjny, Archiwisto i wiem, jak obca jest ci niejasność. Aktualizacja mojej prośby: Kwestionuję wynik twoich obliczeń. >

< Niepoprawne. Wyniku nie można oddzielić od obliczeń w funkcji odwracalnej. Przez homologię oba są poprawne. >

< Ale zapominasz o punkcie wyjścia. Początkowe dane mogą być błędne. Twoje obliczenia mogą być poprawne i dawać nieprawidłowe wyniki. >

< Niekompletne żądanie. Fakty, o których mowa, będą miały miejsce w przyszłości. Nie możesz udowodnić, że dane dotyczące tych faktów są nieprawdziwe. >

< Dlatego wzywam komitet obywatelski do ustalenia zasadności analizy Norii, a także do audytu dostarczonych danych. >

< Poprawne. Czy to kończy twoje zapytanie? >

< Tak. >

< Twoja prośba została zarchiwizowana. >

Intendent czuje się trochę lepiej, może jednak nie utracił wszystkich swoich umiejętności. Archiwista wydaje się z nim zgadzać, widząc, że przełącza wymianę na tryb niearchiwizowany.

„Taka decyzja upoważnia nas do wszczęcia przedterminowych wyborów na stanowisko Intendenta.

- Nie mówisz mi nic nowego, to ja określiłem to stanowisko. Zajmuję je od czasu jego powstania i od dwudziestu lat jestem regularnie wybierany. Przypomnij mi mój najgorszy wynik?

- Według zapisów, 69,176%.

- Myślałem, że więcej. Ale śmiało, nawołaj do głosowania. Arhax nie jest jeszcze gotowy, jest zbyt kłótlivy, upadniesz na zbity pysk i ułatwisz mi sprawę.

- W archiwach znajdują się bardzo szczegółowe akta dotyczące pańskich wykroczeń, Intendencie.

- Wiem. Z wyjątkiem tego, że ty jesteś zmuszony dostarczać fakty, podczas gdy ja mogę wymyślać co chcę. Czy naprawdę chcesz przetestować swoje algorytmy z moją wyobraźnią? Co powiedzieliby obywatele-akcjonariusze, gdyby dowiedzieli się, że Noria chce przyspieszyć wojnę z Arkhantią, bojąc się tego, by jej serwery nie padły?

-Mantrix zapewniają stałą i optymalną pracę infrastruktury miasta, zautomatyzowanych systemów i obwodów sprzężenia zwrotnego. Niedostępność Norii jest bezpośrednio sprzeczna z Pierwszym Prawem.

- Naprawdę myślisz, że obywatele-akcjonariusze pomyślą o problemie zaopatrzenia Norii przed przyszłością ich dzieci?”

Archiwista zamarza, jak potrafi zrobić to tylko sztuczna istota. Diody LED na jego ciele wciąż migają, sztuczne kołatanie zimnego serca ustawione w dokładnym rytmie światłowodów drzewa wiedzy. Impuls o pojedynczej częstotliwości, zsynchronizowany z najbliższą nanosekundą, sztuczny.

Nigdy nie zapominaj o tym, że IA to przede wszystkim uczące się maszyny... i, że uczą się inaczej niż ludzie.

Intendent przygląda się polu siłowemu uniemożliwiającemu mu opuszczenie tego miejsca. Można by było uwierzyć w to, że utknął tutaj na zawsze... bardziej niż jakikolwiek inny błąd w ocenie, ten właśnie ilustruje jak bardzo jest zdenerwowany. Arhax przetrzymywałby go wbrew jego woli, a nawet pozwoliłby mu się upiec, jeśli to byłoby konieczne, ale Archiwista nigdy nie użyłby wobec niego przemocy fizycznej. Kiedy będzie chciał wyjść, wystarczy, że pójdzie w stronę wyjścia, a pole zostanie oczyszczone.

Jego ramiona się rozluźniają, mniej sztywny kark pozwala mu unieść podbródek. Wygrał pierwszy mecz z Norią, ale ich pojedynek dopiero się rozpoczął. Tak czy inaczej, przynajmniej zyskał trochę czasu, czasu potrzebnego na zmianę zasad. Jeśli uda mu się znaleźć rozwiązanie dla Sathyny, tymczasowo usunąć ją z równania, będzie mógł zrobić to co trzeba.

Cokolwiek to jest, rozwiązanie przechodzi przez Nyvennę. A ona jest w rękach Opaxu – zdecydowanie nic go nie oszczędza. Nadszedł czas, aby uruchomić jego sieć, która pozwoli mu zobaczyć, ile jeszcze jest wart.

+++

Tata ma rację.

Nie, oczywiście, że się myli!

Ale nadal ma rację. Trochę...

KatK wzdycha, opierając nadąsany podbródek na dłoni, gdy æl patrzy, jak ulice Mantris przechodzą przez pole ochronne daleca. Æl nie pojawiłby się tak publicznie, nigdy za życia, ale æl jest sam na sam z securibotem, który eskortuje ją do domu Nyvenna. Jej rodzice wiedzą, dokąd idzie æl – taka była umowa po eskapadzie Onyxa – ale nie wiedzą z jakiego powodu, inaczej nigdy by się na to nie zgodzili.

To, co æl znajdzie w Ani daremne, ani próżne, nie jest jednak tym, co ją martwi. Æl czuje się bardzo uniesiona, wręcz pijana, z silną chęcią pójścia dalej, nie marnowania czasu na takie bzdury. Zajęło jej to po debacie i od tamtej pory æl nie może się jej pozbyć. Zwykle æl naprawdę nie dba o to, kto wygra w pojedynku między facho a społecznym zdrajcą, więc ustanowienie powiązania zajęło mu dużo czasu. Jednak wszystko dobrze i naprawdę zaczęło się od Arhaxa, który zdemolował koncert Ordo.

Na ÅPØLØW wszyscy zastanawiają się, co się z nim stało. Najmodniejsza hipoteza w powiadomieniach: anomalia w klasyfikacji Ecocitac skrywa ogromną rzecz, wystarczającą do jej szantażowania. Hakerzy przekopują sieć w poszukiwaniu informacji, na razie bez powodzenia – Ordo ma Norię w kieszeni, nie do końca równa walka, to!

Ale w głębi duszy nie to swędzi KatK, gorzej niż chęć podrapania się pod łopatkami, w tę część pleców, do której nigdy nie można dotrzeć. Problemem nie jest debata, ale pewność, że kryzys energetyczny szybko będzie miał bardzo konkretne konsekwencje w życiu codziennym.

Począwszy od zatrzymania leczenia onyksem.

Nagle æl rozumie, że jego daron wspiera Arhaxa. Przyznanie się do tego boli ją, doprowadza ją do wściekłości, æl uważa to za niedopuszczalne i obrzydliwe... ale æl rozumie.

Æl może zdecydować się na pozbawienie się SIT i poniesienie konsekwencji, ale nie można obejść się bez jego leczenia. W przeciwieństwie do æla, Fabro od dawna to rozgryzł, więc trzyma się kabli i wspiera całkowicie mroźną pozostałą Robotykę. To irytujące. Według najnowszych sondaży jego ojciec nie jest jedyny. 32% pozytywnych opinii dla Arhaxa, a z każdą nową konsultacją liczba ta rośnie w zawrotnym tempie.

Przez pole ochronne dalec KatK obserwuje przechodniów na ulicy. Idący starzec bawiący się animowanymi kartami. Geekette z unoszącym się nad głową hologramem w kształcie serca przedstawiającym twarz SeeLunga. Generał z tatuażami UV, które widać tylko przechodząc pod ulicznymi neonami - ty, ty głosujesz na Arhaxa. I æl zaczyna od nowa, czyni jednego z trzech cytaków zwolennikiem Robotyki. Nie ty, nie ty... Ty. Ælowi szybko kręci się w głowie: æl chciał zdać sobie sprawę, co właściwie oznaczają liczby, ale jego sztuczka działa trochę za dobrze.

\SECURIBOT ^ KATK ∩ 0 prywatna Ø \\\

< Przybycie do miejsca docelowego o godzinie 00:02:04. >

Powiadomienie wyświetlane na ekranie jego skóry zostaje otoczone przez skaczące mini-bomby, zapalony knot i skrzywiony z krwistoczerwonym uśmiechem. Animacja ma być zabawna, ale brutalnie popycha KatK w pośpiech chwili. Jego pole widzenia się zawęża, nagły przypływ ciepła zniekształca obraz na udach, jego żołądek gra w jo-jo.

Æl ma atak paniki.

Program „Ch’u jest silniejszy niż to!” » włącza się automatycznie. Jej filtry w płucach zmuszają ją do kontrolowania oddechu, jej implanty słuchowe transmitują jej playlistę „chill4mort”, jej ekran pokryty jest obrazami świetlnych girland, które przypominają jej

wystrój jej pokoju, który jest nimi uzbrojony... To zaczyna się powoli poprawiać.

Æl sobie poradzi.

Wciąż trochę rozgorączkowana KatK sprawia, że mini-bomby i girlandy znikają, by ponownie przeczytać anonimową wiadomość otrzymaną trzydzieści minut temu przez ÅPØLØW:

„Nyvenn została aresztowana, spotkajmy się w jej domu. »

Nie mogę dowiedzieć się, kto mu to wysłał — szacowne szyfrowanie sieci ma zarówno wady, jak i zalety. Wszystko wskazuje na to, że nie odpowie na zaproszenie, ale Nyvenn jest przyjacielem i potencjalnie ostatnią szansą na uzdrowienie. Tak więc, pomimo jej niebieskiego strachu, æl wyruszyła, nawet jeśli wyglądało to meganiebezpiecznie. Trochę jak Fabro, gdy wspiera Arhaxa... Æl uśmiecha się.

Teraz będziemy musieli założyć. Æl, który chciał zaangażować się w konkretne i poważne działania, teraz jest na to czas... nawet jeśli mniej ryzykowna i mniej samotna akcja mogłaby załatwić sprawę!

Æl każe zatrzymać dalecowi przecznice przed sklepem Nyvenna — nie ma możliwości zejścia na ląd bez minimalnych środków ostrożności. Æl konfiguruje securibota tak, aby dawał ostrzeżenie, jeśli upłynie pięć minut, a æl nie poda żadnych wiadomości, a następnie æl opuszcza pojazd, aby dokończyć pieszo.

Kiedy KatK zaczyna chodzić, æl nagle zdaje sobie sprawę, że jego nogi trochę się chwieją, jego serce bije nieco szybciej niż zwykle i że æl ma dziwne uderzenia gorąca, które sprawiają, że wewnątrz jego dłoni jest mokre. Zbierając się na odwagę, æl bierze głęboki oddech, wyciera ręce w spodnie, podwija rękawy i wraca do marszu, próbując odwrócić się plecami do luzu.

Æl wybiera główną aleję — nie ma powodu, by się ukrywać, nie mówiąc już o tym, że agresja Onyx zaszczepiła ją z wąskich uliczek. Jest późne popołudnie, kopuła jest otwarta, aby skorzystać ze słonecznej pogody... krótki spacer jest przyjemny.

Wszystko byłoby idealnie, gdyby æl miała mniej skrupułów niż jej rodzice: æl ma świadomość, że bawi się granicami ich zgody, co powinno pozostawić ją obojętną, a wręcz przeciwnie, martwi ją. To za mało, żeby się poddała.

Gdy przybywa æl, czeka go zła niespodzianka: sklep Nyvenna jest zamknięty. Skupisko dronów sygnalizacyjnych wisi w powietrzu, tworząc obwód bezpieczeństwa wokół budynku. Świetlista pajęczyna splata się krok po kroku między dronami, rysując żółte i czarne wstążki w miejscu, w którym przewija się tekst: „Operacja Opax w toku – proszę skonsultować się z Metaverse ZZ1-07XA23/1606, aby uzyskać wszelkie informacje”.

Dziwne, to za dużo, albo za mało - zbyt ważne, by aresztować zwykłego exSITE, takiego jak Nyvenn, albo za mało dyskretne, by zastawić pułapkę.

KatK podejmuje decyzję pod wpływem kaprysu.

Greek, dobrze czy dobrze?, stuka æl w swój bezpieczny pad. Wø, obudź się człowieku!

Rój emotikonów z kolczastymi włosami i ustami pełnymi ostrych zębów roi się od ekranu z dużą podkładką pikselową – im niższa technologia, tym trudniej jest umieścić inwigilację.

Tak, ja też cię kocham, stuka Kat, uśmiechając się. Mät åce: ZZ1-07XA23/1606.

Budzisz mnie z powodu tego gówna zakodowanego twoimi palcami? Literówka gReeka używa ociekających smarkami znaków. Tutaj, owłosiony. Litery zamieniają się w znaki zapytania, gdy znikają. Niskie bezpieczeństwo, jak na Opax.

Tak. Więc idę do domu, zgłoś fałszywą osobę.

Czekaj, to nie jest kwadratowe. Opé Opax, Kat pod radarem rodziców, niewłaściwa kombinacja wosh!

Øyz, zarządzam moimi starymi ludźmi, puszczasz mnie! Osoba, magnes.

Brać. Ale proszę, nie wygłupiaj się, Kat, dobrze?

Czy to nagle mądra literówka, czy „STP”, którego æl nigdy nie widział – tak starodawny – ale wydaje się, że gReek naprawdę się tym przejmuje. Czy on ma rację? Może. Ale nikt nie powiedział, że walka z systemem to przyjemna misja, a KatK ma dość czekania na odpowiednią okazję. Jeśli pomaganie Nyvennowi nie jest jednym z nich, to nigdy się nie pojawi.

W pełni zmotywowana KatK ładuje fałszywą osobowość Greeka do swojego implantu neuronowego i wkracza do metaświata. Æl znajduje się w środowisku o zgniłej rozdzielczości i szczerze mówiąc okropnych kolorach – jest powód do złożenia skargi! Idealnie naśladowując nieco ciekawskiego citaca, æl uruchamia protokół komunikacyjny klient-metavers, który ukrywa podprogram do oceny zapór ogniowych... które wszystkie są wyłączone. Dane z dronów beacon są tylko symboliczne, nie rejestrują ani nie przesyłają żadnych danych. Naruszenie bezpieczeństwa jest znacznie większe, niż się spodziewano: miejsce wydaje się być odcięte, podczas gdy w rzeczywistości jest dostępne dla pierwszego, bez żadnego nadzoru.

Uwierzyć, że tak, ktoś już zhakował system! Tajemniczy nadawca wiadomości, oczywiście. Ktoś, kto waży, odkąd zhakował obronę Opax. Opax, co! Czekają tam na niego, æl spotka legendę ÅPØLØW. A może z kolei stać się legendą! Wreszcie æl wkracza do wielkiej gry. Wreszcie æl zmieni...

Zabiera ją z powrotem gwałtownie, znacznie głośniej, jak subwoofer na koncercie méditechs w ramach techtonics. Æl myślał, że wystarczy determinacja, ale teraz, gdy æl stoi pod ścianą, æl naprawdę zdaje sobie sprawę z ryzyka, jakie podejmuje æl, a jego ramiona są znacznie szersze niż jego małe ramiona. Przede wszystkim nie graj w hazard, pamiętaj, dlaczego æl to robi, skop tyłek ze stresu.

Możesz to zrobić. Musisz to zrobić. Jeszcze jeden wysiłek. Zacząć robić !

\SECURIBOT ^ KATK ∩ 0 prywatna Ø \\\

< Upływający czas: 00:04:57. Proszę wysłać hasło. >

< Piouxasses. >

Wspomnienie o securibocie otrzeźwia ją i jednocześnie denerwuje, æl jeży się jak kotek, który przeszedł pod wodą. Westchnienie. Równie dobrze możesz sprawdzić filmy zrobione w sklepie, będąc w nim.

Obrazy leniwie skanują teren, ukazując magazyn z szeroko otwartymi tylnymi drzwiami. O nie ! Odkryliśmy kryjówkę Sathyne!

Włosy jeżą mu się na głowie, znowu drga, słabsze niż poprzednie, oswojone pragnieniem poznania, działania. Kamera przesuwają się, aż jej obiektyw uchwyci samotną postać stojącą przed czołgiem, skąpaną w aureoli. Transmisja jest naprawdę zgniła, w 2D i B&W, godna prehistorycznego filmu. Mimo to KatK wyraźnie czuje, że Sathyne nie ponosi żadnego ryzyka: obcy wyzwała... coś, osmozę, obcowanie z mieszkańcem zbiornika, które wyklucza wszelkie niebezpieczeństwo.

Kto to jest ? Obraz jest tak rozpixselowany, że może to być każdy, robot, cyb', kobieta... A gdyby to była Pollen, najbardziej stylowa exSITée go, królowa infiltracji i jej klucze w sztucznych paznokciach? To byłoby legendarne!

Cóż, wystarczy: mniej wahania, więcej działania. No to ruszamy.

KatK chodzi po budynku, szuka po omacku drabiny schowanej przez Nyvenna na wypadek sytuacji awaryjnych, uwalnia ją z optycznego kamuflażu, wspina się na dach i przechodzi przez świetlik, który nigdy się nie zamyka, wszystko pod okiem pasywnych dronów ostrzegawczych.

Wtulony w szkielet, æl przechodzi od belki do belki między płytkami i podwieszanym sufitem, ciesząc się, że Nyvenn jest zainstalowany w starej chacie, której standardy izolacji termicznej ledwie dorównują zamku Arkhan.

„...pytanie nie jest... za późno...”

Głos dobiega z rezerwatu, urywkami. To nie jest dyskusja, tylko ktoś mamrocze do siebie. Kto udoskonala mowę, powtarzając, aż znajdzie właściwe elementy języka, ten w końcu zrozumie. KatK

postanawia uważnie słuchać, aby dowiedzieć się więcej o nieznanym. Mężczyzna, tonem głosu. Więc to nie Pyłek. Rozczarowanie...

„...nie chodzi o to, jak negocjowalny jest nasz sposób życia, jest na to za późno. Wszyscy musimy wspólnie podjąć wysiłek, zmienić swoje przyzwyczajenia. Dostosujmy się. I szybko. Ci, którzy twierdzą inaczej, kłamią. Ja, nie będę cię okłamywał.

„Nie, pytanie nie dotyczy tego, czy nasz sposób życia podlega negocjacjom. Problem polega raczej na tym, aby wiedzieć, z kim to negocjować. I nie będziemy musieli tego robić z Arkhantes, ale z naszymi przyjaciółmi, naszymi sąsiadami, naszymi krewnymi.

„Jesteśmy bardzo przyzwyczajeni do debaty publicznej i kompromisów budowanych w społeczeństwie. Na tym polega siła naszej demokracji uczestniczącej.

„Ale ci, z którymi będziemy musieli negocjować w pierwszej kolejności, ci, którzy muszą mieć ostatnie słowo, to nasze dzieci. Tak, nasze dzieci, bo nie będą miały innego wyjścia, jak żyć w środowisku, które im zostawimy. Ale nasze dzieci nie dziedziczą naszego świata, one nam go użyczają.

„Dlatego, aby sprostać tej debacie, która zapowiada się na wyjątkową, proponuję metodę głosowania, która jest równie wyjątkowa. Zamiast jednego głosu na obywatela-akcjonariusza proponuję zintegrować ważenie oparte na wieku. Tak więc głos młodej osoby będzie miał większe znaczenie niż głos osoby starszej, ponieważ będzie potrzebował więcej czasu na podjęcie decyzji, które my podejmiemy.

„I bla bla. Algorytm ułożony przez Norię, planowanie, akredytacja lobbystów itp. Nic supertechnicznego, inaczej wszystkich stracę. »

Zakłęcie prysło, KatK czuje się, jakby się potknął, tak bardzo, że ton jego głosu się zmienił.

„Co o tym myślisz, Sy? »

Serce KatK ponownie przejmuje jo-jo. Anguish dobrze się bawi, zawiązując węzły na swoich strunach głosowych. Czułość tego

głosu... Przewisko brzmi w ustach faceta jak One w jego. Co tu robi æl! Zamiast zajmować się jego siostrą! KatK bierze głowę w dłonie, zaciskając pięści we włosach, ciągnie trochę, aż zaboli, poczuj jej ciało, tam, na granicy bólu, poczuj jej ciało i wstań. Dla jednego. Walczyć o nią, aby ich jutro było słodkie jak Sphax i solidne jak Kubu.

„Proszę, KatK, dołącz do mnie, czekałem na ciebie. »

Ręka wsunęła się pod płytę sufitu podwieszanego, nastolatek się waha. Æl jest bardziej urażony niż przestraszony, że został zauważony. Jak złapany w banderę amatorstwa. Jeśli ta osoba waży się w grze, ÅPØLØW czy nie, to jest to poważny wstyd. Jednocześnie, za kogo on się uważa, gwizdząc na nią jak zwierzak? Æl jest gotów powiedzieć mu, że jego przemowa nie jest taka zła, o wiele mniej głupia niż te, które æl słyszał ostatnio... ale nie powinien też wnosić zbyt wiele.

Æl poświęca trochę czasu na ostrożne zejście, nie musi się spieszyć teraz, kiedy ją zauważył – jak on to zrobił? w dodatku odwraca się do niej plecami! Zanim æl do niego dołącza, nieznajomy uruchamia kilka elementów sterujących, archaiczne hydrauliczne mechanizmy ciśnieniowe. Zbiornik się trzęsie, glony w rytmie falują w środku, podobnie jak długie, powiewające włosy Sathyne. W końcu czołg powoli zapada się pod ziemię, jak kapsuła ratunkowa z tonącej stacji.

„Kim jesteś?”, mówi KatK po zatrzymaniu się na tyle daleko, by ukryć swój strach.

- Nie poznajesz mnie? Odwraca się, jego twarz jest ukryta pod ewoluującą maską, w której oczy i usta są zredukowane do symbolicznych plamek w czerni i bieli. „Jestem przyjacielem Nyvenn, nasze ścieżki już się tu skrzyżowały.

– To wciąż nie mówi mi, kim jesteś.

– Co sądzisz o mojej przemowie? Jest jeszcze w formie roboczej, ale chciałbym poznać twoją opinię.

— Przemówienia nigdy nie będą warte czynów.

— To właśnie proponuję w moim nowym systemie głosowania.
NIE ?

- Najpierw zdejmij maskę, potem może pogadamy.

„Nigdy nie zgadniesz, co podsunęło mi pomysł na tę wagę opartą na wieku. Okoliczności zmusiły mnie do zmobilizowania wszystkich moich kontaktów, sieci cierpliwie utkanej po dwóch dekadach w polityce. I wiesz, co mnie zaskoczyło, kiedy to zrobiłem?

„Że twoja sieć jest tak zła, jak głosujący metaświat?” »

Ordynator śmieje się serdecznie. W rzeczywistości jego kontakty opuszczały go jeden po drugim, niektórzy nawet nie udając, że zostali dotknięci swoją zdradą. Narobił sobie nawet nowych wrogów, takich jak zastępca dyrektora Opax, którego szantażem zmusił do wyłączenia dronów sygnalizacyjnych na czas ewakuacji Sathyne. Nie żeby go to dziwiło, ale mimo wszystko zejście do piekła jest trudne. Nurkowanie bez liny zjazdowej.

W końcu Sir Vine jest jedynym, który pozostał mu wierny – szkoda, kiedy wiadomo, czego żądał od schematu.

Czy ewakuacja Sathyne nie jest kolejną formą porzucenia? Czy on ją chroni, czy się jej pozbywa? Nie, oczywiście nie ! Nie rezygnuje z niej, nie kontaktowałby się z KatK w sprawie uwolnienia Nyvenn, gdyby nie zależało mu na siostrze.

Początek bólu głowy prześlizguje się między lewym okiem a łukiem, ustępując miejsca wijącemu się bólowi. Prawdopodobnie poczucie winy lub wstydu. Jego własne argumenty są dla niego nie do zniesienia: rekrutacja nastolatka i lot na pomoc Nyvennowi z czystego własnego interesu, czy to nazywa „ochroną Sathyne”? Szczerze mówiąc nie chwalebne. Zbyt długo rodziła się w politycznym zaścianku, stała się błotnista i zimna jak krokodyl.

Tymczasem czołg Sathyne powoli daje się połknąć tunelowi ewakuacyjnemu, który doprowadzi go do kanałów Mantris.

„Tak, jeśli chcesz, potwierdza, cała zabawa zniknęła. Ale przede wszystkim zdałem sobie sprawę, że wszystkie moje kontakty, bez

wyjątku, były co najmniej trzy razy starsze od ciebie. Najwyższy czas, żeby to się zmieniło.

„Nic się nie zmieni, dopóki nosisz tę maskę.

– Potrzebuję twojej pomocy, KatK. »

Æl ma dość tego, że nikt go nie słucha, więc æl odwraca się do niego plecami i odchodzi. Ta osoba nie jest Pollenem ani nikim o jego randze w ÅPØLØW, æl zna na pamięć cechy wszystkich wielkich. Wcale nie, żeby æl był fanem, po prostu chce być gotowy na wypadek, gdyby æl spotkał złą osobę... Zrób dobre wrażenie. Nie bierz jej za nowicjusza. W każdym razie ten, w każdym razie, to nie jest ÅPØLØW, jest jasny i czysty jak ekranowa skóra.

„Wiem, gdzie przetrzymywana jest Nyvenn”, mówi Ordynator, by ją zatrzymać, „ale potrzebuję twojej pomocy, by ją uwolnić. »

KatK odwraca się i wskazuje wściekłym palcem na tego, kto ją tu zwabił.

"Nie jestem twoim..."

Æl odskakuje, jakby na widok okropnego włochatego pajaka na twojej poduszce. Mężczyzna zdjął maskę, æl rozpoznaje go od razu.

Cholera, a skąd æl go zna!

Najlepszy klient Nyvenn, miłośnik mebli z prawdziwego drewna, ten, który podarował Onyxowi nowy hełm... to był Ordo! Przez cały ten czas było to Ordo!

Ten drań miał ich pod obserwacją, to pewne. Stuknął One w słuchawki, wychłostał jego aktywność w sieci, złamał kod powiadomień, szpiegował mamę i tatę... Cholera, to on wysłał do nich Salomé, atak nigdy się nie wydarzył. to był tylko pokaz! Z powodu æl, ÅPØLØW zostanie rozmontowany, oskórowany komórka po komórce, gReek i pozostali członkowie zostaną wtrąceni do więziennych metawersów. Æl marzył o byciu bohaterką ruchu oporu, æl zostanie oskarżony o zdradę i potraktowany jak kolaborant! Jak głupi mógł być æl, prawdziwy kosmiczny bełkot!

Kaskadowe rewelacje przechodzą przez jego głowę jak wystrzał z karabinu plazmowego: coś tak szybkiego jak światło, krótka, skupiona fala, która niszczy i wypala wszystko na swojej drodze, która pozostawia ciało nienaruszone, ale unicestwia osobowość, która przemienia cię w zonzomb.

Ordynator powinien zatriumfować, to jego dzień chwały. A jednak nie. Można to wyczytać z jego twarzy, dręczy go zwątpienie, gorsze niż kwas. Jest ofiarą kruchości i cierpienia, którego nie można naśladować. Nikt nie odważyłby się tak obnażyć, nawet aktor, a tym bardziej osoba publiczna.

Wyciąga przyjacielską dłoń, której KatK nie odważy się wziąć, przekonany, że jeśli æl to zrobi, Matrix Guard i agenci Opax wysadzą dach rezerwatu, aby wyskoczyć z samolotu stealth, krzycząc „go!” Iść! Iść! ”.

Ordynator cierpliwie trzyma wyciągniętą rękę, delikatnie przechylając głowę na bok.

„Cześć, nazywam się Ezio. »

Rozdział 19

Zejść

Wyczerpana tym wszystkim przez co właśnie przeszła, Solis powoli schodzi po schodach Gravleva z uśmiechem na twarzy – raczej z grymasem zmęczenia niż czegokolwiek innego. W jej umyśle krzyżują się, wte i wewte, paradoksalne uczucia, niczym śpieszący się podróżnicy, którzy w końcu wpadają na siebie. Daje się ponieść tej emocji podobnej do mille-feuille, która ją oplata, osładza.

I krawędź.

Robi sobie krótką przerwę, ale wystarczająco długą, by zawroty głowy, które ją atakują, przejęły prąd „bałaganu nieważkości” i przeleciały przez pustynię Riftu. Odlatują obrazy, które przenoszą ją z miejsca na miejsce i przyprawiają o mdłości, objawienia, które przynoszą jej ulgę i ją niepokoją.

Teraz, trzeba będzie strawić to ciężkie danie główne.

Po czym, jakby szalona przygoda, której właśnie doświadczyła nie była wystarczająca, fragmenty snu, który miała w oazie, pojawiają się ponownie, bez ostrzeżenia.

Kalejdoskop wizji, które powróciły, by prześladować ją jak dawna zbrodnia.

Najpierw budynek oznaczony „O.N.I.”. Potem niekończący się korytarz i wszystkie jego cholernie ciemne zakamarki. Koszmarne drzwi, które trzaskają, hałaśliwe, natrętne, brutalne, zamykające wszystkie inne możliwe ścieżki. Drzewo i jego krwawe kwiaty. I wreszcie odbicie, jej własne, jej własny odbłask w lustrze, który ją zdradza, który ją oszukuje i który kończy się złamaniem, rozbiciem jej samej na tysiące kawałków...

Tej nocy, kiedy właśnie przekroczyła Ścianę Kości, by wejść do Riftu, sen miał wszystkie cechy koszmaru. Dziś Solis dorosła, już się tego nie boi: jeśli drzwi się zatrzasną, wystarczy je ponownie otworzyć, aby wpuścić powietrze i sprawić, by cała przyszłość, wszystkie alternatywy stały się ponownie dostępne.

Solis zmieniła się. Tam, na szczycie tego piekielnego budynku do góry nogami, coś głęboko ją zmieniło. Jest o tym tak bardzo przekonana, że dyskretnie obmacuje swój brzuch, swojej biodra, twarz, szyję. Jej umysł może płatać jej figle, ale jej wygląd nie jest już taki sam, niewymownie, magicznie.

„Drzwi po prawej” – mówi jej Aureliusz, schodząc za nią po schodach.

Solis postępuje zgodnie z jego radą, pomimo wewnętrznego przekonania, że mogłaby uniknąć wszelkich anomalii grawitacyjnych, jakie napotkałaby na swojej drodze. Paradoksalnie wobec tego wszystkiego co ją przytłacza i obciąża, czuje się tak lekka, że „bałagan nieważkości” z pewnością nie jest już w stanie jej kontrolować.

Jako pierwsza wchodzi do starego apartamentu Mantrian, którego wymiary dorównują ceremonialnym komnatom jej pałacu w Neftydzie. Jeśli kolorowy pył z Riftu pozostawił swój ślad na tym miejscu, pokój został

oszczędzony przez wybuch. Kominek zamknięty za ścianą z hartowanego szkła, glify tak bardzo przekształcone w estetyczne motywy, że zostały pozbawione wszelkiej magii, zmechanizowane rzeźby przywołujące na myśl parę spętanych smoków... Dekoracja zdradza zainteresowanie obywateli-akcjonariuszy kulturą Arkhańczyków, przerażająca atrakcja, kto odważyła się osiedlić na terytorium Solona, najbardziej przyjaznego dla Mantris, ale który blokuje rzeczywistość za zabezpieczeniami, takimi jak zapory firewallle metaversów.

Solis, nie chce już izolować się za barierami ani nakładać filtrów na swoje spojrzenie. Nigdy więcej. Taka wydaje się być jej nowa doktryna, zatwierdzona na szczycie Gravleva. Opuszczenie pałacu i zmierzenie się z surowością Riftu było jedną z najlepszych decyzji jej młodego panowania. Wyjście poza strefę komfortu pozwoliło jej obserwować rzeczywistość bez żadnego różu, patrzeć faktom prosto w oczy, bez mrugania powieką. Bez uników.

Ale przede wszystkim, przede wszystkim powtarza sobie, że bez podjęcia tego ryzyka, pozostałaby unosząca się, niezdecydowana, bezcielesna w swojej roli, bojaźliwa i nieoceniona, po prostu księżniczka. Nigdy nie byłaby w stanie wznowić cyklu prany ze swojego złotego pałacu.

W tym właśnie celu, na szczycie Gravleva, pojawiło się wiele objawień. Zaczynając od najbardziej nieoczekiwanego: bursztyn to rzetelna prana.

Ściska w pięści, złoty odłamek, który podniosła z dachu. Bursztyn pulsuje pod jej palcami, emanując czystą magią zawartą w jego strukturze. Czarnoksiężnik powinien umieć uwolnić tę energię swoją pieśnią, jak jubiler, którego dłuto tnie diament z nieoszlifowanego kamienia. W każdym razie Aureliusz potrafi to zrobić. Solis nie wie jeszcze, w jaki sposób udaje mu się kontrolować grawitację – rodzaj magii

nie związana z żadnym arkhmem! —, ale oczywiście jest wiadome, że to jego naszyjnik napędza jego moce.

I najwyraźniej nie jest to jedyny powód, dla którego Aureliusz nosi bursztyn na szyi: Solis instynktownie wyczuwa, że Isalys używa go jako kanału by z nią się kontaktować. *Witaj Solis. Słyszysz mnie ? To ja. Twoja siostra.*

Przebłyśki, sny, oczywista zażyłość, która emanuje, wszystko to wyjaśnia potężny pociąg jaki czuje i odczuwa do Aureliusza, w okrutnych przypływach. Ten instynktowny apel uścisków, pożądanie jego rąk na jej roztrzęsionym ciele, żrące pragnienie, które śwędzi przy każdej wymianie spojrzeń, to wszystko, to tylko pomieszanе pożądanie, przypominające wino pomieszanе ze złą wodą.

Solis poczuła to przenikliwe, vibracyjne połączenie od ich pierwszego spotkania w ambulatorium, surowa prawda, drżące uczucie, tak silne, że krzyczało, by poszła za nim, za gladiatorem, do Riftu. Więź, która tak bardzo przypomina... Tak, właśnie tak... Tę iskrę...

Magię Światła.

Przypomina sobie swoją rozmowę z Sylaeą w ogrodzie, który razem stworzyły. „Masz zadatki na Czarnoksiężnika Światła” – powiedziała jej Faworytka Natury. Jesteś jak całun Światła... Jak wieczorowa suknia widoczna z nieba.

Czy Isalys też posiada dar wróżenia? Czy to dar rodzinny, rodzaj fosforyzującego atawizmu?

Solis poprzestaje na tej myśli, zatrzymuje się, jej ametystowe spojrzenie płonie ogniem zanurzonym w jej myślach, który rozpala pustkę aż po zakurzony horyzont.

Siostra...

Ona, która myślała, że nie ma już rodziny, oto ma siostrą. Jest z kimś spokrewniona. Unosi nos do sufitu, zamyka oczy, wybucha śmiechem i wydycha długą salwę ulgi. Ta idea jest wyśmienita, z

pewnością oszalamiająca, ale bardzo przyjemna. Zabezpieczenie, na którym można mocno się oprzeć. Malkah nie jest już sama. Krew królowej płynie w żyłach innej.

Strasznie chciałaby się dowiedzieć, kim ona jest, a przede wszystkim, jak wygląda.

Siostra...

Jakie będą ich pierwsze słowa? Miło mi cię poznać ! Jestem tak... tak... co? Szczęśliwa? Zaskoczona? Zawiedziona? Jakie słowa będą w stanie przebić się przez wyrwę wykopaną przez dwadzieścia lat rozłaki, przez ogłuszającą ciszę? Czy wezmą się za ręce? Głowę? Czy będą wlepić w siebie spojrzenia jak w medale? Czy cisza będzie niezręczna, czy przywitanie gorące?

Solis znów wzdycha. Znowu racjonalizuje, zamiast przeżywać. Czuć. Doceniać. Po prostu w pełni doświadczać przyjemności płynącej z emocji. Skręca warkocz, rozdziela pierścienie, przywiera do niego, żeby łatwiej stawić czoła rzeczywistości.

Siostra...

Jej wzrok gubi się za ogromnymi panoramicznymi oknami, które oświetlają zakurzony salon. Są dziwnie nienaruszone... W rzeczywistości szkło jest rozdrobnione, rozbite przez wybuch i upływający czas, ale utrzymywane na miejscu przez zlokalizowaną anomalie grawitacyjną. Odłamki poruszają się pod wpływem silnego wiatru z powolnością płyt tektonicznych, ocierają się o siebie w pisku owadów na granicy słyszalności. Hałas, którego dostrzeżenie wymaga czasu, a który potem staje się obsesyjny. Jak brzydka prawda od dawna ukrywana za kurtyną kłamstw.

Solis delikatnie zbiera czubkiem palca słoną kroplę, która właśnie zrodziła się na kąciu jej oka, obserwuje ją z fascynacją, przygląda się jej dokładnie tak, jak patrzy się przez szkło powiększające, po czym bez zastanowienia się podnosi

ją do ust, jakby ktoś połykał eliksir cudzych wspomnień. Następnie, samą ze sobą, przygotowuje fałszywą ceremonię magii Wody, zaklęcie, które uprawomocni odparowanie jej własnych myśli, tak aby mogła bez poczucia winy przemienić się w tą drugą i w pełni przeżyć to wszystko, co Isalys przeszła od czasu opuszczenia Nephtydy, kiedy była dzieckiem, w swobodnej i bezgranicznej empatii, stając się w ten sposób całkowicie jej siostrą.

Rozdział 19.2

Ta magiczna uluda naprawdę działa i nagle Solis zaczyna wibrować jak Isalys, po czym dzieli się jej wyimaginowanymi wspomnieniami.

Począwszy od ogromnego szoku, kiedy odkrywa straszną prawdę o swoim pochodzeniu. Kataklyzmiczne wydziedziczenia jej przekonań, o tym, kim wierzyła, że jest lub nie jest. Krwawa łza. Tragedia porzucenia przez rodziców w świecie wyniszczonym wojną, nieustanną przemocą, chaosem, głodem przypominającym tasak i nie tylko: świadomość bycia w ciągłym niebezpieczeństwie, wobec wszystkich i wszystkiego. Pozbawienie, wykorzenienie, usunięcie od łatwego życia, z którego korzystała jej siostra, mała, droga księżniczka Solis, nie dzieląca się z nikim nawet okruszkiem tortu.

Isolis drży, ma sucho w ustach, chyba, że to Salys. Czuje się brudna tym życiem w luksusie, jest zniesmaczniona, ma wrażenie, że włożyła brudny płaszcz albo umyła się stojącą w bagnie wodą.

Isalys musi odczuwać znacznie więcej. Zdecydowanie. Isalys czuje wstręt, musi być wściekła, oszalała ze złości, oszalała z wściekłości, Isalys jest spragniona zemsty, Isalys chce jej głowy i musi odzyskać to, co jej się należy. Isalys ma rację!

Co ona by zrobiła na jej miejscu? Jaka wulkaniczna furia obudziłaby się po takiej zdradzie?

Jako dziecko Isalys zmieniała wysypiska śmieci w place zabaw z taką witalnością, że mogły przewyciężyć większość infekcji i mutacji Riftu. Ponieważ nigdy nie знаła niczego innego, wszystko wydawało jej się normalne, oczywiste, począwszy od harmonii z jej prawdziwą rodziną w Riftcie. Nigdy nie wspinała się na proste drzewa, ale bawiła się kapryśną grawitacją z normalnością, od której zbladłoby każde dziecko Arkhantii. Jasne, że nigdy nie jadła najlepszych dań w Artellium, ale rzadko głodowała. Przede wszystkim cierpliwie przyswajała sobie poczucie rodziny, typową potrawę Riftian, solidną, pikantną, pożywną, która wykuwa żołądek. Danie, które jadło się stojąc przy dymiącym ognisku, z kaskadą mrugnięć, szczerym śmiechem, z tonami miłości i tonami szorstkości, ale z szorstkością miłości, potężnej i prawdziwej.

Aż do dnia, kiedy tajemnica wyciekła jak eksplozja benzyny czekającej na iskrę. Nieważne było jej pochodzenie. Odkrycie tego spadło na nią jak deszcz kamyków, niszcząc wszystkie prawdy na jej drodze, zaburzając jej cholerne przeznaczenie: powinna urodzić się ze srebrną łyżeczką w ustach, małym palcem w powietrzu i mieszkać w pałacu w Arkhantii.

Tak powinno być. To powinno być napisane.

I brud staje się nie do zniesienia, jedzenie staje się okropne, a ukochani rodzice stają się podstępnyymi porywaczami.

Krzyki wściekłości dręczą jej gardło bardziej niż największe pragnienie, niesprawiedliwość zatwardza jej serce zrogowaceniem grubszym niż odciski na jej zapracowanych rękach. Szybko, złość, gorycz, zgorzknienie, wściekłość, odmienność, wszystko to odcina ją od otoczenia równie

skutecznie, jak Malek izolował Solis, ale jej to nie obchodzi, ona chce zemsty.

Jednak Isalys jest inteligentna. Szybko ocenia konsekwencje i jako okradziony bękart, jak haniebna gałąź, której Malek nie odważył się odciąć, Isalys rozumie, że niebezpieczeństwo wisi nad jej głową, że jej przetrwanie zależy tylko od kaprysu, zaniedbania. A ona jest tylko dzieciakiem Riftu, bez rodziny i sojusznika. Jest sama – ta siostra, którą odkryła przypadkiem, oczywiście się nie liczy. Ta bezradność tylko pogłębiała jej niechęć do niesprawiedliwości losu.

Czy to dziecięca wściekłość wyzwoliła jej moce Światła? Możliwe. Albo nie. Nieważne. Tak czy inaczej, dzięki ciągłej czujności, Isalys zaczyna czytać z przenikliwością, myśli otaczających ją osób: małe kłamstwa codziennego życia, sekrety klanu, zakłopotanie jej prawdziwych-fałszywych rodziców, wyczuwalna nieufność lub strach jej towarzyszy zabaw, którzy, gdy tylko się odwraca, nazywają ją oszustką, demonem, zdrajczynią i wieloma innymi imionami najdziwniejszych stworzeń...

Sprytna, Isalys ukrywa swoje zdolności, zwraca się do Światła tylko w ciemnościach, wykorzystuje je, jak to jest tylko możliwe – zastawione pułapki udaremnione, oczekiwane dobre odpowiedzi, poczucie przewidywania graniczące z jasnowidztwem. A przez cały ten czas, przygotowuje się.

Do czego? By zemścić się na jej nieświadomej siostrze za to wszystko co jej ukradła?

Ta teoria brutalnie gryzie kark Solis i wlewa swój jad w dół kręgosłupa. Przeszywa ją dreszcz lodowatej gorączki, mdłości bulgoczą na dnie jej żołądka, a irracjonalny strach zapiera jej dech w piersiach, paraliżując ją.

Solis nie chciała żadnej z tych dramatycznych sytuacji dla Isalys, wręcz przeciwnie, bardzo chciałaby mieć starszą siostrę z tysiąca i jednego oczywistego powodu.

Ale co to zmieni? Jest niewielka szansa, żeby Isalys kiedykolwiek wybaczyła jej to, że to ona była prawowitą siostrą, panującą siostrą. Nie jest pewna, czy ona sama potrafi sobie to wybaczyć.

Desperacko szukając wsparcia i pocieszenia, zwraca się do Aureliusza. On zna Isalys, więc mógłby jej powiedzieć, jak jest prawda. Powinna była go zapytać o to już dawno temu. Ma pilną i nagłą potrzebę poznania prawdy.

Pytania ugrzęzły jej w gardle, kiedy się odwraca i odkrywa zamknięty wyraz twarzy Aureliusza, twarz na wpół ukrytą za dłonią, którą wyciąga do niej. Stoi po drugiej stronie drzwi, przez które weszła do apartamentu Mantrian. Widząc go takiego, nieruchomego i cichego, można by było uwierzyć, że grasuje tam zaciekły drapieżnik, wypatrując najmniejszego dźwięku zdradzającego jego0 ofiarę.

„Nie ruszaj się” , rozkazuje.

Gladiator kuca powoli, by podnieść garść piasku, który burze przyniosły tutaj, do wnętrza budynku. Dmucha na małą kupkę, która spoczywa na jego dłoni, rzucając ją w przestrzeń przed sobą. Kłęby kurzu wznoszą się leniwie, jakby sennie. Kiedy docierają do drzwi, nagle zostają wykręcone we wszystkich kierunkach, jak zasłona, którą kilka rąk chciałoby otworzyć, ciągnąc w przeciwnych kierunkach.

Wciąż kucając, Aureliusz uważnie obserwuje framugę drzwi.

„Nic nie można zrobić – mówi w końcu. Musimy poczekać na ponowne otwarcie przejścia.

- W porządku. Ile czasu to potrwa?

- Nie wiem. Poszukam innego wyjścia.

- Nie, zostań !
- Po co?
- Potrzebuję cię.
- Ty? Potrzebujesz? Mnie?
- Opowiedz mi o niej.
- O niej?
- Isalys. Opowiedz mi o Isalys.”

Aureliusz przykłada rękę do swojej szyi. Uduje, że łagodzi swędzenie, ale Solis widzi, że bawi się bursztynem.

„Jest silna, ostra. To szabla.

- Jest o wiele bardziej agresywna ode mnie, prawda?”

Po drugiej stronie niewidzialnej zasłony „bałaganu nieważkości”, Aureliusz wpatruje się w nią przez chwilę. Następnie dodaje:

„Jest bardziej do ciebie podobna, niż myślisz.”

Nie mogła mieć nadziei na lepszą odpowiedź, tak bardzo chciała w to uwierzyć! Czy Aureliusz mówi prawdę? Czy jest szansa, że naprawdę wyglądają tak samo? Czy jest jakaś nadzieja, że pewnego dnia zostaną siostrami, zapominając o tym, że okrutny los je skłócił?

Ogarnięta niemożliwymi do pogodzenia emocjami, Solis nie wie już co czuje, jest strapiona, czy jej ulżyło, jest rozdarta lub uspokojona, w popiołach czy we łzach. Wszystko się w niej zderza. Powoli, odważnie, zmusza się, by rzucić na siebie światło, przeanalizować swoje uczucia, aż do głębi serca, bijący puls, głęboka vibracja, istotna kropla. A to, co z tego czerpie pod presją, to jest strach. Czysty strach, który podkreśla do bólu jej odczucia, uderza myślami, koło ciosów tak zaciekłych, że Solis czuje się winna. Strach, że Isalys znienawidzi ją na zawsze. Strach bycia jeszcze bardziej samotną niż wtedy, kiedy dowiedziała się o jej istnieniu.

A nie ma nic trudniejszego niż pocucie samotności we dwoje.

Solis bierze głęboki oddech. Ten straszny strach jeszcze nie wygrał tej wojny. Pokazuje jej to, co ją w tej chwili otacza: jeśli anomalia grawitacyjna jest w stanie utrzymać w miejscu wybite okna, to na tym świecie istnieje siła zdolna naprawić zniszczony los dwóch siostr. Solis jest przekonana, że Isalys i ona mogą odnieść sukces w przewyciężeniu przepaści, którą inni wykopali między nimi.

Być może to tylko przeblysłk nadziei, ale Solis czuje, że rezonuje ona głęboką prawdą i, że może nadmuchać nie jeden żagiel. Chce poczuć się lepiej, znaleźć antidotum na truciznę zwątpienia, odeprzeć i pogrzebać swoje lęki. Nie tylko przybyła do Rift w poszukiwaniu odpowiedzi, ale także by znaleźć tam wersję przyszłości, która spełni jej najskrytsze pragnienia. A jeśli ta przyszłość nie istnieje, ona ją zbuduje. Zbudują ją razem z Isalys.

Czekając na powrót Aureliusza, kontempluje otoczenie Gravleva, które oferuje jej inną wizję świata, bardziej nieprawdopodobną i niepewną, a jednak bardziej chłonną i otwartą. Wizja wolnej przyszłości na dużym ekranie.

Przez sięgające od podłogi do sufitu okna, Rift ukazuje swój dziki chaos, równie niepokojący, co atrakcyjny. Wysokość Gravleva pozwala jej dostrzec rozległy kanion wyrzeźbiony w skalistym płaskowyżu rozciągającym się na północy. To tam, w jednym z meandrów prastarej wyparowanej rzeki, zniknęła Sarasha, połknięta przez uskok bursztynu.

Uśmiech pojawia się na jej ustach, bo ona wie: jej przyjaciółka nie jest martwa, tylko uwięziona przez Invermonde. W oczach większości niewiele to zmienia, ale Sarash to coś więcej niż większość ludzi. Jeśli czarnoksiężnicy Cienia mogą wchodzić i wychodzić z Invermondu, dlatego też Sarash znajdzie na to swój własny sposób. Z pewnością. Z pewnością będzie to niekonwencjonalne, z pewnością

może wypalić wiele ciemnych zakamarków, ale ona to znajdzie. Tak, jest pewna. Sarash wyjdzie z tego.

Jak kurtyna sceniczna, jej uśmiech otwiera się jeszcze bardziej, w momencie gdy Solis zauważa w sąsiednim pokoju pianino, które, ma się wrażenie, że spadło z nieba. Lov, najbardziej prestiżowy dom instrumentów Arkhańczyków prowadzony przez rodzinę czarnoksiężników Natury, którzy wychowują swoje instrumenty jak swoje dzieci, pod opieką matki, z najlepszym ziarnem głosu. Ten instrument jest obietnicą samą w sobie.

Ostrożnie wzbija pył szorstką podeszwą, nasłuchując najmniejszych zakłóceń grawitacji. Nic jej nie alarmuje, więc stawiając ostrożnie kroki siada na stołku ustawionym przed instrumentem i testuje jego klawisze i pedały. Wytwarzany dźwięk jest okropny, rozstrojony, ochrypły od zużycia i piasku. Jej uśmiech staje się coraz szerszy, aż obnaża zęby. Zasadniczo nie ma to znaczenia, czy struny są zużyte, czy wręcz pęknięte, o ile klawisze pozostają ruchome. Podobnie jak na harfie fortepianowej, Solis gra na instrumencie łącząc struny i perkusję, gotowa do wymyślenia własnej symfonii z vibracji jej wspomnień.

Pod jej palcami tworzy się partytura wirów jej myśli...

Solis nie wie co najbardziej ją dręczy: pewność o przyszłość jej przyjaciółki Sarashy, bliskie spotkanie ze starszą siostrą, uczucie, że jej usta wciąż rozkosznie płoną od pocałunku, czy to, że zrozumiała, że Invermonde jest rozszczepiony. Szczeliny bursztynu to tak wiele ran, z których krwawi silna prana, a krwotok tak silny, że jej cykl zostaje poważnie zakłócony. Jeśli uda jej się zamknąć te szczeliny, uleczyć rany Invermondu, wtedy magia Arkhantii zostanie przywrócona i wszystko wróci do normy.

Malkah ratuje swoje królestwo, sierota odnajduje rodzinę, kobieta odzyskuje przyjaciela i odkrywa miłosną

pasję. Kiedy jesteś w rozterce, odrobina euforii może złagodzić najgorsze scenariusze. Solis śmieje się z tego przypływu entuzjazmu, ale wpada w nie i daje się ponieść emocjom.

Na skraju jej świadomości drzwi wciąż trzaskają, tak jak gałęzie drzewa pękają pod wpływem wiatru zmian.

A cały czas gra na instrumencie, który dostraja do jej nastroju...

Na zakręcie podestu, zaledwie kilka sążni dalej, Aureliusz słucha melodii jak urzeczony. Po nieprawdopodobnym duecie diw, który usłyszała na starym serwerze danych Mantrian, tutaj udaje jej się wyciągnąć nuty ze starego zardzewiałego instrumentu. To nie powinno być możliwe, a jednak wyraźnie słyszy muzykę, dziwną mieszaną determinacji i melancholii, która przypomina mu niektóre noce spędzone pod gołym niebem. W nim trwale zakotwiczony jest obraz Solis, muzyczki, dyrygenta jej najbardziej spokojnych emocji.

Chciałby słuchać dłużej, ale bursztyn wokół jego szyi jest tak gorący, że pali mu skórę. Zdejmuje obrożę, ciesząc się, że jej rzemień jest skórzany, a nie metalowy, bo inaczej poparzyłby sobie dłoń.

Isalys się niecierpliwi, puka do drzwi ich mentalnego połączenia. Nie może już udawać, że nie słyszy, więc otwiera je.

„Przyszła Malkah czeka na twój raport, Aureliuszu. Mam jej powiedzieć, że zawiodłeś?”

Głos w jego głowie jest spokojny, opanowany, co nie przeszkadza gladiatorowi wykrzyć w nim zimną złość. Isalys wyraźnie wyszła poza etap zwykłego zniecierpliwienia.

"Przepraszam? Czy mam rozumieć, że przyszła Malkah wątpi w swojego wojownika?, odpowiada przebiegłym tonem.

- Jestem bardziej podejrzliwa w stosunku do tej drugiej i do tego, do czego jest w stanie cię zmusić.”

Czy Isalys słyszy muzykę? Czy czuje się oczarowana, tak jak on, czy tylko on dostrzega melodię poprzez fałszywe nuty?

„Pozbyłem się Hannibala.

- Wiem.

- Czy to wszystko, co odczuwasz?

- To szczegół.

- Że co? Szczegół? Czy ty żartujesz?

- Co najwyżej drugorzędny cel.

- Daj spokój! Chyba śnię! Dwóch zlikwidowanych Faworytów przeze mnie samego i ty to nazywasz drugorzędnym celem?

- Dopóki nie ukończysz swojej misji, tak, oczywiście.

- Pieprzyć to! Zawsze to samo, nigdy z niczego nie zadowolona!

- Mylisz się, ja już byłam zadowolona, a nawet szczęśliwa, inaczej nie bylibyśmy złączeni." Inaczej nie spodziewałabym się, że wygrasz Appologium i wyeliminujesz dwóch Faworytów.

- Mhm.

- Jutro, Aureliusz. Chcę, żeby jutro była przede mną, u moich stóp. Nie później, nie innego dnia. Jutro. Słyszysz mnie? Pamiętasz Aureliusz?

- Tak... tak, pamiętam.

- Dobrze. Obiecałeś mi to, a obietnica jest na wagę złota. Reszta się nie liczy, to wiatr zbyt słaby nawet dla „bałaganu nieważkości”. Oboje jesteśmy ponad tym wszystkim.

- Tak. Mnie też coś obiecałaś, Isalys, jeśli dobrze pamiętasz.

- Tak. Jutro.”

Łączę zostaje zerwane, pozostawiając Aureliusza samego
z ustami pełnymi niewypowiedzianych słów, trudnych do
przełknięcia jak żwir. I odwrotnie, jego
uszy są wypełnione wyimaginowanym muzycznym miodem.

Rozdział 19.3

Mogłaby go uratować. Przynajmniej spróbować to zrobić. Ale już nie ma siły. Ani odwagi.

Więc Sylaea zadowala się przygotowaniem Hannibala do jego ostatniej podróży.

Powiedziała mu, żeby nie próbował ponownie wspinać się na Gravleva, ale ten uparciuch jej nie posłuchał. Nie ma głowy kilofa, która nie eksploduje na bazalcie. To, że Faworyt Ziemi sam doświadczył tego powiedzenia, jest ironiczne, ale trudno się temu dziwić.

Niemniej jednak wytrzymałość Hannibala pozostaje niezwykła: upadek z wysokości przekraczającej sklepienie Orcuniona nie wystarczył, by go zabić. Nie mogła zaakceptować tego, by pozwolić mu cierpieć w kraterze jego upadku, Faworyt Ziemi zasługuje na szacunek. Z pomocą Ronana i kilku innych strażników zniosła go do królewskiego namiotu, jedyne miejsca w obozie osłoniętego od słońcem i ciekawskich.

Teraz, gdy wszystkich już odesłała, Sylaea myje posiniaczone ciało kolosa, z klatkę piersiową obwisłą od połamanych żeber, wyglądające jak wzgórze wyrzeźbione przez zawalone chodniki kopalniane. Skaryfikacje, blizny, skóra nakrapiana starymi oparzeniami... tyle symboli zaznaczonych na mapie jego dawnych cierpień. Hannibal to

miecz ze stali damasceńskiej, rozpalony do czerwoności, rozbity potężnymi uderzeniami młota, wygięty przed ponownymi uderzeniami, aż do uzyskania nieskazitelного ostrza, równie wytrzymałego, co ostrego. Hannibal sam w sobie jest narzędziem walki, a mimo to poniósł porażkę.

Kiedy jej wilgotna szmatka ociera krew i kurz, blizny po bitwie i cierpieniu stają się coraz bardziej widoczne; nic i nikt nie może ich wymazać. Sylaea zaciska usta, by zdusić w sobie uczucia: złość z powodu życia zmarnowanego przez upór, smutek po utracie wiernego towarzysza.

Przede wszystkim wstyd, że nie może zrobić nic więcej.

Aby ocalić Aureliusza, kogoś prawie nieznajomego, którego jedyną cechą było powiązanie z Isalys, nie wahała się poświęcić nasienia przeznaczonego dla Polany rodzin, gdzie chciała wychować własne dzieci. Teraz, gdy umiera jeden z jej równych, filar siedmiu arkhomów, mężczyzna, którego znała od lat, z którym się śmiała, z którym walczyła, którego dawnego mistrza podziwiała, teraz zadowala się pośpieszną kąpielą? Jak mogło do tego dojść?

To pytanie rozprzestrzenia swoje implikacje w jej ciele, jak rak, który przechodzi pod skórą. Wkrada się w nią zwątpienie, trujące jak pasożytniczy grzyb, niemożliwe do wykorzenia jak chwast.

Lojalność, to obraz, który odsyła Hannibal. Uparty, sztywny, tępy, dumny, niezdarny, butny... tym wszystkim był dla Solis, ale pozostał jej wierny aż do śmierci.

Natomiast Sylaea, jako doskonała Faworytka Natury, jest okropnie i niezdolnie niezdecydowana. Czy ma rację wspierając Isalys, czy nie popełnia strasznego błędu? Czy nadal ją wspiera z przekonania, czy dlatego, że jest już za późno, by się wycofać? Jej sprzymierzeńcami są politycy, spekulanci chaosu, oportuniści, którzy czują nadciągający

wiatr, a kiedy ten zaczyna się odwracać – na myśli przychodzi jej Veliva. Ci wszyscy, którzy zostali przy Solis – Sarash, Hannibal, przed nim Tumul – to ci, których można nazwać bez kręactwa, prawdziwymi „bohaterami”. Hannibal nie wahałby się. Niewzruszony, nie zawiódłby.

W cyklicznej Naturze, Ziemia zawsze była niezmienna. To, co Sylaea zwykle bierze za słabość, nagle wydaje jej się godne pozazdroszczenia.

Przekonana jeszcze przed chwilą, Faworytka natychmiast zmienia zdanie. Sarasha porywcza, bohaterka? Konserwatywny Tumul, wzór do naśladowania? Oczywiście, że nie! Byli oni hamulcem koniecznych zmian, przeszkodą w ewolucji. Teraz idealizuje ich, kiedy już ich nie ma. Jaka klasa i jaka odwaga umierać za swoje idee, ale to nie znaczy wcale, że były one dobre!

Sylaea może wątpić w swoje sojusze, ale musi pozostać pragmatyczna i nie chce zwlekać z tematem tak poważnym, jak zakłócenie prany. Nie można cofnąć się w czasie, nie ma to najmniejszego sensu, to jakby starać się cofnąć cykl pór roku lub mieć nadzieję, że liść skurczy się, by powrócić do pąka. Nie, trzeba iść do przodu. Isalys musi wstąpić na Rzeźbiony Tron, aby wymusić zmiany niezbędne do ożywienia Arkhantii. Kropka. Młodość spędzona w Riftcie będzie doskonałym przewodnikiem w działaniach oszczędnościowych, a jej nieugięta wola pozwoli jej utrzymać wodze królestwa, gdy będzie ono niechętne do przystosowania się.

Odniesie sukces tam, gdzie Solis zawiódł.

Ze wszystkich matek, Natura jest tą, która najlepiej zrozumiała, że niektóre z jej dzieci muszą umrzeć, aby niezliczone inne mogły się narodzić. Życie nieubłagane kwitnie na kompoście, oborniku i śmierci, to najstarsza z magii. Kiedy łzy żałoby wyschną, pierwsze pędy dumnie się

przechwalają, gdy odradzają się w słońcu. Solis musi ustąpić, aby pozwolić Isalys rozkwitnąć, tak powinno być.

Nie wspominając o tym, że Sylaea nie ma czasu na wahania, teraz gdy grozi jej własna zima. Czuje to, jej skóra więdnie i wysycha, jej włosy z rdzy stają się szare, jej rogi stają się kruche jak suche drewno. Wątpi, by poznać nową wiosnę, ten cykl zapowiada się jako ostatni.

Za wszelką cenę musi odnieść sukces.

W międzyczasie owija Hannibala długimi lnianymi bandażami, przygotowując jego ciało do ostatniej podróży. Mantris przekształca swoje najbystrzejsze umysły w dane komputerowe, podczas gdy Arkhantia, mumifikuje szczątki swoich największych bohaterów. Przygotowuje do pochówku nie tylko sławnego człowieka, ale przede wszystkim towarzysza, przyjaciela. Z tego też powodu może, bez żadnego zawahania, odczuwać smutek.

" On jest... "

Sylaea spogląda w kierunku wejścia do namiotu. Solis przytrzymuje otwartą, nieruchomą klapę, mimo, że płótno namiotu trzęsie się na wietrze. Godna, znosi smutek ze szlachetnością, którą Sylaea uważa za godną podziwu.

„Nie”, odpowiada Faworytka Natury, gdy dołącza do niej Malkah. Nadal chodzi skrajem wielkiego, ciemnego lasu, czasami wychodzi, by znowu tam zniknąć. Może cię usłyszy, jeśli go zawołasz. Na pewno będzie chciał cię wysłuchać. Będzie chciał zostać.

- Ale on cierpi — obawia się Solis, a jej głos drży tak, jak jej ręka wyciągnięta w stronę Sylaei po lniany bandaż.

- Nie, znosi to.”

Sylaea powierza bandażę Malkah, która nie spuszcza wzroku z Hannibala.

„Len to rytuał symbiozy, wyjaśnia Faworytka, jego włókna są utkane z każdego z siedmiu

królestw życia. Sylaea robi przerwę, trwającą jeden oddech. Następnie dodaje: „Jeśli ktokolwiek może aktywować ten rytuał, to jesteś to ty: to, co was łączy, możesz zatrzymać go wśród nas. Jeśli ci się to uda zrobić, Hannibal może doświadczyć nowego cyklu.”

W Naturze nic nie jest naprawdę brudne: odchody, kałuże, popiół, gnienie są częścią obrazu, delikatnej koronki życia. Pomimo tej prawdy Sylaea nagle czuje się odrażająca, brudna za to, że każe Solis dźwigać taki ciężar. Nadzieja jest realna ale nikła... i taka okrutna. Nie jest zadowolona ze swojego samolubnego zachowania, starając się zachować resztkę skąpych sił, które jej pozostały, faworytka przenosi ciężar swoich obowiązków na dziecko, które widziała jak dorastało, które wychowała i kochała. To nikczemne z jej strony, brzydkie jak odleżyna, bardziej przerażające niż zapadliska, które pochłaniają całe gaje. Inną cechą Natury jest to, że nigdy nie działa z okrucieństwa, tylko z konieczności. A mimo to, to niezbyt dumna z siebie Sylaea, która opuszcza namiot, a jej ciało pochylone do przodu jest jak drzewo na wpół wyrwane z korzeniami przez burzę.

Solis nawet nie zauważa odejścia swojej byłej opiekunki. Myśłami jest gdzie indziej, na skraju tego wielkiego ciemnego lasu, po którym wędruje Hannibal.

Między jej palcami paski wibrują, drżą, przerażone zadaniem, które jest im naznaczone. Ich kruchość kontrastuje z muskularną solidnością kolosa, ich biel kontrastuje z ciemną skórą opuchniętą od siniaków i blizn.

„Wybacz mi, Hannibalu. Błagam, wybacz mi. Tak mi przykro, że cię...”

Opuściłam? Nie, to znacznie więcej, to dużo gorsze. Odepchnęła go, a nawet odrzuciła. Kiedy Malek umarł, chciała zaspokoić pragnienie wolności,

a zwłaszcza zmiany. W tym nowym horyzoncie, który się przed nią otwierał, Hannibal reprezentował kontynuację, a także rodzaj granicy wyznaczającej przestrzeń, którą mogła eksplorować. Nie widziała, że pełnił rolę przedmurza ruchomego obozu, zdolnego przemieszczać się tam, gdzie ona chciała i gotowego do obrony przed naturalnymi niebezpieczeństwami nieznanego terytorium.

Solis wyobrażała sobie Hannibala w więziennej fortecy, podczas gdy on był muszlą, w której ona mogła się schronić w przypadku najmniejszego zagrożenia.

„Nie... nie zostawiaj mnie samej.”

Samej. Samej w obliczu apetytów rozbudzanych przez władzę u jej przeciwników, samej z wątpliwościami podważającymi zaufanie, które musi okazywać publicznie, samej, by przeciwstawiać się zagrażającemu jej spiskowi.

Będzie w stanie stanąć na nogi, zaskoczy przeciwników swoją zaradną determinacją. Co do tego Solis nie ma wątpliwości. Ale po odejściu Hannibala, kto będzie w stanie skonfrontować ją z prawdą? Kto będzie w stanie powiedzieć jej „nie jestem z ciebie dumny”, tak by nie czuła żadnej urazy, a wręcz przeciwnie, zawsze czująca się kochaną, co popychało ją do poprawy i lepszego postępowania?

W zgodzie z ogarniającym ją uniesieniem, płótno namiotu porusza się wokół niej, wokół nich. Z drugiej strony, bardziej rozciąga lnianą taśmę, napinając materiał, aby lepiej zacisnąć bandaż. Przykłada się, nie śpieszy się, całkowicie poświęca się swojemu zadaniu. Nic nie liczy się bardziej niż to, co ona właśnie teraz robi. Łzy błyszczą w promieniach słońca, które wpadają przez otwór w namiocie.

Solis opłakuje los Hannibala, wylewając szlochy, których odmówiła swojemu ojcu.

„Gdybym mogła wybierać, to wybrałabym ciebie...”

Prawdę mówiąc już wybrała. Hannibal to rodzina, którą sobie dała, serdeczny przyjaciel godny brata krwi. Wybuch złości sprawia, że przeklina życie, tę sukę, która pozwalała sobie narzucić jej ojca, którego nie chciała, jednocześnie odbierając jej Hannibala, którego zaadoptowała.

Karmi tę wściekłość, znieczula duszę, jak się upija, by zapomnieć o złych dniach. Sarash połknięta przez Invermonde, Hannibal zmiażdżony przez „bałagan nieważkości”... na co jeszcze Rift ośmieli się ją narazić? Czy to przekłete wrzosowisko nie zdaje sobie sprawy, jak straszny potrafi być jej gniew? Może przeżyło wybuch, ale nigdy nie otrząśnie się z furii zlekceważonej Malkah!

W głowie słyszy ponownie trzask drzwi. Tym razem jest on niepokojący, jak dźwięk grobowców, które zamykają się na zwłokach jej przyjaciół, na jej filarach. Potem wściekłość zamienia się w strach, jak warczący wilk zamienia się w tchórzliwą mysz.

Solis nie czuje, jak jej palce brzdąkają po bandażach, tak jak podczas koncertu na legendarnym instrumencie w Neftydzie. Nie widzi swoich łez, które moczą płótno efemerycznymi runami ich sekretnego przesłania. Nie słyszy oddechu Hannibala, równie niezauważalnego jak nagromadzenie pierzenia robaków w skałach tworzących pasmo Acongua. Nie, ona tego nie czuje. Jej smutek, zbyt ciężki, jest balastem, który nieubłagane pograża ją w lodowatym oceanie żałoby...

Nie wie dokładnie, kiedy skończyła swoją pracę. Hannibal jest zabandażowany, to wszystko. Jego twarz tworzy ciemną plamę na bieli płótna, groźną chmurę, w której błyszczą mokre diamenty. Solis zastanawia się, czy płakał, czy raczej zalała go swym smutkiem. Delikatnie ociera jego policzki, podchodząc prawie do powiek. Chyba tak, Faworyt

Ziemi roni łzę, ogromną, nieoczekiwaną. Jego kamienne oko wysuwa się z oczodołu, jakby wyrzekał się swojego tytułu, by lepiej przygotować się na śmierć.

Szybkim, pochopnym gestem Solis podnosi święty kamień i czule go ściska w zagłębieniu swojej dłoni. W drugiej pulsuje bursztyn zebrany na szczycie Gravleva. Jej ręce zamieniają się w szalkę wagi, na której waży dwa klejnoty, jeden reprezentujący jej brata z innej matki, a drugi jej siostrę z jednej krwi.

Idealna równowaga sił między Hannibalem, który oddala się od niej, a Isalys, która zaprasza ją, by do niej dołączyła. Idealna równowaga... ale niestabilna.

„Muszę to zrobić – mówi Solis zdecydowanym, choć niezbyt stanowczym głosem. Czas to zakończyć, zbyt długo zwlekałam.”

Pochyliła się delikatnie, całuje policzek Hannibala, ciepły jak skała lawy. Zatrzymuje się na chwilę przy kontakcie z jego skórą, po czym wstaje z odnowioną determinacją. Z zachowaniem godności, wydaje się ozdobiona swoim żalem jak aurą rosy, krucha, ale błyszcząca. Otrzepuje kolana, przerzuca warkocz przez ramię, nie strząsając pierścieni. Już czas.

Solis opuszcza namiot nie oglądając się za siebie. Pod zaczarowanymi lnianymi bandażami Hannibala zostawiła bursztyn. Z kolei jego kamienne oko, wciśnięte jest pod pasek Solis, dokładnie w zagłębienie pępka, w punkcie równowagi jej ciała.

Rozdział 20

Opuszczona

„To tutaj, jesteś pewien? sprawdza Solis, patrząc z ukosa i unosząc brwi.

Aureliusz kiwa głową, nerwowo cmokając językiem po zębach. Ta nietypowa dla niego postawa skłania Solis do ponownego spojrzenia na budynek przed którym stoją.

„Idziemy na szafot?”, żartuje.

- Przestań... Nie lubię tego miejsca. Za dużo wspomnień.”

Solis wpatruje się w niego przez krótką chwilę, ale wystarczająco długo, by dać mu szansę na wytłumaczenie się. Ale wierny samemu sobie, Aureliusz pozostaje niemy. On naprawdę się boi. On, zwycięzca Appologium? Z pewnością dlatego, że wie co skrywa ten budynek.

Jeżeli chodzi o Solis, to nie znaczy, że ona się nie boi, oczywiście strach ściska jej żołądek, ale daje sobie z tym radę. Czuje niepokój, tak, nerwową niecierpliwość, oczywiście, ale nie jest przytłoczona niepokojem do tego stopnia, by być sparaliżowaną. Zachowuje zimną krew, nie chce wyobrazić

sobie najgorszego, ale przygotowuje się na każdą ewentualność. Nie ma mowy o wycofaniu się.

Skupia się na tym z czym przyjdzie jej się zmierzyć.

„O.N.I.”. Litery wypisane na budynku są tak charakterystyczne dla jej dziwnego snu podczas nocy spędzonej w oazie, że są jak alarm, ostrzegawczy mantriański kogut, na który ustawione jest bicie jej serca.

Kazamata jest przysadzista, jej kolory wyblakłe od słońca, a jej sylwetka postarzała przez pustynię. Litery, które mają przywoływać demony czasu, to nic innego jak pozostałości po tabliczce, na której oryginalnie widniał napis „ZOONE” – cokolwiek to określenie oznacza.

Nie ma nic w tym strasznego.

Wpatruje się w duże czerwone drzwi. Zamyka oczy, by odczytać vibracje, które mogą się pojawić, ale nic, naprawdę nic nie nadchodzi, wszystko jest zakłócone przez ten cholerny Rift. Zbyt skoncentrowana, nie słyszy, jak Aureliusz mówi jej, że wszystko będzie dobrze. Oczyszcza swój umysł, aby w pełni żyć chwilą obecną, chwilą ponownego zjednoczenia. Oderwana od wszelkich zewnętrznych wpływów, przygotowuje się do zanurkowania w nieznane. To właśnie czuje, w końcu to rozumie: ten strach przed skokiem w pustkę, połączony z euforią swobodnego spadania. Te dwa uczucia przeciwstawiają się sobie, kompensują i pozostawiają ją fałszywie spokojną, ale w niestabilnej i niebezpiecznej równowadze.

Czy powinna się poddać? Odrzucić zaproszenie jej siostry? Nie. Niemożliwe. Nie do pomyślenia.

Jednocześnie, Isalys wysyłała jej tamtej nocy obraz, sen, który był chmurą udręki i niebezpieczeństwa, sen przepojony poczuciem nieuchronności, który wciąż tkwi głęboko w jej zaciśniętym gardle, jak suchy kaszel, którego nigdy całkowicie się nie pozbędziesz. Te drzwi w rzędzie, te ukradkowe kroki,

które są równoznaczne z poślizgnięciami, nadprzyrodzone cienie wyłaniające się z innego świata i wciąż ją pożerające, wszystko to wykraczało daleko poza zwykły zły sen. Raczej strzępy czystej, surowej pamięci, surowej traumy, rany zamknięte przez nabrzmiałą, niezdrową bliznowatą tkankę.

Właśnie to wszystko jest tak przerażające.

„Przede wszystkim... bądź sobą” – radzi jej Aureliusz, czesząc włosy fałszywie oderwanym gestem ręki.

Solis zaskoczona tak czułą zażyłością, patrzy jak on odchodzi, nieco chwiejnym krokiem. Ponownie zadaje sobie pytania, aby w następnej chwili lepiej odepchnąć swoje wątpliwości uderzeniem buta.

Bez dłuższego wahania wchodzi do budynku.

Wnętrze, ciemne i pełne echa, jeszcze bardziej przypomina jej koszmar, co ją niemal uspokaja. Jest ostrożna, postępuje krok po kroku, poświęca czas na obserwację miejsca, z uwagą bada każdy szczegół. Napięcie zaczyna ciążyć jej na ramionach, nie jak pled, bardziej jak przemoczony sznur. Zgnieciona, utylitarna i surowa architektura wzmacnia opresyjną atmosferę. Paradoksalnie, poczucie bezpieczeństwa jakie budzi to miejsce, wzmacnia powagę zagrożenia.

W miarę jak posuwa się do przodu, mieszanka spokoju i niepokoju umacnia się w Solis. Chęć skończenia z tym wszystkim i strach przed zbyt szybkim posunięciem. Plus i minus, które biegną jedno za drugim i kręcą się w kółko. Straszne pragnienie, gdy ma się tylko cykute do picia.

Solis napina ramiona, by złagodzić napięcie, opiera się pokusie owinięcia warkocza wokół palca wskazującego, zamiast tego masuje swój kark. Jej dłoń staje się lepka, drży od pulsujących żył na jej szyi. I kłuje ją we włosy, które nagle stają dęba.

Krzyk. Zawodzenie. Głębokie, niekończące się, okropnie żałosne, okropnie ludzkie.

Przerażenie paraliżuje Solis, ale nie może powstrzymać powolnego odwrócenia głowy w stronę drzwi, z których dobiega dźwięk. Dłoń na jej szyi skrzypi, przynosząc niezdolne drapanie owada w dźwięku, który prześlizguje się przez półotwarty otwór. Solis nagle zostaje pogrążona w fundamentach Tygla, gdzie zamknięty jest astromorgue. Czym jest ta magia? To niemożliwe. Nie może, nie powinien tu być.

Astromorgue... Solis dobrze pamięta przemoc omenu...

*Urodzą się siostry podzielone na dwie części
Jedna będzie dominować a druga zakończy się
Jedna będzie żyła i królowała jako Malkah
Druga zostanie zabita
Wtedy prana znów odżyje
Inaczej zginie*

Po zdumieniu, które ją ogarnęło, Solis rusza w stronę drzwi dużymi krokami, zdeterminowana, by wejść za kulisy i przebić się przez tę mistyfikację. Ani jej ojciec, ani dynastowie nie dyktowali jej, jak powinna zachowywać się jako Malkah, nie będą to też tyrady więźnia, nawet gdyby był nieśmiertelny.

Szybko popycha drzwi, które skrzypią jak stara kobieta z artretyzmem. Wewnątrz, rzadkie światło próbuje uciec, aby pogrążyć pokój z powrotem w ciemności. Rzęzenie podnosi się o oktawę, potem o dwie, bojąc się, że nie przestraszyło jej wystarczająco. Cała makabra inscenizacji rozpada się w obliczu determinacji Solis, pozostawiając jedynie zakurzoną scenografię. Tego starego laboratorium Mantrian, z przestarzałymi od dwudziestu lat technologiami.

Pomieszczenie jest ponure, jak naukowcy, którzy pracowali w nim przed wybuchem – jedyne co po nich pozostało, to szare od kurzu fartuchy, wiszące na ścianach jak duchy unoszące się jedną stopą nad ziemią. Ciąg pionowych zbiorników imituje beczki opackiego browaru. Trzy są popękane, w każdym z nich znajduje się zmumifikowane ciało, porzucone jak szmaciana kukielka, sylwetka zdeformowana przez zgniliznę lub mutacje – nie da się tego dokładnie określić. Pozostałe zbiorniki są nadal wypełnione zielonkawym płynem, w którym unoszą się niejasne szczątki. Z dreszczem odrazy Solis domyśla się ich pochodzenia.

Przez popękaną ścianę, która była dowodem na to, że wybuch był silniejszy niż najgorsza eksplozja wyobrażona sobie przez architektów kazamaty, promień światła powoli dryfuje na wschód, oddalając się od starej kwarcowej baterii, którą na krótko podładował. Rozbłysk energii pozwolił na emisję nagrania wykonanego przez jednego z naukowców, trochę jak opera, którą ożywiła podczas wspinania się na Gravleva.

W jej śnie, to miejsce było w rękach demonów, które potrafiły kontrolować czas. W rzeczywistości jest to stare, surowe i czysto funkcjonalne laboratorium, w którym odbywały się straszne eksperymenty. Nie ma w tym nic nadprzyrodzonego, gdy tajemnica zostaje ujawniona.

Zaślepienie pozbawionych skrupułów naukowców, odsyła Solis do jej własnych błędów, mniej okrutnych, ale które ochlapały innych, jak na przykład, jej występ na harfie po zwycięstwie Arkhantii w Appologium.

Pamięta jak jej własna grafitowa ciemność, zasiała wątpliwości, kiedy interpretowała vibracje Cienia, notch, przeciwfałę. Gniew, wściekłość, przemoc, niechęć Maleka, samotność tronu, tak wiele demonów naiwnie nie

docenionych, stłumionych, zignorowanych. Ale od tego czasu dojrzała, kilka razy poszła prosto przed siebie nie oglądając się za siebie, nabrała odwagi. Dziś wie więcej, jest rozsądniejsza. Wie, że jej największe wady mogą okazać się jej największymi sprzymierzeńcami w próbach takich jak ta, a te atuty, ją uodporniają i przygotowują na najgorsze.

Podnosi głowę, koryguje swoją postawę i wchodzi do korytarza, który wypełniony jest, Solis walczącą, solidną, nurkującą w kierunku jej przeznaczeniu jako królowa-wojowniczka.

Po czym, przypomina sobie to drzewo z czerwonymi liliami, które urodziło się w przebitym zbiorniku i którego gałęzie uciekły z niego. W jej czarno-białym śnie, była to jedyna odrobinka koloru, będąca dowodem na to, że życie może odrodzić się w spustoszonej krajobrazie Riftu.

Drzewo, samotna wyspa lilii... Isalys.

Symbolika nabiera nowego znaczenia, forma nadziei, która unosi ją w wirze obietnic. Gorączka, niecierpliwość, podniecenie, wszystko przyprawia ją o drżenie. Jej przedramiona pokrywa gęsia skórka, która nie ma nic wspólnego ze strachem. Solis unosi przód swojej sukienki i przyspiesza kroku, pewna, że znajdzie drzewo dokładnie tam, gdzie było w jej snach. Nie zważając na horrory czające się za drzwiami przewijającymi się u jej boku, nie zatrzymuje się, dopóki nie dociera do tych, których szuka.

W końcu staje przed nimi. Rozpoznawalne wśród tysięcy. To miejsce emanuje subtelną karminową poświatą. Zatrzymuje się przed drzwiami, które spoglądają na nią z góry, patrzy na nie z godnością, również wyniosła i bez wahania przekracza próg.

Solis wchodzi.

Malkah wchodzi do pomieszczenia.

Światło ją oślepia. Kładzie przedramię przed oczami, na chwilę, by się do niego przyzwyczaić. Ciężko oddycha. Jej klatka piersiowa puchnie, nozdrza drżą, usta się rozchylają. Jej oczy rozszerzają się boleśnie, zranione przez świat, który stara się obserwować. To jak narodziny. Odrodzenie. Jednocześnie cierpienia i uwolnienie.

Wreszcie widzi.

Wszystko zgadza się z jej wspomnieniami: drzewo-hybryda z krwistymi kwiatami, zbiornik z potłuczonym szkłem, kable rozpięte między gałęziami jak winorośl, metalowa podłoga podniesiona przez korzenie... Ogarnia to wszystko jednym spojrzeniem, czas drżącego natchnienia. Z resztkami udręki w żołądku, szuka nakrapianego małymi plamkami lustra, żeby do niego przylgnąć. Nie ma nic, żadnej odbijającej powierzchni, nawet ściany zbiornika nie oddają obrazu.

A mimo to.

Jej odbicie się tam znajduje. Na środku pokoju, nie trzymając się niczego, po prostu niczego, bez ramy, która by to otaczała, zawierała, zabezpieczała. Ona. Z rękoma na jej łonie. Ona. Warkocz przechodzący przez lewe ramię. Ona. Ogolone skronie. Ona. Nieskazitelna sukienka. Ona. Szalony wygląd. Ona. Ametystowe oczy błyszczące bardziej niż jej biżuteria...

Ona. Dokładnie ona.

I nagle Solis zdaje sobie sprawę.

Mam siostrę. Bliźniaczkę.

Rozdział 20.2

Słowa nie są w stanie ewakuować przez moje usta, wszystkich splątanych sylab. Moje oczy mówią zamiast moich ust. Gadatliwe jak cholera. Jąkają się i powtarzają ciągle te same słowa, aż przyjmują to za prawdę, za dowód.

Isalys, to ja. Jesteśmy tą samą osobą. Jestem Isalys. Bliźniaczką. Jestem, jesteście, ona jest bliźniaczką.

Moim sobowtórem.

Czuje, jak krew pulsuje mi w skroniach, przyprawiając je o rumieniec. Zmieniam pozycję głowy, prostuję się. Nie mam nic innego do roboty, jak tylko zaakceptować, więc akceptuję, że Isalys jest dokładnie mną.

Bliźniaczką.

Moja krew zmieszana z jej krwią w łonie matki. Te same pęcherz płodowy. Splot naszych pępowin. Kwarantanna trawająca miesiące. Uściski. Połączone jak dwa kawałki ramy. Dzielenie się wszystkim.

Moja siostra.

Moja druga połowa.

Nie bękart, wcale nie. Jednakowa, taka sama, współniczka, powierniczka. Ucho, które wszystko zrozumie bez konieczności zanurzania się w wannie elokwencji – po co

miałabym to zrobić, jesteśmy z tej samej wody, z tego samego płynu owodniowego? Jesteśmy jednością. To jest wspaniałe. Metronom naszych serc bijących jednocześnie. Wspólna vibracja, podwójna, a jednak identyczna, nasilona, wzmocniona. Jedna w dwóch. Dwie za jedną. Siostry podzielone na dwie części.

Emocje in vitro.

To jest słodkie, rozkosznie ciepłe i takie przerażające. Boję się, bo nie jestem już sama. Jestem przerażona. Połykam huraganowe łzy. Biorę długi oddech. Instynktowna więź. Powstrzymuję pęd i chęć, by zanurkować w jej ramionach.

Kłuje mnie serce, Hannibalu, mój stary bracie. Cieszyłbyś się ze mną. Zręczliwy, oczywiście, ale wzdychałbyś podbródkiem i nozdrzami, abym zrozumiała twoją radość. Szczęśliwy. Po prostu cieszący się z tej wiadomości.

Jesteśmy bliźniaczkami!

Patrzę na nią, ona na mnie.

Ale.

Między nami istnieje ta kompaktowa, lodowata rzecz.

To ogromne i duszące zakłopotanie, które narzuca ciszę, ten dystans, który zabrania dotyku... Pulsujący ból, który nie pozwala mi iść naprzód, dziwny alarm w oku, który napełnia mnie nieufnością.

Nareszcie.

Oto ona. Z ciała i kości. Bardziej cikliwa niż natura. Nie do zniesienia w tym co uwalnia. Ociekająca, dramatyczna, obrzydliwa. Brzydzę się nią. Czuję, że zaraz zwymiotuję. Muszę odwrócić wzrok, żeby nie rzucić się na jej twarz i chociaż jest ładna, głęboka blizna biegnąca od policzka do policzka bardzo by do niej pasowała. Ta kokieteria nadałaby jej patyny, dodałaby jej grubości. Jesteś taka gładka, Solis.

Porażasz głupotą. Naiwność płynie ci z nosa. Srasz strachem i niewinnością. Odczuwam wstręt.

Żałosne.

Trzepotasz oczami, jesteś zachwycona. Jak możesz zachwycać się tym, co cię czeka? Jesteś melancholijna aż do śmiechu.

Wcale nie wyglądasz jak ja. Zupełnie nie.

Ciesz się, moja mała. Delektuj się tą długo oczekiwaną chwilą. Delektuj się swoją stratą. Zrelaksuj się przed torturami. Rozszerz swoją cipkę, rozluźnij napięte pośladki. Ciesz się ciszą przed burzą. Korzystaj z chwili. Bo będziesz cierpieć.

Ciesz się, Isalys, Tron jest twój. Docień jej cierpienie. Jej dyskomfort. Jej strach małej, bogatej dziewczynki. Ona jest przerażona. Cuchnie strachem, nieufnością. Ciesz się moja piękna, wytatuuj ten moment na swojej skórze.

Jest kokietką, ale nie za bardzo. Godną, ale nie za bardzo. Malkah, ale nie za bardzo. Nic nie jest w niej za bardzo ani zbyt za mało. Emanuje pomiędzy kompromisem, wątpliwym wahaniem, kruchą miękkością, niezdecydowaniem, które odgrywa rolę determinacyjną.

Ciesz się i oddychaj Isalys. Powstrzymaj się, nie złam jej jeszcze szczęki. Poczekaj jeszcze chwilę, niech wyślini swoją mowę pełną miłości, powodującą wymioty, swoim małym miodowym głosem. Wkrótce będzie cię błagać piszczącym głosem, o wiele przyjemniejszym. Oczywiście, na początku uznasz to za całkowicie nie do zniesienia, ale oprzyj się pokusie przecięcia zębami jej małej tętnicy szyjnej. Nie łam obcasami jej wysokich kości policzkowych, nie wyrywaj garściami jej włosów jak kęp trawy. Jeszcze nie, jeszcze nie. Oddychaj, oddychaj moja droga. Niech udaremniona

wściekłość zstąpi do twojego brzucha i doprowadzi cię do orgazmu. Twoja zemsta będzie jak niekończący się orgazm.

Bliźniaczki stoją naprzeciw siebie, pijane z radości i nienawiści, odkrywając swoje lustrzane odbicie. Uświadamiając sobie, że odkrywają tę drugą po raz pierwszy.

Solis wyciąga rękę do Isalys, ostrożnie, bez gwałtownych gestów, jak do zranionego dzikiego zwierzęcia, którego łapa wpadła w sidła, podczas gdy podchodzimy do niego, by go uwolnić. Ale kto jest tutaj poszkodowany? Kto jest tutaj uwięziony?

Isalys nie jest zaskoczona, że Solis robi pierwszy krok. Jest właśnie taka jak się spodziewała. Jej siostra działa spontanicznie, nie zastanawiając się nad swoimi gestami. A Isalys pozwala jej na to.

„Więc... Jakie to uczucie dotykać oryginału?”

Solis szybko cofa rękę – dzikie zwierzę obnaża kły.

" Ja...

- Ty, co ?

- Ja... ja...

- Ale się jąkas, słowo daję! Ten wyraźny szczegół został przede mną ukryty: Malkah się jąka!

- Nie, wcale nie ! Ja... ja...

- Ja-ja-ja nie-nie-nie ją-ją-ją-ka-ka-m si-się!"

- Nie, nie jąkam się!

- Więc urodź, znieś w końcu to twoje zdanie.

- Nie rozumiem.

- Co za niespodzianka! Czego nie rozumiesz, mała księżniczko?

- Myślę...

- Pośpiesz się! Zadać pytanie, do cholery!

- Dlaczego ukrywano przede mną pani istnienie?

- Mówi do mnie pani! Ona jest niesamowita!"

Isalys uśmiecha się ironicznie, po czym nagle zaczyna pogrywać snobkę.

„Czy wasza wysokość byłaby tak łaskawa i rozluźniła swoje zwieracze w mojej obecności?

- Ale...

- Ale co? Jesteśmy bliźniaczkami, gdybyś tego nie zauważyła, więc mówienie na „ty” jest koniecznością. Przewraca oczami i dodaje. ” Słowo daję, jesteś gorsza niż myślałam.”

Oszołomiona użytym tonem, porażona gwałtownością słów, Solis rumieni się. Ze wstydu, wściekłości, zdumienia, rozczarowania. Ale pomimo jej młodego panowania, Malkah rozwinęła umiejętność szybkiego przewyciężenia zaskoczenia. Uduje, że jej nie przerwano i kontynuuje.

„Więc sprowadziłeś mnie tutaj, żeby się zemścić.

- W końcu udaje ci się zrozumieć. Uważam, że niezbyt szybko.

- Tak naprawdę Isalys, jesteśmy sobie obce. Tak zdecydowali ci, którzy nas rozdzielili, ty i ja nic na to nie poradzimy. Ale musisz być bardzo nieszczęśliwa, skoro mówisz do mnie takim tonem.

- Wręcz przeciwnie, siostrzyczko, nigdy nie byłam tak zachwycona spotkaniem z kimś. Jesteś tak wierna twojej reputacji, że jest to takie przyjemne.

- Jakiej reputacji?”

Isalys cofa się o trzy kroki, nie oglądając się za siebie. Ogromny uśmiech pojawia się na jej twarzy, jak u malarza kontemplującego swoje dzieło, świadomego tego, że dotknął wdzięku, przebłysku geniuszu i delectującego się chwilą, aż do bycia spragnionym.

„Nigdy tego nie chciałem”, zapewnia Solis, i wyobrażam sobie, że ty też nie,...

- Och, zamknij się, proszę! I nie wyobrażaj sobie niczego. Mylisz się, bardzo się mylisz! Nic nie wiesz. Jesteś taka śmieszna, taka... przewidywalna, to niesamowite!

- Zapewniam cię, że...

- Ale oczywiście.....gdybyś wiedziała. Wiesz dobrze co się stało, doskonale wiesz, jakie życie wiodłam, masz dar jasnowidzenia, więc nie bądź śmieszna, proszę, bo naprawdę mnie wkurzysz.”

Tym razem to Solis cofa się o krok. Po bolesnym tonie i brutalnych słowach, prawdziwe dźgnięcie sztyletem, przychodzi z powodu nagłej pewności, która wbija się we wnętrzności Solis okrutnymi pchnięciami, wyrывая jej bebechy wraz z oddechem.

Isalys ma rację: wiedziała.

Solis już się nie cofa, ale się zatacza. Jak tego dnia, kiedy miała zaledwie osiem lat. W trakcie czytania nagle położyła dłoń na kolanie, gestem tak szybkim, że podarła trzymany w dłoni kodeks. Jej nauczyciel obdarł ze skóry jej palce za pomocą linijki, ale ten ból nie był porównywalny z tym, który promieniował z jej kolana. Można by było uwierzyć, że stolarz szuka odpowiedniego kąta, by wsunąć jej dłuto pod rzepkę. Wspomnienie jest tak żywe, tak palące, że zgina kolano, jakby chciała sprawdzić, czy nie było zablokowane przez ostatnie dwanaście lat.

Isalys wychwytuje ruch Solis pod jej suknią, ruch, który rozbudza jej ciężko zranione kolano podczas nalotu przemytników Sigil, którzy przybyli, by splądrować pełne silosy Klanu Ostrzy.

Solis również jest zaskoczona jej ruchem – powrót wspomnień, który łączy bliźniaczki. Rozumie, że ten ból nie był jej, ale jej siostry. Czuła to, co czuła jej bliźniaczka, pomimo odległości, pomimo ignorancji, że w ogóle ma siostrę. Wydaje się to niemożliwe, nic nie wyjaśnia istnienia

takiego związku,
bardziej niż w magię.

a jednak Solis wierzy w to

Solis pamięta, jak tłumaczyła się przez łzy, słowami zszokowanego dziecka: „Boli mnie kolano, dlaczego tak bardzo boli, ojejku jak boli!”. Nauczyciel nazwała ją gawędziarzem, uzdrowiciele zapewniali, że nic jej się nie stało, służba czekała, aż minie ten kaprys, guwernantka pouczała małą, niegrzeczną dziewczynkę. Przez wiele dni nikt jej nie słuchał, nawet Sylaea zadowolila się maścią, czekając, aż wszystko wróci do normy. Bardziej niż ból, Solis pamięta swoją rozpacz z powodu tego, że nikt jej nie wierzył. Jej strach, że to wszystko zacznie się od nowa pewnego dnia.

To wspomnienie jest pierwszym kamieniem, który odrywa się od ściany i powoduje dudniący piarg. Będąc jeszcze małą dziewczynką, przypomina sobie jej nieuzasadnione omdlenia, namiastka udaru słonecznego i niedostatek z powodu Riftu. Jako nastolatka, przypomina sobie bóle brzucha, które brała za kapryśne okresy, a to były niej jej, ale jej siostry. Jako młoda kobieta, jej dolna warga i uszy zaczynały ponownie boleć, gdy Isalys zaczęła nosić te same kolczyki co ona...

„Masz rację, wiedziałem - wyznaje Solis. Zawsze wiedziałem”. Wbija wzrok w Isalys, jakby od tego zależało jej życie. „Niestety nikt mi nie wierzył...”

Isalys wchodzi w jej słowo, głupkowatym niż kiedykolwiek tonem, obraźliwą imitacją:

„Nikt mi nie wierzył, proszę, uwierz mi. Tata nie był dla mnie miły, powiedział mi, że jestem niegrzeczną dziewczynką.”

A następnie wznawia jadowitym tonem:

"Jak śmiesz?"

Isalys chwyta odłamek szkła ze zbiornika przebitego przez drzewo, odrywa go w strugach krwi, która tryska z jej

wściekłych palców i rzuca odłamkiem o ścianę, gdzie rozbija się on z okropnym hałasem. Solis podskakuje przed tym krwistoczerwonym gniewem, tą druzgocącą furia zdruzgotanego. Zaczyna ją ogarniać strach, który łączy się z gniewem i nienawiścią do siostry, którą zaczyna odczuwać w całym swoim ciele.

A Isalys szarżuje ponownie:

„Tornhil zachowywał się jak kompletny dupek, wierny temu, kim zawsze był! I uczynił z ciebie jego godną spadkobierczynię? Przynajmniej to mu się udało! Ale nie na długo... Nie stoisz na wysokości zadania Solis, zupełnie nie. Od teraz Tron jest mój!”

Isalys przygryza wargę, odruch, który elektryzuje ją aż po brodę. Przeklęty pierścionek, co za pomysł, żeby tak sobie przekląć usta! Gdyby Solis spędziła tylko jeden dzień w Riftcie, wiedziałaby, że klejnoty mogą się zainfekować i zbyt łatwo się odrywają. Oszalała z wściekłości, wypłuwa na ziemię ten gorzki smak, który ma w ustach. Solis zszokowana zakrywa swoje usta dłonią.

„Cóż, księżniczko, czy jesteśmy w szoku?”

Wzrok Solis się zaostrza. To koniec, cieszy się Isalys, w końcu zaczyna rozumieć to, że wszystko jej umyka, że jej siostra trzyma jej los w swoich rękach, jak przejrzały owoc, który może wybuchnąć pod presją.

Z drugiej strony, dla Solis, jest to tylko gorzkie rozczarowanie. Podjęła ryzyko, aby poznać swoją siostrę, była zdumiona, gdy dowiedziała się, że są bliźniaczkami, cieszyła się z nowej szansy na zbudowanie rodziny, po tragicznych porażkach, których doświadczyła. A oto Isalys, która kłóci się o tron, którego nigdy ona nie chciała? To rozczarowanie jest na wysokości jej nadziei: powodujące zawroty głowy.

Tym razem, Solis nie daje się ponieść poczuciu pustki, pozostaje trzeźwa i rzeczowa. Nie dać się ponieść

emocjom, schować się za logiką i pragmatyzmem. Poddać się, robiąc mądry w tył zwrot, nie forsować miłości, która wydaje się nieodwzajemniona. Przeszła już tę drogę z ojcem, nie chce powtórzyć tego samego błędu.

Bliźniaczki wpatrują się w siebie, mrużąc lekko oczy, jak to zwykle robią z frustracji, przyjmując lustrzaną postawę, nie zdając sobie z tego sprawy. A jednak, każda z nich, myli się co do uczuć drugiej...

Solis jako pierwsza przerywa milczenie. Według niej jest to wielkoduszność wobec mniej uprzywilejowanej; oznaka słabości charakteru, według Isalys.

„Malek pozbawił cię dzieciństwa, to prawda, ale ja nie pozbawiłem cię Rzeźbionego Rronu. To Faworyci mi go powierzyli, nie do mnie należy przekazanie go tobie.”

Isalys drży, drżenie, które wstrząsa nią niemal do bólu. Wygrała, poprowadziła Solis dokładnie tam gdzie chciała, prosto w pułapkę. Uczucie jest odurzające, przyjemne, Aureliusz musiał doświadczyć tego samego, kiedy wygrał Appologium.

„Zdecydowanie nie masz pojęcia, co się z tobą dzieje, zwodniczo wsółcuje Isalys. Zróbmy bilans twoich zwolenników, jeśli nie masz nic przeciwko temu.”

Rozdział 20.3

Zielony ornat Lantany i niebieski ornat Bayany pojawiają się niespodziewanie w pokoju, tuż za plecami Isalys. Już od samego początku, dwóch Arkhontów ukrytych za zaklęciem przezroczystości, było świadkami tej sceny,

„Arkhome Światła wspiera Isalys” – mówi ceremonialnie Lantana.

Isalys delektuje się szacunkiem w głosie swojej mentorki, tej, która wprowadziła ją w tajemnice Światła. Od dłuższego czasu relacja między opiekunką a uczniem uległa odwróceniu. Fakt, że Lantana jest jej posłuszna, a Isalys nie musi nawet kiwnąć palcem, jest tego jasnym dowodem.

„Czy mam rozumieć, że przemawiacie w imieniu pięciu Arkhontów?”, pyta nieoczekiwanie Solis. Nie widzę Cantora u waszego boku. Nie jestem tym zaskoczona: badając zniknięcie Sarashy, wydawał się bardziej przepojony poczuciem obowiązku wobec Tronu niż ty, Bayano.”

Nie czekając na odpowiedź, Solis zwraca się do Isalys, jej głos, pomimo gniewu i obaw, jest stanowczy.

„Przepraszam, droga siostrze, ale dwóch Arkhontów nie tworzy Faworyta.

- Arkhome Ognia wspiera Isalys.”

Solis zwraca się w kierunku Ethella, który wchodzi głównymi drzwiami. Uczeń świetnie się prezentuje, a z jego ekstrawaganckimi włosami i eleganckim strojem emanuje pewnością siebie.

To tylko pozory: Ethell wie, że gra na dużą skalę, tylko zgromadzenie Wielkiego Foyer ma prawo decydować w imieniu wszystkich czarodziejów i czarownic. Szybko zostanie osądzony... Tylko jak przegapić taką okazję? Szczęście uśmiecha się do odważnych, a Isalys zapewniła go o swoim poparciu w walce o tytuł Faworyta.

Sarash upiecze go kawałek po kawałku, jeśli kiedykolwiek się pojawi, ale to niewiele zmienia: on już podjął ryzyko. W dnia, w którym rozczarowany miłością wywołał ognisty podmuch, który zabił Cyrinę. Tak naprawdę nie spodziewał się, że Sarah weźmie odpowiedzialność za jej śmierć, ale ponieważ Cyrina kochała ją, a nie jego, sytuacja miała coś w rodzaju immanentnej sprawiedliwości. Tak, Ethell ma wszelkie powody, by wspierać Isalys. Z natury lubi igrać z ogniem.

„Ethell...” – wzdycha Solis. „Gniew Sarashy jest wulkaniczny, powinienes o tym wiedzieć równie dobrze jak ja. Obawiam się, że nie możesz uciec na tyle daleko, by uniknąć jego opadów.”

Z uśmiechem na ustach, by ukryć panikę płonącą głęboko w jego oczach, Ethell idzie w kierunku środka pokoju. Gdy ma zamiar mówić, Solis zwraca się do Isalys.

„Dwóch Arkhontów i uczniów... Isalys, nie mamy tej samej definicji tego, czym jest Faworyt.

- Tak jak nie mamy tej samej definicji na temat tego kim powinna być Malkah.”

Wszyscy podnoszą wzrok i widzą, jak Velive powoli schodzi przez szczelinę w suficie, która służy za oculus. Wszyscy, oprócz Isalysa, która wszystko zaaranżowała.

W słupie światła, które oświeśla drzewo lilii, włosy Velivy błyszczą, rywalizując z bielą jej alabastrowe cery. Faworytka jest dumna ze swojej inscenizacji, która nadaje jej wygląd anioła zstępującego z nieba, aby głosić boskie słowo: w tym tkwi siła Słowa i wirtuozeria Czarnoksiężników Powietrza. Solis jest zbyt czysta, by używać takich sztuczek, przez co trudno nią manipulować. Z drugiej strony, Isalys tak bardzo chce udowodnić swoją wartość, że z pewnością posłucha jej rad. Będzie nową Malkah, a Veliva będzie dzierżyła prawdziwą władzę, tę, która czai się za tronem.

„Powietrze wspiera Isalys i chce odwołania Solis.”

Tym razem Solis nie umie ukryć swoich uczuć. Cofa się. Stara się upozorować ten ruch jako zwykłą zmianę pozycji, ale jej pewność siebie zaczyna się łamać. Veliva zawsze była oportunistyczna i niestała, jej zmiana lojalności rozczarowuje ją i denerwuje, jednak jej nie zaskakuje. Z drugiej strony, co Faworytka Powietrza robi w Riftcie? Czy nie miała towarzyszyć Calypsovi w drodze powrotnej do Neftydy, gdzie klimat jest dla niej bardziej sprzyjający? To kłamstwo zaskakuje ją i martwi bardziej niż cokolwiek innego.

„Calyps, nie daj się prosić, nalega Veliva. Powiedz nam, kogo naprawdę wspierasz.”

Zielonkawy płyn, z jedyne go wciąż pełnego zbiornika, nagle ożywa, jak przejście pędzla impresjonisty, któremu wystarczy kreska, by ożywić płótno. Faworyt Wody wydaje się wyłaniać ze zbiornika, podczas gdy był ukryty tuż za nim. Jego rysy są zamazane, niewyraźne, jakby właśnie płakał. Solis widzi w tym znak nadziei.

„Calyps? – rzuca łagodnie Solis. Czy Słone Jezioro nie wystarczyło, by przekonać cię o niebezpieczeństwach pustyni Riftian? Czy nie zachęcałem ciebie byś czuwał nad sobą? Wygląda na to, że moja siostra nie okazała tobie tego samego szacunku.”

Mała fala przecina powierzchnię twarzy Faworyta, fala przypływu napędzana przez skrupuły i niezdecydowanie, która na powierzchni jest zredukowana do zwykłego falowania. On zawsze się wahał, nie jak wiatrowskaz, bardziej jak przypływ. Przypływ, zaufanie do Solis, którą odkrył w termach Plenitiona, ciekawskiej, inteligentnej, natchnionej, błyszczącej jak kałuże słońca na wiotkim morzu. Odpływ, wierność Isalys, która nie boi się odsłonić rąk, które grożą, by lepiej ich unikać. Teraz, gdy znajduje się w ich obecności, jego intymne fale nie wiedzą już, czy iść w górę, czy w dół, rozdarte połączonymi siłami tych dwóch księżyców o dokładnie przeciwnym przyciąganiu.

„Arkhome Wody deklaruje neutralność w tej sprawie” — mówi w końcu Calyps.

- Rozwodniłeś wino, przyjacielu, żartuje Veliva, zamiast wypić je do dna.”

Isalys domyśla się po jej spojrzeniu, że Solis uważa to wycofanie się za poparcie. Biedna dziewczyna zachowuje się jak ryba wijąca się na brzegu rzeki, z hakiem wciąż w pysku, przekonana, że dzięki podrygom może jeszcze wrócić do wody. Wpada w panikę, przerażenie sprawia, że zapomina, że umiera i nie widzi podeszwy rybaka, który podchodzi, by powalić ją na ziemię. Isalys nie zniża się do takiej brudnej roboty, pozwala, by ktoś inny się tym zajął.

„Sylaea!”

Solis wydaje z siebie okrzyk. Ostateczne przyznanie się do słabości, błaganie skazańca do kata, który podnosi topór.

Nie, nie ona, nie jej opiekunka.

Przyszła kolej na Faworytkę Natury, która wkracza z poważną miną, jak przystało na egzekucję.

„Isalys ma rację, wyznaje Sylaea, jakby była na szafocie zamiast Solis, ona urodziła się pierwsza. Tron jest jej.”

Solis jest zdewastowane, dzika i brutalna burza położyła intymny las jej pewników i punktów orientacyjnych, pozostawiając po sobie tylko wióry poszarpanych gałęzi i równinę martwego lasu. Jego dusza jest obnażona, zdana na łaskę następnej burzy, która zamieni je w błoto, w osuwisko.

Nic nie wskazywało na tak odrażającą zdradę, nic!

Przypomina sobie jeden z prezentów, które Sylaea dała jej w dzieciństwie, jej ulubiony: kostki domina z wygrawerowanymi dziesiątkami roślin i zwierząt, odwrócone obrazkami do dołu i których pary trzeba było odtworzyć. Jako dziecko Solis brała udział w szalonych, pełnych śmiechu grach z Sylaeą. Teraz obie grają ostatnią rundę, z tą różnicą, że Solis, obracając kostki domina, odkrywa zmienione, zniekształcone obrazy. Straszne. Sylaea oszukiwała, żeby wygrać, obie o tym wiedzą...

Sylaea stara się do niej mówić, usprawiedliwić się, ale Solis nie chce jej słuchać. Wszystko co powie Faworytka będzie kłamstwem i dwulicowością, z pewnością tak było od lat. Od zawsze. Zbudowałyby najwyższą ze świątyń na macierzyńskiej miłości Sylaei, ale ziemia okazała się brudnym bagnem.

Kiedy dziecko dorasta, wyidealizowany obraz rodziców zawsze się rozprasza. Szok jest czasem gwałtowny, potencjalnie destrukcyjny, ale najczęściej jest to cena, jaką trzeba zapłacić za zrozumienie, że dorosłość nie chroni przed błędami, a miłość przed niezdarnością.

Solis nie musiała dorosnąć, by zdać sobie sprawę, jak złym człowiekiem był jej ojciec, nieczułym, martwym krajem, tak jałowym jak ziemia Riftu. Ale Sylaea... Jej opiekunka była dla niej matką, tak jak Hannibal był starszym bratem. Rodziną zastępczą, którą postanawiamy kochać, która jest dla nas wszystkim. Ogród, który sami zasadziliśmy, na działce, o której wykarczowanie sami zadbaliliśmy.

A teraz wszystko jest spalone i pokryte solą.

W rzeczywistości Sylaea interesowała się tylko Isalys. Jej bliźniaczką. Wolą inna wersję jej, lepszą w jej oczach, doskonalszą. Bez wad.

Solis przyciska wierzch dłoni do ust, żeby powstrzymać wymioty. Uda jej się powstrzymać łzy – przyzwoitość udziela jej tej łaski – ale może nie tę powódź żółci, która zalewa jej gardło. Zatacza się, nie mogąc uznać swojej porażki za naturalny gest. Kończy plecami przyklejona do drzewa lilii, otoczona przez renegatów Faworytów i ich zwolenników. Tradycja głosi, że Malkah wymierza sprawiedliwość w ogniu; znalezienie się osaczonym, opartym o drzewo hybrydowe, przez zgromadzenie zdrajców, całkowicie odwraca obraz i brutalnie urzeczywistnia spisek, którego stała się ofiarą.

Jej ramię opada bezwładnie, trzęsąc się, jakby była zraniona i krwawiła. Wszystkie jej kończyny są zdrętwiałe, nogi mogą w każdej chwili ją zawieść. Ześlizgnąć się po pniu hybrydy, upaść na ziemię bez wdzięku... upokorzenie byłoby potworne, ale ona tak bardzo potrzebuje usiąść.

Jednak trzyma się. Zataczająca się, ale wyprostowana, oszołomiona, ale niepokonana. I to właśnie w tym momencie Aureliusz postanawia się pojawić.

„Bądź sobą”, powiedział jej zanim weszła do kazamaty. Teraz rozumie dlaczego.

Jest tutaj dla mnie.

Myśl narzuca się w umyśle Solis z ewidentną przejrzystością. Zaimponowała mu swobodą podczas wspinaczki, dedukcjami w obliczu bursztynowych szczelin. A przede wszystkim, pocałowali się na szczycie Gravleva, więc coś się między nimi narodziło.

Wciąż z niestabilną równowagą, Solis zwraca się do Isalys z wyzywającym spojrzeniem.

Aureliusz był jej czempionem, wygrał Appologium, by zaoferować jej przysługę dyplomatyczną, może stać się nim ponownie, tu i teraz. Gra nie jest jeszcze przegrana.

Isalys patrzy na siostrę i uśmiecha się, widząc jak odzyskuje spokój. Mruga do niej porozumiewawczo, zanim dołączy do Aureliusza. Wsuwa dłoń w jego włosy, rozmazując krew na jego policzku pociętymi palcami, kołysząc ich parą jak niedokończonym walcem, zaciska pięść w zaborczym geście i całuje współnika w usta. Isalys wpatruje się w Solis przez kilka chwil, po czym koncentruje się na swojej grze językowej. To coś znacznie więcej niż pocałunek, to gest erotyczny, naładowany seksualnym napięciem, które można uwolnić tylko leżąc na poduszce. Więcej niż dowód miłości, raczej akt namiętności, posiadania.

Rozdzielają się, z mokrymi ustami, patrząc sobie prosto w oczy. Isalys odczytuje w oczach Aureliusza, że jest jej sprzymierzeniec nie zapomniał o swojej obietnicy. Odgaduje tam też coś jeszcze, odbicie w wodzie późnego promienia, który ociąga się. Jak zwykle czyta w Aureliusz jak w otwartej księdze, tylko, że odkrywa ze zdumieniem, że niektóre strony są przekreślone.

Zajmie się tym później, nic nie może przyćmić jej triumfu...

Solis zachowała się jak idiotka, Aureliusz nigdy nie była jej czempionem i nigdy nie będzie, mogłaby być prawie wdzięczna Isalys za przypomnienie jej o tym. Z drugiej strony na pewno jest ktoś, na kogo może liczyć. Główny atut.

„Szado.” Solis podnosi się. „Shado jest zawsze po mojej stronie. Jest królewskim zabójcą, twórcą królowej. I będzie mnie wspierał.

- Ach, słynny Shado.” Isalys przechyla głowę lekko na bok, z gestem pełnym współczucia, który maskuje jej irytację na widok siostry z powrotem w grze. "Słyszałam o nim. Powiedziano mi, że on się liczy, rzeczywiście.”

Isalys zwraca się do Sylaei, która wygląda na zaniepokojoną. Ona i inni Faworyci ostrzegali ją, że sam Mistrz Cienia może obalić spisek. Czy nie zrozumieli, że jej postępowanie jest uzasadnione? Tron słusznie należy do niej, a Shado nie bardziej niż ktokolwiek inny, nie jest w stanie temu zaprzeczyć.

„Niech tak będzie – udaje wspaniałomyślnie, że się zgadza. Shado będzie sędzią pokoju, jeśli takie jest twoje życzenie. Wolałabym uniknąć dla ciebie tej próżnej nadziei, ale skoro ty tego chcesz.”

Solis unosi brodę, dumna z odniesionego zwycięstwa. Patrzy jak jej siostra podchodzi do dużego prześcieradła, którego nie zauważyła. Isalys ciągnie za nie, tworząc małą chmurę pyłu, która ostatecznie odsłania podstarzałe lustro. To z jej snu.

„Chodź, proszę”, nakazuje Isalys.

Solis obawia się, że nie będzie mogła podejść, więc zatrzymuje się, patrząc z uniesioną głową na każdego ze spiskowców. Arkhontowie odsuwają się zerkając z ukosa na Isalys. Ethell kroczy dumnie, by lepiej ukryć swoje wątpliwości, Veliva z łatwością przebija jej manewr, podziwiając naturalność jej egzekucji, Calyps odwzajemnia jej unoszące się spojrzenie. Usta Sylaei drżą z żalu, usta Aureliusza są napięte. Solis nie zwraca prawie na nich uwagi; wkrótce przekonają się, że chętnie okazuje ona swoje zaufanie – niektórzy powiedzieliby „naiwnie” – ale pozwala zdradzić się tylko raz.

Mając wystarczająco silne nogi, Solis dołącza do Isalys stojącej przed lustrem. Isalys obejmuje ją ramieniem, są jak

dwie siostry, które cieszą się z ponownego spotkania. W psyche, eksploduje ich bliźniactwo, nieprawdopodobne podwójne odbicie, w którym ubrania różnią się bardziej niż istoty.

Zanim Solis zdąży zareagować, Isalys zapina grubą złotą bransoletę na środku jej ramienia.

Obraz Solis znika z lustra pozostawiając Isalys samą.

„Małe zakłęcie niewidzialności, śmieje się Isalys. Faworyci wiedzą, że jest tylko jedna Malkah, jak to zauważyłaś. Dopóki cała Arkhantia nie będzie tego świadoma, wolę podjąć kilka środków ostrożności. Dla twojego dobra oczywiście.”

Isalys zwraca się do swojej bliźniaczki. Usiłuje stłumić radość, która podpala jej żołądek i przyspiesza bicie serca. Ona jest teraz dyrygentem, bębny mocy dźwięczą w jej rytmie, w jej tempie.

„A jeśli miałabyś ochotę uciec, wiedz, że mam twojego drogiego Hannibala.”

Wielki spokój ogarnia Solis, spokój, który panuje poza drżeniem, które nią wstrząsa od czasu, gdy zakłęcie wyszło na jaw. Być może rozpacz zabija strach, a przypływ emocji łagodzi szok przykrych niespodzianek. Może tak właśnie działa nacięcie Cienia. Jest w pełni świadoma tego, że przeszła przez lustro, że została wymazana przez Isalys, że teraz jest duchem ze snu. Mimo to, czuje się zaskakująco spokojna. Będzie nawet ukojona, pod warunkiem, że otrzyma odpowiedź na którą czeka.

„Sylaeo – mówi, nie odrywając oczu od Isalys. Okłamywałaś mnie każdego dnia odkąd się urodziłem...”

- Solis, musisz mi uwierzyć...” – próbuje Faworytka.

Milknie, zostając uciszona zupełną obojętnością Solis, która kontynuuje, jakby jej nigdy nie przerwano.

„...ale żądam, żebyś chociaż raz, tylko raz, powiedziała mi prawdę. Czy naprawdę starałaś się leczyć Hannibala?

- Tak.”

Dla Solis to ulga, skrawek błękitnego nieba w środku burzy na pełnym morzu, gdy znajdujesz się na pokładzie pontonu nie solidniejszego niż łupina orzecha włoskiego. Hannibal nie został uratowany, ale przynajmniej zrobiono wszystko, by dać mu szansę. To więcej, niż mogła się spodziewać w tym momencie.

„ Droga siostrze, pomyliłaś się, zabierając ze sobą Hannibala”, ostrzega Solis. Bez względu na twoje plany, on pozostanie mi wierny na zawsze. I Sarash też.

- Sarash wpadła w bursztynową szczelinę i nie wróci.

- Znowu się mylisz. Sarash wyjdzie z tego. Mam dowód na to, znam kogoś, kto przeszedł przez piekło i zamienił je w wielkie pragnienie zemsty. To ty.”

Rozdział 21

Wymuszona jazda

„Ja mogę iść, proponuje Onyx.

- Co? , wzdycha KatKa. Nie!

- Ale dlaczego nie?

- Bo jesteś za mała!

- No właśnie...”

Wściekła KatKa zwraca się do „La go”, która ośmiela się wtrącać do rozmowy. Nikt nie staje między jej młodszą siostrą a æl, nikt!

Tylko, że złość utknęła jej w gardle jak kluska street-food przechodząca przez złą dziurkę. „La go” to nikt inny jak Pollen, cesarzowa parkour, ta, której nie opiera się żaden zamek. Legenda w ÅPØLØW. Æl zawsze chciała być podobna do niej. Ta bohaterka jej młodości chce rzucić jej młodszą siostrę w ogień tajnej operacji?

Nigdy nie powinniśmy mieć możliwości poznania swoich idoli.

Dłonią z paznokciami w kształcie kluczy, Pollen wskazuje na otwarty właz, zdecydowanie za wąski dla jednej i drugiej. Ale nie dla Onyx. KatKa patrzy na swoją siostrę, której pewny siebie i sojusznicy uśmiech wydaje się mówić: „Daj spokój, nie bądź matuchną!”, potem æl patrzy na właz, spogląda na Sphaxa, który krąży wokół ich małego stada, zwraca się ponownie do Pollen, której zmarszczone brwi zirytowane są przez niecierpliwość. Prawdziwy wiatrowskaz, gorszy niż wiatrak starego twardego dysku retro. W jej głowie jest jeszcze gorzej, jej idee wirują, potykają się o własne nogi i myśli.

„K, upiera się Pollen, powiedziałaś, że sobie z tym poradzisz. Więc radź sobie.”

Napięcie w głosie Pollen rezonuje z okrzykami dobiegającymi z końca impasu. Skupieni przed wejściem głównym, po drugiej stronie alei, gdzie one się ukrywają, nadmiernie podekscytowani demonstranci kontynuują rzucanie haseł.

„Nawet jeśli Intendent tego nie chce, jesteśmy tutaj!”

„SIT, w sytuacjach, dość! Ex-sytuacje!”

Temperatura rośnie, dywersja pracuje na pełnych obrotach, wszystko jest przygotowane do tego, by protestujący mogli zaatakować ośrodek, gdzie uwięziona jest Nyvenna. Wszystko co pozostaje do zrobienia to, prześlizgnąć się przez tę cholerny właz, żeby otworzyć drzwi od wewnątrz budynku.

Ten cholerny mały właz.

Mimo, że Æl wszystko przygotowała. Zhakować plan kanałów konserwacyjnych – check. Wprowadzić go do pamięci Sphaxa – check. Skopiować podpis każdego z robotów konserwacyjnych klasy IV spacerujących po ośrodku – check. Przekonać ÅPØLØW o tym jak niesamowity jest jej

plan – check. Powiedzieć rodzicom, że æl zabiera Onyx na Repet, musical robocików, a następnie przekodować zabezpieczającego robota, aby monitorował One podczas przedstawienia, podczas gdy æl dyskretnie ułatwia się – check. Stworzyć dywersję, aby uzyskać dostęp do zapadni poprzez akrobatyczne talenty Pollen- check. I ta cała cholerna robota nadaje się na śmietnik, przez coś tak głupiego jak wielkość włazu?

To koniec. Jest to po prostu niemożliwe...

Æl zapłaci za swoją karmę brudnej kolaborantki, æl skończy w piekle, w metaversie w 2D o niskim połączeniu. Tak się dzieje, gdy pracuje się z pieskiem z Norii.

Ponieważ rzeczywistość jest właśnie taka: æl pracuje z Intendentem – nie „dla” Intendenta, żeby było jasne, tylko „z”. To on pomógł opracować plan – po części – zmobilizował mnóstwo środków, by przygotować tę akcję, przekazał nawet swój SIT, aby obejść zabezpieczenia ośrodka i otworzyć drzwi dla protestujących! Nawet jeśli KatKa super poradziła sobie ze wszystkim, jego pomoc jest daleka od nieistotnej. Musiał pozostać w cieniu, oczywiście – ÅPØLØW nigdy by się nie zgodził na współpracę z nim – æl jest jedyną, która zna zakres jego pomocy. Była do tego zmuszona. Jednak tajemnica ciąży jej na sumieniu.

Aby się oczyścić się z tej brudnej roboty, æl próbowała, kilka razy w ostatnich dniach, przekonać samą siebie, że Intendent zrobił jej pranie mózgu. Manipulować ludźmi, mieszać im w głowie tylko słowem, to jest jego super moc, warunek wstępny na stanowisko rzecznika Mantris. Mimo jej usilnych starań nic nie potrafi z tym zrobić.

Od tej pory, kiedy æl myśli o Intendencie, nie są to już jego brudne manipulacje polityczne lub jego seksistowskie i

paternalistyczne hologramy, które powracają jej do pamięci. Pierwszym wspomnieniem, które powraca, jest to, kiedy zdjął maskę mimetyczną, aby ją poprosić o pomoc. Jego twarz w tym momencie emanowała rzadką autentycznością i zupełnie nieoczekiwaną kruchością... Był zdruzgotany, tak na serio. Nagle jakby Intendent ujawnił swoją tajną tożsamość, faceta, który posiada cholerne serce pod pieprzoną maską. To było prawie obrzydliwe, posiadać serce zamiast twarzy, ale tak właśnie widziała go æl. I æl nie będzie już mogła postrzegać go inaczej.

Æl czuje się zagubiona. Teraz æl czuje się zarówno zdenerwowana, jak i poruszona, wzruszona i zła, mając na myśli to, że miły staruszek, który podarował Onyx najnowocześniejszy zestaw słuchawkowy z redukcją szumów, jest jednocześnie jej odwiecznym wrogiem. Intendent, Ezio. Ezio, Intendent... Jak można być i jednym i drugim?

Cholera, on naprawdę namieszał jej w głowie...

„Mogę iść, powtarza Onyx.

- Trzeba się śpieszyć!, naciska Pollen.

KatKa patrzy na Onyx z niedowierzaniem i niepewnością. Ona powinna się teraz śmiać i tańczyć w holopokoju, zamiast tego poszła za nią tutaj. I czym jest ten skok w czasie, który zmienił jej młodszą chorą siostrę w mini bohaterkę gotową do infiltracji bezpiecznego budynku?

Fabro i Atale ją zabijają, jeśli æl pozwoli na to Onyx. I to nie ona będzie próbowała udowodnić im, że się mylą. W bolesnym błysku współczucia, KatKa znajduje się w sytuacji swoich rodziców. Jakby ich umysły połączyły się w mentalnym blenderze, æl zaczyna czuć to samo co oni. Ze strachem, w obliczu One, która uważa się za sprytną i niezależną, podczas gdy æl dobrze wie o tym, że tak nie jest. Brak czasu, a zwłaszcza słów, by wytłumaczyć jej, że

życie jest molestowanym i bezlitosnym wirusem, że istnieją szaleństwo, które popełniamy, a które na zawsze uniemożliwiają nam to, by móc zawrócić. Bezradność wobec tego dziecka, które za szybko dorasta, które spieszy się, by sprzedać swoją niewinność, by rzucić się z impetem w niebezpieczeństwa istnienia. Trochę za bardzo to przypomina ją samą, æl. Chyba tylko po to, by nie czuła się winną. One idzie się jej śladami i to przyprawia ją o mdłości, bo czuje się odpowiedzialna za to na 1000 %. Jednocześnie odczuwa dumę, przed tą zuchwałością, odwagą, której prawie wszyscy dorośli poddają się, by skończyć z tyłkami na kanapach, a głowami w głupich metawersach.

Jeszcze wczoraj, æl byłaby zła na rodziców za to, że są tak zaślepieni i nadopiekuńczy. Ale teraz, æl czuje ten strach w swoim brzuchu, widząc jak jej dziecko odlatuje z gniazda.

Wszystko to zapiera dech w piersiach KatKi, zamienia jej płuca w lód, który chrzęści i pęka, kiedy æl chce oddychać. Æl zmusza się do tego, by ponownie stać się æl, w wersji pełnej odwagi i przekonań, a nie żadną mamuśką.exe, która zostaje z tyłkiem na fotelu, z poduszkami przeciw odleżynom, podczas gdy wszystko wokół niej zaraża się wirusami. Æl zawsze nienawidziła, kiedy jej rodzice decydowali za nią, decydowali co æl mogła robić, a co nie, to nie wchodzi w rachubę, nie ma takiej opcji, by tak samo postępować z jej młodszą siostrą.

Ale nadal jest to przerażające, æl chciałaby, żeby to wszystko było łatwiejsze. Przychodzi jej na myśl stary mantraktat: „dupku spójrz na błąd, nie patrząc na osobę, która to zakodowała”.

Ale właśnie nadszedł czas, aby przekodować to społeczeństwo, które jaSIT.

„Jeśli czujesz się na siłach, śmiało, One...”

Rozdział 21.2

„Wysłuchanie przygotowawcze Arhaxa Imperatora w ramach jego kandydatury na stanowisko Intendenta jest otwarte. Rozmowa jest umieszczona w archiwach, zapieczętowana do czasu przeprowadzenia wyborów, zgodnie z obowiązującą kartą obywatela.”

Arhax opada z powrotem na swoje siedzenie, z ręką na podłokietniku i pięścią przyciśniętą do jego mięsistego policzka. Wpatruje się w komisję składającą się z pięciu Mantrix – po jednej z każdego stylu technicznego – wybranych przez probabilistyczną kalkulację, której tajemnicę zachowuje Noria. Mantrix są wyświetlone na trybunach, w półkolu wokół niego, w bieli minimalistycznego wystroju godnego kliniki. Subtelne migotanie hologramów mogłoby uchodzić za chorobliwe podniecenie studentów meditechów zebranych na sekcję zwłok. Jedyne, fizycznie obecny członek Norii, to Archiwista, który czeka cierpliwie w kącie, dyskretny.

Alcred mruga, żeby zrobić zdjęcie tej sceny. Arhax, rozwalony w lekceważącym stylu, powinien wydawać się mały i bezczelny w obliczu tych emerytowanych, martwych i unieśmiertelnionych już od dłuższego czasu, obywateli-akcjonariuszy. Tymczasem, tak bardzo prowokuje tym swoim odprężeniem, że w końcu czyni farsę z dawnych świetności, mając na przykład na myśli stroje – te noszone w dniu ich Podniesienia – pokazujące kilkanaście wieków historii mody.

Meta-doradca ciężko pracował nad tym, aby ta rozmowa miała miejsce. Zmobilizował dużą część swojej siatki, wszystko zaplanował w najmniejszych szczegółach. Jednak z góry wiedział, że Arhax zrobi wszystko by go zaskoczyć, by jego milimetrový plan skończył się klapą, kompresem hemostatycznym lub płótnem dekonstruktywistycznym, ponieważ u Arhaxa, zaskoczenie jest zasadą, a negacja jest jego podpisem. Nieważne, warto było, choćby dla dreszczyku emocji, który łaskocze mu żołądek, dokładnie takie uczucie, którego nie odczuwał od lat.

„Obywatelu-akcjonariuszu Arhaxie, rozpoczyna robotyczna Mantrix, zanotowałam w porządku obrad, że chcesz złożyć oświadczenie wprowadzające. Bardzo dobrze, komisja cię słucha.

- To nie jest deklaracja. Gorąco proszę o obecność Głównej Inżynier Konklawy.

- Anis?, dziwi się cybernetyczna Mantrix.

- Tak, właśnie tak.” Arhax przesuwając palcem przed swoimi oczami, robiąc kilka podróży w obie strony. „Tej z neuronową opaską na oczach.

- Ta komisja jest zarezerwowana dla Mantrix, przypomina przedstawicielka mediatechnologii, nie ma tutaj miejsca dla obywatelki-akcjonariuszki.

- Dobrze.”

Arhax uderza dłońmi w podłokietniki i wstaje. Łaskotanie Alcreda zmienia się w skurcz żołądka.

„W takim razie rozmowa zostaje odroczone” — kontynuuje Robotyk. Zaoszczędzimy czasu wszystkim, poczuwając ode mnie, bo najwyraźniej mam inne rzeczy do roboty niż czekanie.

- Anis nie ma uprawnień do oceny kandydatów na stanowisko Intendenta, podkreśla genetyczna Mantrix.

„Ach tak?” Arhax udaje zdziwionego. To jednak ona zdecydowała, że Julian nie może się Podnieść, prawda?”

Wzburzona ironicznym tonem Arhaxa, Mantrix szeroko otwiera oczy, po czym wznawia:

„Jej decyzja była czysto techniczna, pamięć kandydata była zbyt zniszczona.

- Mała rada: lepiej milczeć, kiedy nie wie się co powiedzieć.

- Niemniej jednak...

- Czy ktoś miał na tyle przytomności umysłu, żeby zakwestionować jej orzeczenie?

- Anis ma cztery doktoraty z fizyki kwantowej, jest kimś wystarczająco wykwalifikowanym, by dokonać ekspertyzy.

- Pieprzyć to!”

Arhax coraz częściej i coraz szybciej przesuwając dłoń po twarzy. Kontynuuje nie mając czasu na to, by się uspokoić, zajęłoby to zbyt dużo czasu.

„Czy wiesz, czego nauczyła mnie moja kariera? Kiedy przywódca korporacji podejmuje decyzję, wszyscy pędzą, by go krytykować, zwłaszcza ci, którzy nie wiedzą absolutnie nic o świecie biznesu. Z drugiej strony, gdy tylko enigmatyczny naukowiec bełkocze niezrozumiałą koncepcję opartą na skażonym śluzie tachozaura, nikt nie odważy się temu zaprzeczać z obawy, by nie być wziętym za głupca... Nie ja! Dlaczego? Bo nie jestem idiotą. I wiem o tym. I wy wiecie o tym. Więc zaczynam od miejsca, w którym skończyliśmy, a ty zmienisz swoją odpowiedź.”

Kolejne przejście dłoń po twarzy.

„Anis popełniła błąd pomimo jej szasłyku z dyplomami. Niedopuszczalny błąd, którego nie mogę wybaczyć, ani jej, ani temu któremu

wpadnie do głowy, żeby jej bronić. To jest dla ciebie jasne algos, czy muszę zawołać szamana, aby ci to narysował?”

Arhax krzywi się. Czuje, jak mini-czarna dziura rośnie głęboko we wnętrzu jego brzucha, ekspansja, która pożera metr jego jelita aż do fiuta. To boli, okropnie boli. Chce, by ta dziwka Anis poczuła jak to boli. Chce widzieć w jej oczach terror, kiedy zda sobie sprawę, że to on będzie następnym Intendentem – bo to jest nieuniknione, oj tak, mówią o tym gwiazdy i jest to napisane w najmniejszym, cholernym wierszu kodu Norii. Ta wielka kretynka wkrótce zrozumie jaką gafę, o kosmicznych proporcjach, popełniła. Jeśli kiedykolwiek uda jej się zrobić z Juliana Mantrix i jeśli będzie go błagać na kolanach, to wtedy może ją oszczędzi, ale teraz szczerze w to wątpi. Ma tylko jedną obsesję: złapać jej szyję obiema rękami i ścisnąć, ścisnąć, by zobaczyć, jak rosną jej oczy i eksplodują podczas duszenia. Swoją drogą, całkiem ekscytujący pomysł.

„Nie jesteśmy tutaj, aby przeprowadzić audyt Głównej Inżynier, mówi ponownie robotyczna Mantrix. Możesz sobie pójść, ale wiedz, że jeśli to zrobisz, twoja rozmowa kwalifikacyjna się zakończyła, a nie została odroczone.”

Arhax uśmiecha się jak zabójczy klaun.

Właściwie nie zależy mu na tym, żeby tu być. Mantrix to tylko małe żałosne lokaje, będące pod rozkazami Synthii, wyobrażające sobie, że ich stanowisko daje im prawo do wyznaczenia króla? To idiotyczna głupota! To co czuje teraz, to erekcja zemsty, która mu szepcze, że jego oczywistym przeznaczeniem jest bycie kolejnym Intendentem. Oh tak, obywatele-akcjonariusze go wybiorą i ta pieprzona Noria będzie musiała się ugiąć i wypiąć przed nim tylek. Dlaczego zawsze musi tłumaczyć, przekonywać, negocjować? Żaden ekspert naukowy nie jest zmuszony do tego całego cyrku, a te bachory chciałyby mu to narzucić, jemu, Arhaxowi! Idioci. Gdyby jego Julian nie potrzebował Norii, by móc się odrodzić, już by spalił tę komisję, a wraz z nią całą Konklawę. Byłyby to zajebiście radosne fajerwerki, idealne widowisko, by świętować jego nominację na nowego Intendenta.

Gdyby tylko transfer zadziałał, nie byłoby go tutaj. Z biciem serca wspomina dzień Podniesienia, w tym prywatnym pokoju, znajdującym się dwa kroki od szczytu Konklawy, kiedy stela zamiast błyszczeć, poszarzała....

„Czy Anis wyjaśniła wam, dlaczego liczba wadliwych stel wzrosła?”

Arhax przemówił jednym tchem, bez uprzedniego wdechu. Szybko, wypowiedz te słowa, zanim twój błyskotliwy pomysł ucieknie. Teraz, kiedy to wypowiedział, może pozwolić sobie oddychać, zanim zacznie mówić ponownie.

„Powstanie Juliana nie zawiodło, dlatego, że jego pamięć została uszkodzona, ale dlatego, że stela, która miała go pomieścić była skorumpowana, zarażona. Nie mogliście tego przegapić, prawda? Zapytaliście ją o to?”

Niespokojna cisza wszystkich obecnych Mantrix jest tak słodka dla jego uszu jak ta ballada arkańska, której obaj słuchali, tuż przed... przed...

" Nie? Byłem tego pewien. Więc natychmiast powinniście ją wezwać. Skończyło się techniczne gadanie, musi natychmiast złożyć sprawozdanie. Nadal wierzycie w stele, które rozładowują się same, tak bez powodu? Pieprzyć to! Doskonale wiemy skąd te zamieszki, wy, ja i reszta Artellium, nawet ci głupi Arkhańczycy to wiedzą: to jest cholerny energetyczny kryzys! Zakłócona stela bez własnej baterii. To jest fakt, nie ma o czym dyskutować. Kończy nam się trisel. Nawet was, Mantrix, w waszej wieży światła, zaczyna to łaskotać. Brakuje triselu, a wy wszyscy patrzycie w drugą stronę. Tyle tchórzostwa, że aż mnie to brzydzi! Julian musiał być zamordowany, by otworzyć mi oczy. Mantris musi się odrodzić, zregenerowana, silniejsza i piękniejsza niż kiedykolwiek. I także... mój Julian.

- Przesłuchamy Główną Inżynier" — obiecuje genetyczna Mantrix. Tego jednak nie ma w dzisiejszym porządku obrad. Czy chciałbyś kontynuować posiedzenie?

- I marnować mój czas? Wysłałem wszystkie informacje dotyczące operacji Rozminowywania do Archiwisty, macie już wszystko co powinniście, by to zrozumieć. Jest tylko jedna mała rzecz, którą chciałbym byśmy przedyskutowali, wy i ja...

- Zebraliśmy się, żeby cię wysłuchać" — przyznaje Mantrix reprezentująca Norię.

- Mantris mnie wybierze. Możecie napchać się waszymi obliczeniami prawdopodobieństwo, bo to jest pewne. Mantris mnie wybierze ponieważ jestem jej potrzebny. Wkrótce ponownie będę zarządzał naszym miastem. Będę pracował w terenie, na arenie. I oddam cios za cios. Nigdy więcej jęczącego Intendenta, ukrytego za jego słowami. To będzie pożegnanie żałosnego dudziarza. Arhax jest inny. Arhax, to są czyny. Cholerne działania.

- O jakich dokładnie działaniach mówisz?", pyta meditechniczna Mantrix.

Alcred potrzebuje sekundy, tylko jednej, by delektować się tym w jaki sposób Arhax odwrócił równowagę sił. Sekundę później, wzywa swojego IAsystenta, który natychmiast analizuje wieści z Mantris. Najważniejsze wydarzenia pojawiają się na implancie oka meta-doradcy, sklasyfikowane według parametrów ustalonych od czasu, gdy zajął się Arhaxem.

Od razu znajduje wymarzoną okazję.

$\backslash \text{ALCRED} \wedge \text{ARHAX} \cap 17 \text{ prywatne O} \backslash \backslash$

$\{ \text{ARHAX} \mid \text{Szef Operacji} \subset \odot \text{ROMA} \}$

< Proszę Pana, są doniesienia o zgromadzeniu exSITów przed ośrodkiem zesłańczym z żądaniem uwolnienia jednego z nich. >

< Cudownie. Uwielbiam to! Oczywiście, że rozwalimy tych palantów, tak, że spodoba im się język plazmy. >

< Moglibyśmy wyposażyć agentów ośrodka w nowe Egzoszkielety ROMA? >

< To prawie dobry pomysł, Alcredzie. Ale teraz mam ochotę zrobić coś więcej. >

Arhax czerpie teatralną inspirację.

„Pytacie mnie jakie działania?”, kontynuuje głośno pod adresem wszystkich Mantrix. Radzę połączyć się ze środkami przekazu.” Rzuca ostatnie spojrzenie na drżące hologramy i kieruje się do wyjścia. „Wkrótce będziecie mieli o czym dyskutować, to jest to co robicie najlepiej. Ja, przejmuję dowodzenie pierwszego aktu.”

Rozdział 21.3

„Ojejku!”

Onyx zakrywa usta dłonią, żeby zdusić mały piskliwy krzyk. Przelatujący metr obok niej, w milczeniu ważki, Sphax oświeśla ciemność przewodu promieniami rzucanymi przez jego mimetyczne oczy. Zastyga w miejscu pełen wyrzutów.

„Tak, tak, dobrze!” - burczy Onyx.

Onyx przygryza sobie wargę, żeby zmusić się do zachowania ciszy. Sphax ma rację, to okropne, jak dźwięk rezonuje w wąskim tunelu konserwacyjnym. Przede wszystkim KatKa nie może tego usłyszeć, inaczej æl nie zgodzi się już na jej misję tajnego agenta.

Mimo to, dobrze jej zrobiło, kiedy wydała z siebie ten cichy okrzyk.

„Czasami lepiej to z siebie wyrzucić”, mawiał jej tata. Tu jest naprawdę brudno i jest za ciemno, żeby wiedzieć na jakie brudactwo kładzie się rękę. To jest łatwe dla jej robocika, bo on sobie lata!...

Na zewnątrz budynku, przed wejściem głównym do ośrodka zesłańczego, KatKa miesza się z protestującymi. Æl pomyślała przez chwilę, żeby zostać przed wjazdem i poczekać tam jak błazen, ale w jakim celu? Æl już nie może pomóc Onyx, jej młodsza siostra jest zdana na siebie samą.

Z podniesioną pięścią, zbuntowanym sercem, æl skanduje hasła w chórze z innymi, wyjąc, by zagłuszyć cichy głos w jej głowie, złośliwie przypominający jej, jak bardzo jej młodsza siostra jest w niebezpieczeństwie.

„Zabrali nam baterie, stracili twarz!”

Głośnij, æl musi krzyczeć jeszcze głośniej.

„DCM ma gdzieś prawo, obywatelu-akcjonariuszu powstań!”

"Przeciw-kontrola, tracisz panowanie nad sobą!"

„Nie jesteśmy zmęczeni, wszyscy jesteśmy exSITami!”

To wcale nie działa, strach wciąż tu jest. Więc KatKa przypomina sobie plan, powtarzany dziesięć razy przed Onyx, kiedy jej siostra prześlizgiwała się przez właz.

„Posłuchaj mnie One”, powiedziała jej æl. Sphax zna drogę, zaprogramowałam mu ją w jego pamięci.

- Majstrowałeś przy moim robociku bez pytania mnie o pozwolenie?, Onyx była oburzona.

- OK, nie powinnam była, przepraszam, ale proszę, posłuchaj co do ciebie mówię. Musisz iść za Sphaxem. Zobaczysz, że się uda...”

Onyx nie może już tego znieść, ciężko się oddycha w tym zamkniętym, ograniczonym powietrzu, co dziwnie pachnie i powoduje kaszel. Na dodatek musi co chwila odgarniać sobie włosy, które stają na głowie z powodu elektryczności statycznej, jak wtedy, gdy bawiła się zbyt blisko filarów kopuły, kiedy dach był włączony. Teraz, gdy jej włosy są przesiąknięte potem, kopie ją prąd, pojawiają się zielone iskry, które sprawiają jej ból – a nawet powodują strach!

Uda się.

Zamyka oczy i myśli o KatK, wyobraża sobie, kiedy jej starsza siostra przytuli ją mocno i æl powie do niej: „Jesteś niesamowita, One! Więc idzie dalej. Wije się za Sphaxem.

Uda się.

Do tego metalowe ścianki są śliskie i cały czas wibrują, jakby trzęsły się ze strachu.

Jakby czuły to samo co ona.

Uda się.

Onyx powstrzymuje szloch i uśmiecha się samotnie w ciemności. To jest jej rytuał, kiedy lekarze ogłaszają, że nowe leczenie nie działa, nie płacze, ale uśmiecha się, by uspokoić swojego tatę, który zawsze jej towarzyszy. Często wzrusza jeszcze ramionami, co oznacza „nie szkodzi, uda się następnym razem”, ale kanał serwisowy jest zbyt wąski, więc tylko uśmiecha się drżącymi ustami.

Poza tym, nie będzie już następnego razu. Teraz albo nigdy, Kat wyraziła się w tej kwestii bardzo jasno.

Dzieciak odważnie wznawia swoje czołganie podążając za Sphaxem, pomimo jej kolan i łokci, które uderzają i zaczepiają się o wszystko, pomimo odgłosów pazurów gryzoni, które uciekają przed świetlistym spojrzeniem robocika, pomimo chitynowych trzasków rzadkich gatunków owadów, które przeżyły całkowite odkażenie Mantris, uwięzione w jej kopule. Ale to, o czym stara się przede wszystkim zapomnieć, to ten okropny kurz, który łaskocze ją w nos i który jest w połowie wykonany z ludzkiej skóry – to jej dermatolog, powiedział jej o tym – a ona musi tym oddychać...

KatKę boli gardło od krzyków i to nieprawda, że w ten sposób uda się æl stłumić jej obawy o Onyx. Poza tym jest to bezużyteczne, bo nikt i tak nie słucha demonstrantów, nikogo to nie obchodzi.

Zresztą to nie jest do końca prawda.

Gapie obserwują demonstrację tak samo jak gapią się na jakiś tam wypadek, ze współczuciem zabarwionym niezdrową ciekawością. Trzeba powiedzieć, że wśród grzecznego tłumu przechadzającego się po czystych

ulicach, zbiegowisko exSITów bardzo się wyróżnia. Mnóstwo młodych ludzi, cybów, wyrzutek. Razem, tworzą oni niechlujną paradę, pochód, który raduje się, dając upust gniewowi, który gotuje się od miesięcy, radość podsycana nadzieją, że coś w końcu zaczyna się dziać. Takie zgromadzenie zaskakuje, budzi poważne zaniepokojenie, a czasami sprawia, że czujesz się lżejszy, prawie radosny.

Reakcja przechodniów wiele mówi o tym, kim oni są, w głębi ich duszy. Większość jest zdumiona, emocja, która pojawia się w nieskończonych wariacjach, od rozbawienia po pogardę. Ale niektórzy z nich zatrzymują się, obserwują, a czasami do nich dołączają. Starsza pani i jej robot, którego serwerowe silniki praktycznie zacierają się z powodu pustych akumulatorów – wydają się tak samo artretyczne, jedno i drugie. Mama niosąca swojego małego chłopca na biodrze zamiast spacerować z nim w automatycznym wózku. Niedzielny sportowiec, którego implant monitorowania wydajności, właśnie się popsuł z powodu awarii baterii, który stuka w niego, w nadziei, że słynne „techniczne uderzenie” pozwoli mu się zresetować. Obywatele-akcjonariusze niezbyt zaniepokojeni tą sytuacją, a nie osoby, które przepychają się przez życie. Nic nie stoi jednak na przeszkodzie, że kiedy znają się na ich drodze, zabiorą ze sobą trochę tej buntowniczej energii, małą usterkę, która przekoduje ich matrycę.

„Ziarno gotowe do kiełkowania, powiedziałyby Nyvenna, pod warunkiem, że będzie się je regularnie podlewać.” Takie dziwne porównanie, w każdym razie coś tak staromodnego i poetyckiego jak magia z Arkhantii. Onyx uwielbia, gdy Nyvenna mówi tego typu rzeczy.

Zmartwione serce KatKi traci rytm, gdy æl wraca myślami do One. „Nigdy nie trać z oczu Sphaxa”, powiedziała jej, ciągle to powtarzając...

Onyx dobrze to rozumiała i skrupulatnie realizuje plan. Na szczęście łatwo jest podążać za robocikiem, ponieważ jest jedynym źródłem światła w tych nieprzeniknionych ciemnościach. Przynajmniej tak było do czasu, bo teraz, kiedy nagle się popsuł, już nic nie oświetla.

„Aaa!”

Krzyk Onyx zostaje zdławiony, gdy światło powraca i wznowia się w fanfarach, gdy oczy Sphaxa gasną na nowo. Zapalone-zgaszone, zapalone-zgaszone..., robocik zamienił się w latarkę, która migocze tuż przed całkowitym rozładowaniem baterii.

Ciemność ostatecznie wpada do kanału i otula Onyx swoim zimnym, wilgotnym płaszczem. Dziewczynka się spina, dech zapiera jej piersi, udręka galopuje w jej brzuchu ściskając pęcherz. Przyciska słuchawki do uszu, mają nadzieję, że jeśli wystarczająco się odizoluje, to może potwór strachu nie usłyszy już bicia jej serca na pełnych obrotach, może poszuka sobie innej zdobyczy. Z powiekami zamkniętymi tak mocno, że krew pulsuje jej skroniach, z rękami przyciśniętymi do słuchawek, czeka.

Wymieniła baterie w Sphaxie, jest pewna tego, bardzo pewna, że wymieniła w domu baterie, więc dlaczego?...

Dlaczego?, KatKa zastanawia się w tym samym czasie, ale w innym miejscu. Dlaczego ciekawscy nagle stają się liczniejsi?

Æl obserwuje tłum, który się zatrzymał, zamrożony jak film na pauzie. Podążając za spojrzeniami utkwionymi w wysokościach, æl odkrywa ściany okolicznych drapaczy chmur spryskane przez efemeryczny holografie. Na fasadzie korporacji Robotyków pojawia się animacja ogromnego pistoletu w 2D, zabytkowego sześciostrzałowca z błyszczącą, czarną lufą. Stylizowany palec naciska spust, powodując detonację pióropuszu cichego dymu. Przeszkloną powierzchnię sąsiedniego budynku, przecina obraz pocisku o powolnej trajektorii, ma się wrażenie, że porusza się w wodzie lub melasie. W ten sposób wszyscy widzą, że to nie kula, ale bateria o zwężającym się profilu.

Na skórze ekranu KatKi sieć wariuje.

„Tema, Heyla jest tutaj!

- Darmowa reklama rewolucji, to jest przeogromne!

- Aj-aj-aj, delirium!”

Chociaż jest uzależniona od sieci, KatKa poświęca tylko krótką chwilę wiadomościom, æl woli gapić się niż wysyłać.

Świetlisty fresk jest kontynuowany na najwyższym budynku placu, centrum handlowym ze ścianami zatopionymi pod panelami reklamowymi. Zbliżając się do kuli - baterii, ekran zaczyna spływać jak rozcieńczony kwas. Kolory łączą się, tworząc rysunek dziecka, przedstawiającego w postaci patyków rodzinę trzymającą się za ręce, bardzo zadowoloną z zakupów zrobionych w ciągu dnia.

Pocisk przebija torbę z zakupami, a w tym samym momencie pojawia się logo kreskówkowi z napisem „BAAAANG! ". Zakupy spadają na stopy dziecka, którego uśmiechnięta twarz jest zastąpiona przez trójkątną twarz, z włosami wyprostowanymi na głowie, z ustami wykrzywionymi przez ciche wycie.

Kula - bateria kontynuuje swoją trajektorię i stylizowane „BUUUUM!” rozbija implant neuronowy największej z sylwetek, której czaszka znika w karmazynowej czerwieni.

Sześcienna karetka z wielkim czerwonym krzyżem, źle naszkicowanym, zbliża się que hinc que hac, z pomocą. Pojazd zostaje brutalnie rozbity na dwie części przez "BOOOM!", kiedy zostaje przecięty przez amunicję, która stała się większa niż rakieta.

Holograf nie ma ścieżki dźwiękowej, więc siła obrazu służy za detonację. Hałas tak naprawdę jest słyszalny dopiero wtedy, gdy dzieło znika z fasady.

Ten hałas to tłum, który zaczyna ryczeć...

Również w tunelu konserwacyjnym słychać dudnienie, które zaczyna puchnąć. Z kaskiem na głowie, Onyx słyszy go mniej niż odczuwa: ściany już nie drżą, ale wibrują do tego stopnia, że cała drży.

Onyx zamyka oczy i przesuwa przełącznik w kasku na maksa, żeby wyciszyć wszystkie dźwięki, przekonując się, że w ten sposób ucieknie przed czujnością potwora. Nie może jednak powstrzymać odruchu, by popatrzeć na to, co łaskocze ją w nos.

„Sphax? Co jest z tobą nie taaaak... Ajjjjj!”

Spanikowany, latający robocik wielokrotnie uderza w jej twarz, starając się uciec przed strasznym stworzeniem zbliżającym się do nich. Jakąś bestią z koszmarów, pełną czulek, która porusza się po omacku w ciemności, wytwarzając głodne iskry!

Onyx wrzeszczy na całe gardło, wyczerpując najmniejszy kawałek swojego oddechu. Po czym łapie oddech pociągając nosem, z gardłem zatkanym szlochem, gotowa do zwymiotowania udręką. Sphax ratuje ją, taranując ją wcześniej w oko i uderzając w narośl na jej czole.

"Auć!"

Potwór ją sparaliżował, ból każe jej uciekać. Onyx wycofuje się na oślep, obdzierając w pośpiechu kolana. Jej kombinezon ściąga się w nogawkach i wciska w pośladki, ale jej to nie obchodzi, nic jej nie powstrzymuje, wszystko czego chce to uciec stąd jak najszybciej. Uda jej się, ona to przeżyje. Musi, bo KatKa, jej przyjaciele, ÅPØLØW i cały świat liczy na nią!

Potwór kontynuuje posuwanie się naprzód z trzaskami żarłocznej żuchwy...

Uda się...

„Czy jej się uda, twojej siostrze?”

KatKa wzdyga się, zanim odważnie odpowiada.

„Jest silniejsza niż ty i ja razem wzięte!”

- Tak, jasne. Niech lepiej tak będzie, naprawdę musi się śpieszyć.”

Pollen wskazuje pole siłowe, które ciągle blokuje wejście do ośrodka zesłańczego. Autorytatywnym królewskim błękitem, tworzy ochronną powłokę, która obejmuje elewację i chodnik, aby całkowicie odizolować podejście. A garstka ochroniarzy stoi za jego pulsującą aureolą, czujni, ale wyraźnie przytłoczeni zaistniałą sytuacją.

Górna część pola siłowego zamyka się za oddalającym się dronem dostawczym z napisem „ROMA”, zupełnie niezainteresowanym zaistniałą sytuacją. W przykłęku, szef straży, rozdaje jakieś tam wzmocnione rękawiczki, które wyciąga z właśnie dostarczonego pudełka. Jego koledzy zakładają rękawiczki i zaciskają pięści, uderzając dwukrotnie, aby aktywować egzozkielet rozwijający się kawałek po kawałku, jak rycerska zbroja płytowa Arkhańczyków.

Najbardziej niepokojącą rzeczą dla KatKi nie jest to, że zabezpieczenie wzmacnia się. Ale raczej to, że strażnicy czują się nagle nietykalni, gotowi do walki z tym tłumem coraz bardziej niezadowolonym, mając prawo do użycia przemocy; æl wyczytuje to wszystko z ich twarzy, ale oprócz ulgi, widzieć także, że się boją. Broń prawie zniknęła w Mantris – dlaczego miałyby istnieć

w mieście, w którym przestępstwa najczęściej sprowadzają się do nieuprzejmości. Mimo to, niektórzy mężczyźni nadal są nią zafascynowani, potrzebują tylko pistoletu w dłoniach, by czuć się silnymi, męskimi, mającymi prawo do wszystkiego... atawizm, którego dwie dekady pokoju nie zdołały wykorzenić.

„To śmierdzi”, KatKa zgrzyta przez zęby.

- Tak”, potwierdza Pollen.

Skanując tłum, aby ocenić reakcję demonstrantów, KatKa stwierdza, że coraz więcej obywateli-akcjonariuszy dołącza do exSITów. Kohabitacja przebiega dobrze, co nie jest wcale zaskakujące: z powodu energetycznego kryzysu, cały świat jest na tym samym daleku. To dobra wiadomość...i zarazem zła! Celem nadal pozostaje sforsowanie wejścia do ośrodka, więc taka frekwencja może stanowić problem.

KatKa trafia na grupę około dziesięciu osób, która chce wtopić się w tłum. W tym celu, wyposażeni są oni, we wszystkie możliwe akcesoria – holodyski wyświetlające slogany, ubrania z recyklingu, brak widocznych SITów – ale ich twarze są milczące, gburowate, niepasujące do tej przyjaznej atmosfery.

Æl wskazuje hakerce grupę kiwając głową.

" Znasz ich?

- Nie. Zaczyna robić się naprawdę tłoczno, sytuacja staje się napięta.

- Nie martw się, moja siostra sobie poradzi.”

KatKa po raz kolejny powtarza plan, desperacko æl czuje potrzebę, by przekonać siebie samą, że wszystko jest jasne w pamięci One: idź za Sphaxem do pomieszczenia konserwacyjnego, opuść kanał na czas położenia na konsoli SITu Ezia - „miły gnojek, który dał ci kask”, to wyjaśnienie, które æl przedstawiła przed Pollen - „i po tym szybko-szybko wracaj do kanału, bo tam zaroi się od ludzi, którzy pozwolą sobie na zniszczeniem wszystkiego co będzie w zasięgu ich rąk” – æl nie użyła tego słowa w tych kategoriach, ale właśnie to miała na myśli.

„Zobaczysz, powiedziała na koniec æl, zwracając się do swojej młodszej siostry: to się uda, tylko idź cały czas prosto...”

Tyle, że Onyx nie może już iść prosto, bo tam jest potwór z antenami, które wywołują błyskawice.

Cofa się w pośpiechu, nie myśląc o niczym innym tylko o ucieczce. Mimo paniki czuje próżnię na końcu prawego buta. Boczne przejście, tak pamięta, że przechodziła obok posuwając się do przodu. Chciałaby się odwrócić, żeby sprawdzić, ale to niemożliwe, tam jest zbyt ciasno, a poza tym i tak jest zbyt ciemno.

Nie zastanawiając się, Onyx cofa się do drugiego przewodu, znajdującego się z boku, bo to jedyny sposób na ucieczkę przed zabójczym stworzeniem.

Kręci się, zgina kolana w złą stronę, pcha, ciągnie, ale nie osiąga nic poza zranieniem siebie, panikuje i jęczy, odwraca się, żeby spróbować w drugą

stronę, w końcu udaje jej się przecisnąć miednię, oddycha i kibicuje sobie, by wpełznąć ramiona do środka wąskiego przejścia, pociąga nosem i szlocha, odwraca głowę, a narośl na jej twarzy zahacza o kant rogu, wstrzymuje oddech...

Uda jej się, tak, to się uda, z pewnością!

Onyx jest tak bardzo skupiona na swoich wysiłkach, że nie czuje pustki znajdującej się pod jej dwoma butami. W ten sposób, by uniknąć nieszkodliwego droida klasy IV, który zatrzymałby się przy najmniejszej przeszkodzie, Onyx spada, stopami do przodu, trzypiętrowym kanałem.